



Łysiak Tomasz

Bliznobrody

ILUSTRACJE HELENA TWORKOWSKA-CEGIELA

”Wszystko umiera i wyczerpuje się z biegiem lat, nic, co śmiertelne, nie trwa wiecznie. Czy jednostka lub jakiś lud mógłby spodziewać się dokonać tego, czego nie mógł dokonać Rzym dobroczyńca? Wieki przemijają zbyt łatwo, czas ucieka szybko, wszyscy biegniecie do śmierci, cieniem, tylko cieniem jesteście, lekkim prochem lub wątłym dymem w powietrzu gnany przez wiatr!”

Francesco Petrarca, „Africa”, tłum. Kalikst Morawski



ROZDZIAŁ I

Luty 1238



nieg spadł z gałęzi prosto na hełm jeźdźca, przez chwilę zawisł między bawolimi rogami, ale zaraz zsunął się dalej, obsypując kaftan, brodę i naramienniki białym pyłem. Koń z trudem wyciągał nogi z zasp, zapadał się po brzuch i prychnął ze złości. Duku nigdzie znać nie było, bo jak już raz się drogę w lesie zimowym zgubi, to trafić ciężko z powrotem. Trzeba się zdać na zwierzę albo na poczucie kierunku, tajemny instynkt, jaki ma każdy mieszkaniec kniei, czy to człowiek, czy bestia dzika. Inaczej można sczeznąć z zimna i głodu, błakając się po bielusieńkim gąszczu pni i gałęzi w czapach śnieżnych, tak podobnych

do siebie, że idzie czasem oszaleć od ciszy bijącej w ucho i ciągle tego samego widoku. Jedno co, to że w zimowym lesie trudniej o zasadzkę - człeka z dala widać na białym tle, listowie nic nie przesłania, tak i gorzej się zacząć i zniemacka podróżnego zająć. Z tej przyczyny wyprawy krzyżowe na Prusów i Jaćwingów, czynione przez księcia Henryka Brodatego i wuja jego Leszka Białego, zawsze w zimie podejmowane były. Wojom zimniej, ale ślad pozostawiony na śniegu najłatwiej otropić i albo obcego gdzie najść, albo i po swoim tropie wrócić do punktu wyjścia, gdy już zda się, że człek zbłądził na dobre.

Mężczyzna, co przez las zimowy właśnie jechał, za siebie się nie oglądał, jakby nie dbał, czy kto za nim idzie. Co czas jakiś jeno stawał, łeb kudłaty unosił, wietrzył, nasłuchiwał, ślepia przed się wybałuszał jak bies jaki, a nie człowiek. Wyglądu mu nieboskiego przydawał ekwipunek, w rzeczy samej niezwykły jak na te strony - na czerepie miał hełm, guzami na brzegu obity, a z obu jego boków sterczały rogi bawole, dobrze już przez słońce i słotę wyswiechtane. Gruby kaftan skórzany obleczon był w zbroję, co nijak kolczugi nie przypominała, a raczej złożona była z dziesiątków kawałków blachy na skórę nabitych. Miał dwa spore naramienniki z żelaza wyklepane, na nogach spodnie grube, z nakolannikami, i cienką kolczugę wystającą spod kaftana. Wilcza skóra na plecach spłowiwała była i szara od wieczorów przy popiele z ogniska przespanych.

U siodła wisiał miecz z długą głownią, z drugiej strony kolebał się topór do miotania, o krótkim drzewcu, a na zadzie końskim leżała tarcza jaśniejąca resztkami żółtej farby jak stare, zjełczałe słońce.

Niewiele też widać było zza jego gęstej brody, zbierającej spadający śnieg jak sito mąkę. Czasem tylko, gdy się zatrzymywał, by wypatrzyć drogę, wtedy bardziej wysuwał twarz spomiędzy kołnierza postawionego od chłodu. Parę razy konia poklepał dla dodania mu otuchy, a trzeba tego było biedaczysku, bo przedzieranie się przez zaspy musiało być trudnym zadaniem nawet dla tak silnego zwierzęcia, jakim był ten kary wierzchowiec.

Koń nie wyglądał na zadowolonego z tej leśnej podróży, aż łeb wykręcał w stronę pana, stękając głośno i dopominając się odpoczynku.

Tak też i wkrótce wjechali w okolicę, w której ku niebu strzelały wielkie jodły, tworząc szeroki, zielony dach nad palisadą grubych pni. Tam jeździec zatrzymał się i zeskoczył ze zmęczonego konia. Opatulił się starym, podziurawionym płaszczem, niegdyś pewnie o barwie świeżej posoki, teraz szarym i spranym wieloma ulewami, po czym zdjął skórzane rękawice i chuchnął w zgrabiące dłonie. Odnalazł niewielki pieniek, strząsnął leżący na nim śnieg, a potem z kory i z ziemi oderwał płaty zeschniętego mchu. Podał je koniowi, wyciągając rękę i mrużąc dla zachęty.

Wierzchowiec odwracał jednak łeb, najwyraźniej obrażony na swojego pana za długą, wyczerpującą wędrówkę po leśnych zaspach.

Mężczyzna wzruszył ramionami, mruknął coś pod nosem i rzucił mech na ziemię. Zaczął znosić jodłowe suche gałęzie, oderwane wprzód z dolnych partii drzew, osłoniętych od śniegu i słoły, po czym ułożył je, by zapalić ognisko. Ściągnął z konia siodło, rzucił pod drzewo i wytarł zwierzę derką do sucha.

Złapał za topór, obciął jeszcze kilka większych gałęzi i dorzucił na stosik. W powietrzu rozszedł się zapach jodłowej, ciężkiej, słodkiej żywicy, który zakręcił w rześkim, zimowym powietrzu, jak pachnidło rozpryskane przez jaką puszczańską zjawę.

Przykłęknął i wyciągnął z kaftana niewielki zawiniątek z hubką i krzesiwem. Pochylił się nad stosem i ułożył hubkę w zagłębieniu z patyczków.

Zmierzch już szybko nadchodził i las popadł w stan oczekiwania na mrok nocy. Wiatr ustał całkowicie, ptak żaden nie śpiewał, zwierz w gąszczy nie przebiegł, nawet gałązka się nie zakolebała ani płat śniegu z konaru nie spadł. Całkiem jakby wszystko skostniało z mrozu albo z trwogi, oczekując na zapadnięcie zmierzchu.

Podróżny znalazł wyborne miejsce na spędzenie nocy - wielkie jodły utworzyły leśną katedrę, tak zwartą sklepieniem splełanych, iglastych gałęzi, że śnieg osiadł na nich jak na dachach w jakim grodzie i nie przedostawał się do spodu. Jedno co, to pod tym przykryciem ciemność była większa, więc też trzeba ją było ogniem rozproszyć.

Zdjął z głowy rogaty hełm i zaczął uderzać rytmicznie krzesiwem w żelazną część topora, by skrzesać iskrę. W cichej, przedwieczornej puszczy to stukanie było tak mocne, jakby kto walił młotem w wielką kratę zamkowej bramy. Huczało echem po całym lesie.

Nagle skrzek jakiś dał się słyszeć gdzieś dalej, ze strony większej gęstwy. Woj przestał stukać i uniósł głowę. Obrócił się, patrząc w stronę coraz to ciemniejszego lasu. Koń parsknął.

Zaraz też i właściciel jego zaczął węszyć jak pies, co wyczuł w powietrzu ślad zdobyczy. Powoli sięgnął po topór, a drugą ręką założył hełm na głowę.

Zbliżył się do karego i poklepał po zadzie dla uspokojenia. Koń łeb pochylił i niuchać zaczął, nadymając chrapy. Przez chwilę obaj - wierzchowiec i jego pan - spoglądali równo w jedną stronę, jakby byli jednym węszącym ciałem. W powietrzu dał się wyczuć delikatny jak ulotna mgielka zapach. Zapach, który wieszczęć może śmierć lub ocalenie. Zapach, który wabi i dręczy przewidywaniem. Zapach pożogi lub domowych pieleszy. W powietrzu dał się wyczuć dym.

*

- Zejdzie mi się, zejdzie mi się. Nie wołaj - kobieta kuciała przy palenisku, a po jej czole płynęły krople potu.

Dzieci kulili się ze strachu w drugiej izbie.

- Zawołam. Idzie już. Zawołam. Albo chłopaka poślę. - powiedział długowłosy mężczyzna siedzący z drugiej strony paleniska.

- Poślij, poślij. Czegóż ona słuchać nie chce? - schrypiały głos staruchy doszedł z jeszcze innego kąta. Stuknęła kosturem w duży kocioł. - Wody byście trochę podgrzali, dla obmycia, jak już się nadarzy, co ma być. - I ślijcie, ślijcie, jej nie słuchajcie.

- Zejdzie mi się - jęknęła kobieta.

- Już wody jej idą, wołajcie baby - krzyknęła rozeźlona staruszka na mężczyznę. Mąż ciężarnej odgarnął w tył długie, białe włosy i przesunął się na brzeg legowiska zasłanego skórą. Machnął ręką w stronę drugiej części domostwa. - Jędrzyk! - Chodź no! - wrzasnął.

Zza zasłony wychynęła blond czupryna dziesięcioletniego chłopczyka. Malec kaszlnął, przyglądził włosy i podreptał w stronę blasku bijącego od ognia, ominął matkę stękającą w potach, kiwnął głową w stronę babki i zbliżył się do długowłosego.

Tak, tatku.

- Leć no po Ryżą i po jej siostry, czas to już chyba - powiedział mężczyzna do syna i odrzucił na bok okrycie zszyte z zajęczych, wyprawionych na miękko, futerek. Teraz widać było, że zamiast nóg ma jeno kikuty obłożone skórą.

Chłopiec szybko wsunął drewniane chodaki, po czym przewiązał je sznurem. Na plecy narzucił kawał grubej opończy i uchylając derkę wiszącą u wejścia, wybiegł z chaty na zewnątrz.

Wraz i otuliły go ciemność i mróz zimowej nocy. Obłożone bielą dachy wyglądały jak kurhany, jakie jaśniejące na tle nieba. Jędrzyk zaczął posuwać się w stronę spalonej karczmy, obok której mieszkał stary diegciarz z żoną, ów który miał trzy córki, a każda męża straciła w czasie wyprawy halickiej, co na pomoc Węgrom lud okoliczny był zaciężon. Też samej, co i stary Wit w niej dzielnie stawał i nad brodem rzeczonym nieprzyjaciół wielu własną ręką położył.

Tak też i we wsi one były najlepiej zdatne, gdy się przyszło co do czego z jakim nowym rozwiązaniem żywotów kobieciny.

Najstarsza, Judyna, miała włosy koloru liści jesiennych, więc też na nią Ryża wołali, a nie z imienia.

Jędrzyk pewnym krokiem szedł przez wieś, znając na pamięć drogę od chaty do chaty. Minał niewielkie zabudowania głuchego Brona, potem prześlizgnął się wzdłuż opłotka jego

kumów i dalej jeszcze za jego dziadem, potem przeszedł koło chaty Ryjów, a że Ryje zawsze psy mieli złe, to i kołem szerszym ich ominął. Psy też i szczekały jakoś mocniej, już to po chatach, już to za nimi, a ich szczekanie szło daleko w mroźną ciemność pól i lasów. Coś to pewnie łąziło po gąszczach, jak często bywa zimową porą. Zwierz dziki łąsił się na to, co mogło bez opieki się pokazać, i nieraz bywało, że wilcy krowę czy owcę rozdrapali. A też i czasem jeszcze gorzej było, jak człowiek zginął bez śladu. Ot, młody był raz jeden, taki, co lubił śpiewać na polu i głos miał jak dziewczę. Dnia któregoś za chatę poszedł po drwa i już nie powrócił. Śladu nie zostało. Śnieg szybko przysypie.

Tak teraz Jędrzyk mały szedł przez wieś i truchlał. Patrzył za światłem, za tym, czy gdzie co nie jaśniej ze drzwi albo z okna, albo czy się jakaś okiennica nie uchyli. Żałował, że czego nie wziął ze sobą. Mógł żagiew z paleniska albo kija, albo nawet siekiere, chociaż z siekiery to pewnie by się bracia uśmiali, że tchórzem podszyt. Aleć matka była w połogu, to i dom cały stanął na głowie, a i on przy wyjściu nie pomyślał. Teraz więc, gdy psy jeszcze mocniej zaszczekały i gdy przez chwilę mu się zdawało, że gdzieś wilczy skowyt usłyszał, to jeszcze go odwaga mocniej odeszła. Skulił się bardziej, opończę naciągnął i bliżej opłotka przysunął. Jeno dwie zagrody do Ryżej mu się ostały. Nie lubił tam chodzić, bo dziegiecie mieszkali kole tej gospody, co się pod koniec tamtego lata spaliła, jak ów wozizioło we wsi był. Niewiele z niej zostało, gdyż jak spłonęła, to drzewo, co jeszcze za bardzo nie zwęglone było, poszło na opał, a reszta sterczała w niebo jak ciemne, smutne cmentarzysko. Gdy się blisko szło, to czuć było swąd spalenizny, aż dreszcze po plecach przelatowały. Jędrzyk człapał coraz mniej pewnym krokiem przy opłotku Bodziwojów i w końcu z ogrodzenia kija jednego wyszarpał dla obrony, jakby go co z ciemności opadło. Już blisko było do Ryżej, nawet blask pomarańczowy od okna zobaczył, więc i kroku przyspieszył. Kij ścisnął mocno w ręce.

Za chatą dziegciów plac był przed gospodą i widać było za nim, na tle śnieżnej bieli, czarne kikuty pali, wsporników i pozostałości belek.

Nagle coś jakby przemknęło między nimi. Chłopiec przystanął, a serce zaczęło mu tak bić pod opończę, że myślał, iż mu wyskoczy. Mocno kij ścisnął i zrobił dwa kroki dalej. Znowu coś, jak cień wielki, przemknęło w spalonej gospodzie. Jędrzyk ślinę łyknął, a oddech mu zaczął świzzczeć ze trwogi. Biec? Biec jak szalony czy przy płotku się skulić?

Znowu ruch jakiś w pogorzeliisku. Wielki, ciemny cień się jakby tam poruszył. Chłopiec cały wbił się oczami w ten mrok, by go przeniknąć, by dojrzeć. Zaliż dybuk?

Zaliż? Ręce drzeć mu zaczęły na kiju, a zacisnął dłonie tak, że aż kostki mu pobiełały. Rzucił się nagle biegiem w stronę chaty Ryżej. Nie czuł zimna i mrozu, a para zaczęła mu

buchać z ust, jak u konia, co go wataha wilków opadła w lesie. Coraz większe już było okienko ze świetlistą szparą, coraz bliżej było chaty, coraz bliżej wybawienia, gdy nagle światełko w oknie zgasło. Jędrzyk zatrzymał się jak wryty.

Na śniegu przed nim położył się cień. Długi, ciemny, barczysty.

Chłopiec przez chwilę mrugał oczami, jakby nie dowierzał temu, co widzi. Kilka metrów przed nim, na drodze do chaty stał potwornej wielkości dybuk.

Olbrzymia, czarna postać całkiem zasłoniła blask idący od okna w chacie i zdawała się być tak smołowata, jakby zrodziła się z węgla spalonej gospody. Jędrzykowi ugięły się nogi. Patrzył i mrugał, nie wierząc własnym oczom.

Diabeł nie miał twarzy, ze łba jego sterczały potężne rogi, a ciało miał porośnięte futrem, co widać było bardzo wyraźnie, gdyż go podświetliło światło od okna.

Chłopiec uniósł kij, żeby się bronić, ale ta wążła broń wydawała się tak śmieszna w porównaniu z potworną masą sterczącą przed nim, że zacisnął powieki i wyciągnął po prostu oręż przed siebie, jakby chciał rzucić zaklęcie. Po chwili otworzył oczy, z nadzieją, że potwora nie będzie, że to tylko senna mara.

Dybuk był tuż przed nim. Złapał go za włosy.

*

Wszystko się potoczyło jak we śnie. W tym śnie nieszczęsnym, co nawiedzał Wita i spać mu nie dawał już od lat. Chociaż był to mąż nie byle jakiej odwagi - znany we wsi z dzielności, mądrości i pewnego osądu - to gdy ten koszmar przychodził, budził się w środku nocy jak dziecko, z jękiem, skowytem, płaczem prawie, i siadał, starając się złapać oddech. Żona go tuliła wtedy, szeptała mu w ucho, gładziła po siwych, długich włosach, żeby przegonić lęki.

- Cóż to, cóż to ci się śniło, kochany? - pytała, sama zdjęta trwogą, którą starała się ukryć pod uspokajającym uśmiechem.

On dyszał, ścierał pot z czoła i odpowiadał chrapliwie:

- Przyszedł, takóŜ znowu przyszedł.

- Kto przyszedł? - On.

- Kto? Powiedz, kto?

- Ten sam, co przychodzi.

- Kto zacz? Znasz go?

- Nie. Tu go nie znam. Nie w tym świecie. W tamtym może... Może go znam. Nie pamiętam.

- Jak wygląda?

- Nie chcesz wiedzieć.

- Powiedz. Ja zwyczajna strasznych opowieści.

I Wit jej opisywał tę zjawę z koszmarów, wysoką jak niedźwiedź, co staje na dwóch łapach, by zaatakować, ciemną jak dybuk zrodzony z bagien, z rogami na łbie i wilczą skórą zarzuconą na plecy. Opowiadał, że nigdy nie może dojrzeć twarzy tego wojownika, a kiedy chwyta za miecz, wtedy...

- Tedy co? - pytała w napięciu kobieta.

- Nic - odpowiadał ponuro Wit.

Patrzył jej przez chwilę smutno w oczy i kończył. - Tego już naprawdę nie chcesz wiedzieć. Nawet jakieś opowieści zwyczajna.

- Może to jakiś taki sen, co ci przychodzi po tej bitwie nad rzeką, możeś tam widział takiego? - ona pytała, dotykając jego twarzy z matczyną czułością.

Ale Wit zaprzeczał. Na wyprawie halickiej to on miał do czynienia z ludźmi z tej ziemi: z Rusinami, Węgrami i Połowcami, a ten potwór, co mu się śnił, nie był z tego świata.

*

Toteż kiedy onej nocy w drzwiach stanęła ciemna, zwałista postać z rogami sterczącymi z hełmu, Wit zamarł, jakby zmroził go wichur wpuuszczony do wnętrza izby przez rozdartą mieczem zasłonę.

Babka splunęła, chcąc złe odegnąć, a białogłowa ciężarna złapała rękami za brzuch, gotowy do rozwiązania, żeby ochronić go od złego.

Wojownik stał w progu, w jednej ręce trzymając miecz, a drugą ściskając za włosy Jędrzyka, który wił się z bólu pod jego wielką łapą.

Wiało zimnem z dworu, kaganki przygasły i płomień na głównym palenisku przygiął się ku ziemi, a potem zaczął płożyć się na różne strony. Wszyscy w chacie utkwili wzrok w przybyszu i nikt drgnąć nie śmiał, jakby sam widok intruza zamienił ich w figury lodowe.

Ten stał w wejściu, dalej nie postępował, a z jego nozdrzy para buchała jak u dzikiego zwierza, w nocnej ostoi przed szarżą na łowcę.

Spod derki leżącej na posłaniu dobiegł nagle warkot i jak z procy wyskoczył z niej mały pies z ciemnym, zakręconym ogonkiem i białą łatką między oczami. Rzucił się w stronę obcego, ujadając zaciekle.

Jedno szybkie jak błyskawica cięcie miecza urwało psi jazgot. Krew bluznęła z tułowia pozbawionego głowy, a ciszę rozdarł przeraźliwy wrzask dzieci.

- Lugnande medlen! - wrzasnął nagle obcy. Jego silny, metaliczny, chropawy głos wbił się do wnętrza izby i przyszpilił ludzi do miejsc, gasząc płacz jak podmuch lodowatego wichru.

- Lugnande medlen! - powtórzył wojownik i zrobił pół kroku w przód, wypychając przed siebie jęczącego Jędrzyka.

- Flack! - ryknął i przyłożył miecz do szyi chłopca. Ciężarna zaczęła płakać i kręcić głową, a Wit sięgnął ręką pod dziczą skórę, żeby wyszarpnąć miecz, ale skamieniał, patrząc na zjawę ze swojego snu. Żona spojrzała na niego i w jej oczach pojawiło się szaleństwo, jakby zrozumiała, że właśnie spełnia się wieloletni senny koszmar, dźwignęła się, łapiąc jedną ręką za słup podtrzymujący powałę i uklękła, łapiąc oddech.

Wojownik wszedł jeszcze głębiej do chaty i teraz na jego twarz padło światło od ogniska.

Zimne, stalowe oczy były osadzone w pooranej bruzdami twarzy, obrośniętej krzaczastą brodą jak skała kosodrzewiną. Hełm z bawolimi rogami sterczącymi z boków nadawał mu wygląd demona. Gdy dzieci w głębi izby zobaczyły go dokładniej, zaczęły znowu płakać.

Uciszył je jednym warknięciem i potrząsnął Jędrzykiem trzymanym w łapie jak workiem z ulęgałkami.

- Svamla! Svamla flack! - z gardzieli mężczyzny wydobył się kolejny ryk.

- Ostaw nas, ostaw! Czego chcesz? - wrzasnęła kobieta i skrzywiła się, jej ciało przeszył silny ból. Zaczęły się mocne skurcze porodowe. Dyszała na kolanach, podtrzymując rękami brzuch.

- Ostaw nas. Czego chcesz?

Rogaty woj rzucił przed siebie dzieciaka i przygniótł go stopą do ziemi, a potem wymierzył ostrze w żonę Wita.

- Spotta den ute kvinna!

- Jak gadasz, no jak? Po ludzku rzeknij - jęczała kobieta.

W tej chwili ruszył się Wit i spod skóry wyciągnął miecz. Uniósł się na drugiej ręce i zamierzył, żeby nim cisnąć, ale wojownik stojący w środku izby był szybszy. Uderzył metal o metal - i żelazo, które towarzyszyło Witowi w tylu dalekich wyprawach, poleciało szerokim łukiem w kąt izby.

Rogaty stwór działał instynktownie jak zwierzę - zaatakowany, natychmiast sam odpowiadał zabójczą szarżą.

Kiedy uzbrojone ramię zatoczyło półkole po pierwszym ciosie, od razu, wiedzione tysięcznymi ćwiczeniami, przeszło w kolejne, poziome cięcie. Wymierzone wprost w szyję Wita.

*

Bardzo długo leciał miecz w stronę szyi długowłosego mężczyzny. Tak długo, że w trakcie tego lotu, pomiędzy chwilą, gdy ten zrozumiał, że zaraz umrze, a momentem, kiedy ostrze zagłębiło się w ciele, w jego głowie pojawiły się przebliski wspomnień, dziwacznych, wcale nie uroczystych, ułożonych w chaotyczny kondukt obrazów. Parująca kasza na palcu, sierść mokrego psa, który pływał w rzece i położył się na trawie, by wyschnąć, cień rzucony przez liście wielkiego dębu, mrówka chodząca po kłykcium i mały drewniany konik, którego wystrugał mu tego lata ojciec, kiedy większość ludzi z ich wsi została zabita przez zarazę.

Poczuł zapach poziomek. Zdawało mu się, że schyla się po jedną w lesie, że odchyła krzaczek jagód, żeby dostać ręką do ukrytego czerwonego, malutkiego owocu. A kawałek dalej klęczy na mchu kobieta, którą pokochał. Zgarnia z twarzy pajęczynę i uśmiecha się do niego.

Teraz spojrzał na nią, spoconą, zmęczoną, przerażoną, widział, że ona rozumie, iż właśnie spełnia się jego koszmarny sen.

Mrugnął do niej, żeby dać znać, iż kiedyś jeszcze się spotkają. I będą jeść poziomki w niebie. Ale nie zdążył się uśmiechnąć. Miecz przybysza z piekieł wysłał go do czyśćca.

*

- Daj, dlaboga, cóżeś uczynił, cóż, czegośmy ci winni, diable, czegoś? Czegóż, gadaj, krew jego przelał, czegoś? Precz idź, precz, niech cię bagno gorące pochłonie na wieki, niech płomień zeżre, niech ostatnią chwilę życia zatruje ci ból trzewi. Przeklęty duchu! Trąd, trąd na ciebie i twe potomstwo!

Starucha rzuciła się na niego i biła pięściami. Dzieci umilkły, zebrały się w kupkę jak kurczęta patrzące na lisa.

Wojownik uderzył babinę na odlew, tak że poleciała na klepisko, wypluwając ostatniego zęba. Padła obok głowy Wita. Z jego oberżniętego długowłosego łba i z tułowia tryskała ciągle krew, tworząc ciemną kałużę pośrodku izby, zupełnie jakby był wieprzem zabitym na świniobicium.

Obcy stał pośrodku tej jatki i oparł nogę na dogorywającym, trzęsącym się jeszcze od śmiertelnych skurczów gospodarzu, a potem utkwiał wzrok w ciężarnej i pociągnął za włosy Jędrzyka.

Chłopiec dychał szybko jak po biegu, mrugał oczami, ale twarz miał kamienną, nie płaczącą, jakby teraz były jego prawdziwe postrzyżyny - jakby właśnie stawał się mężczyzną.

Ciężarna jęczała coraz bardziej, najwyraźniej zaczęły się skurcze, przyspieszone wydarzeniami. Osunęła się na ziemię, zaczęła płakać i skamleć.

Wojownik kopnął odciętą głowę Wita i przyłożył miecz na powrót do szyi chłopca.

- Svamla flack! Chopc! Chopec!

- Chłopiec, tak, nasz chłopiec, nasz, oszczędź go, błagam! Proszę, nie zabijaj, zrobimy, co zechcesz! Jędrzyk, nie bój się!

Patrzyła na mordercę męża i wiała się z bólu.

- Błagam cię, człowieku z piekła, zostaw nas i chłopca. Zostaw!

Twarz miała tak mokrą od potu i łez, jakby właśnie wyszła z kąpieli.

Jędrzyk szarpnął się, próbując złapać za rękę oprawcy, ale ten był zbyt silny. Chwytał mocniej za włosy malca.

- Svamla flack! Chopec!

- Nasz chłopiec, nasz, on nic nie winowat, nic. On tylko po babki leciał, do połogu leciał. On chłopiec.

Wojownik wsadził miecz do pochwy i pociągnął Jędrzyka za głowę. W głębi izby rozległ się przeszywający krzyk przerażonej dziewczynki, ale zgasł szybko, jak płomień, pod ostrym spojrzeniem okrutnego brodacza.

Mężczyzna złapał chłopca za szczękę i pociągnął w dół, żeby ją rozdziawić. Jędrzyk zaczął się szarpać, oczy zrobiły mu się szerokie z przerażenia.

- Zostaw go! - wrzasnęła matka, próbując doczołgać się w stronę syna, ale wojownik ryknął na nią i natychmiast cofnęła się do paleniska.

Mężczyzna mocno uchwycił twarz chłopca i mimo jego oporu zaczął rozwierać mu szczęki - zupełnie tak, jak to się robi z nieznośnym szczeniakiem, który ucapił za patyk i nie chce za nic w świecie go puścić.

Wepchnął palce z boków, w mięśnie przy zuchwie, i wtedy nagle chłopak go ugryzł w dłoń, z całej siły wpijając się w skórzaną rękawicę. Wojownik wrzasnął. Ale nie puścił malca, tylko przyłożył mu w skroń tak silnie, że chłopiec prawie zemdlął.

- Gada! Chopca! Ty!

- Co on ma rzec, co, on nic nie wie, dziecko jeno! Puszczaj go, łotrze!

- Gada ty! Chopca! Stum! Stum! Stum!

- Stum? Co jest stum po naszymu?

- Stum!

- Nie po naszymu to! Puść go, błagam, puść, on nie winien niczemu, niczemu...

- Stum chopca, gadaj ty!

Kobieta zaczęła jęczeć coraz bardziej i przymykać oczy, położyła ręce na brzuchu, jakby już na dobre miał zacząć się poród.

- Stum chopca! - wrzasnął wojownik, rozwarł usta Jędrzykowi i wyciągnął z nich język. Malec próbował się wyslizgnąć, ale mężczyzna chwycił jego język rękawicą bardzo silnie, ciągnął na wierzch i wrzeszczał.

- Stum! Stum!

- Ratujcie, bogi, ratujcie! - zaczęła wyc starucha przychodząca powoli do siebie.

Mężczyzna wyjął zza pasa nóż i przyłożył do dziecięcego języka. Chłopiec jęknął z przerażenia.

- Puść go! - wrzasnęła ciężarna, dźwignęła się z wysiłkiem i rzuciła w stronę obcego. Kopnął ją w piersi tak, że upadła obok ciała martwego męża, prosto w kałużę jego krwi. Uniosła się cała umazana, z szaleństwem w oczach. Wyjąc jak zwierzę, złapała za płonącą żagiew z paleniska i odwróciła się do wysłańca szatana. Wyglądała tak, że można było stracić wszelkie wyrozumienie i popaść w trwogę.

Włosy potargane wisiały z dwóch stron głowy, brzuch nadęty, szaty, twarz i ramiona całe we krwi, a oczy nie z tego świata, pełne złości, która już nie zna lęku przed nikim i przed niczym.

W takim to stanie można było rzucić się na niedźwiedzia z patykiem w rękę. A też i znane były wypadki, że ktoś doprowadzony do ostateczności, do tej granicy szaleństwa, za którą już nie ma lęku przed bólem czy śmiercią, atakował nagle przeciwnika o stokroć silniejszego. To szaleństwo, przydane stworzeniom ku obronie na wypadki szczególne, powodowało, że drapieżnik często odchodził zniechęcony postawą ofiary, jakiej nigdy by się nie spodziewał. Ot, choćby kuropatwa, co gdy na polu pies ją najdzie, biega i kluczy, i zmyka, odwieść chce niebezpieczeństwo od gniazda, lecz gdy już źle jest naprawdę i kundel w zagon idzie tak blisko, że zaraz jaja znajdzie, wtedy delikatny ptak, kierowany uderzeniem szalonej krwi, rzuca się na psa, jakby to on stawał się myśliwym, a wilczy pobratymiec jeno ofiarą: i nieraz bywało, że drapieżca czmychał jak niepyszny przed tym, co w innej chwili pożarłby bez ochyby.

Tak teraz ta kobieta, półrodząc prawie, stojąc na chwiejnych nogach, bezbronna wobec masy mięśni, żelaza i siły, trzymała w ręku płonące polano, gotowa rzucić się na wroga w obronie syna i zginąć.

- Skum! - ryknął woj i pogroził głową, przykładając nóż do chłopięcego języka.

Jędrzyk starał się nie ruszyć, żeby nie zranić się o ostrze, i przerażony patrzył na klingę, zezując.

- Zabiję cię... zabiję - z ust ciężarnej świszczał złowrogi szept.

- Stój, wiem, mateczko, stój! - spod powały, tam gdzie siano trzymano na zimę, wychynęła niewielka blond główka. Po belce zsunęła się drobna dziewczynka o cienkich, patykowatych nogach i rękach. Wyglądała, jakby była sklecona z żerdzi, do których ktoś doczepił na górze wiecheć słomy na postrach dla ptaków.

Podbiegła i zatrzymała się parę kroków przed olbrzymem.

- Stójcie, mateczko, ja wiem - rzuciła w stronę matki. Wojownik patrzył na nią badawczo.

Odgarnęła włosy z czoła, przełknęła ślinę i powiedziała cichutko:

- Skum, ja rozumiem, skum. Niemota. Chłopak niemota.

Pokazała ręką na język i wykonała taki ruch, jakby go odcięła.

- Niemota chłopiec, tak? Tego szukacie? Wojownik przypatrzył jej się przez przymrużone oczy i syknął.

- Jo, skum. Jo.

- Skum - niemota.

- Jo, skum. Nemota. Chopca - warknął, patrząc twardo na rodzącą kobietę, klnącą pod nosem staruchę, i na dziewczynkę.

- To ja wiem. Ja wiem. Chłopiec niemota tu był, u nas w wiosce. Był.

- Skum?

- Tak, skum.

Mężczyzna przez chwilę zbierał myśli.

- Gada ty! Nemota chopca! Gada!

Dziewczynka patrzyła na niego bez lęku, spokojnie, jakby prowadziła zwykłą pogawędkę z chłopem ze wsi, co wpadł po sąsiedzku.

- Mogę ci rzec, jak było.

- Gada ty!

- Ale puść Jędrzyka nasamprzód, a ja powiem.

- Gada ty! - ryknął potwór, naciskając mocniej nożem na język chłopca - skum!

- Nie - dziewczynka ze spokojem pokręciła głową - ty najpierw puść Jędrzyka!

Pokazała na migi, czego oczekuje, a potem założyła ręce, zamrugła i przyjęła wyczekującą postawę.

- Oby go dybuki w łajno przemieniły, oby smolił się przez wieki, a jeszcze coby Perun spalił mu serce, spalił na wylot - marniała starucha, zbierając się powoli z ziemi, kuląc jak zbity pies i odpełzając w stronę posłania. Ciało Wita przestało wypluwać krew.

Jego żona utraciła siły i opadła na ziemię. Woj zaśmiał się chrapliwie i powoli odjął nóż od języka chłopaka.

Jędrzyk natychmiast podbiegł do matki i przyłgął do niej.

Ona jednak traciła świadomość. Mówiła coś przez zęby, niezrozumiale, bełkocząc jak w gorączce, po umazanej krwią twarzy płynęły nowe strugi potu, a oczy zachodziły bielmem. Co i rusz wstrząsał nią atak silnych drgawek.

- Gada ty! Skum chopca! - mężczyzna zrobił dwa kroki w stronę dziewczynki, ale ta wcale się nie ulękła, zupełnie, jakby w chacie nie stało się to, co się stało, jakby nie leżały tam zwłoki jej ojca, a jej matka jakby nie traciła właśnie widzenia świata. Więcej, popatrzyła hardo w oczy oprawcy, unosząc trochę głowę, kiedy zbliżył się do niej.

- Gada! - warknął.

- Był tu chłopiec taki, niemota.

- Chopca nemota.

- Tak, był.

Mówiła, ilustrując wszystko wymownymi gestami, tak żeby tą mową porozumieć się z obcym.

- Taki chłopiec, o, jak Jędrzyk nasz. O, taki.

- Jo.

- Tak. Jo. Widzisz, ale dawno, dawno był.

- Skum?

- Niemota. Tak. Niemota. Znaczy: skum.

Góra mięsa, stali, wilczego futra, kutych pierścieni kolczugi, zmierzwionych włosów przemoczonych potem, skóry osmaganej setką wichrów, blizn, kości łamanych w pojedynkach, stała przed dziewczynką delikatną jak żerdka pod fasolą, lecz dziecko wydawało się nic a nic nie robić sobie z tej przewagi.

Córka Wita patrzyła w górę, prosto w oczy mordercy jej ojca, a w jej jasnych oczach nie było dziecięcego lęku, wstydu czy niepewności.

Nie było też zapiekłej, szalonej złości, jaka szumiała w głowie zemdlonej matki.

Był tylko chłodny spokój, jakby dziewczynka była duchem nie z tego świata, strzygą, o jakich gada się po wsiach, że wieczorami wychodzą z jezior, by ludzi samotnych wieść na manowce i zgubić w topieli, wabiąc miłosnym trelem.

Wojownik wyciągnął w jej stronę miecz, chcąc jej pogrozić, ale ona z wyższością, delikatnie, koniuszkiem palca odsunęła ostrze. Zupełnie jakby odsuwała gałązkę z ostreżyn, żeby przejść w lesie.

Mruknął coś po swojemu, tracąc rezon.

- Gada ty - powiedział zbity z tropu.

- Był tu chłopiec o włoskach takich, jak u mojego brata, jak u braciszka, jak u Jędrzysia, patrz, widzisz? O takich włoskach był.

- Jo.

- I nie gadał nic, bo... niemota był. Skum. Rozumiesz, skum. On nie miał języka...

Pokazała, że dzieciak nie miał języka.

- Annanstas?

Brodacz wykonał gest mający oznaczać kierunek.

- Gdzie jest? Nie wiem, tego nie wiem. Dziewczynka wzruszyła ramionami, a wojownik natychmiast uniósł miecz i zbliżył do jej twarzy.

- Nie wiem, panie, nie wiem. Był tu tamtego lata, był. Przy karczmie się bawiliśmy, tam spał, panie, tam...

Dziewczynka wskazała ręką w stronę spalonej gospody.

- Gde chopca nemota?

- Gdzie on teraz, panie?

- Jo, gde? Gada ty!

- Oj, panie, uszedł z nagłą. Jak był i przyszedł, skąd, to nie wiedzą, tak i poszedł, zniknął, panie. Z tym...

- Jadwisia, nie gadaj nic, nic nie pomagaj, to morderca... - dał się słyszeć słaby głos kobiety. Ciężarna zapłakała gorzko i chwyciła się z grymasem za brzuch.

- Ledwie dycha, babek trza wołać, babek! - z posłania dobiegł skrzekliwy głos staruchy.

Jadwisia spojrzała w stronę matki i podbiegła do niej przerażona.

- Matuś, co ci... Wody ci?

- Leć po babki, leć... - nawoływała starucha. Mężczyzna chwycił dziewczynkę za włosy i odciągnął od matki.

- Puszczaj! - wrzasnęła.

- Gde chopca, gadaj ty!

- Odjechał, odjechał, znikł, jak był ten od łańcuchów, ten cały, o ten...

Jagusia chwyciła leżący kawał powroza, zacisnęła sobie na patykowatym ciałku, aż zaczęła krzyczeć:

- Ja jestem Jeruzalem, ja Jeruzalem, patrzcie, jak zerwę ten łańcuch, patrzcie... Ja jestem ten, co pochodzi z miasta o białych ścianach, a kogo chcę, tego mogę czarem zabić i zamienić w zwierzę!

Napięła się i udała, że rozrywa sznur.

- Jeruzalem był! Na wozie! Nieszczęście na nas ściągnął! Karczme i karczmarza podpalił! I pojechał. A chłopiec z nim! Na wozie.

Zacząła na migi opowiadać historię wędrownego kuglarza, a jednocześnie nerwowo zerkała na matkę. Kobieta słabła coraz bardziej.

Dziewczynka przerażona zaczęła skakać wokół brodacza.

- I bydłatko miał malutkie, z chwostem długim, a cudaczne, że ho, ho. Ludzką miało, panie, głowę i ludzkie ciało, a sierść wszytką, wszytką na ciele.

Zamieniła się w małpkę i zaczęła skrzeczeć, wykonując małpie podskoki.

Nagle złapała za niewielką motyczkę do kopania warzyw w ogrodzie i ile tylko znalazła siły w patykowatych rączkach, wbiła ją w stopę wojownika. Ten zawył i zamachnął się natychmiast mieczem.

Jadwisia jednak spodziewała się tego, więc natychmiast po uderzeniu przyklęła, a następnie skoczyła jak wystrzelona z łuku i poleciała na zasłonę wiszącą w drzwiach. Odgarnęła ją jednym ruchem i zniknęła w mroźnej nocnej przestrzeni. Wojownik, rycząc, wybiegł za nią.

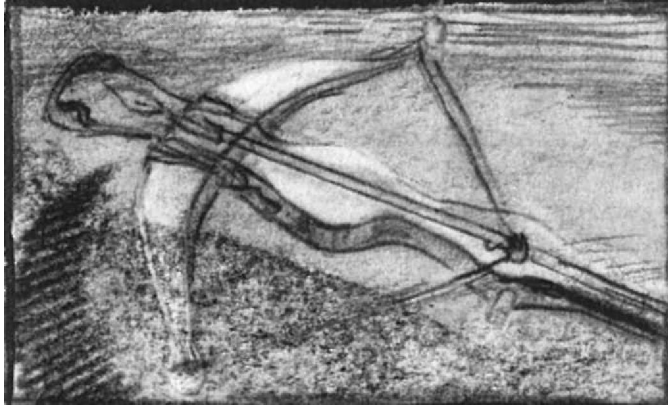
Stanął za progiem dysząc z wściekłości. Dziewczynka zniknęła, jakby rozplynęła się w powietrzu.

Mężczyzna przeszedł dwa kroki tam i z powrotem, patrzył na śnieg, żeby ślady wytropić, ale ścieżka przy domu była zbyt wydeptana, by co dojrzeć.

Rozejrzał się jak wściekły, raniony tur, gdy pierwszy oszczep nie zbije go z nóg, a jedynie rozdrażni.

We wsi słychać było szalone szczekanie psów. W głębi, między domostwami uderzył w nocną ciszę nagły krzyk dziewczynki. Jagusia biegła i krzyczała, ile sił w płucach.

- Luuuuudzieeeee!!! Tatkę zabili!!! Luuuuudzieeeee!!! Wit zabity!!! Matulkę ratujcieeeee!!! Ludzie!!!



ROZDZIAŁ II

MAJ 1238

Książę Henryk rękę miał hojną, bardzo hojną, i z tych dwóch wypraw, w których moje stare oczy jeszcze mu służyły, wróciłem z pełnym trzosem.

Wierście mi, brzęczał on tak pięknie dla mojego ucha, że stałem się głuchy na wszelkie inne dźwięki. I nie mówię tylko o piszczałce czy lutni, ale też i o wszystkim, co do mnie, gada, szczebioce, gdacze, kwili, kłaska, wyje, terkoce i puka. Nie dziwcie się starcowi, ale i wy, gdybyście noc w noc brzęczeli sobie nad uchem workiem pełnym książęcych monet, to stracilibyście słuch do reszty, co stało się i moim udziałem. Tak więc, pamiętajcie, Wulfstan swoje wie, ścieżynę każdą zna, lecz głuchy jest jak pień - i jeśli kto chce do mnie co rzec, musi się zabrać jak do pnia, sposobem dziecięcia, czyli stukając.

To powiedziawszy, starzec ziewnął i zaczął dotykać palcem spróchniałe zęby.

- Panie, czy karzeł głuchy byłby dla cię mniej przyjemny? - Karlito patrzył na Wulfstana maślanymi oczami i przeniósł ten wzrok rozmarzony na rycerza.

- Czemu pytasz, niewydarzony garbie? - Dragięło niewielką, naoliwioną szmatką czyścił swój miecz z rdzawych nacieków, powstałych w czasie długich, zimowych miesięcy bezczynności.

- A nic, nic.

- Jakże - nic? Znam cię, łotrze, dobrze! Co knujesz, karle?

- Nic, panie, nic.

Dragięło od niechcenia pacnął garbusa szmatą w potylicę.

- Za co, panie?

- Za co, to się zawsze znajdzie. Co knujesz, gadaj!

- Ech, bo to, mój panie najwspanialszy, mój panie najcudniejszy, tak mi chodzi po głowie myśl, że jak już mam garb, to mógłbym i głuchym zostać.

- Głuchym?

- No, głuchym, jak ten Wulfstan.

- A na cóż ci głuchota?

- To nie słyszałeś, panie, co ten staruch właśnie rzekł? Od czego on słuch wytracił? Od słuchania brzęku srebrnych monet książęcych. I widzisz, jak on się dobrze miewa?!

Dragiełło westchnął i spojrzął na starca, który jęcząc, dłużył sobie w dziurawym zębie. Pokazał go karłu skinieniem głowy.

- A zęby bolące też chcesz?

- Zęby bolące? - skrzywił się Karlito.

- No, zęby, zęby.

- A cóż zęby mają do tego?

- Do głuchoty? Wiele mają - z tajemniczym uśmiechem wyjaśniał rycerz.

- Zęby z głuchotą? Jakże to, panie?

- Po zwykłości.

- Po jakiej zwykłości? Pierwszy to raz bym słyszał, że od moneciej głuchoty zęby parszywieją.

Wulfstan zaczął z bolesnym grymasem przedmuchiwać sobie zęb chłodnym powietrzem zasysanym ze świstem.

- Trzymaj i dalej smaruj, tak jak ci pokazałem - Dragiełło wręczył karłu miecz i szmatkę, a miseczkę z oliwą przesunął na ławie w jego stronę - Widzisz? Gdzie rdza, tam mocniej dociśnij, szoruj chwilę z uwagą, a spokojnie, to zejdzie.

Karlito z wielką niechęcią i głośnym sapaniem, oznaczającym krańcową niewygodę złapał za miecz swojego pana i zaczął bardzo powoli go czyścić.

- Tak? - zapytał z miną niewiniątka.

- Mocniej, tak jak ci pokazałem.

- Ale słaby.

- Tyś słaby na szmatkę?

- Toć słaby. Kto to widział, żeby giermek wielkiego rycerza, obrońcy wdów i uciśnionych, smarował miecz dziegiem albo innym łajnem. Nie przystoi, panie, nie przystoi.

- Ja ci dam, nie przystoi.

Rycerz pstryknął palcami w ucho karła, aż ten krzyknął z bólu.

- Za co?

- Za monecią głuchotę.

Karlito zmarszczył brwi, obrażony, i przez chwilę w milczeniu smarował miecz.

Rycerz wystawił czoło i nos do majowego słońca, opierając się o ścianę chaty.

Wulfstan tymczasem w cieniu lipy dokonywał dalszych operacji na bolącym zębie, stukając w niego długim, szponiastym paznokciem.

- Panie? - zapytał nagle garbus, odrywając się na chwilę od czyszczonego żelastwa.

- Cóż? - odparł Dragiełło, nie otwierając oczu i celując siwą bródką w błękitne niebo.

- Z tymi zębami - to już nie wiem, co mam myśleć. Nie rób sobie żartów z karła, panie, już dość los go doświadczył. Nie dość, że Bóg wzrostu poskapił, to jeszcze garb przydał. Garb zaś większy od tego, co odjęte, czyli wzrostu - toć i nie ma równowagi.

- Jest. Bóg ci ujął rozumu, poczwaro, to jest równowaga.

- Poczwaro, poczwaro... Ot, los. Ale, rzeknij, panie, jak to z tymi zębami?

- To łatwe do wyrozumienia.

- A więc?

- Od słuchania monet, co Wulfstan ci przedłożył, idzie głuchota. To wiadome...

- Wiadome, właśnie... To dlatego, gdym zebrał u wrót tynieckiego klasztoru, jak co bogatszy wchodził, to za nic próśb moich o wsparcie nie słyszał.

- Nie mógł słyszeć.

- Ot, co - nie mógł słyszeć. Słuch tracił od potrząsania po nocach swoim trzosem.

- Właśnie.

- I cóż dalej? Bo tak mi ciągle po głowie chodzi, że ta głuchota monecia to wcale nie jest taka zła.

Karzeł przestał smarować miecz, przymknął oczy i wystawił swoją kaprawą twarz do słońca, tak jak to zrobił jego pan, rycerz Dragiełło.

- Dalej jest kwestia przełożenia...

Rycerz zerknął spod przymrużonego oka na swojego sługę.

- Karle, do roboty. Karzeł jednak ani drgnął.

- Garbie, bierz się za czyszczenie, albo nic ci o głuchocie nie wyjaśnię.

Karlito nie reagował, uśmiechał się, kierując głowę w stronę słonecznej tarczy. I milczał.

- Karlito!

Dragiełło uniósł się, całkiem otwierając oczy.

- Karlito! Do roboty!

Garbus zdawał się nic nie słyszeć. Prażył policzki w ciepłych promieniach.

- Karlito! - zdenerwował się w końcu Dragiełło i przyłożył pachołkowi w ucho, aż po całym podwórku poniosło się kłaśnięcie. Nawet Wulfstan na chwilę przerwał dłubanie w bolącym zębie, najwyraźniej coś jednak usłyszawszy.

- Za co, panie? - płaczliwie wykrzyknął karzeł, trzepocząc rzęsami, jakby ktoś go z wody wyciągnął.

- Cóż z tobą? Gadam do ciebie, a ty nic!

- Bo, panie, chciałem choć przez chwilę sprawdzić, jak to jest mieć tę monecią głuchotę.

- I jak jest?

- Och, pięknie, pięknie. Tylko koniec gorszy. Dragiełło zaśmiał się na cały głos i pogładził po brodzie. Garbus spojrział na Wulfstana i dodał:

- Te zęby od głuchoty, to nie jest dobra rzecz. Ale, w końcu, jak to jest, panie?

- Daj spokojnie skończyć, to wyjaśnię.

- Już słucham.

- Od trzęsienia monet, karle, spływa ogłuchnięcie na ucho. Czasem całkowite, czasem mniejsze.

- Piękne...

- Im więcej trzęsie się worem, im monet więcej, tym i głuchota większa.

- Cudownie.

- Ale - tu Dragiełło na chwilę zawiesił głos - monecia ta głuchota przerzuca się niestety na głowę całą.

- Głowę całą!

- Juści. Całą. Głuchota przemienia się w głupotę. Monecia głupota zaś, uważaj karle, całkiem się objawia w bolących zębach.

- W bolących zębach - karzeł się zafrasował.

- Choć i na to jest sposób.

- Och, jaki, powiedz, panie, jaki?

- Wyrwać wszystkie zęby - i po kłopotcie. Karzeł zasepił się i zaczął nacierać szmatką miecz.

W tej chwili z chaty wyszedł Jeruzalem. Przez lewe ramię miał przewiązany szeroki pas materiału, usztywniający bark i chroniący ranę przed zabrudzeniem. Szalbierz zmrużył oczy od słońca i splunął na piach.

- Już byście przestali z tym pluciem - powiedział rycerz, patrząc na niego z niesmakiem.

- O tak, tak. Ludzie gadają, że ten Jeruzalem to tylko pluje - dorzucił karzeł, ale szybko skulił się pod pogardliwym spojrzeniem Tatara.

- I cóż? - prychnął Szalbierz z lekceważącym uśmiechem - taka moja natura.

- Jak u Plwacza.

- U kogo?

Jeruzalem przysiadł się na ławę i pomacał gojące się miejsce.

- U Odonica. Jego to zwą Plwaczem, bo pluje co chwila, gdzie popadnie, jak wy.

- Władysława?

- Tegoż. Ale... Jak tam wasza ręka? Boli dalej?

- Boleć - trochę boli. Ale przejdzie. Maścią smaruję.

- I dobrze.

Chwilę siedzieli, patrząc na zmagania starego Wulfstana z zębem. Starzec pomachał im na znak, że przez chwilę musi mieć spokój, ale jak upora się z uciążliwością, to bliżej podejdzie. Szalbierz uśmiechnął się i także wystawił twarz do słońca. Spokój rozlewał się po całym podwórku, lechtał ich po stopach, rozleniwiał majowym słońcem, szelestem drzew i dalekim kukaniem kukułki w jodłowym borze.

W końcu Dragiełło pomacał się po brodzie i rzekł:

- Już dawno być powinni.

- Już dawno - potwierdził Szalbierz.

- Od zimy sporo dni minęło, a ich nie ma i nie ma.

- Nie ma.

- Jak mieli odjeżdżać, nos mnie swędział. A jak nos rycerza swędzi, niezawodny to znak, że los gotuje jakąś niespodziankę.

- Co też gadacie - zachnął się Jeruzalem - przecież pojechał Wilczek pod opieką. Lepszych wojowników jak Duchy ciężko znaleźć, a ci uznali go za swego, a nawet jak za jakiego następcę tronu...

- Macie rację, Szalbierzu - mówił Dragiełło, drapiąc się po czubku wieszczego nosa - i Dobrosława wzięli jako tłumacza. Z Ignasiowego machania łapami na nasze. Albo na łacinę, kto ich tam wie.

- Racja rycerzu. Toć lepszego spryciarza w habicie nie znajdzie w żadnym z polskich księstw.

Przez chwilę siedzieli, milcząc i patrząc na Wulfstana męczącego się z zębem.

Starzec w końcu zaprzestał swych nerwowych czynności i postanowił poczekać, aż ból przejdzie sam. Oparł się plecami o pień lipy i przymknął oczy.

Karlito odłożył na bok Zedrzykaptura razem z naoliwioną szmatką. Pokuśtykał w stronę starca. Stanął przed nim, wziął się pod boki i dość głośno powiedział:

- Wybaczcie, człowieku...

Wulfstan ani drgnął. Garbus odchrząknął i obejrzał się w stronę Szalbierza i Dragiełły, siedzących na ławie z tajemniczymi minami.

- Czcigodny panie! - powiedział jeszcze głośniejszym głosem. Znowu nic. Starzec zdawał się drzemać, kojony szumem lipy i cieniem rzucanym przez jej liście.

- Wulfstanie! To ja, Karlito, tyniecki karzeł!

Niestety i teraz nie było efektu. Tak też i Karlito pokręcił głową, podszedł jeszcze bliżej i szarpnął starca za rękaw.

- To ja, panie, Karlito! Wulfstan otworzył oczy.

- Czego mnie szarpiesz, karle?

- Bo nic nie słyszycie, jak wołam! - wrzasnął garbus.

- To stukać trzeba jak dzieciół w pień, rzekłem wam!

- Tak i stukam!

- Czego chcesz?

- Od bólu was uwolnić.

- Od bólu?

- Od tego, co w zębach macie.

- Jak to - maść jaką przynieśliście? - tu Wulfstan spojrzał w stronę Szalbierza.

- Mądry z was człowiek, to wiedzieć musicie, że diabelskie to mamidła, te maści od bólu, jak i proszki na świąd albo korzenie na wznios męskiej podłości w chwilach słabości. Ja wam prawdziwe uwolnienie niosę - klarował karzeł z pewnością siebie w głosie.

- Jakie to?

Karlito rozejrzał się po podwórku, założył ręce z miną kasztelana wizytującego grodzisko i zaczął wyjaśniać pełnym głosem.

- Wasz kłopot bierze się, mój panie, ze słuchania monet, które chowacie w trzosiku.

Wulfstan zaśmiał się.

- Masz rację, karle, uważnie słuchałeś.

- Z tej moneciej głuchoty rodzi się, panie, twa głupota. Ona w głowie ci siedzi i gnije jak stare mięso. Jak zgnije, jady zaczyna wydzielać, które szkodliwe są dla otoczenia, gdy przez usta wyjdą i zjadliwym słowem innych bodą, a też i dla ciebie samego. Te jady płynące z głupoty twojej spływają do zębów. Dlatego one gniją i cię bolą, panie, zaufaj karłu, bo wie, co gada.

- Cóż mam zrobić, garbusie? - śmiejąc się starczym, skrzekliwym chichotem, pytał białowłosa Wulfstan.

- Karlito was, panie, od męki uwolni przez zabranie przyczyny.

- Czyli?

- Czyli tego, co powoduje głuchotę...

- Czyli trzosika z monetami...

- Ot, widać, że głupota całkiem wam jeszcze mózgu nie zeżarła, resztki mądrości zostały...

Wulfstan zaczął się śmiać głośno. I nagle trzepnął karła w ucho.

- Posłuchaj mojej ręki, może z niej głuchota też wynidzie. Bo głupota już u ciebie jest!

Karlito jęknął, zatoczył się i z płaczem oddalił się w krzaki, coś tam po cichu pomstując. Dragiełło wstał i nagle spowaźniał.

- Nie ruszajcie, go Wulfstanie! - powiedział mocnym głosem.

- Toć głupek! - odparł, śmiejąc się, Wulfstan.

- Głupek nie głupek, on jest rycerskim giermkim. I co insze, gdy mu jego pan w ucho przyłoży, a co insze, gdy obcy go bije. Nie wam prawo karać mego sługę. Wiedźcie też, starcze zgniłozęby, że jam jest Dragiełło herbu Kraplan, rycerz księcia Henryka, a także księcia Bolesława i matki jego Grzymisławy, obrońca słabych i uciśnionych istot tego padolu, *omnium primum vir dei*, z nadania księżnej Jadwigi, błogosławionej nam wszystkim pani nieskalanej, a także pogromca smoków i wszelkich gadzin, wnuk w prostej linii świętego Jerzego i człowiek rycerskiego stanu, a duszy czystej!

Rycerz, mówiąc, wstał i przybrał dumną pozę, by znać było, że się ma do czynienia z człowiekiem krwi szlacheckiej, a nie chamem zwykłym.

Na to Wulfstan patrzył przez chwilę, kiwając głową z zadumą, a z jego ust zniknął uśmiech. Starzec kaszlnął i rzekł.

- Wybaczcie, czcigodny rycerzu, alem głuchy całkiem od brzęku monet książęcych. Mowę waszą podziwiałem z gestu i układu, tylkom nic nie usłyszał. Zechciejcie powtórzyć, jeśli łaska.

Jeruzalem prychnął śmiechem i zaraz urwał zgaszony oburzonym spojrzeniem Dragiełły. Rycerz podszedł bliżej Wulfstana i przedstawił się jeszcze raz.

- A o którego to księcia Henryka wam chodzi, co gadacie, żeście jego wiernym rycerzem? - spytał starzec, wysłuchawszy całej przemowy.

- Jakże to? - zachnął się Dragiełło - Najsprawiedliwszego. Księcia śląskiego. Tego, co mówią o nim Barbatuś, co po łacinie znaczy Brodaty. Zaiste, święty to mąż, zważcie, że i z

niewiastą za życia już świętą związany, z księżną Jadwigą, której hołd rycerski składałem w samej Trzebnicy, do sług się zobowiązując. Ona zaś, wiecie, starcze, choć mitrą księżęcą mogłaby się honorować, jak mniszka uboga w klasztorze czas na modlitwie spędza, a mnie, pogromcy smoków, nogi obmyła...

- Nogi wam obmyła? Księżna? - wtrącił z tyłu Jeruzalem i splunął, kręcąc z niedowierzaniem głową.

- Obmyła. I nie za zasługi, lecz z religijnego poczucia, jak mnie i innym osobom. Zaś z księciem Henrykiem, mężem jej czcigodnym, los nas powiązał, gdym w Gąsawie był wraz z Peregrynem...

- Toć wam żałobny kir teraz pasuje, post i modlitwa za duszę zmarłego, a nie psoty z waszym karłem głupkowskim i zbieranie miodu z barci.

- Kir? Żałobny? Co gadacie? - Drągiełło skamieniał spoglądając z niedowierzaniem na starego człowieka.

- Żałobny. I pieśń by wypadało zaśpiewać, dym mu z ognia puścić, coby duchy go przyjęły na łąki wieczystego snu. Książę Henryk odszedł z tego świata. To nie wiecie?

- Skądże miałbym wiedzieć, starcze. My tu jak niedźwiedzie w gawrze, w tej chacie bartnika siedzimy, wiosny czekając i powrotu naszych ludzi z dalekiej wyprawy.

Drągiełło otarł pot z czoła i przysiadł pod lipą, obok Wulfstana. Popatrzył w górę na szeleszczącą koronę drzewa.

- Dobry był to książę, prawy - rzekł smutno i podniósł z ziemi suchy liść. Zaczął go zgniatać w palcach.

Starzec pokiwał głową.

- I jam go znał dobrze. Na dwóch wyprawach byłem z księciem Brodatym i z księciem Konradem, na Jaćwingów, krzyż żeśmy nieśli w jednej ręce, a miecz w drugiej. Mnie mieli za przewodnika. Bo widzicie - Wulfstan głuchy jest jak pień, ale i dzięki konstrukcji głowy do pnia zbliżonej, w puszczy jaćwieskiej każdą ścieżynę wypatrzy, każdą drogę znajdzie i do matecznika Skomanda, króla jaćwieskiego doprowadzić potrafi.

- Jak mu się umarło? Nie struli go może? Odonic go dopadł w końcu?

- O Plwaczu gadacie? Tego nie wiem. Tu gadka tylko doszła od ludzi, że książę zmarł we Krośnie, daleko, wedle marchii Brandenburgów. Sam umierał, bez ludzi. Syna nie było z nim i Jadwigi także. Ludzie gadają, że to przez klątwę biskupią żona go w ostatniej chwili nawet, przy łożu śmiertelnym, chłodną dłonią na tamten świat pożegnać nie chciała.

Drągiełło westchnął smutnie i dmuchnął w proszek ze zmielonego w palcach liścia. Okruchy rozsypały się przed nim jak tuman jesienny wzbity nagłym porywem wiatru.

W krzakach słyhać było buszowanie karła, który przedzierał się przez gąszcz, w poszukiwaniu owoców, lecz znajdował widocznie tylko niedojrzałe i kwaśne, gdyż wypluwał je, narzekając głośno.

Jeruzalem dotknął obandażowanego przedramienia. Na jesieni ranił go niedźwiedź, którego wspólnie otropili. Przez całą zimę leżał w chacie bartnika, smarowany borsuczym sadłem i okładany chlebem zmieszonym z pajęczyną i śliną wieszczki. Karlito twierdził, że to jego ślina byłaby najlepsza do robienia mieszanki na zgniliznę w ranach, bo jest w niej karła posoka, która leczy schorzenia, ale nikt nie chciał dać mu wiary.

Dragiełło wstał, i odszedł w stronę lasu na przechadzkę, żeby chwilę побыć sam z myślami.

Wulfstan z Jeruzalemem odprowadzili go wzrokiem i nikt nie rzekł ani słowa.

Szum drzew narastał i chmury pokazały się daleko, co zwiastowało zmianę pogody.

Powietrze było parne, a rycerz szedł ścieżką i wspominał dobrego księcia, któremu służył ze szlachetną radością w sercu.

Hanna wróciła z lasu przed samym wieczorem, niosąc ze sobą naręcze kwiatów zerwanych na majowych łąkach. Siadła przy ogniu i zaczęła je uplatać w wianek, nie mówiła ni słowa.

Dragiełło trzymał w dłoni żelazną część narzędzia, które znalazł w kacie, oglądał je ze smakiem, skrobał paznokciem i mlaskał, jakby to był co najmniej smakołyk, a nie kawał metalu. Jego szalona kolekcja żelastwa znów poczęła mieć większe rozmiary, na co Szalbierz spoglądał z niepokojem, ale nic nie mówił.

Któregoś dnia, w czasie bezczynnych miesięcy zimowych, zarzucił rycerzowi, że chyba całkiem rozum postradał - wlecze za sobą kupę dzwoniących i obijających się o siebie kawałków metalu: okuć, grotów od strzał, oderwanych fragmentów uzbrojenia, narzędzi rzemieślniczych i rolnych, ostrzy noży, ćwieków, gwoździ, łańcuchów i wszelkich śmieci metalowych, a wszystko zupełnie, by się zdawało, bez celu, a wręcz nielicujące z godnością rycerską.

Dragiełło jednak nie dał zbić się z tropu i - jak wiele razy wcześniej - wytłumaczył jasno, dumnie i ze szlachetną pewnością siebie, iż cały ten kram jest mu niezwykle potrzebny do skonstruowania maszyny bojowej, która będzie najdoskonalszą bronią na smoki.

Tu jedynie jego wierny od niedawna giermek, karzeł Karlito, dotrzymywał mu kroku i wiary w skrzydlate bestie - w końcu garbus miewał kontakty zarówno z przedstawicielami niebios, jako że to anieli ciągle nakłaniali go do wstąpienia na drogę trzeźwości i odstawienia raz na zawsze miodu i piwa, jak też i sił uznanych przez zwierzchność kościelną za nieczyste:

jego ciotka Skumna, dopóki żyła, wychowywała go wśród bagien, swoją chatę czyniąc jego rodzinnym domostwem.

Karlito wierzył więc w smoki, o których gadał jego pan, nawet jeśli wszyscy dokoła mieli to jeno za baśń i sny szalonego rycerza. Lud skłonny był bardziej dawać wiarę w to, co bliskie - dybuki i strzygi zamieszkujące knieje - niżli w smoki, o których nikt nie słyszał, ni ich widział. Dybuk - co innego - ciągle można było natknąć się na jakiegoś, starczyło do lasu wyjść zza opłotka, za chrustem czy potrzebą, a już spotykało się coś kudłatego, czy rogatego, jak mlaszcząc i prychając tarabanilo się w krzewach.

A mało to razy niemowlę zostawione na progu znajdowano z gębą wysmarowaną jaskółczym gównem albo, co gorsza, juchą dziewicy, co snadź dziewicą być przestała? Czyjaż to była robota, jeśli nie dybukowych dzieci, co z racji przeciwieństwa do aniołków zwano niebożętami? Te urwisy miały różki tak niewielkie, że bawiac się z ludzkimi dziećmi w ciuciubabkę albo też w szukanie ciemnej kiszki, wydawały się do człowieczych podobne - te same miały płowe włoski, te same buźki niewinne i radosne, a różków znać nie było pod czuprynką. Górze bywało jeno, jak się któremu pięta cała pokazała, a na niej rosące kopyto - oj, wrzask niósł się po wsi. Niebożęta! Niebożęta! Dybucze dzieci! - krzyczała dziatwa, zmykając do chat. A dybuczki śmigały wtedy do boru, matki szukając po ciemnych matecznikach i kwiląc jak pisklę myszołowa.

Ale smoki - ot nie. Smoki nie były po naszymu, a jeno z obcego bajania się brały, od tych, co z dalekich stron zjechali, kupczyli albo i miejsc do założenia sioła szukali; oni o tych bestiach czasem przy ogniu opowiadali, jeno mało kto im wiarę dawał.

Karzeł jednak wierzył Dragielle.

Co innego z Adelajdą, kuszą ponadnaturalnej wielkości, którą rycerz woził ze sobą, jak o małżonkę dbał i twierdził, że ona jest najlepszym panaceum na wszelkie gadziny, w tym smoki. Tu rzecz była trudna do wyrozumienia, bo kusza, co najgłupszy nawet giermek wiedział, była narzędziem bezwstydnym i do stanu rycerskiego całkiem niesposobnym.

- Wstyd to wam, panie, wstyd z tą Adelajdą chadzać

- Karlito gadał swemu panu, gdy go naszła większa odwaga, co działo się zawsze, gdy napił się piwa albo miodu

- wstyd, ja wam powiadam, a mój garb potwierdza. Choć raz mnie posłuchajcie, a dobrze na tym wyjdziecie. Kto to widział, żeby rycerz z kuszą się pokazywał?

Dragiełło już mu nawet nie powtarzał tego, co nieraz wyjaśniał, że jako potomek świętego Jerzego, odebrawszy też staranne wykształcenie na uniwersytecie w Bolonii, dostał specjalną bullę od papieża, zezwalającą całkiem honorowo na używanie tego narzędzia w

boju. Kiwał tylko głową, wzdychał, targał się za bródkę i walił karła w łeb, gdy już całkiem cierpliwość do niego stracił.

Tego właśnie wieczora karzeł łyknał sobie ukradkiem z bukłaka i znowu zaczął łytać niechętnie na Adelajdę, bądź co bądź znajdującą się wyżej od niego w hierarchii rycerskiego orszaku Dragiełły, który miał się tak: na pierwszym miejscu kusza, dalej miecz Zedrzykaptur, potem wierzchowiec bojowy Bel, za nim głuchy całkiem Zebub, czyli juczny koń, i dopiero był giermek - karzeł i żebrak tyniecki Karlito.

Szczęście, że bracia Job pokornie uznali się za zajmujących najniższy szczebel tej drabiny.

- Rzeknijcie mi, panie, bo mnie coś ciekawość w garbie swędzi, na co szlifujecie ten kawałek motyki? - spytał giermek dzielnego rycerza.

- Milcz, chamie, bo nie zrozumiesz.

Dragiełło zaczął ostrzyć metal kawałkiem kamienia, co i rusz sprawdzając jego ostrość opuszką palca.

- Grot to będzie do belta? Dla Adelajdy? - dopytywał garbus - Owej niechlubnej waszej konkubiny, co do której niejeden spowiednik miałby dużo do omawiania z rycerskim stanem? A wiecie, braciszku moi, że jak w klasztorze jeszcze żyłem, co miło wspominać, bo nigdy nie miał zimno czy mokro przy duszy, jak się teraz zdarza, to żem raz miał spanie i legowisko pod ławą kościelną, gdzie się spowiadała jedna mieszcza...?

- Cóż gadasz, karle, za głupoty, jakże to w kościele miałeś legowisko? - burknął Jeruzalem, a Dragiełło pokiwał głową zniecierpliwiony.

- No tak, tak, wam, Szalbierzu, wiele się w głowie nie pomieści, bo wyście są stepowi ludzie, niebywali, a ja z miasta, to słuchajcie.

- Słuchamy, zdaje się, że nam karzeł do bukłaka cichcem zajrzał - stwierdził Szalbierz.

- Musi tak być - dorzucił Dragiełło - język mu się wydłużył jak naoliwiony.

- Razu pewnego ojciec Kleofas mię przywołał z podwórka i tak rzecze: Karlito, tyś jest ze sług klasztornych najsprytniejszy, tak uważacie, braciszku moi, powiedział - najsprytniejszy. W nawie głównej myszy chodzą i na nabożeństwie wiernym po nogach latają, aż czasem co która białogłowa piśnie, co nie przystoi, kiedy słowa samego Chrysta płyną do ludu. Idź - gada mi Kleofas - wytrop, gdzie tam nora jest tych myszy, to się zaczniesz z narzędziem i utłuczysz. Dał mi kawał drewna i pognał po garbie. Tak żem się zaczął w pustym kościele. Słucham, słucham, uważacie, braciszku moi, chrobot słyszę pod ławą kamienną, w bocznej nawie. Na kolana padam, modłę się szybko do archanioła Gabriela, coby mi z pomocą przyszedł w sprawie myszy, i skradam się pod ławę. Juzem miał pacnąć

szarego potwora, jak księżę Leszek Mysinga, aż tu się odrzwia rozwarły i ojciec Teodor z jakąś białogłową wszedł.

Cóż mnie było, biednemu, uważacie, braciszku, robić - jakby mnie Teodor z maczugą w łapie zobaczył, za zbrojeckie zamiary po garbie by mnie wychłostał. Padłem więc jak długi...

- Ciężko ci było, jak długi, karle, chyba żeś się zakolebał - zaśmiał się Jeruzalem.

Karlito zdawał się nie zważać na przytyk i kontynuował swoją opowieść.

- Padłem jak długi - mówił rozpalony - i pod tę kamienną ławę. Tak widzicie, w planach u mnie nijakich nie było, coby pannę szlachetną podsłuchiwać w sakramencie, ale tak to wyszło, już los tak mój garb doświadcza, że ciągle co ciekawego na mnie spuści.

- Podsłuchiwałeś białogłowę! O, garbie przekłety, pokuta cię za to spotka! - Dragiełło przerwał ostrzenie metalu i zmarszczył brew.

- Och, panie, tyle pokut, co ja zaznałem od tamtego czasu, to i na dziesięć takich białogłów by starczyło. Aleć, słuchajcie, co dalej - Teodor siada, a ona też. Ona coś cicho mówić zaczyna, że co prawda nie termin Wielkiej Nocy, ale ją ciężar gniecie na piersi i zrzucić go musi. Na to ojciec Teodor jej wyjaśnił, że podle wskazań soboru z Lateranu wszelki grzech należy z duszy oczyścić przed spowiednikiem, nie bacząc, czy czas to Zmartwychwstania Pańskiego, czy zwykły.

I ona, braciszku, jak opowiadać zaczęła, że ten ciężar na piersi to ona miała i miała, aż się pasterczyk młody pojawił. I ona zoczyła, że jak młodzieniec blisko, to ciężar na piersi bardziej gorący i chuć wielka, żeby go zrzucić. Tak więc jednego wieczora, gdy...

- Zamilknij, garbie! - nagle w stronę Karlita poleciał ze świstem kawałek żelaza ostrzony wcześniej przez rycerza. Wbił się w słup podtrzymujący powałę, a karzeł popatrzył na niego przerażony, przełknął ślinę i umilkł natychmiast.

- Dość tych bajan! Nie przystoi!

W kącie zaskrzeczała małpka przerażona nagłym rumorem. Podskoczyła parę razy i wdrapała się po ramieniu Szalbierza, aż ten syknął z bólu. Znać, że rana jeszcze nie do końca się wygoiła.

Bracia Job zaśmiali się tubalnie w drugim kącie. Ale i oni umilkli pod spojrzeniem Dragiełły.

W otworze dymowym niebo już całkiem ściemniało, czasem tylko niknęła gdzieś w górze iskra, wzbudzona w świeżym świerkowym drzewie rzuconym na ogień.

Hanna wzięła głęboki oddech i zaczęła nucić jakąś melodię.

Reszta umilkła wsłuchana w głos wieszczki, jakby każdy począł myśleć o tym samym, wiedziony jej jedną myślą, przechodzącą od głowy do głowy - „Wilczek z Dobrosławem nie wracali już wiele miesięcy”.

Patrzyli na nią, jakby oczekując odpowiedzi na pytanie dręczące ich wszystkich - czy nadal należy czekać tu na miejscu, w tej oddalonej od siedzib ludzkich chacie w środku lasu, czy też ruszyć w jedną albo w drugą stronę. Dalej w poszukiwaniu celu opisanego przepowiednią, lub z powrotem, by odszukać chłopca z zakonikiem. Gdzie bądź, byle tylko przystąpić do działania, a nie tkwić w bezczynności.

Słowa Hanny, wypowiedziane na jesieni w Lecbarku, kazały im poddać się wyrokom losu, tak jak to czynili już wcześniej. Tak jak gnali naprzód w poszukiwaniu miecza, wiedzeni wyrokami Siły Wyższej, tak jak stanęli w obliczu śmierci z grotami beltów wymierzonymi w ich pierś, jak wcześniej płynęli w nieznanym unoszeni prądem rzeki, tak teraz, nadal pokorni i posłuszni jej słowom, zerkali coraz częściej i coraz śmielej w jej stronę.

Szalbierz przysunął się do Dragiełły i szepnął:

- Nie sądzicie, rycerzu, że zbyt długo tu siedzimy? Ręka mi się już zagoiła, bracia Job całkiem rozum postradają z tego kręcenia się w jednym miejscu, strugania patyków, chodzenia po drewno do lasu i stawiania sidła na zające.

I mnie już się uprzykrzyło polować na ryby, gdy ważniejsze rzeczy wieszczba nam przewidziała.

- I taż sama wieszczba kazała nam tu siedzieć i czekać - odpowiedział rycerz, patrząc na Hannę uśmiechającą się pod nosem, jakby słyszała ich rozmowę.

- Słyszała coś? - spytał Szalbierz.

- Nie. Nuci pieśń.

- Pamiętam. Tę, co i wcześniej, na rzece. Rycerzu, Hanna może nie zawsze wieszczy, nie zawsze widzi, co przyszłość przynosi. Ona czasem, a rzekę, że i częstokroć, jako zwyczajna białogłowa chodzi, myśli, gada, szczebioce, wianki plecie albo co insze...

- Albo i głowę komu zawróci... - uśmiechnął się Dragiełło pod wąsem.

- A wam co do tego? - stęzał Szalbierz.

- A nic, nic. Ale wy, Jeruzalemie, winniście jej ufać najbardziej, bo ona ani chybi waszemu sercu najbliższa. Aleć widzę, wam szalbierstwo tatarskie ze krwi jeszcze nie odparowało, jeszcze nie całkiem. Co jad jakiś gadziny w człowieku siedzi, to już łatwo nie wynidzie, niełatwo.

Szalbierz splunął ze złością między nogi i zgonił małą, która zaczęła mu wlażyć na głowę.

- Precz, Gigi!

Zwierzątko z piskiem zeskoczyło z karku i podbiegło, żaląc się, do Karlita. Karzeł był jednak obrażony i nie chciał jej schować pod kabat. Dopiero Hiob i Niob użyczyli jej posłania.

Jeruzalem dalej klarował rycerzowi.

- Nie rzecz tu w zaufaniu, pogromco smoków, ale w rozumie i w myśleniu. A co, jeśli Hanna raz dobrze coś widzi, a raz nieco słabiej? A co powiecie, jeśli czas ma taki, że wieszczy, a inny taki, że na los i na przyszłość całkiem ślepnie?

Ja do końca sam nie wiem, kiedy ona w sobie, a kiedy inna, kiedy choroba ją bierze, a kiedy widzenie, kiedy gorączka mami, a kiedy inny świat jej się w duszy roztwiera. Wy to poznacie?

- Łatwo się nie rozezna, może i co jest na rzeczy.

- A widzicie.

Przez chwilę milczeli, przyglądając się pannie. Ta śpiewała dalej i zaczęła mocniej uplatać wianek z kwiatów zebranych za dnia.

Jeruzalem zaczął mówić dalej.

- Teraz pomyślcie. Rycerze nie chcieli nas wziąć z sobą i obstawali, że tylko Wilczek, jako znaczny numer, może, a nawet musi z nimi podążać.

- Prawda to - przytaknął Dragiełło.

- Dobrosława wzięli, coby z chłopcem mieć wyrozumienie jakie, bo przeca nie idzie z nim się dogadać. Jeno mnich macha łapami i przetłumaczy z wilczkowego na ludzkie.

- I to prawda.

- A was i mnie zabrać nie chcieli. Czemu to?

- Wy się, Szalbierzu, nie dziwcie, jenó Bogu dziękujcie, Najświętszej Paniencie i wstawiennictwu księżnej Jadwigi naszej, a takóž i naszego Wilczka, żeście głowy nie stracili. Karać by was mógl sam książę za mord na Duchaku, a i oni prawem odrębności kościelnej. Żeście skórę uratowali - za to Wilczkowi w pierwszym rzędzie podziękujcie, bo się zaparł, że nigdzie nie pojedzie, jeśli was i mnie wolno nie puszcza. A wy jeszcze chcecie, żeby nas do siebie, na komnaty zapraszali. Ech, Szalbierzu, trza by wam trochę na świecie jeszcze pożyć, jeszcze świata zjeździć, żeby pokory trochę wobec różnych prawideł nabrać.

- Wy się, rycerzu, za to macie za najbardziej pokornego na świecie, co? Chyba żeście na tych uniwersytetach musieli brać lekcje śpiewu, montowania kusz nienormalnych i niezwykłej pokory. Tę ostatnią to żeście nawet do kunsztu najwyższego doprowadzili.

Dragiełło wstał zacerwieniony, szukając wokół Zedrzykaptura.

- Odwołaj to, psie tatarski, odwołaj, co żeś rzekł, wężu, albo ci łeb zaraz odrąbię! Jam jest pogromca...

- Juści, juści, znamy to. Uspokójcie się, rycerzu, nikt was obrażać nie chce, ale i ja swój honor mam. Zmiarkujcie tedy...

- Honor ma! Któż widział Tatarą, szalbierza i chama, co ma honor. To jakby widziano żabę, co ma długi nos.

- Wy macie. Więc i żaba może.

Dragiełło zaczął nerwowo przetrząsać kupę żelastwa leżącą w chacie, lecz swojego miecza nie znalazł.

- Karlito! - wrzasnął purpurowy ze złości - duchem tu! Karzeł, słysząc z głosu swego pana, że tym razem nie przelewki, migiem podkuśtykał do niego, i pochylił czoło.

- Cóż, wielmożny panie, może uczynić karzeł?

- Gdzie Zedrzykaptur? - Co?

- Zedrzykaptur, chyba słyszysz jeszcze? Czy cię już monecia głuchota dopadła? Uważaj, bo ją zaraz rycerska ręka z głowy na zawsze wybije. Gdzie Zedrzykaptur, pytam cię ponownie?

- A, on?

- Tak, on. Gdzie?

- No jak, gdzie?

- Właśnie, gdzie?

- Pan pyta... gdzie?

- Juści. Tak pytam. Gdzie?

- No, jakże by. Tam leży, gdzie winien leżeć.

- Znaczy gdzie?

Karzeł poskrobał się po pomarszczonej, brudnej głowie i nagle rzekł z radością.

- Wiem, panie, wiem!

- Więc gdzie?

- W trawie sobie leży.

- W trawie?

- Tam żem go zostawił. Żeby żelazo zieloności nabrało świeżej i soków wiosennych.

- Zaraz soki wiosenne z twego łba polecą! Dragiełło zamachnął się, lecz garbus żwawo się uchylił i wybiegł z chaty.

Rycerz usiadł, dysząc i rzucając gromy z oczu w kierunku Jeruzalema.

Kiedy garbus wrócił z mieczem pogromcy smoków, złość już jednak trochę odpłynęła, więc jedynie broń ułożył koło nogi, jako sygnał ostrzegawczy.

Szalbierz odczekał chwilę i powiedział, jakby atak szału rycerskiego w ogóle nie miał miejsca przed momentem:

- Rycerzu, mi chodzi o dobro chłopaka. Jak czarne Duchy w stal odziane co złego mu zrobią...

- Nie gadajcie - rycerz spojrział na niego gniewnie.

- A kto ich wie?

- To czegośmy się wtedy zgodzili?

- Hanna kazała. Wieszcza, jak widzicie, ciągle nas wodzi, a krzywdy nam do tego czasu nie przydała. Tyle że, rycerzu, widzicie, ja zacząłem myśleć...

- No cóż?

- A jak Hanna się myli?

- Co gadacie? - Dragiełło zrobił oczy szerokie.

- A jak ona, kochana nasza, a jakże - kochana, ale jak ona się myli?

Pogromca smoków zafrasował się i zaczął targać nerwowo bródkę.

- Wszak gadała, jęczała, wyła, pamiętacie, Szalbierzu - „Dwóch z rzeką, pięciu w lesie siało będzie, dwóch na wietrze, pięciu w ziemi spało będzie, dwóch na skrzydłach, pięciu w rosie, dwóch na niebie, pięciu w dole. Nie pamiętać, nie kolebać, mała nić, mała nić, wy czekajcie, on ma żyć”

- I cóż to znaczy? Wiecie?

- A wy wiecie?

- Wtedy ona kazała nam czekać, rycerzu, kazała, do miejsca tego nas przywiodła przecie, znana rzecz, ja nie gadam.

- To o co wam idzie?

- O to, że teraz się mogło co zmienić. Chłopcu mogło się co stać, a my... My tu siedzimy jak baby, a nie rycerze.

- Jak baby?

- No jak baby. Mężowie na wojnę idą, to baby po wsi czekają. My czekamy. Na co?

A jeśli, rycerzu, Hanna wtedy dobrze gadała, wtedy dobrze, ale teraz źle widzi? Jeśli się co zmieniło? Jeśli trzeba wracać nam? Wilczka ratować? To co?

- Co gadacie... Co gadacie...

Dragiełło nagle padł na kolana, złożył dłonie do modlitwy i zaczął zmawiać zdrowaśki. Jeruzalem uśmiechnął się leciutko, ale tak, żeby nikt nie dostrzegł nuty politowania w tym uśmiechu.

Rycerz i pogromca smoków, dzielny potomek świętego Jerzego wierzył, że w największej opresji czuwa nad nim Najświętsza Panienska - i do niej zawsze zwracał się o pomoc.

Tak i teraz jego wargi męły słowa modlitwy, raz za razem, w tym samym rytmie.

Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum. Benedicta tu in mulieribus et benedictus...

Szalbierz pochylił się do samego ucha rycerza i przerwał medytację jednym pytaniem. Krótkim i wypowiedzianym zduszonym szeptem. Ale na tyle istotnym, że Dragiełło uniósł brwi, przerywając modlitewny trans.

- A ten Wulfstan, co go nam ściągnęła - to kto?



ROZDZIAŁ III

MAJ 1238



ówią na nich Jaćwingi albo Jaćwiegi, a kraj ich dalej jeszcze się rozpościera, za gęstą puszcza i jeziorami, które tak wielkie są jak morza, żeby by je przepłynąć, trzeba i całego dnia. Lud to dziki i groźny, w swoich jeno grodach schowany, jak wilcy, nikt go nie wyzna, nikt dobrze nie wyrozumie, a niewielu jest, co trafiwszy na ich ziemię, pełną bagien, moczarów i kniei nieprzebytych, wraca żyw i w zdrowiu.

Kiedym pierwszy raz stopę postawił na białym piasku morskim, łodzią saksońskich kupców najętą przybywszy, tedym od rybaków pogezańskich pierwsze bajania o Jaćwingach zasłyszał. Wierzcie mi, jakem Wulfstan, nikti nigdzie baj durzenia bardziej przerażającego nie słyszał, jakem ja wtedy odebrał, przy sieciach siedząc w nadbałtyckim siole. Rybaki one nijak

się Skandynawów, wikingów, synów Odyna nie bali, za nic mając ich najazdy krwawe i łupieżcze.

O Sudowach jeno, znaczy Jaćwięgach onych, gadali, a oczy im takie się robiły, w których strach najprawdziwszy zawsze rozeznasz, nie udany, jak to w baśniach na rzecz dziecisków opowiadanych, kiedy bazarz się sili, żeby trwozę w słuchaczach rozbudzić, a tym większe zdobyć uznanie.

Różne to ludy ziemię oną zamieszkują, ode morza idąc, przez puszcze ogromne, w stronę wschodzącego słońca.

Macież tu mieszkańców Skalowii i Sambii, Pomezanów i Natangów, Pogezanów, Bartów i ludzi z Nadrowii, Warmii i dalszej Galindii. Ileż niebezpieczeństw czeka na śmiałka, co towar handlowy chce znad morza przewieźć przez ziemie Prusów i plemion tych wszystkich, coby na koniec do samej Jaćwieży dotrzeć, to sam chyba Wulfstan wie, bo niejedną już wyprawę w oną stronę prowadził, ścieżyny poznając, puszcze toporem dziobiąc i jeziora korabiami spływając.

A jeśli mnie tu żywym widzicie, to muszę to zawdzięczać opiece specjalnej, co nade mną wszelkie bogi roztoczyły, od Peruna do Matki Chrystusowej, od Światowida po archanioła Michała i od bogów jaćwieskich, Ziemi i Słońca po Odyna i Thora.

Wulfstan przerwał na chwilę i zakaszłał, po czym rozejrzał się wokół, jakby chciał sprawdzić, czy słuchacze jego mają na twarzach wypisaną dostatecznie dużą ciekawość.

Wszyscy siedzieli kręgiem wokół ogniska rozpalonego za domem, na łące, słuchając w skupieniu i pogryzając pieczone na ogniu mięso. Karlito jedynie kręcił się niespokojnie i szeptem, co i rusz, zwierzał się Dragielle, że czuje swędzenie w garbie, niezawodny znak nadchodzącego nieszczęścia, co jego pan winien mieć na względzie, a z bajan głuchego starca o Sudowach tę wziąć naukę, iż trza od nich trzymać się z daleka, a na podróż całkiem odmienny wybrać kierunek.

- Słysząc mnie dobrze? - zapytał starzec dla pewności.

- Dobrze, dobrze, Wulfstanie! - krzyknął mu w ucho Szalbierz. - Słuch u was kiepski, ale głos całkiem od tych monet książęcych się nie popsuł.

- Nie popsuł, nie popsuł - zaśmiał się staruch, zagarnął dłonią siwe włosy za ucho i ciągnął dalej.

- Strzec się trzeba Jaćwinga jak dzikiego zwierza. Od małego jest on w lesie chowany i ma się w nim tak dobrze, jakby nie był człowieczy. Chodzi cicho i bezszelestnie, ślad każdy rozezna, na drzewa się wspina, pod mchem spać i schować się potrafi. Idziesz, człowieku, lasem, idziesz, atu ziemia jak się nie wzruszy, jak nie powstanie, jakby potwór jaki się

obudził, wszystko się zrywa - mech, igliwie, krzaki jagód. To zaś nie stwór dziki, a Jaćwięg dobrze schowany pułapkę przysposobił i na podróżnego się rzuca.

Może być, że ich cała horda tak się w lesie przed oczami przybysza schowa. Podróżny, złego się nie spodziewając, puszcza podąża, na boki się rozgląda, a tu nagle, jakby ziemia się zatrzęsła, cały się las unosi, a spod liści, mchu i krzewiny Jaćwięgi wstają, na niego się rzucają i do grodu swego wiodą jako ofiarę. Ni oddechu nie złapiesz, już cię mają w swojej sieci.

Lud to, powiadam wam, dziki i okrutny, litości nie zna.

Jaćwięg, uważacie, odziany w skóry chodzi jak bestia dzika, uzbrojony jest w szczyt* i we włócznię, a kunszt ma tak wysoki we władaniu tym narzędziem, że żaden miecz ni topór nie może się równać w leśnej kniei z owym oszczepem.

Jak możnaść jest, to Jaćwięg miota nim przed się z wielką celnością. Trafic może w gęstwinie tak, że nawet nie zdążysz się, człowieku, obejrzeć, czy do świadomości przyjść, że coś leci, jak już świata bożego nie widzisz, a do innego się przenosisz.

A jak w kilku się Jaćwięgi ustawia, szczytami osłoniwszy, to do takiej grupy w lesie nie podejdiesz, tak się włóczniami nastroszą jak jeż kolcami. Na koniec w pojedynku leśnym też się świetnie sprawią - mieczem czy toporem zamach brać trzeba, co gęstwina zawsze utrudni. Włócznią dźgać można nawet przez gałęzie, trafiając przeciwnika.

Krzak bywa tu lepszą ochroną niżli szczyt albo i tarcza rycerska nawet - miecz przez niego nie sięgnie, utkwi w płataninie gałęzi, oszczep zawsze przeleci.

- Znać, że podły to lud. Chama poznasz po oszczepie - rzucił Dragiełło, dumnie wyginając wargi - mieczem, czy toporem władać nie potrafi. Niechby z rycerzem taki się spotkał na wolnym polu...

- I wtedy też dostoi - dopowiedział Wulfstan, co pokazało, że czasem jednak co z rozmowy usłyszysz - też, dostojny rycerzu, dostoi. Mieczem i toporem Jaćwięg macha równie dobrze, co niejeden mieszczan łyżką.

- Panie mój najmilejszy, ja już całkiem snadnie to swędzenie w garbie czuję. Ono do mnie gada tak, jak do was wasz nos przemawia, to znacie wszakże - karzeł jak natchniony począł ostrzegać Dragiełłę. - Tak jak wasz nos was ostrzega przed niebezpieczeństwem, tak garb do mnie gada przez swędzenie. Ileć razy mnie swędzi, tylec razy co złego na niego spadnie - garb już sam wie, kiedy mu co grozi.

Pomnę, jak to raz mnie kusiło na kuchni klasztornej, coby z gara zupy podjąć, jakem drwa dorzucał do pieca, a nikogo w pobliżu nie było. Juzem, panie, łapę do kotła wsunął, juzem w ukropie mięso macał, kiedy mnie garb począł swędzieć, jakby go choroba naszła

albo i sam trąd. Szybkiem łapę wyciągnął i z zupy oblizał. Pomny na naukę z garba płynącą, mięsa w ogóle, panie, nie tknąłem. I cóż potem? Na obiedzie tylko żem patrzył na braciszków, czy im co nie dolega. Jedli, jedli oną zupę i nic. A ja ani tknąłem.

Obiad minął, braciszki jeszcze w dobrych humorach przy stołach zostali, śmieszne historyjki opowiadając i wybuchając śmiechem co i rusz. Żaden jednak garbem nie był ostrzeżony i stąd nieszczęście się wzięło. Naraz brat Teodor zamilkł i zzieleniał całkiem. Za brzuch się chwycił i klnąc tak, jak osobie duchownej całkiem nie przystoi, na podwórzec poleciał, do stodoły, gdzie klasztorne ciała duchowe swe potrzeby świeckie załatwiają, i znikł tam na tak długo, jakby cały brewiarz odmawiał. Zaraz też brat Kleofas poleciał, za nim Augustyn i Teofil, Damian i Bonifacy, Konstantyn, Hiacynt i Nepomucen.

Na koniec ino ja się ostałem i brat Walerian. Aleć Walerian dlatego, że post pokutny odprawiał tego dnia i zupy nie tknął, pod groźbą ekskomuniczą.

Tak to, panie, garb mnie swędzeniem od bólu kiszek uchronił i z zupy rękę kazał wyciągnąć w ostatniej chwili.

Ja wam gadam, teraz mnie swędzi jak wtedy przy kotle w kuchni klasztornej. Na litość was proszę, usłuchajcie tego swędzenia i do zupy Jaćwiegów nas nie ładujcie.

- Skończyłeś, karle? - spytał Dragiełło rozbawiony, gładząc się po bródce.

- Juści, panie.

- Dobrze, to zamilknij. Wulfstanie, mów dalej - jakoś to o tych Jaćwiegach powiadał? Gigi, popiskując cicho, podpełzła do starca i zaczęła obwąchiwać go ze wszystkich stron, skrzywiła się z niesmakiem, a na koniec usiadła za jego plecami i sięgnęła łapką do siwych włosów iskając, jak małpa matka dziecko.

Szalbierz uśmiechnął się pod nosem i szepnął:

- Coś Gigi widzi w Wulfstanie tego robactwa do wyiskania, ja się jej nie dziwuję. Tylko czy zapach małpa zniesie?

Stary człowiek pogładził się po brodzie i wzięwszy oddech, kontynuował opowieść.

- Jaćwiegi boga nie znają żadnego, w naszym rozumieniu albo i pogańskim. Wiara ich idzie w to, co człeka otacza - w wodę, ziemię, słońce, drzewa, gwiazdy, jeziora i rzeki.

Im ofiary krwawe składają, tak by krew płynęła nocą do kamiennych mis, co okadzają dymem z jałowca i ziół leśnych.

- Lepiej rzeknijcie, kto ich wódcz. I jak go znaleźć. Bo my się ich wierzeń i bogów nie boimy - głośno powiedział Szalbierz, spluwając na klepisko.

Wulfstan przyjrzał mu się spod przymrużonych oczu i zaśmiał się.

- Za często plwacie, człowieku, co byście się nie bali. A kto tam ich wódz? Może lepiej wam nie wiedzieć...

- Gadajcie. Nam tam iść trzeba - Jeruzalem patrzył hardo w oczy Wulfstana.

- Do Jaćwieży iść wam trzeba?

- Do Jaćwieży, prawda to - potwierdził Dragiełło. Małpka wspięła się na ramię starca i zaczęła grzebać przy jego uchu, wydając ciche piski, aż zgonił ją niecierpliwym ruchem ręki. Pobiegła, skarżąc się, do Jeruzalema i skryła pod ramieniem swego pana.

- Do Jaćwieży droga daleka i trudna - Wulfstan uśmiechał się, uniósł w specyficzny sposób jeden kącik ust, jak handlarz na targu, nie kryjący swego cwane go wyglądu - toć każdy wie, że kupiec jest kupcem i jego rzemiosło ma się do innych tak, że największy ma mu zarobek przynieść.

Hanna, która do tej pory siedziała cicho, wstała i podeszła do ognia. Popatrzyła weń przez chwilę i zdjęła z głowy upleciony wcześniej wianek, po czym rzuciła go w płomień.

Najpierw buchnął z niego niewielki kłęb białego dymu, potem ogarnęły go małe płomyki, wianek zatlił się, zamigotał, zapłonął ogniem większym, tworzącym siwy kłęb ziołowego, kwietnego obłoku.

Białogłowa pochyliła się żarem, włożyła twarz wprost w dym, chłonęła go i wdychała jakby chciała uwędzić sobie włosy niczym świeżo złowioną rybę.

Mężczyźni umilkli, patrząc na nią.

Coś gadać zaczęła, zrazu cicho, bełkotliwie, tak że słów nie było znać, potem głośniejsz i wyraźniej, choć sens w jej bajaniu, jak to zwykle bywało, ciężko było odgadnąć.

- Popłyną, popłyną słodkie drzewa łąy, a z nimi mężowie złoci, jak w słońcu ukapani, melodią uspieni, oni w siedmiu popłyną na koniach drewnianych, wystrugani mężowie z wieczorów ciepłych, oni, tacy jak rycerze, a nie tacy, w siedmiu po niego pędzić będą, kiedy dwóch wróci. Czarna rzeka bliżej, ciągnie, zaleje, kopyt tysiące słyszę na nieboskłonie, jak ciągną tumany kurzu, igliwie na twarzach tumany pełne, zalepią jak osy, czarno-żółte w usta wleczą, oczy wygryzą, głowy zerwą szczękami jak żelazo, serca wypiją, dusze w ziemię wepchną, a oni bronić będą, płakać będą, gdy smoki ogniste na ziemię piękną nadlecą. Czekaście, rycerze, czekajcie ich, bo nadejdą, skropieni nadzieją, zmoczeni lękiem, upojeni ucieczką, wonią lasu we włosach. Tam stoję sama pod brzozą. Widzicie mnie? Widzisz mnie, kochany? Tam stoję czekam na ciebie, i nie wołam. Nie wołam, kochany. Ty wiesz. Wszystko wiesz. Pędź ku mnie, zedrzyj piach z drogi, zetrzyj liście z drzew, strąć słońce z nieba, dotknij warg moich okruczem oddechu. Czekam, śniąc, pod brzozą na ciebie. Biała kora mej skóry stapia się z blaskiem na wodzie.

Szalbierz wstał na te słowa, krok ku niej uczynił. Rękę ku niej wyciągnął.

- Jestem. Tu jestem - powiedział.

Ona nie słyszała. Dragiełło złapał go za ramię, posadził koło siebie.

- Siadajcie. Ona wieszczy.

- Snadź wieszczy, dlaboga - powtórzył za nim bezwiednie Jeruzalem.

- Cichajcie, małpkę utulcie.

Gigi popiskiwała pod ramieniem Szalbierza, ten ją głaskać począł, lecz nie wiadomo było, kto bardziej potrzebuje pociechy: zwierzątko, czyjego pan.

Hanna odwróciła twarz znad ognia i skierowała ją w stronę mężczyzn. Lico miała tak białe, że nawet w ciemności wieczora, nawet w czerwonym blasku ogniska tę błądź znać było wyraźnie.

Karlito zadrżał i skulił się ze strachu.

Ona nagle wrzasnęła.

- Dość mucha na miodzie siedzi! Precz! Odgońcie ją, rycerze, odgońcie albo zgorzecie! Tnijcie ją, łeb jej spalcie, wybielcie jej ducha! Pomocy waszej łagiew żąda, a wie, czego żąda. Spali się pole do reszty, gdy je ogniem zasiejesz, kupcze niestały, nad samym rankiem. Nie dmij w róg, szalona istoto, nie dmij, lecz ściśnij go mocno, w serce wyceluj, tam jego miejsce. Tulili laj. Kołyszcie go, na osnowie, na pytlu, na pniaku, na stągwi, niech spłynie po boku, co ma spłynąć. Ty rób, co masz zrobić, on robi, co ma zrobić, a księżyc śpi, śpi, więc go nie budźcie waszymi jęki. Na co wam jęki, rycerze? Na koń wam siadać. Czekać, dzień już blisko, już świta. Już ze snu się budzi. Boli. Tak mnie boli...

Upadła nagle na kolana. Jęknęła głośno i straciła przytomność.

Rzucili się do niej Jeruzalem i Dragiełło, poczęli cucić. Zaraz też rozkazali braciom Job, by ją do chaty przenieść na posłanie, co ci skwapliwie uczynili.

Wulfstan patrzył na to wszystko i nic nie mówił. W źrenicach migotały mu odbłaski płomieni od ogniska.

Szalbierz pogrzebał w swoich pakunkach, wyjął zwitek ziół i zaraz napar zaczął gotować. Nie pierwszy to raz miał piękną Hannę z gorączki wieszczej wyciągać, wiedział już więc, co robić.

*

Następnego dnia poszli we trzech nad rzekę. Jeruzalem zarzucił wędkę i usadowił się pośrodku wielkiego drzewa, które runęło w poprzek nurtu, łącząc dwa brzegi jak most. Obok niego usiedli Dragiełło i Wulfstan. Rzeka sunęła wolnym rytmem, na jej powierzchni co i raz pluskały ryby chwytające owady, ważki fruwały w promieniach słońca, a niewielkie rybki

podpływały im pod same stopy - widać było całe ich ławice migoczące wśród wodorostów. Było już popołudnie, wokół taki spokój i cisza, że zdawało się, iż cały świat dokoła nie drgnie. Najmniejszy wietrzyk nie burzył powierzchni rozlewisk, które tworzyły się dalej. Rzeka była tam tak szeroka, iż zdawało się, że to jezioro wpływające w głąb lasu. Wszędzie na powierzchni unosiły się szerokie liście nenufarów, lecz ich żółte kwiaty jeszcze nie zakwitły, zapowiadając dopiero swoje nadejście niewielkimi pąkami. Na dalekiej gałęzi usiadł kormoran, nic sobie nie robiąc z obecności ludzi w jego rewirze.

Siedzieli cicho, a Jeruzalem patrzył na niewielki haczyk z zaczepionym robakiem, czekając, aż chwyci go jakaś ryba.

W końcu milczenie przerwał Wulfstan.

- No, to na cóż żeście starca wywiedli nad wodę? Nie można było przy chacie nam gadać?

Dragiełło chrząknął i począł wyjaśniać:

- I mnie to się nie zdało rycerskie, takie czynić podchody, aleć Jeruzalem...

- O Hannę nam się rozchodzi - wtrącił się Szalbierz - wybaczcie nam, lecz te bajania wasze o Jaćwiegach, a i nasze pytania do was, mogą ją wytrącić ze spokoju ducha, do którego z niemałym trudem żeśmy ją doprowadzili.

- Z niemałym, to prawda. Tu się moje rycerskie sumienie z szalbierskim zamysłem zgodziło. Dobro niewiasty na pierwszym miejmy względzie.

Wulfstan zaśmiał się.

- Juzem myślał, że brak wam przynęty na rybę i dlatego nad rzekę mnie wiedziecie. Ale nie wy pierwsi byście mnie chcieli utopić, był już taki jeden, ino mu się nie udało. A na Wulfstana ryba nie bierze - on jest za łykowaty dla pływającego stworzenia.

Jeruzalem splunął do wody, patrząc, jak ślina niknie mu pod nogami i spływa z nurtem.

- Już byście z tym plwaniem skończyli, Szalbierzu, już byście skończyli, co prawda to, prawda. Nie przystoi to plwać co krok w rycerskim towarzystwie.

- Nauczcie niedźwiedzia, żeby nie ryczał, a potem do mnie wróćcie z plwaniem - syknął Szalbierz - już taka moja natura i wara wam od tego.

- O plwaniu chcecie gadać? - z przekąsem zapytał starzec - Gadajcie. Ja Plwacza mam na oku od wielu lat, od wielu...

- O Odonicu mówicie? - spytał Dragiełło.

- A o kimże innym? Toż większego łotra jak Władysław trudno szukać po księstwach polskich. Wiem coś o tym, bo nie raz i nie dwa księciu Henrykowi żem służył za oko i ucho.

Coś z uchem ostatnio gorzej, to i służyć nie szło. A teraz się i sam dobry książę ze światem pożegnał, tak też i mi trzeba będzie podobnie uczynić. A jak księcia spotkam na tamtym świecie, da Bóg honor taki, to i tam mu przewodnikiem będę. Jak po ziemiach Jaćwiegów byłem, to i do świętego Pietra doprowadzę.

- Służyliście księciu Henrykowi, pięknie to - gładząc bródkę, zaczął mówić pogromca smoków - ale i jam był mu swego miecza i serca użyczył. Kiedyście to, Wulfstanie z Henrykiem wojowali?

- A będzie już kilka wiosen. Może i kilkanaście. Dwa razy na Jaćwiegów myśmy poszli, zimową porą. Wojsko było księcia Henryka i księcia mazowieckiego Konrada, a poruczenie piękne, bo papieskie. Tak to Wulfstan na koniec żywota stał się krzyżowcem, kruczają jaćwieską odkupując wszystkie podłe grzechy, co za życia zbyt długiego popełnił. Aleć do rzeczy. Rzeknijcie w końcu, jaką rzecz chcecie od Wulfstana, czegoście mnie do lasu przywiedli, nad tę rzekę? Chyba nie żeby utopić, bo łacniej capnąć mnie mogliście wcześniej, przy chacie.

Milczeli chwilę, a Szalbierz drgnął i szarpnął za wędzisko, wyciągając migoczącą w słońcu rybę. Dragiełło zakasłał i rzekł:

- Powiedzcie mi, Wulfstanie, co wiecie o Skomandzie. I jak nam dotrzeć do niego?

Wulfstan wybuchnął śmiechem. Jego starczy rechot poniósł się daleko nad rozlewiska rzeki. Pogromca smoków patrzył na niego i twarz mu tężeć zaczęła ze złości. Starzec zaśmiewał się, jakby mu kto najzabawniejszą bajdę właśnie opowiedział.

- Cóż was tak śmieszy? - zapytał groźnie Dragiełło. Wulfstan umilkł i klepnął rycerza w kolano.

- A toście mnie ubawili. O Skomandzie chcecie wiedzieć? Do Skomanda dotrzeć?

- Do niego - potwierdził Jeruzalem, chowając rybę do niewielkiej siatki przytroczonej do pasa i na powrót zarzucając wędkę.

- Do Skomanda? Inaczej Skomana?

- Do niego.

- Do księcia Jaćwieży, zwanego Bliznobrodym, władcy puszczy, największego suwerena dzikich lasów?

- Do niego.

- Do Skomana Wielkiego? Tego, co na wieczór krew chłopce swoich niewolników, jak inni chłopcą wino albo wodę?

- Do tego.

- Do syna Wilczycy, zrodzonego od uderzenia pioruna, tego, o którym pieśni śpiewają w każdym siole Getów?

- Do tego.

- Do Skomanda tego, o którym gadają, że jeden to jest taki człowiek na ziemi, który zabija samym spojrzeniem, bo serce pęka ze strachu każdemu, na kogo on wzrok obróci?

- Do tego właśnie - po raz kolejny odpowiedział Szalbierz, a Dragiełło potwierdził skinieniem rycerskiej głowy.

Wulfstan przestał się śmiać, spoważniał, popatrzył to na jednego, to na drugiego, po czym wsparł się ręką na ramieniu Jeruzalema i zaczął się dźwigać z pnia.

- Puszczajcie. Puszczajcie mnie.

- Co wam, gdzie idziecie? - spytał rycerz.

- Do chaty wracam.

- Coście wy?

- Coście wy - ja spytam. Z szaleńcami po lesie nie chadzam.

- Z szaleńcami?

- A juści. Jak wy do Skomanda iść chcecie, znaczy, żeście rozum stracili. A ci, co rozum stracili, ci są niebezpieczni, nigdy nie wiesz, co nagle uczynią. Puśćcie mnie, gadam.

- Czekajcie - Szalbierz pociągnął go za rękaw i zmusił, żeby stary przewodnik usiadł.

- Puszczajcie mnie.

- Czekajcie, o Skomandzie nam rzeknijcie. My nie z wyboru do niego iść chcemy, ale...

Tu Szalbierz zawiesił głos.

Wulfstan popatrzył na niego i na drapiącego się w nos Dragiełłę.

- Ale z czego?

Jeruzalem szukał przez chwilę dobrych słów, ale w końcu powiedział tylko:

- Z wieszczby...

Starzec gwizdnał i pokiwał głową.

- Z wieszczby, gadacie?

- Juści, z wieszczby.

- To co insza - stary człowiek zmrużył oczy i pokiwał głową, patrząc w stronę chaty.

- Z wieszczby, mówicie. Znaczy, z jej wieszczby... Z onej białogłowy wieszczby?

- Z onej - potwierdził pogromca smoków.

- Ciekawe - pokiwał głową stary poszukiwacz jaćwieskich szlaków - i mnie ta wieszczba kazała iść za wami z Lecbarga, aleć mi gadała o wielkim zysku, jaki mnie czeka,

co na stare lata byłoby dobrą osłodą niedołężności, a coś mi się zdaje, że ta część wieszczby raczej się nie ziści, bo mi nie wyglądadacie na cierpiących od nadmiaru złota w trzosach.

Jeruzalem ścisnął go za nadgarstek, przytrzymując na miejscu.

Wulfstan rozsiadł się ponownie na pniu, popatrzył to na jednego, to na drugiego, pokręcił głową na znak, że ma do czynienia z ciężkim wypadkiem, i rzekł:

- To co wam o Skomandzie wiedzieć?

- Wszystko - odpowiedział Jeruzalem.

- Wszystko, co wiecie - dorzucił Dragiełło.

- Skomand, albo i Soman, bo tak na niego też gadają, największy to wódz puszczy, o jakim świat słyszał i będzie słyszał - zaczął gadać Wulfstan. - Kraj jego, Jaćwieżą zwany, murów wielkich nie potrzebuje, bo las tam jest za palisadę, a bagna lepsze od jakiej bądź fosy. Wierzajcie mi, nie raz to widziałem woja w pełnym rynsztunku, jak się w błocie topi. Jak raz wpadnie - ratunku dla niego nie masz, bo kolczuga tak mu ciąży, że go ziemia mokra wessie tak szybko, iż nawet pacierza zmówić za niego nie nadążysz.

Gadają o nim Bliznobrody, bo blizna mu idzie przez twarz - od czoła, aż po szyję - co ją podobno otrzymał od samego diabła, jak z nim walczył. Bo w samym piekle już był, gadają, ino diabłów pomordował i na ziemię wrócił, z tą jeno blizną na gębie.

Ludziska mówią, że on jest Cesarz Puszczy. Całkiem jak był słynny wódz Cesarstwa Niemieckiego - Fryderyk zwany Barbarossą, od brody czerwonej, co mu pysk ozdabiała, czyniąc bardziej barbarzyńskim to, co zrazu było cesarskie. I tamten na ziemię polskie ciągnął, bywało, jak za Wygnańca, azaliż i za Mieszka zwanego Starym. Skomand się na ten czas Bliznobrodym nazwał, aby naprzeciw cesarskiej potęgi potęgę jaćwieskiego lasu postawić.

Imię też jego pije i do polskich władcyków, jak Krzywousty czy Laskonogi - tak im Bliznobrody swoje nazwanie w pysk rzuca, jakby na pojedynek chciał wyzwąć.

- Pomnicie rycerzu opowieść Dobrosława? - przerwał mu Jeruzalem zwracając się do Dragiełły - Toć mnich, jak o najeździe Jaćwingów na wioskę opowiadał, tak i pomniał na ich wodza, co brodę miał i bliznę idącą w poprzek twarzy. Może to sam Skomand tam był?

- Może tak i było - odparł pogromca smoków - snadź nasz Wilczek albo i jego żelazny przyjaciel musi wiele znaczyć, skoro sam Cesarz Jaćwieży się po niego wodą puścił...

- Żelazny przyjaciel? Wilczek? O kim to prawicie? - spytał Wulfstan.

- A nic, nic, stare dzieje - Szalbierz machnął od niechcenia ręką i ukradkiem pokazał rycerzowi, by zbyt wiele nie opowiadał starcu. - Więc gadajcie dalej o Skomandzie, wielcem ciekaw waszej opowieści.

Stary przewodnik leśny gadał więc dalej, machając nogami nad strumieniem rzeki:

- Jaćwież - myślicie - knieja i nic więcej. Tu się mylicie, człowieku. Co jakiś czas, gdy iść będziecie dalej, napotkacie grody tajemne, pośrodku puszczy posadzone. Na wzgórzach niewielkich one rosną, owałowane ziemią, jak miejscom obronnym przystoi, palisadą ukończone, bramy i wieżyce mają, tak że nic onym grodom nie ustępują, co na ziemiach polskich są. Tyle że znaleźć je w lesie ciężko, a zdobyć jeszcze trudniej. Z tych to grodów co i rusz wyprawy łupieżcze Jaćwięgi przypuszczają na ziemie polskie albo i na Ruś, co od wschodu z ich cesarstwem graniczy.

- Toć i dlatego książę Henryk, pospołu z Konradem, na krucjaty na nich się wyprawiali - wtrącił Dragiełło.

- Prawda to - przytaknął Wulfstan i kontynuował

- Skomand na dzikiego wygląda, jak i jego woje, aleć to ino pozór, mający dać takie wrażenie i wroga przerazić.

Państwo jaćwieskie na szerokiej ziemi się ciągnie, wojsko ma żwawe i szybkie, strachu nieznające, grody, wzgórza święte, głązy bogom poświęcone co i rusz znajdziesz, ale to wszystko jedną ręką jest trzymane, porządek tam panuje ukryty, a całość widzicie, widzicie...

Wulfstan umilkł na chwilę, po czym rozejrzał się po okolicznych gąszczach, jakby szukając, czy kto ich nie podsłuchuje.

- Gadajcie, nikogo nie ma - dodał mu odwagi Szalbierz. - A całość cóż?

- Całość jest rządzona z wielkiego miasta. Dragiełło podrapał się po głowie, kichnął i wziął do ręki wędkę od Szalbierza.

- Słuchanie słuchaniem, gadanie gadaniem, a łowienie łowieniem - powiedział, rzucając haczyk na głębszą wodę - bo potem jedzenie nie będzie jedzeniem.

Jeruzalem patrzył na Wulfstana przez przymrużone oczy i po chwili prychnął śmiechem.

- Przed chwilą, starcze, nas mieliście za niespełna rozumu, iść stąd chcieliście, ale teraz to takie rzeczy opowiadacie, że chyba wychodzi, iż to wyście na starość rozum zamienili z głuchym pniem.

Wulfstan spoglądał na niego poważnym okiem i wcale nie wyglądał na zbitego z tropu.

- Nie dajecie wiary?

- Toć nawet dzieciśka wiedzą, że za Galindią na północny wschód to już Jaćwież się ciągnie aż do Rusi, a Jaćwież to jeno las wielki, nieprzebyty, bagna, trzęsawiska i jezior bez liku. Gdzie tam miasto wielkie?

Szalbierz splunął w wodę, jakby na znak swojego podejścia do rewelacji opowiadanych przez starca.

Wulfstan z kamienną twarzą spoglądał w stronę rozlewisk. Kormoran podniósł się ze zwalonego drzewa i poleciał z krzykiem w niebo. Stary człowiek patrzył chwilę za nim i powiedział:

- Gdzie to miasto? A jak dotrzesz, człowieku, do jeziora, co wielkie jak morze, jak je przepłyniesz i na wschód będziesz szedł ze trzy dni, dojdiesz do takiego jeziora, co na samym środku ma wyspę. Cała ona jest obudowana wielkim wałem z ostrokołem i wieżycami sięgającymi wysoko ponad las, tak wysoko, że strażę widzą, jak kto w lesie ogień pali na dwa dni marszu od miasta. Tam, w zamczysku drewnianym ma swe gniazdo Skomen, albo Skomand, jak wolisz - albo jak chcesz, zwij go Bliznobrodym. Tam jego gawra. Wokół jeziora zaś siola i miasto, drugim ostrokołem otoczone, a tak sprytnie ułożone, że bagna i rzeki dopływowe tworzą wokół osłonę trudną do przebycia.

W tym mieście on rządzi, stamtąd na wyprawy rusza, tam wszyscy niewolni w sznurach powiązani jadą, by mu służyć, tam wyprawy z innych grodów jaćwieskich haracz muszą oddać, by żyć w spokoju pod jego ochroną.

Wielkie to miasto, a sam most wiodący z brzegu podgrodzia do zamku na ostrowiu tak jest długi, że takiego w żadnym z polskich księstw nie widział.

To właśnie jest miasto Bliznobrodego. Miasto, którego nie ma. Bo kto je widział, a Jaćwięgiem nie jest, musi zginąć, by wieści nie przekazać. Dlatego to właśnie nikt o nim nie wie.

- Aleć... - Szalbierz patrzył na starca pociągając nosem - wyście je widzieli. A żyjecie...

- Żyję - Wulfstan uśmiechnął się pod nosem - żyję, bo ja jestem Jaćwięgiem.

W tej chwili Dragiełło wyciągnął z wody okonia, który błyskał się w słońcu.

- Wiedz, rybo szlachetna - zaczął gadać, zdejmując ją z haczyka - żeś zginęła nie z ręki chama, lecz rycerskiej, bo się na ciebie zasadził potomek Świętego Jerzego, zaś twój żywot krótki pozwoli się posilić gromadzie, która ma przed sobą cel piękny i jasny.

Z całej siły uderzył pięścią rybę w łeb, by ukrócić jej cierpienia.

*

Od świtu do nocy stała Hanna na skraju podwórca, patrząc na zachód, kędy wiodła ścieżyna do Lecbarga. Jeruzalem podchodził do niej, brał za rękę, namawiał, by gdzie siadła, odpoczęła, ale ona nie chciała.

- Co ci to, kochana, co? - pytał.

- Nie nadchodzą - odpowiadała.

- Tak gadałaś, jak cię wieszczba nasza, że wrócą, że mamy czekać.

- Tak gadałam?

- Tak, właśnie.

- Znaczą, że czekać trzeba. A jak moja wieszczba nieprawdziwa? Jak was zwiodłam?

- Wcześniej nie zwodziłaś.

- Możesz ty i Szalbierz, co wozem po świecie się tułał i ludzi sztuczkami mamił, ale prawdziwego szarlataństwa od białogłowy trzeba by ci się nauczyć.

Zaśmiała się i pocałowała go nagle, mocno w usta, aż stracił oddech. Wiedziała, że taki pocałunek jest najwygodniejszą odpowiedzią na trudne pytania.

Chłopiec z Dobrosławem odjechali już z pół roku temu i wszystkim się zaczęło zdawać, że może już nie wrócą.

- Takeśmy się z osobą duchowną i z samym Wilczkiem umówili. Poty czekamy, aż albo sami wrócą, albo znak dadzą, umyślnego pchną - mówił Dragiełło, uspokajając resztę.

- A Tatarzy tu nie ciągną, panie? - podskakiwał nerwowo Karlito. - Nie ciągną?

- Ciągną - odpowiadał ponuro Jeruzalem. - Rok, dwa roki zejdzie i tu przyjdą. Batuchan ich poprowadzi. A mrowie ich takie, że jakby w rzekę weszli, cała woda z niej wyjdzie. Zaleją wszystko, zniszczą. Jak wam Hanna wieszczyła, tak będzie. Ja w jurcie chowany, dobrze wiem, co gadam.

Karzeł na te lub podobne słowa z wielką energią poczynał się drapać po garbie, twierdząc, że czuje chodzące po nim wieszczby, dużo silniejsze od tej, co z ust Hanny popłynęła, i że każą one natychmiast zwijać manatki i na stronę zachodzącego słońca się udać.

Jeruzalem także namawiał, by beczynnemu nie siedzieć.

- Pół roku tu gnijemy jak szczury. Rycerzu, wasza Kundzia całkiem już przerdzewiała, przed wrogiem was nie osłoni. Garbus utył i ma teraz jakby dwa garby - jeden z tyłu, na plecach, ze zwyrodnienia, a drugi z przodu, od obżarstwa.

- O, to nieprawda, mój panie - oponował karzeł - tylny garb mi wyrósł, jak wiesz, bym drugi umysł w nim chował, na wypadek osłabnięcia pierwszego. A ten trzeci, co mi się ostatnio na przedzie pojawił, to ku łapaniu równowagi, co światem całym rządzi.

- Jedźmy do Lecbarga, dowiedzmy się, czy nas kto nie szukał - przekonywał atleta tatarski. - Może nam Ignas wysłał wiadomość, może Dobrosław pismo napisał, ale posłaniec zginął gdzie po drodze? I cóż wtedy? Tak będziemy tu do śmierci siedzieć? Przecie lepiej albo się co w mieście dowiedzieć, albo na tych Jaćwięgów ruszyć.

- To lepiej w mieście się dowiedzieć - od razu dopowiedział mu Karlito.

- Hanno, nie możemy tak dalej tu czekać. Ramię moje wydobrzało. Ich nie ma i nie ma. Wulfstana starego nam tu przyciągnęłaś, w chacie leśnej kazałaś siedzieć, a czas płynie, płynie, i nic. O, Gigi już całkiem nawet od tego zgłupiała i braci Jobów po lesie gania.

- Oni nie od tego, żeby się z nią nie bawić - zauważył Dragiełło.

Szalbierz chodził i przekonywał, że dalsze siedzenie w miejscu nic nowego nie przyniesie, a próby wywiedzenia się, na czym rzeczy stoją, wcale nie mają się wbrew przepowiedniom.

- Czasem trzeba pokornie słuchać tego, co los przynosi - mówił - a innym czasem samemu się zabrać za wydarzenia, za łeb je złapać i ukrećić.

Stary Wulfstan przyglądał się temu wszystkiemu i uśmiechał, kiwając głową, jakby posiadał jakąś inną wiedzę o mających nastąpić wypadkach, lecz na zaczepki Karlita nie reagował i udawał, że nic nie słyszy.

Do tego doszli już Dragiełło z Jeruzalemem, że siwy, leśny przewodnik był, owszem, głuchy, nie słyszał wszystkiego, jak trzeba, ale tylko wtedy, gdy mówiło się o sprawach błahych. Rzeczy ważne trafiały jakoś do jego głowy - i to całkiem nieźle.

Nigdy nie dał się na przykład pominąć przy wydawaniu dziczyzny upieczonej na ogniu, zawsze wiedział, że się mówi o tym, iż jedzenie już gotowe. Indagowany w tej kwestii odparł, że umie czytać z ruchu warg, ale w tę bajdę zarówno Szalbierz, jak i Dragiełło nie chcieli uwierzyć.

Żaden z nich przy Hannie nie wspominał o Skomandzie, Bliznobrodym i jego stolicy ukrytej w odległej puszczy. Rycerz z atletą poprosili starca, by on także milczał w tej kwestii, póki nie wróci chłopiec z Dobrosławem lub chociaż nie dotrze wieść jakaś o nich.

Szalbierz po wielokroć nawoływał do działania, a i Hannę zaczął prosić, chodząc za nią krok w krok i powtarzając te same argumenty.

W końcu białogłowa popatrzyła bystro na Jeruzalema, westchnęła i rzekła:

- Może i tak być teraz musi. Dobrze, jedźmy do Lecbarga się wywiedzieć. Ty, Szalbierzu, rwać będziesz łańcuchy na targu, jak zwykle bywało, a ja się wokół rozejrzę, może się czego dowiem. Jutro ruszmy z samego rana. Szykujcie, szykujcie, komediany, wóz na krotochwilę!

Kiedy to powiedziała, Jeruzalem chciał o coś jeszcze pytać, ale zamknęła mu usta pocałunkiem i śmiejąc się poszła do chaty.

Tego wieczoru Karlito odszedł na bok podwórca, by załatwić zwykłą dla ludzi, i dla karłów także, potrzebę.

Z dala padał blask od ognia, a garbus postanowił uczynić, co trzeba, w takim miejscu, by wiatr nie przywiał zapachów w stronę ludzi siedzących przy ognisku. Kilka razy już oberwał w ucho od swego pana za takie występki, tak też i teraz się pilnował. Rozejrzał się czujnie, znalazł krzak potężny, za niego polazł, rozsypał sznur trzymający brudne portki i już miał się wypiąć, gdy poczuł, jak coś łapie go za garb, ściska i unosi.

- Puszczaj, puszczaj - zaczął jęczeć, ale w tej chwili czyjaś ręka zasłoniła mu usta.

Przez chwilę nic nie widział, niesiony w powietrzu jak wór, a potem ktoś nim cisnął o ziemię, aż słyszeć się dał gruchot karlich kości.

W ciemności rozległ się głos:

- Cicho, karle, jeśli ci życie miłe.

- Ech, miłe, miłe, nie krzywdź mnie i mego garba, panie, miedziaka nawet przy duszy nie mam. Czego chcesz?

Postać o białych włosach, jaśniejących w mroku, ścisnęła go za gardło.

- Gadaj mi zaraz, co oni są, ci, co z nimi jesteś.

- Ale...

- Gadaj mi.

- Puść. Jak dusisz... nic... gadać... nie mogę...

Ucisk na gardle zelżał. Postać pochylała się, grożąc w ciemnościach jakimś metalowym ostrzem, w którym karzeł domyślił się długiego noża.

- Oszczędź mnie, panie, wszystko powiem.

- Gadaj, kto oni.

- Jam jest Karlito.

- Oni, a nie ty!

- I jam jest giermek mego pana, rycerza Dragiełło, herbu Kraplan, pogromcy smoków, co broni uciśnionych i wszelkiego wroga zadusi i zetnie.

- Straszysz?

- Gdzież tam, panie. Prawdę gadam, niechby mi garb zniknął, jeśli nie.

- Jakież on rycerz, jak za komedianta robił, na scenie stał, fatalaszki miał na sobie?

- Kiedyz to, panie?

- Nie gadaj, widziałem.

- Widziałeś?

- Gadaj.

- To mam gadać, czy nie gadać?

- Gadaj. Co za rycerz, jak z kuszą chodzi?

- To na smoki. I gadziny. Niezwykła to kusza. Błogosławiona, panie. Sama Jadwiga w Trzebnicy ją błogosławiła, wodą od obmycia starców święconą.

- Po co żelazo zbiera?

- Jego pytaj. Ja głupi karzeł, to nie wiem.

- Ten drugi, z gębą ciemną. Oszust z niego. Zielarz nieprawdziwy. Któż on?

- Szalbierz drogowy. Ludzi mami występem. Maści sprzedaje. Łańcuchy rwie ku uciesze gawiedzi.

- Małpka skąd?

- Od kupców pono, z Ziemi Świętej. Postać szarpnęła garbusem silnie.

- Gadaj mi prawdę, karle, albo zginiesz..

- Zlitujcie się, prawdę gadam.

- To czemuż rycerz z nim razem? To nie honor? I komediantem być, też nie honor...

- Oj, panie, toć gdyby mnie, karła, słuchał, to by tego nie było, ja mu to samo w ucho sącę... A jakieście nas w Lecbargu jako trupę komedianką widzieli, to podle tego, że my do Skomanda na Jaćwież mieli się dostać. A słuchy chodzą, że on komediantów lubi, z dalekich stron ich ściaga. Stąd to sztuczka taka, żeby ukryć stan rycerski, broń wszelaką, na wozie komediantów...

- Do Skomanda, mówisz...

- Do tego...

- Gadaj mi zaraz, po co oni tam chcą jechać...

- Panie, daruj, daruj karłu. To wszystko już, co wiem, uwierzcie mi, to wszystko. Na garb własny przysięgam, na Przenajświętszą Panienkę, po co oni tam, to mnie nie znajomo. Puśćcie mnie, panie.

Karzeł zaczął miotać się panicznie i jęczeć. W szamotaninie odsunął się kaptur białowłosej postaci i w bladym świetle księżycowym ukazała się stara, poorana zmarszczkami twarz.

- Matko Przenajświętsza - jęknął Karlito.

- Co ci, karle?

- Wulfstan!

- Wiesz już, to zginiesz.

W blasku nocnym mignął nóż przystawiony do gardła.

- Nie zabijaj, panie, nie zabijaj. Błagam. Wierny ci będę, wierny całkiem, jak pies. Nie zabijaj. Nie wydam nic, nic gadać nie będę. Zobaczysz, panie. Nie rusz mnie, a odpłacę ci się. Błagam.

Starzec zatrzymał nacisk ostrza na grdykę. Myślał. Garbus wychwycił jego wahanie i jeszcze mocniej zaczął prosić.

- Cóż wam szkodzi sprawdzić. W razie czego i tak wam uwierzą, a nie mnie, któżby karłu uwierzył, jak ciągle coś zmyśla. Proszę was, darujcie mi, a ja wam służył będę. Potajemnie. Wszystko wam rzeknę, co oni gadają. Psa będziecie mieli we mnie. Przewodnika. I ucho.

- I ucho, mówisz - Wulfstan cofnął nóż, a nawet zdawało się, że zaśmiał się, lecz tego Karlito już nie widział. Postać rozplynęła się w ciemności, tak jakby jej wcześniej nie było.

Zaszumiały krzewy. Garbus rozcierał sobie gardło krótkimi paluchami i powoli uspokajał oddech.

- Dobrze - usłyszał nagle za plecami.

Odwrócił się. Za nim był już tylko ciemny las.



ROZDZIAŁ IV

MARZEC 1238



Marzec roku pańskiego 1238 był ciężki, zimny, śnieżny, zupełnie jakby wiosna nie chciała nadejść. Drogi były zasypane, tak że i saniami nie dało się przejechać od miasta do miasta, bo się woły po sam pas zapadały. Ci, co konno zwykli podróżować, także sobie pofolgowali, znajdując gdzie można leżę ciepłe, by do roztopów doczekać; prac się żadnych nie imano; a kto miejsca swojego ciepłego nie miał, ten zamarzał gdzie w zaspie.

- Ech, wiosny nie doczekamy, niedobrego co wynidzie - ludzie gadali, a ci pomni dawniejszych wydarzeń dodawali, jak to kometę na niebie znać było, co złe mogła ino wieszczyć albo i pożary w Krakowie, od piorunów podniesione.

Do tego szły lata głodne ostatnio, nieurodzaje, i - co gorsza - mór na bydło nachodził, co już do reszty lud przygnębiało.

- Jakże to, same plagi na nasz ród padają, gdzieże jest opieka boska? - wzdychali ludziska po wsiach i w niebo się gapili, jakby tam szukając pomocy.

Jednego marcowego wieczora, zimnego, ciemnego i ponurego, w gospodzie w Tyńcu toczyła się przy ławie zastawionej gęsto miodem i piwem gorąca dysputa, podgrzana ilością trunku, który działanie mrozów miał niweczyć.

Gruby mężczyzna o twarzy wielkiej jak księżyc, czerwonej od wypitego napoju albo i od ciepła idącego z pieca trzymał za gardło siedzącego obok chudzieńkiego chłopinę o pałakowatych ramionach, cieniuśkim orlim nosie i twarzy wąskiej jak słój drewniany w desce.

- Giń, robaku nędzny, żeby cię więcej ziemia nie nosiła, bo jej wstyd za ciebie, podły psie.

- Michałko - jęczał chudzielec - Michałko, puśćże, bo udusisz.

- Toć właśnie udusić cię chcę, wstrętne ptaszędło.

- Michałko, puszczaj, dlaboga.

- Nie puszczę, aż słowa wrażego nie odwołasz.

- Cóż mam odwoływać, kiedyć to prawda!

- Odwołaj - gruby mężczyzna jeszcze mocniej sczerwieniał, wstał i - wielkim swoim cielskiem na mniejszego napierając - począł dusić jeszcze mocniej, aż tamten całkiem świadomość zaczął tracić. Białka wyrócił, rzęził strasznie, język wywalił posiniony i w końcu na gębie przybrał barwę buraka. Majtnął ręką, strącając ze stołu garniec pełen piwa. Dzban huknął o ziemię i rozbił się tak, że bryzgnął pianą naokoło.

Rumor się zrobił większy, ludzie od ław powstawali, pokrzykiwać zaczęli, jedni dla dodania animuszu, inni dla przestrogi, by gorączkę wystudzić.

Przedarł się między tłumem szeroki w barach karczmarz, z wielkim, brudnym fartuchu, powiewającym na brzuchu jak chorągiew.

- Puśćcie go - wrzasnął do grubasa i szarpnął go za ramię. - Ostawcie. Co to za burdy, co wyczyniacie?

Cherlawy zaczął łapać powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg. Tłusciuch wyglądał jak rozwścieczony buhaj i dwóch jeszcze postronnych gości musiało karczmarzowi pomóc, by go na bok odstawić, aż oprzytomnieje.

Sapał, gębę wykrzywił, w końcu warknął:

- Puście, spokojny już będę.

Popatrzyli po sobie, a karczmarz dał im znak, że mogą odstąpić.

Grubas usiadł na ławie, podparł głowę rękami i patrzył tępo przed siebie.

- Co wam? No co? Bo książęcych zawołam, kłopoty mieć będziecie. - natarł gospodarz.

- Książęcych? A jakich to książęcych zawołacie? - zaśmiał się ironicznie, złapał za dzban z miodem i wychylił go duszkiem, a potem otarł gębę rękawem.

- Już to zobaczycie, jakich, kiedy ich zawołam. Do lochu was wtrąca, tam otrzeźwiejecie - oberzysta złapał się pod boki i patrzył z groźną miną na tłusciucha.

- Książęcych może i tak, juści, ino jakich, pytam, jakich?

- Spił się, spił jak bela - dobyły się głosy wśród gości.

- Takich, jak trzeba: książęcych wojów. Porządek z wami uczynią. A za dzban zbity zapłacicie. I tyle. I nie mordujcie mi tu ludzi. Jak chcecie, wiedźcie go na dukt gdzieś i tam duście, a nie w mojej gospodzie.

- Kiedy łże łajza jedna okrutnie, o księciu! - ryknął grubas i ponownie krew go poczęła zalewać.

- Co łże? O którym to księciu?

- O Henryku! Gada, że książe Barbatus nie żyje. Ech, ty psiekrwie, niech no mi tylko pod rękę trafisz, ja cię dopiero krotochwili nauczę.

Karczmarz pokiwał głową, wytarł stół kawałem ściery i rzekł.

- To prawdę gada. Księciu się dobremu zmarło. Będzie kilka dni temu.

- Co gadacie? - mężczyzna zerwał się tak szybko, jakby nie miał ni grama tłuszczu na sobie, i chwycił karczmarza za rękaw.

- Puście - wyszarpnął mu łokieć karczmarz - chyba dobrze słyszycie, co gadam. - - Księże Henryk, co go Brodatym lud zowie, zmarł.

- Ale kto to? Jak to? I gdzie? Otruty, zabity? W zasadzkę wpadł?

- Gdzież otruty. Kto by go truć chciał?

- Choćby Odonic albo i Świętopelk. A jak w Gąsawie było?

- Zmarł dobry książe, bo tak natura chce. Jak nie wiecie, to wam rzeknę, że ludzie odchodzą z tego świata na sposoby całkiem zwykłe, całkiem zwykłe.

To powiedziawszy karczmarz zawinął się i odszedł do kuchni, rzucając na odchodnym:

- Tylko mi się już nie mordować, dzbanów nie tłuc.

No!

Zniknął za grubą zasłoną, a nastrój w gospodzie wrócił do zwykłego stanu, gdzie gwar się miesza z odorem piwa i miodu, gdzie ciemność rozpraszają jeno łuczywa wiszące gdzieniegdzie na słupach oraz ogień trzaskający na głównym palenisku i gdzie tłuszczy się skrapla z pieczystego na brodach i wąsach, tak że już nie wiadomo, co za krople ciekną po twarzach gości - potu od gorąca czy tłuszczu z mięsnych potraw.

Chuderlawy mężczyzna rozcierał gardziel, dochodząc do siebie, i patrzył na kompana z tak wielkim oburzeniem, że gdyby wzrok mógł zabijać, to tłusciuch dawno by już rzeził w drgawkach przedśmiertnych gdzie pod ławą.

- Michałko, Michałko - powiedział w końcu drobny mąż.

- Co, Bocianku? - odparł ponuro grubas, patrząc w przestrzeń i podpierając się łokciem na stole - Nawet nic mi nie gadaj.

- Jak mam ja ci nie gadać, jak tyś już nie jest mój druh?

- Kto nie jest twój druh?

- Ty, Michałko, ty.

- Eeee...

- Juści, juści - gadał dalej Bocianek - żaden z ciebie druh.

- Iiii... - machnął ręką tłusciuch.

- Żaden druh, bo druh druha nie dusi, a tyś Bocianka dusił.

- Aaaa - Michałko po raz drugi kiwnął lekceważąco łapą, po czym zerknął na chuderlawego z ukosa i dodał. - Też mi duszenie.

- Też mi duszenie? - Bocianek aż się uniósł podenerwowany. - Też mi duszenie? A to co?

Podsunał się do grubasa i wyciągnął szyję tak wysoko, unosząc brodę, by dobrze widać było ślady mordowania, którego dopiero co uniknął.

- Patrzajże.

Michałko łyknął z dzbana i westchnął smutnie, a głęboko. Lecz patrzeć nie miał zamiaru.

- Patrzajże, Michałko - powtórzył chudzielec.

- A na cóż mam patrzeć?

- Jak na cóż? Na tropy.

- Na jakież tropy?

- Na tropy duszenia.

- Nie gada się tropy, ino ślady. Tropy to są, Bocianku, tura w kniei, a na szyi masz najwyżej ślady.

- Niech będzie, że i ślady. Patrzaj więc na ślady. Michałko wygiął wargi w lekceważącym uśmiechu.

- I cóż mam widzieć?

- Otóż jest, Michałko, ślad twojej zdrady. Zdrady okrutnej i podłej, bo na druhu dokonanej. Tfu, na druhu. Jużeś nie mój druh, ani ja twój.

Bocianek usiadł obrażony, z miną, która wskazywała, że przyjaciel będzie musiał srogo zapłacić za próby duszenia.

Siedzieli tak przez chwilę i nic do siebie nie gadali. Piwo i miód siorbali, gapili się - to w powałę, to w palenisko, to na gości innych, siedzących przy ławach, to na potrawy z kaszą parującą, które wnosili do izby karczmarz i jego posługacze.

Co Michałko westchnął mocniej i w stronę Bocianka się odwrócił, to Bocianek udawał, że go wcale nie widzi. Co Bocianek minę zrobił bardziej uległą, to się Michałko zdawał nie kwapić z próbami przeproszenia.

Na koniec pojawiła się między nimi mucha, którą ciepło obudziło, zanim jeszcze wiosna na świecie nastąpiła - wielka i brzuchata - zaczęła krążyć między nimi powoli, zataczając ospałe koła, jakby była opita miodu.

Raz na nią machnął Bocianek, raz Michałko, aż usiadła na samym końcu nosa tłuściocha.

- Nie rusz się - syknął Bocianek i powołusku, tak żeby nie spłoszyć owada, wygiął ciało i z całej mocy pacnął ręką w muchę.

Ta zginęła rozplaszczona na czerwonym nochalu. Michałko krzyknął i złapał się za twarz, a Bocianek wybuchnął śmiechem:

- To dostałeś, Michałko, za swoje dostałeś!

Grubas przez chwilę zezował na przyjaciela, ale zaraz złość mu odeszła i gęba rozszerzyła się w uśmiechu.

- To dostałem, Bocianku, to dostałem.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu i nagle Michałko przygarnął Bocianka do szerokiej piersi.

- Wybacz, druhu, wybacz duszenie, alem się tak zeźlił na ciebie, jakieś mi o księciu Henryku powiadał, że mnie jasna gorączka załała. Nic żem nie wiedział, co się ze mną dzieje, tylko mnie piekliło i piekliło.

Tak widzisz, Bocianku, nie ze zdrady, aleć z miłości do księcia mnie gorączka naszła i na ciebie się to wszystko złało. Wybaczysz mi? Bocianku?

- Puśćże... Nie duś! - wyjąkał Bocianek przygnieciony cielskiem i łapami grubego przyjaciela. Wyzwolił się z uścisku, usiadł, grzywkę poprawił, miodu łyknął i zaczął dalej gadać.

- Nic żeś już nie dał sobie wyklarować, Michałku. A żem się wszytkiego wywiedział we klasztorze, u mnichów, oni dobrze rzecz znają, bo na uroczystości pogrzebowe do Trzebnicy ruszą.

- Do Trzebnicy, gadasz? Znaczy księżna Jadwiga chce go u siebie pochować, przy boku?

- Przy boku. Za życia łoża wspólnego nie zaznawali przez lat tyle, to teraz chociaż go blisko siebie ułoży na wieczne spanie. A zmarło się mu ponoć w Krośnie nad Odrą.

- Ech, Bocianku, nie gadaj nawet, nie gadaj. Dobry był to książe, jak za dawnych lat bywało.

- Dobry był, może i za dobry.

- Co to teraz będzie? Co będzie? Znaki są na niebie i ziemi, że zły czas nadciąga.

- Nadciąga. A co ludziska gadają?

- Ot, co gadają. To racja. Nawałnica jakaś ze wschodu ma przyjść.

- Może to bajdy jeno?

- Może i bajdy? Kto tam wie, Bocianku, kto tam wie.

- Ot, Michałko, ot.

Obaj sięgnęli po dzbany i wychylili je za duszę zmarłego księcia Henryka, zraszając łzami całą ławę. Potem jeszcze raz je wzniesli, tym razem za zdrowie księżnej Jadwigi. Na koniec wypili za los dobry dla syna zmarłego władcy, księcia Henryka, następcę śląskiego tronu. Zwanego przez lud Pobożnym.

W tej właśnie chwili ktoś drzwi do karczmy otworzył, aż się mróz poniósł po kątach gospody i łuczywa na chwilę przygasły.

*

W drzwiach stanęła postać zwalista i potężna, a światło padające od ognia oblało ją blaskiem odpowiednim dla wyglądu - diabły wszelkie ludowi się zdają zawsze skąpane w czerwieni i pomarańczowych ognikach, jakby spod kotłów piekielnych bijących.

Tak też i poświata od paleniska jakby tylko czekała na takiego stwora, w nim dopiero znajdując doskonały obiekt do pokazania swej szkarłatno-dybuczej istoty.

Na progu karczmy stał wojownik, który chyba ze dwa metry musiał liczyć, tak był olbrzymi. Na głowie miał hełm ozdobiony dwoma wielkimi bawolimi rogami, co było samo przez się niezwykle i rzadko spotykane - nawet u wikingów takie ozdoby przystały raczej kapłanom niż wojownikom. Twarz zakrywała część nosa okutego ćwiekami, na kark opuszczał się kapturkolczy, reszta postaci niknęła w szerokiej, burej opończy i wilczej skórze.

W twarzy, obrośniętej gęstą brodą, znać było jedynie dwa stalowe, zimne, pewne siebie świetliste punkty - oczy.

Oczy te dokonały szybkiego przeglądu całej izby, prześlizgując się od osoby do osoby i jakoby mierząc jej możliwości bojowe.

Rozmowy w gospodzie ucichły, przygasły, pełzać zaczęły nisko przy ławach, a tłum zdawał się nie zwracać uwagi na nowo przybyłego.

Jedną się tylko dziewczynka od stołu oderwała, która zimową porą umiała przybyszom z dalekich stron chłodne wieczory ciepłotą własnego, dobrze opłacanego ciała.

Chwiejnym krokiem podeszła do obcego i zwinawszy kiecką, uśmiechnęła się do niego, odsłoniła biust i pokazała drapieżne zęby w uśmiechu.

Warknął tylko i odsunął ją zdecydowanym ruchem ręki.

Zaśmiała się pogardliwie i wróciła do stołu, gdzie było jej towarzystwo.

Wojownik podeszedł do ławy, przy której siedziało kilku chłopów, zdjął z głowy hełm i postawił go na stole między misami i dzbanami. Obok niego położył szeroki topór bojowy.

To wystarczyło, żeby ława zrobiła się pusta. Chłopi złapali swoje dzbany i kaszę w drewnianych misach, po czym umknęli na belę idącą równo pod ścianą, gdzie mogli w spokojnym i bezpiecznym miejscu popatrywać na to, co się działo, a przede wszystkim na obcego.

Bocianek szturchnął w bok Michałka i szepnął:

- Widzisz tego?

- Widzę. Cichaj.

Umilkli i sączyli napoje powoli, by nie dać po sobie poznać, że obserwują olbrzyma.

Przybysz zaczekał, aż podejście ku niemu karczmarz, który rzeczywiście szybko się pojawił, a w ukłonach giąć się zaczął, jakby sam książę jaki się zjawił na podwodę. Obcy wskazał ręką na parującą potrawę stojącą na stole obok i żywym gestem kazał sobie podać to samo. Także i oberżysta zniknął w izbach kuchennych i długo tam nie zabawił. Przybiegł z daniem na korycie drewnianym, z wielką ilością kaszy i ogórka nasiekane.

W drugiej ręce taszczył dzban gliniany z piwem, pieniaącym się ponad brzegami. Wszystko to ustawił przed gościem i okręcił się na pięcie, by do swoich zajęć wrócić, lecz nie zdążył: ręka obcego złapała go za przedramię żelaznym uchwytem i zmusiła, by usiadł. Wielkolud rozejrzał się po gospodzie dla sprawdzenia, czy ruch ten zwrócił uwagę innych. Nikt jednakowoż nie patrzył w stronę karczmarza, a nawet jeśli kto co widział, to nie miał najmniejszego zamiaru, by się z tym zdradzić. Wszyscy zajęci byli bądź to rozmową, bądź trącaniem się dzbanami, bądź zagłębianiem zębów w mięsne kąski - i aż dziw brał, że nikt w gospodzie na obcego nie chciał nawet drobnego spojrzenia rzucić.

Michałko wraz z Bociankiem jęli szeptać coś do siebie.

Wojownik odsunął na bok topór i hełm, a następnie począł karczmarzowi stawiać pytania za pomocą języka znanego na całym świecie - wymownych gestów i takich ruchów rękami, które nawet najgłupszemu słuchaczowi muszą się skojarzyć z odpowiednim słowem.

Coś gadać też próbował, ale karczmarz kręcił głową na znak, że nie rozumie.

W pewnej chwili z kuchni wyszedł posługacz jakiś, pewnikiem syn karczmarza, i jego nagle ucapił obcy, ku wielkiemu przerażeniu ojca. Brodacz nic mu jednak złego nie zrobił, tylko wyraźnie palcem go wskazał, a potem puścił wolno. Dalej dłoń na ustach położył i oderwał ją szybko, język wystawił, łapą ucapił, jakby chciał go sam sobie z gęby wyrwać. Machał wielką ręką, dając znaki, a karczmarz ni w ząb nie rozumiał, a rozglądał się wokół, pomocy szukając, bo coraz bardziej był przerażony.

Obcy nóż nagle wyciągnął i zaczął rysować coś na stole, ale biedny oberżysta nic nie mógł pojąć, próbował wstać, by wyrwać się z nieprzyjemnej sytuacji. Ucapił go olbrzym za kark, na siłę do stołu przystawił, nożem przed oczami mu zaświecił, a potem sięgnął za pazuchę, dobył z niej woreczek z monetami, wyciągnął dwie i na ławę rzucił przed nos karczmarza. Biedak jednak nic wyrozumieć nie był w stanie, czego lub kogo obcy szuka. Kręcił głową mocniej i mocniej, wił się jak piskorz w uścisku silnym, lecz sytuacji swojej nie polepszał, bo brodacz najwyraźniej tracił zimną krew, gadał coś po swojemu, szwargotliwym językiem, gestykulował coraz żywiej, warczał prawie i zęby obnażał, jak wilk wściekły szykujący się do ostatecznego ataku.

Złapał karczmarza za kołnierz i zaczął ciągnąć do siebie, gdy nagle obok pojawiła się wielka, tłusta postać, kolebiąca się z jednej nogi na drugą.

- Cóż to, karczmarzu? Do Peruna jasnego! Ileć mam czekać na ten udziec, co? Już całą godzinę tak siedzimy, a wy nic!

Obok ławy, przy której siedział oberżysta z wojownikiem, stał Michałko, grając bardziej pijanego, niż był w istocie. Zamachnął się i trzepnął pięścią w stół, aż się zatrzęsł hełm i topór obcego, a przede wszystkim jego potrawa w wielkiej, drewnianej misie.

- Cóż to? Tego pierwiej obsłużycie, kiedym ja wam gadał, co chcę, tak dawno, że raz już łuczywa były na ścianach zmieniane? Może wy Michałka z Brzegu za nic macie, karczmarzu, co?

Za Michałkiem pojawiła się chuderlawia postać, wyglądając to z prawej to z lewej swojego przyjaciela jak zza wielkiego dębu.

- I Bocianka też, Bocianka znikąd też żeście zapomnieli! - krzyknął.

Gwar się zaczął robić w całej izbie. Pełna ona była chłopów i podróżnych, bo zimową porą karczma to miejsce, gdzie czas godziwie mąż mógł spędzać. Teraz wszyscy czekali, aż się bitka zacznie. Wstawali z miejsc i gromadzili się wokół Michałka, Bocianka, karczmarza i obcego woja, patrząc, który pierwszy uderzy.

Wojownik nie czekał. Złapał za hełm i na łeb nacisnął, wstał, chwycił topór i Michałka zmierzył groźnym wzrokiem.

Ten zatoczył się w tył ze dwa kroki, czknął i swym cielskiem prawie przygniótł Bocianka.

- A to... to... hyp... co za wieżyca jakas? - zamrugał Michałko, zaczął, głowę obtarł i przypatrywać się zaczął obcemu tak, że od samego patrzenia w jego oczy można było się upić - Coś za jeden, gadaj, hyp, niedźwiedziu, diable rogaty! Ja jestem Michałko z Brzegu, rycerz księcia Henryka, a tyś kto?

Obcy powiódł wokół wściekłym wzrokiem ugodzonego tura, który zaraz ryknie i ruszy do ataku, ale w tej chwili Michałko zachwiał się mocniej raz i drugi - i na plecy poleciał, tracąc świadomość.

Jak tylko upadł, minę błogą na głowie przybrał i zaczął chrapać, jakby spał u mamki na cycku.

- Wypuście mnie! Ludziska! Pomóżcie! Zdejmijcie go ze mnie! - spod niego dał się słyszeć stłumiony głos przyduszonego Bocianka.

Ludzie wybuchnęli gromkim śmiechem, kilku podeszło i na bok chrapiącego Michałka odwlokło, na ławę ułożyło, a Bocianek za nim się udał, jęcząc.

Wojownik olbrzymi tymczasem sam został na środku izby, topór w łapie dzierzył i toczył wokół dzikim spojrzeniem. Karczmarz skorzystał z okazji i umknął do kuchni. Obcy, chcąc nie chcąc, musiał broń odłożyć. Siadł z powrotem za ławą i kaszę z mięsem zjadł do końca. Potem rzucił na stół jedną monetę i wyszedł z karczmy w mroźną noc, nie odwracając

się nawet. Ludzie tylko patrzyli z ciekawością, czy rogami z hełmu nie zahaczy o niską framugę we drzwiach. Widać zwyczajny był niskich ościeżnic, nie zahaczył.

Wtedy to zza zasłonki wychynął karczmarz. Rozejrzył się, przez okienko jeszcze popatrzał, a potem do gości wrócił. Przyniósł dwa pełne dzbany i na stół postawił przed Bociankiem.

- Macie tu - rzekł - ode mnie.

W tej to chwili Michałko, leżący całkiem nieprzytomnie na ławie, oko uchylił i spytał całkiem trzeźwo:

- Czy już diabła diabli wzięli?

- Wzięli, Michałko, wzięli. Zawinał się i poszedł, gdzie jego miejsce.

- Do piekła, Bocianku.

- Do piekła, Michałko.

Obaj mrugnęli do karczmarza, a ten pokiwał głową i wrócił do kuchni. Ciekawe życie oberżysty w takich czasach.

*

Przejmujący ziąb panował w kościele, tak że zdawało się, iż na twarzy Chrysta, wyrzeźbionej w drewnie, zebrał się szron. Brat Albert podniósł wyżej pochodnię i poświecił na Zbawiciela. Zdawało mu się, że Jezus poruszył się na krucyfiksie, że drgnęła jego głowa, że nagle zamrugał, że z ust unosiła mu się para. Zakonnik rozejrzył się niepewnie po całej świątyni: nie było nikogo, więc po stopniach wszedł jeszcze wyżej, zbliżywszy się do ołtarza, dwie świece zapalił, by trochę mrok rozjaśnić, a potem uklęknął i pomodlił się. Po chwili wzrok uniósł pokornie w stronę krzyża i znowuż miał wrażenie, że Chrystus się poruszył, a nad ustami jego pojawił się obłoczek od oddechu na zimnie. Braciszek wstał z kolan i zbliżył się do drzewa świętego, na stopach złożył pocałunek, i szron starł z palców Syna Bożego. Uniósł pochodnię, rzucającą blask na ciało ukrzyżowane, i patrzył nabożnie, czekając na powtórny znak, co już by mógł za cud poczytać.

Drzeć począł Albert na całym ciele, bądź to z zimna, bądź z wielkiej bojaźni bożej, której przyływ czuł całym swoim sercem i duszą.

- Panie, widziałem, widziałem, znak dałeś, dziękuję ci, Panie - pochylił się znowu nad stopami i nabożnie je ucałował.

Kościół cały zdał się tonąć w mrozie, a szron i niewielkie sople widać było na obramowaniach malowideł, słupach, rzeźbieniach, ławach i nawet na kwiatach suchych, od lata jeszcze trzymany przed ołtarzem dla ozdoby.

Mnisi na co dzień z kaplicy jeno korzystali, a lud na mszach niedzielnych kościół własnym ciałem i oddechem nagrzewał.

Brat Albert zasadził pochodnię w uchwycie i uklęknął, składając dłonie do modlitwy. W ciszy rozbrzmiewał jeno szept jego myśli.

Niewielka świątynia pachniała drewnem i kurzem, które w takich miejscach splatane są żywicą i kolanami wiernych w jedną zatęchłą całość, doprawioną kadzidłem.

Ciszę rozdarł nagle skrzyp drzwi. Brat Albert drgnął i podniósł oczy. Przeżegnał się kończąc, modlitwę.

Spojrzał w tył, lecz niewiele mógł zobaczyć: on klęczał w transepcie, a ten, kto przybył zniknął zaraz w cieniu przy samym wejściu do kościoła. Drzwi zamknęły się same, pchnięte wiatrem. Huk poniósł się po pustym kościele jak grzmot zwiastujący burzę.

Zakonnik przeżegnał się ponownie, pogładził po łysinie wypielegnowanej według wszelkich wymogów pobożności w prawidłową tonsurę, spojrzał na krucyfiks, chrząknął i głośnym szeptem zapytał:

- Kogóż to dobry Duch Święty do mnie przyprowadził?

W ciemnościach rozległy się ciężkie kroki i chrzęst bojowego uzbrojenia, spotęgowane echem lodowatej i pustej świątyni.

Braciszek starał się wypatrzeć w mroku zbliżającą się postać, a ponieważ odpowiedź na jego pytanie nie padła, także i jeszcze raz zapytał:

- Kim jesteś, przybyszu?

Odpowiedziała mu cisza i kilka kolejnych kroków.

- Witaj w Domu Bożym, wędrowcze. Jakąż posługą duchową mogę Ci służyć?

Odgłos kroków ustał. Ciszę przeszył głos mroźny jak powietrze dokoła. Pytanie padło w języku północnych ludów, co za morzem Bałtyckim mieli swe siedziby:

- Tyś jest brat Albert?

Zakonnik milczał przez chwilę zaskoczony, po czym odparł, używając tego samego języka:

- Jam jest.

I dodał po łacinie:

- *Laudetur Iesus Christus.*

Znów rozległy się kroki. W kręgu światła przy ołtarzu pojawiło się nagle monstrum, które zdało się przybyć z krainy wrogiej Królestwu Chrystusa.

- Matko Przenajświętsza, miej mnie w swojej opiece - wyszeptał do siebie braciszek i szybko spojrzawszy na krucyfiks, dodał - ratuj mnie, Panie mój, bo szatan do mnie przyszedł. I do twego domu.

Przeżegnał się kilkakrotnie, trwożliwie mieląc wargami szybkie modlitwy.

Wojownik spostrzegł jego przerażenie, zamruczał jak niedźwiedź, po czym zdjął z głowy hełm z diabło sterczącymi na boki rogami. Wsadził go pod pachę i patrząc władczo na mnicha, skinał mu głową.

- Witaj - rzekł krótko, po czym spod opończy wyjął zwinięty kawał papieru z wielką, czerwoną pieczęcią na wierzchu. Podał pisanie zakonnikowi. Ten wziął list do ręki, rozwinął rulon i przebiegł oczami zapisaną treść. Zamknął pismo i przyjrzał się pieczęci. Pokiwał głową, łykając ślinę.

- Arcybiskupia. Czego chcesz?

Wojownik rozejrzył się po kościele, po czym podszedł do ławki dla wiernych, na której rozsiadł się, kładąc obok hełm i topór.

- Duchy są w klasztorze? - zapytał.

Brat Albert przeżegnał się ponownie i podreptał w stronę ławki. Siadł na niej tak, by nie potraścić hełmu, a koniec topora ujął w dwa palce i przesunął, żeby nie dotykać go, siedząc.

Z tyłu za nimi znowuż drzwi trzasnęły od wiatru.

- Nie domknęliście - powiedział Albert, a wojownik zaśmiał się i odparł swoim językiem, bliskim warczeniu zwierzęcia:

- Zimniej tu i tak nie będzie, nawet jak drzwi otwarte. Gadaj, klecho - Duchacy są w klasztorze?

- Panie, bądź przy mnie w trudnej chwili - szepnął do siebie zakonnik po polsku, a po chwili, głośniejszym głosem, odparł w języku północy:

- Byli. Jeszcze na jesieni. Potem nagle się wszystko zwinęło i jednego dnia, jakeśmy na jutrznię wstali, tak ich już nie było. Zwinęli się i pojechali. Tak to już jest z Zakonem. Ot, Święty Duch nimi rządzi - Jemu ślubowali posłuszeństwo, tak i kiedy każe im działać, tedy nie czekają, ino w drogę idą.

- Jakie numery były?

- Numery?

- Numery, wiesz, o czym gadam.

- Wiem, toć numery mają na maskach żelaznych wykute - na pokorę, której czasem niejednemu słudze Pana naszego brakuje, oj, brakuje. Ciężka to reguła.

- O regułach mi nie praw, nie w tym sprawa - warknął znowu brodaty i rozejrzał się nagle po kościele - słyszałeś co, klecho?

- Cóż?

- Coś łązi.

- Gdzie?

- Tu, w kościele.

- Może być tchórz, zaległy się tchórze na dzwonnicy.

- Może i tchórz. Gadaj więc - jakie numery były? Brat Albert podrapał się po głowie, zmarszczył czoło i cmoknął, jakby niezadowolony z własnej kiepskiej pamięci:

- Numery były, ale jakie dokładnie, wybaczcie, nie pomnę, ja sługa boży prosty, w skrytorium rzadko bywam.

- Wysokie czy niskie? Gadaj mi, a nie kręć. Wojownik podsunął pod nos zakonnika rulon z pieczęcią.

- Pismo widziałem, nie musicie mi nim machać.

- To gadaj wprost, nie naokoło, albo mnie rozeźlisz.

- Były i wysokie, i niskie. Tak. Dobrze pomnę. I wysokie, i niskie.

Brodacz chwycił za topór i wbił go z mocą w ławę. Echo się poniosło po kościele, a brat Albert szybko się przeżegnał kilka razy.

- Dom to boży, pamiętaj, dom boży. Zmiarkuj - mówił teraz szybciej i bardziej nerwowo - było ich kilku albo więcej. Numery były wysokie i średnie i niskie, nie pomnę jakie, bo oni z nami nie bywali, sami nabożeństwa sprawiali, jeno się z przeorem widzieli na samym początku. Mnie się zdaje, że widział chyba numer Czwarty, a może się mylę. Chyba i Siódmy był.

Wojownik złapał mnicha za habit i przyciągnął ku sobie:

- Gadaj mi wszystko, co wiesz, albo nie bacząc na miejsce i na twoje ubranie, zabiję cię. Pójdiesz tedy prędko do swego Boga. A jak chcesz, mogę cię i do krzyża przybić, jak tego tam, co wisi. Wtedy się całkiem do swojego Pana upodobnisz. Ale najpierw mi powiesz wszystko, co chcę. Rozumiesz?

- Tak - wyjąkał brat Albert, a gdy go obcy puścił z uścisku, poprawił sobie habit przy szyi i odkaslnął, a potem spytał - Rzeknij mi jeno, skąd ci było wiadomo, że gadam po twojemu?

- Nie ty pytasz. Ja pytam.

- Pytaj. Ino po bożemu, a nie po diablemu.

Chwilę siedzieli w milczeniu, popatrując na siebie. W końcu wiking rzekł:

- Chłopiec niemowa. Był tu?

Brat Albert zrobił minę, która obrazowała jego bezbrzeżne zdumienie.

- Chłopiec niemowa? Nie pomnę takiego.

- Jesteś pewien? - woj poglądził wymownie metalową część topora.

- A gdzieżby taki był? Może wśród sług klasztornych? Jest trochę dzieciaków ode chłopów z naszej własności podesłanych na posługę. Ale czy który niemota, tego nie pomnę.

- Nie. Nietutejszy.

- Nietutejszy? To takiego nie pomnę.

- Pomyśl dobrze, żebym ci nie musiał pomóc przybliżyć się do Chrysta.

Brat Albert ukradkiem sięgnął po różaniec wiszący u pasa i kiedy rozmawiał z obcym, jego palce cały czas przelatywały po kolejnych paciorkach, od jednej zdrowaśki do drugiej.

- Gadam wam prawdę. My się kłamstwem nie paramy. Żyjemy w prawdzie, przybyszu z moich stron dawnych. W prawdzie - tego się dowiedz, choć pewnikiem i z tego nic nie wyciągniesz, bo myślisz po swemu, znaczy po dawnemu. Mojego ducha nie zrozumiesz. Nie szczekaj więc na mnie, bo mnie to lękiem nie napoi. Mnie Panienska strzeże Święta.

- Białogłowa cię chroni?

Wiking wybuchnął śmiechem, który zabrzmiał w pustym kościele jak ujadanie psa. Umilkł więc speszony i rozejrzał się już mniej pewnie.

Zerknął w stronę Chrystusa wiszącego na krucyfiksie i nagle zerwał się na równe nogi.

Podbiegł i chwytając pochodnię, przyświecił na twarz wyrzeźbioną w drewnie.

- Co to? Co to było, klecho?

Brat Albert złapał go za kraniec opończy, odciągając spod krzyża.

- Nic, nic, siadaj na ławie, wszystko ci opowiem.

- Czekaj, on ruszył się. Co za sztuczki robicie?

- Nie ruszył się. Zdawało ci się jeno.

- Nie zdawało się. Ja wiem, co widzę, wiem, co gadam. Głowa się ruszyła, patrzył na mnie.

- Gdzieżby patrzył?

- Patrzył, a teraz łeb zwiesił.

Wiking zamachnął się i wymierzył policzek drewnianej figurze, aż echo poniosło po świątyni.

Brat Albert upadł na kolana i płacząc prawie, zaczął błagać.

- Nie bluźnij, proszę, zostaw. Zostaw, to Zbawiciel.

Brodacz mruknął wściekle i cofnął się dwa kroki. Wrócił do ławy, hełm na łeb nacisnął i patrzeć zaczął spod niego, świdrując oczkami jak grotami strzał. Podeszedł do klęczącego zakonnika, za kark go złapał i do stopni ołtarza na siłę pochylił.

Sam też przyklęknął, żeby lepiej słyszeć i twarz mieć zaraz koło ucha Alberta. Wyszeptał mu prosto w kark.

- To gadaj mi teraz. Wędrowny kuglarz. Znasz?
- Kuglarz?
- Szalbierz na wozie. Taki, co ich wielu latem jeździ. Oszust.
- Oszust?
- Nie graj ze mną w dziecinną grę. Odpowiadaj albo utłukę.
- Szalbierz. Na wozie.
- Na wozie.

Mnich uniósł się trochę, popatrzył w oczy brodacza i rzekł:

- Nie znam.

Wiking przytrzymał go za kaptur, okręcił wokół pięści, tak że materiał zawinął się na szyi staruszka, i zaczął go dusić.

- Nie znasz?
- Nie. Dyc gadam.

Wojownik przyciągnął jego twarz do swojej, tak że stykali się prawie nosami, a oczy świeciły naprzeciw oczu.

- Pomyśl, czy prawdę gadasz, na stopniach ołtarza jesteś. Zwa go Jeruzalem. Znasz? Brat Albert zaczął się śmiać przez łzy.
- Opiłeś się, wikingu, miodu naszego?

W oczach przybysza zagrały płomyki wściekłości. Mnich dalej się śmiał, mimo iż ciężko mu było oddychać.

- Jeruzalem? Co gadasz, wikingu? Jeruzalem to miasto jest. Święte miasto. A nie oszust.

- Z małpką na wozie jeździł, a z nim chłopiec. Pamiętasz?
- Jaką małpką? Puść mnie zaraz albo krzyceć zacznę. Bracia usłyszą, w dzwony bić będą, rwetes się narobi.

- Mnie tu arcybiskup z Gniezna śle, psie kościelny. Jego słuchaj i gadaj mi prawdę.
- Gadam.

Wojownik nagle puścił zakonnika i odepchnął go od siebie. Cofnął się dwa kroki i patrzył osłupiały na krucyfik. Oczy miał szerokie z przerażenia.

- Cóż to? Cóż to było, mnichu? - jego pytanie, gardłowe, chrapliwe, znów brzmiało jak szczek psa.

- Co? Co chcesz, wikingu? - oddychając ciężko i próbując wstać, pytał Albert.

- On... on dycha... on dycha... parę widziałem...

- On dycha, bo to jest... Bóg. Klękniij przed nim, a ci wybaczy.

- Coś rzekł, psie?

- Klękniij, a ci wybaczy.

Wiking patrzył wzburzony na drewnianą, oszronioną twarz Chrystusa. Złapał za pochodnię i począł przyświecać blisko, przy samych policzkach rzeźby. Pod wpływem ciepła szron zaczął się skraplać i płynąć po czole Jezusa jak pot, a dalej po policzkach jak łzy.

Wojownik rozejrzył się i nagle wydało mu się, że w kościele mignął jakiś cień. Machnął toporem wokół, zataczając szerokie koło.

- Wyjdz, stań! - ryknął. - Spróbuj, jak smakuje żelazo Thora! Wyjdz, Bogu tchórzliwych ludzi! Stań! Wzywa cię syn Odyna!

Jego wrzask poniósł się po martwej, cichej świątyni i zgasł utopiony w zamrożonych, drewnianych ścianach. Brat Albert wstał i patrzył na niego ze spokojem.

- Odejdź już - powiedział cicho. - Odejdź, zły człowieku. Łączy nas krew przodków, dzieli nas duch.

- Co gadasz, psie? Co gadasz? - wojownik zatoczył się, jakby był pijany. Złapał równowagę, podszedł i znów chwycił braciszka za kaptur.

- Mów, gdzie Jeruzalem? Gdzie poszedł? Gdzie on? Zakonnik milczał, ruszając jeno paciorkami różańca w palcach.

- Gadaj albo cię zmusi to żelazo! Gdzie on?

Staruszek był już spokojny. Patrzył pewnie w oczy brodacza. Ten zawył z wściekłości, jak uderzony obelgą, i nagle podbiegł do ołtarza. Zamachnął się i z całej siły ciął toporem w stopy drewnianej figury Chrystusa. Odleciały, padając tuż przed bratem Albertem. Nogi się pod nim ugięły. Ukłęknał, złożył dłonie.

- Panno Przenajświętsza, ratuj! - krzyknął.

W tej chwili topór Odyna uderzył w drobne ciało Nazarejczyka i wbił się między żebra. Kolejny cios odłupał ramię. Jeszcze jeden uderzył w szyję.

Żelazo Thora było silniejsze niż stare drewno, z którego wyrzeźbiono Jezusa. Głowa Zbawiciela upadła u stóp wojownika z północnych krajów, gdzie śnieg i mróz wychowują ludzi, którzy nie cenią sobie słabości.

Wiking kopnął koronowaną cierniem głowę w stronę mnicha.

W tej chwili na oścież się otworzyły drzwi do kościoła. Ktoś wybiegł z niego w zimną noc i krzyczał na całe gardło.

- Błuznierstwo! Ludzie! Ludziska! Ktoś Chrysta zabił! Ktoś nam Chrysta zabił! W kościele! Ludzie!

Brodacz zawinął się opończą i pobiegł w stronę wyjścia, nie patrząc już nawet na klęczącego zakonnika, który tulił do siebie głowę odrąbaną z krucyfiks.

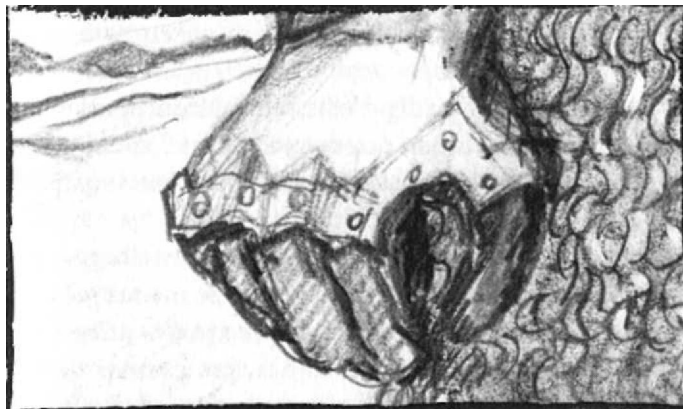
Na zewnątrz wiał mroźny nocny wicher i porywał za sobą wrzask Bocianka, który biegł w stronę zabudowań klasztornych, krzycząc o pomoc.

Spomiędzy ławek wysunęła się wielka, nalana, okrągła gęba. Michałko dzwignął się z ukrycia i podbiegł do brata Alberta.

Zakonnik płakał, tuląc do piersi drewnianą głowę. Grubas stanął tuż koło niego i wyciągnął dłoń w stronę ramienia staruszka, ale widok tej piety zatrzymał go. Dłoń zawisała w powietrzu. Coś chciał rzec Michałko, lecz zamilknął.

Wycofał się w milczeniu i w końcu pobiegł za Bociankiem. Śnieg tymczasem zasypywał ślady wikinga, który odjechał na swoim koniu w ciemną noc.

Psy szczekały w obejściach. Ludzie ze snu wstali, nasłuchując niespokojnie. Wicher to dmie w kominach i jęczy czy diabeł łązi po opłotkach?



ROZDZIAŁ V

CZERWIEC 1238



Siekiera uderzała rytmicznie, wyrąbując z cielska wielkiej jodły kolejne kawały jasnego drewna. Żar lejący się z nieba podgrzewał ziemię do takiej temperatury, iż drwal musiał obłożyć stopy łapciami z brzozonej kory. W słońcu błyszcząły jego napięte, lśniące od potu mięśnie, raz za razem spinające się w wysiłku, jak ciało wielkiej gąsienicy idącej po liściu. Mokre włosy zaczesywał co i rusz w tył, przerywając rąbanie, potem pluł w starte,

obolałe dłonie i walił dalej. Siekiera była dobra, wykuta z wyśmienitego stopu żelaza, w kuźni biegłego lecbarskiego kowala, nie tak jak narzędzia robione na miejscu przez ludzi ściągniętych z dalszych stron dla wspomżenia prac.

W pniu pojawiał się wyłom coraz większy, jakby drwał wgryzał się w drzewo siekierą niczym nożem w bochen chleba.

Stukot miarowy szedł po lesie, odbijał się echem i łączył z hukiem innych siekier, razem tworząc melodię uderzeń tak silną, iż zdawać by się mogło, że to tysiące grajków urządzają koncert na wielkich bębnach.

Rąbnięcia były miarowe, równe, jedno z drugim podobne, bez zawahania mierzone, znać, że nie raz już czynione. Drwale uderzali jednako, odpoczynków dużych nie robiąc, oczy jeno mrużąc od słońca, pot czasem z czoła ocierając. A na porębie było tak gorąco, że jeden z robotników, słabszej głowy pewnie będąc, padł nagle, zamachnąwszy się siekierą, i musiano go do cienia odnieść, by tam przyszedł do siebie.

Ziemia leśna, zwykle gałęziami i cieniem od skwaru słonecznego chroniona, jakby nie zwyczajna była upału takiego, lecz jeszcze go potęgowała kurzem, szarym pyłem i trocinami. Dym się płożył wśród upału, bo ogniska palono, aby dostęp lepszy do pni uczynić. Poręba była miejscem isticie piekielnym, a ludzi tu spędzono siłą z całej okolicy, Pogezanów i Getów, z pól ich biorąc i z siół okolicznych, nie bacząc na konieczność prac przy własnych gospodarstwach.

Wolność się dla tutejszych skończyła, odkąd to rycerze Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie pojawili się w okolicy. Przejęli ją we władanie i rozszerzyli kraj im poddany na ziemi idące dalej na północ i wschód od ziemi chełmińskiej i michałowskiej.

*

Drwał uderzał z siłą i jakąś wewnętrzną złością, jakby co wbić chciał w drzewo z własnej niechęci do świata i losu ciężkiego, jaki mu przypadł, gorszego chyba niżli niewolnym.

Ostrze siekiery wbijało się w świeże, jodłowe, żywiczne drewno, przeszło przez rdzeń główny i w końcu bliskim się stał kres leśnego kolosa.

Jasne kawały leciały na boki, odrąbywane energicznymi uderzeniami. Jeden z drobniejszych odłamów nagle w kolano ugodził drwala, jakby się jodła chciała mu odgryźć za kolejne ataki.

Mężczyzna syknął jeno, policzek otarł i jeszcze raźniej wziął się do rąbania.

Wkrótce drzewo zaczęło skrzypieć w przedśmiertnym jęku. Tedyż dwóch jeszcze drwali podbiegło na pomoc. Razem pchnęli pień, napierając całym ciężarem ciała.

Huk się rozległ, jakby jodła krzyknęła przed śmiercią, po czym z rozdzierającym łomotem runęła na ziemię, łamiąc gałęzie krzewów i mniejszych drzewek wyrosłych na jej ostatniej drodze.

Rębacz zaczerpnął na chwilę oddechu, popatrzył w niebo na bezlitosne słońce i zabrał się do obrąbywania gałęzi z pnia.

W południe przerwę zarządzono, bo już się tak gorąco stało, że by się wszyscy drwale udusili, pomdleli albo i całkiem od zmysłów odeszli.

Nadzorca robót, knecht krzyżacki o imieniu Horst, w róg zatrąbił, aż się po całej porębie poniosło.

Wszystko się tedy od razu do cienia rzuciło, siekiery przy karpach zostawiając.

Od Lecbarga duktem leśnym wóz podjechał, a na nim dwie baby, co wikt dla robotników leśnych przywiozły, pod czujnym okiem dwóch krzyżackich pacholków.

Drwale w cieniu usiedli, oddychając ciężko, pot ocierając i oganiając się od much, bo się poczęły zlatywać do nagich, zmęczonych ciał.

Horst wydał dyspozycje babom i te z wozu zaczęły ściągać dzbany z mlekiem zsiadłym, wielkie bochny chleba, smalec i ogórki w glinianych dwojakach.

Krzyżak otarł twarz rąbkiem białej tuniki, na której widniał prosty, czarny krzyż idący przez całe plecy, podparł się pod boki i kazał ludziom wstać.

Cicho szemrzając, dźwignęli się na nogi. Nadzorca przeżegnał się, dając przykład robotnikom, zmówił modlitwę w języku niemieckim, głośno i wyraźnie. Drwale milczeli, pociągając nosami, na koniec, gdy zakonnik żegnał się ponownie, wykonali niezdarny ruch ręką. Znać było, że obrządek to dla nich obcy. Rozsiedli się potem pod drzewami, opierając plecy o pnie, jedli, siorbali chłodne mleko i mlaskali.

Niedaleko, spętane, pasły się woły, z których pomocą ciągnęli ociosane pnie w stronę rzeki. Tam je zostawiali innym robotnikom, aby wiązali drzewo w tratwy i spławiali niżej, na miejsce budowy.

*

Lecbarg się zmienił od jesieni nie do poznania. Z niewielkiej osady pruskiej, w której w dni handlowe jeno było więcej luda ściąganego z okolic, by zmienić miód na pierze, skóry na sukno albo mięso na ryby, stał się on nagle miejscem tętniącym życiem. Na duktach mrowie ludzi śpieszyło tam i z powrotem, a wozów pojawiało się tu jednego dnia tyle, co wcześniej i w ciągu miesiąca nie doświadczyłeś.

Na głównym trakcie, w okolicach gospody, gdzie ruch był największy, szła grupa ludzi niczym się prawie nie różniąca się od tłumu wszelkiej maści robotnych, rzemieślników i najemnych, co ściągęli do tej osady wedle woli własnej lub przymuszonej, aby brać udział w zbożnym dziele krzyżackiej budowy.

Starszy mąż o siwej bródce, sterczącej w przód jak kopia rycerska wymierzona w pierś wroga, przy jego nogach karzeł niezbyt piękny, jak pies uważnie idący przy kolanie swego pana, obok niewiasta nadobna, z włosiem długim, niezwiązanym, w sukni o kolorze stonowanym i skromnym, a wzroku zamyślonym i błędnym, oraz mężczyzna młody, muskularny, o prężnej sylwetce, a karnacji ciemnej i wschodniej.

Miał on na jednym ramieniu dużą sakwę wiszącą na grubym sznurze, a na drugim trzymał coś, co powodowało, że przyjezdni ci nie wyglądali tak jak inni. Uwagę przyciągało niewielkie zwierzątko o długim, zakręconym ogonku.

Małpka zaskrzeczała głośno i złapała go za włosy, więc przybysze zatrzymali się.

Kto ich mijał, ten patrzył trwożliwie na obco wyglądające zwierzę, szeptał coś, omijał szerokim łukiem i oglądał się za siebie.

Niektórzy stawać nawet zaczęli w bezpiecznej odległości, by móc w spokoju dziwować się obcemu stworzeniu.

- Panie, garb mnie świerzbi - powiedział karzeł, ciągnąc za rękaw chudego, starszego mężczyznę.

- Cóż tam, Karlito? - spytał go rycerz Dragiełło.

- Małpa nam nieszczęście przyniesie - rzekł garbus.

- Ja też tak myślę - pokiwał głową pogromca smoków. - Jeruzalemie, wasza Gigi za bardzo zwraca uwagę ludzi.

- Myślicie? - mężczyzna zmarszczył brwi, skrzywił się z niesmakiem i splunął. - Toć mieliśmy za komediantów robić. Na co łańcuch mam w sakwie i oliwę?

Hanna rozejrzała się po okolicy i rzekła cicho:

- Aleć tu się coś dzieje. Na jesieni inaczej było. Ruch mniejszy nawet przy targu. A jak mało ludzi obcych wchodzi do wsi, lepiej tedy udać kogo, choćby i komediantów, a teraz...

- A teraz to raczej uwagę na nas zwraca, niepotrzebnie - dokończył za nią Szalbierz.

- Dobrze prawicie - dodał rycerz.

Daleko w tłumie pojawił się jakiś konny, w białym płaszczu kładącym się na zad wierzchowca.

- Widzicie tamtego?

- Na koniu?

- Tak.

- Ja nie widzę, panie - rzucił od spodu Karlito.

- Nie musisz, karle - skarcił go rycerz. - Siedź tam, gdzie twoje miejsce.

- Krzyżak - rzucił Jeruzalem.

- Krzyżak - dodała Hanna.

- Skąd tu oni? Do Lecbarga doszli? - skrzywił się atleta.

- Chowajmy się, mężowie, łącniej, bo co złego z tego wynidzie - rzekła niewiasta.

- Dobrze prawicie, choć rycerzowi zmykać nie uchodzi, ale też i głupotą się popisać, tym bardziej - pokiwał głową Dragiełło i rzucił do Szalbierza. - Chowajcie tę małpę. Szybko. Jeruzalem złapał Gigi za kark i, choć się wrywała, wcisnął ją na siłę do wora.

- Cóż to tam macie, panie? Co za diable? - rzucił jeden z gapiów, przyglądający im się od dłuższej chwili. - Na sprzedaż?

- Nie - odrzekł głośno - to kot jest.

- Kot? Jakiś taki niezwyczajny.

- Kot - dodał Jeruzalem odchodząc na bok z podrygującym worem na plecach - ino zdziaczały. Pszczoły go pokąsały i stąd tak wygląda niebywale. Aleć kot.

Obcy patrzył mrużąc oczy.

- Dalej, za gospodę, Szalbierzu - syknął Dragiełło. - Krzyżak blisko.

Konny rycerz był już niedaleko i najwyraźniej zainteresowało go to dziwne zbiegowisko przed gospodą. Kolejni ludzie przystawali z ciekawości, mimo tego, iż małpka już dawno była schowana w sakwie: tłum narastał jak naturalna tama na rzece, co tworzy się od jednej gałęzi leżącej w poprzek nurtu.

Krzyżak podniósł się w strzemionach, a w tej chwili za plecami Szalbierza, Dragiełły, Hanny i Karlita rozległo się trzaśnięcie bata i wrzask:

- Z drogi ludziska! Z drogi!

Duktem jechało kilka wozów zaprzężonych w woły i załadowanych po brzegi kamieniami. Ośki wozów jęczały pod ciężarem ładunku, a woźnice wywijali batami, popędzając zmęczone zwierzęta stękające w jarzmach.

Kurz podniósł się z ziemi, wzbity kopytami, kołami i stopami poganiaczy idących obok taboru. Wozów było kilkanaście, wszystkie wypełnione kamieniami, odłamami skalnymi albo żwirem.

- Hejta, ludziska, z drogi! - wrzaski woźniców mieszały się z krzykami ludzi spychanych z drogi i wygrażających całej kolumnie pięściami.

Z tego zamieszania skorzystała grupka Dragiełły i Szalbierza.

Skulili się i przemknęli szybko, schowani za wozami, w stronę zabudowań gospody. Rozgarnęli las wysokich malw, posadzonych przez jakąś gospodynię, rozsunęli żerdki w płocie i znaleźli schronienie w niewielkim ogródku, wśród zielonych liści. Od podwórka słyhać było jeno szczekanie psa i gdakanie kur, a gwar idący od gościńca był tu o wiele mniejszy.

Oparli się o nagrzaną ścianę z ciemnych drewnianych bali, pachnącą w słońcu, i przez chwilę siedzieli, zbierając myśli.

Spomiędzy grubych, nabrzmiątych liści, z niewielkiej gęstwiny kwietnej, zasadzonej zaraz przy płotku przeplecionym z wikliny, łoży i brzozowych wici, wysunął się miecz. Był krótki, ale na obie strony ostrzony, niczym sztylet, z jelcem niewielkim, całkiem prostym, rękojeść miał owiniętą kawałem sznura.

Głównia dotknęła swym szczytem piersi rycerza, który znieruchomiał i oczy jeno wybałuszył. Karlito patrzył na niego i mrugał z taką prędkością, jakby jego powieki były skrzydłami motyla, który właśnie przysiadł na chwilę w przydomowym ogrodzie.

Jeruzalem także patrzył zdumiony, jedną ręką tłumiąc szamotaninę małpki w worku, a drugą szukając swej szabli u pasa. Tej jednak nie miał, gdyż przed wyjściem z leśnej kryjówki postanowili nie brać ze sobą oręża, żeby nie budzić podejrzeń w osadzie. Chcieli wyglądać na grupę komediantów, z Jeruzalemem na czele. Tak ich przecie widziano na jesieni, w czasie targu, kiedy to Duchy się pojawiły i Ignasia po numerze rozpoznały. Lepiej dla nich było grać w to samo, co i wtedy, na wypadek gdyby kto ich rozpoznał. Takoż więc bracia Job zostali w chacie bartnika, na oku mając uzbrojenie, konie, a nade wszystko Wulfstana. Starzec chciał iść z nimi, lecz stanowczo mu odmówili, twierdząc iż misja wymaga dobrego słuchu, a nie rozpoznawania ścieżek w puszczy.

Brak żelaza ostrego u pasa stanowił zaletę, gdy w tłum trzeba się wtopić, ale teraz bronić się nie było czym.

Tak więc Dragiełło, siedząc na ziemi w gąszczu malwy i łubinu, został przygwożdżony do ściany niewielkim mieczem i nie mógł nawet ruchu uczynić, by się na ostrze nie nadziać.

- Stój! - z gęstej ściany liści doszedł cichy głos.

- Jak nam stać, kiedy siedzimy? - szepnął Karlito, wbijając garb w ścianę domu.

- Stój! Mam cię! Ktoś ty? - cicho pytał głos spomiędzy listowia.

Rycerz dumnie wyciągnął wprzód swą spiczastą bródkę i odparł szeptem:

- Jam jest Dragiełło herbu Kraplan, rycerz księcia Henryka, a także księcia Bolesława i matki jego Grzymisławy, obrońca słabych i uciśnionych istot tego padolu, *omnium primum vir dei*, z nadania księżnej Jadwigi, błogosławionej nam wszystkim pani nieskalanej, a także pogromca smoków i wszelkich gadzin, wnuk w prostej linii świętego Jerzego i człowiek rycerskiego stanu, a duszy czystej!

Po czym, gdy całą już formułę wyrzekł jak dobrze sobie znany pacierz, palcem delikatnie ostrze miecza odsunął na bok i spytał:

- A ty kto, rycerzu?

Miecz bardzo szybko schował się w zieloną gęstwę, która zaszeleściła, i z kwiatów wysunęła się buzia kilkuletniego chłopca, umorusana od całodziennej zabawy. Chłopczyk dzierżył w ręku mały, drewniany mieczyk, wystrugany do zabawy, i mierzył nim w całą czwórkę po kolei. Marszczył brwi z całej siły, co pewnie w jego mniemaniu miało wyglądać strasznie, a tymczasem dodawało jeno wyraz bardzo komiczny.

- Jo? Jo jestem Filipek! Błoń się! Błoń się, ty potfolu! Chłopiec wycelował tym razem prosto w karła. Potwór był, w rzeczy samej, w sam raz - niewielki, pokurczony, z gębą pomarszczoną i jeszcze z garbem na plecach, co mógł za drugi łeb nawet robić, jak u hydry.

- Błoń się! - jeszcze raz rozkazał chłopczyk, koląc garbusa w kolano.

Karlito jęknął, wyrócił oczami i nagle padł jak martwy. Chłopiec zrobił przerażoną minę.

- Umaił?

- Dzielny z was rycerz, potwora żeście pokonali! - uśmiechnął się do niego Dragiełło.

- Umaił, cy się lusa? Karlito otworzył jedno oko.

- Jesce się lusa.

Malec dziobnął jeszcze raz mieczem, prosto w garb. Potwór dwa razy rzucił w przedśmiertnych drgawkach i zeszywniał.

- Juz się nie lusa - stwierdził z dumą w głosie chłopiec.

- Doskonale! Jako rycerz z krwi, nadania, i drogi mieczem wyrąbanej wśród niewiernych, zaświadczam, żeś, chłopcze, posiadał wszelkie cechy potrzebne, by się stać pogromcą gadzin, obrońcą słabych i uciśnionych. Możesz sam rycerzem zostać, jako i ja.

- Nie chce - powiedział chłopczyk, wyginając wargi pogardliwie - lycezie siom źłe.

- Ot, prawdę o rycerzach dziecko wyrzekło, macież teraz - zaśmiał się Jeruzalem i splunął. Dragiełło spojrzał na niego wściekły, po czym - na znak pogardy - zdmuchnął niewidzialny kurz ze swej koziej bródki.

- Jacy rycerze są źli, kochany? - zapytała Hanna, gładząc dziecko po główce.

- Kłojcie.

- Krojcy? - pytała dalej niewiasta.

- Tak, kłojcie, mama mówi, żeby uciekać od kłojców i lycieżów, jak się na diodzie.

- O Krzyżakach dziecko gada - stwierdził Jeruzalem.

- Oj, garb mnie swędzi, tak mocno, że chyba pokuty wszystkie do przodu spełnione mieć będę. Świerzbi tak okrutnie, braciszku moi, że sam już z nim nie wydolę, błagam, pomóżcie, podrapcie no trochę, mam tu witkę z krzaka wyciętą, z gałązkami ostrymi, weźcie i pomóżcie - to mówiąc, garbus dźwignął się na kolana, z wyrazem głębokiego cierpienia wymalowanym na swoim niewyględnym pysku, i wyciągnął przed siebie łapę z gałązką.

- Potwór się obudził z umalcia - z powagą w głosie stwierdził mały Filipek, ale stwór musiał w nim wzbudzić litość, bo zaraz wyciągnął w przód swój krótki miecz i zaczął drapać karła po garbie.

- Mas, potwołu, ja cię podlapię, żeby cię nie swędziało - rzekł i zaczął smyrać Karlita po plecach końcem drewnianego oręża.

- Matula tego dziecka, braciszku moi, zda mi się najmądrszą białogłową w całej Warmii, wybacz Hanno, lecz tyś nietutejsza, także w poczet panien mądrych i świątobliwych tego miejsca cię nie liczę, boś z innego - gadał dalej karłowaty mędrak, jęcząc w tym czasie błogo, na znak, że drapanie przynosi mu ulgę - a przymioty jej umysłu karzeł ceni, boć widne jest, że matka Filipka wie, że co groźne dla człeka, tego unikać należy. Popatrzcie no, braciszku, jak się człowiek normalny zachowa, gdy rąbiąc drwa na ten przykład, niechcący siekierą gniazdo os potrafi, aż te go obsiada i kasać zaczyna? Czyliż się człek taki na gniazdo takie rzuca, toporem rąbie, żądła chce utracić, skrzydła uciąć? Czy też zdrowym, uważacie, braciszku, instynktem ludzkim wiedziony, rzuci wszystko w trawę i ucieczką się salwuje? Także i ten, kto zdrowy na umyśle, gdy krojców, znaczy Krzyżaków naokoło widzi, tak się zachowa, jako i wobec os - uciecze i w takim miejscu się schowa, żeby go co nie ukąsiło. Oj, niżej, niżej, kochany.

Ostatnie słowa były już skierowane do chłopca, który drapał karła i chichotał, widząc, jak garbus pod ostrzem drewnianym podryguje.

- Zamilknij potwołu, nikt twoich mądrości słuchać nie chce - uciszył go Dragiełło zdecydowanie.

Jeruzalem zaś wstrzymał dłonią miecz chłopczyka i zapytał go:

- Gdzie matula twoja albo tatuś?

Filipek nagle nastroszył się i cofnął w liście, tak że prawie go nie było widać, i jeno swoje ostrze drewniane na obronę wystawił. Nic nie rzekł, tylko patrzył.

- Nie bój się - dodał, uśmiechając się, Szalbierz.

- Jak wy gadacie „nie bój się”, to jakby zmija do mnie syczała: „podejdz, dyć ja nie kąsam” - pogromca smoków pokręcił głową, po czym odsunął Jeruzalema na bok. Tunikę podwinął jedną ręką i przyklęknął, chyląc się ku chłopcu.

- Jam jest rycerz księcia Henryka. I księcia Bolesława. Jestem duszy czystej. Nie lękaj się, bo ja nikomu nic złego nigdy nie czynię, chyba że on sam jest zły. Krojców nie lubię. Jak i ty. I twój tatko. Na gadziny, smoki i potwory poluję. Taki ze mnie rycerz.

- Taki lycerz? - spytał cichutko Filipek.

- Taki. Jestem dobry rycerz.

- Dobly lycerz.

Filipek nagle zerwał się i co sił w nogach pobiegł przez ogródek, rozgarniając kwiaty. Furtki niewielkiej nawet nie otworzył, ta była zawarta, lecz przez dziurę w sztachetkach się prześlizgnął i zniknął na podwórku.

- Co robimy? - szepnął Szalbierz.

- Czekamy - odparł Dragiełło.

- Jak rabanu narobi?

- Co by miał narobić? Jakby miał nas wydać, już by to zrobił, ja wam gadam. Biegłby przez podwórko i krzyczał tak głośno, żeby garbus ogłuchł.

- Co? Co gadacie, panie? - spytał zdziwiony karzeł.

- Garbus już ogłuchł i bez tego - oparł Jeruzalem.

- Jak wam giermka nie trzeba, takóž go na wyprawy bojowe nie bierzcie. Ja mogę konie czyścić - spokojniej to, a i łajnem się można nasmarować, coby garb nie świerzbiał - Karlito siadł obrażony pod ścianą.

*

Mleko zsiadłe było zimne. Trzymane w chłodnym loszku dawało rozkosz na podniebieniu, gdy się go napiło, jakby kto nektaru boskiego do garnca nalał. A takie było zupełnie zwykłe. Jenó na wyprawie człek się takowym napoić nie mógł, bo krów woje za sobą nigdy nie ciągli, gdy na ziemie jakie naszli, tak lud w las uciekał, bydło ze sobą zabierając.

Wody się obcej nigdy nie piło, ni to z rzeki, ni ze strumienia, bo się mogło zakończyć boleściami i śmiercią nawet - jenó źródła znajome i studnie o pewnym pochodzeniu mogły służyć spragnionym. Piwo jedynie było napitkiem w podróży i w czasie wojennym, bo się nie psuło łącznie, w beczkach się dobrze chowało, nie tęchło i zdrowo wszystkim służyło.

Tak to Fryderyk Barbarossa, wchodząc na ziemie polskie za czasów Wygnańca, chmielowym trunkiem raczył swoje wojsko, aż do czasu, gdy tegoż piwa zabrakło. Tedy dopiero niemieccy rycerze musieli nawyknąć do wody z rzek i jezior, co czynili z bojaźnią, patrząc na siebie, czy który nie słabuje albo za trzewia się nie chwyta.

Dzban ze zsiadłym mlekiem, który stał na ławie, ochlapany był z jednej strony od napelniania, a wobec upału lejącego się z nieba zdał się jak skarb jakowy przed chwilą z ziemi wydobyty.

Karlito zerknął na swego pana, zgadując, że jego kolej na końcu będzie, Dragiełło popatrzył na Jeruzalema, gładząc się po brodzie, a Szalbierz zwrócił wzrok na Hannę.

Wieszczka na mleko zsiadłe oczy wywróciła, jakby go lata całe nie piła.

- Naprzód piją białogłowy - stwierdził rycerz, dmuchając na bródkę swą, jakby w ogóle mu się pić nie chciało i pokazując dłonią pierwszeństwo kobiecie.

- Natomiast - cicho powiedział Szalbierz do karła - w jurtach tatarskich pierwszej wojownik je i pije, potem się dopiero jego żony pożywiają.

- A karły tatarskie kiedy jedzą? - spytał Karlito.

- Nie ma karłów pomiędzy Tatary.

- Nie ma? - Nie.

Garbus się zadumał nad dziwacznością tatarskiej kultury, a tymczasem Hanna złapała za zimny dzban. Zaczęła pić, przerywając na chwilę, bo jej zsiadłe mleko po boku ust popłynęło, więc musiała je zetrzeć rękawem, na co pozostali się patrzyli tak uważnie, jakby pierwszy raz w życiu takie dziwo widzieli.

- Zimne? - spytał karzeł.

- Znać, że zimne - odpowiedział zamiast Hanny Jeruzalem.

- Co się głupio, karle, pytasz, widać, że chłód od niego bije - dodał wściekły Dragiełło.

Kiedy białogłowa napiła się mleka, podała dzban rycerzowi, a ten z kolei, wychyliwszy kilka dobrych łyków, przekazał go Jeruzalemowi. Na koniec Szalbierz wręczył garniec karłu. Karlito zajrzał do środka i załkał.

- Tak to, braciszku moi, maluczkich macie u siebie jak zwierzęta podłe na mniemaniu. Choć i te mają lepiej, bo to pies nawet pełną miskę wody ma, jak gorąco, a ja...

Przechylił szybko dzban, wysiorbując z niego resztki mleka.

Uchyliła się zasłona od innej izby i pokazała się w niej matka Filipka, ocierając ręce o fartuch:

- Jak to wam, mleko dobre?

- Oj dobre, dobre, szlachetna pani, ino mało... - powiedział karzeł, wsadzając łapę do pustego dzbana i zbierając resztę mleka na brudny paluch, który natychmiast wsadził do gęby.

- Wczory się zsiadło na oknu, do zimnego dołam. Kwaśnygo już ni mo, ale może być świeże, z rana nadojone. Doć?

- Dać, pani, dać. Bardzo my spragnione od siedzenia w lesie.

Dragiełło pacnął karła w łeb rękawicą, aż ten obejrzał się na niego z wyrzutem, nie wiedząc za co oberwał.

- Od bycia we lesie? Za drwoli was wyciungli krojce? - spytała gospodyni.

- Nie za drwali, nie za drwali... - odrzekł, uśmiechając się, Szalbierz i kopnął karła pod ławą, aż ten zajęczał.

- Filipek, leć no, mlika przyniś we dwojaku, no! A żywo! - krzyknęła kobieta i przysiadła się do ławy.

Ciemno było w izbie, ale też i chłód był większy, bo okienka niewielkie wpuszczały nie tylko mało światła, ale i gorąca. Kurzyło się jeno z klepiska przy każdym ruchu, tak że smugi się robiły słoneczne, idące od dziur okiennych. Z góry świeciło z otworu dymnego nad paleniskiem, a wszystko to wyglądało jak czasem w kościołach, gdzie w mroku można oddać się medytacji, patrząc na to, jak powietrze się rozjaśnia od niewielkich okienek na szczycie, przy dachu.

Pod jedną ze ścian izby stało krótkie łóżeczko uczynione na jakiejś skrzyni, nade głowami szły belki poprzeczne, a stropu nie było widać, jeno zapach czuć było sitowia, z jakiego dach ułożono. Przy drzwiach do drugiej izby stały drewniane postaci, jakby w ruchu zastygłe, twarze mając podłużne, brodate, niektóre zakapturzone, inne pochylone jakby w trosce, jeszcze kolejne - ciosane z gruba

- jak chłop tutejszy, twardy, za nosem i brwiami schowany jak za krzakiem.

Karlito zeskoczył z ławy i podszedł do jednej z nich, po czym nabożnie, z lękiem, dotknął palcem.

- Któż taki? - spytał, zwracając się w stronę gospodyni.

- Ni wyznom. Mąż taki wyrobi, ja tam nieznajoma, co on kole roboty wycli. Mleko dobrym wom było?

- Jeszczem tak dobrego nie próbował! - odparł Dragiełło.

- Wos, ponie, to podle postawy i żywota wyznać, żeście lepszego rodu.

Dragiełło wstał, dłoń na piersi złożył, niewielki ukłon odprawił, jak obrządek kościelny, po czym rzekł:

- Jam jest Dragiełło herbu Kraplan, rycerz księcia Henryka, a także księcia Bolesława i matki jego Grzymisławy, obrońca słabych i uciśnionych istot tego padolu, *omnium primum vir dei*, z nadania księżnej Jadwigi, błogosławionej nam wszystkim pani nieskalanej, a także pogromca smoków i wszelkich gadzin, wnuk w prostej linii świętego Jerzego i człowiek rycerskiego stanu, a duszy czystej!

To powiedziawszy, usiadł.

- Wielki Bogu, dyć to nos w chałupie doszli! Wyście som woj, ode księcia woj, jo wom do nóg podom, panie

- powiedziała przerażona kobieta i nagle wstała, po czym runęła na kolana.

- Wstań, białogłowo szlachetna, do stołu przystap, jak równa stanu, mnie honorów nie trza jak księciu - powiedział pogromca smoków, drapiąc się po siwej głowie.

- Mój to pan, a jam jest jego giermek, Karlito - prychnął z dumą garbus i począł okrążać następną drewnianą rzeźbę, patrząc na nią z niedowierzaniem.

- Nie wyznałom, panie, nie miejcie za złe, jo gupio babo. Filipek gadoł, żeście rytter, aleć za bajdy wzięłam, panie, za bajdy. Ot, dzieciok bajdów ciągle się ckni, gębo mu się nie zamkni i słuhać takōż chce, tatko mu na wieczór zawsze co siundzie i baja, a Filipek się to w krojców, to w wojów jakich bowi i żem myślała, że tak sobie wybajdurzył, żeście rytter.

Matka chłopca usiadła powoli do ławy, patrząc z szacunkiem na przybyłych.

- Ja jestem Jeruzalem, zioła znam i je mieszam ku zdrowiu ludzkiemu, albo i chorobie, jeśli tak wolicie, tak też siłę mam w sobie taką, że łańcuchy rwę, co czasem ku uciesze ludzi czynię, a miedziaka jakiego za to zarobię.

Szalbierz zamierzał już splunąć na ziemię po tej wypowiedzi, ale nagle się opamiętał, spojrzał na Dragiełłę i ślinę przełknął.

Na to się wieszczka poruszyła:

- Mnie zowią Hanna. Jestem córką krakowskiego kupca, Pieniążka.

Na to kobiecina się skłoniła i rzekła:

- Na nas ludzie gadaj om Jagony. Mąż mój Jagon, widzicie, u krojców, na strażnicy, na zamku jest. Na wieczór się tu zejdzie, po dniu, z roboty, to wam pogada.

Zabrała pusty garniec, a po chwili nowy przyniosła. Tym razem Karlito miał już trochę więcej do wypicia.

Jagon miał ręce długie i cienkie, a jednocześnie tak żyłami pokryte, jakby go jakie korzenie oploty. Takie one były, że znać, iż do roboty dokładnej przy drewnie zdatne. Tylec on razy w dłoniach kloce lipowe obracał, pod światło je brał, końcem palca macał, wachał, pukał, pocierał, aż się sam stał prawie jak wyrzeźbiony z jakiego drzewa.

Siedział Jagon w swej izbie, dłutkiem stukał w główkę małego smoka i patrzył na rycerza Dragiełłę, troszkę zaniepokojony.

- Cóż za gadzinę tam strugacie, Jagonie? - mówił potomek świętego Jerzego, a mięśnie na twarzy tak drgały, jak u psa, co by czekać chciał, lecz bliskość pana powoduje, że się powstrzymuje i na warczeniu się jego złość kończy.

- Smocze łby, ponie, bogać tam.

- Na cóż wam smocze łby, Jagonie?

- Mnie nic do tego, na co albo i po co - Jagon gadał w taki sposób, jakby i język miał tak samo żyłasty jak i ciało. - Jagonowi dajom do strugania, Jagon strugo. Jo nie pan, jo strug lecbarski. Rytter krojców mnie przykazoł, cobym strugoł. Smoki mom strugoć, na bramę pójdom, do zamka krojców. Jo nie wim. Jo Jagon, nie pon.

- Pięknie rzeźbicie, Bóg wam talentu nie skąpił - rzekł Jeruzalem z głębi izby, gdzie między strużynami, w stertach okorowanych kawałków stał rząd niewielkich Chrystusów, wyrzeźbionych na krucyfiksy, jak wojsko w szrankach przed zamkiem.

- Jo nie wim do czego, ponie. Jo strugom, bogać tam. Jak Jagonowi gadajom, on strugo. Był ten od Chrystów, kazoł je robić, zapłatę doł, jo strugom. Ot, a jak tam stojom, to jeszcze baby strugom, jak i z lasu przyšli i gedajom, Jagon strugoj. Czego mom nie strugoć, jak mi łacno ze struganiem idzie, czego? Baby tyż strugom, ino jak krojce przyjdom, tak babę chowom, coby się nie dziwowoli. A wy kto? Od krojców nie jesteście?

- Nie, myśmy są Polaki, od księcia Henryka - wyjaśnił Dragiełło.

- Od któregoś to? Bogać tam. My tu nic ni wimy, co, który władyka tyroz ma rząd. Był tu Świętopelk, był i Władysław, i Konrad. Każdy księżę wielki pon, każdy goda - on władyka. - mówił Jagon i strugał smoczy łeb, co pewien czas gładząc go końcem palca. - Drugi przydzie, sioło spoli, ludzisków pobije, kobit nabierze, tak ujdzie i on goda - tamten nie władyka, ino teroz jo władyka, mnie posłuch dajcie. A Warmy są ludzie, co się somi dobrze rządzą!

W drzwiach do izby, gdzie Jagon rzeźbił, pojawiły się główki podsłuchujących dzieci.

- Od tego ze Śląska. Gadali o nim Brodaty, teraz, tej wiosny mu się zmarło - wyjaśnił Jeruzalem.

- Brodaty, godacie? - zafrasował się na chwilę Jagon, przerwał robotę, stołek bliżej pod stopę przesunął, oparł łokieć na kolanie i zamyślił się, a smoczy łeb mu całkiem koło policzka się usadowił, więc dmuchnął na niego, pył strząsając.

- O Brodatym to nic mi nie znajomo, choć może i któren z nich był brodaty, jo nie wim.

Odłożył dłutko i wziął do ręki szpikulec, którym zaczął wiercić oko z jednego boku smoczego pyska.

- Kto go tam wi, ponie, któren brodaty. Bogać tam. Jeden się za drugim minio, kraj poli, łupi, jest niespokojno. Teraz nosz pon nowy. Krojce przyšli tej zimy.

- Na jesieni tu byliśmy, jeszcze gród był u Warmów we władaniu.

- Był nosz, był, ponie. Krojce przyšli, gród spolili, ludzi wiela pomordowali.

- A nobil wasz, Glappo?

- Ten w las uszed. Może tam żyw, mnie nie widno. Dragiełło podszedł do ściany, na której, jedno obok drugiego, wisiały narzędzia rzeźbiarskie - różnej wielkości dłuta, pilniki i młotki. Oglądał je i cmokał z lubością. Jedno dłuto wziął w dłoń i ważył jego ciężar, a potem stuknął paznokciem w metal. Jego uwagę zwrócił dopiero Jagon, gdy rzekł:

- Pon nimi kieruje, okrutny, na imię ma Kuno, a ni mo jednej łapy, o tej.

Rzeźbiarz wyciągnął prawą rękę w przód i na niej pokazał, jak krótka jest kończyzna rycerza krzyżackiego.

- Kowal mu w Lecbargu toki hak wykuł, na skórze wołowej mo takom opaskę, ponie, i mocha tym hakiem jak inny mieczem. Niedobry pon. Bogać tam.

- Kuno, prawicie, jego imię? - podszedł bliżej Dragiełło, mrużąc oczy, a jego bródka zdała się stroszyć w taki sposób, jak to się dzieje z sierścią wilka przed atakiem.

- Kuno, ponie. Zły z niego człek, jego się strzeżcie. Ludzi bije, Boga ni zno, choć o nim prowi. Jego to znak - te smocze łby.

- Jego to znak, gadacie?

- Jego. On kazał na bramę zamku je przysposobić.

- Na hełmie ma klejnoty w kształcie smoczycy łbów? - wtrącił się Jeruzalem.

- Znaciez go, ponie? - Jagon spojrział na nich podejrzliwie.

- Znamy, nie znamy, gadać nie ma co - tłumaczył Szalbierz. - Dość rzec, że my Krzyżaków nie kochamy.

- Widzicie, ponie - rzekł ojciec Filipka - nie trza miłować, żeby z kim żyć. Jo ich nie miłuje, tych krojców, aleć dla nich robić mus. A mus, to mus. Bogać tam.

Wszystkie tu ludzie takoz samo - krojce przyšli, pobili, robić trza. Zamek nad Łynom budują, widzicie, ponie.

- Zamek to stawiają? Stąd tyle luda? - dopytywał się Szalbierz.

- Ot co, zamek nad rzeką, tam gdzie skarpa nad Łynom, gdzie i gród był obronny naszego Glappo. Tamten spalili, teraz swój stawiajom. Bogać tam, ludzi sprowadzili, drzewa rąbiom, kamień wiozą, ziemię kopią.

Hanna do tej pory siedziała z boku, przyglądając się rzeźbie wielkości człowieka, z długą brodą i w dziwnej czapie na głowie, z siecią w ręku.

- To cóż za osoba? - spytała nagle Jagona, pokazując na wyrzeźbioną postać.

- To? - pociągnął nosem rzeźbiarz. - Toć jest świnty Pieter. Z sieciom na łowienie ludzi. Jak i krojce u nos robili, tak i on bydzie.

Wieszczka wstała i podeszła do gospodarza.

- A co z Chłastem? Jak żyje? - spytała.

- Z Chłastem?

- Tak. Znacie Chłasta przecie.

Jagon odłożył dłuto i rzeźbiony kawałek drewna. Strząsnął z kolan strużyny i zdjął z karku specjalny kaftan zakładany do roboty.

- O Chłasta pytocie?

- No jakże, znacie go? - rzekł Dragiełło, podchodząc bliżej i stając za plecami Hanny.

- O Chłasta pytocie? - jeszcze raz zapytał rzeźbiarz, a jego twarz przeszedł jakby skurcz bolesny.

Jagon machnął głową w stronę dzieci podsłuchujących w drzwiach, żeby zniknęły, po czym zbliżył się do półki z narzędziami i zaczął brać do ręki kolejne dłuta.

Dragiełło popatrzył na Szalbierza, a ten odwzajemnił spojrzenie rycerzowi.

- A na cóż wom Chłast, jakeście przyjezdne? Na cóż? - pytał rzeźbiarz, patrząc na nich szklącym się wzrokiem.

- To już nie wasza rzecz, Chłasta znamy i sprawy to rycerskie, wyższego znaczenia, które nas do niego kierują - powiedział Dragiełło, po czym podszedł do rzeźbiarza i wyjął mu dłuto z dłoni. Tego się teraz nie imajcie, boście nie są od tego. Możecie nam ufać, my nie od krojców, myśmy są ludzie dobrej myśli.

Jagon zaczął chodzić nerwowo po izbie, jakby go złość jakaś poczęła dusić, a nie mógł sobie z nią poradzić. Przystanął nagle, popatrzył w oczy Szalbierza, potem Hanny, na koniec utkwiał wzrok w rycerzu i powiedział już spokojnie:

- Chłast nie żywię.

- Nie żywię? Co gadacie?

- Nie żywię. Krojce go ubili.

- Krzyżacy? - zapytał Jeruzalem.

- Dyc godom, że krojce. Ubili. Chatę spolili. - Kto?

- Kuno, ten bez ręki rytter.

- Kuno!

- Smocze łby! - wrzasnął nagle Dragiełło. - Wszelka gadzina zła się trzyma i zło znajdzie. Tam gdzie smoczy jad, tam i diabeł mieszka, nie Iza go prośbą wygnać, ino żelazem przepędzić!

- Jego, ponie, wszystkie ludziska w Lecbargu boją się, bogać tam, bo okrutnik z niego wielki. Pyska jego ni znomy, bo za hełmem się chowo. Mnie takż do roboty na mus wzięli. Jo strug, musze strugoć, dzieciska u mnie i żona, ponie. Bogać tam.

- A syny Chłasta? A żona?

- Żona ubita. Wzięli ją knechty nad rzeką, przy dzieciskach, a potem łeb urąbali, jakby kure bili. Syny dwa przeżyły, jedno córka takż. Nie znajomo nom, gdzie ją zabrały. Oni na roboty przy zamku wzięci. Do niewolnych, nad rzeką. Idźta, chałupę osmoloną najdziecie.

- Co po Chłascie zostało? - spytał Jeruzalem, podchodząc bliżej i nerwowo spluwając na kupę trocin leżących koło zydla.

- Chłast był bogaty kupiec. Co miół, to mu rytter ze smokomi, on rytter Kuno, wziął i u siebie trzymo. Kogo on spoli, to i ograbi, a Bogiem swoim, znaczy Chrystem się osłania, że to on władyka i on każe porządki czynić. Prawda to?

- O Chryście? - Dragiełło nerwowo szukał przy boku swojego miecza i odchodził od zmysłów, stwierdzając, że niestety go tam nie ma. - Nieprawda! Kunowi nic nie wiercie, o Chryście i o wszem innem.

- Dziękujemy wam, Jagonie, ale na nas czas - rzucił, zbierając się do wyjścia, Jeruzalem.

- Po cóż pośpiech? Lepsze by było do jutra drzymnąć gdzie na izbie - zaczął narzekać karzeł, ale chcąc nie chcąc, podążył za innymi, kolebiąc się z nogi na nogę jak kaczką.

Na odchodnym jeszcze Dragiełło rzucił Jagonowi monetę, dziękując za gościnę. Wyszli szybko z chaty na gościniec. Wieczór zapadał nad Lecbargiem, słońce już chowało się za lasem i cichły odgłosy robót przy krzyżackim zamku.

*

Nad rzeką było pusto. Łyna, co zwykle latem gęsto po brzegach zarastała, w sitowiu, tataraku, wierzbie schowana, teraz była odsłonięta, a brzegi wydeptały stopy robotników. Co dzień się tutaj pojawiały transporty rzeczne z materiałami do budowy zamku, tratwy z bali drewnianych albo inny budulec. Stały też blisko rzeki warsztaty postawione przez Krzyżaków dla wznoszenia strażnicy północnej. W nich mieszkali sprowadzeni kowale, kujący dzień i noc gwoździe długie i grube, obejmmy metalowe, okucia bram, łańcuchy na most. Obok też masę było szalasów innych robotników - drwali, kamieniarzy, cieśli, stolarzy, murarzy. Wszyscy oni, sprowadzeni z różnych okolic, pracowali przy budowie zamku, który stanąć

miął nad rzeką. Budowa to była ogromna - na wielkich, usypanych w prostokąt wałach ziemnych wznoszono konstrukcję, która miała stać się północną bazą wypadową dla Zakonu. Po zdobyciu Pomezanii, jakoż i Pogezań, kolej przysłała na Warmię, z gniazdem uwitym nad Łyną - nobil tutejszy Glappo długo bronić się nie mógł przed potęgą niemieckich rycerzy. Grodzisko jego spłonęło, a on sam w las uszedł, zemstę przysięgając.

Dobrze się chciał Krzyżak ubezpieczyć przed atakiem odwetowym ze strony Warmów i sprzyjających im Sambów, Natangów i Jaćwięgów.

W tym to celu sprowadzono masy ludzkie, w części niewolne, by szybko twierdzę w Lecbargu wzniesić i umocnić.

Większość z nich zamieszkała w szałasach zbudowanych nad samą rzeką, stanowiących jakby odrębne miasto, gdzie wieczorami paliły się dziesiątki ognisk, oświetlając usypywany ziemny wał czerwonym blaskiem.

Między robotnikami kręcili się nadzorcy krzyżaccy, knechci, inżynierowie i zakonnicy nawołujący do modłów, a całe miasteczko przyciągnęło z okolic wszelką szumowinę - złodziei i szubrawców, którzy łąząc po mieście, powodowali, że ludzie stali się czujni i nerwowi.

Tu gdzie niegdyś stała chata Chłasta, rybaka i kupca, teraz było już tylko pogorzeliśko. Nie wiadomo, czym się ów człowiek spokojny naraził rycerzowi krzyżackiemu, ale koniec jego historii był taki, że zabił go Kuno von Kirchenstein, przybysz z dalekich niemieckich stron.

Chłast miał też chatę w lesie, o dobry dzień drogi w górę rzeki, gdzie mieszkał przez wiele lat samotnie, miód zbierając i do Lecbarga zwożąc.

Gdy jednak dzieci mu przybyło, a życie stało się trudniejsze, przeniósł się do grodu, gdzie zajął się łowieniem ryb i handlem.

On to użyczył swej chaty i gościny kilku przybyszom z polskich księstw i wiadomość od Dobrosława miał przekazać, gdyby nadeszła.

Dragiełło, Szalbierz, Hanna i karzeł stali nad pogorzeliśkiem i mieli smutnie zwieszane głowy.

- To mogliśmy tak, braciszku moi, czekać i czekać na wieści - powiedział Karlito z wyrzutem w głosie.

- Gadałem już wcześniej, że trzeba działać, a nie w lesie siedzieć. Jakbyśmy tu wcześniej przybyli, to... - wtrącił Jeruzalem.

- To cóż? - prychnął Dragiello. - Tak się stało, tak widać musiało być. Wam się, chamskim głowom, nie może pomieścić, że Bóg czasem tak losy ludzkie plecie, że się ino zdaje, że to sensu nie ma. Ma często, ino ukryty i nie tak łatwy do wyrozumienia.

- Może by kogo rozpytać? Może co nam zostawił gdzieś? Wiadomość jakąś? - zastanawiał się Szalbierz.

- Miał on żonę i synów. Jeden z nich miał nas powiadomić, gdyby co zaszło. Teraz, jak nam wiadomo, że Chłast ubity, a synowie jego w niewolę wzięci.

- To, braciszku moi, znaczy, że nic nie wiemy i więcej się też nie dowiemy, bo skąd? - wtrącił Karlito. - Aleć muszę wam rzec, panie, że garb mój jest tak szczwany, jak lis, co do kury podchodzi. Siódmy instynkt mu mówi, kiedy kurę jeść, a kiedy dać chodu, bo gospodarz idzie z widłami.

- I teraz, karle, daje znać, że chodu trzeba?

- Ot, co, dobrze żeście, panie atleto, odgadli. Macie też jaki instynkt tatarski, zamiast garba?

- Nie, mam tatarską odwagę we krwi, garbusie - Jeruzalem splunął na zwęgloną belkę i pogrzebał stopą w popiele.

Dragiello gładził się po siwej bródce, to na rzekę patrzył, ciemniejącą przed wieczorem, to w stronę ognisk budowlanego sioła pod wałami.

Potem westchnął i wziął na bok Szalbierza, coś mu przez chwilę klarował, odganiając się przed małpką próbującą wejść mu na plecy.

Hanna w tym czasie przykucnęła, wzięła popiół do rąk i przesypywała z dłoni do dłoni. Zaczęła nucić jakąś pieśń, na co karzeł zareagował wyraźną niechęcią. Pokręcił głową z niesmakiem, jakby rzec chciał coś w stylu „znowu, znowu się zaczyna, już nigdy chyba nie będę miał spokoju”.

Dragiello klepnął w plecy Jeruzalema, wrócił do pogorzeliiska i przywołał ku sobie garbusa.

- Chodź no tu, Karlito - szepnął przymilnie i przyklęknął.

- Coś mnie garb zaczyna swędzieć, oj, panie, coraz silniej - garbus przełknął ślinę.

- Bliżej. Chodź.

- Dyc blisko jestem.

- Jeszcze bliżej.

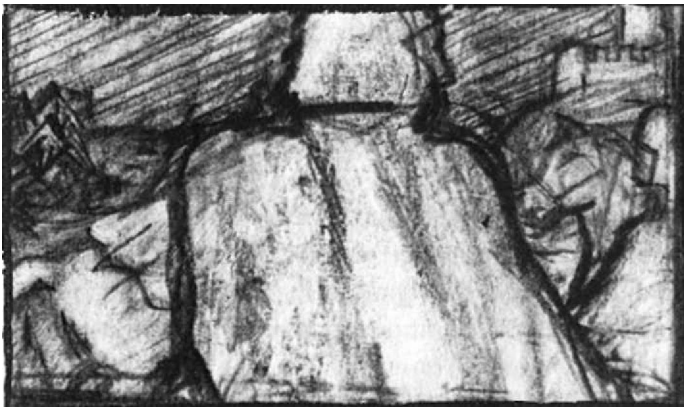
- Śmierdzą panie.

- Nie szkodzi, bliżej.

- Nie myślę garbu od Wielkiej Nocy.

- I to nie przeszkoda, zbliż się.
- Tak? - w końcu Karlito, machając niezdarnie wargami jak ocięzają motyl, popelzł do swego pana i nachylił brudne, niekształtne ucho.
- Widzisz ten namiot? Tam na szczycie, między wałami?
- Tamten? - spytał Karlito drżącym głosem.
- Ten właśnie - odparł mu jego pan.
- Chyba... trochę... mogę widzieć... albo i ślepnę...
- Wiesz, czyj to może być namiot?
- Czyj?
- Właśnie.
- Straże przed nim.
- Właśnie.
- Ognisko przed nim.
- Właśnie.
- I cóż? - teraz już karzeł miał oczy pełne strachu. Jeruzalem kucnął koło niego, żeby razem z rycerzem wyjaśnić garbusowi jego trudne złodziejskie zadanie.

Cykady zaczęły szaleć w przedwieczornym koncercie nad rzeką. Przy jednym z ognisk w siole robotników śpiewano i klaskano w dłonie. Zapowiadała się bardzo ciepła noc.



ROZDZIAŁ VI

CZERWIEC 1238

Oczy Kimona von Kirchensteina przebiegały nerwowo każdy kąt namiotu, wypatrując dziur, przez które mogłyby wlecieć komary. Niewielkie owady, których całe chmary unosiły się nad Łyną, szczególnie wieczorami, stanowiły takie utrapienie dla specjalnego wysłannika Mistrza Krajowego Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu

Niemieckiego w Jerozolimie, że miewał nawet myśli o porzuceniu służby i powrocie do rodzinnej Lubeki. Jednak w takich chwilach Kuno przypominał sobie twarz matki żegnającej go na moście, a także jej słowa o nadziei, jaką pokładała w nim cała rodzina, lokując w jego zakonnym losie wielką część rodzinnych oszczędności.

Patrzył wtedy na wykutą w metalu protezę, mającą mu zastąpić dłoń obciętą przez polskiego szaleńca z lasu, i zatapiał się w gorącej modlitwie, w której prosił Matkę Najwyższego o łaskawe wstawiennictwo i pomoc w odjęciu cierpień, które znosić musi w ziemskiej drodze do Królestwa Niebieskiego.

Komary były podobnie uciążliwe i równie trudne do zlikwidowania co pruskie plemiona pogańskie, stojące na drodze Zakonu - Pogezanów, Pomezanów, Bartów, Galindów, Sambów, Sasinów, Narowów, Natangów, Warmów i Jaćwiegów.

Jedne i drugie były tak liczne, że nie sposób było dojść tego, ile ich naprawdę jest, jedno i drugie rozdziły się w gęstych lasach, jedno i drugie wreszcie były spragnione krzyżackiej krwi, a co najważniejsze - widomym się stało, że są niezwykle trudne do wytępienia.

Walka nie przynosiła spodziewanych efektów, nie wzbudzała lęku wśród towarzyszy, a wręcz zdawało się, że powoduje wzrost chęci odwetu; jeden komar ubity zaraz miał na swe miejsce trzy inne bzyżące owady, jeden Prus zlikwidowany po chwili znajdował trzech następców.

Kuno von Kirchenstein doszedł do wniosku, a nawet opisał to w liście skierowanym do Mistrza Krajowego, Hermana von Balka, że walka z plemionami pogańskimi, mająca na celu poddanie ich zwierzchności Zakonu, ucywilizowanie i ukierunkowanie na wiarę chrześcijańską, może się udać jedynie wtedy, gdy Zakon zastosuje metody takie, które są pomocne wobec komarów: należy ogniem wypalić ich gniazda lęgowe, unikać gęstwin leśnych, a własne siedziby dobrze uszczelnić i umocnić, żeby nic do środka nie wlatywało.

Taką politykę prowadził zatem na ziemiach podbijanych, mając poparcie samego Mistrza i Kapituły Zakonnej względem stosowanych metod. „Chrystus także wyganiał handlarzy ze świątyni, pamiętajmy o tym, bracia. Tam gdzie kłamstwo, tam płomień prawdy nieść trzeba”. - przypominał sobie słowa przełożonego, wypowiedziane po wspólnym posiłku, który zjedli na zamku polskiego księcia władającego Mazowszem.

Kuno niósł płomień prawdy dosłownie - kto się mu sprzeciwił, tego likwidował karnymi, dobrze wyszkolonymi grupami knechtów, a następnie podpalał, tak żeby wszelką zarazę do ziemi gołej wyplenić.

Podobnie rzecz się miała z komarami: kiedy zdobyto pruskiego gród obronny Lecbarg, postanowiono, że w miejscu tym Zakon się umocni i zamek wzniesie, von Kirchenstein zalecił, aby wypalono gęste krzewy nad rzeką, na wysokości przyszłej budowy. W ten sposób miał nadzieję zmniejszyć ilość krwiożerczych owadów, niedających spokoju rycerzom z niemieckiej ziemi.

Tego wieczoru także nie miał wytchnienia, zewsząd słyszał dźwięki niewielkich skrzydeł i czuł wściekłość napływającą do uszu nabrzmiętymi żyłami. Jego stalowe oczy przeczesywały kolejne zakamarki namiotu, szukając celu dla uderzenia. Kuno trzymał w ręku specjalną paczkę, przygotowaną przez rzemieślników zatrudnionych przy budowie, złożoną z długiego trzonka i kawałka skóry doczepionego na końcu. Rozglądał się, lecz nie mógł polować, gdyż w jednej dłoni trzymał pochodnię, aby sobie przyświecić, a druga była tylko metalowym szpikulcem przykręconym do przedramienia. To doprowadzało go do wściekłości. Patrzył na kaleką rękę i zaciskał zęby. Nawet tak prozaiczna czynność jak polowanie na komary stanowiła dla niego trudność - a co dopiero, gdyby miało dojść do prawdziwej walki?

Podkomendni Kuna von Kirchensteina nie mieli z nim łatwego życia - jeszcze przed atakiem koło chaty kowala był trudny i niemiły w obejściu, często się złościł, a jego gwałtowność odbijała się nie tylko na podbijanych mieszkańcach pruskich wsi, ale też na krzyżackich knechtach mu podległych. Zaś po incydencie z leśnym szaleńcem i utracie prawej dłoni stał się człowiekiem jeszcze bardziej drażliwym, przepojonym złośliwością kalek, odgrywających się na całym świecie za swoją ułomność. Nie był więc lubiany, ale też i niewiele sobie z tego robił, utrzymując, że najlepsza władza to taka, która wzbudza strach w poddanych.

„Gdyby ludzie Boga się nie bali ani Sądu Ostatecznego, to sama miłość, o której piszą Ewangelie, nie wystarczyłaby do tego, żeby ludzkość żyła godziwie”. - mawiał czasem, szczególnie wtedy, gdy jego okrutne rozkazy wywoływały płacz u ludzi, a w nim samym budziły jakieś pochowane wyrzuty sumienia.

„Macie szczęście, drogi bracie, macie wielkie szczęście”. - mówił mu lekarz w lazarecie zakonnym, zmieniający opatrunki na kikucie.

„Tylko dlatego, że przyszedłem do przysięgi, dałem się pielęgnować pruskiej babie, znachorce. Tam mnie pierwsi knechty zanieśli, ona ranę opatrzyła, krew zatamowała i gusła swoje odprawiała, dymy jakieś pono puszczała, nałożyła specjalne maści z chleba, pajęczej sieci, grzybów i mchów. Pogańskie praktyki”. - odpowiadał mu Kuno, leżąc na szpitalnej pryczy w toruńskim zakonnym baraku dla chorych.

„Pogańskie czy nie pogańskie - dość, że dzięki nim żyjecie i rękę macie dalej do użytku. No, może nie całą, ale zawsze. Jakby nie ta baba, byłoby krwi zakażenie, a wtedy to już by was pewnie na świecie nie było...” - mówił stary doktor miękkim, niskim głosem.

Kuno wykrzywił się tylko na te słowa i rzekł:

„Co gadacie? Pogańskie praktyki to pogańskie. Kościół i Zakon nasz złym okiem patrzy na gusła. Modlitwa słuszniejsza”.

„Modlitwa nie wadzi. A ich pogańskie praktyki wam rękę ocaliły”.

„Ciekawym, gdzie ona, jeśli ocalona?” - zaśmiał się szyderczo von Kirchenstein, unosząc wysoko kikut pozbawiony dłoni, po czym, krzywiąc się boleśnie, odwrócił do medyka plecami, udając, że chce spać.

„Kto chce, ten widzi brak, tam gdzie jest, co ocalone, a kto inny widzi dobrodziejstwa, tam gdzie zdają się być losy przeklęte”. - odpowiedział lekarz i odszedł, zabierając swoje narzędzia.

„Kto inny widzi dobrodziejstwa, tam gdzie losy przeklęte” - tego wieczoru przypomniał sobie słowa Kuno w namiocie nad Łyną, na głos je wypowiedział i zamachnął się packą, żeby trafić komara. Owad umknął, uprzedzony ruszającym się cieniem. Drzwi na wieczór Kuno kazał sznurować i dwa razy sprawdzać, czy szczelnie, a chodził spać późno, dopiero wtedy, gdy mu się zdało, że już wszystko, co lata i krwi jego jest żądne, zostało wybite.

*

Ognisko płonęło niewielkim płomieniem, na tyleż podsycanym rękami strażników, by blask rzucić na teren wokół głównego miejsca w obozie, tuż przed wejściem do namiotu specjalnego wysłannika Wielkiego Mistrza. Ośmiu było knechtów wyznaczonych na tę noc do pełnienia warty i mieniąc się mieli co dwie godziny, po dwóch służbę pełniąc. Co pewien czas, gdy ognisko przygasalo, jeden z nich podchodził do wielkiej kupy chrustu, zgromadzonego wcześniej na zapas, i dorzucał kilka drew do ognia, żeby ożywić płomień, drugi zaś, włócznię dzierżąc w jednej ręce, a pochodnię w drugiej, okrążał całe obozowisko, idąc wzdłuż niewielkiego ogrodzenia postawionego naprędce dla ochrony głównie przed dziką zwierzyną podchodzącą od strony lasu. Przystawał on co kilka kroków, świecił naokoło, sprawdzał, czy konstrukcja z gałęzi nie jest naruszona, potem unosił zagiew, by spojrzeć w stronę rzeki, następnie przechodził na tę część, w której rozbite były namioty wojów krzyżackich, i dalej jeszcze, skarpą, tam gdzie robotnicy mieli swoje szałas, później przekraczał drogę idącą od grodu i mijał niewielką przerwę w ogrodzeniu, służącą za bramę,

na koniec zachodził od tego kierunku, gdzie wznoszony był zamek, który ciemniał nocą na tle nieba jak wielka święta góra, czczona przez tutejszych Prusów.

Nocą niepokoiły strażników jeno nietoperze zjawiające się nagle nad głową, w szalonych harcach wywijanych w ciemnościach z taką lekkością, jakby było widno niczym w dzień, albo sowy hukające z odległych wierzb rosnących nad brzegiem rzeki, czy wodne dzikie ptactwo, potrafiące nagle zerwać się w nocy, spłoszone jakimś ruchem niespodziewanym w obozowiskach.

Cały obszar miasteczka budowlanego, wyrosłego przy okazji stawiania zamku, był dobrze widoczny ze wzniesienia, z wysokości zamkowych wałów, bo to właśnie tu, na samej górze kazał postawić sobie swój namiot Kuno von Kirchenstein, tutaj też polecił usadowić się pozostałym pięciu rycerzom Zakonu, stanowiącym jego bezpośrednią świtę. Wszystkim knechtom, wojom, giermkom, czeladzi i innym służebnym wydał rozkaz ulokowania się niżej, blisko drogi i obozowiska robotników i rzemieślników. Zupełnie jakby czegoś się obawiał i próbował odgrodzić, czym tylko można, od strony dzikich plemion, które - zdawało mu się - ciągle podchodzą gdzieś lasami, aby nagle uderzyć na niego i na braci, zabić ich wszystkich i powiesić ich trupy na drzewach, bez głów, jak to opowiadano czasem przy wieczorze.

Jego strach udzielał się podległym mu ludziom i reszta Krzyżaków także spoglądała wokół dziko i nerwowo.

Może dlatego tak im śpieszyło się z budową zamku: za jego murami zamknięci nareszcie mogliby poczuć się bezpieczniej, choć na chwilę odpocząć, przestać budzić się w nocy, szukając, czy miecz leży gdzie obok, nasłuchiwać, czy to ptak w nocy krzyknął, czy Geci właśnie atakują obóz.

Kuno w każdym razie spał bardzo blisko samych wałów ziemnych sypanych pracowicie dzień za dniem, i pewnie, gdyby to nie było przeszkodą w pracach budowlanych, przeniósłby się już do wnętrza konstrukcji.

Tam jednak teren był zryty, rozkopany, rozjeżdżony kołami wozów; na środku przyszłego dziedzińca leżały wielkie sterty kamieni, głazów mniejszych i większych, żwiru, całe góry ziemi, piasku, kruszywa, olbrzymie stosy drewnianych bali, układanych krzyżowo, dla wyschnięcia, a gdzieś tam można się było natknąć na kotły smołowe, dziegiowe, żywiczne, z masą utwardzającą i kleikiem, czy wreszcie na beczki z wodą.

Zamek wznoszono na planie prostokąta, opasując wszystko wysokim wałem ziemnym, sypanym pracowicie przez dziesiątki robotników chodzących jak mrówki, noszących w chustach ziemię i żwir. Na wałach utworzone były specjalne ścieżki, które

ułatwiała pracę, a później miały zostać zniwelowane, aby wróg nie miał dostępu do głównej części umocnień.

Inżynierowie zakonnicy wybrali dla zamku skrzyniowy system konstrukcji murów - układano bele na krzyż, formując rodzaj wielkich studni o kwadratowym przekroju, a drewno zabezpieczano od gnicia smołą, dziegciem i dodawano żywicy na miejsca, w których drągi na siebie zachodziły, by mocno je związać ze sobą. Wnętrze drewnianych skrzyń, wypełnione mieszaniną ziemi, gładów i żwiru, powodowało, że mur taki był trudny zarówno do rozbicia, jak i podpalenia.

Plany przewidywały obłożenie ścian od zewnątrz specjalnym roztworem mułu rzeczno-glinianego i gliny, aby utworzyć ogniotrwałą warstwę, zasychającą w słońcu na kamień.

Na krańcach obwarowań zaplanowano budowę wieżyc obserwacyjnych. Wjazd od drogi bronić miała brama z podwójną kratą, mostem zwodzonym oraz otworami do lania smoły, oleju i wrzątku na głowy atakujących. Pośrodku dziedzińca zostawiono miejsce dla budynku zamkowej strażnicy, miejsca pobytu przyszłego komtura mającego władać krzyżacką siedzibą i podległymi jej ziemiami.

Całość murów już na sam koniec owych prac zwieńczyć miał prosty, drewniany ostrokół.

Na razie jednak plany owej budowy leżały na skrzyni w namiocie Kunona von Kirchensteina, a na skarpie, w miejscu dawnego grodu, sypano wały, umacniano dziedzińce i kopano fosę. Zakon ściągnął tu nie tylko swoich inżynierów, mistrzów budowlanych, ale też całą armię robotników, wolnych i niewolnych, drwali, kopaczy, cieśli, kowali, metalurgów, smolarzy, dziegciarzy, łowców, rybaków, stolarzy, kamieniarzy, a nawet alchemików, medyków i jednego chińskiego maga, który miał użyć specjalnych proszków do likwidowania dyzenterii w tym, nagle wyrosłym, ludzkim mrowisku.

Kłopoty żołądkowe stanowiły jedną z najgorszych plag, dotykających krzyżacką grupę budowlaną. Odkąd ruszyły prace, czyli od kwietnia 1238 roku, cały czas jedna trzecia robotników cierpiała na bóle jelit i tempo prac było niższe, niż się spodziewano.

Tak i nie ominęło to samych Krzyżaków - niektórzy knechci co i rusz pojawiali się w namiotach medyka i chińskiego maga, żądając ziół na dręczące ich bóle.

Tej nocy, ciepłej i rozedrganej w koncercie cykad, strażnik pilnujący namiotów rycerzy Zakonu złapał się w pewnej chwili za żołądek i począł rozglądać wokół. Odszedł dalej od ogrodzenia i znajdując kępę krzewów, kucnął przy niej, wbijając pochodnię w ziemię i kładąc włócznię obok. Rozsupłał węzeł w portkach, zsunął je, podniósł do piersi białą krzyżacką tunikę i wypiął się w kierunku budowanego zamku, spoglądając w stronę

obozowiska robotnych. Gdzieniegdzie paliły się jeszcze ogniska i z dala widać było figurki ludzi krzających się wokół nich.

Knecht stęknął potężnie i skrzywił się z bólu.

W tej to chwili usłyszał za sobą szelest i cichy skrzekliwy głos:

- Obyś, krojcu, zginął od tej strony, którą na zamczysko swoje wypiąłeś.

Krzyżak obejrzał się przerażony, wybałuszając ślepie, ale w ciemnościach mignęła jedynie potworna, wygięta w pałąk sylwetka. Cień rzucony od pochodni przemknął po krzakach, a był wielki i tak pokrzywiony, że mógł to być tylko dybuk albo jaki potwór pruski, któren wyszedł z bagien.

Zatrząśł się niemiecki wojak z trwogi i chciał wstać, lecz nie zdążył, gdyż z krzewów wyleciał kamień i uderzył go prosto w czoło. Biedak jęknął, zachwiał się i upadł bez przytomności.

Po chwili tuż nad nim pojawiła się niska, zakapturzona postać, z garbem sterczącym na plecach tak wyraźnie, jakby niosła ona jaki ładunek na grzbiecie, a nie wykoślawioną część samej siebie.

- Brak to szacunku dla zamku własnego, braciszku, brak - powiedział Karlito i przyjrzał się chwilę zemdlonemu, aby ocenić, na jak długo będzie miał z nim spokój, zanim raban zostanie wzniesiony i reszta się przebudzi.

Stan omdlenia był chyba zadowalający, bo karzeł zaśmiał się, potem złapał sztylet tkwiący za pasem Krzyżaka, wsunął go za postronek i pomknął w stronę namiotów rycerskich, kryjąc się w cieniu.

*

Łatwo było poznać namiot Kunona von Kirchensteina, gdyż ze wszystkich był największy, a przed wejściem do niego tkwił proporzec z herbem. Na nim to dwa smoki błyskały na siebie wzajem płomieniem, a ich cielska splatały się w morderczej walce.

Karlito kuczał schowany za stosem beczek, a kiedy wyjrzał cmoknął z podziwu i rzekł do samego siebie:

- Ech, coby mój pan to zobaczył, to by było... To byście, braciszku moi, zobaczyli, jak się Dragiełło ze smokami rozprawia!

Potem jednak wzrok jego ześlizgnął się z proporca na ognisko i śpiących dookoła niego strażników. Mina mu trochę zrzędła.

- Aleć teraz ino jego giermek poradzić sobie musi, nawet z przeważającym liczebnie wrogiem - szepnął ponownie, jakby sam sobie chciał animuszu dodać. - Tak to, braciszku moi, przekonacie się, co wart żebrak tyniecki, Karlito z rodu karłów królewskich.

To rzekłszy, zaczął przemykać między leżącymi skrzyniami, beczkami i innymi pakunkami, a że Bóg obdarzył go wzrostem zaiste niewielkim, tak więc jeno garb czasem pojawił się gdzie nad przeszkodą. Karzeł minął wielkim łukiem śpiących strażników, chowając się za czym tylko się da i lgnąc do ziemi. Przechodził od jednego namiotu rycerskiego do drugiego, oddech wstrzymywał i nasłuchiwał tak uważnie, że jego uszy, wielkie i obwisłe, zdawały się sztorcem stawać jak u psa wyczuwającego zwierzynę w lesie.

W namiotach słychać było chrapanie rycerzy Zakonu Najświętszej Maryi Panny Domu Niemieckiego, więc Karlito co i rusz wydawał westchnienie ulgi, aż w końcu dotarł do ostatniego namiotu przed tym, który był celem jego tajemnego podejścia.

Nagle powiało od strony rzeki i porporzec z dwoma wyhaftowanymi smokami załopotał głucho, jakby to owe gady na nim zbulgotały. Płomienie w ognisku buchnęły żywiej, strzeliła jakaś iskra z gałązki i obudził się jeden ze strażników, ten, co ognia miał strzec.

Rozejrzał się, rzucił parę drew, jakie miał pod ręką, zawinął się w opończę i ułożył na boku, smacznie zasypiając, jakby był u siebie w domu, a nie straż trzymał w dalekim kraju.

Karlito zamarł jak zając w zagonie. Odczekał czas jakiś i gdy stwierdził, że unoszące się miarowo ciało knechta świadczy o jego głębokim śnie, rozpoczął dalszą drogę.

Dotarł do namiotu Kunona von Kirchensteina, po czym przywarł przy ścianie, tam gdzie cień wszystko skrywał i zdało się bezpiecznie.

Przez materiał, z jakiego wykonano namiot, przedzierało się ze środka delikatne, pełzające światło jak od świecy albo łuczywa.

Karzeł zaklął pod nosem - wyglądało na to, że Krzyżak jeszcze nie spał. Garbus spróbował palcami odszukać dół namiotu, lecz stwierdził, że tkanina jest wkopana w ziemię i przyłożoną kawałem darni, tak że szpary żadnej znaleźć nie było jak. Mocniej pociągnąć też nie dało się, bo wtedy cała konstrukcja mogłaby się poruszyć i natychmiast wzniesiono by alarm. Karlito wyjrzał w stronę ogniska, a że wszyscy nadal spali, począł okrążyć namiot, próbując znaleźć jakieś miejsce słabiej uszczelnione. Nadaremnie. Obszedł tak na czworakach całe schronienie krzyżackiego rycerza i nie przyniosło to żadnego efektu. Ale też przynajmniej miał czas nasłuchiwać, czy się co wewnątrz nie rusza, a i przyglądać czy cień jakiś nie mignie, dając znak, że ktoś tam nie śpi.

Cisza panowała w środku zupełna i tylko światło czasem lekko zamigotało, jakby ćma jakaś w ogniu się spalała, powodując skwierczenie knota.

Karlito przeturlał się na sam tył namiotu, gdzie było już całkiem ciemno, i czując zaraz za stopami ogrodzenie uwite z gałęzi, wyciągnął sztylet zabrany strażnikowi, po czym zbliżył jego ostrze do ściany.

Wstrzymał oddech, przeżegnał się i powolutku, delikatnie nacisnął na trzonek noża.

Materiał napiął się pod czubkiem i nie puścił.

Karlito odłożył sztylet na chwilę, złożył dłonie, wznosił oczy do nieba i zmówił modlitwę, błagając o pomoc Anioła Stróża, który wiele już razy wspierał go w potrzebie.

Tak i teraz anioł mu rzekł, żeby się nie bać, tylko ciąć z rozmachem. Karzeł złapał za sztylet i wbił go w namiot jak w pieczeń oblaną pysznym sosem.

Ostrze rozdarło materiał i ciszę, jaka panowała wokół. Karzeł zamarł przerażony. Ktoś jęknął przy ognisku. Na szczęście jeno zagadał przez sen, bo nikt nie krzyczał, z pochodnią nie nadchodził, nie szukał, nie świecił.

Garbus po dłuższej chwili dopiero odjął ręce z głowy. Anielska opieka sprawiła, że atak straży nie nastąpił.

Włożył więc dłonie w powstałą szparę i rozsunął ją, zaglądając do namiotu.

Przy niewielkim stole, z głową na blacie spał Kuno von Kirchenstein, przykryty miękką, wyprawioną skórą niedźwiedzia. Jedna ręka spoczywała na dziwnej klapce ze skóry, osadzonej na trzonku, a druga zwisała pod stołem. Ta druga nie była zakończona dłonią, lecz ostrym, metalowym szponem, mającym kształt sierpa lub jakiegoś wschodniego puginału.

Przed jego twarzą, brodatą, okoloną długimi blond włosami, dogasał kaganek oliwny. Z jednej strony namiotu stało drewniane łoże, z drugiej dwie skrzynie, obite ćwiekami i malowane w roślinne wzory.

Oczy Karlita spoczęły na owych skrzyniach. Karzeł westchnął głęboko i znów zaczął się modlić.. Teraz przed nim była najtrudniejsza część zadania.

*

Krzyk niósł się z wysokości zamkowego wzniesienia w dół, w stronę rzeki, jak huk lawiny schodzącej w górach. Gdyby zaś przyjrzeć się grze płomieni, pojawiających się najpierw u szczytu, a później rozlewających coraz niżej w wielką rzekę pochodni i płonących gałęzi chwytnych przez rozbudzonych nagle ludzi, przypominać to by mogło wybuch wielkiego wulkanu. Sceneria iście doskonała dla bitew toczonych pod murami włoskich miast przez cesarza Rudobrodego, lecz kraj całkiem inny, dziki, pokryty puszciami, a wulkan był ludzki, choć pluł lawą równie śmiało co Wezuwiusz.

Nawet i rycerza toczącego bitwę z olbrzymem nie brakło - tak jak Bolesław Wysoki, ojciec Henrykowy, zachwycał werwą niemieckiego cesarza pod Mediolanem, tak teraz inny

mąż mieczem ciął naokoło, w szaleństwie bojowym się zatracając. Był nim rycerz Zakonu Najświętszej Maryi Panny, Kuno von Kirchenstein, urodzony w Lubece, w roku pańskim 1199. O tyle jednak, o ile Bolesław mierzył się z najtwardszym z obrońców włoskiej twierdzy, zyskując aplauz cesarskiej armii, o tyle krzyżacki woj toczył walkę z niewielkim garbatym cieniem, który zniknął w dziurze wyszarpanej w tylnej ścianie jego namiotu.

Każde machnięcie żelazem wyzwalalo w nim jeszcze większe pragnienie krzyku, więc ryczał, jak bestia wypuszczona z piekieł. Miecz zataczał koła, a że hełm nałożony naprędce w ciemności ograniczał i tak skąpą widoczność, więc zakonnik kreślił w powietrzu śmiertelne kręgi, machając na ślepo i licząc, że albo trafi przeciwnika przez przypadek, albo go skutecznie odstraszy.

Wszyscy w obozie zerwali się na równe nogi, chwytając za broń i biegnąc na ratunek.

Miszały się krzyki rycerzy zwołujących swoje zastępy, strażników machających do siebie i wskazujących różne kierunki, knechtów zapinających w biegu paski kolczych rękawic, giermków szukających mieczy dla swoich panów, kuszników wydających komendy do napięcia cięciw, ludzi z miasteczka budowlanego wrzeszczących w panice i spodziewających się napadu zbrojnych i zwykłych tchórzy krzyczących tylko dlatego, że mieli taką naturę, a nie inną.

Kuno w pewnej chwili poczuł, jak wali się na niego cała konstrukcja namiotu, którą podciął sam, uderzając na oślep mieczem. Wtedy przestał krzyczeć, paroma ruchami uwolnił się od leżących na nim tkanin, sznurków i żerdeł, po czym rozejrzał się wokół.

Jego rycerze przyboczni stali niedaleko, lustrując okolicę, świecąc sobie pochodniami i trzymając w pogotowiu miecze. Wszyscy byli w strojach do snu raczej niżli do bitwy, więc wyglądali nieco zabawnie - w rozwianych koszulach, z brodami i włosami w stanie pełnego nocnego rozczochrania.

- Cóż się dzieje, bracie Kuno? - spytał głośno jeden z nich.

Specjalny wysłannik nie odpowiedział od razu, tylko wygrzebał się najpierw z rozbitego namiotu, po czym stanął szeroko na nogach, zdjął hełm i rzucił go na ziemię.

Otarł czoło z potu przedramieniem kalekiej ręki, odgarnął mokre włosy i rzekł:

- Był u mnie diabeł pogański.

- Diabeł? U was?

- Nie myślcie, zem oszalał. Diabeł z krwi i kości. Zbiegł w dół, w stronę obozowiska.

Wskazał mieczem dziurę wyszarpaną w ogrodzeniu z gałęzi.

- Tędy zbiegł - rzekł do stojących za nim Krzyżaków, po czym wrócił do namiotu i zaczął odrzucać zwoje materiału pokrywające stół, skrzynie i jego łożo. Tymczasem za jego

plecami, na rozkaz straży, rozpętywało się piekło poszukiwań. Po wszystkich zakamarkach obozowisk, między szałasami i barakami, biegali knechci z pochodniami w rękach i zatrzymywali każdego, kto wydał im się podejrzany. W środku nocy zrobiło się w zakolu Łyny jasno jak w dzień. W zamieszaniu wielu ludzi nie wiedziało, co się dzieje, czy Prusacy w nocy napadli, usiłując odbić gród, czy też inny najazd nastąpił, pytali.

Wtedy im tłumaczono, że poszukiwany jest złodziej, który wtargnął do namiotu wysłannika Wielkiego Mistrza i go ograbił.

Sam Kuno w tym czasie pokazał braciom otwór wyrżnięty sztyletem w tylnej ścianie namiotu, a następnie przeszukał skrzynie, gdzie przechowywał cenne przedmioty - kosztowności zdobyte w czasie wypraw, monety przekazane na wypłaty związane z budową zamku, plany inżynierskie, naczynia liturgiczne i pieczęcie.

Skoble do skrzyń wisiały smętnie, a zamki były otwarte, mimo iż klucze Wysłannik Wielkiego Mistrza Krajowego miał zawsze przy sobie, zawieszane u pasa.

- Złodziej fachu swego dobrze wyuczony - stwierdził jeden z krzyżackich braci, kiwając głową w zamyśleniu.

- To nie nowina, że wykształcony w swym zawodzie - warknął Kuno i dodał - ale i my się na swoim znamy. Ruszać trzeba i karła złapać.

- Karła?

- Karła. Na swoich nóżkach daleko nie umknie. Gdzieś musi siedzieć pod krzakiem jak szczur.

- I jak szczura go wypłoszymy.

- Koni dajcie.

- Już prowadzą.

- Co ze strażą?

- Jeden uderzony kamieniem, dopiero dochodzi do siebie, inni już złodzieja szukają.

- Dajcie ludziom opis - niech wypatrują garbatego karła, potworka, a nie człeka.

- Łacniej mu się chować, jeśli mały...

- Ale jak się pojawi, trudno go nie zoczyć.

Słudzy podprowadzali konie. Podano rycerzom kolczugi, kolcze kaptury i szyszaki. Wzięli do rąk miecze, wskoczyli na wierzchowce i ruszyli, świecąc sobie pochodniami, w dół obozowiska.

*

Karlito biegł między beczkami ustawionymi w wysokie sterty, po czym, ledwo łapiąc oddech, wturlał się w szparę między nimi. W chuście zwiniętej w węzełek miał rzeczy

skradzione z namiotu Kuna. Wszystko, co zdołał unieść, bo karle łapy były niestety mniejsze niż jego chciwość. Garbus przywarł do jednej z beczek, starając się wyglądać jak jakiś pakunek rzucony tam w nieładzie. Potem znów zerwał się do biegu.

Skakał między kałużami, odbijał się od płotów i ogrodzeń, wpadał w ściany szałasów, turlał pod przeszkodami, wił jak piskorz, wzbijał tumany pyłu, okręcał na pięcie, by za moment pełzać jaszczurzym wywijasem. Jego złodziejska natura była silniejsza niż strach - metal szlachetny, pobrzękujący mu na piersiach, dawał krótkim i mniej szlachetnym nóżkom chyżość sarny. Gnał Karlito jak strzała - lub też, bacząc na kształt jego zgarbionego ciała - jak kamień ciśnięty z procy.

- Łapaj! Tam jest! - ktoś krzyknął i dwóch mężczyzn w ciemnych habitach rzuciło się za nim w pogoń.

Złapać jednak tynieckiego garbusa nie było łatwo. Pościg za nim, w ciemności i w bałaganie, jaki zapanował we wszystkich częściach obozowiska, był trudny.

Wierny sługa pogromcy smoków oglądał się za siebie, a nagle zwroty dokonywał z taką szybkością i zwinnością, że i u szaraka przed psem takich nie uświadczysz. A wokół niego jakby las gorzeć zaczął - tyle podpalono pochodni i tyle gałęzi uniesiono z ogniska.

Konie rżały, zaniepokojone hałasem. Szalbierz wsunął się między nie, poklepując po bokach i próbując uspokoić. Nic to nie dawało, bo Gigi, trzymana w worku na plecach, piszcziała ze strachu.

- Wyjdźcie z tej zagrody, Szalbierzu, bo całkiem nam te chabety przepłoszycie - szepnął mu Dragiełło, machając niecierpliwie ręką. - One nie są zwyczajne tego, co chowacie w swoim saku.

Jeruzalem wycofał się niezbyt zadowolony, przeskoczył przez żerdzie i skulił się, próbując uciszyć zwierzątko. W końcu rozsuptał węzeł i małpka, skarżąc się na swój los, siadła mu na ramieniu.

Konie stojące bliżej poczęły patrzeć na małą bestię szerokimi oczami, kopać w ogrodzenie i szamotać się.

- Idźcie gdzieś dalej, do lasu, Jeruzalemie - powiedział zdenerwowany rycerz, przeciskając się między końmi.

- Zaraz ją uciszę - Szalbierz splunął na ziemię. - Gigi, daj to spokój, daj. Dyć tyle to razy w klatce na wozie jechałaś.

Małpka nie słuchała spokojnego głosu swojego pana. Złapała atletę za włosy, przeszła z lewego ramienia na prawe i z powrotem, kwiląc cały czas, jakby nie mogła znaleźć bezpiecznego miejsca.

- Mówię wam, lecz jak widać, do chamskiego ucha niewiele co trafi z rycerskiego planu! - pogromca smoków nastroszył brodę, by podkreślić ważność wypowiedzi. - Jak zaraz gdzie nie znikniecie, tak nam się konie całkiem wypłoszą! Zanim Karlito dobiegnie na umówione miejsce.

- Jak więc robimy?

- Wycofajcie się, tam gdzie pogorzeliście po Chłascie, na skraju lasu czekajcie.

- A dalej?

- Dalej? Ja konia jednego za uzdę wezmę dla was, Szalbierzu.

Małpka zaskrzeczała i Jeruzalem, klnąc pod nosem, zaczął się wycofywać w stronę spalonej chaty.

Wieszczka tymczasem pomachała mu znad końskiej grzywy - i to tak figlarnie, jakby była małą dziewczynką, która właśnie w zagrodzie, pośród wrzasków pogoni, między zaniepokojonymi zwierzętami, znalazła świetne miejsce do zabawy. I jakby cała ta historia była bardzo śmieszna.

Jeruzalem zatrzymał się, chciał się jej przyjrzeć, ale ona z chichotem zniknęła za grzbietem jednego ze zwierząt i za chwilę pojawiła się pod jego brzuchem. Zakryła dłonią twarz, jakby miała parsknąć śmiechem, ale widząc poważną minę Dragielły, zaczęła mu pomagać w oporządzaniu wierzchowców do jazdy. Po cichu podawała mu uździenice, powrozy i derki wiszące na płocie.

Szalbierz widział już zaledwie jej zarys na tle ogni płonących w dali, więc tylko westchnął, pacnął małpkę prosto w pyszczek, aż parsknęła, i kocim krokiem zaczął iść w stronę lasu.

Gdy dotarł do pierwszych drzew, znalazł miejsce, skąd mógł swobodnie obserwować miejsce budowy zamku, iskrzące ognikami i pulsujące świetlistymi ścieżkami ludzi biegnących z pochodniami. Jak widz, siedzący bezpiecznie na trybunach amfiteatru, spoglądał na to, co się działo na wysokim brzegu Łyny.

Konno, w górę i w dół, jeździł Kuno, w charakterystycznym hełmie zamykającym całą twarz i z białą peleryną powiewającą na wietrze. Wydawał rozkazy energicznymi machnięciami ręki zakończonej żelaznym hakiem. Obok niego, jako żywo, kilku było rycerzy zakonnych, co na dobre i na złe się wiązali z mistrzem, komturem czy kapelanem zakonnym. Przełożonemu winni byli posłuszeństwo w duchowym rozwoju, także jak i w bojowym rzemiośle.

Knechci piesi starali się ukierunkować poszukiwania intruza i nadać im jakiś sens - tedy kazali iść ludziom ławą, by metodycznie i po kolei sprawdzili każdy namiot, każdy szałas czy ziemiankę, każdą stertę belek, stos skrzyń czy beczek.

Jedni zatem ustawili się w szereg w szczytowej części sioła, zaraz pod wałami, inni zamykali teren, czyniąc koło na obrzeżach i świecąc wszędzie pochodniami.

Jeruzalem patrzył na ten spektakl, gładząc małpkę i zerkając co chwilę w stronę zagrody z końmi, gdzie czekał Dragiełło razem z Hanną.

- Widzisz, Gigi, to jest bojowa niewiasta - szepnął do małpki, która teraz trzymała go za twarz, wbijając pazurki w brodę i policzki - niczego się nie lęka, w ogień idzie jak woj jaki. A ty? Kuno von Kirchenstein nie wierzył w sny. Starał się nie wierzyć. Wiara w sny coś niedaleko zda się od zabobonu. Stąd już prosta droga do wyklęcia. Kuno bał się kilku rzeczy - trądu, wszy, piekła, końca świata, jaszczurek i klątwy kościelnej. Czego mógł, tego unikał. Starał się wmówić samemu sobie, że koszmar jest tylko przejawem szaleństwa śpiącego ciała, a nie wieszczbą mającą się spełnić w realnym świecie.

Zrywał się czasem w środku nocy, mając pod powiekami wyśniony obraz - twarze wykrzywione w potwornym grymasie, cienie wychodzące z lasu, strzygi wciągające go do zimnego jeziora i topiące w makabrycznym listowiu długich włosów unoszących się w wodzie, pokurczone postaci bez nóg i bez rąk, trędowatych o ustach bez warg, policzkach bez nosów, grobożerców kładących się do jego łóża i próbujących wciągnąć w lubieżną grę, chorych kobiet-potworów, które stawały się okrutnymi nałożnicami, smagając jego plecy biczem uwitym z wodorostów. Siadał wtedy nagle, otwierał szeroko oczy i powoli wracał do świata żywych, macał łóżę wokół siebie, sprawdzając, czy żyje, czy futro leżące obok nie zjeży się na plecach jakiejś bestii.

Co gorsza - pochodzący z Lubeki rycerz, z głową od dzieciństwa pełną ideałów i wielkich planów, stał się zakładnikiem własnych snów. Dostrzegał bowiem, że z morderczą dokładnością spełniają się, prędzej czy później, na jawie.

Śnił mu się niegdyś, jeszcze gdy był młodzieńcem, wielki rycerz pędzący w jego stronę na koniu, biorący zamach i odcinający mu dłoń. Kuno nawet opowiedział o tym koszmarze matce, lecz ta wyśmiała całą historię, mówiąc, że to jeno zwidy. Nocnym marom nie można dawać wiary.

Jak nie dawać wiary w owe prorocze sny, jak nie przyznać ich zabobonnej mocy, gdy co i rusz spełniały się w jego życiu?

Tak jak teraz, gdy Kuno stał na koniu pod budowanym dla zakonu zamkiem, patrzył na migoczące wszędzie światła pochodni i czuł, pamiętał, prawie widział, wiedział, co teraz się stanie.

Co przyjdzie nieoczekiwanie jak burza, zmiatająca ludzi huraganowym wiatrem i błyskawicą spalająca najtwardszy dąb.

Obrócił konia w stronę lasu, tam gdzie ciemniała jego wielka, czarna otchłań.

Zmrużył oczy, by lepiej widzieć ten zarys leśnego morza, odruchowo sięgnął do rękojeści miecza, łykając ślinę i czekając na to, co podpowiadał mu jego stary sen.

Zdawało mu się, że cała olbrzymia bryła okalającej budowę kniei drgnęła.

Hełm tłumiał dźwięki, jak zza blaszanej ściany dochodziły go nawoływania strażników poganiających ludzi.

Wydawało mu się, że słyszy złowieszczy odgłos, jaki pamiętał ze swego snu. Jednak zagłuszał go gwar poszukiwań.

- Cisza! - ryknął nagle Kuno von Kirchenstein, podnosząc rękę.

Przyboczni rycerze spojrzeli na niego zdziwieni. Nie raz widzieli swojego przełożonego, jak kierują nim nagle ataki szalonej krwi uderzającej do głowy, więc patrzyli teraz, czekając potwierdzenia tego rozkazu.

- Cisza! - Kuno wrzasnął ponownie, wkładając w to pełną moc płuc. - Wszyscy stać!

- Bracie Kuno? - brat Wilhelm podjechał do niego bliżej, tak że ich konie prawie dotknęły się. - Coś usłyszeliście?

- Nie rozumiesz, idioto? Cisza! Zatrzymajcie wszystkich! Natychmiast!

Rycerze Zakonu Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie mogli mieć różne złe cechy, a nawet, co w trudno uwierzyć - wady, lecz jedno mieli we krwi, wyuczone jak brewiarz śpiewany co ranka na jutrzni: posłuszeństwo i wykonywanie rozkazów bez szemrania.

Dlatego tylko chwilę trwało, gdy patrzyli po sobie zdezorientowani. Już w następnej sekundzie bowiem stali obok siebie równo, strzemię w strzemię, i przekazywali dalej rozkaz.

- Stać! Wszyscy stać! Cisza! - wrzasnęli pewnym siebie głosem. Podchwycili to knechci i krzyki poniosły się echem między szałasami, barakami i stertami kruszywa, odbiły od płynącej rzeki i wróciły echem.

Około tysiąca ludzi - rzemieślników, robotników, wolnych i niewolnych, Warmów z okolic i wszystkich przyjezdnych, Krzyżaków z Niemiec i mistrzów kowalskich, ciesielskich z Pomezanii i Pogezanii, Galindii i Sasinii, całej tej wielonarodowościowej gromady - stanęło, milcząc i słuchając.

Obozowisko, dopiero co ruchliwe, tętniące, grające kolorami, stanęło w miejscu jak koń osadzony ręką wprawnego jeźdźca.

Ludzie zatrzymali się, unosząc pochodnie i rozglądając wokół niepewnie.

- Cisza! Zupełna cisza! - przekazywano sobie z ust do ust.

Gdyby ktoś w tej chwili stanął na szczycie budowanych wałów zamkowych, mógłby usłyszeć skwierczenie szmat nasączonych oliwą i palących się na pochodniach.

Kuno dalej trzymał rękę w górze.

- Cicho - rzeekł.

Jego ludzie patrzyli w stronę, w którą i on spoglądał. Zaczęli mrużyć oczy, by lepiej widzieć w ciemnościach.

- On idzie! - wyszeptał człowiek ze smokami na hełmie.

- Kto idzie, bracie Kuno? - spytał brat Wilhelm.

- Las.

Wilhelm zmarszczył czoło, zastanawiając się skrycie, czy jego przełożony, specjalny wysłannik Wielkiego Mistrza, nie postradał zmysłów na pruskiej ziemi. Stracił już rękę, mógł stracić rozum.

- Las?

- Cicho!

Koń rycerza zaczął strzyc uszami, mocno przysiadać na zadzie i rzeć, jakby wilcy podchodzili.

Ludzie rozrzceni na obszarze całego sioła stali, karnie unosząc pochodnie i nasłuchując. Ktoś gdzieś zakaszlał tylko, ktoś inny zaczął o coś pytać, ale zaraz został zgaszony przez nadzorcę robót.

Kuno patrzył w stronę lasu i próbował ściągnąć cugle denerwującego się konia.

- Słyszycie?

- Cóż nam słyszeć, bracie?

- Słuchajcie. Rycerze wytężyli słuch.

- Słysząc - powiedział von Kirchenstein i ścisnął wierzchowca udami, tak by podjechać na sam brzeg niewielkiego nasypu.

Wilhelm stanął koło niego, a jego twarz, początkowo wyrażająca zakłopotanie i troskę o stan duchowy jego starszego w randze brata, nagle zaczęła się zmieniać, tężeć i ściągać w policzkach. Jakby dobry żart zamieniał się właśnie w niebezpieczną rzeczywistość.

- Słysząc. Panno Przenajświętsza, co Chrystusową dałaś nadzieję światu, miej nas w opiece - powiedział trzeci rycerz, dołączając do szeregu.

- Panno chwalebna i błogosławiona, broń nas! - dołączył jeszcze jeden, wyciągając miecz z pochwy. Delikatny szmer poszedł wśród ludzi rozrzuconych po obozowisku. Głowy wszystkich zwróciły się w stronę lasu.

- Słyszycie? - spytał po raz kolejny raz Kuno.

- Tak, bracie, teraz słyszymy - odpowiedział Wilhelm.

- Cóż to? Na Boga? - rzucił chrapliwie trzeci, o imieniu Johannes.

- Idzie las - odpowiedział Kuno, a palce jego lewej ręki zaciskały się na rękojeści miecza.

Z głębi puszczy dochodził rytmiczny grzmot. Jakby ciągnęła burza, a knieja była olbrzymią, napęczniałą chmurą, z której zaraz lunie deszcz. W powietrzu zrobiło się parno i duszno. Pot płynął po plecach rycerzy. Brakowało oddechu w nocy przepełnionej duchotą.

Las wyglądał jak ocean wzburzony nadchodzącym wichrem. Szumiał w oddali i kołysał się, choć tu, w miejscu budowy, wiatr ustał.

- Boże, chroń nas! - przelękając ślinę, wymamrotał Wilhelm.

- Kto to? Geci? Warmy? - zaczął gorączkowo pytać Johannes. - Może Natangi przyszyły z pomocą Warmom? Albo i Sambowie, choć ci dalej mają?

- To idzie las, bracia! - powiedział twardo Kuno von Kirchenstein i dodał - Przyszykujmy się, żeby go ściąć. Siekier mamy dosyć!

Knieja warmińska odpowiedziała pomrukiem dębów. Ich korony widać było ponad zwalistym, schowanym w mroku cielskim lasu.



ROZDZIAŁ VII

CZERWIEC 1238



zum drzew to mowa niezwykła, bo rozumie ją każdy. Inne obce języki trzeba tłumaczyć. Mieć trza człowieka, co je wyrozumie, gadać nimi i słuchać ich potrafi. Taki

przełoży, co się ma na rzeczy, coś przy tym skłamię, od siebie doda, przeinaczy, całkiem może nawet zepsuje, co jeden człek drugiemu chciał przekazać.

Ot, może i dlatego ludy geckie albo pruskie nie chciały słuchać Wojciecha, który się wybrał do nich, by wiarę pogańską wyprzeć z ich serc pięknem swojego słowa, bo nie mówił do nich sam, jeno z usług tłumacza korzystać musiał.

Tedy i język nie przeniesie z jednej duszy do drugiej tego, co w niej siedziało, bo na przeszkodzie staje trzeci język i trzecia głowa pomiędzy tamtymi duszami.

Ale pieśń śpiewana przez listowie drzew to co innego. Ona płynie wprost do serca człowieka i nie Iza jej tłumaczyć żadnymi sztuczki. Starczy stanąć obok, ręką o pień się oprzeć i słuchać. Pieśń leśna sama ze szczytów drzew do piersi człowieczej splywa i tam zostaje.

Gdy lekki wiaterek poruszy w upalny dzień pachnące listowie, tedy miło jest słyszeć ów szelest - jak u wierzby nad rzeką, jak u brzozy przy ścieżce, jak u lipy rosnącej koło domu - który mówi, że gdy jest gorąco, to należy się radować światem.

Gorzej, gdy drzewa wrzeszczą na człowieka, by uchodził. Kiedy zrywa się wichura, łamać będzie, co kruche, stare i nieszczęśliwe pośród gałęzi.

*

Szalbierz stał na brzegu lasu i słuchał, jak knieja szumi nad jego głową. Małpka skrzeczała mu w ucho, przechodziła po ramionach, wczepiając się w barki i kark niewielkimi pazurkami. Całkiem jak kot.

Lubił słuchać tego szumu - wiatr był rodem z jego duszy, był stepowy, pachniał trawą mongolskich krain.

Gigi była coraz bardziej przerażona. Jęczała i próbowała schować się Jeruzalemowi pod ramię, wpełznąć w rękaw. W końcu skryła się w worku.

- Gigi, tyś niewiasta prawdziwa. Tobie raz w głowie jedno, a raz drugie - zaśmiał się cicho Szalbierz, ale nagle spoważniał, patrząc na to, co się dzieje w obozowisku.

Cały ruch, tak świetnie wcześniej widoczny, teraz zamarł. Słysząc było przez chwilę nawoływania, ale zaraz harmider ustał całkowicie.

- Cóż, u licha - szepnął do siebie tatarski atleta i podszedł dwa kroki, by lepiej widzieć.

Starął się wypatrzeć, czy ktoś gdzieś nie zdybał karła i teraz go nie niesie, trzymając za kark. Potem zlustrował okolicę zagrody z końmi, sprawdzając, czy nie zauważono obecności rycerza i Hanny. Jednak nigdzie nie znać było zamieszania. Zamiast tego ludzie stali nieruchomo, wznosząc pochodnie.

Wtedy po raz pierwszy usłyszał za plecami huk. Jakby grzmot uderzył po lesie albo jakby pień jakiś pękł pod naporem wiatru.

Odwrócił się, próbując wzrokiem przebić zwartą ścianę wielkich drzew. Jednak noc nie pozwalała zajrzeć w las głębiej niż na odległość kilkunastu kroków. Gdzieś dalej, dużo dalej, poza zasięgiem wzroku, coś się jednak działo.

Zrazu ciszej, a potem coraz głośniejszy słychać było miarowe uderzenia. Jakby ktoś bił w bęben. Albo jakby o grunt uderzały tysiące nóg.

W pewnej chwili przez ten narastający huk przebił się jeszcze jeden dźwięk. Po całym lesie, od drzewa do drzewa, od pnia do pnia, od gałęzi do gałęzi, poleciał głos rogu. Przemierzył wszystkie zarośla, zawinał się o wszystkie liście, potem wypadł z lasu, przeleciał między chatkami robotników i wpadł w ucho specjalnego wysłannika Wielkiego Mistrza Krajowego.

Kuno von Kirchenstein skrzywił się.

*

- Pycha w pierwszym rzędzie. To muszę wyznać. Chociaż, Panienko moja najukochańsza, karłem jestem jeno, a ludzie śmieją się ze mnie, to mam się za mądrego i pięknego. Nawet mądrzejszego od mojego pana, rycerza Dragiełły herbu Kraplan, wybac mi, Panienko. Obżarstwo i picie w nadmiarze moim się stały dybuczym opętaniem od dzieciństwa. Już gdy ssałem pierś matczyną, wtedy opróżniałem ją do końca i jednego cycka było mi mało, dopominałem się drugiego, a i trzeci jakby był, to bym skorzystał. Trzeci cycek, wybac mi, o Panie.

Próżniactwo zaś jest we mnie tak wielkie, że nigdy mi się nie chce, choćbym i mógł. Nie raz to spałem, zamiast zebrać u wrót kościoła tynieckiego.

Chciwość... Panienko najlaskawsza - ty wiesz, że ja chciwy z natury nie jestem, nigdy w bogactwa nie opływałem, lubo co nam Chryst obiecał, że w Królestwie Niebieskim odda tym, co na tym padole nie mieli, to tego pragnę i się zadowolę po Sądzie Ostatecznym jedną wsią niedużą, trzema niewiastami i kotłem pełnym złotych monet. Jeszcze bym upraszał u Panienki kilka monet dodatkowo na zakup konia i wycięcie garbu u medyków trzebnickich.

Zazdrość mną pomiatała jeno, gdy zem widział jedną żonę karczmarza, jak co prała w tylnej izbie. Lubieżności we mnie wcale, bom mało karlic widział, a te tylko budzą żądze dzikie w moim ciele. Lecz gdy jaką bym spotkał, a może i pan mój Dragiełło by taką z niewoli uratował, jak tę Hannę, to mógłbym się i zgodzić z nią legnąć. Tego nie wiem jeszcze, ale jak zobaczę ona, Panienko, to ci rzeknę, czy chuć jest, czy ni ma. Na koniec gniew jeszcze mi ostał. Daj mi, Panienko, wybaczenie, że się gniewam czasem. Aleć mnie ten

Pan Bóg czasem krwi napsuje - co rusz mi na garb zsyła jakie przeciwności. Tak i teraz gniewu nie dopuszczę, jeno... ratuj! Ratuj mnie, Panienko, gdym grzechy wyznał, reszty nie pamiętam! Ratuj Karlita, bo w biedzie siedzi po uszy i po garb swój żaloszny.

Giermek Dragiełły leżał w niewielkiej ziemiance, służącej pewnie za łaźnię, i nakrywał głowę rękami. Co podpełzał do szpary i wyjrzał, to gęba mu się robiła jeszcze bardziej zmarszczona ze zgryzoty. Co nasłuchiwał, to jeszcze bardziej płacziwą modlitwę wznosił do swej Opiekunki, błagając o wybawienie. Potem sprawdzał, czy aby na pewno nic się nie wysypuje z chusty, i znowu obserwował przez szparę w drzwiach, co się dzieje na zewnątrz.

Utkwił na dobre w miejscu, które z jednej strony było niezłą kryjówką, a z drugiej uciec z niego niezauważonym było bardzo ciężko. W tej chwili zbyt wielu ludzi krążyło wokół i nietrudno byłoby im zauważyć karła biegnącego w stronę końskiej zagrody.

A tam czekał jego pan.

W pewnej chwili harmider ustał, zamarł całkowicie i w obozowisku zapanowała dziwna cisza. Garbus przełknął ślinę, przewidując kłopoty, po czym cichutko, delikatnie uchylił trochę łaźiebnią zasłonę.

Patrzył zdziwiony, jak wszyscy ludzie podnoszą pochodnie i stają nieruchomo..

Od strony lasu doszedł nagle długi i przejmujący głos rogu. Karzeł wzdrygnął się, jakby ten dźwięk budził w nim bardzo niedobre wspomnienia.

*

- Zebrać ludzi! - spokojny głos Kuna von Kirchensteina świadczył o tym, że w chwili, gdy pokonał już własne demony, zaczynał działać trzeźwo, spokojnie, znajdując w sobie zarówno tyle dobrego zapachu, co wyrachowania potrzebnego do przewodzenia ludziom.

Obrócił konia, trzymając cugle owinięte o metalowy kikut, lewą ręką zaś wyciągnął miecz. Jego głos miał barwę zimną, metaliczną i nabierał dziwnego echa, gdy wydostawał się przez szczeliny w hełmie służące do oddychania.

- Wszyscy na górę! - rzucił do Wilhelma, który jego rozkazy przekazywał dalej. Kilku konnych natychmiast popędziło między baraki obozowiska, każąc ludziom iść w stronę wznoszonych wałów zamkowych.

Kuno rozkazał szybko ustawić puste beczki na ich szczycie, by za nimi schowali się kusznicy. Knechci biegli na pozycje z chrzęstem kolczug, brzęcącym jak ich własna niemiecka szwargotliwa mowa.

Robotnikom, mistrzom rzemiosł, inżynierom kazał ustawić się w środku dziedzińca i znaleźć schronienie pomiędzy stertami materiałów budowlanych.

Zamek budowany był na miejscu poprzedniego grodu lecbarskiego, wzniesionego przez Warmów, więc usypane przez pogan niewielkie sztuczne wzgórze było już samo w sobie doskonale do trzymania pozycji wobec najazdu.

Ludzie biegli, łapiąc po drodze wszystko, co mogło zdać się do obrony. By wnieść nową warownię, Krzyżacy ściągnęli do grodu przede wszystkim przymuszony okoliczny lud, składający się w przeważającej mierze z Warmów, a było wśród nich trochę Natangów, Bartów i Pogezanów. Wszyscy oni wyrosli w niewielkich osadach ukrytych w lesie, gdzie każdy lauks* Lauks - pruska jednostka osadnicza, gospodarstwo rodowe. był jak wojenne sioło, przygotowane na niespodziewany najazd obcych. Kilka rodów pruskich stawiało dla własnej obrony niewielki gród, w którym zawsze można było schronić się przed agresją, razem z całymi rodzinami, żonami, czeladzią i niewolnymi. Ludzie ci znali się dobrze na wojennym rzemiośle, do którego szykowali się, wychowując małych chłopców na wojowników, by oni potem mogli z powodzeniem brać udział w łupieżczych wyprawach. Teraz też działali bez lęku, nie wpadając w panikę - każdy biegł tam, gdzie kazali krzyżacy nadzorcy.

Kuno obserwował ruchy w obozie i starał się osadzić konia, który wiercił się niespokojnie, przebierał kopytami, wzbijając w powietrze chmury pyłu, i rzucał na boki przerażone spojrzenia.

- Włócznicy w szereg! Za wały! Łuki przed nimi! Ale skryć się! Szybciej! - mówił szybko, zdecydowanie, bez lęku.

Przywołał do siebie Wilhelma, który natychmiast podjechał, równając konia do boku drugiego wierzchowca.

- Uważaj na robotnych - rzucił Kirchenstein, a w szparze jego hełmu zamigotały w blasku pochodni szaro-gołębie oczy.

- Tak, bracie Kuno?

- Nie ufaj im. Każ wszystkim wewnątrz wałów odłożyć broń na jedno miejsce i usiąść.

- Rozumiem.

- Na wałach ustaw tylko naszych i zaufanych.

- Dobrze.

- I niech ich będzie niewielu. Wstaw kilku łuczników, weź tych o najlepszych oczach, niech nie strzelają bez rozkazu.

- Tak, bracie.

- Reszta niech się schowa, kuszników przesun do środka, niech obstawią wjazd na gród.

Wilhelm kiwnął głową, a jego długa, pielęgnowana zakonnym zwyczajem broda załopotana na wietrze, gdy wykręcił konia, żeby wcielić w życie polecenia przełożonego.

- Czekaj - zatrzymał go zimny głos wydobywający się spod hełmu ze smoczymi główkami na szczycie.

- Tak, bracie Kuno?

- Reszta planu jest taka: każ, by kilku naszych zbiegło niżej, do obozowiska. Niech trzymają w pogotowiu pochodnie. Kiedy zabrzmie nasz róg, mają natychmiast biec i podpalać wszystko co się da. Ta kupa chrustu, w jakiej żyją robotni, będzie płonąć jak stos. Jeśli zaatakują, upieczemy ich jak wieprze. Na tę chwilę trzymaj łuczników i kusze, tylko na tę chwilę. Ja dam znak. Podpalimy wszystko, kiedy oni wejdą do środka, rozumiesz?

- Doskonale, bracie. Niech Najświętsza Maria ma nad nami opiekę. Kto to może być? Warmy się zebrały, żeby gród odbić? Powstanie jakieś?

- Wątpię, Wilhelmie. Do buntu Warmom daleko.

- Więc któż?

- Mówiłem już. Las.

- Las? Jakże, bracie?

- Naucz się dobrze słuchać, bracie Wilhelmie, to piękna cecha, która pozwala ludziom wzrastać duchowo.

Wilhelm spał konia piętami i nacisnął mocno kolanami, okręcając uda i ciągnąc za wodze, tak by wierzchowiec zawrócił niemal w miejscu.

- Jadę wydać rozkazy - rzucił, patrząc na Kuno i myśląc, że nawet jeśli jego przełożony postradał rozum, to nadal wydaje sensowne polecenia, zgodne z taktyką wojenną. Postanowił więc nie spierać się z nim, lecz wykonywać posłusznie to, co usłyszał.

- Co z końmi? - spytał jeszcze von Kirchenstein, patrząc w stronę zagrody tonącej w ciemnościach.

- Wysłałem tam parobków, mają je wprowadzić za wały.

- To ich nie widać jakoś, sprawdź to.

- Tak, bracie.

Po tych słowach rozjechali się na dwie strony.

Gdzieś daleko w lesie po raz drugi zagrał róg. Ludzie gromadzący się wewnątrz starego grodziska popatrzyli w tę stron i umilkli. Włóczyńcy mocniej chwycili za drzewce. Poszedł wśród nich szept - jak pomruk zwierzęcia szykującego się do obrony.

Szalbierz oparł się o pień drzewa i ścisnął w rękę rękojeść noża. Dwa inne miał ułożone za pasem, tak by móc po nie szybko sięgnąć. Jeruzalem wiedział, że zanim ktoś go

dopadnie, położy trupem trzech napastników. Nie na darmo spędził wiele godzin, ćwicząc rzuty z opaską zawiązaną na oczach. Ciskanie w postać stojącą pod drzewem, gdy miał szmatę zawiązaną wokół głowy, było jedną z jego popisowych sztuczek, kiedy zabawiał gawieź na placach targowych czy na skrzyżowaniach dróg. Teraz czekał spokojnie, przyzwyczajając oczy do ciemności i obserwując szarą masę liści wyrastającą przed nimi. Stał zwrócony w stronę lasu i nasłuchiwał zbliżającego się odgłosu. Huku, jaki szedł po kniei, jakby wszystkie drzewa zaczęły iść w jego stronę, kolebiąc się na wielkich korzeniach i uderzając wzajem gałęziami.

Był gotowy, stał na lekko ugiętych nogach, zupełnie jakby właśnie szykował się do jednego ze swych występów.

Małpka wystawiła łebek z worka i patrzyła w las, a po chwili, czując niebezpieczeństwo, wyskoczyła, wspięła się po nodze Szalbierza, po jego plecach na głowę, a stamtąd na niewielką gałąź, na której przycupnęła, wybałuszając swoje olbrzymie ślepia.

Jeruzalem wpatrywał się uważnie w układ liści, jaki tworzył się przed nim, by w każdej chwili móc rozpoznać jakieś zmiany, najmniejszy ruch.

Coś przemknęło z lewej. Kształt niewielki, nie ludzki, lecz zwierzęcy, a jednak na dwóch nogach się poruszający. Zaszleściło w paprociach i zniknęło tak prędko jak się pojawiło.

*

- Karlito? - szepnął Jeruzalem, gładząc kciukiem rękojeść noża.

Może garbus umknął pogoni i zamiast na umówione miejsce przy koniach, trafił do lasu? Może biega tu, szukając miejsca do ukrycia się?

Nagle z prawej strony trzasnęła gałąź naciśnięta czyjąś stopą. Jeruzalem natychmiast obrócił się w tym kierunku, przygotowując nóż do rzutu. Niewielka, skurczona postać na chwilę zamajaczyła na tle szarych leśnych pni, rzuciła się między mniejsze drzewka, roztrąciła je i zniknęła w ciemności.

- Karlito?

Nie padła odpowiedź. Jeny gałęzie bujały się przez chwilę. Tymczasem huk miarowych uderzeń ustał. Drzewa szumiały w górze, jakby się nic nie stało, jakby całość była tylko zwidem, koszmarnym snem. Szalbierz przetaił oczy.

Po chwili z głębi lasu, spomiędzy pni, z koron drzew, z paproci, z krzaków, ze zmurszałej kory zrodzony, z mchu, z igliwia, z liści, z soków płynących, z wierzchołków zielonych, z pajęczyn tkanych na gałązkach, z nasion wirujących w powietrzu, z mrowisk uśpionych nocą, spod ziemi przegniłej, pleśnią grzybowej ściółki nasączony, dobył się szum.

Inny szum niżli ten rodzący się w koronach drzew pod wpływem wiatru. Złowrogi, niebywały, nie z lasu będący, lecz przeciw niemu. Jakby fala wielkiej wody płynęła przez gąszcze, zalewając wszystko, topiąc, zabierając na dno morza.

Jeruzalem przełknął ślinę. Nie splunął. Nóż przełożył z ręki do ręki.

Szum narastał, zbliżał się, łomotał, olbrzymiał, przychodził coraz większy i większy. Pełził nisko - poruszał się miarowo w jednym kierunku, tuż przy ziemi.

Nagle las cały drgnął. Szalbierz zamrugał szybko, by utwierdzić się, że to, co widzi, nie jest wynikiem jego strachu. Wsparł się z całej siły o pień rosnącego za nim drzewa, tam tylko szukając ratunku. Przez chwilę rozważał ucieczkę w stronę obozowiska krzyżackiego, lecz teraz było już za późno. Fala idąca lasem, szumiąca jak ocean w czasie huraganu, była teraz tuż, tuż, zbliżała się z chrzęstem i łomotem.

Krzewy, mniejsze drzewa i paprocie rosnące pomiędzy wielkimi pniami drgnęły, zachwiały się i padły jak trawa pod nogą człowieka idącego łąką. Runęły z szumem łamanych gałęzi. Za nimi pojawiła się wielka ławica głów. Stalowe hełmy błyskały tu i ówdzie, łowiąc światło księżyca przebijające się gdzieś między konarami wyższych drzew.

Kolczugi chrzęściły w rytmie kroków, potęgując szum powstały w wyniku miażdżenia dolnej partii lasu. Nadchodząca armia była tak gęsta, że wypełniała całą przestrzeń między drzewami, oszczędzając tylko to, co było za duże do złamania lub szybkiego ucięcia.

W pierwszych szeregach szli rębacze, trzymający w dłoniach tasaki - oni wyrąbawali drogę, a reszta szła za nimi, gnąc, łamiąc, tratując wszystko, co napotkała na swojej drodze.

Przed nimi, jak pojedyncze mrówki zwiastujące nadejście całej kolonii, posuwali się zwiadowcy, skacząc między pniami, wypatrując przeszkód i wskazując je gwizdami.

Las wypełnił się po horyzont morzem srebrnych hełmów.

Cała ta armia zatrzymała się nagle. Tuż przed skrajem lasu, opierając się plecami o pień drzewa i ściskając w obu rękach noże, stał naprzeciw niej jeden człowiek. Jeruzalem.

Dragiełło zdobył miecz siłą głosu. Gdy ujrzał biegnącego knechta, w krótkiej tunice z czarnym krzyżem wymalowanym na białym materiale, wyszedł po prostu z ukrycia i stanął na jego drodze, podpierając się pod boki. Krzyżak zatrzymał się, jak wryty, patrząc spode łba i sięgając po broń.

- Cóż to, bracie, na mnie z mieczem? - rzekł Dragiełło po niemiecku, płynnie, pewnie, z błyskiem złości w oku. Po czym wziął się pod boki, jak dowódca patrzący wściekle na niesubordynowanego podwładnego.

- Ktoście, panie. Nie znam was - powiedział grubawy wojownik Zakonu, cofając się dwa kroki i tracąc zupełnie pewność siebie.

- A brata Kunona von Kirchensteina znasz?

- Jakżeby nie, to nasz komtur. A ty kto?

- Śmiesz się pytać, kto jestem, psie przeklęty?

- Wybacz, panie, lecz pierwszy raz was...

- Pierwszy raz? - Dragiełło posunął się do przodu, tak że natarł piersią na wysunięty w przód miecz krzyżacki. Knecht zaczął drżeć ze strachu i widząc, że czubek miecza zetknął się z piersią rycerza, natychmiast go opuścił. Patrzył szerokimi oczami na siwą bródkę wymierzoną w niego jak palec ojca konfratra, skazujący na pobyt w karnej celi o chlebie i wodzie.

- Jakoś nie było, nie widziałem... - zaczął dukać.

- A może chciałbyś mnie zobaczyć po raz ostatni, a nie po raz pierwszy, łotrze, co?

Pogromca smoków złapał knechta za ucho i pociągnął mocno w górę. Niemiec miał oczy pełne błagalnej prośby o wybaczenie.

- Miejcie litość, panie! Zamieszanie duże! Brat Wilhelm wysłał mnie po konie. Ciemno, nie idzie rozeznąć, kto zacz.

- To teraz już mnie poznajesz?

- Tak. Całkiem was poznaję.

- Wiesz już, kto jestem?

- Wiem.

- To miecz mi oddawaj, z powrotem pędź na górę, Wilhelmowi rzeknij, że konie pod dobrą opieką.

- Miecz... oddać? Panie?

- Tydzień będziesz, bratku, pokutować o chlebie i wodzie za atak bronią na konfratra zakonnego!

- Konfratra?

- Gadałeś, że mnie poznajesz!

- To... Poznaję...

- No, no, no. Dostyc gadania! W kuchni cię robota karna czeka, a nie wojowanie.

- Panie, ciemno było. Nic nie widać, choć oko wykol.

- Bez gadania. Rauss!!!

Knecht rozejrzał się niepewnie, lecz w końcu władcze spojrzenie rycerza zrobiło swoje. Opuścił w dół ostrze i oddał broń, po czym obrócił się, by popędzić na górę i złożyć raport. Nie zdążył jednak. Pogromca smoków chwycił z rękojeść, zamachnął się i płazem uderzył w łeb krzyżackiego wojaka. Tłuste ciało, spowite tuniką, padło na ziemię jak worek

gruszek. Dragiełło złapał pozbawionego przytomności Krzyżaka za kark i podciągnął bliżej zagrody. Konie były już bardzo niespokojne, niektóre wierzgały, inne próbowały sforsować ogrodzenie. Hanna uspokajała je głaskaniem, lecz jej czułe słówka nic nie znaczyły wobec krzyków, bieganiny z jednej strony i huku idącego od lasu z drugiej.

- Trudno niewiastę prosić, by brała udział w wojennym przedsięwzięciu, lecz sama się panna z nami na wyprawę wzięła... - zaczął się plątać pogromca smoków, nie znajdując słów, by wybrnąć z sytuacji i powiedzieć wprost, co miał na myśli.

- Cóż mam robić, rycerzu? - spytała Hanna, uśmiechając się. - Komenderujcie moją osobą.

- Trzeba tego wieprza krzyżackiego dobrze postronkiem związać i knebel mu w gębę wetknąć...

- Zajmę się tym.

Hanna skrępowwała Krzyżaka, a tymczasem Dragiełło zarzucił na siebie jego tunikę i z powrotem wybiegł na drogę. Stał z mieczem w ręku i czekał. Po chwili nadbiegło kilku parobków wysłanych dla ogarnięcia koni.

- Stać, psubraty, dokąd to? - wrzasnęła na nich po niemiecku Dragiełło.

Zatrzymali się, patrząc na siebie niepewnie i szturchając łokciami. Z wyrazu ich głupich pysków rycerz odczytał, że ni w ząb nie znają szwabskiej mowy, więc przeszedł na polski, dodając jeno sobie trochę germańskiego akcentu.

- Stawać, psubrata! Dokąd idą?

- Bracia krojce nos po kuni wysłały. Coby broć.

- Rauss mnie na kolana! - wrzasnął potomek świętego Jerzego, znajdując wielką radość w kolejnym fortelu użytym na wojennej drodze życiowej, gdzie piękny, zaszczytny cel uświęca nie zawsze rycerskie środki.

Jeden z drugim, wszystko rosłe chłopcy z warmińskiej ziemi, popatrzyli po sobie, zezując i kiwając głowami. Nic nie rzekli, nie ruszyli się.

- Której to wiara jesteście, psubrata, co? - Dragiełło wymierzył czubek miecza w szyję pierwszego z brzegu, a potem przesunął go do kolejnych grdyk. - Może wy dalej pogany, co?

- My za Chrystem, ponie. Jak krojcy kozoli.

- Jak za Chrystem, to na kolana!

Pierwszy z nich zgiął nogę i w końcu, ociągając się, osunął się na ziemię. Za nim drugi, trzeci i czwarty.

- A teraz na ziemia leżeć mi, psy pogańskie! - rozkazał, machając bronią tuż przed ich nosami.

I tym razem wykonali polecenie, chociaż z oczu wyczierała złość - gdyby mogli, pewnie by się mocniej postavili.

Jednak miecz był bardziej przekonujący niżli butna krew uderzająca do głowy.

- Krzyżem leżeć i pokutować!

- Za co, ponie? - spytał jeden z parobków, leżąc nosem w pyle.

- Za to, że złych duchów się słuchacie!

- My? Złych duchów?

Dragiełło już miał przywołać Hannę, żeby wiązała czeladź krzyżacką ku uspokojeniu, kiedy nagle spostrzegł pędzącą od strony obozowiska wielką kulę - podskakując na wybojach, dzwoniąc obijającymi się o siebie kielichami, złotymi łańcuchami i srebrnymi bransoletami. Wzbijając chmurę pyłu i wywijając naokoło krótkimi nóżkami, toczył się w ich stronę karzeł ściskający na piersiach wielki toból.

- Karlito! - krzyknął rycerz w stronę swojego giermka. - Tutaj!

Dragiełło pogroził parobkom mieczem i szybko zrzucił drag zamykający zagrodę. Hanna miała już na postronkach trzy konie gotowe do jazdy.

- Karlito! Do mnie! - wrzasnął pogromca smoków, wskoczył na konia, uderzył go piętami i ruszył galopem w stronę biegnącego karła. Złapał go gdzieś w okolicach garba i posadził przed sobą na końskim grzbiecie. Karlito nie puszczał drogiego łupu zawiniętego w chuście, machał powiekami, jakby nie wiedział, co się z nim dzieje, a jego wargi łopotwały w rytm kolejnych uderzeń końskich kopyt. Dopiero po chwili rozejrzał się, dochodząc do siebie, po czym zerknął w tył i spytał:

- To ty, mój panie?

- Ja - odpowiedział Dragiełło.

- To dobrze. Oj, jak dobrze - wyjęczał karzeł i nagle zdało mu się, że chciałby zasnąć przy pasie rycerskim swojego pana. Jednak koń za bardzo telepał.

Hanna w tym czasie ruszyła już w stronę lasu, prowadząc za sobą jeszcze jednego wierzchowca i oglądając się, czy rycerz złapał giermka i jedzie za nią.

Gnali w dół, rozbijając ostatnie namioty obozowiska kopytami i za chwilę zniknęli w ciemnościach.

Parobkowie poleżeli jeszcze przez chwilę, po czym jeden z nich uniósł głowę i rzekł:

- Co nom czynić?

- Tom krojce się szykują - odparł drugi, wskazując na wały ziemne i ludzi przygotowujących obronę na wzniesieniu.

- Tom idą jakieś z lasu - dodał trzeci.

- Bitka będzie - wysapał czwarty.
- Będzie - zgodził się pierwszy.
- Ile będzie do dom?
- Z dzień drogi.
- Dzień?
- Ano.
- Juści.
- Z dzień tylko.

Pomilczeli chwilę, unieśli się i skuleni pobiegli w stronę Lecbarga, a dalej drogą i później w las, by zniknąć z oczu i przedostać się tam, gdzie był ich dom.



Byli niscy. Mieli może tyle wzrostu, co pół normalnego człeka. Jeruzalemowi sięgali do pasa. Nie dziwota, że wziął jednego z nich, zwiadowcę wysłanego przodem, za Karlita - tak jak i on, na pierwszy rzut oka sprawiali wrażenie dzieci przebranych w dorosłe stroje. Garbus służący Dragielle miał jednak ciało przepoczwarzone chorobą - widoczne były jego wygięte w kabląk plecy, nogi i ręce, krótkie, grube, śmiesznie i nieproporcjonalne w stosunku do tułowia, oni zaś mieli wygląd zwykły, ludzki, nogi i ręce o odpowiedniej długości względem rozmiaru tułowia, głowy kształtne, choć szerokie, a plecy proste.

Wszyscy nosili długie zarosty, więc ich twarze wydawały się do siebie niezwykle podobne.

Gdy stanęli przed Szalbierzem równo, ramię przy ramieniu, mogli się wydać armią figur wyrzeźbionych w drewnie

- tak właśnie artyści w okolicy wyobrażali dłutem wojowników: rzeźby były niskie, pękate, a na brzuchach postaci widoczne były brody, wycinane w lipowym drewnie długimi pociągnięciami narzędzia: brody przeca łatwe były do pokazania, a ich ornament złożony z podłużnych, równoległych rowków sprawiał miłe dla oka wrażenie.

Armia, która wonczas stanęła przed tatarskim kuglarzem, nie sprawiała miłego wrażenia, lubo bród ci u nich było wiewa.

- Ubić go! - padła szybka, krótka komenda stojącego na czele wojownika, z wilczą skórą na głowie zamiast szyszaka.

Nie był ubrany jak pozostali, miał na sobie długą, lnianą tunikę, opończę, pas nabijany wielkimi srebrnymi guzami, a na szyi łańcuch z dużym medalionem. Nie nosił żadnej broni, hełmu, czy koczugi kryjącej ciało w czasie walki. W rękę trzymał długą, drewnianą laskę.

Stojąca za nim armia ubrana i uzbrojona była jednolicie - wojownicy mieli w dłoniach szczyty drewniane, z żelaznymi okuciami w środku i na brzegach, oraz topory bojowe na długich trzonkach. Nie używali metalowych zbroi

- wyglądali na dziki leśny lud. Przed ciosem przeciwnika chroniły ich jeno skórzane ubrania i futra.

Kilkunastu stojących najbliżej uniosło topory, gotując je do rzutu. Szalbierz zmrużył oczy, jak kot szykujący się do ataku, i spojrzał w oczy przywódcy. Mężczyzna miał długą, sięgającą do pasa brodę, która jaśniała siwizną w ciemnościach, tymczasem oczu i twarzy nie można było dojrzeć - mrok nocny ukrył ją całkiem pod czapą z wilczej skóry.

Starzec podniósł w górę laskę, by wymierzyć ją w Jeruzalema.

Topory stojących za nim wojowników znalazły się już za ich plecami, by za chwilę wylecieć w stronę Szalbierza i przybić jego ciało do drzewa.

Głowy wojowników odchyliły się w tył, podążając za ruchem rąk szykujących się do rzutu, i w świetle księżycowym, przebijającym dach lasu na jego obrzeżach, zamigotały krańce ich srebrnych szyszaków.

Laska szamana, prowadzącego w bój niskich wojów, powoli zaczęła się opuszczać.

Jeruzalem wziął oddech, odchylił rękę z nożem i skrzywił usta, by znaleźć w sobie dość siły na ten ostatni w życiu popis zręczności.

W tej chwili właśnie nocną ciszę rozdarł wrzask - cienki, na wysokich tonach, jak płacz dziecka albo skrzek ptaka broniącego gniazda.

Z gałęzi drzewa na ramię Szalbierza zeskoczyła Gigi, szczerząc swoje niewielkie kły i krzykiem próbując odgonić wroga.

Jeruzalem wyprostował rękę jak sokolnik wysuwający ptaka do przodu na polowaniu.

Małpka przebiegła po niej i zatrzymała się na nadgarstku. Wyprostowała się i z jej gardła wydobyło się przerażające wycie. Nie zwierzęce. Nie ludzkie. Piekielne.

Topory nie zostały rzucone. Laska szamana zawisała w powietrzu. Pierwszy szereg wojowników cofnął się, napierając plecami na tych stojących z tyłu.

Niscy ludzie skurczyli się jeszcze. Przykucnęli. Szmer poszedł po szeregach. Szept.

Mężczyzna w wilczej skórze powoli opuścił laskę. Podeszedł dwa kroki. Małpka nastroszyła się i przestała wyc.

Starzec milczał, patrząc prosto w oczy Jeruzalema. Szalbierzowi zdało się, jakby w oczach onego męża zobaczył studnię bez dna. Gigi piszczała. Lud dziwacznie niski stał naprzeciw jak las nieruchomy.

Mężczyzna w wilczej skórze szepnął coś do stojącego za nim wojownika. Patrzył nadal, z takim rodzajem uśmiechu na ustach, jaki mają treserzy, gdy trzeba ugłaskać dzikiego zwierza, co w każdej chwili może się zerwać do ataku lub ucieczki. Nie spuszczał wzroku z Jeruzalema. Za plecami starego człowieka pojawiło się dwóch karlich żołnierzy trzymających w dłoniach wielką sieć.

Gigi wyszczerzyła zęby. Szaman kiwnął ręką.

*

Kuno kazał wypuścić w stronę lasu parę płonących strzał, by utkwily w trawach przed pierwszą linią drzew i oświetliły teren. Wybrano kilku łuczników, którzy ustawili się szybko na podeście budowlanym przy bramie. Strzały sprawnie okręcono dużą ilością wojłoku nasączonego łatwopalnym olejem. Wraz poleciały, zataczając wielki łuk. Kuno z braćmi zakonnymi patrzyli bacznie w stronę kniei.

- Widzisz co, bracie Wilhelmie? - spytał Wilhelm zmarszczył czoło.

- Las jak las. Stoi.

W tej to chwili ujrzano trzy wierzchowce pędzące między szalaszami drwali. Ciemnica była zbyt duża, by rozeznąć, czy kto na nich jedzie.

- Kto zacz? Gdzie konie nasze? - krzyknął wściekły wysłannik Wielkiego Mistrza.

Brat Wilhelm nawet nie chciał patrzeć w jego stronę, wiedział, że w tych, pałających wściekłością oczach czai się samo piekło.

Nagle tumult zaczął się podnosić, gdyż dostrzeżono także inne konie z zagrody, biegnące tabunem ku rzece i roztrącające po drodze rachityczne budowle wzniesione przez robotnych. Namioty i żerdzie szalaszów jeno fruwały w powietrzu.

- Cóż z końmi? - ryknął Kuno.

- Wysłałem ludzi! - Wilhelm spiął swojego wierzchowca, by ruszyć w stronę zagród.

- Stój! Może być zasadzka jaka!

Krzyżak wstrzymał konia, aż ten zarył kopytami przed szeregiem knechtów. Ci cofnęli się przerażeni.

Kuno von Kirchenstein nie tracił teraz zimnej krwi - myślał chłodno, jakby rozgrywał partię gry wojennej, a nie dowodził ludźmi z krwi i kości. Wiedział, że złość dowódcy może przydać podwładnym wigoru, więc z pełną świadomością pozwalał sobie na wybuchy wściekłości. Narzędzie to podobne było kijowi, jakim się popędza odporne bydło.

- Czegóż stoicie jak woły? - ryknął w stronę łuczników.

- W którą stronę strzelać, panie? - młody, krępy dziesiętnik drużyny łuczniczej spojrział na niego, starając się nie okazywać lęku.

- Jakże myślisz? W stronę koni!

- Koni? Naszych?

- Widzisz inne?

- Aleć... do których? - łucznik zaczął tracić rezon i wskazał większą grupę zwierząt biegnącą bezwładnie przez obozowisko, a potem trzy wierzchowce galopujące w stronę lasu.

- W te koło lasu! Natychmiast!

Młody woj pochylił grot strzały owiniętej łatwopalną szmatą w stronę koksownika z rozżarzonym węglem. Za nim uczynili tak pozostali. Napięli cięciwy. Strzały poszybowały, przecinając ciemne niebo jak błyskawice lecące z piekieł do gwiazd.

Brat Wilhelm w tym czasie patrzył w stronę kniei. Zarys drzew wydawał się być równie nieporuszony, równie zwykły co godzinę temu. Krzyżak potarł policzki, sprawdzając, czy nie śpi przypadkiem. Czyliż to, co zobaczył kilka minut temu, było jeno zwiądą? Może to wielka siła umysłu wysłannika Wielkiego Mistrza sprawiła, że widział właśnie to, co Kuno sobie wyobrażał?

Może lęki jednego brata zakonnego mogą stać się udziałem drugiego? Z innej strony patrząc, tyle ich ostrzegano przed czarnymi siłami, jakie rządzą w tym pogańskim kraju, tyle im mówiono, by daleko trzymać się od wszelkich, najmniejszych nawet przejawów guseł, zabobonów i wierzeń ludów na podbijanej ziemi. Tylko Chrystus zaklęty w krucyfiksie, Chrystus jako opoka mógł im dać światło do wstrzymania ogarniających ciemności. Tylko Zbawiciel mógł być ich wodzem.

Sen to był czy wybieg szatana, to co widział i słyszał ledwie parę chwil temu? Las idący w ich stronę? Huk wielki, jakby armia cała się przetoczyła? W końcu dźwięk rogów bojowych?

Może być, że więdzmy jakie sprawiły, iż z moczarów powstały bestie, o jakich opowiada się ludziom dla strachu przy nocnym ognisku?

Kuno von Kirchenstein zrównał z nim swojego konia. Stuknęły o się dwa strzemiona.

- Cóż, Wilhelmie?

- Nie wiem, bracie Kuno, czy to, com widział, było, czy zjawą to tylko?

- Było. I jam to widział i słyszał.

- Słyszałeś. Prawda, pierwszy usłyszałeś.

- Kiedyśmy we dwóch usłyszeli, wątpić nie wypada. Kuno urwał i zmrużył oczy, próbując dostrzec, co pokażą strzały lecące nocą w stronę galopujących koni.

*

Dragiełło zeskoczył z konia na brzegu lasu. Czarną noc przecinały znowuż smugi ognistych strzał wypuszczonych od strony obwałowań. Na górcie widać było z oddali szeregi krzyżackich wojowników, a wśród nich kręcących się na koniach rycerzy.

Gdy płomienne pociski wbiły się w ziemię wśród traw, pogromca smoków, jego wierny karzeł i natchniona niewiasta schronili się już właśnie wśród gęstych krzewów porastających skraj kniei.

- Jeruzalem! - krzyknął rycerz w ciemność.

- Daj to, Boże, ciszej, mój panie! - jęknął Karlito. - Jeszcze kto nas usłyszy!

- Otóż chodzi, głupi karle!

- Ale, panie, jak nas usłyszy nie ten, co trzeba? Dragiełło zamachnął się na garbusa i kazał mu dobrze zabezpieczyć przedmioty uniesione z namiotu Krzyżaka. Nie czas teraz był na ich przeglądanie. Musieli odnaleźć Szalbierza, który tu gdzieś właśnie miał czekać. Tumult słyszany od strony zamku jasno im wskazywał, że czasu nie ma wiele.

Rycerz zamienił szybko dwa słowa z Hanną i rozbiegli się w różne strony, pogwizdując i dając jakieś znaki, które by miały Jeruzalema z kryjówki wywabić.

- Śpieszcie się, panie! - ponaglał ich Karlito czekający z końmi pod drzewem i z niepokojem patrzący w ciemność.

Nagle w lesie rozległ się krótki, urywany krzyk Hanny. Dragiełło zawrócił i popędził, rozbijając przy tym nos o jedną gałąź, co przed nim zbyt szybko się pojawiła. Gdy dobiegł do niewiasty, natychmiast zrozumiał przyczynę tego krzyku. Hanna stała na niewielkiej polance, przy pniu drzewa, i patrzyła przerażona na szeroki ślad, jaki szedł środkiem lasu, jakby się tędy przetoczyła jakaś machina z piekieł, miażdżąca wszystko na swej drodze. Całe poszycie leśne, wszystkie krzaczki, drzewa i paprocie były stratowane dziesiątkami stóp. Jeny pnie drzew ocalały z tego przemarszu szarańczy. Wyglądały jak nieszczęsne kikuty, co się ostały po pożarze.

Hanna patrzyła ze zgrozą na nóż wbity w korę dębu. Rękojeść opleciona rzemieniem, tatarskim sposobem, głównia z rzezanymi znakami z dalekich mongolskich stepów nie pozostawiała wątpliwości. Był to nóż Jeruzalema.

Wieszczka dotykała go palcami, jakby sprawdzając, czy się jej nie zdaje, że go widzi w ciemności. Błyskał jednak metalem z daleka w świetle gwiazd i księżyca wychodzącego zza chmur i momentami rzucającego światło na leśną scenę.

- Cóż z nim?

Szukała w swojej duszy śladów jakiejś wieszczby, jakiejś kobiecej intuicji, która by jej podszeptała, co się dzieje z Jeruzalemem, lecz w tej chwili nie miała siły, by poczuć cokolwiek poza ogarniającą ją rozpaczą.

Dragiełło dopadł do niej i do noża, po czym wyszarpnął go z pnia. Rozejrzał się.

- Wielu tędy przeszło - powiedział spokojnie. Postąpił kilka kroków, oglądając szeroki ślad w lesie.

Kucnął i podniósł niewielki ćwiek metalowy, który komuś odpadł od skórzni. Chuchnął na niego, jak na znalezionego miedziaka, i schował do trzosika. Nóż Jeruzalema wsunął za pas.

- Co teraz? - spytała Hanna, patrząc na niego bezradnie.

Zdumiał się, widząc, nawet przez mroki tej nocy, że w owej chwili, gdy Szalbierz zniknął, a jego los stał się niepewny, tak też i zniknął cały jej wcześniejszy rezon, cała pewność siebie. Hanna wróciła do ciała, ducha i myśli zwykłej niewiasty. Takiej, która lęka się o los ukochanego. Stała jak mała dziewczynka czekająca głosu wyroczni.

- Co z nim, rycerzu? - powtórzyła łamiącym się głosem.

- Żyje. Trupa by przecie ze sobą nie ciągnęli, a to... Stuknął swoim długim, zakrzywionym paluchem w trzonek noża.

- To jest znak, jaki nam zostawił.

W tej chwili w ciemnościach rozległ się skrzek Karlita udającego żabę.

- Gdzież żaba na skraju lasu! - zachnął się pogromca smoków. - Ale nic to, znaczy, że niebezpieczeństwo już bliskie. Panno moja, musimy uciekać.

- Jakże to? A Szalbierz? - załkała, cofając się dwa kroki.

- Tu go nie ma. Może porwany został. Dla okupu. Prędeż, Hanno!

Pobiegła za nim dwa kroki i zatrzymała go, szarpiąc za rękaw.

- I co dalej?

- Nic. Teraz szybko do chaty bartnika. Jak Szalbierz z niewoli ucieknie, to tam trafi. A jak nie, sami go gdzie potem odnajdziem. Na razie - na koń!

Pobiegli w stronę karła. Ten już nie mógł się doczekać ich powrotu. W stronę lasu szły szeregi robotników trzymających pochodnie. Między nimi stapały niewielkie drużyny krzyżackie, schowane za tarczami. Daleko na wzgórzu, na tle gorejącego koksownika z żarem do strzał, nerwowo przebierał kopytami koń specjalnego wysłannika Mistrza Krajowego Hermanna von Balka. Czuł, że siedzący na jego grzbiecie pan ściska go bez potrzeby kolanami. Widomy znak, że dzieje się coś niedobrego.



ROZDZIAŁ VIII

KWIECIEŃ 1238

Dwieście Piętnasty miał szczęście. W jego celi było niewielkie okienko. Kiedy wspiął się na palce i chwycił wystającego kamienia, mógł podciągnąć się na tyle, żeby zobaczyć wierzchołki drzew rosnących nad brzegiem rzeki. Gorzej miał Trzynasty, Siedemdziesiąty Szósty i Sto Dwudziesty. Ich cele nie miały okien, były piwnicami, w których przez całą dobę panowała ciemność. Dwieście Piętnasty wiedział, kiedy wstaje rano, a kiedy zapada wieczór, mógł obserwować zmiany pogody, kontemplować wiatr, deszcz albo promienie słońca. Drzewa były śladem zewnętrznego życia, przyjacielem, jakim dla samotników może być pies.

Patrzył na nie, starając się wytrzymać tyle, ile się da na czubkach palców, wyciągnięty niczym struna, z grdyką sterczącą w przód jak u kuraka, który wygląda ponad ogrodzenie. Słyszał jęki dobiegające całymi nocami z innych cel. Krzyk Trzynastego. Trzynasty wołał do niego, a głos niósł się przez korytarze. Pytał na przykład, jaka może być pora dnia. Dwieście Piętnasty wiele razy opowiadał mu o tym, co widzi. Wicher wyginający gałęzie drzew stawał się pretekstem do snucia historii. Jeśli było wietrznie, czubki gałęzi bujały się, rozpoczynając szalony taniec na wszystkie strony.

Czasem do ich cel przychodził strażnik z jedzeniem, przynosząc drewniane miski wypełnione breją o koszmarnym smaku. Rzucali się na nie wygłodniali, a Dwieście Piętnasty co dzień modlił się, dziękując za łaskę okienka. On jeden widział, co je. Pozostali prosili, by im wyjaśniał, jak wygląda to, co czują tylko pod palcami i w ustach. Dla nich jedynym światłem była pochodnia noszona przez strażników.

Drugim dobrodziejstwem, za jakie dziękował Dwieście Piętnasty w codziennych modłach, było błogosławieństwo świeżego powietrza. Było ono jeszcze większą łaską niż

możność patrzenia. W lochach zamkowych, bez cyrkulacji powietrza, panował tak wielki zaduch, że można było zachłysnąć się własnym oddechem. W kącie każdej celi stał niewielki cebrzyk na odchody. Więźniowie musieli nań trafić po omacku i w ciemności załatwiać swoje potrzeby. Co gorsza, cebrzyki te nie miały żadnej pokrywy, a zatem smród potęgował się z każdym skorzystaniem z drewnianego naczynia. Mniej więcej raz na tydzień pojawiał się więzień, którego obowiązkiem było wylanie zawartości cebrzyków gdzieś poza zamkowe mury, w stronę rzeki. Fetor był więc stale obecny w lochu, jak kamienie, z których został zbudowany.

Jedyną celą, w której smród tak nie dokuczał, była ta, gdzie trzymano Dwieście Piętnastego.

Przez wiele dni zastanawiał się, czy wynikało to z jakiegoś działania zamierzonego, czy też stanowiło czysty przypadek. Było wśród nich tylu bardziej zasłużonych braci. Choćby Trzydziesty Siódmy. Dwieście Piętnasty doszedł do wniosku, że okienko jest darem bożym, za który winien dziękować w modlitwie, co też codziennie czynił.

Dwóch z nich zmarło w ciągu pierwszego miesiąca. Nie w wyniku przesłuchań, na które ich zabierano. Nikt nie musiał im obcęgi wyrywać palców czy wbijać drzazg w oko. Sto Czterdziesty i Trzysta Szesnasty zginęli na skutek potwornych boleści i choroby jelit. Jęczeli w gorączce, a gdy choroba stała się bardzo silna, leżeli w swoich celach, nie mając już siły na dojście do cebrzyka. Robili pod siebie, a strażnicy pozwolili im zgnieć.

Dwieście Piętnasty zachodził w głowę, czy ich ciała zrzucano z zamkowych murów w stronę fosy razem z gównem, w którym umarli.

Jedynie Trzynasty oddał ducha w wyniku tortur. Jego wrzaski niosły się całymi nocami i przenikały przez grube zamkowe mury. Człowiek słyszy wilka wyjącego w dalekim lesie i słyszy także innego człowieka wyjącego z bólu, zza wielu ścian.

Trzynasty miał za dobry numer. Dowodził nimi, ponosił odpowiedzialność. Jego to wzięli na spytki, a potem najwyraźniej zabili. Może po prostu któraś z metod zmuszania do mówienia była za dobra.

Trzynastego znoszono do jego celi po przesłuchaniach, a informacje o tym pozostali przekazywali sobie krzykiem z celi do celi.

Któregoś dnia przestał im odpowiadać na pytania. Już nie było słychać krzyków, Trzynasty nie żył.

*

Któregoś dnia, kiedy czubki drzew stały nieruchomo, a lekki deszczyk uderzał o parapet okienny, w korytarzu więziennym rozległy się kroki. Nie była to pora wydawania

posiłków, a cebrzyki z odchodami zabrano poprzedniego dnia. Więźniowie skulili się z lęku, szukając schronienia w zagłębieniach murów.

Szło kilka osób, świecąc sobie pochodniami. Stuknęły klucze, zgrzytnęły zamki. Świetlista kula pochodni przesuwała się więziennym korytarzem, rzucając promienie światła w niewielkie otwory w drzwiach. Czarni Rycerze patrzyli na te promienie i oddychali z ulgą, gdy światło mijało ich celę.

- Tutaj, to ostatni - powiedziała jedna z idących osób.

Grupka zatrzymała się przed celą Dwieście Piętnastego, który usiadł w kącie i skulił się, obejmując rękami nogi.

Zgrzytnął zamek, uniósł się duży skobel. Weszli do celi. Przed więźniem stanęło dwóch strażników. Jeden z nich trzymał pochodnię, drugi włócznię. Między nimi zaś stał, w czarnym jak smoła ubraniu, człowiek z maską.

Dwieście Piętnasty podniósł się i upadł na kolana. Podniósł oczy, a w świetle padającym z okna widać było, że są pełne przerażenia.

Czarny Rycerz złapał go za brodę. Rękawica ze smolistej bawolej skóry wbiła się w chude, zarośnięte policzki więźnia.

- Numer? - z otworu na usta, jaki był wycięty w metalowej masce, popłynął basowy, buczący głos.

- Dwieście Piętnasty - łkając, odparł więzień. - Dwieście Piętnasty. Zawsze wierny tobie, panie. I Najświętszej Paniencie. Ty wiesz, panie, że ja...

- Milcz - przerwał mu Duch w masce.

- Wyprowadzić go i przede wszystkim umyć, ogolić i ubrać. Potem do mnie.

- Tak jest - odparł strażnik.

Chwycili pod ramiona Dwieście Piętnastego, który zaczął śpiewnie zawodzić, szlochając ze szczęścia:

- Panie najdoskonalszy, moja wdzięczność... Ty wiesz, że ja żadnej winy nie mam, tyś serca wielkiego i szlachetnego. Gdybym ino mógł tobie, panie...

Radosne kwilenie Dwieście Piętnastego urwało uderzenie, które otrzymał prosto w twarz ręką ubraną w czarną bawolą skórę.

- Powiedziałem: milcz - zadudnił głos Ducha. Więzień posłusznie zdusił w sobie cisnące się na wargi słowa. Strażnicy wywlekli go z celi. Reszta uwięzionych Duchaków śledziła przez szpary w drzwiach oddalające się światło pochodni.



- Wiedz, mój panie, że wszystko, co sobie powiemy, nie jest i nie będzie nigdy szczere. I ty i ja prowadzimy grę. Jeśli pragniesz ckliwej uczciwości chrześcijańskiej, udaj się, proszę, do jakiego klasztoru, choć i tam nie znajdziesz więcej krom knowania i spisków między braciszkami. Pamiętam Gąsawę i sztytko, coś uczynił wspólnie z Odonicem. Nie, nie zaprzeczaj, proszę, nie unosz brwi. Kiedy bym pragnął zbytków, zawołałam swego komedianta, opowiadał uciészne krotowile, a nawet może odegrać kobietę, która się lgnie do niedźwiedzia. Wierzaj, że ze śmiechu byś padł. Także, jak ze mną gadasz, nie bierz mnie za durnia - mężczyzna w kożuszku z kołnierzem z lisich futer splunął pestką czereśni do pustego kielicha i sięgnął po następny owoc. - Tu i teraz musimy dokonać tego, co czasem i myślniwi mają, jako kłopot przed sobą. Najdzie się, i to nie raz, że w trakcie łowów jednego tura dwóch łowców zabija z książęcej drużyny. Któremu się zaś należy skóra, któremu mięso, gdy już książę im wyrok da, że sam się zrzeka leśnej własności? Jak to rozsądzić? Który cios ważniejszy? Czy ten, co zwierzę w biegu zatrzymał, czy ten, co je z nóg powalił? Niejednemu zda się wtedy, że ciężko sprawę rozstrzygnąć.

- Oszczędź sobie i mi, Konradzie, tych bajan - prychnął drugi mężczyzna, strzykając śliną między zębami - gadajmy o sprawie. Bez opowiestek.

Książę pstryknął palcami i spod ściany zerwał się sługa, nalewając z dzbana wino do kielichów. Konrad odczekał, aż naczynia będą pełne, i dał znak, by ich zostawił samych. Począł chwilę, aż wyjdzie, i zaczął mówić dalej.

- Jesteś, Świętopelku, w gorącej wodzie kąpany. Tu trzeba rozważyć, by co zrobimy, nie było gwałtowne...

- Toś dowcipny. Jakbym nie znał cię od tej strony...

- Człowiek z wiekiem dorośleje. Także i książę może.

- Co nie powiesz! Jakbym nie pomniał, jakieś obwiesił...

- Daj pokój temu. Chcesz teraz, byśmy się przekrzykiwali o własnych niegodziwościach?

- Do sprawy zatem - Świętopelk łyknął wina i otarł brodę krajem rękawa.

- Święta Stolica nam stoi na przeszkodzie, by plan od razu w życie wprowadzić. Tego, jak wiesz, każdy się musi wystrzegać, nawet jeśli szubrawiec jako ty...

- Jako my, drogi książę... - Świętopelk uklonił się ironicznie i zaśmiał głucho, a jego śmiech przeszedł w mokry kaszel. Splunął flegmą na ziemię, przepił winem i spytał, przechylając się przez stół:

- Na cóż nam czekać? Po śmierci Henryka będzie zamęt, jego syn nie da nam rady. Gdy wojska zbierzem, Wielkopolska nam przypadnie, podzielimy się łupem, powiększając, co już nam przypadło.

- Nie tak prędko - odparł Konrad, wtulając głowę w lisi kołnier. - Henryk słał pisma do Papieża, uzyskał poparcie. Z tego, co mi wiadome, nawet koronę szykował dla syna.

- Koronę? - Świętopełk wydał wargi. - Pycha nim miotła.

- Nie pycha, tylko zamysł. Mądry zamysł.

- Cóż zatem myślisz?

- Najpierw spokój mieć musimy na rubieżach. Potem zaś dopiero do właściwszych działań przystąpić.

- Pokój to ja najpierw muszę mieć u siebie, a tego, zda się, nie mam - Świętopełk nalał sobie trunku do kielicha i łyknął, krzywiąc się - twoi Rycerze Teutońscy z Domu Niemieckiego pod wezwaniem Najświętszej Marii nie dość, że na ziemię Warmów wchodzą, to i bliżej mnie się ich dominium rozsądza, na północną Pogezanię. Jakoś z nimi umowy podpisał? Ostatnim czasem gród warmiński Lecbarg wpadł w ich łapy, a teraz się tam umacniają, zamki wszędzie budują.

Konrad uniósł się z ławy i podszedł do okiennicy.

- Za to mi winieneś dziękować, Świętopełku.

- Dziękować? - prychnął książę gdański, zachłystując się winem. Zakaszał, obtarł twarz kawałem serwety leżącej pod plackami do zagryzania.

- Daj mi lepiej zwykłego miodu. Wino dobre dla książąt italskich, nie dla mnie. Ja jestem człowiek północy - powiedział, patrząc z zimnym wyrazem oczu na Konrada. - Czegóż mam ci dziękować?

- Za spokój.

- Za spokój? Ja i tak na wschodzie mam spokój. Z Natangami dobre rozmowy prowadzę, a ich ludzie do nas na targ dobra przywożą. Także i Warmy. A jak tam te czarnokrzyże wleżą, tak my już się na owe ziemie nie pokusim. Azaliż słuchy cię nie doszły, że się plemiona pruskie jednoczą?

- Gadasz o tym Bliznobrodym? - spytał książę mazowiecki, spoglądając na podwórzec zamkowy, z nutką melancholii błyskającą w kąci oka.

- O onym. O Skomandzie.

- Ponoć go Kriwe wsparł i łaskę swoją wysłał na wici. Coś Skomand szykuje.

- Coś szykuje? - Świętopełk nagle zerwał się od stołu i trzasnął weń pięścią. - Konradzie, weź się w garść, boś ty nie jak książę, a jak żak teraz! Tak tchórzliwie gadasz. Nie

poznaję cię! Gdzie ten pan, co Czaplę bez wahania obwiesił? Gdzie ten, co Grzymisławę z Bolkiem uwięził? Gdzie ten, co Brodatego w wieżycy trzymał?

Konrad nagle odwrócił się od okna i w dwóch susach, mimo swej tuszy, dopadł ławy. Złapał Świętopelka za kaftan i cisnął księciem gdańskim, aż ten usiadł z powrotem. Nie dał mu powstać, rękę powściągnął sięgającą ku sztyletowi za pasem.

- Tako, Świętopelku, ja myślę, rozumiesz? Myślę! Za ciebie i za siebie! Pomnij, zem Henryka uwięził, ale gdy żona jego u moich zamkowych bram stanęła, takem go wypuścił.

- Już wtedy pewnie tchórz cię obleciał. Niewiasta cię przeraziła?

- Pilnuj słowie, bo się na krwi nasza rozmowa zakończy!

Konrad odepchnął Świętopelka i sapiąc, odszedł na bok, poprawiając kołnierz i uspokajając oddech wzburzony wściekłością. Spojrzał na niego z błyskiem w źrenicy.

- Puściłem go, bo pierwsza rzecz myśleć, politykę uprawiać, a nie rządy idioty! Jadwiga jest świętą za życia! Owóż, jakbyś i z Bogiem rozmawiał, gdy z nią gadasz, to weź na wzgląd. A tu na ziemi z biskupami trza politykować. Bez ich poparcia nic nie wskórasz. I krzyżacki zakon nam się przysłuży, Świętopelku, zaufaj mi. Przysłuży się.

- Jakoż widać. Na ziemiach naszych się panoszą jak na swoim.

- Wedle traktatu postępują.

- Na razie.

- Gdybać nie ma co.

- Druga rzecz, że jak ich nie było, ludy pruskie były spokojne, a patrzył, co teraz się dzieje. Powstanie się szykuje, jak nic.

- Masz jakieś po temu wieści? - Konrad usiadł z powrotem za stołem, naprzeciwko Świętopelka.

- Ponoć Bliznobrody szykuje wielki wiec. Tak wielki, jakiego jeszcze nie było. Wezwał nań wszystkie ludy pruskie, od Sambów po Galindów. Mają ruszyć latem.

- Latem? Niepodobna, jak po bagnach i rzekach przejdą?

- Już oni iść przez las potrafią, mają przewodników. Konrad zgrzytnął zębami i syknął.

- Choćbyś, Świętopelku, i z powstaniem pruskim się miał borykać, przecie główna siła pójdzie na Zakon, a nie na nas. W tym rzecz.

- Ino że nam się zapytać trzeba, kogo wtedy poprzeć?

- Kogo poprzeć? Co gadasz?

- Swoje wiem.

Przez chwilę milczeli. Książę mazowiecki spojrział w oczy gdańskiego rządcy i rzekł powoli i wyraźnie, jakby tamten miał jakieś kłopoty ze słuchem.

- Świętopełku, nie patrz krótkowzrocznie na to, co kole siebie widzisz. Słuchy mnie doszły, że daleko na wschodzie, dużo dalej niżli ziemia jaćwięska Bliznobrodego, jeszcze za księstwem ruskim, idzie armia dzika i okrutna. Armia, jakiej się oprzeć sami nie zdołamy.

- O kim gadasz?

- O synach Tartaru.

- Wina nie pij więcej, Konradzie - zaśmiał się Świętopełk. - Szkodzi ci.

- Wiem, co gadam.

- I co gadasz? I któż oni? Synowie Tartaru?

- Juści. Z piekła zrodzeni. Na świecie takich nie spotkasz, tylko tam, gdzie diabeł króluje. Już na swojej ziemi ich szpiegi mamy.

- Szpiegi?

- Tak. Ludzie moi jedną trójkę taką schwytali. Mapy rysują, zapuszczają się, gdzie się da. Rysują stаницe, zamki, grody, liczą załogi i wszystko spisują, by wróciwszy do siebie, rzecz całą zeznać i opisać. A jak już wiedzę zdobędą, wtedy nasz kraj najadą.

- Synowie Tartaru? Kto oni?

- Tatarami ich ruscy wołają. Mają twarze kotów ciemnych, na koniach jeno jeżdżą, a tak okrutni, że my jeno winniśmy tortur się u nich uczyć, bo jeszcze mało umiemy.

- Konradzie... - wyszeptał Świętopełk rozbawiony, po czym zbliżył twarz do lica księcia Mazowsza, żeby w oczy mu zajrzeć jak medyk wypatrujący znaków choroby.

- Ty się boisz. Na Boga, ty się boisz tych... zjaw jeno. Prześpij się może, dobrze ci radzę.

- Wiem, co mówię, Świętopełku, wiem. Jeśli tylko nadejdą, wtedy osłona nasza to będzie Zakon, którym do nas sprowadził. Niech Teutońscy rycerze z nimi się zmierzają.

- Ty się nawet nie boisz, tyś oszalał. Dlaboga, tyś całkiem zmysły postradał! Albo to wino takie skutki przynosi. Nie pij więcej, proszę cię.

- Nie dworuj, mówię poważnie.

Świętopełk śmiał się przez chwilę, ale w końcu uspokoił się, patrząc na poważne spojrzenie księcia Mazowsza. Znał go od wielu lat i teraz jednak zauważył w nim coś innego, czego wcześniej nie widział, a co teraz kazało mu się bliżej przyjrzeć sprawom przez Konrada poruszonym. Chrząknął i, by wcześniejsze niedobre wrażenie załagodzić, rzekł:

- To się na dobre zastanówmy, co z dziedzictwem henrykowym czynić - władzę swoją rozciągnął na Wielkopolskę, dołączając ją pod swe wpływy, obok Krakowa i

sandomierszczyzny Bolesława oraz jego Śląska własnego. Teraz jego syn schedę otrzymał. A my co? Będziem patrzeć, jak się na tym umacnia?

- To też weźmiemy. Ale najpierw załatwmy to, o czym żeśmy wcześniej radzili. I na co cię tu wezwałem.

- To radźmy. W słuch się zmienię, a ty plan swój mi wyjaw.

Zrobiło się chłodniej. Konrad zawołał sługę, kazał ustawić dwa duże siedziska naprzeciw ognia w kominku, aby tam dokończyć rozmowę. Pacholek wrzucił kilka nowych drew na przygasłe już polana. Płomienie strzeliły w górę, rzucając ciepłe światło na stopy obu książąt wyciągnięte w stronę paleniska.

◆◆◆

- Co pamiętasz z owego dnia? - Mężczyzna w czarnej żelaznej masce siedział za szerokim stołem, a przed nim leżały grube księgi oprawione w skórę, tak pięknie zdobione jak mszały, a także kilka kart pergaminowych, zapisanych drobno ciemnym atramentem. W srebrnym świeczniku jarzyły się doskonale wykonane świece. Na niewielkim talerzyku tuż pod ręką miał jabłko. Kroił je sztyletem i cienkie paski wkładał do ust przez otwór w metalowej masce. Kiedy gryzł, nie było widać żadnego ruchu - maska nadal sprawiała wrażenie twarzy zastygłej w chwili, w której ktoś wylał na nią rozżarzoną stal.

- Padał deszcz - cicho odpowiedział Dwieście Piętnasty. Więzień był już czysty, ogolony, miał na sobie długą białą koszulę, na nią jeszcze zarzuconą tunikę, i rajstopy z bawełny wciągnięte na nogi, zaś na stopach ciżmy z cienkiej skórki. Można by rzec, że Dwieście Piętnasty wyglądał jak ktoś wyższego stanu, może rycerskiego, a nie jak dopiero co wyniesiony z zamknięcia nieszczęśnik.

- Padał deszcz? - spytał rycerz w masce i ukroił kolejny kawałek jabłka, po czym delikatnym, wprawnym ruchem wsunął do metalowych ust.

- Tak. To znaczy lunęło nagle. Kiedy podchodziliśmy do zbiegowiska, na niebie wisiały już wielkie, czarne chmury.

Dwieście Piętnasty rozejrzał się niespokojnie. Tkwiąca na jego głowie długa, ostro zakończona czapeczka powodowała niepokój. Była całkiem od rzeczy, nie pasowała do czystego stroju i pięknych ciżm. Sprawiała wrażenie uciesznego nakrycia głowy, jakie zakładają komedianci dla rozbawienia gawiedzi.

- Przepraszam, ojcze. Czy mam siedzieć w tej czapeczce?

Czarny zakonnik zamarł. Spojrzał tylko spod ciemnych, metalowych brwi.

- Pewnie jest potrzebna, jeśli mi ją założono. Tak, oczywiście, ojcze, wybaczone, że zadałem to pytanie - Dwieście Piętnasty nawet nie czekał na odpowiedź przełożonego.

- Więc cóż poza tym, że padał ten deszcz? - ręka Czarnego Rycerza znów powróciła do krajania jabłka. Tym razem zaczęła powolutku odcinać skórkę z drugiej połówki.

Więzień rozejrzył się po zakrystii. Po obu stronach stały wielkie, ciężkie szafy z rzeźbionymi tralkami, intarsjowane ciemnym, zamorskim drewnem. W jednej z nich przez uchylone drzwi widać było ozdobne ornaty wiszące bezwładnie na wieszakach jak ludzie na szubienicy.

Na łukach po obu stronach ścian ciągnęły się malowidła wykonane al fresco, a przedstawiające etapy Męki Pańskiej. Oczy skazańca spoczęły na scenie, w której żołdacy odzierają Jezusa z szat.

- Małpka jęczała, wskazując drogę. Szliśmy za nią, a ona, jak pies na polowaniu, doprowadziła nas do zwierzyny. Czyli do nich.

Plómienie świec rzucały chyboczące się światło na obrazy na ścianach zakrystii. Dwieście Piętnasty patrzył na obnażonego Chrystusa i mrużył oczy, usiłując zobaczyć lepiej. Mrok ogarniał część tego, co namalowano.

- Mów dalej - dobiegł go głos zakonnika.

- Nie poznaliśmy ich od razu. Byli przebrani za komediantów. Przedstawiali krotochwilę o stworzeniu świata. Trzynasty dał nam znak i zaczęliśmy ich okrażać.

- Do rzeczy. Powiedz o dziecku - kolejny kawałek jabłka zawędrował do ust Ducha.

Dwieście Piętnasty spojrział na drugą ścianę. Pod krzyżem, na rękach Matki Boskiej leżał wygięty Chrystus, Magdalena w rozpaczę sięgała do jego stóp, a nad nimi stał święty Jan. Więzień nie mógł się oprzeć, by nie przyglądać się cudownym obrazom.

- Dwieście Piętnasty! - wyrwał go z milczenia głos zakonnika.

- Tak, ojcze, wybacz.

- Dziecko.

- Było dziecko. Chłopiec - Dwieście Piętnasty nagle zaczął mówić szybko, jakby chciał jak najprędzej wyrzucić z siebie to, co wiedział - w białej koszuli. Stanęliśmy, mierząc do nich z kusz, i wtedy wiatr odsłonił gieźło. Na piersiach chłopca widać było... Widać było...

- Cóż widać było? - ręka Czarnego Rycerza ze sztyletem zawisła w powietrzu. Dwieście Piętnasty przełknął ślinę i zakłopotany otarł czoło z potu. Utrata godności zakonnej wiązała się z upokorzeniem i trudami więzienia, ale przynajmniej nie męczyła go już noszona na co dzień metalowa maska. Więźniowie stawali się zwykłymi ludźmi w rozumieniu kanonicznych przepisów zakonu, wynikających z reguły.

- Zatem cóż widać było? - powtórzył mocniejszym głosem przełożony, aż zahuczało w metalowej masce.

- Było widać znak, znamię, ojcze - zaczął niepewnie jąkać Dwieście Piętnasty. - Znak wykłuty farbą, taki sam, jako i my posiadamy. Jako i ja mam.

Przesłuchiwany odsłonił swoją koszulę i pokazał widniejące na piersiach cyfry: CCXV. Wszystkie oplecione motywami roślinnymi, jakby złożone z pni drzew obrośniętych winoroślą.

- Jakież numer? - głos zakonnika brzmiał twardo i groźnie.

Dwieście Piętnasty poprawił czapeczkę, która zaczęła mu zjeżdżać na czoło.

- Nie wiecie, ojcze przewielebny?

- Nie w tym rzecz, czy ja wiem. Ja ciebie pytam. Dwieście Piętnasty z nagłą chrypką w głosie, domyślając się pułapki, czy sytuacji niewygodnej, rzekł cicho:

- Pierwszy.

- Jaki numer? - zakonnik w masce jakby nie dosłyszał. Pochylił się przez stół i skierował w stronę więźnia otwór w żelaznej głowie, w którym znajdowało się ucho.

- Numer jeden - powtórzył niepewnie Dwieście Piętnasty.

Jego wzrok padł na rzymski numer wykuty w masce przełożonego, Ojca Zakonu Świętego Ducha. Na czole widniały dwie pionowe, równoległe pałki.

- Głośniej, numerze Dwieście Piętnaście! - wysyczał Czarny Rycerz.

- Numer Jeden - histerycznie odpowiedział więzień, nie mogąc oderwać oczu od rzymskiej dwójki, jaką miał człowiek siedzący za stołem.

◆◆◆

Za kołem wozu stojącego na niewielkim podwórku podgrodzkiego zajazdu siedziało dwóch mężczyzn. Wyglądali jak przeciwieństwa - jeden gruby niczym beka, drugi chudzieńki i patykowaty. Krążył między nimi bukłaczek, który znać było, że zawartość ma rozgrzewającą. Obok znajdował się warsztat płatnerski wraz z przyległymi zabudowaniami gospodarczymi. Strużki dymu wychodziły z kominów, a w powietrzu mieszał się zapach mięs smażonych na ruszcie w gospodzie i węgla drzewnego palonego w piecach kowalskich. Za terenem przynależnym płatnerzowi czeladź wytapiała rudę w niewielkich kopcach ziemnych, które przydawały całej łące ponury widok. Zupełnie jakby w budynku płatnerskim było wejście do piekieł - tam buchał płomień w piecu, tam waliły młoty uderzające w kowadło, tam w pocie czoła umorusani pomocnicy gięli kółka na kolczugi, tam nitowali je według nowej zachodniej mody, tam tłukli w blachy, nadając im kształt szyszaków

i ochraniaczy na przedramiona. Smród szedł od środka, a wrzaski, a połajania. Piece do wytopu wyglądały jak czeluście diabelskie na powierzchni ziemi wystające.

Mężczyźni oparci plecami o koło wozu nie patrzyli jednak ani w stronę zajazdu, ani też w kierunku płatnerskich budynków, jeno tam, gdzie była fosa, most zwodzony i brama prowadząca na zamek.

- Jego puścili, nas nie chcą, co może być na rzeczy? - spytał chudziutki.

Gruby wyrwał mu z rąk bukłak i pociągnął dwa razy.

- Daj mądemu się napić, nie marnuj trunku - wysapał między łykami.

- Mądemu?

- A coś myślał? Każdy dobrze wie, że mądrość została dana człowiekowi jako woda wchodząca do mózgu. Im jej więcej, tym mózg pełniejszy.

- To w wodzie jest mądrość? - prychnął chudy.

- Juści, jeno nie w zwykłej, tą nawet jakbyś i tydzień pił, choćby z Wisły, na mądrość nie przemienisz, ino na głupotę. Chodzi o wodę święconą, mózgową, która od Najwyższego Majestatu jest nam przydawana jako cnota roztropności.

- I cóż z nią?

- Jak mózg jest za mały, wtedy owa ciecz, zwana przez mistrzów alchemii wodą mądrości, aqua sapientiae, czego nie myl z wodą życia - aqua vitae, zaczyna z głowy wypływać i zajmować inne partie ciała.

- Ciekawie prawisz, już chyba wiem, czym skończysz ten wywód, Michałko - zaśmiał się chudzielec i czknął.

- Mądrość zaklęta w tym płynie, przydana od Pana w niebiesiech, znajduje ujście w gardzieli, przepycha się przez wątrobę (stąd boleści czasem u osób mądrzejszych) i rozlewa pod płaszczem skórnym w miejscach dogodnych.

- Mówisz o swoim bebechu? - Bocianek uniósł oczy w niebo, jakby szukając pomocy.

- Juści. Nie nazywaj ino bebechem zdroju mądrości, który już niejedną raz cię z opresji wyratował - tak zakończył wywód Michałko i wysączył do końca zawartość bukłaczka, by zadbać tym samym o przyszłość swoją i swojego przyjaciela.

- I tak to wychlałeś miód, który mieliśmy sprawiedliwie na pół podzielić - chudzina zmarszczył brwi, co razem z długim, orlim nosem nadało mu wyraz zezłoszczonego sępa.

- Bocianku, wyglądasz teraz tak, jak się nazywasz, daj pokój - uśmiechnął się szeroko grubas i klepnął przyjaciela po plecach. - A po sprawiedliwości nie znaczy wcale po połowie albo równo. Patrząc na moją wagę i rozmiar, a także i twój, każdy musi przyznać, że na mnie

przypaść musi większa ilość miodu, celem osiągnięcia tego samego stanu upojenia, niżli na ciebie. Sam pomyśl.

- A cóż to za wynik myślenia? Całkiem niepoprawny! - Bocianek odwrócił się plecami, zakładając ręce na znak wielkiej obrazy. - Taki z ciebie przyjaciel, że mnie zawsze jakoś otumanisz. Jenó z tym się mogę zgodzić, że twój mózg spłynął do brzucha. O, to fakt! Najprawdziwszy. Tylko ci pokazać kawał świni upieczony albo piwo w dzbanie, już twój brzuch zaczyna tobą rządzić!

- To obłudzenie mądrości, a nie grzech obżarstwa.

- Jeszcze czego! Tak to łatwo grzech na cnotę zamieniasz!

Przez chwilę siedzieli, milcząc. Grubas wstał i wyrzał zza wozu w stronę bramy zamkowej. Chudzielec podniósł oczy i mniej już gniewnym tonem spytał: - Stoją dalej strażę?

- Stoją. Co mają nie stać?

Michałko, w geście proszącym o wybaczenie, wyciągnął nagle rękę z bukłakiem w stronę Bocianka.

- Masz, jeszcze łyk tam będzie.

- Łyk! A tyś ile wydudlił?

- Zważ, że ci oddaję ostatni. Jakbym koszulę z grzbietu zdarł. W Ewangelii też jest napisane, że właściciel winnicy na równi traktował tych, co od rana pracowali, jak i tych, co wzięli się za robotę na koniec dnia. Wszyscy dostali po denarze. I jak widzisz, ja cię ewangelicznie traktuję - masz łyka także, chociaż na koniec dnia, w winnicy.

- Michałko! Nie drażnij mnie, bo się zeżnę! Grubas usiadł koło przyjaciela i klepnął go w kolano.

- Mam myśl!

Chudzielec spojrział na niego zdziwiony, unosząc brwi. Potem wskazał palcem na wielki brzuch Michałka.

- Tu się zrodziła?

- Jako żywo! A słuchaj.

- Słucham przecie. Ciebie nie słuchać: niepodobna.

- Bocianku kochany, obaj żeśmy widzieli, jak tego łotra rogatego przez bramę strażę wpuszczają, tak?

- Juści - przytaknął chudzielec.

- Już to samo pokazuje, że coś ciekawego jest na rzeczy. Jak nam w gospodzie rzekli, na zamku księcia Konrada gość jest znamienity, znaczy się Świętopelk Gdański.

- No jest...

- Znaczy, że strażę mają rozkazy, żeby nikogo na zamek nie puszczać.

- Prawda. Nas nie puścili.

- Właśnie. A tego Diabła z Północy?

- Puścili.

Michałko złapał Bocianka za kraj opończy i przyciągnął do siebie. Twarz mu napęczniała od emocji, że aż poczerwieniał.

- Znaczy, że co?

- Co, znaczy, że co? - wyjąkał Bocianek. - Puszczajże mnie. Już ci mądrość na mózg padła? Jużes pijany?

- Czekaj, słuchajże mnie!

- Toć słucham, szarpać mnie nie musisz.

Grubas nie puszczał opończy przyjaciela, tylko mu klarował z wybałuszonymi oczami.

- Toć już dowód jest prawie, że ta bestia, za którą taki kawał drogi jedziem, ma konszachty jakieś. Może być, że z księciem Mazowsza albo kim z otoczenia. Pomyśl, Bocianku, jak go po dwóch zdaniach puszczają do środka, toć musi jakieś hasło być albo go na zamku czekali. On tu na spotkanie przyjechał. A weź, że Świętopełk tu jest. Wiesz, co za postać.

- On w Gąsawie...

- On. Właśnie, na księcia naszego Henryka nastawał, zasadzkę usadził.

- Toć może nie tylko z Odonicem, ale i... z Konradem był w zмовie?

- Dobrze gadasz. Może być. - I cóż dalej?

- Jak cóż? - prychnął ze złości Michałko i puknął chudzielca pięścią w klatkę piersiową. - Widać, że ci się woda mózgowa nie przelewa, widać. Oni teraz może nastawać będą na drugiego Henryka, na syna. A wizyta tego Lucyfera z północy może być z tym powiązana. Czegóż on szuka? Jakiego chłopca, o jakim to gadał w kościele tynieckim? Może on na myśli ma jakiego dziedzica? Może śląskiego?

- Ot co! Co gadasz? On już dawno nie dziecko! Już to księżę dorosły!

- Racja! Ale kto wie, co knują?! Trzeba nam się do środka dostać, o sprawie wywieść.

- Ale jak? Masz jaki plan?

- Mam.

Grubas pochylił się do ucha Bocianka i zaczął mu coś szeptać. Chudzielec kiwał głową, potakiwał, a na koniec na jego gębie pojawił się uśmiech.

Uściskała Michałkę i rzekła:

- Chyba to prawda z tą wodą mądrości. Chyba się ona w twoim brzuchu nawet gotuje. Nie do wiary! Już to jednak ten miód z bukłaka...

- Ciiii - uciszył go grubas i wskazał na drzwi od gospody. Wyszedł z niej wysoki mężczyzna i owinał się płaszczem, bo kwiecień był chłodny. Popatrzył spod kaptura w stronę siedzących pod wozem postaci. Najwyraźniej byli to dwaj nieszkodliwi, przekomarzający się pijaczkowie. Człowiek w płaszczu, nie zwracając na nich uwagi, poszedł w stronę stajni, by wsiąść na konia i ruszyć w dalszą drogę.



Freski na ścianach zakrystii weszły tak mocno w pamięć Dwieście Piętnastego, że pojawiały się w jego głowie z nagłą, jak obrazy senne, jak koszmary i we śnie i na półjawie, gdy drzemał w swojej celi między kolejnymi przesłuchaniami. Chrystus z szat obnażony. Chrystus z krzyża zdjęty. Lament nad jego ciałem. Twarz Matki Bożej, zaznaczona cienkim, ale ostrym konturem, dająca pojęcie o bólu targającym wnętrzem, gdy na zewnątrz jeno brwi ściągnięte, jeno twarz pobladła, pozbawiona krwi, która odpłynęła na skutek cierpienia. Rysunki były proste, płaskie, na swój sposób schematyczne, lecz wyobraźnia Dwieście Piętnastego dodawała im życia i przestrzenności.

Zdawało mu się nawet czasem, gdy siedział zmęczony, wpatrując się w maskę Drugiego, że ta maska unosi się, ożywa, wzlataje w górę, zawisa pod sufitem, a potem stapia się z tynkiem na ścianie i splata z freskiem. Za plecami Mistrza Zakonu, malarz przyozdabiający pomieszczenie, umieścił górującą nad wszystkim postać Chrystusa Pantokratora, z dwoma palcami połączonymi jak w greckim IC, z dłonią uniesioną na znak wydawanych osądów. Dwieście Piętnastemu zwidywało się czasem, że to Drugi staje się Jezusem siedzącym na obłokach, na zdobionym tronie, że to wokół Drugiego kłębią się anioły z rękami złożonymi na znak poddaństwa, z twarzami skupionymi i wyrażającymi niewolniczą ufność w nieomyłne wyroki Pana.

Czasem i sam Dwieście Piętnasty składał dłonie, jak do modlitwy, wpatrując się w żelazną maskę, pojawiającą się przed nim regularnie, co dnia, na długie godziny.

Ta maska wydawała się, nabierać ludzkiej miękkości, poruszać. Całkiem, jakby pod metalem rodziły się mięśnie, jakby stała się delikatną ludzką skórą oddającą emocje, drgnięcia mięśni, tchnienia myśli.

Głos dobiegający zza niej mógł być głosem prawdziwym. Lecz w cieniu nie było widać ruchów warg schowanych za maską. Czy Drugi pytał, czy to zmęczony umysł

podsuwał Dwieście Piętnastemu pytania? Może słyszał to, co nie było mówione? Może zły duch szeptał mu coś, co obawiał się słyszeć?

Czy pamiętasz, jak wyglądał ten chłopiec? Czy dokładnie pamiętasz? Jaki miał kolor włosów? Oczu? Czy mówił? Co mówił? Nie mówił? Inni. Opisz pozostałych. Jak nazywał się ów rycerz? Co o nim wiesz? Dlaczego unikasz mówienia o kobiecie? Imię tej kobiety? Jej wiek? Pamiętasz? Oczy? Kolor oczu? A włosy? Dlaczego nie pamiętasz? Czy małpka witała się z każdym, czy tylko z jednym? Z którym? Tamci dwaj? Co było w nich dziwnego? Opisz. Patrz na mnie. Bracia. Mówisz, że bracia. Skąd wiesz, że to byli bracia? Dlaczego uważasz, że ludzkie podobieństwo powoduje, iż można myśleć o więzach rodzinnych? Podaj numery. Wszystkie numery. Jaki numer stał z lewej. Które numery ubezpieczały od strony publiczności. Kiedy spadł deszcz? Małpka, kto niósł małpkę? Co mówił Bóg? Bóg w tej krotchwili. Bóg. Przypomnij sobie. Które ze wskazań reguły naszego zakonu uważasz za najważniejsze? Nie mów o przykazaniach. To obraża moją inteligencję. Nie mów o miłości. Mogę ci powiedzieć o gniewie. Pycha. Opowiedz o swojej pysze. Wyznaj. Wszystko. Podaj numer, który jechał przed tobą. Maść konia.

Ile masz lat? Opowiedz o tym, dlaczego twoja matka oddała cię do naszego zakonu? Opowiedz.

Pytania mieszały się jedne z drugimi, a Dwieście Piętnasty zaczął tracić rozum. W jego głowie zaległa się niepewność - dlaczego sam Drugi go przesłuchuje? Dlaczego nie katuje go ktoś inny? Sam Drugi? Po co traci tyle czasu? Po co te kolejne spotkania, kolejne rozmowy o tym samym?

Dwieście Piętnasty cieszył się, że może patrzeć na freski. Czuł, że malowidła ozywają i wkraczają do jego głowy. Kiedy zasypiał w celi, wydawało mu się, że sam jest Chrystusem zdjętym z krzyża. Że siennik, na którym leży, to kolana Matki Bożej. Że gładzi go ona po włosach. I śpiewa mu, żeby zasnął spokojnie.



Pod bramą Grodzką stało tego dnia więcej straży niż zwykle. Księżę przebywał w pallatium wewnątrz murów i surowo zabronił wpuszczania obcych z racji wizyty suwerena gdańskiego. Strażnicy odprawiali z kwitkiem chętnych do wjazdu w obręb wałów, a z owego rozporządzenia byli tylko zadowoleni karczmarze i oberżysci na podgrodziu. Każdy, kto zmierzał w jakich sprawach do Płocka, musiał u nich się zatrzymać i czekać aż dwa następne dni, do wyjazdu Świętopełka, by swoje sprawy na dworze księżęcym załatwić. Płock stał się od poprzedniego roku, czyli o uzyskania praw miejskich, prawdziwą stolicą Mazowsza i ruch w nim był większy, szczególnie kiedy Konrad przebywał na zamku.

Strażnicy mieli więc oko wyczulone, a i nerwy na postronku, bo ten, kto z dala przyjechał, a czuł się odprawiony na moście wjazdowym, ten pomstował na panujące porządki i kubły obelg wylewał na głowy Bogu ducha winnych strażników. Już im wygarnięto od świń, od psów, co tylko na smyczy księżęcej chadzają, nawet od bydła, co poty się pasie na łące wierne swemu panu, póki go wilcy nie pożrą.

Tak też, jak zobaczyli parę łajdaków, co się kole gospody po łbach tłucze, a wrzeszczy, a kwiczy, tak też się zaraz wzięli i dwóch spośród siebie wysłali, żeby porządek zrobić. Jeden był pijaczyna gruby, a drugi chudzieńki, jak ćwierć tamtego. Ten mały się dużego ucapił na grzbiecie i ciągnął za włosy, a grubas machał naokoło łapami, jakby cepem młócił. Obaj się darli w niebogłosy, tak głośno, że aż ludzie z karczmy wybiegli i stanęli wokół, krzycząc dla dodania wigoru walczącym. Śmiechu mieli przy tym sporo, bo walka grubasa z chudzielcem była iście komiczna - jakby niedźwiedź się oganiał od wścieklej wiewiórki.

W zamieszanie wpadli strażnicy, za łeb chwycili obu pijaków. A że ci się rozewrzeć nie chcieli, tak im mocno przyłożyli drzewcem włóczni po tyłkach, aż się łotry bić przestały i jęcząc, padły na ziemię. Wraz jednak grubas się rzucił na jednego ze straży, grożąc, że mu wszystkie zęby powybijają i na sznurek sobie nanizają, za to, że najdroższego jego przyjaciela pobił. Mały chudzielec też doskoczył, jęcząc, że bijąc jego kompana w brzuch, w istocie straże waliły go po mózgu. Te słowa wywołały już zupełną radość wśród gapiów. A strażnicy wściekli złapali awanturników, szybko ich obwiązali postronkiem i zaczęli wlec w stronę wałów.

- Już to się wam oberwie, łotry! - mówił jeden z nich, pchając grubasa.

- Otrzeźwiejcie w zamkowym lochu, tak potem się was wybatoży! - dodał drugi, kopiąc chudzielca w pośladek.

Wprowadzili ich przez bramę i wiedli w stronę budynków straży, gdy nagle chudszy z więźniów zaczął potwornie kaszleć. Wybałuszył oczy, łzy mu popłynęły po policzkach, a całym ciałem wstrząsały dramatyczne paroksyzmy.

Strażnicy stanęli, rozglądając się bezradnie. Jeden poklepał więźnia po plecach, a drugi drapał się w głowę. Myśleli, co robić.

- On umrze bez pomocy! Umrze! - zaczął panicznie krzyczeć grubas.

- Cóż z nim? - zapytał wyższy ze strażników.

- Kość! Kość mu w gardle utkwiała, jak był mały, kość z gołębia, którego zjadł! - odpowiadał przerażony tłuscioch.

- Kość? Z gołębia? - strażnicy popatrzyli po sobie zdziwieni.

- Kość, kość. Trzeba mu natychmiast pomóc, inaczej umrze tu na miejscu. O Matko Przenajświętsza, mój ukochany przyjacielu, umrzesz tu, zamordowany przez strażę! Lecz wiedz, że ja, Michałko, ja cię pomszczę, księciu opowiem. Wszystko! Och, biedny przyjacielu! Żeby tak być zamordowanym przez strażę książęce! Jezu, pomóż nam!

Obaj strażnicy zdębieli. Patrzyli na siebie bezradnie, rozglądali się wokół, szukając pomocy, lecz ta znikąd nie nadchodziła. A tymczasem chudzielec kaszłał coraz bardziej, aż w końcu zaczął się dusić. Rzęził i upadł na kolana.

- Co robić? Umiesz poradzić? - spytał jeden z książęcych wojów grubasa.

- Jakżeby nie. Trzeba mu tę kość nastawić.

- Kość nastawić? Jakże? - strażnik pytał coraz bardziej zakłopotany. Tymczasem umierający chudzielec złapał go za nogawkę od spodni trzęsącą się ręką i patrzył tak błagalnie, jakby już wkraczał do krainy ciemności.

- Szybko. On umrze. Trza rękę mu wstawić do gardzieli, kość odnaleźć w okolicach płuc i przekręcić z poziomu do pionu. Szybko, na litość, on umrze!

- Kość w płucach przekręcić? Może ty, Zbysławie - mruknął jeden strażnik do drugiego.

- Gdzieżby? Ja nawet nie wiem, gdzie płuca i co one? - rzekł drugi woj. Był jeszcze bardziej przerażony.

Obaj porozumieli się wzrokiem i jeszcze prędzej zdjęli więzy z rąk grubasa.

- Naprostuj mu kość, bez ochyby. Dalejże! Michałko w tej to chwili roztarł przeguby i zbliżył się do Bocianka. Jego chudy przyjaciel nagle wstał, łapiąc oddech szerokimi ustami. Strażnicy patrzyli na to przerażeni.

- Umiera? - szepnął jeden z nich.

Ale nie usłyszał odpowiedzi, bo Bocianek z rozmachem uderzył go czołem prosto w nos, aż strażnik zalał się krwią i padł na ziemię. Jednocześnie, jak na komendę, Michałko z całej siły grzmotnął drugiego w łeb. Przyłożyli im jeszcze raz porządnie, po czym upewniwszy się, że nikt ich nie widzi, odciągnęli nieprzytomnych w krzaki i tam ukryli, uprzednio związawszy i założywszy kneble.

- Czasu nie mamy dużo - szepnął Michałko do swojego druha. - Szukajmy teraz miejsca, gdzie by można podejrzeć książęce komnaty.

- Szukajmy - odparł Bocianek cichutko i dodał, ocierając łzy po spektaklu kaszlnięc - ale patrz, kochany Michałko, jak to z tą moją kością gołębią. Sama się jakoś w płucu ułożyła.

- Prawda. Musi to być cudowne działanie tego miodu, któryśmy razem sączyli.

- Musi. Tobie wszedł mądrością do brzucha, a mi stanął kością w gardle.

Roześmiali się jak dwóch żaków, co szykują psotę, i pomknęli chyłkiem w stronę drabiny wiodącej na podesty w obwałowaniach.



ROZDZIAŁ IX

CZERWIEC 1238

La Verna, 8 listopada A.D. 1237 Najdrożsi w Chrystusie Panu!

Najpierw wypada, by w modlitwie podziękowanie złożyć, że w dobrym zdrowiu bywamy, czego i Wam, drodzy naszym sercom, życzymy. Niech Panna Przenajświętsza i Jej Syn Jednorodzony mają Was w swojej opiece. Wielka to radość, że mogę pisać, zważywszy na okoliczności, prędki bieg wypadków i zmienność kolei losów, jakie nas dotykają. Modłę się za te osoby, które na miejscu użyczyły nam pergaminu, pióra, inkaustu, a później, czemu ufam, przesłały owe pismo wraz z innym pisaniem pocztą papieską do braci mniejszych w Krakowie.

Ale jako że ciekawi jesteście tego, co nasze osoby spotyka, tak też pragnę opisać i w krótkich słowach przedstawić, co stało się udziałem naszym w ciągu ostatnich miesięcy.

Kiedyśmy się rozstali w miejscowości Lecbarg podążyliśmy na południe, z biegiem Wisły, będąc w kompanii owych rycerzy w czarnych zbrojach, którzy są braćmi Zakonu Św. Ducha o regule własnej. Wielkie oni czynili starania, by nasz Ignaś, tak drogi memu sercu jak dziecię własne, miał podróż wygodną i bez przeszkód. Nie brakło nam jedzenia ni wody, a bracia Duchacy, jak się sami zowią, traktowali naszego Wilczka jak króla jakiego. Widząc ich zachwyty w sprawie numeru, który się ujawnił niespodzianie, mogę potwierdzić iż nasze przypuszczenia, że dziecko to może być przeznaczone do stanu duchowego, z dalszym planem objęcia w Zakonie owym funkcji Wielkiego Mistrza.

Tak też z wielką atencją oni bracia go traktowali. Nie mi dochodzić, jakie to zapisy są w regule Zakonu Św. Ducha, które przewidują obejmowanie funkcji przeora albo i Mistrza - czy kolegialnej, czy podporządkowanej woli Świętej Stolicy, czy innym rozporządzeniom. Jak już pisałem, nie opiera się ona na żadnej znanej mi regule duchowej, na której powstają inne zakony, a cel i sens jego działania nadal pozostają dla mnie niejasne. Wiadomym jest, że

bracia ci posiadają uprawnienia, gwarantowane bullami papieskimi, podane w specjalnych pismach. Dokumenty te otwierały nam drzwi w każdym miejscu władzy Kościoła Katolickiego - w klasztorach czy kościołach. Dziwnym było dla mnie, osoby duchownej, że bulle te stają wyżej nawet ponad prawem i obowiązkiem klauzurowym. Pewnego razu na odpoczynek udaliśmy się w zakonie żeńskim o zamkniętej cysterskiej regule.

Wszelkie sługi Następcy Piotrowego na stolicy rzymskiej muszą, pod groźbą natychmiastowej ekskomuniki, ulec żądaniom zakonników Św. Ducha. Co też obserwowałem ze zdumieniem i wielkim podziwem dla siły oddziaływania i jakości organizacji owego Zakonu, o jakim tak niewiele mi było dotąd wiadomym.

Po około dwóch tygodniach ciężkiej podróży dotarliśmy do niewielkiego zamku, w którym nocowaliśmy. Następnego dnia nie ruszyliśmy jednak w drogę, tylko oczekiwaliśmy, co będzie dalej.

Po trzech dniach pojawiło się kilku braci o wysokich numerach. Wszyscy należeli do pierwszej dziesiątki, a najwyższy numer, jaki widziałem na masce, był to numer II.

Rozpoczęli z nami rozmowy, zadając Ignasiowi pytania, zaś moja skromna osoba służyła za tłumacza.

Ignas nie wiedział jednak, dlaczego ma taki numer wytatuowany na sercu ani też kim byli jego rodzice.

Nasze rozmowy przy świecach, w pięknej zakrystii kościelnej, utkwily mi w pamięci, gdyż na ścianach były tam malowidła „alfresco” wykonane zręczną ręką.

Przypatrywałem im się wiele razy, gdyż rozmawialiśmy często, Ignas jednak nie pamiętał tego, co było potrzebne.

Mogliśmy się tylko cieszyć, że jesteśmy przyjmowani z taką przyjaźnią przez braci zakonnych, zupełnie tak, jak to kiedyś już była przyjacielska wizyta dalekich krewnych w naszej wsi nad Wisłą, u wuja Ignasia, bartnika.

Z radością i dziękczynieniem przyjąłem też fakt, że niedługo potem wyruszyliśmy w dalszą drogę, pod eskortą zakonników o innych numerach. Podróż trwała długo i była bardzo ciężka. Pokonaliśmy wysokie góry, a Ignas dzielnie znosił jazdę na koniu wśród śniegu i skał. Jeśli to czytacie, rycerzu, bo ufam, że wasza znajomość łaciny pozwoli wam odczytać ów list, wiedźcie, że macie w Ignasiu godnego naśladowcę, dzielnością może on dorównać osobom dorosłym i do stanu rycerskiego jest już gotów.

To i mnie już czasem zimno doskwierało, mnie się chciało żalić na los, a on nawet nie zapłakał.

Żeby opowieść skrócić, dodam tylko, iż przetrwaliśmy atak zbójców, a ja mogłem zobaczyć w boju rycerzy z Zakonu Św. Ducha. Muszę stwierdzić, że nie ustępują oni dzielnością ani wyszkoleniem Templariuszom, o których tyle się opowiada, a nawet ich pewnikiem przewyższają.

Po trudach jazdy dojechaliśmy do Italii, której piękno krajobrazu, nawet w okresie zimowym, jest zaiste zachwycające.

Na koniec przybyliśmy do miejsca na górze La Verna, gdzie znajduje się niewielki erem braci w regule św. Franciszka. U nich to przebywamy od tamtego czasu, a naszego bezpieczeństwa strzegą rycerze w czarnych maskach. Dni spędzamy na pobożnej nauce, w czym celuje mały Ignas, szkoląc się z pisma i łaciny. Okolica jest piękna, wokół gęste lasy. W niedzielę pozwala się nam na mały spacer w towarzystwie zakonników Św. Ducha. Czujemy się bezpieczni, gdyż zawsze jest przy nas dwóch rycerzy dla ochrony.

Z wielką radością wspominamy spędzany niegdyś wspólnie czas i mamy nadzieję, że i tutaj przeżyjemy podobne chwile do tych, których, czcigodny Dragielło, doświadczyłeś w klasztorze tynieckim z Jeruzalemem, co tak pięknie opowiedziałeś.

Także i nam wypada skorzystać z tego daru, jaki Pan nasz ofiarowuje każdemu wierzącemu, by uciec od doczesności i odnaleźć część Królestwa Niebieskiego tu na ziemi

- myślę o linie, a liną tą - modlitwa: po niej wspinamy się ku wiecznej wolności obiecaniej przez Pismo.

Mam nadzieję, że i Wy nie gubicie z oczu najważniejszego celu. Tym celem jest wędrówka w tę stronę, którą pokazuje Pan w Niebiesiech. Musimy usłyszeć Jego głos. Iść za Jego słowami. Gdy prorok mówi, trzeba słuchać, nawet jeśli nasze ludzkie myślenie kieruje nas w inną stronę. Tylko wiara pozwoliła Mojżeszowi przestąpić Morze Czerwone. Idźcie więc dalej, nie lękajcie się. Idźcie, by nie było za późno.

My pozostajemy z Ignasem w dobrym zdrowiu, ciągle cieszymy się życiem, czego i Wam życzymy.

Pergamin się kończy, także i ja kończę list - Jeruzalemie, Ignas rzuca patykiem do celu i trafia z zamkniętymi oczami w drewnianą miskę. Droga niewiasto, czuwaj nad nimi, by męskie serca nie zbłądziły gniewem i zapalczywością w świecie, w którym wygrywa tylko miłość.

Rycerzu Dragielło - ufaj mi. Chrystus jest najsilniejszym wojownikiem. Polecam Cię Jemu w codziennych modlitwach, byś bezpiecznie poprowadził wszystkich tam, dokąd zamierzaliśmy się udać.

In Christo et Maria - Dobrosław i Ignas.

Kartka drżała w ręku Dragiełły. Skończył odczytywać list. Milczał. Strzelały iskry w ognisku. Karlito jęknął. Hanna pociągnęła nosem i zakręciła kosmyk włosów na palcu. Był ciepły sierpniowy wieczór. Płomienie z drzew skakały w górę, nie niepokojone podmuchami wiatru. Potężny dąb rozkładał nad siedzącymi pod nim ludźmi swoje wielkie gałęzie jak ramiona, którymi matka otula bezradne dzieci. Bracia Job patrzyli na siebie głupkowato i zaczęli nucić jakąś pieśń. Las zamilkł, jakby i on zasłuchał się w treść listu.

- Ot, niewdzięczność - wysapał nagle karzeł. Wszyscy spojrzeli na niego zdziwieni.

- Cóż ty gadasz, karle? - spytał Dragiełło, jakby wracał nie z tego świata.

- Niewdzięczność, panie - kontynuował garbus. - Tylem się strachu najadł, tyle nabiegał, życiam prawie nie stracił, list żem tą ręką wyniósł z namiotu Krzyżaka, a ten Dobrosław nawet mnie nie wspomniał. Toć to niewdzięczność, panie.

- Uważaj, by cię jaka niewdzięczność z mojej ręki nie spotkała - pogromca smoków spojrział na swego sługę takim wzrokiem, że ten umilkł natychmiast i z jego miny znać było, iż żałuje, że w ogóle gębę otworzył.

- Cóż to czytaliście, rycerzu? - spytał nagle Wulfstan pełnym głosem. - Słuch mój dzisiaj słabszy niż zwykle.

Dragiełło podniósł się, przeszedł naokoło ognia i usiadł obok starca. Zwinął list w rulonik i włożył sobie za pazuchę.

- Takie pisanie od naszych przyjaciół - rzekł na tyle głośno, by słowa trafiły do głuchego ucha.

- Tych, co na nich tu czekacie?

- Onych właśnie.

- I cóż w pisaniu? Kiedy do nas dotrą?

- Ufam świętemu Jerzemu i opiece Paniienki Najświętszej, że nic złego im los nie przyniesie, a to, że teraz oni w ziemi dalekiej, tak i może być dla ich dobra. Daleko oni od nas, Wulfstanie, daleko. - Dragiełło nie mógł ukryć drżenia głosu, które brało się z serca poruszonego lekturą.

- Daleko? Jak daleko? - starzec dmuchnął w zgrzebło, którym rozczesywał brodę, i schował je do małego woreczka wiszącego u pasa.

- W ziemi italskiej.

- Musi tam, gdzie Stolica Piotrowa? - Wulfstan pochylił się w stronę rycerza, unosząc krzaczaste brwi.

- Ot, tam właśnie.

- Ileż to będzie miesięcy, kiedy koniem jedziesz?

- Ciężko zliczyć. Długo. Jak długo - zależy, kto jedzie i jak mu się śpieszy. Może być miesiąc, a może i dwa, a nawet trzy. Krócej jednak podróżują gońce specjalne. Ci listy wiozą do biskupów albo i na zamki książęce. Oni jednak podwody zmieniają ciągle, a do jazdy są szkoleni. Daleko to bardzo, nawet dalej niżli do Bolonii...

Na te słowa karzeł się zerwał, bo - jak widać - swojej gęby nie mógł upilnować, kiedy ta zaczynała go swędzieć.

- O, Bolonii, Bolonii, to nie tam, mój panie, gdzieście w młodości bywali? To nie tam? - Karlito podskakiwał radośnie i kolebiąc się z boku na bok, jak kaczką, przeszedł wokół ogniska, by usiąść obok Wulfstana i Dragiełły. Nie omieszkał po drodze stuknąć się w czoło przed braćmi Job, by pokazać im, że ich ludowe przyśpiewki nijak nie pasują do powagi chwili. Potem usadowił się na trawie koło ławy, wyjmując spod tyłka patyk, który go uwierał.

- Bywaliście tam? - spytał Wulfstan.

- Nawet i długo - odparł Dragiełło. - Ród mój, jak już wam rzekłem, w prostej linii się wywodzi od świętego Jerzego, cel więc mojego żywota może być jeden - iść tam, gdzie można walczyć z wszelką gadziną i smokiem siarką ziejącym. Tak też i początkowo udałem się, przez matkę wysłany i ojca, na nauki w uniwersytecie do miasta owego, Bolonii, gdzie zgłębiałem nie tylko zapisy ksiąg świętych, ale i rzymskie pisma o wojskowości, rysunki machin bojowych, szkice balist i katapult. Ot, i znalazłem w tym upodobanie, a i głos odgadnięty w czasie modlitw drogę mi wskazał jasną - bym szukał sposobu pokonania smoczego rodu przez użycie inżynieryjnej nauki, metalu, który w odpowiedniej mieszance może dać śmiertelny skutek, a także w konstrukcji specjalnej kuszy. Otóż i Adelajdę możecie poznać, która lat tyle ze mną jest w drodze i jeszcze mnie zawiodła.

Wulfstan zakaszłał znacząco i zlustrował Dragiełłę długim spojrzeniem spod przymrużonych powiek. Nie szło odgadnąć, jakie to myśli krążyły w głowie starca. Ale głos, gdy mówić zaczął, miał pełen wyższości, jak u tego, kto z głupszym od siebie gada.

- Tak więc prawicie ciągle o tych smokach, a mnie się zdaje, że może one wcale nie istnieją. Może one w waszej głowie tylko, rycerzu? Nie miejcie mi za złe. Trochę na tym świecie żyję, trochę dziwów widziałem. Ale gadzin, o których powiadacie - nigdy. Prędzej diabła można zobaczyć...

- A widzieliście kiedy jednego? - odparł szybko rycerz, miarkując gniew uderzający mu do skroni.

- Widzieć, nie widziałem. Ale go czułem nieraz koło siebie.

- Ale, chociaż żeście go nie widzieli ani inni go na własne oczy nie widzieli, to jednak gadacie, że istnieje.

- Bo tyle razy czułem, że jest. Widzieć go nie musiałem. A i w pismach stoi o nim - Wulfstan nabierał wigoru i założył włosy za uszy, jakby opadające kosmyki przeszkadzały mu w lepszym prowadzeniu dyskusji. - Choćby i w Piśmie Świętym o szatanie sobie możecie poczytać.

- Tak też i w Piśmie jest napisane o bestiach. Tych, co nadejdą w Dniu Ostatecznym. Kto wie, jak bestia wygląda? Jeno tak, jak twoja i moja wyobraźnia ją opisze - tłumaczył Dragiełło, a jego siwa bródka zaczęła sterczeć jak sztandar prowadzący do boju. - A tak jak ty, Wulfstanie, czujesz, że diabeł się koło ciebie kręci, tak ja czuję, że życie moje do zwalczania smoków jest na ten świat przywołane. Że moim przeznaczeniem walka z tą gadziną. Że jej jeszcze nie widziałem, mniejsza. I jak ty szatana, tak ja smoka czuję, że on jest, że na mnie czeka, że w końcu go napotkam. Ino moje rycerskie wykształcenie mi mówi, że nie wtedy się to pojawia, czego się obawiasz, gdy tego oczekujesz, lecz gdy twoja czujność uśpiona, gdy już się pławisz spokojem.

Tak też i z Saracenami było, gdym z cesarzem Fryderykiem...

- Z Fryderykiem? - zdumiał się Wulfstan - Toście z Saracenami walczyli? Gdzież to?

- Stare dzieje - Dragiełło pochylił głowę, wstał nagle, jakby chciał przerwać rozmowę na niewygodny temat - kiedyś wam opowiem, jak okazja będzie.

Pogromca smoków zaczął rąbać drewno, by dorzucić do ognia. Wraz się zerwali bracia Job.

- Doj, panie, nie rąb - rzucił Niob.

- Myśmy som od rąb. My, Job - dodał Hiob.

- Doj, panie - Niob zabrał rycerzowi siekiere, a jego brat począł zbierać polana upadające spod ostrza. Uzupełniali się w tych czynnościach i pomagali sprawną ręką, tak że pracując we dwóch, potrafili nadrobić kalectwo i stać się jednym, dobrze funkcjonującym organizmem.

Dragiełło usiadł ponownie koło Wulfstana. Starzec klepnął go porozumiewawczo w kolano.

- Aleć, mój Dragiełło, przyznacie, że widok rycerza, co się kuszą posługuje, może być dla wielu dziwnym, albo i wasz zbiór żelastwa.

- Mnie prowadzi Pan - odpowiedział Dragiełło - śmiech ludzki mi nie wadzi, jego nie słyszę. A gdy się rozchodzi o użycie broni, uzyskałem, po wstawiennictwie biskupa mediolańskiego, bullę papieską, która mi osobiście ten przywilej pozostawia, jako powołanemu do specjalnej drogi. To czyń, co Pan ci wskaże, a nie to, co twoja pycha ci rozświecili jako drogę. Wracając, Wulfstanie, do Bolonii i do ziemi italskiej - jest mi ona

znana, jako rzekłem. Nasi przyjaciele znajdują się w miejscu, gdzie sam święty Franciszek bywał. La Verna to klasztor na skale wzniesiony, na górze o nazwie jednakiej. Niedaleko jest tam od Florencji, gdybyś się na wschód kierował, to trafisz, na północ od Arezzo, na południe od Bolonii. Miejsce bezpieczne, Bogu miłe, lecz dalekie od nas bardzo.

- Cóż więc wam czy nam czynić, gdy owi przyjaciele tak daleko? Będziecie czekać na ich powrót? - dopytywał Wulfstan i nagle stwierdziwszy, że broda jego wymaga jeszcze pielęgnacji, sięgnął ponownie do sakwy przy pasie, zgrzebło wyciągnął i z namaszczeniem począł sobie zarost rozczesywać.

- Owóż właśnie, trudno nam teraz postanowić. Los nam się tak płącze, żeśmy w coraz mniejszej grupie. Ignaś z Dobrosławem daleko, los ich w rękach Boga. Jeruzalem był przy nas i nagle się rozpląnął, jakby go co wessało. Trzeba nam zapytać się siły większej od nas samych, co czynić nam wypada. Tak to można uczynić przez modlitwę i głęboką medytację.

- Stój! - rozległ się nagle krzyk kobiety. Mężczyźni zamilkli. Tylko ogień trzaskał na ognisku. Hanna stanęła przed nimi.

*

Patrzyli zdziwieni. Dotąd siedziała cicho, zamyślona. Widać było, że zniknięcie Jeruzalema wprowadziło ją w ponury nastrój. Czasem kiwała się w przód i w tył jak dziecko osierocone, czasem coś szeptała do siebie, ale wydawała się mówić i działać przytomnie, a nawet strawę im przyrządziła, gotując zupę na palenisku w chacie bartnika. W oczach miała tylko głęboki smutek.

Teraz wstała, jakby jakaś siła potężna wpłynęła do jej wnętrza, szarpnęła całym ciałem i wypełniła duszę. Blask od ognia nadał jej twarzy wyraz okropny, jakby kobieta była żywym trupem, który podniósł się z grobowca - głębokie cienie przecinały jej lico czarnymi wstęgami. Oczy zaszyły bielą, a źrenice uciekły w tył głowy.

- Stój, nie idź tam, dokąd cię nie zanosą! - krzyknęła ponownie.

- Cóż ona? Czego chce? - Wulfstan przerażony cofnął się na ławie. Bracia Job upadli na kolana. Karlito złapał za rękę swego pana.

Ona wzięła oddech i zaczęła mówić, a z jej ust płynął nieprzerwany potok słów, jak rzeka, która nagle gdzieś znalazła ujście i wylewa się szerokim strumieniem. Mówiła, jakby nie potrzebowała powietrza, jakby zdania się rodziły nie w niej, lecz w jakiejś czeluści.

- Nie daj się zwieść. Nie idź tam, dokąd cię nie zanosą. Pędź, mój kochany, pędź na skrzydłach, na koniu z nieba pędź, weź łzy moje, napój konia. Tam widzę twoją dłoń, tam i ręka, tam plecy, tam twoja głowa, tam usta i oko duszy. Pędź, nie trać czasu. Tam jest on, który czeka, tam wszyscy dojdą, tam ratunek. Wy, którzy głosu swego nie słyszycie, weźcie

podarunek, smakujcie napój, który płynie z dłoni jego. Czy tak wasza matka mówi, tak? Tak do was mówi? Gdzie matka, tam kołyska, gdzie też wasza. Nie rozumcie, nie płaczcie, nie strząśajcie owoców, one same wyrosną, tylko idźcie. Białe kwiecie na głowę moją, och, białe kwiecie, idę taka, jaka byłam, tam będę, pośród sadu. Białe kwiecie na mych ramionach, na stopach moich, tam idę, kładę się na kwieciu. A wy, rządcy miecza? Cóż z nim robicie? Czegóż go z dłoni wypuszczacie? Czemu pozwalacie, by tonął? Tam woda, tam czern, tam smoła, gdzie was nie ma? Czemuż nie ma was, gdzie smoła i dym? Tam szukajcie, pośród miasta krwi. Tam idźcie, nie palcie szat swoich. Tylko metal bierzcie na ubranie, tylko stal. Kujcie kwiat biały na zbroję dla siebie, kujcie ten kwiat, z niego zróbcie szyszaki, on wasze serce ochroni. Lecz gdzie ja jestem, co widzę, jakie głązy na ciele moim kładzicie, jakie kamienie gorące? Parzą, bolą, weźcie je ode mnie, weźcie, bo zgorzeję. Płonę, cała płonę. Ogień się ima. Ogień idzie po mych stopach, w górę wlecze. Boli, przeklęty. Ja przeklęta. Słup. Ja przy słupie. Ogień we mnie. Ratujcie. Kwiaty biały pode mną. Cóż za kwiaty, gdy płoną? Kto ogień podłożył pod kwiaty?

Mój kochany, tu jestem, ratunku wołam. Ratunek mi przywieź, błagam, skamle, ja nieszczęsna, ja cię wołam. Kochany, weź mnie za rękę. Zaprowadź. Czekam na ciebie. Palą się moje włosy, palą jak stos. One mnie parzą, weźcie włosy moje, ach, weźcie. Wam iść dalej, bo mnie pali. Wam iść. Nie czekajcie. Łotry was obleżą, robaki was zjedzą, trąd was ominie, ziemia was zechce, woda was polubi, drzewa was za ręce złapią. Więc na co czekacie, nieszczęśni? Na śmierć? Na zapusty? Na koniec kładki przez rzekę? Na cóż wam czekać, gdy dzień pusty za dniem, gdy nic i nikogo nie dogoni, gdy ruch nie pogania ruchu? Puśćcie go, z gwiazdami zwiążcie, zaufajcie drodze. Siedmiu będzie, siedmiu uratuje, siedmiu z mieczem w dłoni. Miecz ratuje. Miecz chłodzi. Miecz to daje, czego brak!

Ja płonę! Dajcie wody! Palę się! Ratunku! Włosy! Włosy moje płoną!

Krzycząc ostatnie słowa, Hanna rzuciła się na ziemię, jakby chciała zgasić płomień, który ją ogarnia. Z jej ust dobył się nieludzki skowyt osoby palonej żywcem.

Rzucili się bracia Job, by pomóc, dobiegł Drągiełło i Karlito. Z ciała kobiety unosił się dym. Delikatne smużki zaczynały ją spowijać jak całun. Niob dotknął jej pierwszy i odskoczył z wrzaskiem, trzymając się za dłoń.

- Pali, pali! - ryknął. Hiob szybko pobiegł w stronę chaty i wrócił, trzymając w jednej ręce cebrzyk z wodą.

Karlito złapał za leżącą derkę i zarzucił na dymiącą wieszczkę. Ognia jednak nie było widać. Tylko gorąc bił od niej taki, jakby rzeczywiście płonęła niczym żagiew.

Drągiełło dotknął jej twarzy i sycząc, cofnął rękę.

- Boże, ratuj! Matko Przenajświętsza, przybądź nam z pomocą! Jezu Chryste! - krzyczał w niebogłosość.

Ona dalej wyla, znosząc niewyobrażalne katusze. Na ich oczach trawił ją wewnętrzny ogień. Skóra zaczęła czerwienić, kurczyć się, zwijać. Wskoczyły bąble.

Dragiełło chwycił cebrzyk przyniesiony przez Hioba i wołając o pomoc Matki Bożej, wylał całą zawartość na Hannę. Woda syknęła i zamieniła się w parę wodną. Chmura owej pary ogarnęła wszystkich. Ognisko nagle przygasło i buchnął z niego dym.

*

- To rzekłam. Tak rzekłam. Co uczynicie, to czyńcie. Co myślicie, tego nie myślcie. Nie jestem swoja. Tam czeka. On. Może? Tego weźcie. Idźcie. On pokaże. Nie bójcie.

Wieszczka usiadła na swoim miejscu. Zapadła w milczenie. W ten sam rodzaj zadumy, w jakim była wcześniej.

Dragiełło patrzył po innych. Wulfstan stracił swą pewność siebie. Karlito ścisnął rycerza za rękę. Bracia Job zaczęli mleć w ustach jakieś pogańskie modły. Jeden z nich wyjął z rękawa kawałek placka zawinięty w chustę. Rzucił bogom na ziemię i w las.

Nikt nie mówił ni słowa. Jeno krzyżowały się spojrzenia. Wulfstan bardzo powoli schował zgrzebło do sakiewki.

- Panie mój? - szepnął Karlito, jakby chciał o coś spytać, lecz Dragiełło pokiwał mu palcem.

Przywołał Hioba.

Jednoręki podbiegł do niego, schylając pokornie kark.

- Hiob, idź do chaty i przynieś cebrzyk z wodą.

- Hiob po wodę?

- Tak. Idź - rzekł Dragiełło.

Starzec obok niego zamrugnął i wziął głęboki oddech.

- Panie, czy to... było? - wyjąkał garbus do pogromcy smoków.

- Cóż było, Karlito? - szepnął do niego rycerz.

- Tamto. Z nią. Przed chwilą. Czy to...

- Nie gadaj. Obaczym, czy woda jest w cebrzyku. Chwilę siedzieli w milczeniu. Nie trzeba było długo czekać na powrót Hioba. Stał obok ogniska, trzymając w swojej długiej, umięśnionej łapie drewniane wiadro pełne wody.

- Toć, zem... Był... Panie? Jak to? - gadał zdumiony. Dragiełło wstał i przejechał dwoma palcami po swojej bródce, jakby jej gładzenie miało przywrócić rzeczom odpowiedni porządek.

- Jak widzicie, co było, wcale nie musiało być. Wziął od Joba cebrzyk, uniósł i napił się wody. Potem wznosił oczy ku niebu.

- Lub też co było, to było, lecz Pan jest łaskawy i wysłuchał naszych modlitw.

Oddał wiadro jednorękiemu i polecił odnieść. Otarł brodę z wody i podszedł do Hanny. Przyklęknął obok niej i odgarnął włosy z jej czoła.

- Jak to wam, Hanno? Dobrze się czujecie? Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Trochę jestem słaba. Cóż się działo? - w kącikach jej oczu błyszczały krople łez, a całe czoło było zlane potem, jakby ją trawiła gorączka. Wzrok miała nieobecny.

- Tak was spotkało, niewiasto, czego i nie raz już byliśmy świadkiem. Co Jeruzalem wam zioła dawał, dla spokój ności.

- Byłam od rzeczy?

- Czy od rzeczy, tego nam nie wiadomo. Widzicie, moja kochana, tak to jest, że nie nam, ludziom, słabym ludziom dochodzić, co jest do rzeczy na tym świecie, a co od rzeczy. Może być, że to, co się zdaje całkiem nie z tego świata, bliższe jest prawdzie niżli nasze mniemania albo i odczucia. Mówiliście w gorączce, wieszczyliście, a potem...

- Cóż potem? - spytała, spoglądając na niego tak, że Dragiełło przeraził się nieskończoności, jaką zobaczył w jej źrenicach.

- Cóż potem? - zająknął się. - Nic właściwie. Wszystkim nam coś się wydało. Coś jak sen. Jeno jak sen, który wszyscy śnimy. A potem wróciliśmy na ziemię. Dość, że wam nic się nie stało, bo już baliśmy się...

- Czego się baliście, rycerzu?

- Że z wami coś złego, kochana moja niewiasto, że z wami...

- Ze mną? Cóż było?

- Jakby was ogień trawił. Jakby gorączka...

- Jakby ogień - powtórzyła i nagle schowała głowę w ramiona, potrząsnęła nią na znak, że już nie chce dalej gadać. Chce znowu być sama ze swymi myślami.

- Gdybyście się gorzej czuli, powiedzcie, pomożemy - powiedział łagodnie Dragiełło i pogładził ją po ręce.

Nie odpowiedziała. Patrzyła w ognisko. Rycerz wrócił na ławę. Karlito wiercił się niespokojnie, domagając się wyjaśnień, lecz jego pan położył palec na ustach. Był to widomy znak, że nie chce o niczym rozmawiać. Garbus westchnął i wybrał się za potrzebą w stronę lasu. Stanął, zadarł głowę do góry i podziwiając ciemne korony drzew, odcinające się na tle nieba, myślał o tym, co niedawno zobaczył. Do głowy przyszło mu, że jego pan może mieć rację, mówiąc o tym, że istnieją na świecie bestie, o których niewiele wiadomo. Chowają się

bowiem tak, by ludzie nie mogli ich łatwo zobaczyć. I żywią się ludzkim strachem. Ten strach to jest ich największa zdobycz.

*

Następnego dnia rycerz spędził długie godziny, naradzając się z Wulfstanem i próbując go nakłonić do wspólnej podróży w stronę Jaćwieży i tajemnego miasta Bliznobrodego. Strzec oponował, wskazując na wszelkie przeszkody.

- Wasza odwaga jest mi wzorem, rycerzu, lecz wiercie mojemu doświadczeniu. Droga w stronę miasta Skomanda jest trudna, a tym jest cięższa w obecnej porze roku, gdy bagna są nie pokryte lodem i gdy nie są nim skute rzeki. Do tego dodajcie sobie nieprzebytą gęstwinę puszczy. Jak się chcecie dostać do Bliznobrodego? W bagnach potoniecie, drogę zgubicie, w lesie pobłądzicie, konie wasze zdechną od ukąszeń owadów, których tysiące się unoszą nad głowami tych, co idą przez las. Nie na darmo ten, kto do Jaćwieży idzie, wybiera czas zimowy. Łacniej jest wtedy pod każdym względem.

Stali nad brzegiem rzeki i patrzyli, jak Karlito pierze swój kubrak, pomstując pod nosem na nieludzkie traktowanie w służbie pogromcy smoków. Smród rozchodzący się od jego nieupranej odzieży był jednak już tak wielki, że nie można było usiedzieć blisko garbusa - i stąd takie polecenie Dragiełły.

- Ale wy byście doszli? Tak jakoś nam to opowiadaliście - rzekł rycerz gładząc się po brodzie i pochylając do ucha starca, by ten go słyszał.

- I tak, jak wam rzekłem, tak i dochodziłem. Ale to i czasy były spokojniejsze, a i ja młodszy.

- Ale drogi znacie.

- Cóż że znam? No znam.

Wulfstan podniósł z ziemi patyczek i zaczął go strugać, celem uzyskania niewielkiej, dobrze zaostrzonej drzazgi. Kucnął, a obok niego przykucnął także rycerz.

- Cóż więc? Chodźcie z nami jako przewodnik.

- Życie mi miłe. Wy też o swoim pomyślcie - odpowiedział starzec.

- Czegóż się obawiacie?

- To nie wiecie, co się dzieje? - Wulfstan pociągnął parę razy ostrzem noża po patyczku, strugając go na szpic.

- Nie wiem. Rozjaśnijcie co, jeśli wy wiecie - Dragiełło usiadł na kępie trawy. Karlito spojrzał w jego stronę znad brzegu rzeczki i pokazał swoją kurtę, pytając niemo na odległość, czy nie starczy już tych zabiegów. Niestety jego pan był nieugięty i przecząco pokiwał głową. Stary przewodnik spoczął koło rycerza, schował nóż i drzazgą zaczął dłubać w zębie.

- Toż sami opowiadaliście, że w Lecbargu na ślad się natknęliście armii jakiejś w lesie.

- Prawda to. Tam, gdzie ostatni raz Jeruzalem był i gdzie jego nóż znaleźliśmy, jakby jakie stado dzikie przeszło. Ślady w lesie były wydeptane, wszystko wygniecione. Jego stopami maleńkimi, nie dorosłymi, ino dziecięcymi.

- Malutkie, gadacie?

- Jak u dzieci.

- Karludy - pokiwał głową Wulfstan.

- Kto?

- O Karludach żeście nie słyszeli?

- Wybaczcie, lecz nie.

Dragiełło odkaszlnął i przysunął się z miną uważnego słuchacza, czym dał znać starcowi, że oczekuje szerszych wyjaśnień. Wulfstan widział to oczekiwanie i, na znak swojej przewagi, podłubał chwilę w zębie. W końcu jednak odezwał się.

- Karludy zamieszkują południową i wschodnią Galindię. Nie spotkasz ich nigdzie, bo przed oczami podróżnych kryją się tak, by nikt ich nie dostrzegł. Wielu tamtędy jeździ, ale mówią, że Galindia jest opustoszała, że się plemiona galindzkie gdzie wyniosły z przyczyn nieznanych. Prawda jest taka, że Karludy tak się rozpanoszyły w tamtych miejscach, iż inne ludy musiały się przemieścić w bardziej przyjazne okolice. Karludy są niewielkie wzrostem, sięgają dorosłemu wojowi do pasa i tak już pozostają, nawet jak osiągną wiek dojrzały. Mieszkają w chatkach postawionych na palach w wodzie albo też w domkach budowanych w koronach drzew. Powiada się, że ten, kto ich w lesie najdzie, ten już żyw nie ujdzie. Chwytają go i zabijają, by tajemnicy nie wydał. Niektórzy gadają...

- Cóż, mówcie dalej - ponaglił go rycerz, widząc, że starzec urwał w pół zdania.

- Niektórzy gadają - kontynuował przewodnik - że żywią się trupami wrogów i że zjadają ich serca, by samemu osiąść ich odwagę. Inne wierzenia ponoć mają podobne jak u pozostałych plemion pruskich. Wierzą w duchy leśne, a najbardziej cześć oddają samym drzewom.

- To jak inne ludy pruskie - dodał Dragiełło.

- Tak samo. Dusze zmarłych mieszkają w drzewach. Dlatego to modły wznoszą przed ścięciem każdego.

- Stąd święte gaje są. Ale i u innych tak.

- I u innych podobnie - potwierdził Wulfstan i nagle spojrzał żywo na Dragiełłę - toć i wszystko się w całość układa, rycerzu. W dobrą całość.

- Co się wam, Wulfstanie, nagle w całość układa? - spytał pogromca smoków.

- Gadaliście, że te ślady tam były, gdzie i nóż pozostał po Szalbierzu?

- Tam właśnie.

- To by i było nawet rozumne.

- Cóż by było rozumne? Co chcecie powiedzieć? - dopytywał się Dragiełło.

Wulfstan z obrzydzeniem obejrzał drzazgę, którą dłużył w zębie, i wyrzucił ją za plecy.

- Ze Jeruzalema waszego Karludy porwały.

- Czemu, Wulfstanie?

- Na dary go wzięli.

- Na dary? Jakie dary macie na myśli? Na ofiarę chcą go zabić?

- Nie. Nie tak, rycerzu. Na dary dla znacznej osoby.

- Mówcie jaśniej, proszę - zaczął się niecierpliwić Dragiełło. - Wiecie, Wulfstanie, wielki mam szacunek dla waszego wieku, roztropności, doświadczenia. Ale czasem tak zawile mówicie, jakbyście chcieli i nie chcieli powiedzieć. Jeśli dobrze nam życycie, jeśli dobrze życycie celowi naszemu, pomóżcie i sprawę naświetlcie jasno i po męsku, bez kluczenia. Toć ciągle wam muszę pytania stawiać, a wy odpowiadacie, jakby wam zależało na układaniu zagadek.

Wulfstan roześmiał się na cały głos, aż Karlito uniósł głowę. Karzeł wyprał kubrak i teraz starał się go wyjąć, kręcąc z całej siły.

Starzec spojrział rozbawiony na rycerza i rzekł:

- W moim wieku już niewiele zostało przyjemności. Mało słyszę, o kobietach mogę zapomnieć, nawet jędrzenie nie smakuje jak niegdyś, bo co zjem, to potem zęby bolą. A tak chociaż jest radość z zagadek...

- Tej więc już nie ciągnijcie, tylko jasno rzecz przedkładajcie. Co wiecie o obecnym położeniu?

Wulfstan spoważniał. Milczał chwilę, potem utkwiał wzrok w rycerzu i zaczął wyjaśniać.

- Rzecz pierwsza, panie Dragiełło. I pewnie najważniejsza. Skomand, zwany Bliznobrodym ogłosił wiec ponadplemienny. Jak wam może wiadomo, nie przerywajcie mi, to wszystko wyjaśnię, jak wam może wiadomo, wiec jest najwyższą władzą u plemion pruskich. Jak u was książe, jak bywał król, jak cesarz jest u Niemców, jak Wielki Mistrz w Zakonie Niemieckim, tak w plemionach pruskich władzę posiada wiec. Wodzów Prusowie mają, ale na bitwy są szykowani albo dowodzą kuksem czy plemieniem, ino nie dziedzicznie.

Wiec im daje siłę, wiec ją może zabrać, wiec decyduje o śmierci i życiu, wiec na wyprawę łupieżczą daje zezwolenie albo postanawia, w jakim miejscu wspólny gród ochronny wznieść. Taki wiec masz w kuksach i masz w plemionach. Teraz na wiec olbrzymi, ponadplemienny prosi wszystkich Skomand, wielki wódz Jaćwieży. Dał mu na to siłę, przyzwolenie i wieszczbę największy pruski kapłan, Kriwe. Słyszeliście, Dragiełło, o Kriwe?

Rycerz zaprzeczył, więc Wulfstan ciągnął dalej:

- To pokazuje, że wyście tak samo nieświadomy jak barbarzyńca w Italii. Nic nie wiecie. A do Skomanda wam się iść zachciało. Słuchaj mnie, rycerzu. Kriwe to największy kapłan plemion pruskich. Niektórzy mówią, że mieszka gdzie w lesie w Sambii, inni przekonują, że ma chatę w Natangii, a jest możliwe, że żyje ciągle w innych miejscach. Nikt nie wie, gdzie on jest. Pojawia się tylko nagle jak duch z lasu. Poznać go można po stroju. Cały jest ubrany w pióra, na rękach, nogach, na brzuchu i głowie. Wygląda od tych piór jak wielki ptak. Nic nie widać na nim jeno te pióra. Twarz ma pod nimi czarną jak smoła i ponoć tylko oczy świecą. A tak mocno, że nikt nie żywie, kto mu w te oczy spojrział.

Kriwe jest szaman ze świętych gajów i ma posłuch największy pośród plemion pruskich. Moglibyście go, Dragiełło, przyrównać do papieża u chrześcijan. Co Kriwe powie, tego się plemiona słuchają.

Tu jest druga rzecz, na którą musisz uważać. Kriwe ma swoją laskę. Laska szamana zawsze ma w sobie moc magiczną, lecz ta jest szczególna. Ona puszczona w ruch powoduje, że się wszystkie plemiona zbierają na wielki wiec. Jedzie goniec i przekazuje ją od lauksu do lauksu, od chaty do chaty, od plemienia do plemienia. Jak laska wróci do Kriwego, znaczy że już wszyscy wiedzą, że się zjechać trzeba. Znak to, że wieść doszła. Wiec się odbędzie. A teraz wiedz, rycerzu Dragiełło - laska Kriwego krąży od miesięcy po lasach Pomezanii i Pogezanii, Barcji, Warmii, Galindii, Sambii, Natangii, Sasinii i przekazuje wieść. Ona gada, że Skomand, książę jaćwieski, zyskał poparcie Kriwego, a Kriwe rozkazał, by się wszyscy książęta ruszyli i do Bliznobrodego zjechali. Tak każe wieszczba. Wieszczby trzeba słuchać. Wiec się ma zacząć tej jesieni. Już się ludy ruszyły. Dlatego masz ślad, że idą Karludy.

To jest trzecia rzecz, którą teraz zrozum, a potem przemyśl, czy w dalszą drogę chcesz iść. Karludy ruszyły na wiec. Idą w dużej ilości. Znać, że wiec ma wojenne znaczenie i może być z tego coś wielkiego. Zakon Krzyżacki wkracza na ziemie pruskie, a Prusowie to nie dziki naród, co o wojnie małe ma mniemanie. Lud to wojowniczy, nie da sobie na nosie grać. Jak Karludy poszły dużą masą, a tak przynajmniej to mi opisałeś, tak też myślę, że wiec u Skomanda mieć będzie szerokie znaczenie. Może Prusowie o powstaniu pomyślą, kto wie. Iść

tam teraz to wejść w paszczę potwora, właśnie wtedy gdy żeruje. Można go jeszcze poprosić, żeby mlasnął.

Dragiełło westchnął i zawinął na palec loczek swojej brody. Zmarszczył czoło, zbierając myśli.

- Mówicie, Wulfstanie, że te Karludy na wiec idą do Skomanda?

- Tak myślę.

- Czemu więc wzięli Jeruzalema?

- Na dar - odpowiedział z uśmiechem Wulfstan, jakby musiał tłumaczyć coś tak oczywistego jak to, że diabeł istnieje - tak samo jak Bóg.

- Cóż za dar? Z człowieka?

- Każde plemię pruskie opiera się na niewolnictwie, wiesz to? - pytał starzec rycerza.

- To jest mi znajome. Toż ciągle wyprawy łupieżcze na nasze ziemie czynili. Na Mazowsze, a i dalej także.

- Zgadza się. Po cóż by wyprawy księżęta robili? Konrad i Henryk? Dla upodobania się papieżowi? Śmieszny powód byłby to, gdyby jedyny.

- Z każdej wyprawy brali łup niewolniczy - dodał Dragiełło.

- Prawda. W każdej prawie zagrodzie u Prusów masz niewolnych. Niewolni pracują na pana pruskiego i stanowią, który się bogaci w rodzie.

- Ale na cóż taki niewolny jak Jeruzalem?

- Na cóż? - zaśmiał się Wulfstan. - Wybaczcie, rycerzu, ale czasem takie pytania zadajecie jak dziecko. Czy wy naprawdę w tych szkołach italskich byliście czy jeno opowiadacie? Toć z niego dar cudowny. On jest jak szaman z dalekich stron, o twarzy śniadej i dziwnej, o muskularnych ramionach, a nade wszystko, poza swoją wiedzą tajemną o ziołach i medykamentach, poza sztukami, o których opowiadaliście, ma on władzę nad...

- Nad małpką! - wykrzyknął nagle rycerz.

- Otóż właśnie. Sam Jeruzalem nie jest może wart schwycenia i ciągnięcia go przez puszcę na upominek dla Skomanda. Lecz Szalbierz razem z małpką? Ze zwierzakiem, którego nikt w tych stronach nigdy nie widział, ludzkim prawie, zabawnym, ruchliwym jak dziecko? Człowiek panujący nad diabelskim stworzonkiem? Co o tym powiecie?

- Macie rację! Małpka! To ich kusiło! Wulfstan uśmiechnął się lekceważąco.

- Może też być, że go zabili. Tego nie wiem. Mogli go zabić, a serce jego zjeść. Ale...

- Ale?

- Ale myślę, że nie są tak głupi. Gdy natknęli się na taką zdobycz, nie mogli jej przepuścić. Do takiego księcia jak Bliznobrody przychodzi się z darami.

- Wspaniała to dla mnie wiadomość - Dragiełło nagle wstał, zadowolony. Uśmiechał się i machnął do Karlita na znak, że może zakończyć czynności związane z czyszczeniem kubraka. Garbus pokłusował zadowolony w stronę chaty.

- Wspaniała? - Wulfstan uniósł brwi.

- Wspaniała - uśmiechał się Dragiełło i podał dłoń starcu, by pomóc mu wstać - bo znaczy ona, że Jeruzalem żyje. I znaczy jeszcze, że już nie ma co myśleć. Nie ma co siedzieć i gadać, jeno... ruszać. Ruszać w drogę.

Przewodnik otrzepał się z listków.

- Chcesz ruszać, rycerzu? Po tym, co ci rzekłem? - patrzył na Dragiełłę, a w jego oczach nie było już kpiącego uśmiechu, ale rodzaj niemego podziwu.

- Nawet przez chwilę nie pomyślę, że mógłbym działać inaczej. Święty Jerzy czuwa nade mną, a Matka Najświętsza zawsze dobrą pokaże drogę. Gdy jej słucham, nigdy nie zabłądzą. Nigdy! Chodź ze mną, Wulfstanie, chcę ci przedstawić pewną propozycję.

Poszli ścieżyną w stronę chaty. Na polanie minęli Hanne rozwieszającą rzeczy uprane w rzece, Karlita, który podsuwał jej do zawieszenia swój kubrak, i braci Job grających w grę, w której należało metalowe kółko zarzucić na patyk wbity w ziemię. Weszli do chaty bartnika. Na ścianach wisiały narzędzia do podbierania miodu z barci, leziwo do zawieszania się na drzewach, siatki drobno utkane, do ochrony przeciw owadom i gliniane dzbany na miód.

Dragiełło posadził Wulfstana na ławie naprzeciw siebie.

- Jesteś przewodnikiem, Wulfstanie - rzekł.

- Jestem - odpowiedział Wulfstan.

- Chcemy dostać się do miasta Bliznobrodego. Teraz, a nie w zimę. Tak mówi nam wieszczba, głos serca, a nawet głos rozumu.

- To idźcie.

- Potrzebujemy ciebie.

- Ja nie pójdę.

- A da się tam dojść latem?

- Da się. Lecz jest to pełne niebezpieczeństw i trudu. Dlatego nie pójdę.

- Pójdiesz - powiedział twardo rycerz - Są dwa powody.

- Jakie? - spytał starzec.

- To pierwszy - Dragiełło sięgnął za siebie i wyciągnął Zedrzykaptura. Skierował miecz tak, by dotknął lekko szyi przewodnika.

- Rozumiem - odparł Wulfstan spokojnie - A dru-

- Drugi jest tu - Dragiełło chwycił wór z łupem wyniesionym przez Karlita z namiotu Kunona von Kirchensteina i wysypał zawartość na ławę.

Po drewnianej powierzchni rozsypały się złote pierścienie, drogocenne kielichy i ozdobne łańcuchy. Było też sporo monet.

- Nie będziesz już żył długo, Wulfstanie - powiedział Dragiełło, patrząc mu chłodno w oczy - ale możesz żyć miło. Albo nie żyć wcale. Co wybierasz?

Stary przewodnik nie wyglądał na wytrąconego z równowagi. Powoli, tak by się nie zranić, odsunął ostrze miecza od swojej szyi. Potem spojrzął w dół na klejnoty.

Wziął do ręki jeden z pierścieni i założył sobie na palec. Podsunął go do oczu. Strzyknął śliną między zębami i powiedział:

- Masz dar przekonywania, rycerzu. Prawdziwy dar. Dragiełło roześmiał się na cały głos.



ROZDZIAŁ X

Lipiec 1238

Owie łódki wydłubane w pniach posuwały się powoli pod prąd niewielkiej rzeczki. Nurt nie był na tyle silny, by spychać je na bok, lecz powodował, że odpychający się żerdziami ludzie męczyli się mocno, pokonując zarazem odległość, jak i przeciwne im masy wodne. Dno było gęsto zarośnięte i jaskrawozielone trawy, porastające rzekę układały się jak wielkie włosy podwodnych stworów, poruszane biegiem strumienia. Długie żerdzie wchodziły w wodę, znajdowały punkt oparcia, a potem, po odepchnięciu, wyciągnięte na powierzchnię całe spowite były rzeczną roślinnością. Trzeba więc było wkładać ich końce pod wodę i obracać nimi, by pozbyć się zielska.

Szczególnie ciężko szło to braciom Job. Obaj trzymali drągi jedną ręką, znajdując punkt podparcia na burcie łódki. Jednorecy kleli pod nosem i co chwila czyścili drągi, żeby

móc płynąć dalej. Komenderował nimi karzeł siedzący na workach z prowiantem. Stukał patykami w denko drewnianej miski i wykrzykiwał do rytmu:

- Raz i dwa. Raz i dwa. Joby dwa. Płyną tam. Raz i dwa. Głupki dwa. Raz i dwa. Płyną tam. Raz i dwa. Płynę ja. Tak, to ja. Raz i dwa. Joby dwa. Tra la la!

W końcu Niob, nie wytrzymując tych pokrzykiwań, zdjął z drąga wielką, splątaną kulę wodorostów i niby przypadkiem tak nieudolnie rzucił ją za siebie, że zamiast do wody, poleciała wprost w gębę złośliwego garbusa. Chlasnęło głośno, a rytmiczna przyspiewka ustała na słowie „raz”.

Karzeł powoli zbierał z twarzy zieloną masę, a jego oczy ciskały gromy. Obaj bracia ryknęli tubalnym śmiechem, który poniósł się po rzece. Gdzieś przed nimi, za zakrętem, zerwały się do lotu wodne ptaki. Dwie siwe czaple machnęły skrzydłami i zatoczyły koło. Znalazły w wodzie sterczącą w górę gałąź, usiadły na niej i, poruszając skrzydłami, obserwowały płynące łódki.

- Czego tam? - krzyknął w tył Dragiełło, odwracając się ze swojej łódki i patrząc ze zdziwieniem na rechoczących braci.

- Wodnik, panie! - odkrzyknął Niob.

- Wskoczył nam na łódź! Wodnik! - dodał Hiob.

Karlito wstał, z obrzydzeniem odklejał od twarzy wodorosty i w dwóch palcach prznosił je za burtę, by tam wrzucić do wody.

- Bunt, mój panie! - krzyknął wściekły. - Dwóch to podłych zdrajców mam na łodzi, co źle wyrokuje naszej wyprawie! Cisnęli we mnie zatrutym zielskiem! Już czuję, jak mi skórę parzy!

Na te słowa braci jeszcze mocniej zaczęli się śmiać, aż im Dragiełło pogroził, pokazując, że mają wiosłować, a nie bawić się. Spowaźnieli i zajęli się odpychaniem łódki.

W pierwszej dłubance płynęli Dragiełło, Wulfstan i Hanna. Białogłowa patrzyła w zamyśleniu na brzegi rzeki.

Mijali kraj dziki, a las był tak gęsty, jakby to się znaleźli w innym świecie, którego dotąd nie było dane im poznać. Drzewa rosły tu jedno przy drugim, że można by mieć trudność z wydostaniem się na brzeg. Sama rzeka miała powierzchnię spowitą roślinnością - wszędzie widoczne były szerokie liście nenufarów, rzesy wodnej, a trzciny zarastały boczne rozlewiska i bagienne meandry.

Dragiełło, widząc tę gęstwinę na brzegach, te bajora rozlane na wielkie przestrzenie, przyznawał w duchu rację Wulfstanowi. Dobrze zrobili, idąc za jego wskazówką. Konie, w tym Bela i Zebuba, zostawili w chacie rybaka, który zgodził się o nie dbać do ich powrotu.

Kupę pogiętego żelastwa, czyli majątek rycerza, ukryto na stryszku. Za pieczę nad wszystkim pogromca smoków obiecał chłopu sowitą zapłatę, a wypłaciwszy zaliczkę, w uśmiechu tegoż odnalazł potwierdzenie, że będzie mu zależało na dotrzymaniu słowa. Rybaka wskazał im Wulfstan. Przewodnik uparł się, że jedyną możliwością dotarcia do miasta Bliznobrodego będzie podróż wodą. Kupili więc od rybaka dwie dłubane łódki i załadowali na nie wszystkie przygotowane zapasy oraz sprzęt wojenny i łowiecki. Dragiełło upchał do jednego wora swoją Kundzię, czyli wierną mu od wielu lat kolczugę, w której dziur było już tyle, jakby to mole się dobrały do wełnianej odzieży, a nie rdza do stalowych kółek; dalej szyszak, który zdawał się tym jeno zapewniać ochronę właścicielowi, że tak się zwał, oraz nakolanniki i nałokietniki. Na dno łodzi ułożył też swą tarczę i chorągiew z herbem, Kraplanem, sądząc, iż może się przydarzyć chwila, w której rycerski stan każe mu bronić honoru przez udział w pojedynku. W takiej sytuacji herb uniesiony nad głową jest potrzebny jako znak szlachectwa.

Na koniec pogromca smoków zabrał w podróż Adelajdę, kuszę, która tyle razy wybawiła go z opresji, iż traktował ją jak istotę żywą, czasem do niej przemawiał, a gdy sądził, że jest sam, gładził z taką czułością, że gdyby była kobietą, ani chybi cała by się spłoniła.

Kusza miała stanowić także podstawowe narzędzie do zdobywania pożywienia. Ciężko ją było nosić, ale gdy się z nią zasadziło na zwierza, można było jednym celnym strzałem powalić dzika lub jelenia. W drugiej łodzi, w worach znalazły się zapasy żywności, suszone mięso, ryby i owoce, miód w glinianym dzbanku, pęczek ziół, a także skórzane bukłaki z wodą pitną. Wulfstan doradził także, by zabrać z chaty pszczelarza kapelusze, dymarki i specjalne siatki tkane dla ochrony przy pobieraniu cennej zawartości barci. Miały one zabezpieczać chmarami komarów, które na bagnach stanowiły największe utrapienie. Wielu podróżnych ginęło od ich niezliczonych ukąszeń, zapadając na chorobę, której objawem było świerzbiecie ciała, dreszcze, poty i wysoka gorączka. Do tego mieli ze sobą zapas pochodni, szczap smolnych, hubki tartej z grzybów drzewnych do rozniecania ognia, rulony brzozonej kory, noże, kocioł do gotowania wody i zup, siatkę i haczyki do połowu ryb, zapasowe ubrania, skóry do przykrycia, łój do smarowania ran i odcisków oraz kilka opończy do okrywania się od chłodu.

Obie łódki były mocno zanurzone pod ciężarem ładunku, lecz na razie płynęły spokojną rzeczką i nie groziło im wywrócenie.

- Gorzej będzie, gdy dotrzemy na jeziora - powiedział nagle Wulfstan, odwracając się w kierunku Dragiełły.

Rycerz nie odpowiedział, tylko mocniej odepchnął się żerdzią od dna.

- Czemu gorzej, przewodniku? - spytała Hanna, zwracając w stronę starca pogodnie, szare oczy.

Ten roześmiał się, a jego śmiech przeszedł w suchotniczy kaszel.

- Głośniej, moja panno, słuch mam kiepski, jak wiecie!

- odrzekł po opanowaniu targającego nim kaszlu.

Niewiasta przesunęła się bliżej dziobu i powtórzyła pytanie.

Wulfstan podał jej nagle drag i usiadł na tobołkach.

- Pomóżcie no rycerzowi w tym odbijaniu się od dna. Mi już lata nie pozwalają tyle pracy wykonać, co młodszym z łatwością przyjdzie. Muszę spocząć.

Hanna przejęła od niego żerdź. Rycerz stał na tyle dłubanki i uśmiechał się tajemniczo, a jego w szpic obcięta bródka wskazywała kierunek jak ster na statku.

Stary przewodnik odsapnął, otarł wąsy i brodę ze śliny, potem z zadowoleniem popatrzył na mijany dziki brzeg i dopiero odpowiedział na zadane przez wieszczkę pytanie:

- Wiecie, panno, na jeziorach wiatr przyjdzie. A jak wiatr, to i fala. Nasze łódki maleńkie, do takich mórz nieprzystosowane.

- Do mórz? Cóż gadacie? Toć jeziora, ale żeby morza?

- włączył się nagle Dragiełło.

Wulfstan spojrział na niego przez ramię.

- Cóż tam gadacie?

- Że o morszach mówicie. Gdzież tam morza, Wulfstanie?

- Widzę, że ciągle mi nie dowierzacie, rycerzu. Aż dziw mnie bierze. Tyle was razy widzę, jak mówicie o Paniencie Świętej albo i o przodku swoim, Jerzym. Za każdym razem, jak to gadacie, to myślę, żeście człowiek wiary. Potem o smokach coś rzekniecie i tym bardziej mi się zdaje, że to prawda. Za głosem swoim idziecie, choć inni temu przeczą. Pięknie. Aleć gdy ja wam co mówię, to się dopytujecie, jakby wam wiary brakowało w moje słowa. A toć przecie niepodobna w Boga wierzyć, a ludziom nie wierzyć. W smoki wierzyć, a Wulfstanowi nie ufać. Gdzież tu mądrość, gdzie jasne myślenie? Czyżbym was gdzie zwiódł, gdzie skłamał, gdzie pokazał fałszywy trop? No, rzeknijcie? Skąd się u was ta sprzeczność bierze?

- Dużom widział, Wulfstanie. Byłem na krańcu świata.

- Gdzież ten kraniec świata?

- Daleko. W świętym mieście. Jeruzalem.

- Tam byliście? Naprawdę?

- Tak. Pod komendą świętego cesarza rzymskiego Fryderyka, z rodu Staufów.

- Toście przez morze płynęli.

- Tak - Dragiełło wsparł się mocniej na kiju, odepchnął żerdź i zaczął spoglądać w przód, gdzie rzeka skręcała tak nagle, że wydawało się, jakby gdzieś woda zniknęła pod drzewami. Starzec obrócił się do niego, lustrując twarz.

- Czegóż powątpiewacie, gdy wam mówię, że i teraz morza przed nami? - spytał.

- Bo gdzież morza na tej ziemi?

- Widzicie, rycerzu, nie ufacie mi. Aż się serce moje kraje.

- Niech się wam nie kraje. Że wy nie owieczka jesteście, tylko wilk, to mi wiadome. Inaczej byście jako przewodnik swojego wieku nie dożyli.

- To zrozumcie, panie Dragiełło - ze złością zaczął mówić Wulfstan - że te jeziora, na które nam wypłynąć przyjdzie, będą tak trudne dla łódek naszych jak morze dla statków. Gdy się nam przyjdzie z falą zmierzyć, wtedy znowuż, mi powiecie, że rację miał Wulfstan.

- Cóż więc nam czynić, przewodniku?

- I tę rzecz wam wyłuszczę. W odpowiedniej chwili.

- Dobrze. Niech i tak będzie. Ale i wasza zagadkowa natura już mnie do złości nie raz przysposabiła. Nie umiecie mówić wprost i do rzeczy? Po co o morzach prawicie, zamiast się jasno wypowiedzieć, że na jeziorach trudno będzie? I że trza się przygotować?

- Już wam gadałem, że gdym już do kobiet niesposobny - tu starzec rzucił w stronę Hanny spojrzenie, w którym ogniki się błąkały całkiem nieprzystające do jego wieku - tak też w zagadkowym sposobie wypowiedzi znajduję uciechę.

Dragiełło przestał go słuchać, tylko wspiął się na palce.

- Panno, wstrzymajmy łódź! - rzucił stanowczo w stronę białogłowy. Odwrócił się i krzyknął:

- Zawada! Zawada!

- Jakaż zawada, panie? - odkrzyknął Hiob - drzewo mniejsze czy duże?

- Duże!

- Odepchniemy? - zapytał głośno Niob.

- Nie! Rąbać trzeba! - odparł głośno rycerz, kierując łódkę w stronę trzciny przy brzegu. Przed nimi była kolejna naturalna tama, jakich wiele spotykali na rzece i jakie bardzo utrudniały podróż. W takich wypadkach cumowali łodzie, a bracia Job łapali za siekiery, wskakiwali do wody i rąbali przeszkodę, dopóki się nie dało przepłynąć. W innych wypadkach, gdy drzewo było bardzo grube, a zebrało na sobie wiele innego śmiecia: gałęzi, liści, pniaków, zmurszałych konarów, zielska nanoszonego prądem, to i musieli wyciągać

dłubanki na brzeg, przedzierać się ładem i spuszczać je na wodę za przeszkodą. Tym razem wystarczyło całość na bok odciągnąć, więc się za robotę wzięli bracia Job.

Reszta na brzeg wyszła dla odpoczynku.

- Dobrze, że Bóg nam zesłał tych jednorek. Jakby nie ich siła, ciężę by nam było - powiedziała Hanna, patrząc na ruchy siłaczy walących siekierami w drzewo.

- To rzekliście, żeście na kraju świata byli? - powrócił do rozmowy Wulfstan, rozcierając na przedramieniu zaczerwienione miejsce po ukąszeniu gza.

- Byłem - odparł Dragiełło, kładąc się na opończy. Karlito utyskiwał nad sznurem, którym przywiązywał łódki do gałęzi - postronek był mokry i supłał mu się w niezdarnych palcach.

- To ja wam rzeknę, żeście nie byli - prychnął stary przewodnik.

- Nie byłem? - uniósł głowę rycerz.

- Nie. Dopiero tam będziecie. Jak nam Bóg pozwoli - przewodnik mrużąc oczy spoglądał w stronę, gdzie rzeka zakręcała za kępą drzew - dopiero tam będziecie.

- Ufam, że tak się stanie - odpowiedział z uśmiechem pogromca smoków i zamknął oczy, zapadając w drzemkę. W ciszy nad rzeką grała melodia rytmicznych uderzeń, wymierzonych w zawadę na wodzie. Jakby grały bębny.

*

Przeprawa przez największe jezioro czekała ich dziesięć dni później. Na niebie zebrało się trochę chmur, było zimno i zaciął lekki, mroźny wiatr. Drobne krople siekły twarze, a Wulfstan spoglądał na Dragiełłę, z niemym pytaniem wypisanym w oczach: czy nie można nazwać morzem tego, co musieli pokonać.

Rzeczywiście, ich łódki były łupinkami na tak wielkim jeziorze i bez odpowiedniego przygotowania łatwo by zatoneły. Doświadczenie przewodnika było bezcenne. Przed podjęciem przeprawy zarządził dłuższy postój i prace przygotowawcze. Bracia Job ścięli trzy wysokie, smukłe jodły, które miały się przydać do zbudowania nowej pływającej konstrukcji. Jej podstawę stanowiły łodzie, które połączono w całość za pomocą poprzecznie przytwierdzanych żerdzi. Jeden z pni umieszczono pośrodku, dwa pozostałe na bokach. Pośrodku konstrukcji Wulfstan nakazał umieścić maszt, do którego doczepiono zaimprovizowany żagiel z powiązanych opończy. Kazał też dorobić wiosła. Wystrugano je dużych płatów dębowej kory.

Dopiero po takich, trwających cały dzień przygotowaniach starzec dał znak i wskazał przeciwległy brzeg. Bracia Job zepchnęli wielką tratwę na wodę i wskoczyli na tył.

Pogoda im nie sprzyjała. Co prawda nie lało ani nie było specjalnie wysokiej fali, lecz królował ziąb przenikający ciało do kości. Wiatr niósł ze sobą wilgoć odczuwaną nawet przez najszczelniejsze okrycia.

- Jaki punkt mamy osiągnąć, Wulfstanie? - spytał Dragiełło. Jego bródka odchyłała się w bok, wskazując, jak niewielka chorągiewka, kierunek, z którego dęła nieprzyjemna bryza.

- Co? - odrzyknął do niego starzec. - Do ucha mi mówcie!

Rycerz złapał go za ramię i wrzasnął wprost w kołnierz:

- Jaki punkt widzicie na drugim brzegu jako cel?

- Żaden! - odparł głośno Wulfstan - nie na punkt płyniemy, lecz na moje oko! Gdzieś pośrodku trzeba wylądować! Lepiej się weźcie za machanie wiosłem niż językiem, to szybciej dotrzemy!

Wulfstan spoglądał w stronę zachodnią, gdzie nad horyzontem majaczyły chmury ciemniejsze, brunatne i groźne.

- Szybciej nam wiosłować! - krzyknął. On jeden tylko stał, wsparty na długiej żerdzi stanowiącej ster. Reszta kłęczała po bokach tratwy i wiosłowała w milczeniu.

Stary przewodnik popatrzył na ich zgięte plecy i zaśmiał się.

- Azaliż to nie morze mamy, panie Dragiełło? Jezioro było tak wielkie, iż jedynie na horyzoncie majaczyła cienka linia lądu.

- Nie, Wulfstanie! Nie morze! Na morzu nie masz nadziei takiej jak tu! Tu widać drugi brzeg!

- Niech wam będzie! Może jeszcze burza nadejdzie i fale nas zmiotą! Tego wam trzeba, żeby morzem nazwać tę wodę?

- Nie straszcie mnie, Wulfstanie, nie da się! - teraz rycerz się roześmiał. - To ja morze widziałem, nie wy!

- Racja! - odrzyknął stary przewodnik. - Jednak mam nadzieję, że parę rzeczy wam pokażę, które jednak was zadziwią!

- Daj Boże! Obyście mi to miasto Bliznobrodego pokazali!

- To wiosłujcie porządnie! Znosi nas wiatr!

W łódkach zaczęła gromadzić się woda. Dragiełło nakazał więc, by Karlito przestał wiosłować, szczególnie że niewiele było z tego pożytku, lecz żeby się zajął osuszaniem dna za pomocą drewnianej miski. Garbus ochoczo porzucił wiosło i złapał za naczynko.

- Dziękuję ci, mój panie, w dobrej chwili to mi rozkazałeś.

- Czemuż to? - spytał Dragiełło.

- Bo tak od tego wiosłowania czułem, że mi się garb powiększa, i może nawet narosnąć mocniej, co by mogło być przeszkodą w dalszym pełnieniu zaszczytnej służby giermka przy waszym boku.

Przez chwilę w milczeniu wylewał wodę za burtę. Lecz już po chwili wzięła górę nad nim jego gadatliwa natura.

- Ale to wylewanie wody, mój panie - zaczął prawić, marszcząc swe grube brwi - to też mi nasuwa pewne filozoficzne myślenie nad kondycją karła w świecie.

- Jakież to? - Dragiełło sapał od wysiłku wkładanego w wiosłowanie.

- Tylko wybaczcie karłu niegodnemu. Czasem to takie myśli dziwne przychodzą. Aleć powiem, dusił w sobie nie będę. Co za los to głupi: wylewać miseczką wodę do jeziora? Toć to tak durne, że głupsze nawet od Jobów. Czyliż mało wody w jeziorze? Czyliż nie woda stanowi dla nas największe utrudnienie w podróży? A tu zamiast ilość tej wielkiej wody przed nami zmniejszać, to jeszcze ją powiększamy, dolewając ciągle nowej. Bo żeby mniej się dzięki temu jej robiło na dnie łódki, to rozumiem. Ale, patrzcie panie, co wylewam, to się nic w łódce ilość wody nie zmniejsza, a w jeziorze ciągle przyrasta. Jak tak na to spojrzeć, to mi się zdaje, że czynność karła może być głupią.

- Tutaj, Karlito, musisz zaufać swemu panu, że mądrze ci kazał czynić! - odrzyknął mu Dragiełło - Chodzi o kształtowanie fali! Jako że wodę wylewasz za prawą burtę, tedy powiększasz jej ilość jednej stronie. Gdy po prawej ilość wody się zwiększa, tedy po lewej się zmniejsza. Prawda li to?

- Prawda - stwierdził karzeł trochę ogłupiały.

- A więc dzięki swej robocie zmniejszasz fale, które napierają na nas od strony wiatru.

- Daj to, panie Boże, jednak zem głupi! - garbus się przeżegnał i zabrał z wigorem do roboty, coś tam jeszcze mruczając pod nosem, ale tak niewyraźnie, że słów nie szło rozeznąć. Ciągle znosił ich wicher, lecz utrzymywali kierunek, a cieniutka kreska lasu, ciemniejąca na horyzoncie, stawała się coraz grubsza i grubsza, a w końcu nawet można było nawet rozpoznać poszczególne czubki drzew wystające ponad inne.

- Jakbyście mieli na około pójść jeziora, liczcie tydzień drogi albo i dziesięć dni! - krzyknął nagle Wulfstan, gładząc się z dumą po siwej brodzie i przyciskając ja do brzucha, by nie rozwiewała się na wietrze.

Na niebie kotłowały się czarne chmury, z których lada chwila mogła runąć na ich głowy burza.

Nie wiadomo, czy był to ślepy traf losu, czy też modlitwa rycerza wyjednała im opiekę aniołów, dość powiedzieć, że szczęśliwi postawili stopę na drugiej stronie.



Gospodarstwo Marchołta zajmowało prawie całą zatoczkę. Przy niewielkim pomoście wychodzącym w jezioro cumowało kilka łódek, na palikach wbitych w ziemię suszyły się sieci, a inne czekały na naprawę w starym, rozpadającym się szałasie. Dalej widać było otoczone palisadą skupisko budynków, z górującą nad wszystkim stodołą, i płaską, długą chatę krytą sitowiem. Dym unosił się siwą strugą z otworu w strzesze, a z podwórca dobiegał wrzask ganiających się dzieci, przemieszany z gdakaniem kur, które uciekały przed malcami bawiącymi się w wojów. Marchołt wypływał na jezioro z synami. Oni stanowili jego podporę: rzucali sieci, zawieszali je na obstawach, zaszywali rozdarcia, pletli nowe sznury, drażyli bojki w drewnie lipowym, patroszyli rybę, a potem zawieszali ją na kijach w wędzarni stojącej pod lasem, a czasem, gdy ojca bolało w krzyżu, masowali mu plecy, żeby mniej cierpiał. Najstarszy syn jeździł do miasta z rybą świeżą i wędzoną, a tam się zawsze dobrze sprawił, towaru przywiózł, materiału na ubrania, nowych narzędzi, igieł, skór, łoju, miodu i świec. Zawsze też pilnował, by rybie świeżej ogon uciąć, gdy już drugi dzień na straganie leżała, tak też i nikt się nie mógł przyczepić, że oszukaństwo.

Marchołt zaś kochał ich bardzo, a kiedy wstawał pierwszy do roboty, gdy jeszcze ciemna noc była, wtedy to bóstwom domowym kładł kawał ryby na progu i prosił gorąco, żeby miały pieczę nad synami, nad żoną i trzema córkami. Potem chłopaków zabierał na jezioro, a tłumaczył im tajniki rybołówstwa, które mu opowiedział jego ojciec, a temu jeszcze i jego tatko, aż do dziadów, których już nie pomniał. Wskazywał, jak węgorza ucapić, a gdzie szczupaka szukać w trzcinie. Oni zaś słuchali, szybko się uczyli i mogli go zastąpić, kiedy był chory albo przez ból pleców powalony.

Tak to wiedli życie szczęśliwe i spokojne, a gdyby ich jaki zbójca chciał zdybać, kryjówkę mieli wygrzebaną w lesie, pod mchem, tak zdatną, że mógłbyś przejść po niej i nic byś nie zauważył.

Jednej nocy nagle się zerwał Marchołt, bo ktoś walił w drzwi czymś metalowym.

- Cóż to, Marchołt? Daboże! - przeraziła się jego baba.

- Czekaj! - złapał za siekierę i podszedł do drzwi zaryglowanych sztabą na noc.

- Kto zacz? - spytał.

- Swój! - z zewnątrz dał się słyszeć głos.

- Co za swój?

- Wyście Marchołt? - dopytywał się nieznajomy.

- Może i Marchoń, może nie. A ty kto? Gadaj! - rybak przysunął oko do szpary w drzwiach, lecz na dworze dopiero się na świt zbierało, szarość powoli wchodziła na niebo, tak że widać było jeno dwie ciemne sylwetki.

- Dyc gadam, swój! - odrzekł obcy.

- Nie znam cię! Czego chcesz? - Marchoń ścisnął w rękę siekiere, a kątem oka dostrzegł, że po cichu wstali jego synowie. Obaj stanęli po bokach ojca, a w rękach mieli narzędzia. Jeden długi pogrzebacz, drugi łopatę chlebową.

Nieznajomy roześmiał się:

- Nie bójcie się, Marchoń! My wam krzywdy nie chcemy!

- To czego chcecie? - pytał chłop.

- Łódź od was kupić.

- Łódź? Kto was tu nasłał?

- My swoje, od Lecbarga idziemy.

- Gadasz nie po naszymu, jak Natang.

- Bom Natang. Swój.

- Czekaj no! - Marchoń skinął na synów, by resztę rodziny ogarnęli i wyprowadzili tylnym otworem zgotowanym do ucieczki.

- Czekaj tam! - powtórzył.

- Czekam! Ino się spraw, bo nam spieszno! - odkrzyknął człowiek na zewnątrz i obrócił się w stronę kompana, coś mu zaczął cicho gadać.

Starszy syn podszedł z pochodnią.

- Ktoś ty człowieku? Jak cię zowią? - krzyknął Marchoń przez drzwi.

- Mówią na mnie Kornet! - odpowiedział obcy głosem wpadającym w nutę rozbawienia - To jak, sprzedasz nam tę łódź, Marchoń?

- Czekaj! Do okienka podejdz, w gębę ci zaświecę! - rybak podszedł do niewielkiego otworu okiennego i uniósł pochodnię. Po drugiej stronie pokazała się twarz, szczerząca zęby w uśmiechu. Długi, haczykowany nos, wargi wydatne i czoło wysklepione, łysiejące, nie nadawały mu krwiożerczego wyglądu, więc Marchoń odetchnął.

- Pieniądze masz? - krzyknął do obcego.

- Co bym nie miał. Mam - obcy wyciągnął zza pasa sakwę i potrząsnął przy twarzy, a potem znów się roześmiał, jakby cała sytuacja była bardzo zabawna.

- Czekajcie na podwórku, wyjdę zaraz! - odparł rybak.

Włożył koszulę, za pas zasunął nóż, złapał syna za ramię i szepnął mu, że gdy tylko wyjdzie, ten ma drzwi sztabą zawrzeć, po czym wyskoczył na podwórzec.

Przed Marchołem stało dwóch mężczyzn, których oświetlił pochodnią trzymaną w ręce. W migotliwym świetle pokazała się twarz Kometa, ale kawałek dalej wyrosła postać tak potworna, że się rybak cofnął z przerażenia dwa kroki i oparł plecami o drzwi chaty.

- Dlaboga, co za... - wyjąkał, patrząc na olbrzyma owiniętego na barkach wilczą skórą, z hełmem zdobionym w dwa bawole rogi, mieczem połyskującym w blasku pochodni i okrągłą tarczą zarzuconą na plecy. Za nim stały dwa konie, w tym jeden czarny i potężny, jakby z piekła przybył. Tak i woj w hełmie rogatym zdawał się Marchołtowi dybukiem z najgorszych koszmarów. Twarzy jego znać nie było, miał głowę w kołnierz cofniętą i tylko czarna, gęsta broda okalała ją jak futro pysk dzikiego zwierza.

- Nie bój się, Marchołt - Kornet dalej się uśmiechał i klepnął w ramię przerażonego chłopca, po czym złapał go za rękaw i przyciągnął bliżej - nic ci nie będzie. Jeno łódź kupić chcemy i popłyniemy. Zapłatę dostaniesz. Część teraz, a drugą jak wrócimy. Tylko konie nam przechowasz. Za siano zapłacimy.

- Któż? Co za? - Marchołt przełykał ślinę, nie mogąc oderwać oczu od wielkiej postaci stojącej na podwórku. Szary świt za plecami obcego dodał mu jeszcze wzrostu i czerni, tak że rybakowi zaczęły się nogi trząść z przerażenia.

- To mój pan. Gadałem ci, nie bój się. Jak wszystko sprawisz, jak trzeba, to nic ci nie będzie, ni twej rodzinie. Rozumiesz? - pytał Kornet, usiłując uspokoić biedaka, któremu trwoga plątała ręce, nogi i język.

- No. Czemu nie? - odpowiedział Marchołt, dygocząc.

- To chodź. Konie zaprowadzimy do stajni. Masz im dobrego żarcia rzucić, od chłodu i wilków chronić. Tak? - Kornet zaczął iść z rybakim prowadząc oba wierzchowce za uzdy. Chłop drobił niewielkimi kroczkami obok niego, wskazywał drogę, ale co i rusz oglądał się na wojownika w hełmie z rogami.

Doszli do obory.

- Któż on? Ten pan? - zapytał Marchołt, przełykając ślinę.

- Rzekłem ci już, nie pytaj, nie opowiadaj. Pan jeden, któremu służę. Z dalekiej północy.

- Wiking?

- Nie pytaj, chłopie, nie rozumiesz? Życie ci niemiłe?

- Dobrze, dobrze. Ale się zląkłem - rybak zaczął zdejmować żerdkę na wejściu i poprosił Kometa o pomoc - potrzyście pochodnię.

Kornet stanął przy nim, trzymając światło nad głową. Teraz znać było, że nie należy do biednych. Cały strój miał zdobny, pas z wielką sprzączką, kurtę frędzlem obszytą, spodnie o żywym kolorze, miękkie buty skórkowe na nogach i rękawice nabite metalowymi guzami.

- Wyście pan - szepnął cicho rybak i zaczął się brać do zdejmowania siodeł. Ze środka obory dobiegło rzenie konia.

Kornet uniósł brwi.

- Konia macie? Dobrze wam się wiedzie - powiedział z podziwem.

- Nie mój. Na poczekaniu. Tak jak i wasze będą. Kilka ich nawet, łatwiej będzie w kupie chować.

- Na poczekaniu? A któż to wam je tu zostawił?

- A tacy byli, jakie dziesięć dni przed wami. Płacili dobrze. Łodzie dwie wzięli.

- Dziesięć dni? - Kornet wszedł szybko do obory i zaczął świecić na konie. Przywołał Marchołta i złapał go za kołnierz.

- Gdzie siodła ich? Pokaż! - rzucił sycząc przez zęby. Łagodny uśmiech, który gościł na jego wargach, rozpląnął się nagle jak mgła wygoniona porannym słońcem.

*

Kilka minut później na środku podwórca Kornet stanął przed swoim panem. Jedną ręką trzymał za kark Marchołta, w drugą piękne, czarne siodło. Rzucił je na ziemię i popchnął rybaka, który upadł z jękiem.

Wojownik kopnął czubkiem buta uprząż. Zapytał coś w obcym, zimnym, szwargotliwym języku. Kornet mu odpowiedział tym samym dialektem. Marchołt nakrył głowę rękami. Kornet złapał i uniósł go do góry, po czym, z łagodnym uśmiechem na twarzy, zapytał:

- Mój pan pyta o tych ludzi od siodła. Co wiesz o nich? Gadaj, co ci wiadome!

Marchołt kiwnął głową i zerknął w stronę lasu. Miał nadzieję, że rodzina była już w kryjówce. Martwił się tylko o syna, który został w chacie. Zaczął się modlić o to, by synkowi nie przyszło do głowy przychodzić mu z pomocą. Postanowił mówić wszystko, co tylko wiedział. Ratować głowę. I rodzinę.

◆◆◆

Kiedy Wulfstan odnalazł ujście rzeki, rozczepili tratwę na pojedyncze łódki i zaczęli kolejny mozolny etap wyprawy. Powoli las zaczął się zmieniać na wyższy i gdzieś widać było zwierzęta biegnące między drzewami. Czasem sarny stawały i patrzyły na nich pięknymi oczami, jakby ciekawość była silniejsza od lęku przed nieznanym. Dragiełło miał wtedy ochotę zadbać o zapas mięsa, strzelając z Adelajdy, lecz Wulfstan powstrzymywał go,

twierdząc, że gdy tylko spróbują się zatrzymać, sarny natychmiast umkną i znikną w listowiu, zanim w ogóle rycerz zdąży naciągnąć cięciwę. Nie pozostawało nic innego, jak zgodzić się z przewodnikiem. Gdzieś tam widzieli wielkie żeremia bobrowe, konstrukcje wznoszone z niezwykłym zmysłem inżynieryjnym, i omijali je z zachwytem, podziwiając zmyślność niedużych zwierząt.

- Tak i Skomand swój gród postawił na wodzie, tak i Skomand - dogadywał wtedy Wulfstan.

Wystarczyło zarzucić haczyk z przynętą, by bez trudu złowić rybę, rzeka była ich pełna. Co chwila jakaś wyskakiwała nad powierzchnię, łapiąc owady. Tych ostatnich latały całe chmary. Niektóre piękne, jak ważki i motyle, grały w słońcu kolorami skrzydeł, inne gryzły nieznośnie - tak że siatki wzięte z chaty bartnika okazały się nad wyraz potrzebne. Przepływali czasem przez tereny bagienne, nad którymi unosiły się całe roje niewielkich muszek i komarów. W najtrudniejszych chwilach kompania zatrzymywała się, by rozpalić ognisko. Żar uzyskany ze spalonych gałęzi wkładali do dymarek i obkładali świeżymi liśćmi. Po czym ruszali w dalszą drogę, ciągnąc za sobą siwe smugi dymu, kładące się nad wodą jak mgła.

Pośród połaci gęstego lasu rzeka czasem wpływała między łąki. Delikatne podmuchy wiatru wyrywały pyłek z kłosów traw, więc miało się wrażenie, że nad ukwieconą łąką unosi się niebiańska poświata, ruchliwa, złożona z setek mikroskopijnych, złocistych atomów.

*

W tej okolicy, pełnej niewielkich pagórków i łąk o trawach wyższych od człowieka, napotykali czasem na siedziby ludzkie, lauksy pruskie, usadowione tuż nad wodą. Dzieci z owych siół podbiegały na brzeg i machały do nich zachwycone. Wtedy Karlito odwracał się i wywracał oczami a one, widząc zarówno jego, jak i dwa jednorękie potwory, z piskiem uciekały do rodziców, skarżąc się na wodne monstra.

Nikt im krzywdy nie czynił. Raz zatrzymali się przy jednym z takich gospodarstw, prosząc o gościnę, ciepłą stawę i kawałek dachu na noc. Zapłacili złotem, więc gospodarz zaproponował im nawet łaźnię. Dragiełło i Wulfstan skorzystali chętnie. Łaźnia była uczyniona przy boku chałupy, trochę wkopana w grunt, ale na dachu pokryta korą jak szałas. Całe wnętrze miała obłożone płasko ciosanymi kamieniami, a pośrodku był piecyk wykonany z kamienia rzecznoego, rozgrzewanego ogniem.

Nie znać było po tych ludziach żadnej dzikości, a w chatach tych panował ład i dostatek. Gospodarstwa mijane stanowiły na ogół odrębną całość, złożone z kilku budynków i otoczone własnym ostrokołem.

Dragiełło nawet myślał, że kto zechce zdobyć te ziemie, jako to Krzyżacy mają w planach, ten niełatwą będzie miał robotę.

W jednym miejscu Wulfstan orzekł, że muszą porzucić bieg rzeki i dalej podróżować ścieżką leśną, aż dotrą do kolejnego szlaku wodnego. By to zrobić, musieli wynająć miejscowego przewodnika, który wiedział, kędy wiodą tajne drogi przez bagna, a także zapłacić za konie, na jakich transportowali łódki i bagaże.

Trakty owe bagienne stanowiły tajemnicę kilku lauksów zgromadzonych na danym terenie i za skorzystanie z nich trzeba było płacić. Wyglądały jak pomosty położone na wodzie, składały się z długich rzędów belek układanych jedna koło drugiej, tak że można było na nich stąpać, nie zapadając się w błoto. Ale często kryły się one pod cienką warstwą wody. Nawet stojąc przed takim traktem, człowiek nie orientował się, gdzie on jest - zdawałoby się, że to przestrzeń nietknięta ludzką ręką, pełna traw i czeluści błotnych.

Szli tedy pokornie za owym przewodnikiem, a tylko Karlito utyskiwał, że im niepotrzebny Wulfstan, jeśli muszą miejscowych zatrudniać. Starzec jednak słuch miał, jak wiadomo, kiepski, więc złośliwości garbusa nie słyszał.

Gdy przeszli ów odcinek do kolejnej rzeki, poczęli nią płynąć, w tym samym porządku co poprzednio: najpierw była łódź ze starcem, Dragiełłą i niewiastą, a jako druga płynęła dłubanka Karlita i braci Job.

*

Dni im się tylko poczęły zamazywać w tej podróży, tak każdy był podobny do drugiego.

Jeden zakręt rzeki przypominał poprzedni. Drzewo, co wisiało nad brzegami, wydawało się jednakie jak to, co dopiero pod nim przemknęli. Rąbali kolejne zawady na wodzie, a co i raz pojawiały się następne. Te same ptaki zrywały się do lotu, woda się mąciła podobnie pod żerdzią, te same pływały wodorosty i rześa wodna. Ogniska płóżyły ten sam dym, co wieczór, co rano mgła się unosiła nad rozlewiskami, krzyk czapli ich gonił, doganiał, wyprzedzał, biegał ktoś lasem, oczy jego jaśniały i nikły. Chlupot jednostajny mieszał się z biciem serc i galopem myśli, zrastał z ramionami i grzbietem, tak że gdy do snu się kładli, tak im się zdawało, że mięśnie się spinają do kolejnego wysiłku. Te same co dzień widzieli przed sobą plecy, te same barki naprężone, te same włosy na karkach położone.

*

Karlito wziął do rąk drewnianą miskę i zaczął wybijać na niej rytm kawałkiem patyka. Patrzył z dumą, niczym głównodowodzący okrętem, na Jobów, jak rzymski kapitan na niewolników wiosłujących na pokładzie galery.

Zadarł wysoko brodę i śpiewał do rytmu bębnienia:

- Raz i dwa. Raz i dwa. Głupki dwa. Płyną tam. Raz i dwa. Joby dwa. Płyną tam. I ja sam. Płynę tam. Raz i dwa. Cham i cham. Joby dwa. Raz i dwa.

Trudno wchodziły braciom Job żerdzie w wodę, ich kalectwo powodowało, że musieli trzymać je głównie jedną ręką, kikutem jeno się wspomagając.

Co i rusz wyciągali drągi z wiszącymi na nich wodorostami, które czepiały się drewna. Gdy żerdź była za ciężka, zanurzali ją, tak by oczyścić drewno.

Karlito śpiewał dalej, znudzonym głosem, gdy Niob uniósł w łapie kawał zielska zdjętego z żerdzi, po czym naumyślnie cisnął za siebie, tak że całość wylądowała na gębie karła. Wodorosty pacnęły go prosto w pysk, właśnie w chwili, gdy chciał krzyknąć „raz”.

Umilkł, zeszywniał i zadrżał z gniewu. Bracia Job zaś ryknęli śmiechem.

Ich rechot poniósł się tak głośno, że przed nimi zerwały się do lotu dwie czaple. Zatoczyły koło i usiadły na gałęzi sterczącej z wody. Patrzyły na łodzie z idiotycznym uśmiechem jak na ryby, których jeszcze nie można złapać, lecz w końcu staną się ofiarą, gdy będą już wystarczająco zmęczone.

- Co tam? - krzyknął Dragiełło, odwracając się w tył.

- Wodnik, panie! - krzyknął Niob.

- Wodnik! Wskoczył nam na łódź!

Garbus ściągał z twarzy wiązkę śmierzącego podwodnego zielska.

- To bunt, panie! Bunt zezwierzęconych łotrów! Dokąd dopłyniemy, jeśli nam przyjdzie ze zdrajcami podróżować?

W dwóch palcach przeniósł za burtę łodzi wodorosty, które zdjął z nosa. Potem się ocknął. Być może drzemał. Bracia Job odpychali łódź, nucąc pod nosem jakąś piosenkę, której nie pojmował.

- Czego śpiewacie rzeczy, jakich nie rozumiem, czego? - spytał ich, ale tylko się uśmiechnęli.

*

Dragiełło myślał o piasku. Czasem w wodzie błyszczał piasek i wtedy rycerz miał ochotę wskoczyć i zanurzyć w nim stopy, pogrzebać palcami w złocistym podwodnym pyłe. W łodzi bywało gorąco, nad zielenią bagien i moczarów powietrze stało ciężkie, wilgotne, zatechłe. Pamiętał gorąc piasku pod sandałami, pamiętał, jak parzy, gdy zdjąć but i położyć stopę na pustynnej drodze. Pamiętał, jak niewielkie ziarna doprowadzały go szału w marszu, jak stawał przy drodze, wysypując pył z obuwi. Sycylijscy rycerze, poddani cesarza Fryderyka, matki jego Konstancji, robili to samo - siadali i wysypywali piach z butów.

Dostawał się wszędzie, pod kołnierze, za paski uzbrojenia, do rękawic, pod hełmy i stawał się najokrutniejszym przeciwnikiem. Gorszym niż Saraceni, których nie było widać. On był ciągle. Bez przerwy dręczył. Teraz nagle wydawał się przyjazny. Dragiełło zaczął marzyć o odpoczynku nad wodą i zanurzeniu nóg w strumieniu, tak żeby stopy włożyć w ten mokry, podwodny piasek rozświetlony słońcem.

Wbijał w niego drag, rozwierał i pchał łódź o kolejne metry, o kolejny zakręt na rzece, o kolejne rozlewisko.

*

W końcu dotarli do jeziora z kilkoma wysepkami pośrodku. Wulfstan powiedział, że nadszedł kres drogi wodnej i dalej muszą się poruszać lądem. Całość dobytku trzeba było spakować tak, by się zdało go nieść na plecach. Łodzie schowali wśród gałęzi wielkiego dębu rosnącego nad samą wodą, a stary przewodnik wyrąbał na nim znak, by móc odnaleźć dłubanki w drodze powrotnej.

Kazał im założyć na nogi onuce chroniące od kolców, za pas zatknąć noże, włosy związać i schować pod kaftan. Wyciął w lesie kij podróżny i im radził zrobić to samo.

Po czym zebrał ich przed sobą i rzekł:

- Dotąd żeśmy szli po świecie ludzkim. Teraz zajrzycie do innego.

- Cóż to znaczy, mój panie? - jęknął karzeł strwożony, łapiąc Dragiełłę za rękaw.

- Nie bój się - odparł spokojnie rycerz - nas prowadzi Święta Panienska. Póki jej się oddajemy w opiekę, poty nam nic nie grozi. Nawet lęki starego człowieka. Niech będą jego lękami. Zostaw sobie swój strach dla siebie, Wulfstanie, i prowadź nas dalej. Tak jak się tego podjąłeś.

Wulfstan odwrócił się z uśmiechem i wskazał laską cienką dróżkę prowadzącą w las.

- Idźmy zatem - powiedział i postawił pierwszy krok.



ROZDZIAŁ XI

Lipiec 1238



Na moście prowadzącym do zamku panował potworny ścisk. Dziesiątki Karludów tłoczyły się, popychając, klnąc, wzniecając tumult i łomocząc stopami w belki pomostu. Między nimi pojawiali się ludzie z innych stron: Natangowie w czapkach z bobrowych skór, Sambowie w hełmach zdobionych rybimi ornamentami, Bartowie z koszami na plecach, Galindowie w swoich śmiesznych butach o wielokrotnie zawijanych brzegach cholew, Warmowie z włosami plecionymi w warkocze, Pogezanie i Pomezanie w sukniach strojnych, barwnych. Szły tam całe rodziny z różnych lauksów: kobiety dzwoniły ozdobami wiszącymi na szyjach, nadgarstkach i kostkach nóg, dzieci czepiały się nogawic lub siedziały na barkach rodziców, ojcowie zaganiali swe stadła, by nie zgubić się w tłumie, a między tym wszystkim skakały psy, szczekając i czyniąc jeszcze większy jazgot.

Część ludzi szła w stronę zamku, inni wracali, nie wpuszczeni do środka przez strażę, a to potęgowało bałagan, bo co chwila ktoś na kogoś wpadał, wywracał się, a nawet spychał do wody: most nie był na tyle szeroki, by pomieścić taką ciżbę.

Naczelnik od Skomanda wysłał paru konnych dla zaprowadzenia porządku, jednak nic to nie dało - wierzchowce spłoszyły się na kładce i stratowały kilka osób. Tak też i z tego zrezygnowano. Jedynie przy wejściu na most, biegnący z brzegu jeziora aż na środkową wyspę, ustawiono dwie wysokie wieże strażnicze, z których szczytów wykrzykiwano w różnych językach, że do środka zamku wejdą tylko nieliczni, reszta zaś ma się rozlokować w obozowiskach przewidzianych dla poszczególnych plemion na całej linii brzegowej jeziora. Na dary przynoszone dla księcia Jaćwieży ustawiono specjalne kosze u bram, lecz żaden prezent nie był gwarantem wjazdu. Do środka wpuszczano jedynie nobilów z niewielkimi orszakami. Wodzowie plemion, którzy uzyskali poparcie własnych wieców, pokazywali na znak udzielonej władzy laski i totemy, a urzędnicy Skomanda kierowali ich do odpowiednich budynków i komnat wewnątrz zamku. Otrzymywali tam własne pomieszczenia i służbę, gotową spełniać ich życzenia i pomagać we wszystkim.

*

Jeruzalem zatrzymał się. Małpka pisnęła na jego ramieniu. Karlud pchnął go w plecy, lecz Szalbierz zaparł stopy i chłonał widok, który nagle roztoczył się przed jego oczami. Droga, która wcześniej wiła się wśród bagiennych rozlewisk, teraz prowadziła na niewielki wzgórek i można było z niego ogarnąć wzrokiem całe jezioro z rozłożonym po bokach miastem, wyspą i zamkiem pośrodku oraz długim mostem prowadzącym przez wodę.

Karludy pilnujące niewolników, przeznaczonych na dar dla Bliznobrodego, także stały zafascynowane widokiem. Był on niebywały i zaskakujący dla plemion żyjących w leśnej głuszy. Ci, którzy dochodzili do tego miejsca, z zapartym tchem patrzyli na miasto, jakiego nigdy nie widzieli i w dodatku nie spodziewali się ujrzeć pośrodku gęstej i rozległej puszczy.

Nawet Jeruzalem, bywały w świecie, miał oczy pełne podziwu i zaskoczenia.

Miasto - wiele chat, zabudowań gospodarczych, targowisk, straganów, warsztatów, karczm i namiotów stawianych obecnie dla przybywających gości - wrzało dalekim gwarem. Ponad strzechami unosiły się strużki dymów, w ciasnych, chaotycznie rozrzuconych uliczkach pojawili się najróżniejsi handlarze, z krzykiem zachwalający swoje produkty, na rusztach smażyły się mięsiwa, strugami lało się piwo i miód. Wiec ponadplemienny był okazją do wielkiego handlu - wraz z przedstawicielami plemion, mającymi brać udział w obradach i głosowaniach, przybyła cała masa ciekawskich i żądnych rozrywki ludzi. Mężczyźni szukali cielesnych przyjemności, próbując dobrego jedzenia albo i siadając przy ławach, by w wesołej kompanii wychylać kolejne dzbany dobrych trunków, zaś kobiety znajdowały radość w szperaniu w kolorowym, różnorodnym towarze: przymierzały kolczyki, dotykały bursztynu oprawianego w metal, sprawdzały czernidła do brwi i rzęs.

Pośrodku jeziora, na ostrowie, stał zamek Skomanda. Duma Bliznobrodego i widomy znak jego siły. Budowa rozpoczęta została jeszcze przez jego ojca, a kolejne wiece uznawały, że trzeba ją kontynuować. Bliznobrody otrzymał władzę od wiecu po śmierci rodziciela, a przychylność zgromadzenia uzyskał za pomocą sprawnej polityki wewnętrznej - w której pierwsze miejsce zajmowało złoto wręczane nabilom, a drugie trucizna, groźba i strach. Nie zdobył się wprawdzie na całkowite zlikwidowanie roli własnego wiecu, ale też trzymał go całkowicie w garści. W roli jaćwieskiego kapłana obsadził swojego człowieka, Trybunta, który był narzędziem w jego ręku. Wszelkie wyrocznie wskazywały więc, że bogowie ukochali Bliznobrodego i on jedynie może Jaćwież prowadzić do świetlanej przyszłości.

Potężna warownia zbudowana na wyspie stała się pieczęcią gwarantującą władzę księcia. Opornym łamała kark samym widokiem, wielkością i majestatem - podobnie jak katedry w państwach zachodu, które swym ogromem pokazywały wiernym, że ci są jedynie mrówkami wobec siły Kościoła Świętego na tej ziemi.

Jeśli człowiek musi zadrzeć głowę, jego kark mimowolnie się zgina. Łatwiej rządzi się ludźmi o zgiętych karkach.

Zamek wznosił się wysoko ponad wodami - jego dolną część stanowiły wały kamienno-ziemne. Na nich położony był pierwszy rząd murów, o konstrukcji skrzyniowej,

takiej jak w krzyżackich twierdzach. Ten pierścień murów był oznaczony dużymi wieżycami o kwadratowym przekroju - ich podstawy były zbudowane z kamieni spojonych wapnem, a górne części skonstruowane zostały z drewna. Przez środek jeziora prowadził do zamku bardzo długi most, na dziesiątkach pali wbitych w dno. Kończył się częścią zwodzoną, którą można było unieść w razie najazdu. W wypadkach ciężkich most był przygotowany do spalania, w jego bokach ukryto nasmołowane wiechcie, które umożliwiały natychmiastowe zajęcie się płomieniem. Most prowadził do bramy - stanowiącej niespotykane na terenach pruskich dzieło inżynierów i budowniczych. Była ona właściwie oddzielnym barbakanem, umożliwiającym zgromadzonej weń załodze obronę. Dwie drewniane kraty, opuszczane na łańcuchach, zostały naciągnięte na sprawne mechanizmy kołowe, a na całej długości poprzeczek przybito metalowe okucia. W ścianach znajdowały się liczne otwory strzelnicze, z których można było razić napastników strzałami, kamieniami lub wylewać na ich głowy gorącą smołę.

Wewnątrz tego pierwszego pierścienia murów znajdowały się kuźnie, oberże, baraki drużyny wojskowej, która stanowiła jedyny w Prusach przykład wyspecjalizowanego wojska, a także zabudowania świąt, służby i rzemieślników potrzebnych dla funkcjonowania tego serca grodu. Centralnym punktem był zamek. Zbudowany na naturalnym wzniesieniu skał wapiennych, górował nad okolicą. Wejście do niego prowadziło przez wielki otwór bramny i tunel wykuty w skale. Z wewnętrznego dziedzińca, wyłożonego kamiennymi płytami, rozchodziły się liczne korytarze. Niektóre prowadziły do lochów i podziemnych przejść, a drzwi do nich były zamykane na mocne zasuwki. Reszta zamku, zbudowana z drewna, wznosiła się wysoko na kilka pięter. Wokół dziedzińca wiły się krużganki, którymi można było wejść coraz wyżej i stamtąd spoglądać w dół jak na dno studni. Dookoła pięł się system drewnianych schodów, stanowiący dwie naprzeciwległe spirale. Nad trzema piętrami głównej części zamkowej górowała wieża. Na jej szczycie prowadziło ponoć tyle stopni, ilu przodków miał Skomand.

Kiedy Bliznobrody stał na górnym tarasie wieży i widział nad głową łopoczący sztandar z wilkiem wyhaftowanym złotą nicią, wtedy wydymał dumnie wargi i mrużył oczy. Daleko, po horyzont ciągnęła się puszcza. Zamek i miasto zdawały się być okrętem w bezkresnym morzu drzew, a Skomand kapitanem stojącym na rufie i wydającym rozkazy żeglarzom. Pod jego stopami rozciągało się jezioro, cienka kreska mostu, mrówki ludzkie, śpieszące w różne strony i miasto rozłożone na brzegach.

Patrzył z sercem pełnym pychy na tę stolicę puszczy, na jaćwieskie centrum świata i wypowiadał głośno jej nazwę: Sudovia...

A w jego głosie było coś takiego, jakby cesarz italski, patrząc na Wieczne Miasto, mówił do siebie: Rzym.

*

- Sudovia - szepnął Jeruzalem - a więc Wulfstan gadał prawdę...

- Dalej! - wrzasnął Karlud i smagnął go w plecy witką wierzbową. Szalbierz splunął w piach i zaczął iść. Razem z nim ruszyli też pozostali niewolnicy z jego grupy. Mieli nogi obwiązane rzemieniem, tak że drobili dziwnie, stopa za stopą, pochylając plecy. Ręce przywiązane mieli do drągów idących na barkach, a każda grupa niewolnych, złożona z czterech osób, musiała kierować się wspólnie, kłaść razem na spoczynek i nawet razem oddawać mocz.

Gdzieś z tyłu dobiegł go kwik małpki trzymanej w klatce. Rzuciła się w niej i próbowała wydostać. Karlud dziobał jej ciało zaostrozonym kijem, żeby ostudzić wrzaskliwość makaka. Jeruzalem obejrzał się w jej stronę, ale nie mógł nic dojrzeć. Droga właśnie zaczęła opadać. Szli w stronę mostu. Ich grupa wyglądała dziwnie, z tej racji, że oprawcy sięgali ofiarom do pasa. Ciągnęli niewolników jak wielkie krowy z pastwisk do domostwa albo jak dzikie potwory schwyte w dalekich krajach.

- Za-za-zabijają naa-as - wyjąkał chudy mężczyzna przywiązany do żerdzi tuż za Jeruzalemem.

- Co za głupoty gadacie? - odrzekł mu ten, który szedł jako trzeci - Lepiej pod nogi uważajcie, żebyśmy wszystkie na gębę nie poleciecieli.

Obaj pochodzili z Mazowsza, z jednej wsi leżącej na obrzeżach Galindii, znali się więc dobrze i często gadali w drodze. Ten, co szedł za Szalbierzem, nie był mocnego ducha, a jego jąkanie jeszcze się wzmagało, gdy co mocniej przeżywał.

- Neeee głu-u-poty, ino nas po-o-zabijają, p-psie juchy.

- Nie jākaj, Stachu, nie jākaj, nie zabijają nas - przekonywał sąsiad. - Po cóż by mieli nas zabijać? Na niewolnych nas ciągną. One tak robią. Chwycą i na niewolnych biorą. Jakby nas mieli zabić, to by już nas potłukli. To po to by nas ciągały te karły, żeby ubić?

- U-u-biją - Stachu szedł, jęcząc i pociągając nosem - na o-o-fiarę za-a-abiją. Na ka-a-mieniu ofiarnym. T-a-ak bę-ędzie. Zo-o-baczysz.

- A co ty już wymyślasz, Stach, co wymyślasz, byś dał pokój. - Twarz chłopca się zasepiła. Krążyły opowieści po wsiach przecie o tym, jak Prusy ludzi na ofiary w lesie zabijają, krew ich sączą do mis wydrążonych w głazach wielkich.

- Ta-a-ak czu-u-uję, Le-e-szku, tak czu-u-ję.

- Jeeegh! - wrzasnął nagle pilnujący ich Karlud i zdzielił po głowach kijem. Zamilkli. Z przodu ich pochodu dał się słyszeć krzyk dowódcy. Kolumna z jeńcami zatrzymała się.

*

Wśród ludzi, przy samym wjeździe na most, pojawiło się kilku konnych. Dowodził nimi Jaćwięg w hełmie z ochroniaczami na oczu i niewielkim nosalem. W ręku trzymał włócznię ozdobioną czerwonymi piórami przy nasadzie grota. Wymachiwał nią, by skierować ludzi na boki. Nadbiegło jeszcze kilkunastu pieszych żołnierzy - wszyscy ustawili się przy wjeździe na most, tworząc przegrodę. Naczelnik wojskowy Bliznobrodego stwierdził, że panuje tu zbyt wielki bałagan. Postanowiono więc, że strażę będą puszczać dalej tylko tych, którzy otrzymają wejście do twierdzy. Reszta ma się rozlokowywać na obrzeżach Sudovii. Cofnięto ludzką, chaotyczną rzekę, a konni zaczęli rozdzielać ją na dwie strony i pomagać w odnalezieniu kierunku.

Kolumna z jeńcami karludzkimi czekała na swoją kolej i rozkaz od oficera jaćwieskiego. Ten, wrzeszcząc i wywijając włócznią, podjechał w końcu też do nich. Zadał pytanie dowodzącemu Karludowi i już chciał puścić dalej, gdy pojawił się goniec. Dopadł do Jaćwięga, konia w miejscu wstrzymał, aż ten się kopytami zarył. Oficer wysłuchał wieści, po czym wrzasnął komendy i strażnicy zaczęli czyścić drogę na most, spychając tłum na bok włóczniami. Kolumnę jeniecką także zepchnięto na trawę obok traktu. Z tyłu, od strony lasu dał się słyszeć dźwięk bębna. Ktoś uderzał w niego rytmicznie, jakby ogłosić chciał, że nadchodzi znamienity gość i drogę trzeba mu dać.

Stachu i Leszek wyglądali zza pleców Jeruzalema, by zobaczyć, dla kogo to Jaćwięgi szykują przejście.

Po chwili zza drzew wyjechał pierwszy konny, a za nim następni na niewielkich, krępych wierzchowcach. Zaraz za prowadzącym pokazał się muzykant z bębniem przewieszonym przez łęk siodła. Uderzał w niego niewielkim trzonkiem z gałką na końcu. Jeźdźcy uformowani byli w zwartą kolumnę czwórkową, a szli tak równo, że aż dziw brał, że się żaden koń na bok nie rzuci, nie odskoczy.

Jakby jeden wąż złożony z ludzi i wierzchowców pełznął piaszczystą drogą, wsuwał się na wzniesienie i dalej zjeżdżał jak jedno cielsko w stronę wody.

Ludzie ci mieli twarze sine, o karnacji niespotykanej ani wśród Słowian, ani wśród ludów nordyckich, ani w świętym Cesarstwie Rzymskim. Nawet Saraceni nie byli im podobni. Bura barwa była w tych jeźdźcach, jak ziemia stepowa, jak pył. Mocno wystawały im kości policzkowe, a twarze mieli szerokie, z oczami rozpląszczonymi jak u jakiegoś stwora bagiennego. Wąsy nosili długie, czarne, niektórzy brody cienkie, na brzuch zwisające,

na głowach ich sterczały w niebo czapy dziwnie naostrzone - prawie śmieszne. Odziani w kaftany, gęsto szyte nicią, obciążone płytkami rogowymi, twarde jak zbroja, ale nadające im wygląd jaszczurów jakich. Na plecach każdy miał niewielką tarczę, a przy siodle łuk wygięty na końcach i komplety strzał do niego przytroczone. Pierwsza czwórka niosła nad sobą, powiewające włosiem, buńczuki*. Jechali w milczeniu, a żaden nawet nie spojrzął na bok, na ludzi stojących przy drodze i patrzących z podziwem. Gdy się znaleźli na wysokości grupy niewolników karludzkich, to się Stachu z Leszkiem wychylili mocniej, gapiąc się na buty wojowników. Akurat na wysokości oczu przesuwały się kolejne strzemiona i wsunięte w nie skórzane, niespotykane nigdzie w polskich księstwach, owe buty ze skóry czarnej uczynione, mocnym ścięciem kolorowej nici złapane, wyszywane w skomplikowane wzory i z noskami wysoko zadartymi.

- Patrz, Stachu, jakie buty mają, jak te noski w górę idą! - rzekł Leszek, łapiąc swego ziomka za ramię.

- To żeby noga się ze strzemienia nie cofnęła - odwrócił się nagle do nich Jeruzalem.

- A ty co? Co słuchasz nasze gadki? Jeszcze komu doniesiesz! - warknął mężczyzna.

- O-on do-o nich ja-ak żywię po-o-dobny! Ja-ak żywię! - szybko dorzucił Stach, przyglądając się twarzy Jeruzalema.

Szalbierz odwrócił się i splunął na ziemię.

- Prawda! - Leszek poruszył całym drągiem.

- Ty-yś od tych dzi-iwaków? - rozległo się pytanie tuż za uchem atlety.

Jeruzalem skrzywił się ze złości i łokciem ugodził w pierś jękającego się niewolnika.

- Aaaaj! Co-o? Cze-ego? - załkał Stachu.

W tej chwili wszyscy trzej poczuli smagnięcia witki na plecach. Porządek zaprowadzał pilnujący ich Karlud.

- Ne gwar! - wrzasnął na nich.

Całe to zamieszanie zwróciło uwagę jednego z mijających ich jeźdźców. Jego spojrzenie zatrzymało się na Jeruzalemie. Oczy mu się rozszerzyły, potem zmrużył je w dwie szparki i okręcił się na siodle, by dłużej przyjrzeć się twarzy niewolnika. Szalbierz także patrzył prosto w jego oczy. Ich wzrok spotkał się ponad tłumem. Jeździec pochylił się do wojownika jadącego obok i coś mu rzekł. Tamten obrócił się, by obejrzeć Jeruzalema. Kolumna jednak posunęła się dalej. Kurz uniesiony spod końskich kopyt zasłonił widok, obaj konni stracili z oczu niezwykle wyglądającego karludzkiego jeńca.

Za wojownikami, w odstępnie kilku metrów, posuwała się grupa trzech znamienitych postaci - dowódców lub posłów. Ci mieli na sobie wyszywane złotymi nitkami długie

płaszcz, a ich czapki obramowane były frędzlami i cienko plecionymi, srebrzystymi sznurami. Na dłoniach błyskały pierścienie.

Dalej jechali słudzy z tobołkami, a na szyi każdego z nich wisiała piszczałka wykonana z barwionej kości.

- A-ale cu-udaki! - nie mógł się opanować jąkała.

- Nie gadaj! - szeptem uciszył go trzeci.

Nawet i czwarty chłop, do tej pory milczący, a zamykający ich żerdź, syknął, by się przymknęli.

Nadeszła kolej na wozy z darami. Wszystkie miały jeno dwa, lecz wysokie na wzrost człowieka koła i długie dyszle, do który zaprzężone były parami, także same niewielkie, krępe konie, jakich używali wojownicy. Na koźle pierwszego wozu tkwił grubas o uśmiechniętym obliczu i podkręcał węża. Za nim na ławach siedziały kobiety, ubrane w strojne suknie i ozdobione srebrzystymi obręczami założonymi na szyje. Patrzyły przerażone na mijany tłum stojący po obu stronach drogi. Niektórzy coś poczęli do nich krzyczeć, lecz zaraz uciszyli ich karludscy strażnicy.

Wtem z tyłu, od strony nadjeżdżających dopiero na wzniesienie wozów, dał się słyszeć ryk. Ryk tak potworny, głęboki i silny, że ludzie cofnęli się o krok. Z napięciem patrzyli, co się ukaże na wzniesieniu.

Po chwili ze skrzypem osi wtoczył się na górkę wóz, który na dużej ramie miał zamontowaną wysoką klatkę. W środku, kolebiąc się w takt kolein nierównej drogi i ocierając się o pręty, chodziło olbrzymie, rudawo-czerwone zwierzę. Był to niespotykanej wielkości kot, z białym podbrzuszem, futrem gęstszym po obu stronach pyska i czarnymi pręgami na bokach. Toczył morderczym spojrzeniem po mijanej okolicy, a jego ogon uderzał to o jego boki, to w drążki, z których zbudowano klatkę. Ryknął znów, a basowy ton tego głosu ciarkami przeleciał po plecach stojących ludzi.

- Co-o za be-estia! Z pie-e-kła chyba! - płaczliwym głosem wyjąkał niewolnik za plecami Jeruzalema.

- Z piekła, dobrze prawisz. Bóg takich by na świat nie stwarzał! - dodał jego krajan.

- Tygrys! - rzucił przez zęby Jeruzalem.

- Co-o rzekłeś? Jak? Zna-asz tego po-o-twora? Gdzie-e-żeś go widział?

- To się możecie, po prawdzie, bać o życie - Szalbierz odwrócił się do stojących obok, ze zjadliwym uśmiechem na wargach.

Już nic nie rzekli, tylko się w sobie bardziej skulili.

Na kolejnym wozie jechała taka sama bestia. I ten tygrys toczył wściekłym wzrokiem po ludziach, krążąc po klatce z półotwartym pyskiem, w którym błyskały zaślinione kły. Miał przerażające, mordercze spojrzenie, jakby w jego łbie błąkała się myśl o spotkaniu z gapiami, które trzeba odłożyć na później. Ale które się odbędzie. Na pewno się odbędzie.

Tygrys znalazł nagle w tłumie oczy Jeruzalema, świdrujące go z wewnętrznym płomieniem bijącym ze źrenic. Zwierz ryknął. Szalbierz splunął na ziemię.

*

Na środku areny stał stół. Ludzi ustawiono w rzędach, na piasku. Osobno kobiety, osobno mężczyzn. Tych ostatnich też posegregowano. Ci mniej muskularni, chudsi bądź starsi zostali ustawieni w jedną grupę, a młodszy, zdrowi i umięśnieni w drugą. Za stołem siedział gruby urzędnik książęcy, odziany w zwiewną purpurową szatę, bransolety z brązu, opinające tłuste ramiona, i sandały z wąskimi rzemieniami oplatającymi łydki. Na głowie miał czapkę wykonaną z lisiego futra, na której obrzeżach błyskały żółcią poprząsywane bursztyny. Razem z niedźwiedzią skórą założoną na plecy i pasem o wielkiej sprzączce tworzyło to całość tak groteskową, że niektórzy niewolnicy, choć złęknieni czekającym ich niewiadomym losem, śmiali się pod nosem. Tłusty mężczyzna wstał. Zabrzęczał wielki medalion, wiszący na łańcuchu w taki sposób, że sterczał jak huba na opasłym drzewie. Był to ozdobny, metalowy talerz, łup z którejś wyprawy książęcej. Roślinne zdobienia pokrywały cały brzeg owej miski i pewnie dlatego przedmiot ten zyskał takie uznanie u swego właściciela.

Urzędnik powiódł wzrokiem po stojących ludziach, wyciągnął rękę i zdecydowanym ruchem uciszył wszystkie szepty i rozmowy.

- Psy niewolne! - krzyknął, a jego głos poniósł się echem, odbijając się od wysokich, drewnianych ścian.

Jeruzalem stał w grupie młodszych mężczyzn i rozglądał się. Rozcierał nadgarstki, tak jak to czyniła większość więźniów. Już dwa dni wcześniej Karludy odczepiły ich od drągów, a teraz gdy zostali przekazani w darze ludziom Bliznobrodego, zdjęto im także więzy krępujące ruchy rąk. Pozostawiono tylko rzemienie pętające nogi. Jeńcy zostali spędzeni jak bydło na środek placu wysypanego piaskiem. Arena ta była środkiem wysokiej na dwa piętra budowli o elipsoidalnym kształcie. Widownia, złożona z kolejnych rzędów drewnianych ław położonych coraz wyżej, zasłaniała widok na zewnątrz. W jednym miejscu znajdowało się wzniesienie, odrębna trybuna, z wielkim siedziskiem honorowym i rozpiętym nad nim baldachimem. Jeruzalem syknął i splunął na piach.

- Posłuszeństwo! - wrzeszczał urzędnik. - To jest pierwsze słowo, jakie powinniście zrozumieć i dobrze zapamiętać.

- Postawa! To drugie słowo, jakie musicie wbić sobie do głów! - kontynuował, tocząc po nich zimnym spojrzeniem - postawa wyrażająca pokorę i to, co już zapamiętaliście - posłuszeństwo! Taka postawa, która wyraża szacunek dla nowego pana!

Tłuscioch wiódł po nich oczami, pełnymi przyjemności wynikłej z posiadania władzy nad innymi istotami ludzkimi. Sięgnął po puchar stojący na stole i napił się. Otarł pot z czoła, jakby upał tylko jemu miał się prawo dawać we znaki.

Potem gadał dalej, a jego słowa docierały do Jeruzalema jak zza grubej ściany, głuche i dudniące, zupełnie nierealne. Urzędnik wyjaśnił, że zgromadzeni ludzie utracili swe dawne prawa, a nowe szczęście mają odnaleźć w służbie u Skomanda Bliznobrodego, księcia Jaćwieży i cesarza puszczy. Na koniec rzekł, iż nazywa się Jada i jako nadzorca wszelkiej służby stanie się dla nich ojcem i matką.

Usiadł i wypił do końca zawartość pucharka. Nie zdejmował jednak lisiej czapy, mimo iż z nieba lał się żar, a po jego czole spływały strużki potu. Najwyraźniej to nakrycie głowy było dla niego tym, czy mitra dla księcia, wszem i wobec świadczyło o jego pozycji i majętności. Machnął od niechcenia tłustą łapą, aż zabrzęczały wiszące na nadgarstku bransolety.

Rozpoczęła się segregacja niewolników i przydzielanie ich do różnych grup i zajęć. Kolejne osoby podchodziły do stołu. Tam zadawano pytania. Czasem Jada zaglądał w zęby, badał twardość mięśni, kazał sobie chuchnąć w nos czy też stukał kijkiem w plecy, by sprawdzić odporność na ból. Innym razem wsłuchiwał się ze słodką miną w śpiewaną pieśń. To znowuż ze złością walił pięścią w blat stołu i pluł w twarz temu, kogo uznał za kłamcę.

Gdy nadeszła kolej na grupę młodych mężczyzn, w której stał Szalbierz, z wejścia prowadzącego na arenę wjechał na piasek wóz ciągnięty przez dwóch osiłków. Leżała na nim wszelka broń - krótkie miecze, topory, parę wekier*, kiścieni, włócznie, niewielkie tarcze drewniane o żelaznych okuciach, hełmy, łańcuchy, młoty bojowe, a także różnych rozmiarów kije i pałki. Pojawił się też mężczyzna z koszem instrumentów, który prowadził na długim, cienkim łańcuszku małpę.

- Gigi! - wyrwał się z gardła Szalbierza krzyk. Makak zaczął piszczeć i skakać, bybiec w stronę swego pana. Został jednak skarcony kopnięciem, więc skulił ogon i usiadł na piasku, kręcąc nerwowo główką.

Strażnicy wyciągnęli z szeregu dwóch mężczyzn i rzucili im pod nogi pałki i tarcze. Kazali walczyć. Niewolnicy, początkowo niepewnie, a potem z większym animuszem,

poczęli wymieniać ciosy. Jeden z nich miał doświadczenie wojenne - jego nogi ugięły się lekko, ręka z tarczą osłaniała przed uderzeniem przeciwnika, druga zaś czekała na odpowiedni moment do wyprowadzenia natarcia. Drugi nie miał pojęcia o władaniu bronią, zaczął machać szaleńczo kijem jak cepem. Młócił nim z wysiłkiem, waląc raz po raz w tarczę przeciwnika. Tamten tylko czekał, zasłonięty drewnianym szczytem. Pracowały jeno stopy zmieniające pozycję i ramię dostosowujące kąt nachylenia tarczy. W pewnej chwili młócka zapalczego młodzika ustała, zmęczył się, zmachał, zadyszał i musiał cofnąć się o parę kroków. To wystarczyło, by otrzymał dwa ciosy decydujące o jego porażce. Pierwszy wymierzony był w głowę - i chociaż człowiek zasłonił się tarczą, to kolejne uderzenie, w nogi, powaliło go na arenę. Upadł zwijając się z bólu.

Jada zaklaskał i podszedł do zwycięzcy. Złapał go za rękę i uniósł do góry.

- Oto człowiek godny bycia wojem w drużynie księcia!

Potem wskazał palcem na pokonanego i krzyknął tak wyraźnie, by wszyscy słyszeli, że ten będzie przeznaczony do ciężkich prac.

Kolejnych dwóch stanęło na piasku. Tym razem pojedynek był zacięty, obaj potrafili dobrze władać pałką, a że byli słusznego wzrostu i muskulatury, to i walka robiła wrażenie. Zmagali się w pocie czoła, w milczeniu, raz za razem wyprowadzając ciosy, zasłaniając się tarczą, robiąc uniki. Nie było rozstrzygnięcia. Więźniowie zaczęli pokrzykiwać dla dodania im animuszu, lecz oni w końcu, zmęczeni, musieli odskoczyć od siebie, by nabrać oddechu. Po ich czołach płynęły strugi potu, łaskocząc oczy, wpływając w brody i kapiąc na rozgrzany piach areny.

Strażnicy Jaćwiescy wręczyli obu krótkie topory. Teraz dopiero pojedynek stał się ciekawy, zawisło nad nim widmo krwi, a nie tylko potłuczonych kości. Na znak dany do walki stanęli naprzeciw siebie jak dwa koguty. Topory zadudniły na tarczach. Walczący nabrali jednak ostrożności i respektu. Żaden nie chciał zbyt ryzykować i odsłonić się. Więcej krążyli wokół siebie. Czasem stuknął topór, odpowiedział mu drugi i znów następowało milczenie. Jeno łydki przeżyły się, błyszcząc w słońcu, gdy zataczali kolejne kręgi, wzbijając wokół obłoczki kurzu.

Nagle jeden z nich zdecydował się na atak. Rzucił się na przeciwnika, nie biorąc zamachu toporem, a pchając tarczą. Oba szczyty zderzyły się z trzaskiem, lecz natarcie nie przyniosło skutku - drugi niewolnik wytrzymał uderzenie, nie wywrócił się. Chwilę mocowali się. Odpuścili, znów się zwarli, aż jeden z nich spróbował cięcia dołem. Schylił się, lecz nie trafił. Topór przeszył powietrze. Obrońca odpowiedział ciosem. Ostrze jego topora zatoczyło łuk i byłoby roztrzaskało pochyloną głowę, gdyby nie rozpaczliwy, uczyniony olbrzymim

wysiłkiem woli unik. Wojownik odgiął szyję. Topór przeleciał tuż obok twarzy. Trysnęła krew, a na piasek poleciał kawałek ucha.

Jada wrzasnął, by natychmiast przerwać walkę. Bardzo zadowolony, stukając palcami w wiszący na brzuchu talerz, podszedł do walczących i kazał obu udać się na ławkę dla tych, co byli przeznaczeni do drużyny księcia.

Następna para była przeciwieństwem poprzedniej. Niezdarność ruchów, anemia uderzeń, rozbiegane oczy i drżące kolana, wprawiły w wesołość wszystkich oglądających. Najgłośniej śmiali się strażnicy. Jeden z owych mężczyzn postanowił jednak wykazać inne umiejętności. Poprosił o podanie fletu. Gdy zaczął grać, na twarz Jady wpłynął szeroki uśmiech, tak jakby dźwięki tej muzyki były dla niego najwyższą rozkoszą. Grajek uzyskał przydział do służby w bezpośredniej bliskości księcia. Drugi nieszczęśnik został wyznaczony do ciężkich prac.

*

Nadeszła kolej Jeruzalema. Wypchnięto go z szeregu i wręczono pałkę oraz tarczę. Uchwycił je mocno i stanął pośrodku areny. Przeciwnik, wyższy o głowę mężczyzna o ponurym spojrzeniu i dużej, kwadratowej szczęce obrośniętej rudawym zarostem, chwycił kij lewą ręką, zaś do prawej wziął drewniany szczyt obciążony skórą. Uśmiechnął się z emocji. Szalbierz splunął na piach.

Podeszli do siebie. Mężczyzna o rudych włosach zbliżył tak bardzo, że prawie dotknęli się nosami. Syknął:

- Po co się męczyć? Jak nie chcesz, żebym cię obił, sam zgłoś się do ciężkich robót.

Szalbierz uśmiechnął się. Nie spuścił oczu. Tylko zwięzły mu się powieki.

- Jak cię zwą? - rudzielec nie odpuszczał.

- Jeruzalem.

- Ja jestem Damast. Imię mam jak stal. Zbiję cię - sączyły się słowa z wygiętych ust.

- Dobrze - Szalbierz uśmiechał się kącikiem ust i dodał - głupcze.

- Coś powiedział?

- To, co słyszałeś.

Damast zgrzytnął zębami.

Jada uniósł się za swojego stołu, przechylił i przyłożył dłoń do świecących od jakiegoś pomady ust:

- Co za gadanie? Do walki, psy! Może kość wam rzucić? Nadzorca zarechotał, ciesząc się z własnego dowcipu.

Zawtórowali mu strażnicy.

- Kość już jest - cicho powiedział Jeruzalem. Odskoczyli od siebie i stanęli w pozycjach. Ugięli nogi.

Zabłysnęły w słońcu napięte bicepsy, ramiona i łydki. Nie spuszczała z siebie wzroku, jakby najwyższe skupienie tylko mogło przynieść zwycięstwo.

Damast trzymał tarczę uniesioną wysoko, tak że zasłaniał dół twarzy i tylko oczy świeciły nad krawędzią.

- Na co czekasz? Boisz się? - krzyknął i machnął w powietrzu pałką. - Boisz się, tchórze?

Zatoczyli koło jak koguty napinające karki, puszące pióra i szykujące dzioby do ataku. Jeruzalem uśmiechnął się drwiąco i splunął w stronę rudzielca. Ślina padła na jego tarczę.

To wystarczyło, by sprowokować atak. Damast krzyknął i runął z impetem w stronę Szalbierza.

Włożył potężną siłę w uderzenie, pałka zatoczyła półokrąg w powietrzu, warcząc jak bąk, i łupnęła w drewno obłożone skórą. Jeruzalem zasłonił się w ostatniej chwili - leworęczność rudego mężczyzny była jego atutem, gdyż aby się osłonić przed jego ciosami tarczą, trzeba było mocniej okręcić ciało. To znowuż uniemożliwiało dobre wyprowadzenie kontruderzenia. Rytm naprzemiennych ciosów i zasłon został zakłócony, a gdy Damast uzyskał przewagę pierwszego ataku, nie odpuszczał i wywijał pałką, zmuszając przeciwnika do ciągłego cofania się.

Szalbierz stawiał nieporadne kroki i chował głowę za obramowanie tarczy. Nie dawał rady zaatakować - rytm tego tańca został narzucony przez rudego wojownika.

Damast przerwał na chwilę, a czując wzrastającą przewagę, zaśmiał się i opuścił tarczę na znak lekceważenia. Jeruzalem krzyknął, uniósł pałkę i rzucił się w jego stronę, lecz rudzielec był szybszy. Odskoczył i puścił przeciwnika mimo. Szalbierz nie zauważył uniku i potknąwszy się, poleciał w piach, wzbijając w górę tumany pyłu.

Zerwał się szybko, ustawiając do walki. Zacisnął zęby i znów uniósł tarczę.

Damast zaczął krążyć wokół niego. Teraz był już pewny wygranej, chciał tylko uzyskać ją w efektowny sposób. Parę razy rzucał się w stronę Jeruzalema markując atak i prowokując reakcje obronne.

I nagle jeden z tych ataków zamienił się w prawdziwe natarcie. Rudzielec skoczył z uniesioną wysoko tarczą, by zepchnąć Szalbierza i pokonać go własną masą. Uderzyły szczyty w zwarciu. Napięły się mięśnie. Ich oczy znalazły się naprzeciwko siebie. Trwali w żelaznej pozycji, tarcza w tarczę, okucie w okucie, ramię przeciw ramieniu. Zdawało się, że

Jeruzalem nie przegra tego pojedynku na siłę nóg. Że wytrzyma. Drżały uda i łydki. Nogi odstawione na zewnętrzny łuk okręgu wbiły się w piach, szukając jak najlepszego podparcia.

Nadzorca Jada powoli zaczął się unosić, by klasnąć w dłonie i rozkazać podanie ostrzejszej broni, gdyż tylko ona, jak i w poprzednich nierozstrzygniętych walkach, mogła pomóc w znalezieniu zwycięzcy.

W tej właśnie chwili nastąpił finał zmagania. Jeruzalem nagle utracił siły. Jego nogi poczęły szukać rozpaczliwie lepszego podparcia. Po czole płynął pot, piekąc w oczy. Próbował go obetrzeć. Damast zobaczył słabość w twarzy przeciwnika i pchnął mocniej.

Szalbierz nagle zatoczył się i upadł. W ostatniej chwili zasłonił się tarczą. Kij rudzielca tylko czekał na ten upadek - poleciał z góry, załomotał na drewnianym szczycie. Kolejny cios był przeznaczony dla nóg Jeruzalema, lecz ten zdążył się w ostatniej chwili przekrócić na bok. Przeturlał się o parę kroków i zamarł schowany za tarczą.

Damast czuł, że zwycięstwo jest już bardzo blisko, nie chciał odpuścić. Teraz wkładał całą swą siłę, całą zręczność i spryt, w każdy ruch. Oczy płonęły mu jak w szale. Począł krzyczeć za każdym wyprowadzonym uderzeniem, żeby dodać mocy ciosom i podkreślić swoją przewagę.

W końcu udało mu się tak uderzyć Jeruzalema, że ten nie zdołał się już obronić. Oberwał i wrzasnął z bólu.

Chciał zaatakować pałką, lecz Damast przewidział ten ruch i z łatwością uskoczył. Kopnął Jeruzalema w rękę. But uderzył w przedramię Szalbierza, jego pałka poleciała daleko w piach. To był koniec.

Damast wrzasnął z radości. Uniósł w górę ręce. Powoli opadła tarcza, którą osłaniał się Jeruzalem. Wyprostował się, dysząc, i leżał na plecach, patrząc w niebo.

Jada zaklaskał i pokazał zwycięzcy miejsce na ławie dla najlepszych. Rudzielec uklęknął obok Szalbierza i spojrzał mu w oczy.

- Przegrałeś, głupcze - syknął ze złośliwym uśmiechem. Nie zobaczył jednak twarzy pokonanego. Ze zdumieniem odkrył błysk triumfu w oczach Jeruzalema.

Szalbierz uśmiechnął się do niego, unosząc pogardliwie kącik ust.

- Nie. To ty przegrałeś - wyszeptał śniadoliccy - tylko jeszcze o tym nie wiesz.

A gdy Damast odchodził, rzucił mu jeszcze na koniec:

- Głupcze.

Jeruzalem stał przed stołem Jady. Nadzorca wbił w niego oczka ukryte pod fałdami tłustej skóry. Szalbierzowi, wobec braku uzdolnień bojowych, pozwolono się wykazać tym, co potrafi najlepiej. Karludy wskazały, że jego uzdolnienia są natury magicznej, a radość z

niewolnika może przynieść obserwowanie wyników tresury zwierzęcia, które miał ze sobą, czyli małpki. Makak wywoływał przerażenie u obserwujących go ludzi, miał bowiem ludzką cielesność, jeno był obrośnięty sierścią i malutki. Zdawał się być dybukiem bardziej niż zwierzęciem.

Teraz stał przy boku Szalbierza i zdawał się być zachwycony tym, że wszystko wróciło do tego, jak bywało za starych, dobrych czasów, gdy jeździli wozem od wsi do wsi, gdy pan jego sprzedawał różne dziwactwa i gdy dawali wspólnie występy.

Jaćwięgi pozwolili Jeruzalemowi przygotować się do występu: dali olej do namaszczenia ciała, a nawet jeden z nich poszedł po dłuto, gdy w ukryciu za wozem atleta szykował łańcuch do pokazu i później pomógł mu odpowiednio rozgiąć tajne ogniwo.

Gigi wesoło wrzasnęła i zaczęła swój taniec. Kręciła się w kółko na dwóch łapkach. Nie miała bębenka, na którym zawsze grała, ale radziła sobie świetnie z miską i łyżką. Stukała w rytm, co dwa piruety wydawała z siebie wrzask, a potem wykonywała podskok.

- Dobrze, Gigi, dobrze, moja panno. Tańcz, słodka, pięknie tańcz - zachęcał ją Szalbierz. Po chwili pstryknął, a małpka zatrzymała się i skłoniła.

Zgromadzeni w koło niewolnicy jakby zapomnieli o swoim niedobrym losie, patrzyli zachwyceni, a gdy zwierzak skończył taniec, nagrodzili go okrzykami i śmiechami. Rozjaśniła się także twarz Jady. Jeruzalem przeszedł do następnej części. Chwytał w dłonie łańcuch i poniósł przed sobą, by było go dobrze widać. Zacerpnął powietrza i zaczął wykrzykiwać śpiewnym głosem:

- Dziwujcie się ludziska, a zgromadźcie się!

Poczuł, jak w jego żyły wraca dawna krew, jak wlewa się wspomnienie dziesiątków takich chwil, takich dni, takich słońc, takich oczu w niego wpatrzonych, takiej ciszy. Skupionej ciszy, wyczekującej na kolejne słowa, które wypuści ze swego gardła. Był jak treser własnych słów, mag uśmiechów, wszechmocny bóg wszystkich włókien, mięśni i stawów. Aż uśmiechnął się do siebie, gdy poczuł na plecach drżenie od tego wspomnienia. Spojrzał w dół. Nagle kucnął, podrapał małpkę za uchem, zaczął szeptać:

- Gigi, bądź mądra. Nie wiem, co z nami będzie dalej. Może to nasz ostatni występ. Ale dziękuję ci. Za wszystko.

Makak owinał się wokół jego ręki, jakby żądał pieczyoty. Pisał. Szalbierz wstał. Prychnął przez nozdrza. Zbliżył się dwa kroki w stronę tłumu i uchwycił nagle za koniec łańcucha, zatoczył nim koło w powietrzu. Niewolnicy cofnęły się. On wydłużył łańcuch. Znow się cofnęły. Ogniwa zawyły w powietrzu. Jaćwięgi z tyłu przystąpili bliżej. Wtedy przestał

kręcić łańcuchem. Chwytał go znowu mocno w obie dłonie. W skroniach pulsowała mu krew. Już wiedział, że ma nad nimi przewagę. Stał mocno na nogach. Zaczął wykrzykiwać:

- Ludzie! Dziwujcie się! Jam jest Jeruzalem! Jam zrodzony jest w białym mieście! Jam z piachu Ziemi Świętej, ja z krwi, co w niego wsiąkła, z łez wylanych, z cienia, który położył się na Golgocie! Jam Jeruzalem! Otóż we mnie siła duchów ze Świętego Miasta! Zaklinam deszcze i mgły, sprawiam że ptaki mają ludzkie serca! A ludzie ptasie! Zaklinam dusze w zwierzęta! Jedną tu widzicie, która wtedy tylko na tym świecie żywie, gdy ja jej rozkażę!

Tu wskazał na Gigi. Małpka zaczęła wrzeszczeć, całkiem jakby rozumiała sens słów. Szalbierz ciągnął dalej:

- Już za chwilę będziecie, ludziska, świadkami pokazu niewiarygodnej siły, za chwilę zerwę ten oto potwornie mocny łańcuch!

Podszedł do widzów i począł im prezentować moc łańcucha. Dwóm niewolnikom kazał nawet silnie pociągnąć, by sprawdzić, czy z dobrego żelaza jest kuty. Pokiwali głowami na znak, że ma odpowiednią wytrzymałość, a żadna ludzka siła go nie skruszy. Wtedy poprosił ich, by owinęli go tak ciasno i mocno, jak się da. Po chwili Jeruzalem stał okręcony łańcuchem jak dzikie zwierzę schwymane w sidła.

Na znak Jady podbiegł jeszcze strażnik jaćwieski, sprawdził, czy wszystko dobrze się trzyma.

Jeruzalem wznosił oczy w niebo. Zmrużył je. Wciągnął powietrze. Ryknął. Gigi zaczęła piszczeć i walić łyżką w miseczkę. Ludzie, najpierw powoli, potem coraz szybciej, zaczęli klaskać. Niektórzy krzyczeli. Inni kiwali głowami i mówili coś pod nosem o tym, że rzecz jest niemożliwa, a jeśli łańcuch zostanie zerwany, to znak to będzie, iż albo ktoś czary tu zamotał, albo też wszystko jest ino zwykłym oszukaństwem.

Szalbierz wziął po raz drugi powietrze w płuca i zaczął przeć od środka, całą siłą mięśni. Twarz, mimo wrodzonej śniadości, nabrała purpurowej barwy. Żyły wyszły mu na skroniach, twarzy i na rękach. Pot zaczął ciec strugami po napiętym ciele. Mięśnie drżały z wysiłku i zdawało się, że to one zaraz się zerwą, a nie łańcuch. Na chwilę Jeruzalem przerwał, odetchnął i znów nabrał powietrza. Zaczął ryczeć jak zwierz trafiony śmiertelnym pociskiem. Niektórzy widzowie poczęli z przejęcia palce gryźć. W tej chwili z hukiem puściło jedno ogniwo. Zaraz następne. Łańcuch pękł i odpadł z ciała. Runął na ziemię. Jeruzalem, prawie utraciwszy przytomność, osunął się na kolana. Ale tym większy, tym prawdziwszy był jego tryumf. Zerwała się burza okrzyków. Zachwycony Jada wstał, klasnął w dłonie i uciszywszy jeńców ruchem ręki, krzyknął:

- Brawo! Ucieszy to naszego pana! I gości! Idź, człowieku, do grupy muzykantów!
Jeruzalem, dysząc ciężko, schylił się po kawały łańcucha. Szepnął ukradkiem do małpki:

- Dobrze, Gigi, dobrze.

Pogłaskał ją za uchem i miał zamiar skierować się w stronę grajka z fletem, gdy nagle od strony wysokiej trybuny dobiegł donośny kobiecy głos.

- Stój! - usłyszał za plecami Szalbierz. Więc zatrzymał się nie odwracając. Za to Jada aż podskoczył, gdy obejrzał się w tamtą stronę.

- Nadzorco! Zatrzymajcie tego niewolnika! - znów dobiegł z dala głos niewiasty.

Jeruzalem obrócił się bardzo powoli. Zmrużył oczy. Postać wyszła z ocienionej części widowni. Zbliżała się do niego kolebiąc biodrami. W ciszy zalegającej arenę brzęczały bransolety na jej stopach. Delikatna suknia w kolorze gołębim owiewała jej ciało jak chmura boginię spływającą z niebios. Czarne, bujne włosy miała upięte z tyłu, złapane kosztowną opaską z klejnotami błyskającymi w słońcu. Jeruzalem widział tylko, jak płyną w jego stronę czarne, głębokie jak rozgwieżdżony nieboskłon oczy. Nie mógł oderwać od nich wzroku. Zdawało mu się, że zbliża się otchłań, która go pochłonie.

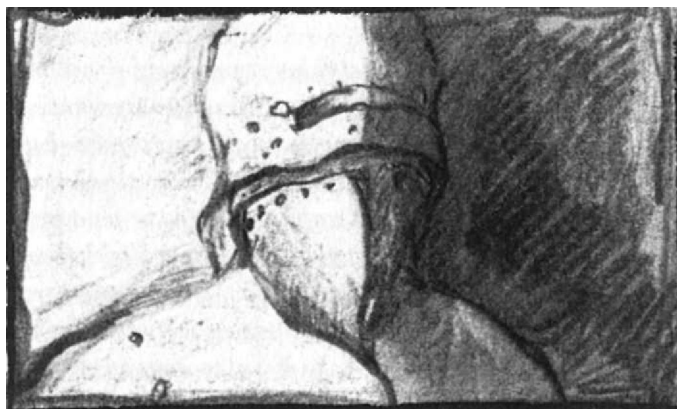
Stała tuż przed nim i uśmiechnęła się. Potem odwróciła się do Jady i wskazując palcem na Jeruzalem, rzekła:

- Drogi Jado, mam do ciebie prośbę.

- Co tylko rozkażesz, pani, co tylko rozkażesz - Jada potakiwał przymilnie.

- Tego niewolnika przyślesz do mnie. A nie do księcia.

I odeszła, podnosząc lekko suknię z piachu. Nadzorca uklonił się z rękami złożonymi jak do modlitwy. Jeruzalem popatrzył za nią i uśmiechnął się. Odwrócił się, spluwając Jadzie pod nogi.



ROZDZIAŁ XII

Kwiecień 1238

La Verna, 10 kwietnia A.D. 1238

Najukochański w Chrystusie Panu!

Z największą radością maczam pióro w inkauscie i na pierwszym miejscu dziękuję Matce Bożej za opiekę, jaką roztacza nade mną i nad Wilczkiem. Jej to bowiem tylko dziękować za czas, jaki jest nam dany ku nauce i kontemplacji, ku większej chwale Bożej. Piszę do Was one słowa, mając nadzieję, że także w dobrym zdrowiu bywacie, a gdzie los was kieruje, tam i opieka aniołów nad Wami być musi. Bo gdzie dzieło Boże, tam i jego sługi. Nie wiem, czy pisanie to kiedyś dotrze w Wasze ręce, mimo to, korzystając z dobrodziejstwa skryptorium, piszę, by było zaświadczone o naszym z Ignasem żywocie na italskiej ziemi.

Jako biegły w piśmie zostałem poproszony przez brata Girolamo (po naszymu Hieronimus) o wspomóżenie fratelli trudniących się w skryptorium i kopiowanie ksiąg spisanych przez tych, co świadkami byli życia świętego Franciszka. Także i pomny na wskazanie, że jeno przez modlitwę i pracę wiedzie droga do Królestwa Niebieskiego, podjąłem się tej służby. Dostep mając do kart, nie korzystając z papieru, co było grzechem marnotrawstwa, a jeno pergaminu, spisuję ten Ust jako kronikę naszych wypadków. Może być, że ów nigdy do was nie dotrze, jednakowoż piszę, składając resztę w ręce Opatrzności Bożej.

Od czasu gdyśmy przybyli na świętą górę, Ignas przebywa w celi osobnej ode mnie, tak jako zarządzili bracia w maskach żelaznych. Nie jest to dobre dla dziecka, sprzyja melancholii, smutkom, żalom i przeciwne jest dziecięcej naturze, która żąda zabawy i kontaktu z innymi ludźmi. Niestety bracia przełożeni mnie wysłuchać nie chcieli i zezwolili jeno na spędzanie z Wilczkiem naszym kilku godzin dziennie, kiedy to uczę go pisma, modlitwy i rozumienia świętych ksiąg.

Klasztor, w którym zamieszkujemy, położony jest w pięknej okolicy, na górze o tej samej nazwie, zaś część zabudowań wznosi się na skałach. Sprzyja on medytacji w odosobnieniu, lecz dla chłopca musi być miejscem ponurym, toteż i wpływa to na pogłębienie smutku w jego oczach, na stan samotności i braku uśmiechu. Serce moje kraje się, gdy na to spoglądam. Tak też i czas, jaki mamy przeznaczony na naukę, spędzamy częstokroć na innych zajęciach, pogrążając się w zabawie. Zapominam tedy o mojej zakonnej sukni, o powadze przynależnej duchowej profesji i zamieniam się ad exemplum w niedźwiedzia zbliżającego się do barci. Wtedy to Ignas staje się pszczelim rojem, który bronić musi miodu. Biega wokół, z buzi jego dobywa się buczenie, po czym wskakuje mi na plecy. Rączki jego stają się żądlami owadów. A ja ryczę przerażony i uciekam. W serce moje wlewa się otucha, gdy widzę jego uśmiech, kiedy to patrzy na mnie przerażonego i skulonego pod ścianą. Innym razem pływamy

obaj na statku. Maleńkie okienko celi Ignasiowej staje się wtedy okienkiem na okręcie, stół podsuwamy i jest on chybotliwym pokładem, co skrzypi pod wpływem naporu fali. Tutaj też pozostawiam na boku dumę zakonną i staje się wielką beką pełną wody pitnej, którą żeglarze wzięli na zapas w podróż. Kładę się na plecach i turlam z boku na bok. Wtedy to się okazuje, że chłopiec jest okrętowym szczurem, a beka zagradza mu wejście do jego norki. Musi się więc natrudzić i przepchać ją na bok. Pcha więc moje wielkie ciało i pcha, i stęka, aż się robi czerwony. Tedy ja się odzywam grubym głosem - Szczurku, Szczurku, nie wstyd ci tak na bekę z wodą napierać? To on kiwa głową na znak, że mu nie wstyd, i się śmieje. Znow się ulga w moje serce wlewa.

Potem mnie na bok przewraca i okazuje się, że już widać coś przez okno okrętu. Zbliżamy się do owego okienka i patrzymy. Co widać z naszego statku? Dal przemożną. Otwór okienny wychodzi akurat w tę stronę, że widać całą dolinę i góry przed nami. Jak wielkie fale dalekiego morza.

- Widzisz morze? - mówię do niego.. Kiwa głową.

- Dokąd to byś płynąć chciał? - znow pytam. - Rzeknij tylko, a tak naprę, ja, beka, na ster, że popłyniemy, gdzie tylko zapragniesz.

On nie mówi, wiecie przecież, że głosu nie ma. Więc tylko paluszkami pokazuje daleko w stronę góry naprzeciwko. Patrząc ja na ten paluszek i lzy czuję w gardle. Owóż mam przed sobą widok gór, owóż doliny mgłami pokryte, owóż morze drzew, owóż wokół mnie mury klasztorne jak burty statku przeogromne, owóż za plecami miejsce, gdzie święty Franciszek stygmaty otrzymał, a ja tylko ów dziecięcy paluszek widzę, co pokazuje dalekie lądy. Tylko w tym paluszkowi swoje myśli pogrążam. Tylko w nim widzę sens wszystkiego. Tylko w nim moje życie staje się ważne. Góra wielka jak Olimp, jego paluszek maleńki, dziecięcy, delikatny. Z odwagą jednak wskazuje cel naszej podróży. Chwilę dech tracę. Chwilę myśl mi ucieka. Chwilę głos mi więźnie w gardle.

On paluszek wyciąga i patrzy na mnie. Cóż ta beka zamilkła, czemu nic więcej nie mówi, czemu dalej o cel podróży nie pyta?

A beka nie wodę w środku, ale kolejne lzy swoje łyka i ukryć się je stara, tak żeby malec nie widział.

Na dzisiaj przerwę pisanie, nie wiem, czy będzie ono listem (nie wiadomo mi, czy słać będę go mógł kiedykolwiek), czy jeno diariuszem naszych losów, dość, że mogę pisać. Już i to dobre, dość szczęśliwe. Już jest za co dziękować.

Niech was Bóg prowadzi.

Amen.



- Boli? - padło pytanie. Odpowiedział ino jęk i szelest słomy. W ciemnościach ledwo można było rozeznąć, kto gdzie się znajduje. Pod jedną ze ścian, na pryczy zbitej z kilku desek leżał więzień, a drugi siedział obok, opierając głowę o mur.

- Boli cię? - po raz wtóry zapytał ów siedzący.

I znowuż jęk mu tylko odpowiedział i szuranie słomą. Z zewnątrz dochodziły miarowe stuki i takie hałasy, jakby budowano coś na zamkowym dziedzińcu. Ale okienko na takiej wysokości, że i o patrzeniu, i o ucieczce przez tę szparę nie było mowy. Chociaż można było o tym myśleć. A nawet przemyśliwać dużo, dużo więcej niżli to przystało subordynowanym więźniom.

- No, boli cię, czy cię nie boli? - jeszcze się odezwał głos w celi, jakby mu jęki nie starczyły za odpowiedź. - Rzeknij co wreszcie, bo ja nie wiem, czy ty żyjesz, czy jużes trup. Możeś ty trup?

- A jak myślisz? - zboląły ton odpowiedzi wyjaśniał opłakany stan, w jakim znajdował się leżący osobnik. - Jak cię zbiją i na sznurze powieszają, to myślisz, że nie boli?

- Na sznurze cię obwiesili?

- Obwiesili.

- Dlaboga - zakłopotał się ten, który siedział - dyć to lotry!

- Lotry, oj, lotry. Z tyłu mi ręce związali, za sznur zaczepili i zaczęli naciągać w górę jak na szubienicę. Aż myślałem, że mi stawy z ramion powyrywa...

- Daj Boże. Matko Przenajświętsza, ześlij na nich jaką zarazę. Jaki trąd, Łaskawa Panienko, za boleść mego przyjaciela. Albo przynajmniej trzepnij w nich piorunem, żeby im poszło w pięty.

- Ciszzej. Boli, jak gadać muszę.

- A kto ci gadać karze?

- Ty, bo pytasz ciągle.

- Nie pytam ciągle, tylko czasem. Zważ różnicę.

- Czasem to nie ciągle?

- A gdzieżby!

- Już to ty miej, Michałko, zmiłowanie dla mnie, chociaż ty...

- Jak tak chcesz, to zamilknę - obruszył się Michałko - ale wiedz, że jak ci smutno będzie w celi, jak już ciszy będziesz miał dość, to zatęsknisz za głosem przyjaciela, zatęsknisz.

Milczenie zapanowało w celi, przerywane czasem tylko stęknieniami Bocianka, starającego się tak ułożyć na wiechciu słomy, żeby go kości mniej rwały. Teraz dopiero odczuwał ból po torturach, jakim poddał go książęcy oprawca. Pochlipał nawet chwilę, wiedząc, że leż w ciemności nie będzie widać.

- Płacz, Bocianek, płacz. To dobre jest. To pomaga - odezwał się jego gruby przyjaciel.

- Cicho miałeś być...

- Jak mam cicho być, kiedy taką krzywdę memu przyjacielowi czynią?

- To nie czyni większej gadaniem swoim...

- Toć nie czynię. Ino tak myślę...

Urwał nagle Michałko i czekał, aż go Bocianek zapyta, o czym tak myśli.

- Nie chcesz wiedzieć, o czym tak myślę?

- Nie.

- To ci powiem. Odpowiedziało westchnięcie.

- Myślę więc o tym, że ta cała historia wynikiem jest - wybacz, jak ci to w oczy powiem, lecz prawda lepsza zawsze od kłamstwa - twoich własnych pomysłów. To, że obaj teraz w celi siedzimy, to właśnie...

- Ot kłamca! - uniósł się na słomie, mimo boleści, Bocianek. - Łżesz okrutnie! Czyje to pomysły nas tu zawiodły?

- No właśnie: czyje, Bocianku? Żał mi ciebie, żeś okrutnie zbity, aleć sam pomyśl, czyje to wspaniałe projekta tak nas wykierowały, żeśmy obecnie w rękach kata, a zaraz może i pod stryczkiem?

- Może rzekniesz, że to moje chęci nami kierowały, moje? - Bocianek aż usiadł ze złości i jęknął, czując ból w ramionach.

- No chyba, że nie moje, Bocianku.

- Nie twoje? A któż nas w gospodzie wtedy popchnął, by tego rogatego zaczepiać? A któż namawiał?

- Ja?

- Nie, święty Piotr!

- No cóż... Tam to może i ja. Ale potem, jak do kościoła w Tyńcu ten łotr polazł, to który z nas rzekł, żeby za nim w tropy leżeć?

- No właśnie... Który z nas? Pomnisz przy tej beczulce?

- Przy beczulce? A może i przy beczulce... - stropił się Michałek. Po łbie się podrapał, chrząknął i w końcu rzekł:

- Przy beczulce to prawda. Ja to wtedy chciałem do kościoła leżeć. Ale za to potem, gdy on Chrysta porąbał...

- No cóż właśnie potem?

- Toś tak się na mnie gapił, tak się gapił...

- Że co?

- Że już innego wyjścia nie miałem i rzekłem, żeby za nim jechać, wysledzić, co za diabeł w ludzkiej skórze i czego szuka.

- Czyli tyś to rzekł!

- Hola! Ale wejrzyj na przyczynę! Z czego to rzekłem? Przecież nie z myśli własnej, tylko twojej.

- Mojej?

- A kto na mnie tak patrzył wtedy? Kto tak patrzył?

- No to pięknie! Tyś, Michałko, wszystko rzekł, a wina po mojej stronie?

- Po twojej!

Bocianek prychnął i zły położył się na słomie. Cisza zapanowała w celi. Żaden się nie odezwał, tylko słuchali stukotu idącego od dziedzińca.

- Boli cię? - spytał Michałko.

- Boli cię - sam sobie grubas udzielił odpowiedzi i dodał - biedny mój Bocianku. Tak, to przeze mnie cię boli. Moja to wina. Całkiem moja. Jeszcze i ja nas podjudziłem, żebyśmy na zamek weszli, ja pomysł poddałem. Prawda to. A jak już w środku żeśmy byli, to żem wtedy nas podkusił, żeby na ten dach włązić i księcia przez okno podejrzeć. Ja żem drabinę podstawił. Ja w końcu zleciałem z wrzaskiem, aż się strażę zbiegły. To ja.

Cisza mu tylko odpowiadała, szelest podściółki i sapanie.

Zaczął i Michałko wzdychać ciężko i pochlipywać.

- Nie martw się, Bocianku. Teraz to mnie na męki wezmą, a tobie dadzą odpocząć. Tam ja odpokutuję już na sznurze swoje pomysły, tam już mi je z głowy wybiją, tam mnie rozumu w końcu nauczą.

I zaczął wzdychać ciężko, a płaczliwie. Naraz się głos odezwał Bocianka:

- Wiesz, Michałko? - No?

- Ja też patrzyłem.

- Co patrzyłeś?

- No patrzyłem tak, żeby za tym diabłem iść. To prawda.

- Co gadasz?

- No prawda. Tyś gadał, a ja tak się gapiłem, jako rzekłeś. Tak to jest, że ty gadasz, ja się ino gapię. Moja wina też jest. Jednaka jak twoja.

Michałko rzucił się druha uściskać, ale go powstrzymał chudzinka, bo był bardzo obolały. Chwilę więc znów siedzieli, cicho chlipiąc. Szczur zaczął chrobotać koło kraty wejściowej, więc grubas nogi na pryczę podciągnął.

- Wiesz co, Bocianku?

- Cóż?

- Może się naszemu księciu Henrykowi podoba, co dla jego chwały robimy? Może nas z nieba obserwuje? Może to radość dla niego? Że takiego gada żeśmy na tropy wzięli?

- Może?

- I wiesz, ja myślę, że jak nas księżę z nieba obserwuje, to wspomóc nas będzie w stanie, jeśli tylko go modlitwą o wsparcie poprosimy.

- I to też może być - jęcząc z bólu, odparł mu przyjaciel.

Z podwórca znów doszedł dźwięk stukających. Zasłuchał się w te głosy Michałko.

- Cóż oni robią? - zapytał cicho. Zaszleściła słoma.

- Nie wiesz?

- Nie. Jak myślisz, Bocianku?

- Szafot.

Grubas usiadł na pryczy.

- Co? Coś ty rzekł?

Nie odpowiedział mu od razu Bocianek. Chwilę powzdychał, pojęczał i dopiero rzekł jeszcze raz, ale i wyraźnie:

- Szubienicę stawiają, przyjacielu, szubienicę. Michałko osunął się na kolana i począł żarliwie modlić.

Jego wzrok powędrował w stronę niewielkiego światelka widocznego w górze, w stronę malutkiego okienka położonego gdzieś wysoko, dużo wyżej, niż znajdował się loch, w którym byli uwięzieni, pewnie nawet wyżej niż poziom ziemi, po której teraz stąpali robotnicy znoszący belki na konstrukcję katowską.

- Księżę nasz ukochany - zaczął wymawiać słowa modlitwy, które przychodziły mu na myśl - jeśli jesteś w niebie albo nawet w czyśćcu, prosimy ciebie, przybądź nam z pomocą, wyjednaj nam zmiłowanie i pozwól, byśmy uniknęli okrutnego losu. *Zwróć* się w naszym imieniu do Matki Świętej, przekaz jej sprawę naszą, a ona niech z nią pójdzie, by przedstawić ją Synowi. Gdy już ona tam będzie, niech nie zapomni powiedzieć, kto o pomoc prosi -

Michałko i Bocianek, trzymeni w lochu zimnym przez siepaczy księcia mazowieckiego Konrada. Fiat voluntas tua!



Dwieście Piętnasty został sam. Zniknęli towarzysze z innych cel. Coraz rzadziej słyszał ich głosy, coraz rzadziej docierały do niego dźwięki otwieranych krat. A w końcu gdy rozlegały się kroki gdzieś na korytarzu, to wiedział, że strażnicy idą tylko po niego. Że znów spotka się z Drugim. I kręcić się będzie w głowie szalony wir pytań i odpowiedzi. Dwieście Piętnasty miał wrażenie, że już padło każde pytanie i każda odpowiedź, a mimo tego Drugi był ciągle żądny wiedzy, ciągle wracał do tego samego, był niezmordowany, zawsze rzeński, zawsze czujny, zawsze słyszał wszystko, tak że chyba nie dałoby się przed nim ukryć szybszego pulsu. Może wdzierał się do duszy człowieka, siedział gdzieś w głowie albo w sercu? Gdy wiało chłodem od okienka, w którym widać było ślad zewnętrznego świata, czubki drzew kołyszące się na wietrze, wtedy Dwieście Piętnasty trzeźwiał na duchu, na trochę odzyskiwał rozum. Czemu służą te ciągnące się dniami i tygodniami indagacje? Dlaczego ciągle wraca się do tych samych spraw, tych samych zdarzeń, szczegółów, drobiazgów na które zwykły człowiek nie zwracałby uwagi, tych kolorów, a nawet zapachów? Gdzie jest cel? A może to tylko choroba jego umysłu? Wizja spowodowana ciągłym leżeniem w ciemnościach. Sen, jaki nachodzi człowieka w chorobie. Taki sen, który się wydaje prawdziwszy od jawy, przejmując lekko. Taki sen, po jakim tylko można obudzić się z krzykiem i obetrzeć pot z czoła... Dwieście Piętnasty zaczął zastanawiać się, czy Drugi to istota żywa. Tego nie mógł wiedzieć, bo przecież nie widział jego twarzy. Widział maskę z numerem. Sam nosił podobną, lecz odkąd mu ją zdjęto, miał wrażenie, że znów staje się człowiekiem. Wcześniej był Duchem. Co się dzieje? Pytał sam siebie. Nocami zdawało mu się, że Drugi znowu jest przy nim, że pyta, że siedzi u wezłowia pryczy. Może szepcze coś do ucha? Tak, metaliczny głos wdzierał się do głowy, był nie do zniesienia, bzycał jak trzmiel, który miotał się w mózgu. Żarliwą modlitwą odmawiał o poranku. Noce były ciężkie, potliwe, nerwowe. Dwieście Piętnasty znał już na pamięć drogę do pomieszczenia, w którym był przesłuchiwany. Znał na pamięć freski na ścianach. Schody, zgrzyty zamków w drzwiach, skrzypnięcia drewnianej podłogi, suchy kaszel strażników, skrzyp zawiasów w furcie. Znał na pamięć swoje odpowiedzi. Kark, na którym chwiała się zmęczona głowa, był jak łądyga kwiatu na wietrze. Drugi siedział za swoim stołem w tej samej pozycji, za każdym razem, gdy siadali na kolejną pogawędkę. Tak nazywał spotkania z Dwieście Piętnastym.

*

Wiało. Coś gwizdało w ścianach. Zimno szło od okienka, więc Dwieście Piętnasty kulił się w sobie. Z letargu wyrwał go głos strażnika.

- Idziemy.

- Idziemy - uśmiechnął się więzień, wstał i machinalnie poszedł za nim. Minęli kolejne cele, za drzwiami których nie było już nikogo. Tylko wspomnienia po żywych lub martwych.

- Dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem - mówił i szedł z zamkniętymi oczami.

- Co robisz? - zapytał strażnik, zatrzymując go i unosząc pochodnię.

- Idę.

- Lecz co gadasz? Oszalałeś?

- Liczę.

- Co liczysz?

- Kroki.

- Nie licz na głos. Bo doniosę - warknął woj. Weszli na schody. Dwieście Piętnasty liczył w myślach stopnie. Szedł z zamkniętymi oczami, ale wiedział, gdy stopnie się skończyły i postawił pewnie stopę na płaskim.

- Dalej - mruknął strażnik i pchnął go plecy. Doszli do drzwi, które dobrze znał. Nacisnął klamkę.

Za stołem siedział Drugi. Jak zawsze na początku rozmowy, miał ręce założone jedna na drugą i delikatnie stukał palcami w powierzchnię skórzanej rękawicy. Dwieście Piętnasty usiadł.

*

- Kornet - rozległ się metaliczny głos Drugiego. Powoli opadała zmęczona głowa Dwieście Piętnastego. Nie usłyszał.

- Kornet - powtórzył Drugi, a basowy trzmiel mowy wyleciał mu z ust i wleciał do ucha Dwieście Piętnastego. Zadomowił się w jego głowie i powoli zjadał mózg. Dwieście Piętnasty machnął ręką, żeby go odgonić. Nie mógł owada odpędzić - ręka była słaba, łamała się w nadgarstku. Jednak machnął parę razy przed nosem, potem zrezygnował i popadł w stan omdlenia, półsnu, półjawy. Zamazywał się obraz z mężczyzną w czarnym płaszczu i metalowej masce na twarzy. Zdawało mu się, że on urósł, że stał się dwa razy wyższy od zwykłego człowieka, że głowę ma pod sufitem. Maską zbliżała się i oddalała.

- Dwieście Piętnasty, słyszysz mnie?

Uniół powieki, starał się skupić wzrok. Drugi był już wysoko pod sufitem, leciał na skrzydłach, podlatywał nad jego głowę.

- Dwieście Piętnasty, obudź się.

Próbował dźwignąć się ze stołka. Trzmiel coraz mocniej bzyczał w głowie. Obijał się o czaszkę, wiercił się w gardle. Dwieście Piętnasty postanowił, że wpuści sobie drugim uchem pająka. Ten uwije sieć w środku jego głowy. I w nią wpadnie trzmiel.

- Odezwij się, Dwieście Piętnasty.

Drugi stał przed nim, wysoki jak wieża, uderzył go w twarz. Dwieście Piętnasty zaczął płynąć. Nad nim wirowały maski z numerami. Wszystko spowijał mrok. Maski buchnęły płomieniem. Lunął deszcz.

*

Ocknął się. Był mokry. W drzwiach stał człowiek z cebrzykiem. Pod nogami Dwieście Piętnastego była kałuża. Drugi stał o kilka kroków dalej i przyglądał mu się. W masce świeciły jego zimne oczy.

- Wróciłeś, Dwieście Piętnasty?

- Tak, Drugi.

- Dobrze.

Duchak przeszedł za stół i usiadł w takiej pozycji, w jakiej siedział za każdym razem, gdy ucinali sobie pogawędkę. Oparł ręce na łokciach i splótł palce u dłoni.

- Słyszysz mnie?

Buczenie było nieznośne, ale słowa trafiały do świadomości Dwieście Piętnastego.

- Tak, Drugi. Słyszę.

- Cieszę się. Chcę ci zakomunikować, Dwieście Piętnasty, że jesteśmy z ciebie zadowoleni. Jako jedyny przetrwałś próbę pytań. Żaden z twoich braci jej nie przeszedł.

Dwieście Piętnasty słuchał i czuł, jak woda ścieka mu po plecach cienką, chłodną strugą. Zaczął drżeć z zimna.

- Każdy z pozostałych twoich fratrów był indagowany. Żaden nie utrzymał się. Kapituła zakonu przekazała mi przeto indult dający prawo zastosowania prób wyższego rodzaju. Chodzi o próbę ognia. Próba ta pokazuje w sposób widomy, kto jest owładnięty szatańskim mamidłem.

Dwieście Piętnasty potrząsnął głową. Trzmiel nie wyleciał. Machnął znów dłonią, by przegonić bzyczącego owada, lecz nadaremno.

- Słyszysz mnie, Dwieście Piętnasty?

- Tak, Drugi.

- Zatem jako jedyny przetrwałeś pierwszą próbę i jako jedyny nie będziesz przechodził drugiej. To wielkie szczęście, Dwieście Piętnasty, dla ciebie to prawdziwe szczęście. Wiesz o tym?

- Tak, Drugi.

- Wspaniale.

Drugi wstał, przeszedł dookoła stołu i podał więźniowi kielich. Dwieście Piętnasty wziął go w drżącą rękę i zaczął pić. Wino wlewało mu się do ust cierpkim strumieniem i docierało do serca, pobudzając je do żywszego bicia.

- Dzisiaj może być twój ostatni dzień w celi - mówił dalej Drugi i wrócił do stołu - lecz byśmy mogli cię uwolnić, nakarmić, dać ubrania i ciepłe łóżko na noc, muszę ci jeszcze zadać kilka pytań. Wiem, bracie, że jesteś u kresu sił, podziwiam twoją wytrzymałość. Proszę cię teraz o jeszcze jeden wysiłek. Potem już będziesz mógł odpocząć.

Dwieście Piętnasty poprawił się na stołku, zamrugał oczami, zaciskając powieki i starając się powrócić do jasnego umysłu. Słyszał jak przez mgłę, lecz wielkim wysiłkiem woli śledził tok myśli.

- Tak, Drugi. Słucham - powiedział cicho.

- Pytanie pierwsze brzmi - czy jesteś gotów poświęcić dalszą część swego życia służbie Zakonowi, tak jak to uczyniłeś pierwej?

Dwieście Piętnasty kaszlnął. Potrząsnął głową i rzekł:

- Jestem gotów.

- Czy jesteś gotów po raz drugi złożyć śluby, by odzyskać godność zakonną, której pozbawił cię nasz trybunał?

- Jestem.

- Świetnie - Drugi znów wstał, przeszedł wokół stołu i usiadł na blacie.

- Powtórz mi to, co zeznałeś wcześniej o swym pochodzeniu. W jakim kraju się urodziłeś?

- W Natangii, Drugi.

- Znasz narzecza pruskie?

- Tak, Drugi. Znam.

- Kto cię wykupił z niewoli u ludów północy?

- Zakon Świętego Ducha Domu Francuskiego, Drugi.

- Gadasz więc także w języku Wikingów?

- Tak, Drugi.

- I znów podałeś dobrą odpowiedź.

Dwieście Piętnasty postarał uśmiechnąć się. Człowiek w masce podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu. Rzekł teraz już zupełnie innym tonem, w którym była nawet nuta przyjaźni i ciepła.

- Pamiętasz, jak brzmi twoje ziemskie imię? Zanim otrzymałeś numer zakonny?

- Moje imię?

- Tak, Dwieście Piętnasty. Inaczej mówiąc, jak zwałś się, zanim zostałeś Dwieście Piętnastym, a wcześniej Trzysta Ósmym, a jeszcze wcześniej Pięćset Czterdziestym Dziewiątym?

- Pamiętam, Drugi.

- Jak?

- Kornet, mój Mistrzu. Wołali na mnie Kornet, jeszcze u Natangów.

- Doskonale - numer Drugi złapał go za ramiona i podniósł, a potem przytulił.

Wyszeptał mu do ucha:

- Teraz wyjmę trzmiela z twojego ucha. Jesteś znowu na dobrej drodze.

Trzmiel wyleciał.

◆◆◆

Cienie rzucane przez pochodnię przybierały różne kształty. Idący po schodach strażnik wołał im się nie przyglądać. Kto wie, czy cień w istocie jest tylko brakiem światła na powierzchni, czy też wykwitem tajemnych, mrocznych sił królestwa, które drzemie pod powierzchnią ziemi. Tyle razy myślał o chwili, w której ciemna postać usiądzie przy nim i powie, że nadszedł czas, że trzeba zdmuchnąć świecę, przeciąć nić, że trzeba umrzeć, po czym położy rękę na jego gardle i zacznie ją zaciskać. Tyle razy rozpamiętywał swoje nieprawości, dziewczki brane pod wpływem pijaństwa, bluźnierstwa czynione w świadomości umysłu, obmowy innych ludzi, fałszerstwa, niegodziwe sądy, nieposłuszeństwo wobec Bożych zasad, rodziciele własnych pogarda i wszelakie złe uczynki, że czuł, iż Sąd nad jego ciałem i duszą nie musi wypaść dla niego korzystnie, gorzej: że Sądu wyrok już właściwie zna, już go czuje przez skórę.

Pobrzękiwał kluczami wiszącymi u pasa, jakby ów dźwięk miał wystraszyć demony pełzające w ciemnych zakamarkach. Mruczał coś pod nosem, wierząc, że przyśpiewka może uspokoić lęki. Był zły, że musi iść sam. Kiedy schodzili we dwóch, wtedy zapominał o strachach i czuł się pewnie. Gdy jednak zupełnie sam wkraczał do podziemi, wtedy niewytłumaczalne przerażenie ścisnęło go za gardło.

Jego kamrat ze służby był tak zmęczony pijaństwem poprzedniego dnia, że kazał mu iść samemu.

- Co to, Jóźwiku, strach cię oblaźł?

On zaprzeczył, lecz tamten śmiać się zaczął:

- Taki tchórz z ciebie. Oj, Jóźwik, Jóźwik, tu już na zawsze ciurą więziennym ostaniesz, na zawsze. Ja ci gadam. Dyc tam jeden z nich tłusty i nieruchawy, więzieniem zmożony, a drugi tak przez nas potargany, że jakby rękę chciał podnieść, to mu się ona urwie.

Zająkał się, próbując znaleźć ciętą odpowiedź. Tamten pchnął go jednak.

- No, idź, idź.

To i poszedł. Dotarł do schodów prowadzących na sam dół. Otworzył kratę. Zgrzytnęły zawiasy. Szedł, trzymając pochodnię wysoko nad głową, patrząc przed siebie, a nie na boki, gdzie pełzały ciemne postaci zrodzone z migoczących poblasków i cieni.

Doszedł do celi. Zaświecił przez kraty. Obaj jeńcy znajdowali się na pryczy. Jeden siedział oparty plecami o mur, drugi leżał i jęczał.

Tego to poddawano torturom, w których strażnik uczestniczył. Oprawca próbował uspokoić dręczące jego umysł wspomnienia, zapomnieć krzyki, które zapadły w ucho, kiedy ciągnęli chudzinę za ręce w górę, nadrywając stawy i ścięgna - powtarzał więc sobie, że więzień jest buntownikiem wobec porządku i antychrystem. To przynosiło ulgę.

Wszedł do środka i oświetlił gębę siedzącego grubasa.

- Chodź - rzekł do niego, a dla pewności rękę położył na rękojeści miecza.

- Pomóż mu - wyszeptał tłuscioch.

- Co gadasz? Komu?

Tłuscioch wskazał na leżącego obok mężczyznę.

- Temu? - zaśmiał się chrapliwie Jóźwik - Temu żeśmy już pomogli. Teraz tobie pomożemy.

- Nie, jemu pomóż - grubas złapał go za rękaw rozpaczliwym ruchem i pociągnął w swoją stronę. Jóźwik wyszarpnął się i wyjął miecz.

- Cofnij się - warknął.

- Pomóż jemu - gruby nie ustawał, pokazując ręką na swego towarzysza.

- Co mu?

- Duch zły go opętał.

- Co gadasz, głupcze? Mnie nie zwiedziesz. Duchów nie ma złych. Wstawaj, mamy z tobą do pogadania.

- Prawdę gadam. Popatrz. Posłuchaj.

Chudzina począł jęczeć mocniej, rzucił się na sianie z jednego boku na drugi, wyprężył. Ciało jego przeszły drgawki, jakby jaka zaraza go męczyła i miał przenieść się na inny świat.

Strażnikowi grdyka zaczęła mocniej chodzić. Lewą ręką uniósł pochodnię, prawą miecz skierował w stronę chudzielca.

- Co mu jest? Zaraza?

- Może i zaraza, nie wiem. Ale chyba go demon opętał - grubas mówił trzęsącym się głosem. Potem złapał chudego pod plecy i dźwignął. Ten jęk wydał mocny i usiadł.

W świetle pochodni ukazała się twarz tak potworna, że by ją najgorszy sen nie mógł wyśnić. Zamiast oczu świeciły w niej białka jeno, a powieki były wywiniete i czerwone.

Z kącików tych oczu, jak lzy, płynęła strugami krew. Takoz i usta były juchą umazane i szyja. Rzęził chudzielec, a z warg mu piana płynęła.

- Boże Świąty! Co mu? - wyjąknął Józwik przerażony i postąpił pół kroku naprzód, kierowany ciekawością silniejszą od lęku.

W tej chwili grubas wyciągnął ręce zza pleców i rzucił się w stronę strażnika. Dłonie jego zmieniły się w pysk otwarty, ziejący rzędami małych zębów. Z kwikiem rozwarły się i wpiły w twarz Józwika. Ten miecz puścił i na plecy poleciał z tak potwornym wrzaskiem przerażenia, jakby go piekło pochłaniało.

Szczur trzymany za plecami Michałka był rozdrażniony uściskiem i miotał się już wcześniej, lecz łba nie mógł ze szmaty uwolnić. Teraz nagle wyrzucony w stronę światła kąsał wszystko, co tylko stanęło na jego drodze. Zęby wpił w twarz leżącego strażnika, zwarł je i puścić nie chciał. Krew trysnęła na boki.

Michałko złapał za miecz wypuszczony z ręki strażnika i szybko, jednym ruchem, zakończył żywot obu szczurów. I zwierzęcego, i ludzkiego.

*

Niewielki wózek toczył się, skrzypiąc niemiłosiernie. Jego dwa pełne koła, zrobione prostą metodą ze zbitych desek, co i rusz zapadły się w błoto, uniemożliwiając dalszą jazdę. Człowiek, który go pchał, klął wtedy, opuszczał dyszel i szedł podłożyć kawałek kija od przodu. Potem znów napierał i jechał dalej, starając się ominąć co większe kałuże. Boczne drogi w grodzie nie były niczym wyłożone, to i w czasie złej pogody tak rozmiękały pod stopami chodzących mieszkańców, kopytami koni i wołów, że się stawały wielkim bajorem, przez które nie sposób było się przeprawić bez ubrudzenia nogawic. W błocie tym taplały się dzieci, łążyły kury, wypatrując jakich robaków do zjedzenia, i biegały psy obszczekujące obcych.

- Droga dla nieżywego! - krzyczał czasem mężczyzna pchający wózek, a potem dodawał po łacinie - *Mortuus! Mortuus! Discedite! Mortuus!*

Z desek stanowiących platformę pojazdu zwisały na boki chude ręce trupa, rozłożone tak, jakby otwierał ramiona na nadejście śmierci, nogi zaś, długie i białe, były skrzyżowane. Czasem się dłoń martwego zanurzała w błocie, opadała w dół, wtedy tragarz zatrzymywał wózek, poprawiał ją i jechał dalej, aż do momentu, gdy znowu się nie zsunęła.

Ludzie się na bok rozstępowali, pod ścianami zatrzymywali i gapili złęknieni. Dzieci ciekawskie odciągali. Nigdy to nie było wiadome, z jakiego to względu kto żywot zakończył i czy się jakoś jego śmierć przez powietrze na żywych nie przerzuci. Niektórzy się żegnali po chrześcijańsku, inni, co jeszcze hołowali dawnym zabobonom, okruch chleba na ziemię rzucali.

Grabarz miał na sobie chałat z dużym kapturem, a twarz tak błotem umazaną, że wyglądał, jakby był jakim mnichem zakonu piekielnego, a nie człowiekiem na służbie książęcej.

Stękał, naciskając na dyszel, i ponuro spoglądał w przód, praca jego bowiem należała do najmniej u ludzi poważanych. Nikt by mu ręki nie podał, bojąc się, że złe duchy taki uścisk przekaże albo nawet trupi jad. Dlatego też zwyczajne było, że tak jak kaci, tak też i cech pogrzebowy w grodzie miał prawo twarz pod kapturem chować i ją błotem czy sadzą smarować, dla zachowania tajemnicy. Dodawało to im jeszcze grozy - wyglądali na diabłów zaprzęgniętych do najgorszej roboty i prowadzących tych, co umarli, na dno piekieł.

- *Mortuus! Discedite! Mortuus!* - pokrzykiwał grabarz.

Dojechał z bocznej drogi, obchodzącej samo pallatium między budynkami czeladzi zamkowej, i skręcił na główny trakt do bramy grodzkiej.

Tutaj nawierzchnia była twarda i koła zaturkotały na kamiennych łbach. Wózek przyspieszył. Ciało martwego zaczęło podskakiwać, a z jego ust wysunął się siny język i utkwiał między wargami. Szmata, jaką było zasłonięte ciało, zsunęła się. Pokazała się gęba skurczona w śmiertelnym, ostatnim paroksyzmie, więc się tragarz znów zatrzymał i zakrył twarz zmarłego, żeby u ludzi strachu już większego nie budzić.

Dojechał do bramy. Tam go zatrzymali strażnicy.

- Co wiesz? - zapytał jeden z nich, podchodząc ostrożnie i z obrzydzeniem patrząc na wózek.

- Nie widzisz? - spytał grabarz ze złośliwym uśmiechem na czarnej gębie.

- Co ja widzę, to jedno, a co ty gadasz, to drugie - odparł tamten ze złością.

- Nie znam cię, grabarzu. Ten, co trupy wozi, dwa razy chudszy od ciebie - powiedział jego kompan.

- To brat mój. On grabarz na zamku, ale chory zległ.

- Chory, gadasz? - Tak.

Obaj strażnicy obeszlą wózek z ciałem zmarłego. Jeden wsadził włócznię pod szmatę uniósł lekko.

- Kto zacz? - spytał.

- Więzień.

- Więzień?

- Juści. Ten jeden, co ich to mieli obwiesić.

- Z tych, co szafot na nich stawiają?

- Z tych. Ten nie strzymał tortur. Musi jednak go jakiś demon opętał i z duszy nie chciał wyleźć. To się ciała tak przytrzymał, jak go chcieli wyciągnąć, że i więzień zdechł. Może też być, że go takie opętanie naszło, iż mu demon serce zatrzymał. Albo i zaraza jaka go za gardło chwyciła. Mnie tam wiedzieć nie potrzeba, dlaczego. Wywieźć mam go za miasto, spalić, a co zostanie, pod lasem zakopać.

- Odsłoń mu gębę - rozkazał strażnik.

Grabarz złapał za kraj szmaty i uniósł do góry. Ukazała się biała twarz, z otwartymi oczami skierowanymi w niebo i zsiniałym końcem języka między uchylonymi zębami.

Obaj woje aż się wzdrygnęli od tego widoku, szybko kazali zasłonić i jechać dalej.

Zarzucił grabarz szmatę, potem sam swój kaptur opuścił, za dyszel złapał i zaczął jechać dalej. Wjeżdżał już na drogę idącą w podgrodzie, gdy za usłyszał plecami.

- Stój, grabarzu!

Zatrzymał się. Strażnik podszedł i kazał mu jeszcze kaptur podnieść. Po czym zapytał:

- A jak to żeś do środka wjechał, jeśli my cię nie widzieli jadącego w tamtą stronę? Dyć grabarz na podgrodziu żywie?

Błysnęły oczy grubego mężczyzny o twarzy wysmarowanej czarnym tłuszczem i błotem. Westchnął, jakby takie pytania były tylko niepotrzebną udręką wobec i tak już ciężkiego losu.

- Bom drugą bramą wjechał. Trudno to pojąć?

- Drugą? Po cóż drugą?

- A po cóż książę drugą bramę postawił? Żeby stała? - grabarz się rozeźlił. - Jak chcesz, to sam tego trupa pod las zawieź i tam go zakop. Ja do chaty swojej wolę wrócić. Co?

Przez chwilę mierzył strażnika gniewnym wzrokiem, aż się ten zachnął, wzruszył ramionami i rzekł:

- Jedź już, jedź, grabarzu.

Skrzypnęły ośki kół.

- *Mortuus! Discedite! Mortuus!* - rozlegał się miarowy, znudzony krzyk grubasa pchającego wózek.

Ale droga zakręciła za gospodą, pojazd przyspieszył, a grabarz nadał swoim krokom dużej zamaszystości. Trup jęknął z bólu, podrzucany na wybojach.

- Ciszej, trupie! - rzekł tłusciuch i dalej z zacięciem napierał na dyszel.

- Michałko, wolniej! - dobiegł głos spod szmaty. - Wolniej! Daj zmiłowanie, dyc ja poobijany! Ty mnie zabijesz na tych wybojach, Michałko!

- Bądźże chociaż trupem, jak należy! - syknął grabas. Bocianek uchylił szmatę i z radością popatrzył w niebo.

Bolały go powykręcane stawy, ale znów mógł wciągnąć w płuca powietrze pachnące wolnością.



ROZDZIAŁ XIII

Sierpień 1238

Łieżko idzie się ścieżką, którą wydeptały zwierzęta. Widać ją ledwo co, nogi płaczą się wśród płożących nisko roślin, górna część takiej dróżki jest zarośnięta - w końcu biegają po niej stworzenia sięgające człowiekowi do pasa. Łatwo zbłądzić, trasa jest zawila, zmienia kierunki, krzyżuje się z innymi dróżkami, a gdy już wydawałoby się, że doprowadzi do jakiegoś celu, wtedy nagle zanika, ginie w trawach albo doprowadza do bajora, przez które nie przejdzie się suchą stopą. Tutaj dopiero, w gęstym lesie, poruszając się po podmokłym terenie, drużyna zaczęła doceniać rolę Wulfstana.

Starzec prowadził ich pewnie, aźby się zdawać mogło, że nie był człowiekiem, lecz zwierzęciem - doskonale, intuicyjnie odnajdował drogę w takich wypadkach, gdy zwykły ludzki umysł podpowiadałby obranie innego kierunku.

Być może prawdą jest to, że natura, jeśli komuś jednego zmysłu poskapi, to mu w innych wynagradza: ślepcy mają przecie słuch bardzo uważny i potrafią usłyszeć strzałę w locie. Tak i Wulfstan, chociaż cierpiał na głuchotę, miał taki rodzaj instynktu, węchu, wyczucia lasu i kierunku, że ciągle wyprowadzał ich na kolejne polany, odnajdując przejścia między mokradłami. Kilka razy nawet brodzili po kostki, idąc przez duże połacie lasu równo zalane wodą. Gdzie się człowiek rozejrzał, tam było widać mokradło. Wtedy to stary przewodnik szedł przodem, macał kijem dno i kazał się równo trzymać drogi przez niego wytyczonej, stąpać za jego plecami i pod żadnym pozorem nie stawiać kroku na bok.

Znać się dało, że imię Wulfstan ma nie od przypadku - zmienił się jego wygląd w czasie tej wędrówki: nos wyciągnięty do przodu nadał mu wyraz wilczego pyska, a broda i białe włosy wyglądały jak sierść basiora, prowadzącego watahę na leże zimowe. Czasem mieli wrażenie, iż węszy, zupełnie jakby zapach lasu mu zdradzał najodpowiedniejszy kierunek. Stary przewodnik czytał las, tak jak mnisi czytają swoje księgi - miał poczucie, że nikt poza nim nie może dostąpić tajemnicy, nic nikomu nie tłumaczył, oczekiwał, że gdy on się zatrzyma, zastanawiając nad tym co dalej, to inni posłusznie przystaną i w skupieniu będą go obserwować jak uczniowie mistrza. Kucał nagle, brał ściółkę do rąk, rozcierał w palcach i unosił do ust, a potem żuł. Kiedy indziej stawał i zadzierał głowę, patrząc na korony drzew. Myśleli początkowo, że szuka słońca, by się kierować jego wskazaniem, lecz on tak patrzył i w dni pochmurne - może więc to bieg chmur, może ich kształt coś mówił ważnego, a jest też możliwe, że oceniał szczyty drzew, w którą stronę się chwieją pod wpływem wiatru. Czasem obejmował drzewa, dotykał ich kory, macał palcami najmniejsze zagłębienia, odrywał skrawki mchu, sprawdzał, jakie owady po nich chodzą. Gdy ptak nagle głośniej zaśpiewał, wyfrunął z gniazda, wtedy unosił dłoń, by kawalkada się zatrzymała. Patrzyli zgodnie za jego wzrokiem. I znów ruszali. Przyzwyczaili się do rytmu marszu, do trzymania sobie wzajem sprężystych gałęzi, by nie uderzały w twarz tego, kto idzie z tyłu. Instynktownie pochylali głowę. Przekładali tak nogę przez leżące w poprzek konary, by się nie potknąć, albo nadeptywali na kolczaste pędy, by im się nie czepiały ubrania. W podróży pomagały im kije, każdy z nich miał w ręku taką wystruganą laskę, jaką na początku zrobił sobie Wulfstan.

Marsz był dodatkowo utrudniony przez spory ciężar, jaki nieśli na swoich barkach. Sama kolczuga Dragiełły, jego ukochana Kundzia, ważyła tyle, co drobna kobieta - nie była trudna do udźwignięcia dla jucznego konia rycerza, ale Zebub pozostał w chacie rybaka

Marchoła i oręż wraz zbroją obciążył barki braci Job. Zaś Karlito, ku wielkiemu niezadowoleniu, targał resztę - nakolanniki, nałokietniki, belty do Adelajdy i szyszak bojowy swojego pana. Stękał więc niemiłosiernie i narzekał na swój los.

Szedł jako przedostatni w kolumnie, oddzielała go od rycerza Hanna i Hiob, mógł sobie pozwolić na mruczenie pod nosem.

- Jakaż to zła strzyga mnie, karła tynieckiego, podkusiła do tego, bym rzucił ciepły próg kościoła i swoją żebraczą profesję. Toć bym tylko jęczał, a jedynym moim frasunkiem by było, ile mi ludziska dobre rzucą jałmużny za ciężką robotę, czyli siedzenie i żebranie. Ciężką, bo dla duszy mądrej jest to czynność upokarzająca, więc dużego trzeba wysiłku, żeby swoją pychę zdusić, a mlaskać, a wyglądać na chorego, a błagać o wsparcie, a rękę wyciągać. A tak? Na co mnie przyszło? Po lasach idę, targam szyszak rycerza, przez bagna się przedzieram, a wszystko przez to, iż mojemu panu się ubzdurało, że trzeba leżeć do jakiegoś Bliznobrodego. Cóż mi, że ma bliznę na brodzie? Wielkie mi co. Ja już wiele lat temu z zem niechęcy usiadł na piecu rozgrzanym i taka mi się blizna na tyłku zrobiła, że do dzisiaj ją mogę wyczuć, kiedy za portki sięgnę. Lecz mnie pokora chroni, bym się z tego względu nazwał Bliznotylek.

- Co tam, Karlito, gadasz? - obróciła się do niego Hanna.

- A nic, nic, panienko. Rozpatruję sobie w myślach majestat tego Bliznobrodego, do którego gnamy przez puszcę.

- I cóż ci wychodzi?

- Że on musiał kiedyś usiąść gębą na piecu. Tak mi to wychodzi z mojego karlego żywota.

Białogłowa uśmiechnęła się i uchyliła przed gałęzią puszczoną przez Hioba. Garbus przestał gadać pod nosem, bo stwierdził, że samo myślenie, bez wypuszczania słów na zewnątrz, jest bezpieczniejsze.

Ścieżyna doprowadziła ich do wodopoju nad niewielkim strumieniem. Wulfstan zatrzymał się. Węszył przez chwilę i wydał dyspozycję założenia obozu na noc jakie sto metrów od wody.

Przeszli więc trochę dalej. Bracia Job nałamali gałęzi, by zrobić miejsce do spania. Dragiełło wyjął z pochwy swój miecz i podał im, radząc by, ścięli trochę trawy dla miękkości legowiska. Karlito z westchnieniem ulgi zrzucił worek na ziemię i padł zmęczony.

- Daleko jeszcze, Wulfstanie? - zapytał.

Starzec uśmiechnął się i popatrzył w niebo. Nie odpowiedział. Bo nie słyszał pytania.



Księżna siedziała na łożu obłożonym miękkim futrem z łosia. Gładziła je dłonią, na której błyskały pierścienie. Włosy, upięte opaską z przeplecionego srebrnego łańcuszka, opadały jej łagodnie dwiema błyszczącymi kaskadami na ramiona. Suknia z grubego, krwistego materiału, miała rękawy, które nie kończyły się przy nadgarstkach, lecz modą zachodnią wisiały dużo niżej, świadcząc o zbytku, majątności i podążaniu za tym, co kobiety w świecie uznają za piękne. Na nogach miała pantofelki z delikatnie wyprawionej skórki cielęcej, pofałdowane, spięte broszą na zewnętrznej części stopy. Nogę założyła na nogę i bujała nią powoli, z pełną świadomością wyzywającego charakteru tych delikatnych ruchów. Wygięła ramiona, brodę uniosła do góry. Służka stojąca obok zdjęła jej opaskę z głowy i wtedy włosy rozsypały się na ramiona. Księżna przesunęła się na róg łóżka i pozwoliła rozczesywać sobie czarne, błyszczące pukle. Pękata służąca łapała je lewą ręką i unosiła, by szczotką z rogu nadać im falisty porządek.

- Czemu tak mi się przyglądasz? - spytała, spoglądając na Szalbierza. On siedział na niewielkim krześle i głaskał małpkę po karku.

- Nie wiem, co wam odpowiadać, nie wiem, co myśleć - rzekł ponurym głosem.

- Jak to nie wiesz? Przecież patrzysz tak żywo, że mogłabym przysiąc, iż w twojej głowie kłębią się różne myśli. Powiedz mi jakie?

- Wybaczcie mi, lecz nie umiem składnie ich wypowiedzieć.

Zaśmiała się.

- Powiedz z serca. Ja nie żyję wśród takich, co znają się na dworskich obyczajach, a może nawet przeciwnie. Nie słowa się liczą w Sudovii, ale męskie czyny.

Jeruzalem milczał. Służka udawała, że w ogóle nie docierają do niej słowa wypowiedane przez panią.

- No, Jeruzalemie? Imię masz takie jak Święte Miasto, a ja myślę, że powinieneś się raczej nazywać Betlejem - taka skromność i prostota jest w tym, co mówisz.

On dalej milczał, jeszcze bardziej stropiony jej słowami. Kręcił się na krześle, czuł się nieswojo, lecz kazała mu usiąść, a on, jej niewolnik, musiał słuchać. Gdy kazała mu tańczyć z Gigi, wtedy razem skakali, małpka grał na talerzyku, a on śpiewał. Księżna klaskała z radością w dłonie i śmiała się. Zrywał łańcuchy ku jej uciesze i lyał płomienie na kij. Dał nawet pokaz wszystkim służkom i pozostałym żonom, które przedstawiła mu po kolei, lecz na koniec wzięła Jeruzalema za ucho i szepnęła doń cicho:

- Skomand ma wiele żon, lecz tylko jedną księżną, pamiętaj. Tą księżną jestem ja.

Nazywała się Krutynia, miała w sobie czar prawdziwej wielkiej pani, żony władcy, i zdawała się zupełnie nie pasować do dzikiego miejsca, w jakim żyła.

- Jeruzalemie, widzę, że się zaczerwieniłeś. Nie ukryjesz tego pod twoją śniadą skórą. Przyznaj, jakie są twoje myśli - szebiotała i uśmiechała się. - Może kępuje cię Gowinda? Nie bój się, Gowinda jest moją ukochaną niewolnicą, nigdy się na niej nie zawiodłam. Nic nie słyszy, nic nie mówi, nic nie myśli nawet, jeśli trzeba. A ty też nic nie mówisz, a przecież słyszysz i przecież myślisz.

- Nie tak, pani. Nie wiecie... Ja... Wy... - znowu wyjął nerwowo, próbując jakoś się usadzić na krześle.

Najchętniej by splunął. Lecz opanowywał się i zebraną w ustach ślinę łykał.

Im bardziej ona go podpytywała, im mocniej szebiotała, im goręcej na niego patrzyła, tym się czuł bardziej zakłopotany. Lepsze już byłoby spotkanie z rozjuszonym dzikiem w kniei niż z taką białogłową. Jednocześnie obawiał się, by jej nie urazić, wiedział, że od jej woli zależy jego los. Gdy na nią patrzył, czuł się tak oczarowany, że nie mógł oderwać wzroku. W swoich sukniach, klejnotach, pachnidłach i wstążkach upinanych we włosy, z władczą pewnością siebie była w tym zamczysku stojącym pośrodku jaćwieskiej puszczy czymś niebывалым - jak kwiat rosnący pośrodku tętniącego lawą, piekła.

- Myślę... - zaczął nieporadnie.

- Dobrze zaczynasz. Powiedz więc, co myślisz.

- Dziwuję się - kontynuował, szukając słów - że wy, pani, tu... w tym miejscu... tak... nad tym się dziwuję.

Nagle z miłego dziewczęcia, z królowny, zmieniła się w kobietę o mocnym spojrzeniu. Zupełnie tak, jakby przed chwilą grała komedię ze sobą w roli głupiej dziewczeczki. Odtrąciła rękę ze szczotką.

- Zostaw nas, Gowindo - rzuciła tonem twardym, nieznoszącym sprzeciwu - i odprowadź tę małpę.

Niewolnica natychmiast posłusznie odłożyła szczotkę do włosów. Wzięła z rąk Jeruzalema smycz. Wyszła, zamykając drzwi.

Księżna zatrzasnęła skobel. Szalbierz przełknął ślinę, próbował wstać z krzesła.

- Siedz - powiedziała takim tonem, że nie śmiał się sprzeciwić. Podeszła blisko niego i potrząsnęła głową, tak że włosy otoczyły jej twarz jak grzywa zwierzęcia prezentującego swoją siłę. Oparła jedną rękę na nodze Jeruzalema, drugą wsparła o jego pierś. Zobaczył przed sobą te same głębokie, czarne gorejące oczy, które widział na arenie. Zamruczała jak kocica.

- Dziwujesz się, czemu jestem tutaj, wśród dzikiego ludu. Odpowiem ci.

Jęknęła, pochyliła głowę i złapała go delikatnie za ucho. Jej włosy omiotły mu twarz. Poczul woń pachnideł i olejków. Zamrugał łaskotany dotykiem, zadrzał.

Znów spojrzała mu w oczy. Bardzo blisko.

- Jestem tu, mój dziwaku, dlatego że tu mogę być cesarzową. Cesarzową. Rozumiesz?

Powoli usiadła mu okrakiem na kolanach, podwijając suknię. Musnęła wargami jego usta, potem przechyliła się na drugą stronę, złapała zębami drugie ucho, ssała przez chwilę jego koniec. Puściła je, dotykając jeszcze końcem języka. Wyszepiała, a on czuł w uchu gorąc, parność jej oddechu:

- Po drugie, moja małpko, tutaj ja, Krutynia, mogę zdobyć to, co chcę. Mogę płacić taką cenę za to, co chcę, że nikt nie jest w stanie tyle zapłacić. Ta cena to życie. Ale nie moje. Cudze. Takie jak twoje. Czy zrozumiałeś mnie, małpko?

Jej ręce zaczęły rozpinać kaftan Szalbierza. Złapał ją za nadgarstki i zepchnął z kolan. Wstał, trzymając mocno za ręce. Wygięła się w tył i zamruczała.

- Małpko, nie bądź barbarzyńcą. Mnie to nudzi. Skomand jest dzikiem. Ty nie bądź dzikiem. Bądź zręczny, małpko.

Głowa jej odchyliła się w tył. Zaczęła opadać na nogach, żeby uklęknąć. Wtedy pchnął ją na łóżko. Poleciała z chichotem.

Szybko podciągnęła suknię, tak że było widać jej nagie nogi. Wbiła w niego rozpalony wzrok, kręcąc głową i dalej mruczac głęboko.

Jeruzalem sięgnął za swój kaftan i wyciągnął zawiniątko wiszące na szyi. Rozsuptał woreczek.

- Co tam masz, małpeczko? - jęczała.

Z sakiewki wyjął pukiel włosów przewiązany rzemykiem. Wyciągnął go przed siebie w drżącej dłoni.

- To są włosy kobiety, którą kocham.

Zamarła. Przez chwilę nie rozumiała, co się stało. Gdy do niej dotarło zmarszczyła brwi i prychnęła.

- I cóż? - warknęła.

- I tyle, pani. Wybacz, ale nie mogę - powoli opuszczał trzęsącą się rękę.

Zerwała się tak szybko jak błyskawica. W oczach miała wypisaną furię.

- Co powiedziałaś, małpeczko?

- Moje serce już należy do kogo innego.

- Idiota! Myślisz, że o serce mi chodzi?

Złapała go za rękę i podniosła ją, ściskając ze złością, na wysokość oczu.

- To kochasz? To? Kawałek włosów kobiety, której nigdy w życiu już nie zobaczysz?

Powoli zaczęła wyciągać mu pukiel z dłoni, odginając na siłę kolejne palce.

W końcu wyrwała włosy. Pokazała mu przed nosem:

- To kochasz? Jesteś pewien?

- Tak - odparł, opanowując drżenie warg.

- Dobrze - rzuciła nerwowo.

Podbiegła do kominka i rzuciła włosy na płonące drwa. Zaczęły skwierczeć i kurczyć się. Jeruzalem patrzył na nie, zaciskając dłonie. Z włosów zaczął buchać dym, unosić się siwymi strużkami. Kolejne fragmenty pukla skręcały się, topiły na kawałku rozżarzonego węgla. Czuł, jak zaczyna mu brakować oddechu. Powoli wyciągnął rękę w stronę ognia. W głowie zaczęła mu pulsować krew. Z jej szumu, z widoku skręcających się w płomieniach kosmyków doszedł go jak zza mgieł głos Hanny:

„Na cóż wam, czekać, gdy dzień pusty za dniem, gdy nic i nikogo nie dogoni, gdy ruch nie pogania ruchu? Puśćcie go, z gwiazdami zwiążcie, zaufajcie drodze. Siedmiu będzie, siedmiu uratuje, siedmiu z mieczem w dłoni. Miecz ratuje. Miecz chłodzi. Miecz to daje, czego brak!

Ja płonę! Dajcie wody! Palę się! Ratunku! Włosy! Włosy moje płoną!”.

Cofnął się przerażony i krzyknął:

- Nie!

Głos Hanny zniknął. Krutynia dopadła do niego i z całej siły zdzieliła go w twarz.

- Precz, psie! Precz! Już nie żyjesz! Precz!

Uderzyła go we wściekłości kilka razy i wygnała z komnaty, po czym szlochając, padła na łóżko.

◆◆◆

Dragiełło obudził się. Wydawało mu się, że ktoś krzyknął. To był głos kobiety. Może Hanna śniła jakiś koszmar? Uniósł głowę. Ognisko przygasło, tliło się smużąc błękitnym dymkiem przy samej ziemi. W powietrzu wisiała już szarość świtu. Rycerz patrzył spod przymrużonych oczu, podciągając opończę, żeby okryć się od porannego chłodu. Hanna oddychała ciężko, chrapliwie, jakby rzeczywiście we śnie nawiedzały ją historie burzące krew. Pewnie ona krzyknęła. Pogromca smoków położył z powrotem głowę. Chwilę leżał, wsłuchując się w ciszę, która zawisała nad lasem, mającym już niedługo obudzić się do życia - nie śpiewały ptaki, nie szumiały potężne, wiszące nad nimi konary. Rycerz obrócił się na bok, próbując zasnąć.

Ktoś zaczął chrapać. Otworzył oczy. To jeden z braci Job przewrócił się na plecy i zaczął koncert. Na szczęście drugi spał spokojnie - chrapanie obydwu naraz już kilkakrotnie skutkowało tym, że budzono ich w nocy, z poleceniem przesunięcia się dalej.

Dragiełło popatrzył w stronę posłań Wulfstana i Karlita. I uniósł się gwałtownie. Oba posłania były puste.

Rozejrzał się. Nigdzie ich nie było widać. Bardzo powoli sięgnął do leżącego obok miecza. Złapał za rękojeść i wyciągnął tak, by klinga, szorując o obejmę pochwy, nie wydała żadnego dźwięku. Gdy miał już w dłoni Zedrzykaptura, wtedy odrzucił opończę i uniósł się na kolana. Nie na darmo niespodziewane napaści wykonuje się w porze przedświt: wtedy ludzie śpią najmocniej, wtedy są najbardziej otumanieni i wtedy też szarość opanowująca świat stawia przed oczami najgorsze mamidła, przekłamując rzeczywistość. Krzak wydaje się obcym wojem, gałąź bujająca na wietrze ręką uzbrojoną w topór, a twarzy wroga można nie rozeznąć, biorąc ją za kolejną szarą plamę liści w gęstwinie.

Zamrugał kilkakrotnie, by wzmocnić trzeźwość spojrzenia. Przewodnik wraz z karłem gdzieś zniknęli.

Dragiełło obszedł całe obozowisko rozłożone okręgiem wokół ogniska. Miejsce wybrane na nocleg leżało kilkadziesiąt metrów od strumienia płynącego przez las, rycerz postanowił więc dojść nad wodę. Szedł powoli, bardzo ostrożnie stawiając krok z krokiem, uważając, żeby nie nadepnąć na żaden patyk. Im bliżej wody, tym wyższe były trawy, tym bujniejsza zieleń. Potomek świętego Jerzego wymamrotał szybko pod nosem modlitwę, prosząc o wsparcie w nieoczekiwanych okolicznościach losu. Trawy odgarniał mieczem wysuniętym do przodu. Nad rzeczkę prowadziła niewielka ścieżka, jaką wydeptali oni sami wieczorem dnia poprzedniego, chodząc po wodę do przegotowania. Już nad samym strumieniem, gdzie korzenie zwieszały się nad wodą, zobaczył sylwetki dwóch ludzi. Byli to Karlito i Wulfstan. Obaj siedzieli pochyleni ku sobie i szeptali.

Dragiełło przykucnął, tłumiąc bicie serca. Wyteżył słuch. Niestety, był zbyt daleko. Musiał wykonać jeszcze kilka kroków, żeby znaleźć się w odległości umożliwiającej podsłuchanie rozmowy. Widać było, że karzeł gada, a starzec słucha - garbus bowiem machał swoimi krótkimi łapami, a przewodnik nachylał ku niemu siwą, bielejącą w szarości świtu głowę.

Dragiełło podkraść się bliżej. Opadł na kolana. Miecz położył płasko na ziemi. Poruszał się powoli jak drapieżnik zbliżający się do zwierząt przy wodopoju - każdy najdrobniejszy ruch mógł go zdradzić, dlatego uwagę miał napiętą do granic możliwości.

Wprzód wysunął swoją bródkę, jak pysk wężący zapach ofiar, a oczy pałały mu taką dzikością, że sam ich widok przekonałby każdego, iż oto człowiek zamienił się w wilka.

Teraz zaczął coś mówić Wulfstan, lecz i jego słów nie mógł Dragiełło rozeznaczyć.

Rycerz podsunął się kawałek dalej i w tej chwili nieszczęśliwie nastąpił kolaniem na niewielką gałązkę. Pękła z traskiem. Stary przewodnik zerwał się na równe nogi. Garbus natomiast zatoczył się w tył i byłby spadł do wody, gdyby nie sterczący kawałek korzenia, o który oparł się jego garb.

Dragiełło podskoczył z szybkością błyskawicy, miecz zawisł pod brodą Wulfstana.

Starzec miał oczy rozszerzone ze strachu. Wargi mu zadrżały.

- Co wy?... - wyjąkał.

- Milcz! Na kolana, psie!

Przewodnik, bez próby powiedzenia czegokolwiek więcej, ukląkł.

- Cóż, panie? - Karlito wygramolił się z korzenia.

- Ty, mały psie, także na kolana padnij, zaraz i z tobą się policzę.

- Lubo co za złości? Panie? Co złegośmy uczynili? - jęczał garbus, lecz posłusznie opadł na kolana, jak mu kazał jego pan.

- To zaraz dojdziemy, coście uczynili, zaraz dojdziemy.

Zwrócił się teraz do Wulfstana, cały czas trzymając ostrze miecza pod jego brodą.

- Coś słuch wam się ostatnio poprawił, panie przewodniku leśny.

- Mnie? - powiedział, chrząkając, stary człowiek. - Gdzieżby?

- Ledwo na gałązkę nadepnałem, to żeście się zerwali, jakbyście cały zagon rycerski usłyszeli. A podobno tacy żeście głusi...

- Bom głuchy. Całkiem głuchy. A cóż ja poradzę, że mam swoją głowę wyczuloną na duchy leśne? Tych jest bez liku.

- Wy mnie tu duchami nie zwodźcie. Już ja widziałem, jakieście się na trzask patyka zerwali. Jak królik.

- O, źle mnie oceniacie, rycerzu, źle. Jestem czuły na odgłosy lasu, lecz nie ze słuchu jako takiego się to bierze.

- Nie? A z czego to? Bardzom ciekaw?

- Z serca i głowy wyczulonej na to, co mi gadają leśne duchy. One to mnie ostrzegły, że zdrajca jakiś się podkrada i może chceć dybać na nasze żywota.

- Duchy leśne? Zdrajca się skrada? O ty, gadzie przeklęty. Nie dość, żeś was złapał na jakichś knowaniach, to mnie jeszcze zdrajcą nazywacie? O czym to tak w tajemnicy żeście tu ćwierkali? Jak ptaszki na nadejście świtu?

- W tajemnicy? - wtrącił się nagle karzeł. - Panie mój kochany, zmiarkuj, proszę, w jakiej tajemnicy?

- Milcz, łotrze, ja się ciebie nie pytam. Na razie. Potem i ciebie odpytam, a gdy trzeba będzie, to odpowiednio ukarzę.

- Daj to Boże, zlitowania proszę, panie mój - zaczął płakać garbus. - Nic to złego żeśmy nie czynili.

- Dobrze gada wasz sługa. Nic złego - powiedział Wulfstan, przenosząc wzrok ze srebrzystej klingi mierzającej w jego grdykę na twarz Dragiełły. - Za to wy teraz źle czynicie, trzymając nas na kolanach i pod bronią, jako zbójców. Już mnie to dziwiło, jak żem widział, że z kuszą chodzicie. A to rzecz nie rycerska. Już żem słyszał, jak żeście za komedianta w Lecbargu robili, to jeszcze wstydlivsza. Ale teraz już się całkiem z motłochem żeście na miejsca zamienili, całkiem schamieli.

- Zamilcz! - wrzasnął wściekły Dragiełło i nacisnął lekko końcem miecza na szyję Wulfstana. Ten jednak nie cofnął się. Patrzył w oczy rycerza i gadał dalej.

- Nie zamilknę, udawany rycerzu. Szaleńcu! Najpierw czynisz, zanim zapytasz w czym rzecz. Najpierw oskarżasz, zanim sprawę rozpatrzysz. Teraz to, niby rycerzem się mieniąc, starego człowieka na kolanach trzymasz pod mieczem i wrzeszczysz jak na pacholka. Czyliż to się ma jakoś z rycerskim stanem? Czyliż jest honorem? Bo mi się zdaje, że jest całkiem bandyckim obyczajem. Jakoście tacy, to mnie zabijcie. Już. Teraz. Pchnijcie mieczem. Potem się od karła dowiedcie, o czym to tak knuliśmy, jak się wam wydaje. Ale już za późno będzie, piekło was pochłonie na sądzie ostatecznym, bo takiego morderstwa, danego bez przyczyny, żaden sługa Boży w majestacie prawa kościelnego wam nie wybaczy. Pchnijcie starca mieczem. Nad rzeczką. Nikt nie zauważy. I sługę swojego też może ukatrupcie, żeby świadków nie było. A jak was spytają, co z nimi - dopowiedzcie: zbójcy ich dopadli. Bo ino zbójcy o świecie mordują. Rycerz szlachetny najpierw sprawę rozpatruje, potem dopiero za miecz się chwyta.

To powiedziawszy, przymknął oczy i minę przyjął osoby czekającej na ruch katowskiego topora. Przygryzł Dragiełło węża, z nogi na nogę przestąpił, w końcu miecz odjął i rzekł:

- To gadajcie. Co tu się kumotrujecie? O świecie? Nad rzeką? Nie Iza to normalnie, przy ogniu?

- Przy ogniu byśmy was pobudzili, panie! - wyrwał się karzeł. - Dopiero byście byli źli. A wszystko moja wina, ja wam rzeknę.

- Twoja? Cóż żeś wymyślił?

Garbus wstał z klęczek, zbliżył się, wykrzywił żałośnie swoją gębę kostropatą i zaczął wyjaśniać:

- Spać dzisiaj nie mogłem. Co się położyłem na bok, to mnie coś swędziało w garbie. A że na plecach spać nie mogę, z racji takich uzgodnień natury z moją matką, tak też i szukałem snu długo. Potem się, panie mój, zdrzemnąłem na trochę, ale mi się takie stwory leśne, przerażające, śnić zaczęły, że się już chciałem znowu obudzić. Ale nie szło. Zjawy jakieś spod krzaków wpełzły, za nogi mnie chwyciły i wkładały głowę w dół do kotła z gorącą wodą.

I zaraz za nimi przyszły strzygi z bagien i moczarów. Te miały włosy długie i mokre. Tak mnie onymi włosami okręciły, że myślałem, że mnie uduszą potwory. Złapałem za te wodorosty i zacząłem z gardła odrywać. Dusilem się już do reszty, żywot mój odpływał, kiedy nagle nad sobą Wulfstana dostrzegłem, co mnie klepnął po policzku i ze snu wybudził.

- Prawdę gada wasz sługa. Tak właśnie było - potwierdził starzec, kiwając głową. - Karlito mnie wtedy pytać zaczął, jakie to duchy zamieszkują jaćwieskie puszcze i jak się bronić przed nimi. A tak był ciekaw wszystkiego, taki gorączkowy, że mu postanowiłem rzecz wyjaśnić, uspokoić. A żeby nie gadać przy was, żeby nie pobudzić reszty...

- I żeby wody się napić, bo mi gardle było sucho po tych snach - dodał karzeł.

- Tu żeśmy nad rzeczkę przyszli - dokończył stary przewodnik.

Patrzył na nich chwilę Dragiełło, wąsa tarosił, loczek brody na palec zawinał.

- Coś zawile gadacie.

- Jak zawile? Panie? Toć już jaśniej nie można - podkuśtykał do niego karzeł i za nogawkę uchwycił. - Przecie wiesz, mój panie, że nigdzie na świecie drugiej istoty tak ci wiernej nie znajdziesz jak ja. No może krom twych koni - Bela i Zebuba.

- Jak widzicie, Dragiełło, wasza zapalczywość była przedwczesna. Lepiej to porą świtania nie dać się zwieść oparom umysłu, który ze snu dopiero się przebudził. Bo się można zmylić własnym myśleniem - rzekł Wulfstan i wstał z klęczek, otrzepując kolana.

- Tego, czym się zmylił, nie wiem. Umysł mi każe uznać wasze opowieści i wyjaśnienia. Serce podpowiada co innego. Już raz żem jednego nad rzeką zdybał, jak dziwne rzeczy wyczyniał. Potem się okazało, że knuł zdradzieckie plany. Teraz się znowu tak dzieje.

- Dyć, jakie zdradzieckie plany knujemy? Rycerzu, ze snu wstańcie, dzień nadchodzi.

- Niech wam będzie. Zmogliście mnie siłą waszej przemowy. Ale co mam was na oku, to nie odpuszczę, więc się na baczości lepiej miejcie.

Rycerz schował miecz do pochwy i wskazał im drogę ku ognisku. Gdy odeszli stawiając kroki dumnie, niczym urażeni w godności władcy, Dragiełło pogładził się po brodzie i rzekł sam do siebie:

- Teraz wam jeszcze nikczemności nie udowodniłem. Lecz gdy ją zobaczę, wtedy już się gniewu mojego obawiajcie. Wulfstanie, przeoczyłeś w swym myśleniu jedną rzecz - jakże to głuchy się budzi na krzyki nocne karła, a ci, co słuch mają dobry, śpią spokojnie? Uważaj, potomek to świętego Jerzego czeka na twoje następne potknięcie. Uważaj, bo cię twa pewność siebie do zguby dowiedzie. A na razie - sądz mnie za wariata. Tak i lepiej, tak lepiej.

Klepnął w rękojęść Zedrzykaptura, jakby mu chciał rzec, że obaj mają udać naiwność i poszedł także w stronę ogniska. Wstawał dzień. Przed nimi był kolejny dzień podróży.



Izba, w której spali niewolnicy, miała jedno wąskie wejście o skrzypiących drzwiach. Dlatego też, by nie budzić się nawzajem nocnym bieganiem za potrzebą, drzwi owych w ogóle nie zamykano. W jednym pomieszczeniu spało kilkunastu mężczyzn. Jeruzalem jako nowy, wraz z grajkiem - flecistą, został ułożony prawie w przejściu. Każdy, kto w nocy się zrywał, by biec w stronę gdaniska zamkowego, musiał minąć jego pryczę. Często kończyło się tym, że wpadał w ciemnościach na łoże Szalbierza i go budził. Klatkę z małpką Jeruzalem trzymał w jednym z kątów na skrzyni, ale powodowała ona ciągle napięcia z resztą służby. A to Gigi piszczała za głośno, a to tłukła się w środku, domagając wody czy jedzenia, a to wrzeszczała, bo ktoś ją specjalnie podrażnił - i musiał Szalbierz stawać w jej obronie. W zamku przebywali niewolnicy, którzy zajmowali się bezpośrednią obsługą księcia i jego dworu: kucharze, stolnicy, pokojowi, łaźiebni, krawce, minstrele i tłumacze na inne języki. Zajmowali dwie duże izby. Trzecia była zajęta przez kobiety. Surowo były wzbronione wszelkie kontakty między płciami. Zaś czystości wejścia do izby kobiecej pilnował eunuch, Saracen przywieziony z jednej wypraw łupieżczych. Całość była urządzona prawie jak na dużych dworach książęcych w krajach objętych opieką Świętej Stolicy, na nich wzorowana. Bliznobrody kreował się na prawdziwego cesarza puszczy, toteż sprowadził sobie ludzi gotowych pomóc mu w dziele konstruowania silnego jaćwieskiego państwa, płacił im złotem, pozycją, władzą, kobietami i obietnicą przyszłych, jeszcze większych, sukcesów. Był Temudżynem lasu: jak tamten zbudował potęgę ze słabych ludów koczowniczych w stepie, tak on robił to samo z plemionami jaćwieskimi, a w dalszym czasie chciał uczynić z leżącymi na zachód i północ plemionami pruskimi. Niewolnicy, nadzorowani przez Jadę, mieli być kolejnym świadectwem wyrastania dzikiego księcia pogańskiego ponad wszystkich okolicznych nobilów i wodzów poszczególnych plemion.

Jeruzalem dość szybko został wprowadzony do głównych izb zamkowych i zaczął zabawiać Skomanda figlami z małpką. Bliznobrody klaskał wtedy w dłonie, popijał piwem lub miodem i darł się na cały głos, wykrzykując pijackie piosenki. Wtórowali mu jego kompani, waląc toporami w stół albo rzucając w Szalbierza i małpkę kośćmi. Unikająca kostek małpka była jeszcze ucieszniejsza. Stojący bez ruchu Jeruzalem także ich bawił.

Gdy wieczorami zasypiał na swoim łożu, słyszał nieprzychylnie komentarze niewolników zazdrosnych o jego pozycję.

Tej nocy Jeruzalem zapadł w lekki sen. Co chwila budził się, gdyż zdawało mu się, że ktoś chodzi obok. Przekręcał się na bok i znowu zasypiał.

W końcu otworzył szeroko oczy, mając wrażenie, że ktoś go dotknął. Nasłuchiwał. W izbie słychać było tylko postękiwania i chrapanie pozostałych niewolników. Zamknął oczy i znowu poczuł dotknięcie. Ktoś położył rękę na jego ramieniu. Złapał za tę dłoń i ścisnął.

Poczuł włosy obok swego ucha i rozchodzącą się w powietrzu woń pachnideł.

- Cicho - usłyszał szept. - Wstań powoli i idź ze mną. Uniósł głowę.

- Nie rób hałasu. Jeśli nas zobaczą, zginiesz i ty, i ja. Tego bądź pewien - kobieta szeptała nadal. - Czekam na krużganku.

Zniknęła w ciemności jak senna zjawa. Bezszelestnie uniósł się z pryczy i wyszedł.

Czekała na niego zaraz za drzwiami. Złapała za rękę.

- Nie piśnij nawet. Chodź prędko. Muszę z tobą mówić.

Ciągnęła go po korytarzu. Coś skrzypnęło gdzieś dalej, jakieś drzwi. Światło się ukazało w oddalonej części. Schowali się za załomem, przeczekali, znów pobiegli dalej. Później wyżej, schodami na piętro. I we drzwi do korytarzy księcia i jego żon. Aż w końcu znaleźli się w komnacie księżnej.

Zaprowadziła do łóżka i pociągnęła tak, żeby usiadł. W ciemności nocy usłyszał jej płacz. Złapała go, po omacku, za rękę.

- Wybacz mi, proszę - chlipała i zbliżyła głowę do jego ramienia. - Nie chciałam cię urazić.

Milczał. Skupiał myśli rozgorączkowany.

- Jestem na skraju nieszczęścia, na skraju śmierci. Co ci mówiłam o tym wszystkim, o tym, że ja jestem... że jestem szczęśliwa... to nieprawda. Nie jestem. Skomand mnie siłą uprowadził z grodu w ziemi chełmińskiej, a ja tutaj... Musiałam. Co miałam robić, powiedz mi? Co? Byłam jeszcze dziewczynką.

Mówiła, a on czuł, jak szłocha. Kolejne wstrząsy targały jej plecami. Przyłożyła twarz do jego piersi.

- Ty myślisz. Wiem, co myślisz. Ale ja nie taka. Nie taka.

- Zostaw mnie - warknął.

Wstał i podszedł do otworu okiennego. Wyrzwał na zalane światłem księżycowym jezioro.

- Ty nie wiesz, kto ja jestem. Jestem jak ptak, Krutynie Dziki ptak - powiedział.

Podeszła od tyłu, popłakując cicho, przytuliła się do jego pleców.

- Wybaczysz mi, ptaku, co ci rzekłam ostatnio? Patrzył smutno w stronę jeziora. Daleko grały światła ognisk gdzieś na brzegach, w obozowiskach.

- Daj mi skrzydła jakie, to ci wybaczę. Daj odlecieć.

- Tego nie mogę, wiesz. Lecz wybacz mi. Ja nie jestem zła.

- Wiem, że nie jesteś.

Powoli przesunęła rękę po jego ramieniu na przód, zaczęła masować muskularną pierś wojownika.

- Zostaw mnie, Krutynio, proszę - odepchnął ją. Bez słowa odeszła kilka kroków. Słyszał ją za sobą, jak stąpa w stronę łoża, jak pada na nie z szelestem szat. Po chwili zaczęła szlochać. Jej spazmy były coraz silniejsze.

- Zabij mnie - usłyszał łkanie, jak psa skomlącego o najdrobniejszy kąsek - zabij, proszę, Jeruzalemie. Tyś się pojawił tu po to, żeby mnie wybawić. Ja wiem. Wiem.

Gdy cię ujrzałam tam, na arenie, już wiedziałam. Już czułam. Jeśli nie tak mnie wybawisz, to inaczej. Zabij - masz nóż, weź i przebij moje serce. Gdy mnie odpychasz, to już więcej nic dla mnie, zabij mnie... Podszedł do łoża, usiadł koło niej.

- Uspokój się, Krutynio. Ja jestem tylko wędrowny szalbierz, kuglarz i magik. Zwodzę ludzi.

- To mnie tak zwiodłeś swoją sztuką? Specjalnie usidliłeś, żeby dręczyć potem odmową?

- Nie. To rozumiesz, co chcesz, z moich słów. Ja nie dla kobiet stworzony jestem. Jam ze stepu. Z wiatru. Z dzikiego lasu ja. Nie dla ciebie, księżno.

- A dla kogo? Dla tamtej? Jeruzalem nie odpowiedział.

- Milczysz? Więc dla tamtej? Dla tej... co jej włosy miałeś?

Nie mogła się doczekać odpowiedzi, więc zaczęła płakać znów, mocniej i mocniej, aż wpadła w taki szloch, jaki przy stosach pogrzebowych jeno płaczki uzyskać potrafią. Przeradzający się w skowyt, dziki i zwierzęcy, z trzewi dobytą, targający duszą i sercem, jakby z samego dna wszelkich ludzkich nieszczęść. Mogło się zdawać, iż łyż ją zaraz zaduszą.

Jeruzalem kręcił się niepewnie, nie wiedząc, co robić, w końcu splunął gdzieś na deski podłogi, położył się koło niej i zaczął gładzić po włosach.

- Już się uspokójcie, pani, proszę. Jak to wam rzec - ptaka nie zmusisz, żeby dziobał, czego on nie chce. Jak zamkniesz w klatce, to on wtedy w smutek się pogrąży. W ogóle nie je, pióra stroszy i ze zgryzoty padnie. Tak to jest i ze mną, pani. Tak ze mną. Ja jestem jak drapieżny jastrząb, co żeście go chwycili i do klatki wsadzili. Skaczę wam na rozkaz, bo mnie kijkiem szturchacie. Ale nie tańczę. I nie fruвам. Pióra mam nastroszone i będzie nie za długo, jak zdechnę.

- A wybaczysz mi niegodziwość, wybaczysz? - spytała między kolejnymi wstrząsami szlochu.

- Wybaczę.

- To przytul mnie jeno. Nic więcej. Ino przytul, na znak wybaczenia.

Uniosła splakaną głowę. Jeruzalem westchnął i ułożył się koło niej. Przytulił, po włosach pogładził. Schowała mu się w ramię. Potem uniosła twarz.

- Obetrzesz mi łzy? - podała mu chustkę.

Zaczął nieporadnie wycierać jej policzki. Nagle pocałowała go w rękę. Złapała delikatnie zębami za skórę na kciuku. Zadrżał od stóp do głowy. Ujrzał w księżycowej poświacie mokre, czarne i jak studnia głębokie oczy. Jej wargi dotknęły delikatnie jego ust.

- Wybaczysz mi? - szepnęła. Wciągnął jej gorący oddech do płuc.

Krew tętniła mu w skroniach jak oszalała. Woń pachnideł kręciła w nozdrzach.

Najpierw delikatnie, potem coraz mocniej zaczęła go całować. On oddał jej pocałunek, wpił się w nią, jakby była kwiatem w pysku wilka. Przycisnął ją do łóża.

Nagle oderwał się. Dysząc, zerwał się z łóżka. Wybiegł na korytarz. Po cichu, krążgankami, jak szalencie wrócił do siebie. Rzucił się na pryczę i leżał długo, patrząc w ciemność. Zdawało mu się, że jeszcze słyszy jej szloch. A może śmiech? Czasem trudno odróżnić, kto się śmieje, a kto płacze. Tak i Szalbierz nagle zaśmiał się sam do swojego losu. Kręcił głową i rozmyślał.

*

Następnego dnia rano wyjął małpkę z klatki i zaczął jej się zwierzać na ucho:

- Jak myślisz, Gigi, czym ja oszalał? A może już nie jestem ten Jeruzalem, co kiedyś. Ten, co po drogach jeździł, a ludzi miał za nic? Ten, co wszystko sprzedał, każdego oszukał? Co mnie wiąże? Czym jakie słowo dane? Nie. Słowa żem żadnego nikomu nie dawał. Co mnie opętało, że gdy kobieta mi sama na kolana wchodzi, ja się jak mnich jaki zachowuję? Czyliż mnie kto otruł? Może kto czar rzucił?

Małpka pisnęła. Podał jej kawałek placka.

- Jedz, Gigi, jedz. Bierz, co ci dają, nie myśl, kto daje i dlaczego. Ot, widzisz, ja ci tak gadam, a sam robię inaczej. I dlaczego? Bo mi wieszczka jakaś w głowie i sercu się zagnieździła? A cóż z wieszczką... Ona szalona. Z szaloną żyć? Ona daleko. Ja tu. Mogę i życie tu strawić. Czegóż się spierać z naturą?

Splunął na ziemię ze złością. Małpka jadła, a on patrzył z zadowoleniem i głaskał ją za uchem

- Jedz, Gigi. Jedz, malutka. Tobie jestem wierny. Toć najważniejsze. A insze? Co ważne? Być wiernym sobie chyba.

Gigi wydała się z siebie skrzek.

- Daję ci już, daję. Ale tyś zrzędliva. Jak baba.



ROZDZIAŁ XIV

Sierpień 1238

La Verna, 16 sierpnia A.D. 1238

Najukochańsi w Chrystusie Panu!

Pelen troski o Wasze losy i naszą przyszłość, sięgam znów po pióro, by spisać, co się w klasztorze dzieje i by w owym na poły liście, na poły pamiętniku zostawić ślad myśli i doświadczeń. Gdy kiedyś, da Bóg w Wasze dostanie się ręce, być może rzuci trochę światła na to, co obecnie wydaje się być pogrążone w mroku domysłów i przypuszczeń.

Zacznę od tego, iż wśród braci mniejszych, jacy w naszym eremie pełnią posługę Bożą, znalazł się jeden, z którym częściej rozmawiam i który z sympatii do mnie i do chłopca wiele razy idzie nam na rękę w różnych sprawach. Mówię o fra Bartolomeo, człowieku wzrostu niewielkiego, lecz duszy wzniosłej i szlachetnej. On to wyrzeźbił konika dla Ignasia, by miał radość z zabawy nawet w klasztornych murach, on też wyprowadza nas tajną furtką na tereny poza murami, byśmy mogli choć trochę swobody zażyć bez ciągłej opieki zakonników św. Ducha. Ci ciągle nas pilnują, a ich działalność wydała mi się na tyle niezwykłą, że

postanowił, korzystając z zasobów biblioteki, a także i wiedzy braci franciszkanów, trochę informacji o nich zdobyć. Bądź co bądź Wilczek nasz nosi na piersiach numer Pierwszy, co według ich porządku można by odczytać jako najwyższy majestat. Gdyby zatem miał być przeznaczony do przewodzenia Zakonowi, to i pytanie się rodzi, czemu tego odczuć nie możemy? Więcej - zdaje się, jakbyśmy byli więźniami, trzymanymi tutaj, by nigdy na świat zewnętrzny się nie wydostać. Z drugiej strony, co napiszę wprost - żyjemy ciągle, a więc i nasz byt jest ważny dla kogoś. Dla kogoś, o kim nic nie wiemy, a kto wpływa na nasz los. Ignas niewiele ma lat, lecz umysł bystry. Jego wiek niski nie powinien stanowić przeszkody w objęciu funkcji, na prawie symbolicznym, z regentami zakonnymi piastującymi opiekę, jak to się dzieje w wypadku państw świeckich. Nawet i obecnie panujący cesarz rzymski Fryderyk jako dziecię na głowę przyjmował koronę Sycylii, a w wieku lat siedemnastu przeprowadził się już przez Alpy i wojował z Ottonem Brunszwickim. Wiek nie był przeszkodą, gdy Ojciec Święty namaścił jego misję swoim wskazaniem i swoją bullą.

Tak było i z synem cesarskim Henrykiem, królem Niemiec - i on dzieckiem jeszcze będąc, objął panowanie, pod kuratelą ojcowską.

Wówczas przejął mnie mocno fakt, iż syn, ów ukochany wcześniej Henryk, został przez własnego ojca, tytułującego się cesarzem rzymskim na podobieństwo cesarów, wtrącony do więzienia. Strój jego był lichy, los potworny - oto jaki w czasach obecnych może być koniec króla. Cześć tylko jego śmierci w więziennych lochach...

Tym jednak większe zdziwienie budzi we mnie postępowanie Zakonu Św. Ducha wobec chłopca, którego numer wskazuje, iż on właśnie winien zgromadzeniu onemu przewodniczyć.

Podjąłem także próbę wystudowania źródeł i pochodzenia owych braci w żelaznych maskach, dociec usiłując reguły jakiejś, a przede wszystkim podstaw działania według praw nadanych przez Świętą Stolicę. Pomocny mi był w poszukiwaniach fra Bartolomeo, który do Czarnych Rycerzy, jak i reszta mnichów tutejszych, nie pała sympatią. Nie dziwota - rządzą się tu, jakby byli zesłani od Boga samego.

Pierwszy dokument, podsunęty mi przez niego, był to list pisany jeszcze przez papieża Innocentego III, skierowany do chrześcijańskiego świata, w tym do biskupów polskich. W liście tym taki znalazłem fragment:

„Aby duchowni nie brali udziału w widowiskach lub wystawach, nie słuchali błaznów i kuglarzy (*joculatores, goliardi et buffones*), by nie przywdziewali masek, nie przedstawiali potwornych obrazów, ni zabobonnych igrzysk na procesy ach kościelnych przed Narodzeniem Pańskim”.

Tak więc maski żadne, jako oznaka bezbożnych uciech, nie są przez Ojca Kościoła dozwolone. Czemu więc bracia ci je noszą w pełnym majestacie?

Dalsze informacje, jakie odnaleźliśmy wspólnie z fra Bartolomeo, zamiast rzecz rozjaśnić, dodały nam konfuzji.

W kilku słowach rzecz streszczę:

Pełna nazwa zgromadzenia brzmi - Ordo Fratrum Canonicorum Regularium Sancti Spiritus de Saxia. Mówi się na nich, jak już wiecie - Zakon Św. Ducha, lub też po naszymu Duchacy. Odnaleźliśmy także informację, iż jednak ma regułę znaną, a ta jest św. Augustyna. Założycielem Zakonu był Gwidon z Montpellier. Duchaki w drugiej połowie ubiegłego wieku zaczęli szerzyć swe działania poza krajem francuskim. Barwy zakonu są czarne, na nich znajduje się godło - biały krzyż o sześciu ramionach, każde zaś ramię jeszcze jest na dwa końce rozczapierzone. Ma to być symbolem dwunastu darów Ducha Świętego. Znów mnie naszło zwątpienie, gdy słowa te przeczytałem, bowiem na żadnym płaszczu ani na żadnej chorągwi zakonnej nie widziałem tego krzyża. Dość rzec, że mieliśmy za sobą długą drogę z nimi, przez góry, aż do Italii, że widzieliśmy zakonników o najwyższych numerach, a żaden z nich, żaden nie posiadał na sobie onego znaku. Co sądzić więc o Czarnych Rycerzach, którzy nad nami pieczę trzymają? Jak się ma ich strój do reguły własnego zakonu?

Z tą głęboką wątpliwością chodzę i myślę, jakie to okoliczności kryją się za naszym uwięzieniem w klasztorze (użyłem w końcu słowa, które jest najwłaściwsze na określenie naszego pobytu na górze La Verna). Tych wątpliwości staram się nie okazywać przed chłopcem, by już do reszty nie popadł w melancholię.

Zachodzę często do jego celi, by nie był sam. Bawimy się nadal na różne sposoby, co by były dobre dla jego wieku. Ja sam wtedy się staję chłopcem niedorostłym i, całym światem zapominam. Konik wystrugany z drewna przez fra Bartolomeo jest ulubioną zabawką Ignasia. Przynieśliśmy z lasu szyszki, a te pozamieniał on na ludzików małych - rycerzy i chłopów. Sadza ich na koniku i wozi. Potem zaś owija nitką jedną z szyszek i napina, aż do zerwania. Z początku nie wiedziałem, cóż to za zabawa, a potem do mnie doszło, że wyobraża on w ten sposób Jeruzalema, który zrywa łańcuch na sobie.

Znów mi łzy napłynęły do oczu, gdy pomyślałem, że tak szlachetne jest serce tego chłopca, tak wdzięczne, tak pamięć o dobrych ludziach w sobie nosi. Jeśli to kiedyś, Szalbierzu, przeczytacie wiedzcie, że Wasz syn przyszywany, mały Wilczek, tu na italskiej ziemi ciągle Was wspomina. I bawi się, widząc Wasz obraz w szyszce świerkowej. I Dragielło tu się pojawia. Kiedy konik galopuje, jedna szyszka w inne uderza jak rycerze zwierający się w pojedynku.

Naszą ulubioną jest nadal zabawa w statek żeglujący po morzu. Podsuwamy stół do okienka, siadamy na nim i płyniemy: beka z wodą i mały żeglarz. Opowiadam wtedy Ignasiowi wszystko, co wiem o świecie. O krajach i dalekich ludach, o Saracenach i Maurach, o wielkim mieście Rzym, o książętach i królach, o sultanie, który zgodził się cesarzowi oddać Jerozolimę, o Egipcie i wielu krzyżowcach, którzy zginęli nad Nilem, gdyż tak chciała pycha legata papieskiego Pelagiusza, o biskupach i soborach, o Ojcu Świętym. I wreszcie, co uważam za najważniejsze - opowiadam mu historię Jezusa Chrystusa. To czynię, czytając ustęp z Ewangelii, a potem objaśniając, coż on znaczy.

Wszystko to mówi beka z wodą, a żeglarz słucha zapatrzony w dal, jaka rysuje się przed dziobem okrętu, w dalekie wzgórza, w mgły opadające na lasy jak mleko na brzegach kubka i w chmury, które szybują sobie, zupełnie wolne i puchate jak baranki.



Dwie noce z rzędu Jeruzalem leżał do późna, nie śpiąc i myśląc o Krutyni. Czuł zapach jej włosów, drżał, przypominając sobie dotyk jej dłoni. Jednak księżna nie przychodziła. Kiedy kazano mu usługiwać Bliznobrodemu przy stole, widział ją, uczującą z pozostałymi żonami. Śmiała się, odsłaniając perłowe zęby, lecz jego omiatała wzrokiem tak pustym, jakby niewolnik nie miał dla niej żadnego znaczenia. Inne żony chichotały jej coś do ucha, ona zaś zbierała te opowieści z radością, pewna siebie i swojej pozycji.

Jednego wieczoru, kiedy Skomand zjadł, kazał odejść swoim przybocznym oraz żonom. Poleciał, by została Krutynia i nowy flecista.

- Graj, psie! Coś rzewnego! - rzucił do niego Bliznobrody. Grajek drżącymi palcami zaczął przygrywać na rzeźbionym instrumencie.

Jeruzalem zabrał się do wyjścia, lecz zanim zamknął drzwi, Krutynia szepnęła coś w ucho księciu i ten wrzasnął, opanowując pijacki bełkot:

- Ty! Śniady! Jak cię zwa? Szalbierz obrócił się powoli na pięcie.

- Słyszałeś? Jak cię zwa, pytam.

- Jeruzalem - odpowiedział Szalbierz spokojnie, mierząc wzrokiem Bliznobrodego.

Skomand kiwnął na niego palcem.

- Podejdź tu do mnie.

Jeruzalem postąpił kilka kroków. Stał parę metrów od stołu zastawionego mięsem, zalanego piwem i miodem, z talerzami pełnymi owoców i świecami, z których wosk spływał, zachlapując wszystko wokół. Milczał.

- Powiedz jeszcze raz, jak cię zwa, niewolniku? Krutynia zawinęła się na ramieniu Skomanda i patrzyła zza niego ogromnymi, czarnymi oczami, unosząc brwi.

- Jeruzalem, panie. Książę roześmiał się.

- Cóż za cudaczne imię. Skąd takie? Od Litwinów, Rusów czy jakich Szwedów?

- Imię jest z Ziemi Świętej.

- Skąd?

- Tam, gdzie Chrystus żył, panie.

- Czyli daleko. W kraju Saracenów, tak? - książę złapał za dzban z miodem i pociągnął spory łyk.

- Właśnie tam. A czemu takie imię mi dano - nie wiem. To już matkę moją pytać.

- Możesz ty i Saracen - śniady jesteś jakiś, pewnie jak i oni. Albo i posły Ugedeja, co ich u siebie mamy.

Szalbierz patrzył mu zimno w oczy. Bliznobrody wstał, obszedł stół, z dzbanem w dłoni, usiadł na krawędzi blatu, mając niewolnika tuż przed sobą.

- Niewolniku, patrzysz hardo. Tak hardo, jakbyś miał się równym albo i lepszym ode mnie.

To mówiąc, zbliżył się jeszcze.

- Zamknij się, grajku, albo ci ten flet wbiję w gardło! - wrzasnął nagle w stronę muzykanta. Ten skulił się w sobie, flet opuścił i cofnął pod ścianę, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Chociaż Skomand krzyczał na grajka, to patrzył wprost w oczy Jeruzalema, jakby chciał sprawdzić jego odporność na nagły wrzask. W twarzy Szalbierza nie drgnął żaden muskuł.

- Zdajesz mi się, niewolniku, psem pełnym tajemnic. Nie lubię tajemnic u siebie. Odkrywanie tajemnic to jedna z moich ulubionych gier. Ty znasz taką grę?

Jeruzalem dalej milczał.

Skomand wziął się pod bok i wyduł wargi na znak lekceważenia. Miał gęstą brodę, na której już wykwiłała siwizna, przez jego czoło aż do szyi, przez policzek szła długa blizna, ślad po ranie odniesionej w czasie jednego z bojów, których staczał dziesiątki, regularnie wyprawiając się na najazdy łupieżcze.

- Boisz się? - spytał Skomand.

- Tak. Boję się. Jak każdy. Tylko staram się nie dać tego poznać po sobie - odpowiedział Jeruzalem.

Za plecami księcia pojawiła się Krutynia. Podeszła i złapała Bliznobrodego za ramiona. Coś zaczęła szeptać mu do ucha, pociągnęła go w stronę stołu, roztrącając miski i kubki.

Skomand przez chwilę opierał się. Potem nagle roześmiał się, gdy go złapała zębami za ucho. Machnął ręką w stronę sług.

- Precz mi z oczu. Obaj!

Odeszli szybko. Jeruzalem zamykał drzwi i spojrzał jeszcze w stronę stołu. Bliznobrody stał już tyłem do nich, obłapiając swą pierwszą żonę, a ona zarzuciła mu ręce na plecy. Nad ramieniem księcia Jeruzalem spostrzegł jeszcze wyzywający wzrok Krutyni, który przeszył go na wylot, jak zatruta strzała.

*

Wulfstan podniósł dłoń. Przystanęli. Stary przewodnik przyklęknął. Za nim uczynił to samo Dragiełło, a potem i reszta drużyny. Karlito zrzucił worek z pleców i przysunął się do swego pana.

- Cóż tam się dzieje? - wyszeptał, wyciągając wprzód swój parszywy, niezbyt piękny pysk w dal, jak węszący pies.

Dragiełło położył palec na ustach i wyjąwszy powoli miecz z pochwy, na ugiętych nogach podszedł do Wulfstana. Dotknął jego pleców.

Starzec drgnął. Ruchem głowy wskazał przed siebie. Na ścieżce, kilkanaście metrów przed nimi, był wbity totem. Duży, rzeźbiony kij, przyozdobiony kawałkami kolorowego sznura. Na szczycie tkwiła niewielka czaszka zwierzęcia z doczepionymi do niej ludzkimi włosami. Kilka kroków za totemem rósł olbrzymi, gruby dąb, którego konary rozpościerały się nad lasem, nie pozwalając innym drzewom rosnąć zbyt wysoko. Z gałęzi zwisały na sznurach zwierzęce czaszki o kolorowych włosach.

- Cóż to za diabelstwo? - szepnął Dragiełło.

- Święty gaj - odparł Wulfstan. - Nie Iza nam iść tędy.

- Chyba się owych czaszek nie boicie? - rzekł Dragiełło i wstał.

- Duchy mieszkają w świętym gaju. W każdym drzewie świętego gaju duch żywie. Jaki intruz przekroczy granicę i wejdzie na to miejsce, długo nie przeżyje. Las go pochłonie na ofiarę, nawet krzyku nie usłyszysz - zaczął tłumaczyć przewodnik.

- Chcecie nam rzec, że mamy tam nie iść, bo ktoś ów kij diabelski tam wstawił? - rzucił pogromca smoków.

- To właśnie wam gadam. Nie raz chodziłem po terenach pruskich, aż po ziemię jaćwieską i dalej. Gaj święty lepiej omijać.

- Ja się duchów nie obawiam. Jako potomek w linii prostej od świętego Jerzego, rycerz księcia Henryka, a także księcia Bolesława i matki jego Grzymisławy, sługa Boży, co

boje toczył pod Damiętą na chwałę Chrystusa, mierząc się z duchami pustyni, mam nad sobą tarczę ochronną.

- Gdzież ona? - kpiąco zaśmiał się Wulfstan.

- Tej nie widzicie, Wulfstanie, boście zwykli leśny chłopiec, a tarczę moją można ino wyższym duchem dostrzec. Tarcza jest to mojej wiary. W darze ją otrzymałem od Matki Przenajświętszej. Ta mnie przed każdym duchem złym obroni.

Karlito zaczął szarpać Dragiełłę za tył spodni.

- Panie mój, panie. Ale czy tarcza owa starczy i na więcej osób? Bo zważ na obecność twego wiernego sługi, Karlita, i inne mniej znaczne persony.

To mówiąc, karzeł wychylił się i wlepił oczy, rozszerzone lękiem w ów totem. Czaszka chwiała się na kiju, trącana lekkim wiatrem. To był pysk łani - duży, wydłużony, z wielkimi otworami nosowymi i takimiz oczodołami. Doczepione włosy nadawały jej makabrycznego wyglądu - jakby to były szczątki potwora leśnego.

- Nie lękaj się, sługo. Tyś tu jeno od słuchania, pan twój od myślenia - rzucił Dragiełło i oderwał garbusa od nogawicy.

- Duchów się nie boicie, rycerzu, bo albo jesteście szaleni, jak już wam wcześniej gadałem, albo jeszcze nie mieliście ich okazji w życiu napotkać. Wtedy nie dziwota. Lecz jeśli takowe najdziecie kiedyś, wtedy się wam przypomną moje słowa. Oj, wtedy Wulfstana wspomnicie. A siebie w łeb będziecie walić na znak pokuty - stary przewodnik wstał i zmierzył się wzrokiem z pogromcą smoków.

- Mogę na razie was walnąć. To wy pokutę od razu odbędziecie. Czego się lękać? - odparł, wzruszając ramionami, Dragiełło - dalej, naprzód!

- Stójcie! - złapał go za ramię Wulfstan. - Posłuchajcie mnie chociaż przez chwilę! Jeśli się duchów lasu strzec nie chcecie, jeśli wiary nie dajecie, że się w drzewach dusza wojownika chowa po śmierci, weźcie chociaż do swego rozumu, że tak wierzą ludzie, co żywot wiodą w tej okolicy. I wy, rycerzu, możecie w nie wierzyć lub nie, możecie się bać lub nie. Ale, błagam was - weźcie na myśl, że łamiąc nietykalność gaju, tym się ludziom narazicie, którzy go tutaj uświęcili. Ich weźcie na rozum. Ich i życie ludzi, których wiedziecie do Sudovii.

- Tchórz was obleciał - Dragiełło splunął, miecz podniósł i zaczął iść w stronę totemu. Obejrzał się. Reszta czekała strwożona na ścieżce.

- Panie, proszę cię, nie idź tam! Sługi swego wysłuchaj! Panie! - karzeł wyciągał rękę w stronę swego pana, próbując go zatrzymać.

- Święta Matko Boża, Rodzicielko Pana Naszego, Źródło Życia, przybądź mi ku pomocy, czuwaj nade mną, święty Jerzy, módl się za mną, wszyscy święci, módlcie się za mną - wyszeptał modlitwę, przyspieszając kroku. Zaczął biec, unosząc Zedrzykaptura. Totem był coraz bliżej. Rycerz wbiegał w obręb wielkiego dębu.

- Kraplan! - krzyknął i skoczył w stronę czaszki tkwiącej na totemie.

*

Skok wydłużył się. Cień ogarnął rycerza. Szum obezwładnił jego uszy. Dąb zahuczał jak morska głębina, pożerająca niewielki stateczek, który ośmielił się wyruszyć w rejs mimo sztormowej pogody. Czaszka zdawała się być tak wysoko, że wyglądało, jakby miecz nie mógł jej dosięgnąć. Rycerz zamachnął się. Klinga cięła powietrze z takim trudem, jakby wszystko działo się pod wodą. Dragiełło musiał włożyć w zamach podwójny wysiłek.

Zedrzykaptur powoli leciał w stronę oczodołów. Te rozwarły się, jakby otchłań się otworzyła, jakby w obu miejscach na oczy były teraz dwie studnie tak głębokie, iż nie dałoby się zobaczyć ich dna.

Ostrze miecza uderzyło w bok czaszki. Pękła. Odleciała na bok. Posypał się kurz i odłamki kości. Wydawało się, iż godzinami lecą w dół, zaś rycerz przyglądał im się zdumiony. Te kawałeczki kostne, jak rój pszczeli, z bzycczeniem frunęły wokół totemu i leciały w jego stronę. Pył po uderzeniu wznosił się jak chmura w smudze światła przeświecającej przez dębowe liście. Zupełnie jakby ktoś młotem uderzył w dębową belkę. Nagle wszystko przyspieszyło. Czaszka poleciała rozbita na bok, a Dragiełło z jękiem przyklęknął.

Otrząsnął się jak pies wychodzący z wody. Otarł czoło z potu.

- Bądź ze mną, Matko Święta - zaczął szeptać do siebie. - Nie opuszczaj mnie w godzinie próby. Oddal demony.

Odwrócił się przez ramię w stronę struchlałej drużyny.

- *In nomine Patris, et Fili et Spiritus Sancti!* - krzyknął do nich. - W imię Boże, naprzód, giermkowie Chrystusa!

Machnął ręką. Zaczęli wkraczać na teren świętego gaju. Wydawało się, że czaszki wiszące na gałęziach dębu przyglądają się idącym. Karlito zarzucił kaptur na głowę. Pod stopami zobaczył odłamki z pokruszonej czaszki. Zacisnął powieki. Ale szedł.

*

Jeruzalem podniósł się z posłania tak, żeby nie obudzić innych niewolnych. Jak cień przemknął na korytarz. Potem, trzymając się ściany, dotarł do schodów prowadzących na piętro książęce. Na szczycie przechylił się przez balustradę i spojrzał w dół. Na dziedzińcu

palili się ogień w metalowym koszu. Obok niego drzemało dwóch strażników. Blask oświetlał ich stalowe hełmy pochylone nad kolanami.

Ruszył dalej. Tędy kilka nocy wcześniej prowadziła go za rękę Krutynia. Postąpił kilka kroków w stronę wejścia do książęcego skrzydła i nagle cofnął się. Mało brakowało, a dosłownie nadepnąłby na śpiącego strażnika. Woj siedział na schodku, pod samymi drzwiami, i opierał głowę o boczną belkę. Obok stał dzban i jakieś jadło w koszyku.

Szalbierz przyglądał mu się przez chwilę, wyławiając w mroku kształt głowy, brodę wiszącą na piersi, rękę podłożoną pod policzek. Na palcach, delikatnie i bezszelestnie podszedł blisko. Pochylił się nad śpiącym, wsłuchując w jego oddech. Był równy i głęboki. Skupiony na najmniejszym drgnięciu mięśni, pociągnął za zasuwkę w drzwiach. Drzwi zgrzytnęły leciutko. Strażnik zamruczał. Jeruzalem postawił nad nim szeroki krok i już za chwilę był w korytarzu. Po omacku, licząc kolejne ościeżnice, znalazł wejście do komnaty księżnej. Pchnął lekko, ale drzwi były zamknięte od środka. Zastukał końcem palców. Zamarł, nasłuchując. Znow zastukał. Cisza. Poskrobał chwilę paznokciami, jak mysz. Potem wyběbnił na deskach jednostajny rytm. Przerwał. Znow zastukał.

W końcu dał się słyszeć w środku jakiś głos. Skrzypnięcie.

- Kto? - zza drzwi dobiegł szept wyrwanej ze snu Krutyni.

- Jeruzalem.

Za drzwiami zapadła cisza. Jakby w środku wszystko zamarło.

- Wpuść mnie, pani, proszę.

Skobel wyskoczył z obejmy. Skrzypnęły zawiasy. W szparze pokazała się jaśniejsza w nocy długa koszula księżnej, nad nią biała twarz, ciemne plamy oczu i kaskada czarnych włosów.

- Czego chcesz, niewolniku? - jej głos był zimny.

- Pani. Od czterech nocy nie mogę zaznać snu. Co przymknę powieki, widzę twój obraz pod nimi, czuję zapach twych włosów - zaczął szeptać gorączkowo i złapał ją za rękę. - Ja płonę. Rozpaliłaś we mnie ogień. Zgaś tę pochodnię.

Słuchała tego przez chwilę, a jego słowa zdawały się ją omijać jak nic nie znaczący wiatr.

- Posłuchaj, niewolniku. Ośmieliłeś się wtargnąć do komnaty pierwszej żony księcia Jaćwieży, Skomanda Bliznobrodego.

Jeruzalem coś miał mówić, lecz na te słowa zabrakło mu nagle tchu w gardle. Patrzył i mrugał, nie rozumiejąc, co się dzieje.

- Jeśli teraz krzyknę, to wiesz, co cię spotka - kontynuowała zimnym, bezwzględny tonem. - Zostaniesz obdarty ze skóry. I posypany solą.

- Przecie, pani... - wyjąkał - To wyście...

- Cóż - ja? Psie! Jak śmiesz! - syknęła i złapała go za koszulę na piersi.

Wciągnęła do środka. Przywarła do niego. Wpiła się w usta mężczyzny. Myślał, że straci dech od pocałunku. Nagle odepchnęła go od siebie. Wbiła palec w jego klatkę piersiową, jakby przybijając gwoździem.

- Jak śmiesz gardzić? Gardzić mną? Za kogo się masz? Za kogo? Nie jestem twoją małpka, byś się mną bawił. Byś mnie trzymał na smyczy. Za taką mnie masz! Za nic!

- Pani, nie jest tak... - mówił, z trudem dobierając słowa. Złapał ją za ramiona. Strząsnęła jego ręce.

- Puść mnie! - syknęła.

Pokazała wyjście ręką wyciągniętą w geście, który nie dawał już żadnej szansy na dyskusję.

- Precz! Precz z moich oczu! Cofnął się. Złapał za drzwi.

- Wyjdź! I nigdy nie wracaj! Nigdy!

Zatrzęsęła za nim skobel. Stał jeszcze długą chwilę w ciemnym korytarzu, ocierając pot z czoła, zanim zaczął wracać chyłkiem do izb dla niewolnych.

*

Stopa wylądowała w samym środku starego ogniska, wzbijając chmurę popiołu. Rycerz w hełmie o bawolich rogach spojrzał pod nogi na resztki zwęglonych gałęzi. Splunął na pogorzeliśko. Jednak żaden syk się z niego nie wydobył.

- Nie czuję ciepła - powiedział. - Znaczy się, że więcej niż dzień.

- Przez but może nie czuć - odparł Kornet i przyłożył rękę do popiołu. Chwilę trzymał ją tak, badając temperaturę. - Nic. Macie rację. Więcej niż dzień.

- Idźmy.

- Dajcie tylko rzemienie poprawić - powiedział Dwieście Piętnasty, siadając na trawie. Rozsupłał onucę, zawinał ją jeszcze raz i zaczął oplatać rzemyki.

Wiking sięgnął do bukłaka z wodą. Pił przez chwilę, dozując łyki tak, żeby były częste, a nie duże. Potem dowiązał go do pasa.

- Nie traćmy czasu, Kornet - rzucił zimno.

- Skończyłem - odparł Dwieście Piętnasty.

Wstał. Ruszyli w dalszą drogę. Kornet przodem. Tuż za nim Wojownik Bez Imienia. Tak kazał do siebie mówić Dwieście Piętnastemu. Sam zaś traktował go jak sługę,

wymawiając słowo „Kornet” ze szczególnym akcentem wyższości. Natang prowadził. Ślad urywał się, a potem odnajdywał w nieoczekiwanej chwili. Nie on był jednak najważniejszy. Znali bowiem cel wyprawy. To wystarczało.

*

Dragiełło kazał braciom Job podać sobie kuszę. Cały pochód zatrzymał się. Przyłgnęli do ziemi. Ktoś biegał wokół. Coś poruszało się po krzakach. Szeleściło. Jakby zwierzę przebiegało. Z tupotem i łomotaniem o gałęzie. Lecz tak szybko, że zanim człowiek obrócił głowę, już zniknęło.

- Cóż to, panie? Czy to jakiś potwór leśny? - jęczał Karlito, chowając głowę w dłonie.

Rycerz naciągnął cięciwę w Adelajdzie, ułożył się na ziemi i zaczął mierzyć w biegające stworzenia.

Wulfstan usiadł, wyjął z rękawa zaostrzony patyk i zaczął dłużyć sobie w zębie, jakby rzecz cała go nie obchodziła, a kłopoty ze stworami leśnymi musiał obecnie rozwiązywać rycerz. Mina starca mówiła, iż on już obecnie nie ma nic do powiedzenia: ostrzegał przed wejściem na teren świętego gaju, nie godził się na profanację znaków, a teraz nie zamierza ponosić z tej racji konsekwencji.

Dragiełło przenosił kierunek w jakim mierzył to na lewo, to na prawo, lecz nie mógł dobrze wycelować, gdyż ruchy w listowiu były zbyt gwałtowne. Pojawiały się i niknęły zaraz, jakby ich wcale nie było. Tylko gałązki się bujały na dowód, że nie są to jedynie zaćmienia ich umysłu.

Tak jak biegający stwór się pojawił, tak i zniknął nie wiadomo gdzie. Nagle szelesty i tupoty ustały. Znów otaczał ich śpiew ptaków, a ścieżyna zapraszała do dalszego marszu.

Dragiełło zwolnił cięciwę w kuszy, wyjął bełt. Oddał Adelajdę Hiobowi.

- Cóż to było, Wulfstanie?

- Siebie się spytajcie - odparł przewodnik - w końcu wy mądrzejsi jesteście. Mnie i tak słuchać nie chcecie.

Starzec urażony wstał, otrzepał się, wziął kij do rąk i obejrzał się.

- Idźmy dalej!

Ruszyli, posuwając się ostrożnie ścieżką i rozglądając na boki. Puszcza była tu pełna starych, padających drzew. Leżały gdzieś tam wielkie, zbutwiałe pnie, jak grobowce leśne. Nad nimi pochylały się żałobne sylwetki młodszych drzew, zyskujące światło i powietrze do życia dopiero po śmierci swoich przodków. W martwych pniach musiały być też martwe dusze. Wulfstan tak prowadził drużynę, by nie musieli deptać po owych trupach. Gdy im przychodziło przekroczyć jakiś, stawał i schylał się, prosząc o wybaczenie. Gładził dłonią

mech porastający wilgotną, rozpadającą się korę, czasem unosił do nozdrzy zbutwiałą masę, z której korniki, wilgoć i grzyby czyniły mokre próchno, po czym wachał je, upajając się zapachem.

Dragiełło tymczasem za jego plecami wykonywał znak krzyża. Mamrotał po cichu swoje modlitwy.

- Czy to Jaćwież już? - zapytał raz starca, gdy zatrzymali się przy niewielkim pagórku, porośniętym krzakami jałowca.

- A jak czujesz, rycerzu?

- Jak czuję?

- Tak. Wciągnij w płuca zapach lasu. Weź go dużo, tak by dotarł aż do najdalszych fragmentów twojej głowy. Gdy poczujesz, że to zapach najbardziej głębokiego lasu, jakiego udało ci się w życiu dotknąć, wtedy będziesz wiedział, że to już Jaćwież.

Dragiełło zakręcił fragment brody na palcu, uśmiechnął się.

- Ja już czuję, panie. Oj czuję! - podskoczył do nich Karlito. Karzeł wciągnął w płuca powietrze i z lubością zamknął oczy.

- Ty czujesz, Karle? - spytał Wulfstan zdumiony.

- Juści. O, jak mocno - i garbus otworzył oczy - ale nie wiedziałem, że ów odór, który od dziecka roztaczam, to jest Jaćwież. Myślałem, że to zapach karła.

Dragiełło roześmiał się i pacnął go w łeb.

- Tylko się ciebie żarty trzymają - rzekł. - Dalej naprzód! Ruszaj!

Wulfstan także roześmiał się, pogładził swoją brodę i szedł dalej. Czuł, że Sudovia jest już całkiem blisko. Las zaczął układać się inaczej. Jakby śpiewał szumem drzew, opisując coś, co już niedługo mieli zobaczyć.

◆◆◆

Strażnik z bulwiastym nosem chwycił Jeruzalema za ramię. Miał na twarzy wypisany złośliwy uśmiech.

- Nie zwlekaj, sługo - mówił, a głos z jego gęby wydobywał się przytłumiony i zniekształcony tubą wielkiego, perkatego nochala.

- Idę - rzucił Szalbierz.

- Weź też tego stwora.

- Małpkę?

- Głuchyś? Stwora mówię!

- Biorę.

- Księżna czeka.

Jeruzalem wyjął Gigi z klatki, założył jej obrożę i smycz. Poszedł za strażnikiem. Wojownik prowadził go i co chwilę się śmiał. Gdy Szalbierz się obracał, wtedy Jaćwięg ukrywał ten swój głupkowaty śmiech kułakiem i udawał, że kaszle, albo chrząka.

Krutynia czekała w swojej komnacie. Pod ścianą stał muzykant z lutnią w dłoniach. Brzdąkał coś, lecz księżna miała wzrok tak znudzony, usta tak wygięte na boki, jakby kolejne dźwięki owej lutni miały wywołać u niej wymioty.

- Precz mi z oczu, grajku! - rzekła zmęczonym głosem. - Przyprawiasz mnie o chorobę tą lutnią. A jak zachoruję i umrę, wtedy księżę Bliznobrody każe cię porąbać razem z tym kawałem drewna i drutów. Zostaw nas. Może małpka mnie rozbawi.

Muzykant posłusznie, ukrywając westchnienie ulgi, wyszedł z izby. Zamknął drzwi, a po chwili ucichło skrzypienie jego kroków.

Szalbierz milczał. Stał pod ścianą, trzymał Gigi na ramieniu, gładził ją po łebku i zerkał w stronę Krutyni. Ona podeszła do okna, spojrzała w stronę jeziora.

- Podoba ci się ten widok? - spytała, a w jej głosie była miękkość i dziewczęca czystość.

Podszedł do niej, stanął tuż za plecami. Na jeziorze widać było łódki rybaków sudowiańskich, stojące z zarzuconymi sieciami. Na moście prowadzącym do zamku chodziły małe mróweczki: kolejni goście przybywali na wiec. Daleko na brzegach jeziora tętniło miasto: unosiły się dymy znad strzech, przejeżdżały wozy z towarem, tłumy ludzi chodziły wąskimi uliczkami, gdzieniegdzie sterczały w niebo wysokie maszty z totemami na szczycie, stanowiącymi znaki rodów, tu i ówdzie pojawiały się stada ptaków, krążące nad dachami i szukające łatwej zdobyczy.

Nie odpowiedział, ona mówiła dalej:

- Mi też się podobał. Drzewiej. Ino teraz już mnie nie bawi. Jak lutnia.

Odwróciła się do niego. Spojrzała mu w oczy.

- Czasem mnie myśl nachodzi, niewolniku, żeby w ten widok polecieć.

Małpka pisnęła cichutko w jego ramionach.

- Ty masz, Jeruzalemie czasem taką chęć? Tak polecieć?

- Od dziecka - odpowiedział i wyciągnął rękę, by dotknąć jej dłoni.

Odeszła i usiadła na łożu.

- Każ małpce tańczyć. Niech ona tańczy, a ja się będę radować.

Postawił zwierzątko na ziemi. Pogłaskał je za uchem.

- No, Gigi, dalej! Tańcz! - rozkazał.

Małpka zaczęła podrygiwać. Skakała w kółko, wokół Jeruzalem, który stał się osią tego tanecznego okręgu. Krutynia zaczęła klaskać w dłonie. Uśmiechnęła się.

Ścieżka złączyła się z kolejną. Ta weszła w następną, skrzyżowała się, pobiegła później zawijasem, wyskoczyła na łąkę i wtedy zgubili jej ślad. Pierwszy szedł Wulfstan, za nim jak łanie za licówką podążała reszta, wpatrzona w trop wydeptany na trawie. Pochylone plecy, oczy wbite w ziemię, buty nawilgnięte od rosy, szelest omijanych gałęzi, sznury wpijające się w ramiona do ciężaru, pot płynący po skroni, mały listek we włosach - rytm marszu wbijał im się do głowy jak uporczywa melodia, melodia która powtarzana co dnia, tak wchodzi w krew, tak zapada w ucho, że nie można się od niej uwolnić, że człowiek nuci ją nawet mimo woli. Zbliżali się do celu. Czuli to. Przyśpieszali kroku. Przewodnik bardziej wyciągał szyję, nerwowo węszył w powietrzu, częściej w niebo spoglądał. Przez skórę wyczuwali, że miasto, o którym jeno bajania krążą wśród ludzi, może być już niedaleko. Że już wkrótce zobaczą to, o czym słyszeli dotąd jako o legendzie tylko.

Hanna szła tuż za Dragiełą i zaczęła mruczeć pod nosem. Karlito przyśpieszył i biegł koło niej, zadzierając głowę i wsłuchując się w słowa.

- Pośród puszczy głębokiej, za lasami, za tyłoma rzekami, że mógłbyś z nich upleść całe morze, za dolinami falującymi kwieciami, za czarną knieją, za bagnami, za dziczą, za matecznikami, za dębinami, za szerokim gajem świętym, tam gdzie duchy już nie chodzą, gdzie ludzie żywi nie dotrą, tam jest... miasto.

Nikt go nie znał. Nikt nie widział. Nikt w nim nie mieszkał. Nikt dzieci nie rodził. Nikt w nim ksiąg nie pisał. Nikt nie umierał. Nikt nie palił świec. Nie płakał. Żałobnych rąk do niebios nie unosił. Nikt nim nie rządził. Nie mieszkał. Dziewcząt nie uwodził. Bo miasto spało w tym lesie. Jak dzik śpi w swoim błotnym leżu. Jak jeleń strudzony biegiem. Jak mrowisko zasypane śniegiem. Miasto wyrosło więc bez wiedzy ludzkiej. Samo. Jak drzewo. Rosło od małej chatki. Wzniosło się nad ziemią niewielką strzechą z liści. Potem dym puściło z ogniska jak pędy ku światłu. Przybierało z roku na rok, wyciągało nowe gałęzie ku niebu. Chatka się stawała większa, a sycił ją prąd podziemny. Pływały w niej soki. Miasto wybujowało pewnej wiosny, stało się nad trawę wysokie. A potem szło w górę i w górę. Wyrosło do nieba.

Pośrodku zaś miasta, na jeziorze głębokim, na wyspie skalistej, zamek się wznosił. Wielki i potężny. Książę w nim zamieszkał okrutny, co światem chciał rządzić i ludzi ze sobą do miasta sprowadził. I rzekł książę ludziom, że oto miasto w puszczy znalazł. Że będzie ich gniazdem. Po kres wieków. Albo po ich samych kres. Co los przyniesie.

Później książę w zamku wieżę wznosił. Do samego nieba. By sięgnąć bogów i śmiać im się w twarz. Wchodził sobie książę na wieżę i patrzył z góry na świat. I zdało mu się, że świat cały, po kres swój, jest wielką puszcza.

Wielu się ludzi wyprawiało do tego miasta, bo dziwy słyszeli o księciu i jego grodzie. Jest taki gród, daleko w puszczy, wielki gród. Nikt nie wie, gdzie, jak, skąd wyrósł ani kto go postawił. Ale jest. I szli owi ludzie szukać miasta. Jednak żaden nigdy nie wrócił. Nigdy.

Gadają, że miasta tego nie ma. Że jest ono tylko senną marą. Że gdy się ludzie w puszczy zagubią, gdy idą wiele dni, gdy wdychają błotny opar, kiedy głowa ze zmęczenia im opada, wtedy coraz więcej duchów widzą koło siebie. Słyszą szelesty w lesie, chociaż nikt nie biega. Widzą obcych, a gdy ich chcą dotknąć, ręka przecina powietrze. Pył zostaje w palcach.

Padają na kolana. Lęk ich ogarnia. Mgła się unosi znad jezior. Mgła sina. Jakby to woda płonęła. Z tej to mgły zamek się wznosi. I miasto. Jest ono? Czy go nie ma? Sen to nas zwodzi? Czy prawdziwy widok? Pustka to czy świat prawdziwy? Co nam sądzić o tym, co przed oczami, gdy wzrok jest na usługach ducha? Może nic, co się zdaje, zdać się może tylko, co jest, tego nie ma, co było, już we mgle utopione?

Garbus się zasłuchał w bajanie Hanny. Minę miał jak dziecko, co idzie z matką w długą drogę. Ona mu baję, on rozrzuwniony zapomina o trudach. Złapał Karlito niewiastę za rękę, ale ta umilkła. Ścieżka w ciemnym lesie zamieniła się nagle w szerszą drogę. Doszli do wzniesienia. Stanęli.

Przed nimi rozciągnął się widok zrodzony z sennego marzenia.

Wielkie jezioro błyszczało w promieniach słońca krystaliczną przejrzystością. Na brzegach, pośród zielonej obejmy drzew rosło miasto złożone z setek chat, zapatrzonych dachami w wielkiego ojca stojącego między nimi: w wysoki zamek piętrzący się murami i wieżami w stronę nieba. Do zamku prowadził most. Do mostu wiodła droga-

Dziki ptak zerwał się gdzieś w trzcinach, zatoczył krąg nad wodą i poleciał gdzieś daleko, wysoko, na sam szczyt zamkowej wieży. Stracili go z oczu.

Stali nieruchomo.

Z obu stron wznosiły się nad nimi ciemne ściany lasu, wisały rosochate gałęzie, za nimi został czarny, bagienny gąszcz. Nogi ich były zmęczone. Mokre. Obolałe.

Niob i Hiob wypuścili z rąk Adelajdę. Zsunęły się z ramion sznury. Opadły worki z uzbrojeniem. Dragiełło uśmiechał się.

Wulfstan podparł się pod boki.

Karlito pociągnął wieszczkę za rękę.

- Hanno? Czy to jest to miasto, o którym żeście mi przed chwilą bajali?

Ona pokiwała mu tylko głową.

- Ono? Więc prawda to! Więc istnieje!

Wulfstan stanął przed nimi, z zadowoleniem obserwując wrażenie, jakie stolica Jaćwięgów uczyniła na drużynie. Wskazał ręką w stronę zamku. I rzekł:

- Sudovia.



ROZDZIAŁ XV

Sierpień 1238

La Verna, 23 sierpnia A.D. 1238

Najukochańsi w Chrystusie Panu!

Na początek Bogu chcę podziękować Najwyższemu za opiekę i przewodnictwo. Opatrzność czuwa nad nami i ręka prowadzi Ojca Niebieskiego, z Jego to łaski ciągle żywiemy i możemy z Ignasem bywać, a nawet znowu po pióro sięgnąć, lubo przeciwności losu dają się nam we znaki. Pierwsze, co zanotować chcę, a Wam, stroskany, przekazać, iż chłopiec się nasz rozchorował. W klasztorze wilgoć panuje i chłód, nawet letnią porą, z racji dużej wysokości i górskiej pogody. Kaszlał pierwaj lekko, potem mocniej, na koniec doszła gorączka na ciele i dreszcze. Siedziałem tedy w jego celi, kominka pilnowałem, coby ogień nie przygasał, okrywałem go i chłodną szmatką czołko obmywałem. Fra Bartolomeo mi ziola od braci przyniósł, te warzyłem i chłopcu do picia dawałem, jak i gorącą wodę z miodem. Leżał on jednak trawiony chorobą i sny miał jakieś koszarne. Rzuczał się w pościeli. Szlochał przez sen. Gładziłem go po głowie. Cóż więcej uczynić mogłem?

Widząc stan chłopca, podjąłem także rozmowy z Czarnymi Rycerzami z Zakonu Ducha, którzy stanowią tu mają naszą opiekę, na czas owej (jak nam mówiono) edukacji dziecka, a po prawdzie są oni tylko strażnikami wolności naszej. Strażnikami. Nijak się jednak dogadać z nimi nie mogłem. Buczeli coś zza masek, a gdy człek ma lico schowane - tedy i niegodziwość łacniej popelniać. Prosiłem owych zakonnych, by nam zezwolono na czas jaki w

inne się udać miejsce, dla zdrowia Ignasia łaskawsze, gdzieś w doliny, do miasta. Górski klasztor dobry może być dla mnichów dorosłych ku kontemplacji, lecz się źle nadaje do rozwoju dziecięcego. Wysłuchali oni próśb moich, lecz się zdali na nie głusi. Odparli, że decyzje kapituły są święte, oni ich słuchać muszą. Gdy spytałem, jak tu napisać pismo do kapituły, odparli, że można, ale odbierze je dopiero legat, który się w klasztorze ma zjawić na wiosnę roku następnego. Musiałem ja mocno pięści zacisnąć, mocno. Żeby gniewem i krzykiem nie zgrzeszyć.

Tym się dla mnie jednakowoż jasne stało, że los jest bardziej więzienny i ponury, niżli świetlany mógłby się wydawać, patrząc na zakonną hierarchię numeryczną. Myśl mi chodzi nawet po głowie, że ów numer Pierwszy, co go Ignas ma wykluty farbą na piersi, może być jego przekleństwem i miast przynieść dobro, spowoduje ino ból i cierpienie. Modłę się codziennie, by tak się nie stało. Ufam w opiekę naszej Matki w niebie.

Wydrążyłem niewielki otwór w ścianie mojej celi. Chowam te listy za kamieniem. Nie wiem, co będzie, a i drzeć zacząłem o los mego tu przyjaciela, fra Bartolomeo. Zdaje mi się, że Duchacy częściej za nami po korytarzach chodzą, częściej także nagle ich napotykam.

Kilka to dni temu na jednego natknąłem się w bibliotece samej. Wyszedł zaraz, udając, że szukał jakiejś książki, a przecie wstęp mają jedynie bracia, którzy u przeora odpowiednie złożą prośzenie.

Do rzeczy jednak. Sytuację, w jakiej jesteśmy, pragnę streścić.

Pierwsza rzecz, która jest dla nas dużej wagi, to niepokój, jaki znowu panuje na włoskiej ziemi. Cesarz Fryderyk począł kolejne wojowanie przeciw Lombardczykom i zasadził się tego sierpnia oblężeniem na miasto Brescia. Doszły słuchy do klasztoru naszego, iż król kastylijski wysłał cesarzowi, jako upominek wojenny, inżyniera hiszpańskiego, Calamandrinusa. Mąż to wielkiej ponoć wiedzy, geniusz prawdziwy w sztuce budowania ruchomych wież, bombard i taranów. Ponoć żadne mury nie mogą mu się oprzeć. Rycerzu Dragielło (ciągle żywię nadzieję, iż w końcu pisanie moje do was dotrze), może się okazać, iż wasz to kompan był, boście wspominali o studiach inżynieryjnych i budowie machin wojennych. Calamandrinus tak cennym się widzi człkiem, że Ezzelino z Romano dostarczył go kazał cesarzowi dowieźć - w klatce, łańcuchem przykutego. Przybył do nas do klasztoru mnich jeden, co opowiadał, że Lombardczycy go jednak odbili, do miasta swego przywieśli i kupili jego pomoc, białogłową mu oddając za żonę.

I już ponoć pierwsze on szkody zaczyna czynić Fryderykowi, strzelając z murów w maszyny służące do oblężenia. Wojna na północy i u nas wprowadziła nastrój gorączkowy - częściej czarni rycerze dyskutują po kątach, częściej coś na mapach rysują.

Może i ów Zakon Św. Ducha zaplątany jest w zmagania? Kto wie.

Moje studia nad samym zgromadzeniem zatrzymały się, zbyt mnie ostatnio pochłania opieka nad chorym Ignasem i zadania, jakie mi stawia przeor do wykonania w skryptorium.

Wcześniej jednak dostrzegłem dalsze wątpliwości, które przyjdzie mi rozwiązać. Nigdzie nie ma bowiem w księgach, listach czy dokumentach wzmianki o tern, by zakonnicy Św. Ducha mieli chadzać w maskach na twarzy z numeracją, jaką już zdążyliśmy poznać, lub by mieli jakieś zasady specjalne. Regułę mają według Augustyna, a ta żadnych takich ni podobnych nawet obowiązków na nich nie nakłada. Może więc być, że jest to dekret tajemny, bulla, na jaką się powołują. Któż ją jednak zna? Któż ją widział? Myślę, że może być, iż jest to wiedza dostępna jeno biskupom i tylko dla hierarchów zostawiona. Specjalnie w tym celu utworzona, żeby sam kościół wewnątrz chronić i kontrolować. W wolnej chwili zamierzam o tym słów parę zamienić z przeorem, może się czego wywiem.

Według zapisów zwykłych Zakon Ducha pełni w pierwszym rzędzie posługę wobec biednych i chorych, szpitalnictwem się trudni i na to swe siły winien przeznaczać. Gdy więc w innym czasie będę mógł sięgnąć do materiałów bibliotecznych albo i braci wypytać, tedy tak uczynię.

Na razie czas swój przeznaczę na pielęgnację chłopca i dbałość o jego zdrowie. Do tego to przecież zadania Pan mnie wyznaczył, tu mi wskazał drogę, co czuję i z radością pełnić będę. Tak mi, Boże, dopomóż, i Matko Święta.

Wojownik miał nagi tors, przez który na krzyż szły dwa, nabijane ćwiekami, pasy, podtrzymujące pochwę na miecz zawieszoną na plecach. Zwykle spodnie wpuszczone były w wysokie, skórzane buty, związane nad kostkami rzemieniem. Na dłoniach miał założone rękawice nabite drobnymi ćwiekami. Głowę jego chronił prosty szyszak, bez zdobień czy nosala, ze wzmocnieniami idącymi na krzyż, nitowanymi i z kolczym kapturem opadającym na kark i ramiona. Twarz miał nasmarowaną jaćwieską barwą wojenną - na szaroniebiesko.

Spoglądał twardo i zimno, a tęczęwki jego oczu zdawały się, podobnie jak lico, świecić kolorami gołębiej stali. Patrzył z góry na siedzących na piasku ludzi. Przeszedł wzdłuż szeregu. Podeszedł do stojaka i wziął do ręki włócznię.

Pokazał ją siedzącym. Nagle odwrócił się i cisnął nią w worek wiszący na słupie. Ostrze włóczni przebiło kukłę pośrodku wysokości. Sypnął się piasek z dziury wyrwanej grotem.

Wojownik stanął na szeroko rozstawionych nogach. Krzyknął:

- Oto, czym będziecie walczyć! Włócznia! Święta broń Jaćwiegów!

Wśród siedzących rozległy się szepty. Jedni drugim gadali coś na ucho, komentując słowa wojownika.

- Ty! - ich gadanie przerwało ostre, ciśnięte z równą szybkością jak oszczep, słowo. Jaćwieski woj wskazał na niewolnika.

- Wstań!

Ten zerwał się na nogi. Rozszerzone lękiem oczy patrzyły nerwowo. Chciał chyba coś powiedzieć, chrząknął, uniósł dłoń do ust, lecz został zgaszony spojrzeniem wojownika.

Jaćwięg kazał mu podejść do stojaka i wziąć włócznię. Sam także chwycił jedną. Następnie wskazał niewolnikowi miejsce po drugiej stronie areny. Więzień przez chwilę rozglądał się niepewnie. Wyjąkał:

- Panie, toć my... Na drużynników księcia wybrani... Cóż z tą włócznią?

Wojownik roześmiał się.

- Strach cię obleciał?

- Nie, panie. Pytam jeno...

- Znać, że na drużynnika źle cię wybrano. Czuję idący od ciebie zapach tchórzostwa.

Znów wskazał ręką miejsce na arenie i dotąd trzymał uniesione ramię, aż niewolnik nie dobiegł do punktu wskazywanego przez Jaćwięga. Tam zatrzymał się, ujął drzewce broni i zacisnął palce.

Wojownik odwrócił się do niego plecami. Patrzył na pozostałych, którzy w milczeniu siedzieli na ziemi, obejmując rękami kolana.

- Psy! - ryknął woj, potrząsając głową, aż zabrzączał kaptur kolczy przy jego hełmie. - Zostaliście wybrani, by stać się specjalną drużyną księcia Jaćwieży, Skomanda zwanego Bliznobrodym! Niech Perun wam sprzyja! Już za kilka dni na tej arenie będziecie mogli dowieść swego męstwa i żelaznej woli! Każdy z was dostanie szansę. Kto przeżyje, ten będzie chodził opromieniony sławą. Kto umrze, tego kości przyniosą mu wieczną pamięć w świętym gaju! Psy - wasza walka będzie radością dla oczu wszystkich ludów, jakie przybyły do Sudovii na wiec! Jeśli któryś z was, czuje lęk...

Tu przerwał, w ułamku sekundy odwrócił się i cisnął włócznię w stronę niewolnika. Drzewce leciało ze świstem i wbiło się w człowieka z taką samą łatwością, z jaką wbijało się w worek z piachem. Grot przeszył jego pierś i wyszedł za plecami. Potworny dźwięk rozrywanego mięsa rozległ się na pustym placu. Ludzie siedzący w szeregu wzdrygnęli się.

Jaćwięg dokończył zdanie, zanim trup upadł na piasek:

- ...to niech zabije się sam przed walką. Tu, na arenie, jest miejsce dla odważnych! Pamiętajcie też, że połowa z was dostaje w tej właśnie chwili dar od losu! Kto wygra w czasie

igrzyska, ten odejdzie stąd wolny! Wsłuchajcie się dobrze w moje słowa - ten odejdzie wolny! Proście więc swych bogów o zwycięstwo! Dzisiaj wieczorem swoją kaszę spalcie! Dokonajcie ofiary! Byście sami nie stali się ofiarą! Za trzy dni połowa z was... zginie! Dzisiaj cieszcie się życiem!

Za jego plecami tymczasem upadał martwy niewolnik. Runął na plecy, a włócznia utkwiała w ziemi na skos, wyginając jego konające ciało. Drżały nogi w ostatnich konwulsjach. Z dziury przy drzewcu, tak jak wcześniej piach z worka, wylał się strumień krwi.

Wojownik skończył przemowę, podszedł do trupa i wyszarpnął z niego włócznię. Krew kapiała z niej na piach. Jaćwięg zaśmiał się.

*

Jeruzalem miał zły sen. Ktoś ciągnął go koniem za nogę, po ziemi. Patrzył za nim, ale nie mógł dostrzec twarzy. Jeździec zamazywał mu się przed oczami. Kolejne uderzenia ciała o ziemię powodowały, że nie mógł skupić wzroku. Lina zaczepiona o nogę była naprężona i Szalbierz chciał się podciągnąć, by ją złapać i odciąć, lecz nie mógł. Czynił wysiłek całym ciałem, unosił się i znów opadał, szarpany pędem jazdy końskiej. Ból rozrywał mu plecy. Kamienie z drogi uderzały go z okrutną siłą w grzbiet. Miał ochotę krzyczeć. Któż jedzie na koniu? Kto go męczy? Twarzy nie można było dojrzeć. Płaszcz jego powiewał żółcią, niczym kwiaty na polu.

Jeruzalem nie mógł znieść dalszego cierpienia, obrócił się na brzuch. Wtedy ruch ustał. Położył dłonie na szarym piachu. Uniósł się na kolana. Pod nim, przed samą twarzą był rysunek. Jak dziecięcą ręką robiony, prosty, czytelny. Na piachu widniał miecz. Rękojeść była wyraźnie zaznaczona głębszym pchnięciem patyka, a głownia szła dalej, wykonana równymi pociągnięciami ryłca. Szalbierz poczuł słabość w ramionach. Opadł na brzuch. Rękojeść miecza na rysunku znalazła się dosłownie pod jego policzkiem. Widział teraz jednym okiem rowek w piasku. Tak blisko, że można by rzec, iż to wąwóz. Mrówka przez niego przechodzi. Małe ziarenka stają się wielkości kamieni. Oddechem swoim powoduje, że kilka ziaren osypuje się do rowu, jaki opisuje obrys miecza. I powoli, coraz szybciej Jeruzalem wjeżdża do owego rowu ciągnięty przez jeźdźca. Nagle galopują przez piach wewnątrz rysunku. Kurz zalepia mu oczy, wlatuje do płuc. Kaszel wstrząsa jego ciałem. Dusi się. Jęczy.

Zerwał się ze snu. Usiadł ciężko dysząc. Ktoś w ciemnej izbie czeladnej spytał:

- Co ci? Choryś?

- Nie - odpowiedział - już dobrze. Zły sen. Ino zły sen.

- Krzycałeś.

Ułożył się na boku, naciągnął na głowę derkę. Powoli uspokajał oddech. Jeszcze czuł w nozdrzach duszący pył.

- Sen. Ino sen - powtarzał sam do siebie i nagle otworzył szeroko oczy. -
Przeznaczenie.

*

Chudy mężczyzna w kapturze kroczył na szeroko rozstawionych, krzywych nogach, kolebiąc się jak kaczka.

W jego okolonej ryżą szczecina kościstej gębie czerniały rzędy dziąseł, w których kiedyś były zęby. Gdy mówił, to ślina w jego ustach strzykała na wszystkie strony. Kto chciał z nim rozmawiać, musiał gdzieś z boku stanąć, by nie zostać oplutym. Choroba jakaś albo i cios żelazem zadany zabrały mu jeszcze lewy płatek nosa: z tej to więc strony wyglądał potwornie, miał dużą, czarną dziurę nad wargami.

Szedł tyłem, tuż przed obcymi, wywijął rękami i gadał jak najęty:

- Ja wam rzeknę, że macie szczęście. Wielkie szczęście, że Warpołd, czyli ja w swojej osobie, na waszej stanąłem drodze. Byście beze mnie tu zginęli i bez ochyby pogłupieli. Sudovia wielka jest, a ja znam każdą ulicę, każdy zakamarek, a co ważniejsze, i mnie wszędzie znają. Jak już Warpołd wnidzie, tak się ludzie do niego lgną, pytają, a ja, co się gdzie dzieje, rozpowiem, objaśnię, bom jest w mieście jak ryba we wodzie.

Dragiełło szedł pierwszy, zdając się nie słuchać gadaniny, czujnie patrzył w przód. Obok miał uśmiechniętego tajemniczo Wulfstana. Za nimi dreptał Karlito, a jego głowa kręciła na wszystkie strony, jakby była kuleczką na druciku. Za karłem stąpała Hanna, trzymając w rękach suknię, żeby nie unurzać jej w błocie zalegającym ulicę. Pochód zamykali bracia Job, niosąc na plecach zbroję rycerza i jego kuszę.

W obie strony podążał tłum rozmaitych ludzi. Wszystko to byli Prusowie z plemion zaproszonych na wielki wiec. Stojem niewiele się różnili, a i mową też - słyhać było różne dialekty, lecz gdy kto jeden znał, mógł wyrozumieć inne, wszystkie bowiem z jednej pochodziły rodziny.

Mieli też kubraki odświętne, kolorowe, buty skórzane bogatsi, łupkowe biedni, płaszcze o guzach metalowych do spięcia pod szyją, na łydkach rzemienie przeplecione, pasy wiszące na biodrach, czasem nabite błyszczącymi ćwiekami, duże sprzączki kołowe, kaptury futrem na brzegu obszyte. Wielu ludzi niosło ze sobą broń - miecze wiszące w pochwach, topory za pasem zatknięte, włócznie wiszące na plecach wraz z tarczami. Co i rusz jakiś nobil się pojawiał albo ktoś o majątku znaczniejszym - ten jechał konno albo wierzchowca za uzdę prowadził, za nim zaś szła świt złożona z członków rodu i służby niewolnej. Niewolni zaś u

ludów pruskich często w dobrym byli położeniu, stawali jak druga rodzina, co w pracach pomaga. Razem się niewolne dzieci bawiły z pańskimi, razem dorastały, razem na wojny nawet wyruszały.

Miejscowy spryciarz, oszust drobny, znajomek tego i owego, szczurek uliczny Warpołd szedł owym traktem błotnym, rozpychał się i prowadził nowych przez miasto, licząc na jakiś zarobek. Tylu się do Sudovii zjechało, że była to dla ludków jego pokroju okazja nie lada do robienia cichych, ciemnych interesów.

- Gospody chcecie, Warpołd was do takiej zaprowadzi, gdzie kasza was nie zatka, mięso nie zatruje, a piwo dobrze uwarzone i mocne. Gdzie wejdziecie, gdy wszystko wabi, a wybrać nie ma jak? Ja was w dobre miejsce zaprowadzę, zaufajcie.

- Uważaj, chłopcze - wrzasnął człowiek, na którego wpadł chudzielec. Spryciarz odwinął kaptur i mu twarz swoją pokazał, ze szczególnym uwzględnieniem dziury na miejscu nozdrzy.

- A ty czego? Pan się znalazł! Taki z ciebie nobil, jak ze mnie strzyga. Daj pozór, bo cię trąd ode mnie zarazi... Trąd!

Złapał przechodnia za rękę, aż się tamten wyrwał i zasłonił.

- Precz, dybuczne nasienie! Poszedł!

Splunął grubas i na bok odszedł. Przebijali się dalej przez pstrokaty tłum.

- Gdzie chcecie, panie, do której części? Różne są... - dalej trajkotał i prowadził ich przez błoto, nie przejmując się zabrudzonymi butami i nogawicami. - Inne miejsca wyznaczone dla Sasinów, inne dla Pogezanów, jeszcze inne dla Skalowów, Warmów, Natangów, czy Sambów. Skąd jesteście?

Dragiełło nie odpowiedział, jeno rękawicą odsunął dwóch pijanych chłopków, śpiewających pieśń i zataczających się na ich drodze.

- A może dla gości innych? Na igrzyska wyście zjechali? Na turniej? Wielka to będzie zabawa, wielka, już się wszystek tłum gromadzi. Za trzy dni będzie po drugiej stronie jeziora. Może wy na grę?

- O czym mówisz, Warpołd? - spytał go Wulfstan. - Głośniej gadaj, ja przygłuchy.

Szczurek w kapturze na drugą stronę przeskoczył.

- Nie wiecie? Nic nie wiecie? Ej, nie gadajcie, przeca widzę, po co żeście tu przez puszcę przybyli. Jam nie głupi, nie głupi. Miecz widzę, inne uzbrojenie. Łowcy tak nie chodzą. Ino rycerze. Prawda, szlachetny panie?

Szedł teraz obok Dragiełły i pytał.

- Będziecie się bić? Rycerzu? Wyście tu na turniej? Co? Dragiełło odsunął go ręką jak brzęczącą muchę. Wokół gotował się gwar sudowijskiej ulicy - wrzeszczały przekupki zachwalające sery i mleko, sprzedawano ryby, gdzie indziej miód w beczkach i dzbanach, rozłożyli się wytwórcy łuków i strzał, płatnerze, zbrójmistrze, kowale, artyści zdobień metalowych, zielarze i łowcy. Rycerz prowadził grupę przez tę gwarliwą rzekę i zdawał się nie słyszeć trajkotania Warpołda.



Dzban poleciał ku ścianie i rozbił się na dziesiątki kawałków. Woda bryznęła wokół, ochlapując skórę dzika wiszącą nad ławą, skrzynię i stojące obok pantofle z delikatnej skóry. Potem w tę samą stronę pofrunął metalowy kielich. Huknął w drewnianą belkę z łoskotem, upadł między potłuczonymi skorupami i potoczył się pod stopy Bliznobrodego. Skomand stał, wtulając głowę w ramiona i milcząc.

Krutynia miotła się tam i z powrotem, z rozwianymi włosami i wzrokiem pełnym szaleństwa.

- Jeśliś taki, weź wszystkie moje suknie i spal! Na co mi one? Rzuć je w płomień! Na co czekasz?

Książę chrząknął i wyciągnął rękę niezdarnie.

- Czemu ich nie palisz?

Księżna podbiegła do skrzyni, wyszarpnęła z niej suknię i podbiegła do kominka. Zatrzymała się, patrząc na materiał i niewielkie kamyczki zdobiące ramiona. Wróciła, wepchnęła ją z powrotem między stroje i wyciągnęła inną, z samego dna. Tę cisnęła w ogień. Suknia była długa, do kostek z przedłużonymi rękawami. Krutynia kopnęła w owe rękawy, by też znalazły się na płonących drwach. Puścił się z nich gęsty dym, który zaczął rozchodzić się zaczęła po izbie.

- Tak. Uduś mnie. Uduś mnie dymem. Jak to teraz czynisz - warczała i zaczęła zrywać frędzle wiszące u łoża.

- Tyś przecie rzuciła to na ogień, nie ja - odparł książę.

- Lecz za twoim rozkazem.

- Za moim rozkazem? Dyć ja milczę. Ty gadasz.

- To za milczeniem twoim. Tyś ją spalił, nie ja.

- Cóż gadasz, kobieto?

- Co ja gadam? Ty pomyśl o sobie. Lub nie. Bo ty i tak jeno o sobie myślisz i o tych pomysłach swoich szalonych. Nie na miarę.

- Nie na miarę?

- Nie na miarę. Tyś jest dzik z lasu, a nie cesarz. Tyś chłop, prosty woj, krwawy zbój, a nie ksiązę. Takiś!

Podbiegła z tymi słowami, a on nagle zdzielił ją w twarz. Poleciała w tył. Podniosła się, ocierając usta. Poprawiła włosy.

- Ot, co umiesz, to słabego bić. O świcie najeżdżać, ukradkiem napaść jak zbój. Takiś ty i tacy twoi woje, Jaćwingi. Nic więcej. Łotry i zbóje! A ty... ksiązę! Śpiewka to mi wesola! No, bij mnie jeszcze, to się jak cesarz całkiem poczujesz!

- Zamilcz wreszcie, kobieto! - ryknął i zatoczył się w przód, szukając noża u pasa.

- Bij, rzekłam. Albo zarżnij mnie nożem. Obaczymy, czy na wielkim wiecu księżnę pokażesz, czy trupa. I co rzekną ci, co ich chcesz omamić, żeś wielki władyka. Też mi władyka, co babę gromi. Od babów nam władyki nie trzeba!

- Milcz, gadam ci, albo nie zdzierzę - krew nabiegła mu do twarzy, żyła napięła się na czole. - Zatlukę, jakem mąż!

- Zatlucz. Babę łatwo. No, czekam - stanęła i wzięła się pod boki. - Ksiązę się wielki znalazł! Żaden z ciebie ksiązę. Tak, oczy sobie wywalaj, a mnie nie przegadasz. Co za ksiązę z ciebie, to ja wiem. Ja. Ja cię o świecie uczyłam. Ja ci rzekłam, jak życie jest ułożone w innych krajach. A tyś słuchał jak baran. Teraz z ciebie wielki ksiązę. Tyle że huknąć wystarczy, a panowanie tracisz. Może ty i ksiązę, tylko dzików i saren. Bo na ludzkiego nie wyrastasz!

Podbiegł i złapał ją za kark. Jęknęła. Ciągnąc za szyję, doprowadził do okna.

- Patrz - wysyczał jej w ucho - patrz, dziewko. Co widzisz?

- Jezioro - odparła. - Ptaki fruują.

- To miasto jest moim dziełem - mówił wściekły przez zęby.

- Twoim? Myślałach, że to ludziska se chaty pobudowali. Patrz ci, a to Bliznobrody łąził i nocami izby klecił.

Przechylił ją mocniej w dół.

- Tu jeszcze patrzaj. Co widzisz?

- No i cóż? Przecie zamek.

- Zamek. Czyj on?

- Twój.

Puścił ją, czerwona już się robiła na twarzy od krwi płynącej do mózgu.

- Jaki ze mnie ksiązę, co taki zamek ma? Mów, jędzo! Roześmiała się. Zbliżyła się do niego i pokazała odległość między palcem wskazującym a kciukiem.

- O taki - mówiła ze zjadliwym uśmiechem na wargach. - Zamek twój ojciec postawił. Tyś tylko wieżę dodał, by się pychą unosić.

Kolejne uderzenie posłało ją na podłogę. Zaczęła płakać. Już nic nie mówiła. Bliznobrody chodził przez chwilę po izbie i opanowywał gniew. Targał brodę, oddychał głęboko, nozdrza chodziły mu jak u konia gotowego do biegu.

Kucnął obok niej.

- Miecz mam - rzekł - on jest znakiem. On da mi to, czego potrzebuję. Zobaczysz, Krutynio, że dopnę swego. Jestem dzik, mówisz. Lecz dzik, nawet raniony ciężko, łatwo nie upada. Biegnie dalej. Może łowcę dopaść i flaki mu wypruć. Taki dzik to ja mogę być.

Usiadł, ciężko sapiąc. Otarł pot z czoła. Zaczął po chwili mówić innym tonem, spokojniejszym.

- Krutynio, nie czas teraz na kłótnie między nami. Wiec się odbędzie za trzy dni. Dzisiaj na wieczór zamierzylem biesiadę z wodzami plemion. Będą też posły Ugedeja. Bądź ze mną, póki będzie czas krotochwilny. Zabawiaj ich. Jeślim ja dzik, to ty jesteś kwiat. Chcę im dzisiaj dwie rzeczy pokazać. Najpierw miecz, coby wiedzieli, że los chce, iżbym zjednoczył wszystkie ludy. Potem kwiat. Ciebie. Żeby się poznali na tym, jakiego władcę obiorą. Takiego, co z królami gadać może. Jeślim gdzie tobie niedobry, rzeknij, naprawię to. Długi czas żywota jeszcze przed nami, jeśli bogi pozwolą. Potrzebuję twego ramienia dzisiaj, twych oczu, twego uśmiechu. Kriwe czaruje po swojemu. Białogłowa ma swoje zaklęcia. Tego nam obojgu dzisiaj potrzeba. Nie kłótni.

Odwróciła się, ocierając łzy. Wróciła duma na jej twarz. Leżała chwilę ze szklistym wzrokiem skierowanym w sufit.

- Czemu więc zabierasz wszystko, co jest mi drogie? - powiedziała, a on uniósł brwi, zdziwiony.

- Może i tę szczotkę do włosów mi zabierz. Nie wiem tedy jednak, jak będę wyglądać jako księżna u twego boku. Przed posłami Ugedeja.

- Co ty gadasz, kobieto? - zdumiony pochylił się w jej stronę - O czym? Żadnych ci szczotek zabierać nie chcę. Mogę i kazać kupić jakąś.

- Czemu więc mi inne rzeczy wydzierasz, które radość mi dają?

- O jakich gadasz? Rzeknij jaśniej, bo do ładu z twoimi słowami nie mogę dojść.

Usiadła. Koniec łez wytarła rąbkiem sukni uniesionym do oczu. Skomand patrzył na nią, wyczekując odpowiedzi. Westchnęła głęboko.

- O małpkę mi chodzi, mój mężu.

- O małpkę?

- Juści. Zabrałaś ją. Z izby czeladnej zniknęła. Bliznobrody zaśmiał się, stanął i podał jej rękę. I ona więc się uniosła, usiadła na brzegu łoża, oczekując wyjaśnienia. Skomand kopnął rozbite skorupy dzbaną pod ścianę.

- Małpka sama być nie może, bez opieki. A nad nią czuwał ów niewolnik o niedobrym spojrzeniu. Jeruzalem.

- Właśnie. Czemu żeś go kazał z części zamkowej wyrzucić, a przenieść do tych, co mają walczyć na arenie?

Skomand stanął naprzeciw niej i popatrzył w oczy.

- Widzę, że ci on ku upodobaniu przyszedł.

- Nie on, a małpka. Podobają mi się jej figle - szybko odparła Krutynia.

- Dobrze, małpka. Niech będzie. Ale ja tego niewolnika tam nie przeniosłem.

- Nie? - jej oczy zrobiły się szerokie ze zdumienia. - A któż taki się poważył? Któż? Pewnikiem Jada. Już ja znam tego nadzorcę. Nie ma za krzty rozumu.

- Nie, nie Jada.

- Nie on? A któż?

Bliznobrody przejechał wierzchem dłoni po brodzie.

- On sam o to poprosił.

Na te słowa księżna, mimo że w bojach na słowa dobrze doświadczona, nagle zaniemówiła. Wstała zmieszana, widząc, że mąż jej się przygląda. Szybko podeszła do okna. Z błyskiem w oku zwróciła się do Skomanda.

- Sam? Sam prosił?

- Jak usłyszałaś. Przyszedł z prośbą najpierw do Jady. Ten się do mnie skierował. Potem mi objaśnił, żeś ty go sama na arenie z innych więźniów wyłowiła. Musiał ci się podobać, śniady i muskularny.

- Mówiłam ci już, o małpkę mi chodziło.

- Jada rzekł, że małpkę przy okazji też kazałaś wziąć.

- Jada? A ty wierzysz temu szczurowi? On cię sprzeda. Za garść złota. Pierwszemu lepszemu. Jego słuchasz? Czy mnie?

- Jada nie tłucze dzbanami o ścianę.

- Za to może być bardziej niebezpieczny, niżli ci się zdaje. Dość zresztą o tym. Rzeknij mi, jakże to: sam chciał na śmierć się pisać? Wie o tym, co grozi tej drużynie?

Podeszła do Skomanda i pogłaskała go po policzku, muskając końcami palców bliznę.

- Znów ci krwią nabiegła. Nie daj się tak nerwom nosić. On roześmiał się.

- Dobrze. Ty mi w tym pomóż.

Odjął jej dłoń od swojej twarzy, podszedł do skrzyni i usiadł na niej.

- Tak, wie. Wie, że tylko połowa wojów wyjdzie z tej gry żywa. Inni, co mają walczyć ze zwierzętami, zapewne zobaczą ostatni raz światło słońca za trzy dni. Tatarzy w darze przywieźli mi dzikie koty. One też wybiegną na piasek. Jednak, mimo tego, prosił o przeniesienie. Rzekł, iż nie zniesie niewoli. A jeśli ja tego nie uczynię, on sam skoczy z okna. Albo żyły podetnie.

- Tak rzekł? Iż skoczy z okna?

- W te słowa mniej więcej. I mnie przyszło na myśl, że dla twego i mego bezpieczeństwa lepiej go usunąć. Wzrok ma zimny i stalowy, jakby coś knuł w tej głowie, więc źle trzymać go w izbie dla sług. Ci mają dużą swobodę na zamku, posługują tobie, innym żonom, mnie także. Jakby który chciał przedsięwziąć co zdradzieckiego, mogłoby to być śmiertelnie groźne. Dla naszych planów.

- Twoich planów.

- Azaliż „twoich” nie oznacza... „naszych”?

Podeszła nagle do niego i założyła mu ręce na ramiona. Zobaczył przed sobą czarne studnie jej oczu. Poczul gorący oddech na twarzy.

- Proszę cię, kochany.. Sprowadź mi małąkę z powrotem. Tak lubię jej skoki. I jej opiekuna też. Zrobisz to dla mnie? Dziczku? Będę całkiem miła. A wieczorem taki czar roztoczę przed gośćmi, iż powiedzą, że musisz być przez bogów wskazany do rządów nad plemionami. Obiecuję.

On znowu się roześmiał.

- Ot, białogłowy! Raz cię dzbanem w głowę tłucze, a zaraz całuje. Jak tu rozumu nie stracić?

- Obiecasz mi? - głos przeszedł w przymilne mruczenie. - Jego z małąką też weź. Na dworach książęta zapraszają kuglarzy, muzykantów, grajków, skoczków i treserów. Po tym znać majestat, jak się książę na owych sztukmistrzów zapatruje.

Bliznobrody wstał, strącając jej rękę z ramienia.

- Dobrze, Krutynio. Nie czaruj mnie. Nie musisz. Dość, że mamy układ ze sobą. Ty grasz swoje dzisiaj, a ja ci małąkę i niewolnego sprowadzę.

- Raduje się moje serce - wstała uśmiechnięta.

- Daruj sobie te gry - rzekł zimno i odszedł, trzaskając drzwiami. Krutynia westchnęła i podeszła do okna. Długo patrzyła na jezioro, miasto i most. Czas płynął powoli.

*

Gruby mężczyzna w luźnej, lnianej koszuli, skórzanym fartuchu zasłaniającym brzuch, o owłosionych łapach i głowie prawie łysej otarł czoło z potu wielkim kawałem szmaty. Przed nim buchało gorącym palenisko, na którym smażyły się kawałki mięsa nabite na długie pręty. Jego pomocnik okręcał pieczyście, żeby się nie przypaliło, a gdy trzeba, dorzucał dREW do ognia. Obaj byli usmoleni na gębach po całym już dniu obsługiwanu gości.

- Pan twój z daleka, zdrożony - rzucił grubas do Dwieście Piętnastego i zaczął zdejmować kawałek upieczonego wieprza z rożna. Zerknął przy tym na Wojownika Bez Imienia, który siadł na jednej z ław ustawionych pod naprędce skleconym dachem. Obok niego nikt już się nie ośmielił, mimo że wiking zdjął rogaty hełm i położył na stole. Miał w spojrzeniu coś takiego, że już z daleka wzbudzał respekt.

- Z daleka, nie z daleka, zdrożeni jesteście - odparł Kornet.

- Nie bójcie się odpowiadać - uśmiechnął się kucharz szeroko. - Ja też nie stąd, a pytam z ciekawości.

- Ciekawość nie zawsze dobra. Można sobie biedy napytać.

- Nie straszcie mnie. Nie chcecie gadać, nie gadajcie. Zsunął jeden kawał mięsa na miskę drewnianą.

- Kaszy chcecie do tego? Piwa? Miodu?

- Czekaj - rzucił Dwieście Piętnasty, podbiegł do swego pana i zaraz wrócił z informacją, że jeść i pić będą wszystko, co im da. Zapłacą pieniędzmi.

- Jakie macie? - spytał kucharz.

- Krzyżackie. Brakteaty. Mogą być?

- Mogą. Nie gniewajcie się, że pytam, ciekawość mnie bierze świata. Będzie jakieś dziesięć dni drogi, jak nasz dom, my są Barty. A tu, do Sudovii żeśmy na wiec zjechali. Jak i wy...

- Jak i my... - odpowiedział mechanicznie Dwieście Piętnasty.

- Przez ten czas tyle utargu mieć będziemy, co za życia całego. Tyle tu luda zjechało, tyle luda.

Grubas nałożył łychę kaszy, do tego ogórków i wręczył miskę Kornetowi, a ten zaniósł wikingowi. Wrócił po swoją porcję. Gadatliwy kucharz kręcił się wokół paleniska, noże o fartuch obcierał, tłuszcz do cebrzyka zrzucał, a jęzorem tak obracał, jakby się w jego gębie ziarno mielilo na mąkę.

- Tamci, widzicie ich. Za lepszych się mają. Pogezanie. Ci już Krzyżaków niby tak poznali, tak i polskich książąt, że się tu za panów mają, co do puszczy zjechali. Ale ich nasza Sudovia zadziwiła. A was?

- I nam się podoba. I nam. Kto by myślał, w środku lasu... Jak tutaj tyle ludzi doszło?

- A są drogi, są. Jeno tylko myje znamy. Ci Pogezanie podobnie na wiarę Chrysta już przechodzą. My się ino starych bogów trzymamy.

Pochylił się do Dwieście Piętnastego i mrugnął.

- Ten wasz pan to surowy jakiś się zdaje. Mocny rycerz z niego, co?

- Mocny. Prawda to.

- Taki mi się on widzi, tacy to wiele, wiele lat temu na ziemie nasze najeżdżali. Dziady o nich prawią. Całkiem on jak z tych opowiadań, jak wojownik z północnych krajów. Jestże on stamtąd?

- Stamtąd czy nie stamtąd, nie wasza rzecz, karczmarzu.

- Za to wy mi się zdajecie Natangiem. Tak jakoś po ichniemu gadacie, z taką natandzką melodią. Z Natangii was bogi prowadzą?

- Z Natangii.

Kucharz podał mu misę i dwa dzbany z piwem.

- Na zdrowie niech wam idzie.

Usiadł Dwieście Piętnasty koło Wojownika Bez Imienia i jeść zaczął, a wygłodniały był mocno po leśnej wędrówce. Łapczywie całe kęsy do gardła wpychał, a piwem popijał i tylko pianę czasem z gęby obcierał. Patrzyli oba spode łba na resztę. Pogezanie zajęli trzy ławy pozostałe i śmiali się, grając w jakąś grę na stole. Rzucali kuleczki, patrzyli na wyniki, przekrzykiwali się. Na Wikinga starali się nie zwracać uwagi, wielu rycerzy zjechało do Sudovii by topór Jaćwięgów - cały w srebrze kuty, bursztynem wysadzany - wygrać.

Gdy człowiek z północy skończył jeść, wtedy tłuszcz z misy na dłonie wziął i natarł we włosy, zaczesując je w tył, aby się trzymały. Potem jeszcze brodę natłuścił i dopiero odsunął pusty talerz.

Dwieście Piętnasty się ku niemu pochylił, coś szeptać zaczęli.

Kucharz podszedł do pieca i wielką łopatą drewnianą zaczął ciasto wkładać do wypieku. Gospodę urządzono pod zadaszeniem lekkim, nie miała żadnych bocznych ścian. Wiele takich miejsc powstało w całym mieście. Tyłu ludzi zjechało, to i jeść musieli. Myśliwi z całych okolic zjeżdżali, oferując ubitą zwierzynę, a zbyt był na nią duży, zaraz szła na pieczone. Piwo i miód lały się strumieniami. Co raz jakieś bójki wybuchały, zwady - nie trzeba było dwóch słów, a już awantura gotowa. Często to bowiem się pojawiali obok siebie śmiertelni wrogowie od pokoleń. Ludy pruskie miały to w swoim zwyczaju, że co i raz na sąsiadów trzeba było najechać. I zaraz, z zemsty, najazd odwetowy urządzić. Gotowało się w mieście jak w wielkim kotle z kapustą.

Dwieście Piętnasty podszedł do grubasa.

- Gadać lubicie, to rzeknijcie mi co, a wam dobrze zapłacę.

- Co chcesz wiedzieć? - kucharz łypnął podejrzliwym okiem i mięso zaczął krajać na kawały mniejsze.

Kornet zaczekał, aż nikogo przy kucharzu nie będzie, i rzekł:

- Trzeba nam wiedzieć o jednych takich, co tu przybyli.

- Ja tam nie wiem nic. Ja tu też przyjezdny, rzekłem wam.

- Zapłacę wam.

Grubas się w jego stronę pochylił.

- W brakteatach?

- Może być.

Odwrócił się plecami i zaczął jeden z roznów nacierać tłuszczem. Potem się zajął nabijaniem kolejnych kawałków mięsa.

- Ile chcesz tych denarów? Kucharz się odwrócił i uśmiechnął:

- Dwa solidy. Płatne wszystko w fenigach toruńskich?

- Tu je mam - potrząsnął kieszką Dwieście Piętnasty.

- Prawdziwe?

- Co mają być nieprawdziwe. Stamtąd jedziem. Tłuscioch pokazał zęby w uśmiechu.

- Mów zaraz, człowieku, kogo szukasz. Ja chłopaka wyślę, zacznie rozpytywać po ludziach. I dzisiaj wieczór może już będzie co wiadomo. Jak się uda, wtedy zapłacisz, jak trudniej, będzie niż myślę, wtedy jeszcze jednego solida dorzucisz. Bo widzę, że w tym mieszkzu to masz parę skojców.

- Może być - rzekł, wyginając dumnie wargi Kornet, i objaśnił karczmarzowi, jakich ludzi trzeba szukać.

Kucharz przywołał czeladnego chłopca i powtórzył, co się mam wywiedzieć. Obcy się wtrącił ze dwa razy, precyzując szczegóły wyglądu. Nawet na chwilę rękę wysunął z rękawa, żeby pokazać jak kikut zamiast ramienia wygląda w pustym ubraniu. Potem wrócił do stołu.

Wojownik Bez Imienia nie odezwał się do niego ni słowem. Założył hełm, wstał i wyszedł rozejrzeć się na trakt.

Umilkli na chwilę Pogeżanie grający przy stole obok, popatrzyli za nim, a potem coś poszeptali między sobą.

Z nieba spadły pierwsze krople deszczu.



ROZDZIAŁ XVI

Sierpień 1238



grzytnęła zasuwą. W niewielkim okienku w drzwiach ukazała się twarz starej kobiety.

- Czego chcecie? - spytała.

- My do księżnej Jadwigi - odpowiedział gruby mężczyzna o nalanej twarzy i spojrzeniu bywalca niejednej gospody.

- Z daleka - dodał chudzieńki, stojący obok, a szyję w górę ciągnący jak pisklę koło gąsiora.

- Tu wszystkie z daleka jadą do księżnej, do Trzebnicy - odparła stojąca za furta siostra i zaczęła zamykać okienko. - Teraz mamy czas modlitwy. Idźcie do domu pielgrzymiego.

- Siostrzo, czekajcie, nasza sprawa niezwykła - grubas nie dał za wygraną i położył rękę na obrzeżu okienka, tak żeby nie można było go zamknąć. Stara kobieta syknęła.

- Czego łapę kładzie? Co to, zbój?

- My nie pielgrzymi. My z ważnymi wieściami dla księżnej.

- Z wieściami - dogadywał z tyłu mniejszy.

- Tu księżnej nie ma. Tu są siostry cysterskie - odparła furtianka i zaczęła naciskać okiennicą na palce nieproszonego gościa.

- Siostra mi ręki nie miażdży, to nie po chrześcijańsku - zajęczał gruby, lecz palców nie odjął. - My do siostry przełożonej, Jadwigi, księżnej naszej śląskiej.

- Do niej właśnie - chudzinka nie miał zamiaru milczeć.

- Ja jestem Michałko, a to mój przyjaciel, Bocianek.

- Co za przybłądy! - siostra w środku zaczęła tracić cierpliwość. - Idźcie, bo psy wypuszczę. Albo czeladź zawołam!

Trzasnęła krawędzią okiennicy w palec Michałka tak mocno, że ten krzyknął i cofnął rękę. Zamknęły się drzwiczki, zgrzytnęła zasuwka.

- Siostro! My są woje księcia Henryka! Od niego jesteśmy! Wpuść nas! Ważne wieści dla księżnej mamy! Może być, że wagi wielkiej! Dla młodego księcia! Musimy! - zaczął skakać pod drzwiami Bocianek.

Michałko dmuchał na puchnącą rękę.

- Nic, tylko mi stare babsko paluchy połamało. Taka to łagodność panuje w cysterskich zgromadzeniach. I było mi swoje kości do Trzebnicy tłuc.

Zgrzytnęła zasuwka i pomarszczona gęba furtianki pokazała się w okienku, zezując wściekle na wszystkie strony.

- Co za głupoty! Księżę Henryk nie żyje. Jak to może być, że wy od niego? Oszukać chcecie? Jak zupy wam trzeba, przyjdźcie po Aniele Pańskim, dadzą na progu.

- My to wiemy, boleścią już okładamy jego odejście, świeć Panie nad jego duszą - Bocianek przejął rolę negocjatora. - Ale my są jego dawni woje, ze starej drużyny, co jeszcze na Prusów chodziła. My w Gąsawie z nim byli. Michałko go z łaźni na rękach wynosił, medyka wołał. Tu żeśmy go wtedy wieźli, rannego, przez Polskę całą, na ramionach własnych. Myśmy to na księcia poruczenie wykradli Grzymisławę i Bolesława małego z rąk Konrada na Mazowszu. My to żeśmy łzami głębokimi oplakali śmierć jego osoby najszlachetniejszej i naszym sercom najbliższej. Księżna nas pomni. Ona będzie wiedzieć. Michałko i Bocianek jesteście. Spytajcie.

Za drzwiami wejściowymi na teren klasztorny cisza zapanowała. Stara siostra zakonna myślała, co tu uczynić. Potem rzekła:

- Idźcie teraz do domu pielgrzyma. Tam was przyjmą jak innych. Do siostry Jadwigi wielu ludzi ciągnie po błogosławieństwo, uzdrowienie chorób. Cały dzień ona posługę Bożą czyni, nie Iza jej nachodzić z hałasem od świeckich rzeczy idącym. Ja jej powiem, żeście są i że z nią gadać chcecie. Bądźcie tu jutro o tej porze, zastukajcie, powiem wam, czy was widzieć będzie chciała.

Zatrasnęła drzwiczki. Michałko i Bocianek zostali pod murem, słyhać było tylko śpiew ptaków, które obsiadły drzewka owocowe w przyklasztornym sadzie.

- I na co nam znowu przyszło, Bocianku? - stękał grubas.

- Tyle drogi żeśmy jechali, tyle to kurzu za nami się uniosło, a tu masz, od drzwi klasztornych jak psa cię odpędzą. Chudszy pokiwał głową ze smutkiem i rzekł:

- Nie trać nadziei, Michałko, nie wolno. Modlić się musimy, a księżna nas przyjmie. Słyszałeś co ta siostra...

- Ta baba! - wtrącił grubas.

- ...co ta siostra rzekła. Z księżną się rozmówi, sprawę naszą przekaże. A jak przekaże, tak i Jadwiga musi nas chcieć wysłuchać.

- Może i musi. A jak nie musi?

- Oj, Michałko, duch w tobie pada czy jak?

- Jak ma nie padać, kiedy mi łapa puchnie jak niedźwiedziowi od ukąszeń roju z barci? Babsztyl stary, a większe szkody może uczynić niż stado os.

- Michałko, jak księżna chorych tylu przyjmuje, to może być że ta twoja łapa stłuczona nam się przyda. Furtianka nas wpuści, a ciebie jako kalekę na pierwszym miejscu.

Grubas zezłościł się i próbował kopnąć kompana, ale ten sprytnie odskoczył i stanął parę kroków dalej.

- Ot, człowiek gada na własnej piersi wykarmił. Nie dość, że przyjaciel jego cierpi, to jeszcze ten złośliwościami go bodzie. Jak ci przyłożę w chudy tyłek, tak i ty też kaleka zaraz będzie. Znalazł się żartowniś.

Michałko zaczął dmuchać na palce, które zmieniły barwę na siną.

- Zamiast dworować, lepiej byś pomógł - jęczał. - Szybko bieżajmy i studnię jaką odnajdźmy. Muszę rękę w zimną wodę wsadzić.

Bocianek poleciał przodem, w stronę budynków przyklasztornych, tam gdzie czeladź spała, gdzie składano plony i gdzie stały chaty dla tych, co zjeżdżali tu po to, aby zaznać jasnego dotyku pani śląskiej, księżnej Jadwigi, którą lud już za życia uznał za święta.



- Niech dobre bogi przyniosą wszelką pomyślność wam i waszym dzieciom, duchy waszych przodków niech będą wam przychylne, a łaska Peruna niech doda sił waszym rękom, ognia waszym oczom i żelaznego hartu waszym duszom! Witam was, prześwietni wodzowie, na ziemi jaćwieskiej, a Słońcu dziękuję, że tak drogami waszemi pokierowało, iż wszyscy się możemy spotkać przy tym stole! - Bliznobrody wziął oddech i zanim rzekł co dalej, musiał przeczekać hałas, jaki wzniesli wszyscy goście, którzy na znak aprobaty stukali pięściami w stół.

Potoczył po nich wzrokiem pewnym siebie, z błyskiem w oku. Skomand był człowiekiem walki, nawet wyzwanie związane z batalią, gdzie słowo jest orężem, jemu, wojownikowi sprawiało przyjemność, pachniało krwią. Odczekał chwilę i gdy rumor zdawał się gasnąć, mówił dalej:

- Chylę przed wami czoło, sławiąc wasze męstwo i waszą roztropność. O roztropności mówię, gdyż to jej trzeba, by własne sprawy na bok odstawić i kiedy znak od kapłana Kriwe nadchodzi, na koń wsiąść, ludzi zebrać i do Sudovii zjechać. Na roztropność też waszą liczę, prosząc, by na czas, gdy wiecować będziemy, zapomnieć o swarach i zadawnionych sprawach!

Cześć wam więc oddaję, szlachetni wodzowie, i witam w Jaćwieży! Wodza Warmów, szlachetnego Jarłasta! Wodza Bartów, Pagaptinsa! Głowę plemienia Sasinów, czcigodnego Labantana! Segilaja z rodu pierwszego Galindów! Wimylta, księcia Karludów! Najstarszego wśród nas, dobrego przyjaciela, Bukaitawusa, wodza Sambów! Bukaitawusie, liczymy na twoje doświadczenie, mądrość i radę! Na prawo od niego... Sermenis. Pokaż się, Sermenisie, pierwszy mężu Pogezanów! I cieszę się, żeście obok siebie miejsca zajęli, Vaistasie, wodzu Pomezanów. Niech wasza zgoda pokaże nam, jaką drogę obrać winniśmy, aby wspólne cele osiągnąć! Witam i ciebie!

Gajda! Mój dobry Gajdo, jakże się raduje me serce, gdy widzę cię wśród nas. Ileż to razy ruszaliśmy wspólnie na wyprawę? Ileż razy grzaliśmy razem ręce przy ognisku w lesie? Pomnisz? Z wypraw litewskich który z nas więcej niewolnych do swoich siedzib przyprowadził? Ja czy ty? Cieszę się, że twój śmiech znowu słyszę. Tylko miodu nie pij za wiele, bo się dzik w tobie obudzi. Tak, tak - przyjaciele, ci co siedzą blisko Gajdy, niech mu zaraz topór odbiorą, jak nie chcą go mieć potem w głowie albo w plecach. Nie śmiecie się, nie śmiecie - kto Gajdę zna, ten wie, że prawdę gadam. Witam więc, przyjacielu, plemię Nadrowów w twojej osobie!

Ale i Skalowów nie mogę pominąć. Tych tu godnie reprezentuje wojownik, któremu wiec niedawno dopiero władzę oddał, aleć z twarzy widać, że mu nikt pod wąs nie nasika, choć jeszcze młody - witam cię, świetny Dangaustabasi! Pierwszy to raz siedzą Skalowy razem z Sambami przy jednym stole, a jeszcze żadna włócznia w powietrzu nie leciała, żaden topór juchą się nie zboczył.

Wszystkim wam ślę pozdrowienie i z serca oferuję przyjaźń i uczciwość! Co złe, niech za nami będzie. Co dobre, przed nami! Na ten znak pozwólcie, że wam dłoń uścisknę. Białogłowom gadać przystoi, mężowi starczy uściśnięcie ręki!

Wyszedł zza stołu i przeszedł po kolei do każdego wodza, ściskając dłoń i wymieniając jeszcze po kilka słów. Gwar się rozszedł po izbie. Niektórzy sięgnęli do pucharów, zaczęli pić, a piwa i miodu nie brakło.

Jeden się z biesiadników, korzystając z gwaru, do ucha drugiego pochylił i rzekł cicho:

- Kriwego nie widać. Gadają, że Bliznobrody kapłana zabił. Albo że go w lochu więził. Prawda to?

Inny mu odpowiedział:

- Wszystko być może. Nie nam sądzić.

- Nie nam.

Gdy Skomand obszedł wszystkich gości i się z każdym uściskał, wrócił na swoje miejsce. Klasnął znowu, aby rozmowy uciszyć.

- Z różnych stron jesteśmy, ale też jakby z jednej ziemi! - zaczął znowu pełnym głosem, a z twarzy jego buchały energia, pewność siebie i poczucie siły zsyłanej przez bogów. - Różnie się zwiemy, ale jesteśmy podobni. Inne mamy języki, ale jak gadamy, tak jeden drugiego zawsze pojmie. Strój nasz czasem inaczej szyty, ale całość jak z jednego rodu idzie, kierowana wspólną tradycją.

To, co nas wszystkich w jeden ustawia rząd, w jedno wspólne plemię, ten sam ród, w to samo zbrojne ramię, co się nam każe sprząc - to jest drapieźny zwierz, który stanął pod naszymi wrotami, który czyha za ścianą domostwa, żeby nas dopaść, który węszy, podchodzi, wyje, który się nam do gardeł rzuca. To jest rycerz z krzyżem na płaszczu! To jest niemiecki zakon! To jest Krzyżak!

To mówiąc, rąbnął pięścią w stół, a oczy mu krwią zaszyły. Podniosła się wrzawa. Krzyczeli wodzowie plemion na znak poparcia. Bliznobrody, jakby poczuł wiatr we włosach, jakby koniem będąc, galop przeczuł, zerwał się teraz dopiero do przemowy.

- My są różne ludy, z jednego pradiada wywiedzione. Ale Krzyżak nas nazwał jednako! „Brussi” na nas woła! Prusy jesteśmy wszyscy pod rząd! Cesarz Niemiecki mu pono naszą ziemię nadaje! A największy kapłan wiary Chrystowej nakazuje przeciw nam walczyć i wiarę naszych przodków nam zabrać! Nasze święte gaje spalić! Dęby powalić! Kapłanów powiesić i ze skóry obrać! Nasze dziewczki w niewolę uwieźć! Zęby nam wybić! Mięsa jeść nie zezwolić! Figury naszych bogów porąbać i na ogień rzucić! Chaty z dymem puścić! Topory z rąk wyrwać! Starców potopić! Do ziemi nas wybić, do ziemi, powiadam wam! Oto, co Krzyżak chce! Już u naszych ostrokołów jest, już się prawie krwią naszą poi! A wy? Nie chwycicie za miecz? Za topór? Włóczni mu w pierś nie wbijecie?

W całej sali zawrzało. Wstawali jeden z drugim, pięściami w stół walili, aż huczało, tupali, klęli, parno się zrobiło, gorąco, gwarno. Słudzy podbiegli do okien, uchyłili szerzej okiennice, żeby izbę wietrzyć.

- Jeśli nieprawdę gadam, rzeknijcie! - Skomand stał, a po jego skroniach płynął pot. - Jeśli łżę, niech który weźmie topór i prosto w łeb mi wbije!

- Prawdę gada! Tak jest! Krzyżak na ziemię naszą nachodzi! Tu też dojdzie! Łotry to! Skomand dobrze gada! Bliznobrody, my z tobą!

W całej komnacie wrzało od okrzyków. Uciszył ich znowu książę Jaćwieży. Łyknął miodu z dzbana, brodę otarł, splunął na ziemię. I gadał dalej, teraz ciszej, aby się wszyscy na jego mowie bardziej skupili.

- Jak nas Krzyżak ma za jeden lud pogański, jak o nas myśli, że my są barany, co się z łąki na jatkę prowadzi, to ma rację. On ma rację!

- Co? Co gadasz? My nie barany! My woje! - odpowiedziały mu wzburzone głosy.

- Nie? To spytajcie się, jaki to opór dawany Krzyżakom, spytajcie! Niech wam rzekną Pomezany, Pomezany albo Warmy, co się na ich ziemiach dzieje, jak to Zakon sobie poczyna. Niech rzekną. Jarłaście, twoje słowo!

Bliznobrody usiadł, a od stołu się podniósł Jarłast, wódz War mów. Poprawił długie rękawy, rozejrzał się i rzekł:

- Dobrze Skomand prawi. Krzyżacka moc jest wielka! Rycerzy może niewielu tam u nas mają, ale za to poczty ogromne. Kilku konnych wiedzie za sobą kilkuset dobrze zaprawionych, pieszych wojów. Posuwają się powoli, ale grody nasze zdobywają, spychają co raz w las, biorą w niewolę. Glappo się poważyl z nimi walczyć, nie strzymał. Gród obronny Lecbarg spalili, teraz tam zamek stawiają! A nas mało na nich. Broń nasza słaba przeciw dobrym zbrojom. Oni kusze mają i tarcze mocne. W lesie bić się nie chcą!

- U nas też zamki stawiają i miasta budują, sprowadzając osadników, a nas w niewolę biorąc! - krzyknął Vaistas, wódz Pomezanów.

- Nas jeno układ ze Świętopelkiem Gdańskim broni! - dorzucił Sermenis, pierwsza głowa Pomezanów.

Bliznobrody się na to znowu zerwał.

- Więc jakże to, bracia, nie mają nas za baranów? Nie idą po nas jak po bydło, co tylko na topór będzie czekać, a ryczeć na łące? Nie czynią tak?

- Czynią! Jak barany my! Dobrze prawi! - Gwar się rozległ głosów poparcia dla tego, co książę Jaćwieży mówił. Pochylali się ku sobie wodzowie plemion pruskich, komentowali, na gorąco rzecz sobie sprawiali z tego, co myślą.

- Jeśli więc czego nie uchwalimy, jeśli wspólnej walki nie podejmiemy, tak jak baranów nas wytłuką! Będą przychodzić po kolei i słabość naszą wykorzystają. My się dobrze bronimy w lesie. Mamy swoje grody, lauksy nasze chronione. Ale przeciw czemu? Przeciw bandzie łupieżców takich samych jak my. Nie przeciw Krzyżakowi! Oni nas wyłapią jak

zwierzęta - na wnyki. Bośmy nie silni, a słabi. Tak, bośmy słabi! Uciszcie się, proszę, wodzowie, dajcie rzec, co myślę! Nie przerywajcie, na bogi! Dajcie mi myśl wysłowić.

Myśmy słabi na ten czas nowy! Już się nie da żyć, jak było. Co na lata spokojne było dla nas, to już odejść musi.

Słabość nasza w naszej tradycji - tę zmienić musimy. Kiedy ojciec u nas ducha odda i na stosie się pali, wszystko ze sobą dla bogów zabiera, nic synowi nie zostawia. Kiedy syn na swoje odchodzi, musi nowe budować. Co zbuduje, gdy zawsze od karczowania lasu zaczynać musi? Czym będzie, jak mu ojciec wypracowanej ziemi nie zostawia? Jak nawet miecz nowy sam musi sobie wykuć, bo mu ojcowy spłonął we stosie całopalnym? Nawet niewolnicy, miast pracą się przysłużyć nowemu pokoleniu, z dymem odchodzą. Pięknie to, że o sobie na tamtym świecie dbamy. Lecz nie dbamy o siebie na tym. A jak dalej tak będzie, to się wszyscy możemy pod krzyżacki topór podłożyć!

- Co on gada, bracia? - zerwał się nagle od stołu młody Dangaustabas. - Toć nawołuje nas Bliznobrody, byśmy wiarę naszych przodków ostawili! Może jeszcze i święte gaje lepsze by nam było wyciąć, to się od Krzyżaków lepiej obronim? Śmieszne to! Albo lepiej - smutne! Może to ze strachu mamy miecze wyciągać ze stosów pogrzebowych ojców naszych? Może to nas nie stać, żeby własne wykuć? Mnie stać! I Skalowów takież!

Usiadł pełen złości, aż się ława zatrzęsła. Gajda się zerwał. Wyjął topór z za pas, wszystkim pokazał.

- Wodzowie! Ten topór, który trzymam w ręku, Bliznobrody wbił w samo czoło kapłana chrystowego! Ja to widziałem! Najpierw swój utopił w krwi jednego, a potem mi jeszcze drugi wyrwał i ten też w czaszkę drugiego wrąbał! Skomand lęku nie zna, a co teraz gada, to mu rozum dyktuje, żeby na Zakon większe siły zebrać, niż dotąd bywało!

Gajda usiadł po tych słowach, ale się szepty rozległy, że trzyma z Bliznobrodym po dawnej przyjaźni. Dangaustabas zaśmiał się gorzko. Lecz nic nie rzekł.

- Trzeba nam nowego myślenia! Bracia! Wodzowie! - ryknął Bliznobrody, przekrzykując gwar. - Nie ten wroga zwycięża, co silniejszy, lecz co swoją siłą roztropnością i odwagą wspomóż. Odwagi nam nie brak. Siły też. Mądrości nam teraz trzeba! O to tylko wołam! A żeby nam źle się o tym nie gwarzyło, tedy każę mięsiwa teraz wnieść. Jedzcie dobrze i pijcie. Wojownik lepiej myśli, gdy brzuch ma pełen.

Skomand usiadł, dając znak sługom, by zaczęli na stoły wnosić potrawy. Rozpoczęła się uczta. Na wielkich misach zaczęły wjeżdżać świniaki upieczone, drób, owoce, jagnięce nogi, dziczyzna w śliwkach, kluski z mąki na wodzie gotowane, placki wonne, oliwa i słodkie ciasta z maku i miodu. Z dzbanów się lał miód i piwo do kielichów.

Gwar się znowu zaczął, śmiechy i przekrzykiwania. Bliznobrody oparł twarz na rękę, zamyślił się. Czuł, że po chwilowym sukcesie zwycięstwo mu się zaczyna wymykać. By chwilę nieprzychylną przeczekać, kazał podać jedzenie. Weszli grajkowie. Popłynęła skoczna muzyka.

Zimne nadeszły dni w drugiej części sierpnia. Zaczął padać deszcz. Czasem mocniej, a kiedy indziej tylko siąpił, ale wszystko nasiąkało wilgocią. Ludzie okrywali się derkami, kichali, chowali się, gdzie się da. Ulice w Sudovii zamieniły się w błotniste rzeki. Tym większy ruch był w karczmach i gospodach, tam się goście gromadzili, by wypić co i zjeść.

Pod jedną taką oberżą, w której aż parno było od oddechów i suszących się w ciepłe przemoczonych ubrań, pojawił się chłopiec. Miał na sobie ino koszulę i portki, boso biegał, ale się deszczem nie przejmował, jakby mu za jedno było, czy go słońce grzeje, czy mżawka moczy. Wyrzął zza węgła, machnął ręką. Z bocznej uliczki wyszło dwóch ludzi. Jeden wielki, o potężnych barach, w płaszczu, zbroi wykonanej z blach nabitych na czarną skórę i w hełmie, co po obu stronach miał wygięte ku górze bawole rogi. Drugi zaś dość strojnie ubrany, kolorowo, widać, że ze szlachetniejszego się rodu wywodzi. Rzekłbyś - księżę i jego przyboczny rycerz-zabijaka.

Dzieciak przebiegł pod okapem z sitowia i zatrzymał pod małym okienkiem. Chłopiec machnął do ludzi, których za sobą prowadził. Podeszli do niego i zajrzeli w okno. Strojny wyjął zza pasa sakiewkę, odliczył parę monet i dał malcowi. Dzieciak zniknął zaraz za rogiem i rozplynął się w deszczu, jakby go tu nigdy nie było. Wiedział, że szykuje się awantura i wołał czym prędzej znaleźć się z powrotem u swego ojca.

Wojownik w hełmie zajrzał jeszcze raz przez okno i począł wyciągać zza pasa topór. Drugi zaś, przyklejając się plecami do belek idących w ścianie, prześlizgnął się w okolice wejścia, na chwilę zasłonę odgarnął i zerknął do środka, by wybadać, jak jest w środku. Gwizdnął do wojownika.

*

Dragiełło siedział plecami do drzwi. Karlito obgryzał kawałek kości, bracia Job oparli się o słup podtrzymujący powałę i drzemali, a Hanna miała w dłoniach kaftan rycerza i zszywała dziurę, jaka się zrobiła w czasie podróży w lesie. Wulfstana z nimi nie było, rzekł, że ma parę swoich spraw do załatwienia i albo na noc dopiero wróci, albo następnego dnia. Większość ludzi w gospodzie zachowywała się, jakby to nie karczma była, a gościniec - niby to jedli, trochę pili, a tak naprawdę to spali, korzystając z ciepła. Najbardziej oblegane były miejsca przy piecu z otwartym paleniskiem. Z niego gorąc buchał taki, że kilku koszulę zdjęło i siedziało z gołym torsem.

- Karlito, sługo mój niewydarzony, czyś ty jest pies? - spytał rycerz swojego giermka.

- Czemu, panie, pytasz? Chodzi ci o wierność mą? Tę mogę zaprzysiąc...

- Nie o wierność, ale o obgryzanie kości. Żresz jak pies. Toć tam już nawet kawałeczka mięsa nie ma. Ni drobinę tłuszczu.

- Gdzież nie ma? Pan nie widzi, bo z daleka. Tłuszcz się chowa w malutkich dziurkach tej kości i trzeba go wyssać. Zostawić to jak zmarnotrawić. A grzech by to był przecie.

- Grzech to jest, jak bezwstydnie cmokasz przy tym żarciu. Już się pół oberży na ciebie gapilo z obrzydzenia.

- To nie z obrzydzenia, panie, lecz z zawiści. Żal ich bierze, że tak dobry szpik im nie przypadł w udziale.

- Skończ już te głupie gadki, a kość wyrzuc.

- Wyrzucić?

- Dobrze słyszałeś.

- Potem wyrzucę. Jak rozkazałeś - garbus pokiwał głową i szybko skrył gnata w zakamarkach swojej szaty, tak by już się nie rzucać w oczy pogromcy smoków. Pokręcił się, ziewnął, czknął i po głowie się podrapał.

- A to znowuż co? Robactwo ci po łbie łązi? - rzekł Dragiełło. - Może ci trzeba te włosy do skóry ostrzyć?

- A gdzieżby, panie. To bym się czuł, jakby mi się garb zamiast głowy usadowił, a głowa zamiast garba.

- Jakże to?

- Tak. Toć garb mam owłosiony. Jakbyście mi głowę ogolili...

- Dość. Zamilknij już, bo oberwiesz. Czego się kręcisz?

- Na pęcherz mi naciska chyba. Zawsze jak czuję, że odlać co trzeba z brzucha, to mnie głowa wtedy swędzi. Drapię się, a potem idę oddać płyny.

Rycerz westchnął głęboko i rozkazał rozbawiony.

- To się już nie drap. Idźże za gospodę, odlej co żeś tu wypił.

- Idę - odparł karzeł. - Wstrzymywałem się, mój panie, bo tam za drzwiami deszcz leje. Póki on leje, to myślałem, że ja mogę później.

Garbus wstał i zaczął iść w stronę wyjścia. Zarzucił kaptur na głowę, odepchnął mężczyznę opierającego się o beczkę z ogórkami, a zagradzającego drogę, i skierował się do sieni. Wszedł na chwilę w jej mrok i już miał złapać za zasłonę odgradzającą wejście, gdy ktoś to uczynił z zewnątrz. Na progu stało dwóch ludzi. Cień długi padł na karła. Karlito

wywrócił się z przerażenia. Przed nim stał diabeł w żywej postaci, a rogi jego były tak wielkie, że wchodząc, musiał się schylić, by o powalę nie zaczepiać.

- Michale Archaniele, ratuj! - wyjęczał garbus i przeżegnał się.

- To jeden z nich. Karzeł.

- Bierz go!

Dwieście Piętnasty chwycił Karlita za kołnierz i zamierzał podnieść, ale ten wywinął i w rękę go ugryzł. Syknął z bólu Kornet i puścił karła. Garbus chciał uciec do izby, ale przydeptała go jak pluskwę stopa rycerza.

- Matko Święta, przybądź! Z rąk szatana mnie wyrwij! - zapłakał.

But wojownika naciskał na opończę i nie pozwalał uciec.

- Panie! Ratuj! Diabeł! - wydarł się z całej siły, jaką miał w płucach karzeł. Rozmowy w gospodzie ucichły, jak ucięte nożem. Dragiełło zerwał się od stołu, wyszarpując miecz z pochwy.

◆◆◆

W izbie czeladnej ktoś Jeruzalema nagle za rękaw chwycił i pociągnął w bok. Była to Gowinda, służka księżnej.

- Zostaw małąkę i chodź ze mną. Moja pani chce z tobą mówić.

Przebiegli kilka kroków i wpadli za jakieś drzwi do niewielkiego pomieszczenia gospodarczego, gdzie stały rzędem beczki pod ścianą. Krutynia, oparta o jedną z nich, bawiła się końcem włosów. Gdy drzwi skrzypnęły, obróciła się gwałtownie i złapała go za rękę. Gowinda zaczęła wejścia pilnować.

- Oszalałeś? - spytała rozgorączkowana księżna, próbując go do siebie przygarnąć. On stał sztywno.

- Czemu milczysz? Co zrobiłeś? Czemu się na śmierć chciałeś pewną wydać? Walka w igrzyskach Skomanda nic innego przynieść nie może. Nie milcz tak, gdy mówię do ciebie, bo jeszcze bardziej mnie rani ta cisza. Spójrz na mnie chociaż. Cóż znaczy ten wzrok kamienny?

Jeruzalem wygiął wargi i splunął nagle na ziemię.

- Co za znak to? Czemu plwasz? Na mnie? Na moje... kochanie?

Ostatnie słowo wydusiła z siebie z taki wysiłkiem, jakby nie mogło jej przez gardło przejść, w oczach zamigotały łzy. Szalbierz pokręcił głową, zły, iż mu przychodzi toczyć batalię na miłosne słowa z tą kobietą. On ją teraz złapał za nadgarstek i podprowadził do małego okienka, pod którym leżały worki, pachniało ziarnem, włóknem lnianym i kurzem. Tu dalej byli od służki Gowindy. Tu mógł w większym spokoju wyznać jej, co myśli.

- Krutynie Ty nie wiesz, co za dusza we mnie, kim Jeruzalem jest po prawdzie. Tego nie znasz. Nie mów więc za dużo, kiedy wszystko idzie w nieznane. Przecie ja jestem dla ciebie jak mgła.

- To mi rzeknij, rzeknij prawdę - wbiła w niego gorące oczy.

Uśmiechnął się z wyższością.

- Jestem kuglarz wędrowny. Łgarz, co żyje z ludzkiej głupoty - po świecie jeżdżę, ludziom kłamię, sprzedaję zwykły tłuszcz borsuczy jako maści albo i relikwie świętych, co sam je po cichu zrobię, zioła, o których albo co wiem, albo nic, i wiele robię zamieszania. Ale to moje zamieszanie to ino dym, pusty dym.

- I cóż z tego? - spytała - Toć taki mi się na arenie spodobałeś: cudak z małpką na sznurku.

- Różne inne grzechy też mam na swojej duszy.

- Jakie?

- Zabijałem.

- Cóż jeszcze?

- Kradłem.

- A dalej?

- Cudzołożyłem.

- Jeszcze?

- Fałszywe świadectwo dawałem. Chcesz wiedzieć więcej?

- Koniec to?

- Bogów miałem innych, dnia nie święciłem ani rodziców nie czciłem. Robiłem wszystko to, czego Bóg chrześcijański nakazuje nie czynić. Zasłużyłem na piekło.

Pogłaskała go z żalem po policzku.

- Kto cię tych nakazów wyuczył?

- Ojcowie dobrzy w Tyńcu pod Krakowem. Chowali mnie tam jak syna.

- Ich nie czciłeś?

- Nie. Zabiłem tam człeka i uciekłem. Czyniłem inne też łotrostwa, a dusza moja czarna jest jak największa otchłań.

Pochyliła się ku niemu i zajrzała mu prosto w oczy, bardzo blisko, tak że prawie się zetknęli nosami.

- A miłowanie? - spytała szeptem. Poczł ciepłe powietrze na wargach. Zamrugał. Przelknął ślinę.

- Cóż - miłowanie?

- Nie wiesz, co znaczy?

- Czy wiem?

- Tak. Czy wiesz?

- Może... Jeśli... Miłowałem. Dziecko. Kobieta. Przyjaciela.

- Więc gdzieś otchłań w duszy? Miłowanie jej nie przepędza?

- Nie - odparł twardo i odepchnął ją nagle od siebie, jakby nie mógł znieść tej bliskości oczu i ust. Stał plecami do niej i mówił, patrząc w szare niebo widoczne w okienku.

- Moja natura szaleje jak kawał drewna na wzburzonej wodzie, to w dół mnie ciągnie, to na fali wznosi. Czasem mi się zdaje, że jestem zły, że jestem przeklęty, a kiedy indziej - że się jakby z obłoków jakaś ręka do mnie schyla i łapie za kark. Przesuwam gdzieś na drugą stronę rzeki. Jak szczenię, co nie wie, w którą stronę iść, piszczy, pod siebie robi... Zdradziłem przyjaciela. Kobieta. I dziecko. Ich miłość też. A potem...

- Cóż potem? - patrzyła na niego z drżącymi wargami.

- Potem... - opuścił głowę - oni mi wybaczyli. Po tym, jak zło wyrządziłem, oni mi rzekli... Trudno, źle zrobiłeś, lecz wybaczymy... Gdy już miecz miałem nad szyją, gdy już rycerz, przyjaciel mój, za zdradę chciał mnie zabić, to się dziecko na mnie rzuciło, by mnie chronić.

- Twoje?

- Nie. Albo rzeknijmy, że moje. Przybłąda. Nie chciałem go. Lecz jak moje. Przywiązałem się. Miecz miałem nad sobą, ale nie spadł. Myślałem, że nie żyję. Nie żyłbym pewnie...

- Ale cóż więc teraz? Dlaczego, szalony człowieku, chcesz się zabić? Czemu się zgłosiłeś na igrzyska?

- Nie rozumiesz dlaczego?

- Nie, pojąć nie mogę.

Uśmiechnął się do niej, pogładził po włosach.

- Jak nie możesz zrozumieć sama, Krutynio, czemu zabić się wolę, tedy... już i tłumaczyć nie będę. Nie zda się. Ni ma o czym się rozwodzić. Pomyśl jeno, że jestem szalony, że dlatego. Albo że mi duszę tak już rozdarło, że lepiej mi się unieść gdzieś daleko, nad stepem fruwać, wrócić do krainy słońca. Tam, gdzie się urodziłem.

*

Gowinda chrząknęła znacząco. Ktoś się zbliżał do komórki. Miód był ciągle nowy potrzebny na sali, w której obradował książę Skomand i panowie pruscy.

Krutynia wymknęła się pierwsza, udając, że wydaje dyspozycje sługom, jakie trunki należy podawać gościom. Jeruzalem wrócił do siebie. Szedł, zataczając się, jakby był pijany.

*

Bliznobrody kazał się wynieść muzykantom. Chciał przystąpić do kolejnej części obrad. Goście już co nieco popili i pojedli, humory się poprawiły zdalnie, wielu się śmiało i klepało po plecach, a ci, co siedzieli ponuro, i tak by takimi byli - czy by pili, czy nie. Stoły były brudne od tłuszczu, od piwa wychlapywanego z dzbanów, od soku tryskającego z nadgryzanych owoców. Skomand wstał, zarzucając na tył poły płaszcz. Wzniósł w górę puchar z miodem i ryknął:

- Zdrowie panów szlacheckich, wodzów plemion i gości mojemu sercu drogich, pijmy!

Zerwali się goście. Słudzy naprędce napełniali puste naczynia. Wychylnono toast i Skomand trzasnął kielichem o ziemię. Inni poczynili tak samo. Poniósł się po izbie szum zadowolenia.

Wzrok wszystkich się skupił na Bliznobrodym, on to jeden ciągle stał, dając tym znak, że mówić będzie dalej.

- Jako wam rzekłem, serce się moje raduje z waszego widoku! Nie pomnę, kiedy to myśmy wszyscy przy jednym stole siedzieli jak przyjaciele! Różni czasem jesteśmy, jak wilk i ryś, choć jeden i drugi jak drapieżnik poluje. Kiedy jednak człowiek w las wchodzi, drzewa rąbie, trawę pali, pola orze, tak i wilk razem z rysiemi muszą w gęstszej knieję ujść, zapomnieć o waśniach. Jeden wróg im staje na ogon, a obaj się gryźć przestaną, tylko na tego nowego się rzucają. My też tak winniśmy. Właśnie nam Zakon Krzyżacki na ogon stanął. Mamy dwie drogi - w las ciągle uchodzić albo od razu mu się do gardła rzucić! Co lepsze? Czekać? Czy walką od razu mu zęby wybić?

Rumor się podniósł po izbie, zakotłowało się z głów podpitych. Ktoś nagle nóż wbił w kawał mięsa leżącego na misie, aż obryzgał tłuszczem sąsiada.

- Zęby im wybić! Do gardeł, do gardeł! Zabić Krzyżaków!

- Gadacie, zęby im wybić. Ale jak? Gdzie nasza siła? Już to widzieliście, jak się rzeczy mają. Rycerz krzyżacki silniejszy od nas o wiele. Sześć lat temu nad Sirguną nas pobili! Teraz już nad całą Pomezanią panują, na Pomezanię i Warmię się wdzierają. Zaraz i Bareja będzie, i Sambia pójdzie, i Skalowia, i Nadrowia. Na koniec i do nas dojdą!

Mówił dalej, rękami machał, krzyczał, to unosił głos, to opuszczał, a coraz większy entuzjizm sobie zjednywał wśród słuchających. Gdy już okrzyki słyszał na jego stronę świadczące, przemówił tak na koniec:

- Tak więc, bracia, jedna w nas musi być siła. Musimy się zjednoczyć i Krzyżaka wspólnie pokonać. Wiec jest u nas święty, wiec mówi, jak robić wypada, a jak nie należy. Widzicie, jak to wiece kolejne w państwie jaćwieskim dały panowanie ojcu memu, a mnie potem. Gdyby nie owa siła, w jednym ręku leżąca, gdyby nie mądrość wieców naszych, która w jednym księciu, w jednym władcy nadzieję położyła, miasta by tego pewnie nie było, Sudovii byście tu nie widzieli. Ani na takim zamku jak ten byśmy obradować nie usiedli. Oto widzicie, szlachetni wodzowie, dokąd to prowadzić może taka droga. Taka, gdzie jest jedna ręka, jeden książę, jedna myśl! Wtedy się Krzyżakom oprzemy!

Zerwał się od stołu Dangaustabas, trzasnął pięścią w blat, aż podskoczyły miski. Gwar się podniósł na to i ucichł też od razu, jak cięty nożem - wszyscy się zapatrzyli na gębę młodego Skalowa, czekając na to, co rzeknie.

- To już wiemy, czego się po was, Skomandzie, możemy tu spodziewać. Krzyżakami nas straszysz, a cel jest jasny i widny jako ta mucha, co lata teraz nad mięsem. Każdy ją widzi, nikt o niej na głos nie powie. Chcesz więc, byśmy ci dali władzę nad nami, jaką mają królowie nad państwami? Albo taką, jaką ty masz nad swymi Jaćwiegami? Tak? Nas chcesz podbić bez topora w ręku? Bo Krzyżakiem nam przed gębą machasz, choć jakoś go tu nigdzie nie widno! My nie z jednej gliny lepieni. A z różnej. Tyś jest Jaćwieg, my Skalowy. W Skalowii święte prawa nas obowiązują, wiec mówi, kto przewodzi jednego roku, a kto drugiego, kapłan nam radzi, czy na wyprawę ruszać, czy na lepszą pogodę czekać! Tego wszyscy słuchamy od wieków! To jest nasza rzecz! Jakbyś nam gadał teraz, że święty gaj to krzaki niepotrzebne! Może spalić święte gaje?

Może przodków duchy z drzew siekierą wygonić? Rzeknij, Skomandzie, jaka prawda się kryje za twą blizną. I za twą brodą!

Ktoś się nagle roześmiał w tej ciszy, jaka zapanowała po słowach Dangaustabasa, ale go kto inny pod bok szturchnął. Bliznobrodemu uśmiech nie schodził z ust.

- Cieszę się! Raduję się! Naprawdę cieszę się, drogi Dangaustabasie!

Młody wódz stracił rezon, zdziwiony usiadł, rozglądając się.

- Tak, cieszę się, bo takich to mężów jak ty szanuję. Takim wierzę. Z takimi do boju chcę iść. Jesteś młody jeszcze, krew w tobie gorąca, to też lubię, bo i we mnie czasem wrze jucha, i we mnie, ufaj mi. Aleć i proszę, byś na chwilę zapalczywość swą za pazuchę schował i się skierował w stronę roztropności. Nie gadam ja przecie, że chcę wiarę naszą zmieniać. Przeciwnie - chcę jej bronić! Nie gadam ja, że wiec nieważny. Przeciwnie - cóż to właśnie tu w Sudovii mamy, jak nie wiec? Nie gadam ja, że mamy święte gaje palić, prawa nasze zapomnieć, przodków się wyrzec. Przeciwnie - chcę siłę naszą wzmóc, by praw onych bronić,

a świętych gajów nie dać dotknąć! W tym to celu jednak musimy walczyć razem, jakbyśmy z jednego byli rodu. Osobno - zginiemy. Tyś Skalow, obok Karlud może siedzi, jeszcze dalej Pogezanin, a ja jestem Jaćwięg, co swoim gada językiem. Różne ludy, różne wiece, różni wodzowie. Ale to mamy wspólne, co ważne - naszą wiarę, naszych bogów, nasze tradycje. Języki różne? Prawda. Lecz jak gadam, ty rozumiesz, co mówię. Kiedy ty gadasz, ja słowa chwytam. A Krzyżak, Krzyżak nas właśnie do jednego worka już wrzucił. Już nas opisuje w listach do cesarza jako ludy pogańskie. Już nas zwie - „Brussi”. Już im cesarz z Niemiec naszą ziemię przyznał w lenno. Długo ich tu mamy czekać? Jak myślisz? Tako więc ów wiec ponadplemienny zwołałem w przekonaniu i z prośbą do was skierowaną: dajcie mi, Skomandowi Bliznobrodemu, księciu Jaćwieży, dowodzenie nad armią wspólnie zebraną. Ja was do boju powiodę i zwycięstwo zapewnię. Zbierzmy sześćdziesiąt, może osiemdziesiąt tysięcy tarcz. Do tego ze dwadzieścia tysięcy konnych - i na Krzyżaków ruszmy! Usiadł.

Teraz dopiero wybuchł gwar rozmów między zebranymi gośćmi. Każdy z wodzów pruskich miał tu ze sobą po dwóch, trzech najbliższych ludzi, doradców. I teraz poczęli gadać wszyscy, jeden przez drugiego.

Bliznobrody przywołał sługę. Kazał, by wrócili muzykanci i dołączyli kuglarze. Także cudak z małpką. Poleciał też, by na salę weszły dziewczki służebne, niewolnice mające rozweselić gości, i jego żona Krutynia.

Sługa pobiegł do izb czeladnych. Skomand nalał do kielicha wodę. Nie pił już miodu, bo chciał zachować trzeźwą głowę.



ROZDZIAŁ XVII

Sierpień 1238



trugi deszczu lejące się z nieba zmoczyły ludzi tak, że ci, którzy pod dachem nie stanęli, zaraz się mokrzy robili, jakby ich kto w rzece wykąpał. Bracia Job mieli w rękach kije, lecz im rycerz surowo zakazał rzucać się na przeciwnika.

- Rycerska to sprawa, odstąpcie, czekajcie - rzucił im krótko, podkreślając wąsa.

Gdy się w gospodzie obcy rzucił na nich z toporem, wrzawa podniosła się okrutna, goście się od ław zerwali, na bok uciekli. Karczmarz zaś kazał im się na dwór wynieść z bijatyką i jako argument przedstawił trzech synów rosnących jak byki. Mieli w rękach duże drągi i - chcąc, nie chcąc - Wojownik Bez Imienia wycofał się. Dragiełło wyskoczył za nim, po czym się zaczęli do walki szykować. Ludzie zaś wybiegli, żeby widowisko obejrzeć.

Kornet złapał rzucony przez jego pana płaszcz i tarczę. Wiking pozostał jeno w zbroi. Na plecach miał zwieszony miecz, a w rękę topór wyszarpnięty zza pasa. Dyszał radością zbliżającego się mordy.

- Matko Przenajświętsza! Diabeł się na mnie najpierw rzucił, teraz chce pana mojego ukatrupić. Bez dania żadnej racji. Przybądź nam z pomocą - modlił się po cichu karzeł, spoglądając z przerażeniem na pogromcę smoków, który właśnie zakładał rękawice, stojąc tyłem do przeciwnika.

Obrócił się do niego, miecz przy boku opuścił. Deszcz lał jednostajnie i mocno. Na placu utworzyło się wielkie koło gapiów. Część była z gospody, inni przybiegli z opłotków, żeby popatrzeć.

Nikt nie gadał, czasem komentowano po cichu, żeby jednak uwagi na siebie zbyt nie zwrócić - przy takich pojedynkach nie raz bywało, że i kto niewinny oberwał. Ulewa powodowała szum ciągły, i wszędzie potworzyły się kałuże.

Woda ciekła po głowie i twarzy Dragiełły. Siwe włosy przykleiły mu się do czaszki. Koszula biała była teraz prawie prześwitująca i przylgnęła do ciała. Spodnie miał w buty wysokie wpuszczone, więc wyglądał, jakby do ćwiczeń fechtunkowych wyszedł.

Ryknął stojący naprzeciw niego wojownik. Spod rogatego hełmu sterczała czarna broda i świeciły oczy wygłodniałe krwi. Było to dwa metry wzrostu mierzące bydlę nieludzkie, jakby z otchłani wywiedzione.

Dragiełło wyciągnął miecz i, przekrzykując deszcz, zawołał:

- Człowieku! Albo diable! Nie wiem, kim jesteś. Nie wiem, czemu na nasze życie nastajesz. Ale ty wiedz, że ja się diabłów nie lękam! Bóg mi przykazał wolę Jego wypełniać, a tą jest rycerski żywot i zabijanie smoków, gadzin, wszelkiego plugastwa i diabłów

wcielonych. Jeśli nie wiesz, kim jestem, to rzeknę ci. Jam jest Dragiełło herbu Kraplan, rycerz księcia Henryka, a także księcia Bolesława i matki jego Grzymisławy, obrońca słabych i uciśnionych istot tego padołu, *omnium primum vir dei*, z nadania księżnej Jadwigi, błogosławionej nam wszystkim pani nieskalanej, wnuk w prostej linii świętego Jerzego i człowiek rycerskiego stanu, a duszy czystej!

Wojownik nic nie odpowiedział, zważył topór w rękę i zaczął krążyć.

- Kim jesteś i czemu na nas nastajesz? - krzyknął ponownie Dragiełło. - Możeś drogę pomylił? Nie znam cię!

Wiking podniósł brodę i ryknął nagle, z twardym, północnym akcentem:

- Jeruzalem!

Rycerz cofnął się o krok. Myśl mu przez chwilę po twarzy przebiegła, zmarszczyła czoło, uwieźla w kącikach ust. Nie pytając już nic więcej uniósł swój miecz, gotując się do walki.

*

Chwile czasem ważą mniej, czasem więcej, zależy, jaką miarą się je obłoży. Jednym czas leci szybciej, innym wolno i nie mogą się doczekać poranka. Młodzieniec na dziewczynę patrzy, chciałby już jak najprędzej mężem być, by ją osiąść, starzec liczy siwe włosy. Wróbel czasu nie sprawdza, tylko dziób o skrzydła ociera.

Bywają chwile, które trwają dłużej niż inne. Taka też była wtedy, gdy Wojownik Bez Imienia zamachnął się i z potworną siłą wyrzucił topór bojowy w stronę Dragiełły. Srebrzyste ostrze zataczało pionowe kręgi, rozcinając na pół krople wody lecące z nieba. Niewielki pasek, kawałek rzemyka wiszący u trzonka, odgiął się na skutek siły od środka idącej. Zdawać by się mogło, że słychać huk przecinanego powietrza, melodię basową, gwizdaną na rzeźbionych krawędziach metalu. Czas zawisł nad placem przed gospodą, jęknął zdziwiony widokiem lecącej broni. Ludzie rozwarli usta w niemym zachwycie. Nad linią lecącego topora spotkały się oczy Wojownika Bez Imienia i Dragiełły. Człowieka północy aż wygięło w przód od siły rzutu, ramię poleciało za toporem do przodu. Wzrok odprowadzał frunący, morderczy kawał metalu. Rycerz widział te oczy i zdawało mu się, że patrzy w samo piekło. Instynktownie, w ostatnim ułamku zwichniętego czasu, odchylił się, rzucając głowę i ramię w tył. Topór otarł się o bark, odcinając kawałek skóry i mięśnia z wygiętej w tył ręki. Przeleciał dalej i wbił się w ścianę budynku.

Ludzie odskoczyli przerażeni. Gdyby ktoś stał za Dragiełłą, już by nie żył.

Rycerz upadł w błoto.

*

Pierwszy atak nie zabił. Topór chybił o centymetry. Nadszedł czas drugiego ciosu. Wojownik z północy był mistrzem w swoim zawodzie. Nie czekał długo. Gdy zobaczył, że przeciwnik się uchyla, natychmiast sięgnął po miecz wiszący na plecach. Kiedy topór huknął w ścianę, a Dragiełło wywracał się w błoto, już miał w dłoni kolejny kawał morderczego żelaza. Podbiegł kilka kroków i uniósł miecz, żeby przebić leżącego.

Karlito krzyknął rozpaczliwie na cały głos. Rycerzowi oczy zaszyły mgłą pod wpływem bólu i nagłego upadku. Krew wracała mu do głowy, odzyskiwał świadomość, kiedy wiking już dopadał do niego, wyprowadzając zza pleców potworne uderzenie, mierzone na głowę i klatkę piersiową. Huk zwartego metalu. Uderzyło ostrze o ostrze. Zedrzykaptur w ostatniej chwili przyjął cios. Wielkiej był siły zamach, ale o jeszcze większym kunszcie świadczyła zasłona, dokonana z tak niewiarygodnie trudnej pozycji. Znow się ich oczy spotkały. Rycerz wyglądał chudo, śmiesznie prawie, z brudnymi, siwymi włoskami, zmoczonymi wodą jak sierść u psa. Wojownik zaś zawisł nad nim jak ciemna chmura. We wzroku pogromcy smoków nagle zamigotało coś jak wesoła iskierka, jakby chciał rzec: a to znasz?

Dobrze wymierzony kopniak poleciał w kolano wikinga. Było tak ślisko, że to uderzenie wystarczyło, aby wielkiego, wychylonego w przód potwora wytrącić z równowagi. Teraz on upadł z impetem na ziemię, wzbijając w górę fontannę wody. Gdy chciał się podnieść, doszedł go kolejny cios, tym razem wycelowany w zebra. Dragiełło nie popełnił bowiem błędu, próbując samemu wstać zbyt wcześnie: odczekał, aż tamten będzie się próbował pozbierać i dopiero uderzył w czuły punkt.

Wtedy wstał.

To wszystko rozjuszyło człowieka z północy. Spojrzał spode łba, pochylił się. Oblizał wargi. Miecz zakołysał się w jego rękach.

*

Na lewym ramieniu Dragiełło miał wielką, czerwoną plamę, która rozszerzała się z każdą sekundą. Wiedział, że musi pojedynek skończyć szybko. Inaczej osłabnie z upływu krwi.

To samo jednak dostrzegł wojownik w diablیم helmie. Zaczął na ugiętych nogach okrążyć rycerza, stąpając ostrożnie po grząskiej nawierzchni.

Nagle rzucił się do ataku. Miecz wysoko, za plecy prawie przełożył i wyprowadził cięcie w głowę. Raz, dwa, trzy. Huknęły uderzenia metalu o metal. Zagrała żelazna muzyka. Natarcie na głowę zasłonił Dragiełło, trzymając klingę poziomo nad czołem, a rękojeść daleko od siebie. Lecz od razu poszedł drugi atak, cięciem szerokim, brany z zamachu od

uderzenia jeszcze wychodzącym, na bok: ten musiał rycerz zablokować Zedrzykapturem ustawionym z lewej na sztorc, czyli bardzo szybko przerzucić miecz znad głowy do biodra. A za nim, nie dając oddechu, leciał trzeci cios, najtrudniejszy do sparowania, bo idący od spodu, nieoczekiwanie. Lecz i ten strzymał, wykręcając całe ciało tak, iż z zasłony postawionej na lewym boku przeszedł do odwrotnej, z mieczem skierowanym w dół. Rytm znów zabrzmiał jak muzyka, a za owym zgrzytnięciem metalu o metal, raz, dwa, trzy, posypały się iskry. Odskoczył wiking od rycerza. Otarł wodę z oczu i czoła skrajem rękawicy. Ugiął nogi, spiął mięśnie, skupił wzrok. Przeciwnik był nie w ciemię bity. Inny już by dwakroć leżał trupem.

Koszula Dragiełły nasiąkała czerwienią. Rogaty, widząc, co się dzieje, nie tracąc czujnej pozycji, o dwa kroki się cofnął i zaczął krążyć wilczym chodem, denerwując ofiarę ciągłym ruchem. Parę razy machnął mieczem, jakby chciał zwierzę rozjuszyć. Wbijał swe ślepie w pogromcę smoków.

*

Dragiełło wiedział i czuł, że musi szybko sprawę rozwiązać. Albo zabije tamtego po kilku wymianach albo upływ krwi przyniesie efekt słabych rąk i nóg. To będzie jego koniec. Oczy mu zajdą mgłą, uderzenia stracą siłę.

Rycerz ruszył do ataku. Raz, dwa. I raz, dwa. Uderzył dwiema seriami po dwa cięcia. Głowa, bok, głowa, drugi bok. Wiking postawił zasłony prawidłowo, szybko i pewnie. Po czym sam doskoczył. Raz, dwa, trzy. Trzeci cios tym razem był prowadzony bardzo nisko, na nogi. Ledwo go odbił rycerz końcem Zedrzykaptura. Karlito odetchnął. Bracia Job chcieli biec wprzód, pomóc, lecz ich Hanna wstrzymała. Dwieście Piętnasty zaś stał trochę dalej, w tłumie i w wielkim napięciu spoglądał na walkę.

Dragiełło znów zaszarżował. Teraz przypuścił atak będący nieprawdopodobnym majstersztykiem sztuki fechtunku. Zamiast brać szerokie zamachy i ciąć, co kosztowało dużo siły, przeszedł do sztychów i tak delikatnie zaczął manewrować nadgarstkiem, jakby jego miecz miał wagę piórka.

Nie widzieli ludzie nigdy czegoś takiego, więc rozległy się okrzyki uznania.

Kolejne pchnięcia miały nieznacznie różniący się kierunek, tym bardziej utrudniały obronę. Tego wojownik północny się nie spodziewał. Po raz pierwszy widać było, że ma kłopoty. Zamiast stawiać zasłony, zaczął wyprowadzać uderzenia, mające zbić miecz Dragiełły dążący do zadania ciosu sztychem. Przy każdym takim zamachu krzyczał dla dodania sobie siły, a przeciwnikowi lęku. Łup, łup - walił jego miecz w Zedrzykaptura i zbijał go z zamierzonego kierunku, ale widać było, że traci kontrolę i siłę. Miecz pogromcy smoków szukał ciała w ciemnym pancerzu, leciał do przodu jak żądło szerszenia, a sam Dragiełło

nabrał teraz wyglądu osy, która nawet przygnieciona butem, próbuje kąsać. Wymagało to od rycerza niezwyklej umiejętności posługiwania się bronią, a także bardzo obciążało mięśnie ramienia - wszystko się działo bowiem na wyciągniętej ręce, na nadgarstku, na przedramieniu, które musiało utrzymać spory ciężar tak daleko dźgającej broni.

Deszcz padał na hełm wikinga, mimo to Dragiełło przez moment miał wrażenie, iż znowu stoi na piaskach egipskich pod Damietą, kiedy krzyżowcy okrążeni przez Saracenów, walczyli o życie, nogi ich zapadały się w bajora powstałe przez wylew Nilu, a oczy zachodziły mgłą od zarazy, która dziesiątkowała ich szeregi. Tam też, w czasie walk z sultaniem al-Kamilem, potomek świętego Jerzego nauczył się techniki operowania mieczem jak wschodnią szablą - miękko na nadgarstku.

Teraz znowu próbował tamtych sztychów, tylko słońce nie paliło w głowę i przeciwnik był o dwie głowy wyższy od największego Saracena.

Ślizgały się klingi, jakby ktoś chciał ostrzyć ich kanty, a nie walczyć. I po raz kolejny zbił pchnięcia Wojownik Bez Imienia. Nagle, jakby czekając na odpowiednią chwilę, Dragiełło ciął normalnie, z boku, z zamachu, kierując natarcie na odsłonięty bok Skandynawa. Wiking odsłonił się. Użył zbyt dużej siły na kolejne kontrnatarcie i dlatego popełnił błąd. Zedrzykaptur przeciął skórzany kaftan i wbił się w mięsień ręki.

Zawył wielkolud, zatoczył się w tył. Teraz w jego oczach zagrała wściekłość.

Rozpoczął morderczy atak. Raz, dwa, trzy. Swoim rytmem. Góra, bok, dół. I jeszcze więcej. Zaczął ciąć na głowę, na bok, na nogi i znowu na bok. Raz, dwa, trzy, cztery. I jeszcze raz, cztery cięcia. I kolejne, ale ze zmienioną kolejnością: bok, dół, głowa, bok. I zmiana stron. Kolejne cztery.

Siła tego olbrzyma była tak wielka, że rycerz, bądź co bądź w wieku już podeszłym, tracił za każdym z tych cięć część swojej wytrzymałości. Ręce robiły się coraz słabsze. Zasłaniał się, a każdy ruch kosztował coraz więcej i więcej. Mgła zaczęła mu nachodzić na oczy. Krew ciągle płynęła z ramienia. Wojownik z północy, sam ranny, atakował wściekle. Ciosy szły jeden za drugim, mocne, wyprowadzane natychmiast, bez zastanowienia.

Pogromca smoków czuł, że to koniec. Że właśnie za chwilę nie da rady. Że odbije jeszcze jeden. Że może zastawi następny. A potem nagle opuści miecz. I uniesie twarz ku niebu, by po raz ostatni poczuć na twarzy spadające krople deszczu. Raz, dwa. Odbił. Raz, dwa, trzy. Znowu odbił.

Lecz słabość wpływała już do nóg. Ciemna postać przed nim jeszcze nabrała rozmiarów. Zarys rogów sterczących z hełmu wydał się rycerzowi komiczny. Jakby to wół walczył, przebrany za człowieka.

Znowu odbił dwa uderzenia. Panie mój, uważaj, usłyszał krzyk Karła. Dobry z niego giermek. Pomyślał.

Wszystko znów zwalniało. Odbił jeszcze jeden. I jeden.

Pomyślał, że już od dłuższej chwili nie atakował. Że już tylko się zastaniał.

Modlitwa? Teraz. Może właśnie trzeba. Ave Maria, gratia plena...

Szum.

Deszcz.

Zobaczył przez mgłę, że tamten odchodzi. Też się zmęczył. Szaleńczy atak, tak długi, tak potworny, jego także sił pozbawił. On też krwawi. Lecz Dragiełło był raniony wcześniej. Więcej posoki stracił.

Poczuł, że osuwa się na kolana. Jakże ciężko się oddycha.

Panie! Nie! Panie, wstań! Dobry Karlito.

Ktoś mówi. Jakby śpiewał. Rycerzowi się zdaje, iż jest na polanie w lesie, przy ognisku. Słyszy głos Hanny.

„Więc na co czekacie, nieszczęśni? Na śmierć? Na zapusty? Na koniec kładki przez rzekę? Na cóż wam czekać, gdy dzień pusty za dniem, gdy nic i nikogo nie dogoni, gdy ruch nie pogania ruchu? Puśćcie go, z gwiazdami zwiążcie, zaufajcie drodze. Siedmiu będzie, siedmiu uratuje, siedmiu z mieczem w dłoni. Miecz ratuje. Miecz chłodzi. Miecz to daje, czego brak!”

Obraz Hanny nagle rozwiął się. Kilka kroków przed nim był Wojownik Bez Imienia. Dyszał pochylony. Podniósł się. Spojrzał na Dragiełłę.

„Miecz to daje, czego brak!” jeszcze dźwięczały słowa wieszczki w głowie rycerza.

I wtedy zdobył się na jeden szaleńczy, ostatni ruch.

Uniósł miecz, zamachnął się i rzucił go w stronę wikinga.

*

Czas się wstrzymał. Ludzie gęby otwarli. Jak wcześniej topór w jedną stronę, tak teraz miecz leciał w drugą. Powoli. Obrót za obrotem. Rozciął krople deszczu spadające z nieba. Rozciął przestrzeń. I jak nóż rzucony wprawną ręką sztukmistrza, wbił się tuż pod szyję Wojownika Bez Imienia.

Rozwarły się oczy wikinga. W jego oczach gasło piekło, zabierając go do siebie. Runął w błoto. Trysnęła woda i krew. Leżał martwy Wojownik Bez Imienia. Leżał Wojownik Bez Życia.

*

Karlito krzyknął z radości. Dwieście Piętnasty roztrącił stojących obok ludzi i zaczął uciekać. Hanna pokazała go braciom Job. Rzucili się za nim w pogoń. Zniknęli za rogiem. Dragiełło klęczał i bujał się na kolanach, w przód i w tył. Wieszcza podeszła do niego.

- Wstańcie, rycerzu - powiedziała do niego łagodnie, troskliwie, jak matka prawie. Choć cały był brudny, otarła jedną kroplę błotnistą z jego twarzy.

- Wstańcie, trzeba wam ranę opatrzyć.

Karlito podbiegł do nich.

- Cóż, panie, ranni jesteście?

- Modli się twój pan - powiedziała Hanna do karła. Pogromca smoków nagle oprzytomniał, jakby do świata wrócił. Popatrzył na nią.

- Dziękuję wam, wieszczko.

- Za cóż?

- Może kiedyś wam powiem.

- Dobrze. Teraz nie mówcie. Sił nie traćcie. Chodźmy do gospody, trzeba krwawienie zatamować.

Karzeł pomógł mu wstać. Ludzie zaczęli się rozchodzić. Ktoś złapał za nogi martwego wikinga i zaczął go odciągać na bok. Ktoś inny przyniósł Dragielle jego miecz.

Topór Wojownika Bez Imienia tkwił dalej w ścianie domu. Nikt go nie dotykał. Mógł mieć w sobie zaklętą śmierć.

◆◆◆

Gigi miała założoną na łebek czerwoną czapczkę, z dzwoniącymi kulkami na brzegach. Kiedy tańczyła, goście bili brawo. Jeruzalem trzymał ją na smyczy i kręcił się w kółko, żeby zataczała równe kręgi. Piszczala i podskakiwała całkiem jak człowiek, który ruszył w tany. Jej ludzkie miny - uśmiechy, marszczenie czoła, błyskanie oczkami i kręcenie kuperkiem - powodowały, że widzowie wpadali w prawdziwy szal radości. Zrywały się oklaski i zachęcające okrzyki.

Szalbierz miał na głowie podobną czapkę. Uszyta z czerwonego, krwistego materiału, miała czub smętnie zwieszający się do boku i dzwoneczki wiszące nad uszami. W pewnej chwili on także ruszył w tan. Zaczął skakać jak Gigi, powtarzając ruchy małpki. Byli dobrze zgraną parą, rzekłbyś: kobieta i mężczyzna, wędrowni kuglarze zeskoczyli z wozu i rozpoczęli bufonadę. Ile musieli ćwiczyć, żeby tak mieć ruchy zgrane? Jak to robią, że małpka, wydawałoby się zwierzę nierozumne, w ten sposób potrafi wyczuć każdy krok swojego pana, iż dokładnie w chwili, gdy on nogę wprzód wyrzuca, to i ona swoją łapkę? Ludzie niektórzy aż wstali od stołu, klaszcząc, a Jeruzalem zaczął biegać wokół, unosząc

kolana i wykrzywiając twarz w takich samych grymasach, jakie przed chwilą serwował sprytny makak. I role się odwróciły. Oto małpka chwyciła za sznurek i stanęła w środku. Szalbierz w dzwoniącej czapeczce biegał wokół niej na wyciągnięcie smyczy. Flecista dął w instrument, wydobywając z niego słodkie dźwięki, drugi muzykant uderzał palcami w bęben z kozłej skóry, trzeci zaś szeleścił grzechotkami. Wodzowie pruscy, uradowani, rozbawieni, zaczęli stukać dłońmi w blaty stołów.

Jeruzalem zakończył pokaz, kłaniając się, a Gigi, w tej samej chwili, podobnie zgięła kark. Na koniec oboje, pan i małpka, zdjęli z głów czapeczki.

Wstał Bliznobrody, bijąc brawo, po czym zdecydowanym ruchem ręki odesłał na bok kuglarza i grajków. Ucichła muzyka. Uspokoił się gwar. Skomand wydał dyspozycję, aby dziewczki opuściły izbę. Odeszły, chichocząc. Księżę przy swoim boku pozostawił Krutynię.

- Bracia! Wodzowie! Przyjaciele! - zaczął mówić, a oczy wszystkich skierowały się ku niemu. - Chcę przejść do rzeczy ważnej, a w tym celu poprosiłem, aby usiadła z nami moja żona, księżna Krutynia. Nie szumcie, nie szumcie - znam ja dobrze nasz obyczaj, jestem wojownikiem. Nie raz i nie dwa ruszałem na wyprawę w puszcę i tak samo wiele razy uczestniczyłem w naradach. Jako i teraz.

Po izbie się zaczęły szemrania. Bab nigdy Prusowie do głosu nie puszczała, a jeszcze przy sprawach wojennych szczególnie. Stąd też słowa Bliznobrodego wywołały zamęt.

- Księżna moja nie z tych ziem pochodzi. Urodziła się w lechickim księstwie pod rządami Konrada, na Mazowszu. Zna tamte obyczaje, zna też siłę świata, jaki w naszą puszcę wchodzi. Jeśli teraz ją o głos proszę, to nie po to, by prawami ją z nami, mężami, zrównać. Lecz by jeno jej wysłuchać. O to was proszę. Jako świadkowi głos jej dajcie na naszej radzie. Potem ją odprawię i przejdziem do dalszej biesiady i do dalszych planów. Może tak być?

Gajda się podniósł, powiódł wzrokiem po sali.

- Bracia pruscy! Księżnę Krutynię znam. Nie jest to białogłowa, jakich wiele, lecz księżna prawdziwa. Takie jak ona na zachód od Wisły przy boku królów siedzą. Wiele ona może nam rzec o tym, co ważne, i sprawy nam rozjaśni. Wysłuchajmy jej!

Młody wódz Skalowów, Dangaustabas, znowu się burzyć zaczął, lecz go uciszono. Rozległy się okrzyki poparcia.

- Niech gada! Słuchajmy księżnej! Mów, Krutynio! Bliznobrody usiadł.

*

Krutynia miała na sobie czarną suknię, obszytą rzędem malutkich bursztynów, które na obrzeżach rękawów i kołnierza utworzyły świecące, żółte rzędy. Włosy miała upięte pod

czepcem, z opaską przeplecioną srebrną nicią. Twarz jej blada, chłodna jeszcze lepiej widoczna była na tle sukni ciemnej i kruczonych włosów opadających na ramiona. Kiedy wstała z gracją, taki czar roztoczyła, że się wszyscy książęta z ciekawości powyginali na ławach, żeby ją widzieć. Nie mówiła nic, dopóki się całkiem cicho w izbie nie stało. Wtedy rzekła spokojnie, pewnym siebie głosem.

- Wielcy panowie, wodzowie plemion! Wielki to honor dla mnie, białogłowy, do was przemawiać, gdy rzecz jest męska. Ale i chwila, widzę, niezwykajna. I losy nasze stają przed nową chmurą nad horyzontem. Nad chmurą taką, jakiej jeszcze żeśmy tu nie widzieli.

Wiecie dobrze, że gdy wróg pod ogrodzenie lauksu podchodzi, wtedy wszyscy się bronią: i mężowie, i starcy, i dzieci, i kobiety także, i niewolni wszyscy. Lauks się cały broni, bo cały może zginąć. Tak i my teraz tutaj, choć z licznych plemion jesteśmy, choć tu, jako Jaćwīgi, inny naród jesteśmy prawie, to jedna wiara w jednych bogów, jeden szacunek do gaju świętego, jedni przodkowie, od których jesteśmy, i jeden wreszcie lauks szeroki, ponad rzekami idący, każe w takiej chwili myśleć o wspólnej obronie.

Mąż mój, Skomand Bliznobrody, szlachetnym jest władcą, rody jaćwieskie pod sobą zjednoczył, a czy to Litwiny, czy ruskie książęta poczynają się liczyć z jego władzą, bo ponad jedno plemię zaczyna wyrastać.

Ale ja nie stąd jestem. Ja w polskiej ziemi rodzona, tam żyłam, tam się świata uczyłam. I wiem, że Polska silną była, póki zjednoczona pod jednym władcą. Gdy się na drobne księstwa rozbiła, widzicie co w niej panuje - swary, wzajemne nienawiści i najazdy. Kraj się przez to osłabił. Widać, że w rozbiciu słabość, a w jedności siła. Nie mnie sądzić, czego wam teraz potrzeba, aleć mogę wam rzec, co widziałam. Na tym się możecie wzorować, co inni już przeszli, czego doświadczyli. Z tego myśli wyciągnąć i na swoje przełożyć.

W tej chwili słyhać było trzaśnięcie w stół. Zerwał się z ławy wódz Skalowii, Dangaustabas. Czerwony na twarzy z wściekłości, gdy mówił, to aż się śliną zachłystywał.

- Co ja słyszę? Czyżbym się opił tak mocno, że już nie rozumiem, co się do mnie gada? Bracia pruscy, to już nie jest mowa o dowodzeniu armią, to już nie to, co i u nas zwyczajne! To jest przecie namowa, byśmy się zrzekli własnej dumy i poddali przewodnictwu Skomanda. Nie na wojnie tylko, ale i w czas pokoju! Na takie słowa Skalowia powie: nie! Nie! Myśmy są wolni i będziemy!

Odrącił innych i wybiegł z rozwianym płaszczem. Szmer poszedł po izbie.

Krutynia spojrzała na Bliznobrodego, a on jej skinął, by mówiła dalej, jakby się nic nie zdarzyło. Ogarnęła więc wzrokiem siedzących, uciszyła spojrzeniem szeptu i ciągnęła przemowę:

- Wszelka władza pochodzi od bogów. Wiec ją daje w ludzki sposób. Ale wiec też się kieruje wyrocznią i słowami kapłanów. Tak też i w lechickich księstwach bywa, i w niemieckim kraju. Cesarz sam na siebie wieńca nie zakłada. Król sam sobie korony nie przymierza. Musi ją od Boga dostać. Tak to kapłan najwyższy w chrześcijańskim świecie, papież, daje władzę nad księstwami i królestwami. Książęta zaś i królowie tego świata wielką wagę do tego przywiązują, słowa bożego słuchają, a gdy się mają koronować, wtedy to czynią za pomocą przedmiotów świętych. Przedmioty te prowadzą ich do walki, zapewniając zwycięstwo i powodzenie. Gdy się król francuski z cesarzem uprzednim, Ottonem bili pod Bouvines, wtedy to zabrał ze sobą święty sztandar zwany Oriflamme, by zwyciężył cesarskiego orła. Proporzec ten przyniósł im chwałę i zwycięstwo. O bitwie onej w całym świecie chrześcijańskim się opowiadało, dzieciom nawet przy kominku jak bajanie.

Takoz i cesarz niemiecki, gdy się na króla niemieckiego chciał koronować, dwa razy to czynił. Czemu? By to uczynić świętymi regaliaми - koroną, która jest prawdziwym znakiem władzy królewskiej. Taki to znak, że władza od bogów idzie, a nie my sami na tej ziemi mamy ją sobie przypisać. Taka władza ma dopiero siłę i znaczenie. Takiej władzy trzeba słuchać.

Gwar po raz kolejny wzbił się ponad stoły. Coś komentować między sobą zaczęli pruscy wielmoże. Księżna urwała i popatrzyła na nich, jakby chciała prosić o jeszcze chwilę skupienia. Sumitowali się więc. Ucichli.

- Takich to znaków czekamy. Takie chcemy widzieć od naszych kapłanów. By iść nie w tę stronę, gdzie nam się wydaje, lecz tam, gdzie nas bogi prowadzą. Byście zobaczyli pierwszy znak, który świadczy, że Skomand Bliznobrody, mąż mój, książę Jaćwieży winien poprowadzić was, wasze rody, wasze plemiona, wasze dzieci do dobrej przyszłości, oto wam ukażemy, co przysłał nam Kriwe. Kapłan zaś Kriwe ma szacunek u każdego z plemion. Każdy się jego słowom pokłoni.

Bliznobrody dał znak i weszło do izby kilku niewolników. Każdy niósł na rękach jeden przedmiot. Pierwszy z nich była to owa laska Kriwego, która obiegła plemiona, wzywając ich na wiec. Drugi to czapa kapłana, cała wykonana z ptasich piór, ze znakiem słońca, wykutym w srebrze, nad czołem. Trzeci zaś był to posążek kamienny, niesiony przez trzech roślących mężczyzn. Skomand wstał i palcem pokazał, że mają przedmioty te ukazać z bliska wodzom, by mogli ich dotknąć i samemu się przekonać o prawdzie z nich płynącej.

Rzeźba kamienna przedstawiała mężczyznę z brodą i długim śladem cięcia idącym przez całą twarz.

Książę zatrzymał się przed posągiem postawionym na ziemi, dotknął szramy i zaczął wyjaśniać:

- Oto święty posąg. Do Kriwego go przywieźli ludzie ze spalonego przez Krzyżaków pruskiego siedliska.

Wszystko tam spłonęło, a w zgłiszczach się pojawił ten oto posąg jako znak dany od bogów. Ci z czeladzi, którym się udało uciec przed Krzyżakami, gadali potem, że takiego kamienia w domostwie nie było i mogą za to świadczyć własnymi głowami. Pojawił się w płomieniach jako znak zesłany od Peruna. Jako znak, kto ma z pożogi wywieźć nas wszystkich.

- Mężczyzna z blizną na twarzy! - powiedziała głośno i tryumfalnie Krutynia.

Znowu się gadanie rozeszło po całej komnacie. Nobilowie pruscy kręcili głowami, zaskakiwani wciąż nowymi niespodziankami. Z ławy się podniósł najstarszy z nich, Bukaitavus, wódz Sambów, potężnego plemienia nad samym Bałtykiem żyjącego. Podniósł on rękę, by skupić na sobie uwagę.

- Skomandzie! Krutynio! - zaczął mówić. - Mądre wszystko, co mówicie, lecz rzeknijcie nam, czemu to nie ma Kriwego wśród nas? Czemu jeno przedmioty nam przysłał?

Bliznobrody uśmiechnął się.

- Dziękuję swym bogom, że mamy wśród nas męża o takiej roztropności jak ty, Bukaitavusie. Twoja siwizna na skroniach świadczy dobrze o twym doświadczeniu i mądrości. Wierz mi, że ciebie właśnie widzę u mego boku jako doradcę najbliższego, źródło dobrych rad i prawdziwej światłości.

Dobrze prawisz - też byśmy o to zabiegali, żeby sam Kriwe tu przybył. Jednak gońcom naszym przekazał jeno owe rzeczy, które tu dzisiaj widzicie. Wyglądał ponoć na chorego, oczy mu błyszczały jakby trawione gorączką. Może wizje prorocze bardzo go męczyły. Kazał odjechać z tymi świętymi przedmiotami. I rzekł, że gdy się gromadzi lud na wiecu, bogowie do niego przemówią. Pokażą, czego chcą. Ważne, żeby wodzowie potrafili znaki odczytać. Potem ruszył w las, ani się oglądając za moimi ludźmi. Zniknął w puszczy, gdzieś w świętym gaju, a jeszcze tylko im krzyknął, że na wiosnę znowu wróci i wolę bogów przekaże.

Gajda wstał i krzyknął:

- Widać to przecie, co za znaki! Nad czym tu myśleć, nad czym gadać! Posąg pokazuje Skomanda. Kogóż by innego? Nie widać to? Bliznobrodemu trza dać przewodzenie nad nami na trudne lata.

Chwilę trwały gwarne przekomarzania. Część wznosiła okrzyki na cześć księcia Jaćwieży, inni chmurnie coś gadali na boku.

Znowu jednak zabrała głos Krutynia.

- Szlachetni wodzowie! Prosimy was, byście na wiecach swoich plemion, które się obozami nad jeziorem naszym rozsiadły, tę sprawę tak postawili. Skomand Bliznobrody, księżę Jaćwieży, przewodzić chce waszym ludom, by je do zwycięstwa nad wrogiem poprowadzić. Trzeba do tego nie tylko dawania rozkazów armii na wojnie, ale i mądrego władztwa w czasie pokoju. Jeśli w jednym ręku je skupim, tedy mamy szansę Zakon Krzyżacki pokonać i nasze rody od zguby niechybnej uratować.

Jednakowoż pozostanie wam wszelka władza przynależna na waszym terenie, wasze wiece dalej będą święte podejmować decyzje, sami się będziecie na swoim rządzić. Jako jest w państwie niemieckim. Zobaczcie - król tam rządzi całym państwem, a książęta pozostają na swoich terenach, o nich już sami decydują. Jedność nam tylko zapewni ta ręka. Ręka silna, mocna i mądra. Ręka, której ufam od lat. Która do chwały doprowadziła Sudowię, a i was poprowadzi! Ręka Skomanda Bliznobrodego!

Na te słowa księżna uklękła i pocałowała męża swojego w grzbiet dłoni.

Panowie pruscy krzyknęli radośnie. Powstał ogólny tumult. Niektórzy tupali w ziemię, inni walili w stoły, wszyscy krzyczeli na cześć księcia.

Wtedy Bliznobrody wstał.

- Dziękuję ci, żono. Dobre bogi to sprawiły, iż ciebie mi postawiły na mojej drodze. Taka żona to też jest ich znak. Jak inne!

Kolejne wrzaski dały znać o uczuciach zgromadzonych nobili. Znow ich Skomand uciszał ruchem dłoni.

- Jednak nie koniec to rzeczy, jakie chcę wam pokazać. Proszę was o danie mi władzy, to znaczy mówię: zaufajcie mi. Tak samo, jak wyście dostali zaufanie od swoich wieców, które rzekły, iż dobrze będzie, gdy im będziecie przewodzić. Tak i wy mi zaufajcie. Tak i do mnie swoje wiece przekonajcie! Wy zaś wszyscy, tak jak tu jesteście, do wielkiej rady wejdziecie, która najważniejsze decyzje o wspólnych dalszych losach podejmować będzie. Ja zaś tylko będę was prowadził.

Że zaś bogowie są mi przychylni, oto dowód najlepszy pokażę. Proszę was, uciszcie się i patrzcie.

Bliznobrody usiadł. Klasnął w dłonie. Otworzyły się drzwi.

*

Do izby wszedł sługa. Niewolnik o równo ostrzyżonych nad ramionami blond włosach. Wyglądał jak paź królewski. Miał na nogach cienkie, barwne rajstopy, szatę do kolan, przesywaną wzdłuż złotymi pasami, rękawy zawinięte w mankiet, płaszcz zarzucony na ramieniu, spięty pod szyją olbrzymim, srebrnym, rzeźbionym guzem.

Stąpił uroczyście. Niósł przed sobą płaską skrzynkę ze złotymi zapieczkami. Klęknął przed księciem.

Bliznobrody podszedł, otworzył wieko i wyjął ze środka przedmiot, który uniósł tryumfalnie do góry, nad głowę, tak żeby mocno zabłyszczał w blasku świec.

Był to miecz grawerowany, z napisami wybitymi na głowni, złotym jelcem wygiętym w stronę klingi, ozdobiony klejnotami.

Cisza zapanowała w izbie. Panowie pruscy patrzyli zauroczeni na rzucany przezeń blask. Znać było, że jest to rzecz wyjątkowa, tak drogocenna, tak kunsztowna, że żaden mistrz sztuki złotniczej na ich terenach by nigdy tego nie wykonał.

Bliznobrody trzymał miecz nad głową.

Krutynia podeszła, stanęła obok niego. Odrzuciła w tył włosy i zaczęła mówić, a w jej oczach palił się ogień.

- Wodzowie plemion! Oto jest miecz, który przynależał do królów polskich! Oto miecz, jakim wybijali oni bramy kijowskie! Oto miecz, jaki był symbolem władzy królewskiej, takim jak korona! Póki on był, tak i Polska była silna! Kiedy on zniknął, rozpadła się na wiele małych księstw. Ten miecz zdobył mój mąż, księżę Skomand Bliznobrody! Ten miecz wskaże, że on ma nas wszystkich prowadzić. On ma nam przewodzić. Tym mieczem na księcia go pasujemy! Bo tak chcą bogi! Tak chce los! Tak chce samo Słońce!

Gdy chcecie znaku, gdy pytacie samych siebie, co czynić, oto jest odpowiedź. Trzymaj ją nad głową Skomand!

Przekonajcie swe wiece, bawcie się dobrze na naszej ziemi, a wyjedźcie stąd z myślą, iż dobrze uczyniliście. Zgodnie z sumieniem! Że dobrze wybraliście.

Skomand Bliznobrody przed wami uklęknie, wy go na księcia dotknięciem tego miecza pasujecie! Wy będziecie w nim mieli swojego władcę. Od bogów i od was ona przyjdzie. Bogowie i wy tylko będziecie mogli mu ją odebrać.

A kiedy teraz patrzycie na ów miecz, czy nie czujecie, że to jest znak najwyższy? Że już większych nie trzeba? Że już jest powiedziane wszystko?

Ja jestem białogłową tylko. Może mało myślę. Może nie wiem, jak kierować życiem. Do służenia jestem powołana. Ale wiem i czuję, że takich znaków od bogów, jak ten, jaki teraz wisi nad głową Skomanda, nie można przeoczyć, nie można bokiem obejść. Gdy się takie znaki bokiem puszcza, ani chybi człowiek zginie. Bagno go wciągnie. Nie chcę ginąć. Chcę żyć. Dobrze żyć! Czego i wam, mężowie szlachetni, życzę! Do swoich pokojów się udam i wam pozostawiam męskie obradowanie!

To powiedziawszy, zakreśliła suknią i zniknęła w korytarzach prowadzących do komnat.

Pożegnał ją zgodny chór radosnych okrzyków wznoszonych na cześć Bliznobrodego. Szła szybkim krokiem do swej komnaty, a na jej ustach migotał tryumfalny uśmiech.



Następnego dnia o świcie przy brzegu wyspy zamkowej z gęstej mgły unoszącej się nad wodą wyłoniła się łódka. Dwa wiosła zanurzały się w wodę powoli, tak by robić jak najmniej hałasu. Wydawało się, że z oparów wodnych wypłynęła zjawa. Na deskach idących w poprzek burt siedziały cztery postacie, w płaszczach na ramionach i kapturach zarzuconych na głowy. Gdy dobili do brzegu, na wąski skrawek łądu między wodą a murem zamkowym, wyskoczyła najmniejsza z nich. Złapała koniec linki i wciągnęła łódź na trawę. Wtedy wysiedli też pozostali. Wiosła złożyli na dnie, wyjęli długą kuszę i bełty do niej.

Jedna z postaci odrzuciła kaptur na plecy i spojrzała w górę, zadzierając głowę. W szarości świtania zajaśniała stercząca bródka pogromcy smoków. Szeptem zwrócił się do braci Job:

- Teraz do końca tego haka przytwierdźcie linkę. Spróbujemy dostrzec do tych załomów widocznych u góry.

Karlito stanął u boku swego pana.

- Dacie radę, panie? - wyszeptał. - Toć jest okropnie wysoko.

- Dam - odparł rycerz po cichu. - Jak nas opieka Matki Świętej nie opuści, to wszystko się potoczy, jak trzeba.

- Ale ramię wasze...

- Tym się nie turbuj, karle. Już mi je Hanna dobrze opatrzyła.

- Ale jak to na górę się wdrapiecie z taką boleścią?

- A tak, że najpierw ty pójdziesz...

- Ja pierwszy?

- Tak właśnie. Potem bracia Job za tobą, a na koniec ja się tą liną obwiążę i mnie wszyscy na górę wciągniecie.

- Daj Boże, żebym to ja wiedział, co mnie czeka, to bym nigdy progu kościoła tynieckiego nie opuszczał. Albo i bym został w tej gospodzie razem z Hanną i Wulfstanem. Azaliż karzeł to jest coś na kształt wiewiórki? Że się na górę pcha i nie boi się upadku? Nie. Na znak tego mogę pokazać, że nie ma u mnie rudej kitki, a jest garb tylko. Garb zaś przy wspinaczce może być wielce uciążliwy. Wiadomym jest, że ten, co w górę idzie, musi zachować balans ciała. Jak go ma zachować, gdy go coś do tyłu ciągnie, a to coś to jest garb jego własny?

Ręka rycerza strzeliła Karlita w pysk, więc urwał przemowę i tarł policzek. To, co myślał, to już tylko na gębie było wypisane, a nie w słowach.

Po chwili Adelajda była naciągnięta. Rycerz przyłożył ją do ramienia i wycelował w stronę murów. Nacisnął dźwignię spustową. Huknęły naciągnięte ramiona, zagrała cięciwa. Pocisk poleciał w górę, nad kraniec drewnianych murów, i nie zaczepiając o nie, upadł w trawę. Pokręcił Dragiełło głową, wąsa przygryzł. Znow nałożyli bełt z hakiem z jednej strony, a linką z drugiej. Po raz kolejny wymierzył. Strzała wyleciała wysoko, pod kątem, i upadła gdzieś na górze. Rycerz zaczął ściągać linę, aż poczuł opór. Szarpnął dwa razy, sprawdzając, czy dobrze się trzyma. Za nimi, wśród mgieł na jeziorze, ptak dziki zerwał się nagle do lotu. Słychać było łopot skrzydeł, klekotanie ich o powierzchnię wody. Ptaszysko wzleciało ponad mgłę, przeleciało obok zamku i zniknęło za jedną z wież.

- Naprzód! - rozkazał szeptem Dragiełło.

Karlito, jęcząc, złapał linę i zaczął się wspinać. Bracia Job stali na dole i napinali sznur. Karzeł zwisał co chwila bezradnie i spoglądał w dół. Coś tam gderał pod nosem, ale im był wyżej, tym bardziej się bał i tym szybciej wlaził. Chwycił swoimi krótkimi łapami krawędź muru, przerzucił ciało razem z garbem i zniknął z drugiej strony. Po chwili wychylił się i machnął do nich.

Potem szli bracia Job. Mieli zadanie trudne, bo się musieli jedną ręką posłużyć. Wreszcie dotarli na szczyt. Karzeł znow machnął.

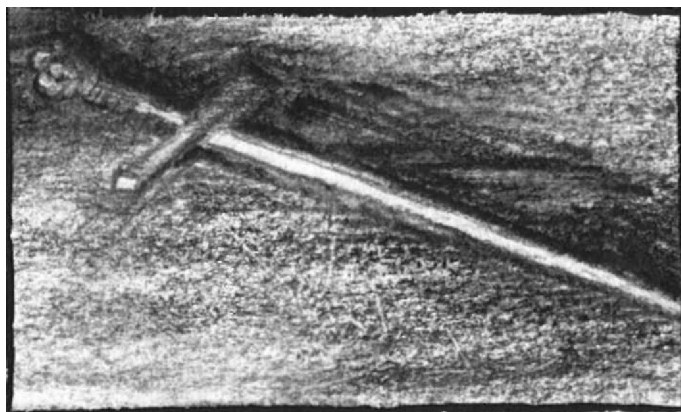
Dragiełło splunął w dłoń. Popatrzył w górę.

- Obyście tam byli na zamku, Jeruzalemie. Święty Jerzy, czuwaj nade mną, bądź ze mną, prowadź mnie.

Okręcił się końcem liny i szarpnął dwa razy na znak, że już można go wciągać. Bracia Job zaczęli pracę. Rycerz czuł kolejne pociągnięcia. Sam się nogami o ścianę drewnianą podpierał i starał iść, pomagając tym na górze. W końcu złapał się za krawędź drewnianą i nogi przerzucił. Natychmiast chciał się cofnąć. Na tle jaśniejszego nieba widać było sylwetki braci Job, trzymany przez jakichśwojów. Na ciele rycerza zacisnęły się dłonie. Szarpnął się,

ale było za późno. Zanim stracił przytomność, ugodzony w głowę, zdążył popatrzeć w stronę brzegów, tam gdzie w gospodzie zostali Wulfstan i Hanna.

- Zdrada - wyszeptał i widok świata zgasł mu przed oczami.



ROZDZIAŁ XVIII

Wrzesień 1238



Przez ostatnie dni sierpnia trwało w Sudovii wielkie świętowanie. Co i rusz odbywały się zabawy, kwitł handel, organizowano turnieje na cześć kolejnych wodzów pruskich. Każdy z nich chciał zabłysnąć i nagrodę zwycięzcom przekazać. Odbyły się też wiece poszczególnych plemion, które po kolei uznały, że jest rzeczą słuszną, by wobec zagrożenia najazdem krzyżackim zjednoczyć się i władzę przekazać w ręce Skomanda Bliznobrodego, księcia Jaćwieży, gdyż bogi są mu przychylni.

Na łąkach okolicznych zebrały się wtedy niepoliczone tłumy. Kapłani jaćwiescy spalili wołu, jagnię i węża. Dym wskazał, że bogi chcą, aby Bliznobrody był księciem ludów pruskich i jaćwieskich, razem je poprowadził do dobrej przyszłości. Patrzono też we wnętrzości, by z nich odczytać wieszczbę. Także i ta była przychylna.

Jeno plemię Skalowów było smutne. Ich młody wódz Dangaustabas zjadł coś nieświeżego i pośród strasznych boleści zmarł w ciągu dwóch dni, jęcząc, bluźniąc bogom i Skomandowi. Spalono go uroczyście, a na jego stos pogrzebowy sam Bliznobrody położył wiele uzbrojenia, by mu dobrze w drugim świecie służyło.

Gdy się lud zgromadził pod świętym gajem, wyjechał Skomand konno na wzniesienie, w otoczeniu wodzów i kapłanów. Śpiewały kobiety na jego cześć. Z mis kamiennych ciągle unosił się dym proroczy.

Przemówił do tłumów, a one odpowiedziały wraskiem radosnym, który poniósł się daleko, przez puszcze, ogłaszając, że Skomand Bliznobrody ma poparcie wszystkich rodów.

Jechał potem triumfalnie do swojego zamku. Obok niego szedł Gajda, wódz Nadrowów, jego przyjaciel, i trzymał go za strzemię. Z drugiej strony kroczyła Krutynia, piękna księżna.

Ludzie stali po obu stronach, krzyczeli radośnie i rzucali im pod stopy kwiaty. Na długi most po kolei wjeżdżali za nim wodzowie plemion, nobile, zaproszeni goście. Kopyta ich koni stukały głucho w deski pomostu. Pod nimi, w wodzie trzymając się słupów i gapiąc w górę, pływało masę dzieci, które z zachwytem oglądały tyle pruskiego rycerstwa. Od spodu dobrze widać było w szparach między deskami, jak z hukiem jadą kolejni władcy plemienni i ich przybocznicy. Raz w życiu można coś takiego obejrzeć.

*

W chacie, przeznaczonej dla niewolników mających walczyć w grach, panował zaduch i smród. Leżeli wszyscy pokotem, siedzieli, a wielu spać nie mogło. Czasem się strażnik pojawiał. Dach był dziurawy, więc gdy padał deszcz, to ciekło im na głowy, a kiedy świeciło słońce, w wąskimi smugach krążyły tumany kurzu. A że blisko już było do samych gier, wtedy przychodził sam Jada, patrzył, oceniał, kazał pokazywać, jak się w sztuce walki podszkolili. Nastrój przygnębienia i myślenie o śmierci nie opuszczały ich ciągle - w nocy słychać było krzyki, w dzień mało mówili, jedli z pochylonymi chmurnie głowami.

Kiedy Jada stawał, brał się pod tłuste boki, zarzucał do tyłu lisią czapkę i krzyczał, że mają wielką szansę, wtedy uśmiechali się w duchu kpiąco. Ich szansą miało być przeżycie walki - w takim wypadku każdy, kto zachował życie, miał mieć zwróconą wolność. W razie śmierci Jada gwarantował stos pogrzebowy z pełnym honorem. Tak więc zmarły nic nie tracił. Może nawet zyskiwał.

Jednak gladiatorów nie przekonywały przemowy grubego urzędnika. Wiedzieli swoje. Czuli zbliżającą się okrutną śmierć. Dlatego też nie zawierali przyjaźni. Mało ze sobą rozmawiali, patrzyli bokiem, chyłkiem. Jakby czuli, że już toczy się gra, już trwa wyścig do życia.

Jada ucieszył się ze zdobyczy, jaką byli Dragiełło i jego ludzie. Byli czymś barwnym i wyjątkowym, czymś, co na pewno zachwyci na arenie księcia.

Nadzorca wziął rycerza za brodę i podniósł wyżej jego twarz.

- Słyszałem, żeście z wielkim kunsztem w mieście walczyli, rycerzu.

Pogromca smoków nie odpowiedział. Patrzył szklistym wzrokiem.

- Znajdę ci dobrego przeciwnika. Bardzo dobrego. I odszedł, zakładając ręce na plecy.

Dragiełło popadł w stan przemożnego smutku i zamyślenia. Patrzył zimno na karła i zapytał go w pewnej chwili, czy to on uczestniczył w zdradzie Wulfstana. Bo że w ich schwytaniu maczał palce stary przewodnik, tego rycerz był całkowicie pewien.

Karlito zaprzeczył gorąco.

- Wiedz, że wobec śmierci winieneś się wypowiadać - rzekł mu potomek świętego Jerzego. - Lepiej tu cierpieć, niż przez wieczność w czeluściach piekielnych. Wyjaw prawdę, karle - co żeś o nas wypaplał Wulfstanowi?

- Nic, panie. Nic ważnego, wierzaj mi. Jakżem co mówił, gdy on pytał, to ino jakieś błahostki, nic nieznaczące.

- Błahostki? Jakie to?

- Różne. Już nie pamiętam. Nic, co by zdradą było, panie. Na mych przodków przysięgam. Obym rycerzem miał nigdy nie zostać. Prawda to święta.

- Jeśli kłamiesz, zgnijesz w piekle, to raz - rzekł mu twardo jego pan - a jeśli jakim cudem z tego miejsca żywi wyjdziemy, wtedy ja już prawdy dojdę. Jeśliś temu staremu w czym pomógł, co podejrzewam, mów lepiej teraz, bo jak to potem w jaki bądź sposób z siebie wyjdzie, to pasami skórę zedrę i solą posypię.

- Zmiłuj się, panie, prawdę gadam.

- Módl się, żeby tak było.

Bracia Job także źle znosili niewolę. Opierali się o siebie plecami, tępo patrzyli w ziemię. Gdy jednak rycerz był blisko, wtedy zgodnie do niego gadali:

- Myśmy są Job.

- Bracia Job.

- Niob, twój Job.

- I Hiob, też Job.

- Jak ty tam, to i my.

- Jak ty sam, to i my.

- My z tobą.

- Żyw, nieżyw.

- Na śmierć.

- Na śmierć. Z tobą.

Tylko Karlito rzucał się na przynoszone jedzenie. Jednoręcy sięgali po nie powoli, zuli niechętnie, jakby ich choroba wzięła.

Rycerz nie jadł w ogóle. Odsuwał talerze. Słabł. Siedział błydy pod słupem i modlił się, patrząc w kurz wirujący w smugach światła.

*

Jeruzalem starał się nie myśleć. Skupiał się na drobnych czynnościach - pomocy przy serwowaniu posiłków na główny stół, noszeniu beczulek z miodem, ostrzeniu noży w kuchniach, siekaniu warzyw, które miały być dodane do mięs. Gdy ktoś go prosił o pomoc w jakiejś pracy, nie oponował, tylko w milczeniu ją wykonywał. Kiedy miał chwilę wolniejszą, chodził na dolny dziedziniec z małpką, naciągał jej wody ze studni i dawał pić prosto z dłoni. Potem ćwiczył z nią taniec do kolejnych występów. Raz miał wrażenie, że ktoś patrzy na niego z góry. Uniósł wzrok i zobaczył Krutynię pochylającą się w dół przez poręcz. Patrzyli sobie w oczy, na skos schodów i pięt, a potem ona odeszła w swoją stronę.

Gigi wchodziła mu często na kark i łapała się za jego twarz tak, że łapkami zasłaniała mu oczy. Chodził z nią uśmiechając się, dookoła studni.

Nadzorca dał mu łańcuszek i zdobioną obrozę, z zaleceniem księcia, by jej używał zamiast sznurka.

Jeruzalem znalazł szerokie okno, w którym siadał na grubym parapecie razem z małpką. Drobnymi pleciami łańcuch, jakim teraz byli spięci, pobrzękiwał i srebrzył się w świetle. Gigi gryzła paznokcie, a potem spoglądała w dal, jakby myślała o ucieczce. On opuszczał zgarbione ramiona i zdawał się całkowicie pograżać w ponurych myślach.

◆◆◆

Dom pielgrzyma w klasztorze cysterek w Trzebnicy pełen był ludzi oczekujących na spotkanie z księżną Jadwigą. Przekazywano sobie co i rusz wieści o tym, kto ozdrowiał, komu wzrok się przywrócił, a kto nagle mógł kostur odrzucić i o własnych nogach pójść.

Te dni kilka, które Michałko i Bocianek musieli czekać na widzenie, wystarczyło im jednak, by stwierdzić smutną prawdę, że taka sama liczba nieszczęśników wchodziła przez furkę, jaka później wychodziła: te same kije mieli pod pachami, te same kikuty sterczące z brudnych łachów, te same wrzody na rękach, te same zdeformowane twarze, guzy na nosach, oczodoły ciemne po wyrwanych gałkach, bielma, sine ślady na skórze, wysypki, gnilne wysięki, krzywe kości, dłonie bez palców, ropniaki, czarne znamiona, rany niezabliźnione, zęby utracone i wszelkie możliwe choroby, jakich człowiek nawet nie chce sobie przypominać.

Jednak tak się jakoś działo, że choć cieleśnie wychodzili nieodmienieni, to widoczna poprawa była w stanie ich ducha. Jakaś jasność od nich biła, lekkość, pewność siebie i brak trosk. Aż obaj woje henrykowi zazdrościli tym, co weszli, i nie mogli się doczekać na swoją kolej.

Ale choć co dnia rano walili w furkę, to ciągle ich stara zakonnica nie chciała wpuścić. Zawsze to samo - księżna innym obiecała, wyjątków nie robi, swoje trzeba odczekać. I czekali, cóż mieli zrobić. Z nudów tylko chodzili do sadu klasztornego, przez mur przełazili cichcem, a potem kradli jabłka i gruszki. Kładli się gdzie na łące, jedli owoce i patrzyli w niebo. Kradzione im się lepsze zdało, bo zdobyte jak na wrogu.

Aż się w końcu dowiedzieli, że owszem, tego dnia księżna ich przyjmie i wysłucha.

- Weź ty, Bocianku, włosy sobie popraw - Michałko doradzał przyjacielowi - dyć jak cię księżna zobaczy, pomyśli, że jesteś Saracen, któremu drzewo palmowe na głowie wyrosło.

- Ty się lepiej, Michałko, swojemu brzuchowi przyjrzyj, czy się przypadkiem księżna nie wystraszy, że to prosiak tłusty się z chlewa wyrwał i na klasztor włazi.

Poszturchali się trochę, potem fryzury poprawiwszy, siano z nich wyjąwszy, buty z błota otrząsnąwszy przed progiem, do klasztoru weszli.

Siostra ich prowadziła, którą wcześniej ino z gęby znali, a teraz mogli od tyłu ją oglądać w całej okazałości.

- Nigdy bym nie rzekł, Michałko - szeptał Bocianek, drobiąc malutkimi kroczkami - że do takiej suchej gęby takie tłuste ciało jest doklejone.

- To dlatego, że ciało święte musi znosić ciężary pokutne i przez to samo na siebie je nakłada - również szeptem wyjaśnił przyjacielowi grubas, dając znać, że sam też coś wie o tym.

Przeszli przez krużganek z zadbanym ogrodem pośrodku i weszli w korytarz. Potem przez drzwi prowadzące do jednej z cel.

Siostra zakolatała. Na pytanie ze środka, odparła:

- Dwaj to ci, co się za rycerzy księcia podawali. Michałko i Bocianek. Nie wiem, skąd są.

- Niech wejdą - rozległ się głos.

Weszli do mrocznej, prawie pustej celi. Jedno łóżko i niewielki stolik, hak wbity w ścianę, na którym wisiało jakieś grubsze okrycie. Świeca na stoliku, papiery, inkaust, pióro. Z niewielkiego okienka padało blade światło.

Odwróciła się do nich kobieta o twarzy wychudłej i wyniszczonej. Prawie trupiej, gdyby nie pałające energią oczy, jakie w niej świeciły.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! - wymamrotał Michałko, kłaniając się niezdarnie. Bocianek przyklęknął lekko.

- Na wieki wieków amen - odparła księżna Jadwiga. Kazała im usiąść na brzegu swego łóżka. I mówić, z czym przyszli.

Tręcili się łokciami, i w końcu, jeden przez drugiego, chaotycznie zaczęli opowiadać, co przeżyli, czego się dowiedzieli i co chcą przekazać młodemu księciu Henrykowi ku przestrodze. By na niebezpieczeństwo się mógł przyszykować i przed nim obronić.

Jadwiga kiwała głową i słuchała ich bez uśmiechu, ze ściągnięta twarzą.



Szalbierz znowu został wezwany do izby książęcej, gdzie się biesiady odbywały. Wziął małpkę na rękę, założył jej czapeczkę, sobie także wcisnął podobną na głowę i poszedł drogą, którą już znał na pamięć.

Gdy wszedł do komnaty, cofnął się pod ścianę, a serce zabiło mu mocniej. Za jednym ze stołów rozsiadali się właśnie goście mongolscy. Tatarzy przybyli do Bliznobrodego licznym orszakiem, przywieźli mu dary naprawdę okazałe, jak prawdziwemu władcy - dwa tygrysy przeznaczone do walk, broń kutą przez mistrzów z Chin, długie bele jedwabiu, kilkanaście łuków, komplety tatarskiego uzbrojenia, kielichy wykonane z rogów zwierząt zamieszkujących stepy, skórzane ozdoby nabijane srebrem i złotem. Jeruzalem spojrzął na posłów i pochylił głowę, chowając twarz w ramiona. Tak stanął, by zasłonili go grajkowie czekający na występ w kącie izby.

Bliznobrody, jako już panujący książę nad wszystkimi plemionami, postanowił dokonać oficjalnej prezentacji wobec wodzów plemiennych. Wstał i długo mówił o tym, jak wielki szacunek żywi wobec dokonań największego cesarza całego świata, Czyngis-chana, a także jego potomków i spadkobierców. Rzekł, iż prosi, aby pokłonić się głęboko chanowi Ugedejowi i przekazać jego szczere wyrazy umiłowania, jakie tylko syn mógłby ojcu wysłać. Tak on prosi o łaskę słonecznych dni na resztę długiego życia chana i jego synów;

Przekładał to wszystko drobnutki człowieczek, którego przywieźli ze sobą Tatarzy jako tłumacza. Miał wąsiki i wyraz twarzy małego szczura, który został oślepiiony nagłym wyciągnięciem z ciemnej nory na światło dnia.

Po słowach Skomanda wstał Subedej, wódz tatarski, który przewodniczył grupie posłów. Ukłonił się i przekazał gratulacje w imieniu wodza zachodniego ułusu, Batuchana, potem w imieniu Czagataja, pana ułusu środkowego, i Tułuja z części wschodniej. Na koniec rzekł, iż sam Ugedej w stolicy kraju, Karakorum, z radością przysłuchuje się, iż władca Jaćwieży, czczący słońce i księżyc, postanawia zjednoczyć inne plemiona, idąc wzorem Temudżyna, a potem na Zakon Niemiecki uderzyć.

Na twarzy Subedeja nie można było odczytać ni cienia uczucia, jakby był lalką wykonaną z gliny. Miał wypielegnowane, długie czarne wąsy, takąż bródkę, cienką i wiszącą

prawie na piersi, nakrycie głowy przesywane złotą nitką, a kiedy usiadł, jedwabna szata zafalowała pod wpływem ruchu, jakby była lżejsza od powietrza.

Znów przemówił Skomand. Tym razem opisał, jak to Zakon Krzyżacki zamierza wdrzeć się na ich ziemie, jak jego wódz, Mistrz Herman z Salzy, u boku cesarza niemieckiego ciągle przesiaduje, zjednując sobie jego przychylność.

Odezwały się na to pomruki niezadowolenia wśród wodzów pruskich, a Tatarzy, słuchając tłumacza, kiwali głowami na znak potwierdzenia.

Przeszedł więc Bliznobrody do mówienia o przyjaźni. Patrzył na niego Jeruzalem chyłkiem, zza pleców flecisty, i głaskał makaka za uchem, modląc się w duchu, by książę zapomniał o występach. Ten roztoczył przed Subedejem wizję stosunków na dobrej stopie, co znowuż się spotkało z przychylnym potakiwaniem całej tatarskiej delegacji siedzącej przy stole.

Książę Jaćwieży opowiedział Mongołom, iż w ciągu dwóch lat plemiona pruskie i jaćwieskie chcą postawić armię około stu tysięcy głów. W tym osiemdziesiąt tysięcy tarcz i dwadzieścia tysięcy jazdy. Tymi siłami uderzą wspólnie na Krzyżaków, aby wyzwolić swoje ziemie i tak daleko odepchnąć Zakon, aby już tu nie wracał. Dodał, iż wie, jakie już sukcesy odnoszą armie Ugedeja, sunąc na zachód. I nawiązał znowu do przyszłej współpracy. Gdyby armie tatarskie uderzyły południem, on znowuż miałby wolną rękę z Zakonem. Klęska pruska pod Sirguną tym przecież była spowodowana, że brały w niej udział wspólnie wojska krzyżackie i polskie. Dlatego prosi, aby taką wieść przedłożyć Batu-chanowi, a dalej Ugedejowi, iż za dwa lata armia plemion pruskich pójdzie w stronę Wisły, żeby pobić Krzyżaków. Resztę pozostawia roztropności wodzów tatarskich, której wielkości opisywać nie trzeba.

Wstał Sugedej, podziękował za dobre słowa i obiecał, że wszystko to chanom powtórzy tak dokładnie, jak tylko może. Odpowiedź zaś przekaże przez gońców.

Skomand ucieszony klasnął w dłonie i rozkazał przejść do zabawy. Zagrali fleciści. Uderzyły bębenki i grzechotki. Książę wyłowił wzrokiem Jeruzalema i gestem rozkazał, aby kuglarz rozpoczął występy.

*

Szalbierz wyszedł na środek, opuścił czapkę na oczy, tak głęboko, jak się da, i postawił Gigi na ziemi. Szarpnął łańcuszkiem, co małpka rozumiała jako sygnał do rozpoczęcia tańców. Zaczęła skakać ucieszenie. Rozległy się śmiechy i walenie w stół. Jeruzalem także ruszył w tan. Równy, do rytmu: jego noga w prawo i łapka małpki też. Gigi obrót, a on w miejscu. I na odwrót: on w miejscu, a ona w kółeczko, na napiętej smyczy.

Bębenki przyśpieszyły, flety weszły na wyższe rejestry, grzechotki syczały coraz szybciej i bardziej nerwowo. Także i tańcząca para skakała żwawiej. Szalbierz wciąż patrzył w ziemię i tak sprytnie wywijasy kręcił, tak kroki stawał, żeby tylko w stronę stołu tatarskiego gęby nie pokazać. Wreszcie zakończył pokaz, uklonił się. Lecz gdy się wyprostował się, wtedy tuż koło siebie, o krok dosłownie, zobaczył jednego z posłów tatarskich. Mongolski dostojnik stał i patrzył na niego wnikliwie. Jeruzalem cofnął się dwa kroki. Serce załomotało mu w piersi. Chwycił małąkę i chciał wyjść. Nie zdążył. Tatar zabiegł mu drogę.

W izbie zapadła cisza. Wodzowie pruscy, świta książęca, sam Skomand, słudzy i grajkowie - wszyscy patrzyli zdumieni. Czyżby kuglarz w czym zawinił? Obraził gości? Lecz w czym? Ucichły wszelkie rozmowy.

Mongoł chwycił Szalbierza za ramię, podprowadził do stołu i zrzucił mu czapkę z głowy.

Pozostali posłowie Batu-chana krzyknęli głośno, zaczęli gadać jeden przez drugiego. Wstał sam Subedej, mrużąc oczy.

- Czajrchan gentij? - zapytał głośno.

Jeruzalem milczał. Chciał się cofnąć, lecz miał na ramieniu zaciśniętą rękę mongolskiego dostojnika.

- Czajrchan gentij, kisył! - powtórzył dowódca tatarski.

Szalbierz nadal nie odpowiadał. Ścisnął małąkę w rękach i gorączkowo zastanawiał się, co powinien robić. Tłumacz nic nie gadał, lecz ludzie zgromadzeni w komnacie zaczęli rozumieć sytuację. Twarz Jeruzalem była tak podobna do śniadych lic poselskich, że nie było wątpliwości, iż są z tej samej ziemi zrodzeni.

Subedej wyszedł z za stołu i podszedł do kuglarza. Pytał, a tamten coś po cichu odpowiedział. Wódz tatarski obrócił się po chwili, a jego twarz wydawała się nieporuszona, jakby ją ktoś wyrzeźbił w drewnie.

Bliznobrody, zaniepokojony tym zdarzeniem, wstał i zapytał, co natychmiast przełożył tłumacz:

- Szlachetny Subedeju, słońce stepów, powiedz, czy ten niewolnik czymś cię uraził?

Mongolski poseł wrócił najpierw za stół, zanim odpowiedział na pytanie Skomanda. Poglądził się po wąsach i rzekł:

- Pierwszym było zdziwienie, gdy dostrzegłem, że książę Jaćwieży mówi o przyjaźni, a Tatarów u siebie na smyczy prowadzi jak psy!

Ludzie pochyłili się nad stołami, coś szepcząc do siebie.

- Jakże to? - zdziwił się książę.

- To jest syn stepu! - wskazał palcem na Jeruzalema Subedej.

Bliznobrody spłoszył, blizna na jego twarzy pogrubiała się. Wszystko do tej pory układało się zgodnie z misternym planem, jaki założył sobie jeszcze przed wiecem.

Jeśli powstawały drobne przeszkody, usuwał je za pomocą złota lub trucizny. I teraz mogło nagle wszystko runąć? Przez jednego parszywego niewolnika? Przez kaprys jego żony? Przez małpę na łańcuchu? Ręka Skomanda zaczęła szukać rękojeści miecza.

Wbił wściekle oczy w Szalbierza. Gdyby mógł, zabiłby go samym wzrokiem.

W komnacie się robiło gwarno. Bliznobrody milczał, próbując opanować wściekłość. Wiedział, że zimna krew nie jest jego mocną stroną, a właśnie jej potrzebował teraz najbardziej.

W powietrzu zawisła ciężka atmosfera. Posłowie tatarscy wstali wszyscy. Rozległ się hurgot odstawianych ław. Jeruzalem cofnął się o krok, prężąc mięśnie w nogach do skoku. Małpka popiskiwała cichutko. Wśród nobili pruskich rosło szemranie, niektórzy też poczęli wstawać.

I nagle wódz tatarskiej grupy, Subedej, roześmiał się na cały głos.

Ludzie popatrzyli na niego zdumieni. Nawet tłumacz zmarszczył swoje szurze czoło. Mongoł pogładził się po wąsach i rzekł wyraźnie rozbawiony:

- Ale to pozór tylko myli oko mongolskiego jeźdźca. Gdym go zapytał, jakiego jest rodu, odparł...

Tu zawiesił głos, czekając, aż tłumacz wszystko przełoży.

- Odparł, że ciało jego jest tatarskie, a serce polskie. Więc on sam nie wie, kim jest.

- Kuglarz! - głębokie westchnienie ulgi wyrwało się z piersi Bliznobrodego. Ci, którzy stali, usiedli. Rozległy się śmiechy. W słowach Subedeja nie było nic śmiesznego, lecz ponieważ jego samego to bawiło jak żart najwspanialszy, to i reszta zaczęła się śmiać razem z nim.

- Ciało tatarskie, a serce polskie! - powtórzył Subedej, zanosząc się od śmiechu, a wszyscy w izbie, rechotali. Jakby nic od dawna ich tak nie ubawiło.

◆◆◆

Kościół trzebnicki był pusty. Skrzypnęły drzwi. Przez chwilę na posadzce pojawiła się smuga światła, a potem wszystko utonęło w półmroku. Zamykanie zasuwki odbiło się echem na całej długości głównej nawy. Kroki rozbiły ciszę na równe kawałki. Kobieta w sukni zakonnej, czepcu na głowie i suchej, wąskiej twarzy podeszła do ołtarza i przed stopniami uklękła. Przeżegnała się. Po chwili wstała i skierowała się do bocznej kaplicy w transepcie. Stała nad dużą płytą nagrobną. Z okienka umieszczonego wysoko w niewielkiej absydzie

szły promienie słońca, które przez chwilę padły na jej twarz. Zmrużyła oczy, odsunęła się w cień. Opadła powoli na kolana, unosząc ręką habit, żeby go nie przydeptać. Przestrzeń wypełnił dźwięk kościelnych murów - w świątyni nie ma ciszy absolutnej, ściany wydają własny, ciągły szmer przestrzeni wyjętej ze zgiełku wszechświata. Ten szelest wieczności wlewa się w ucho każdego, kto samotnie klęka przed ołtarzem, siada na skrzypiącej ławce, opiera się dłonią o kamienny filar. Modlitwa kapie w takiej ciszy jak woda na dno studni. Kropla uderza w płynną, lustrzaną powierzchnię, tworząc koła, które rozchodzą się coraz szerzej, aż nikną w cembrowinach. Słowo wyszeptane w skrytości duszy aniołowie łapią i zanoszą szybko na samą górę, tak że człowiek nie ma czasu ich cofnąć.

Kobieta trwała w modlitwie i zamyśleniu. Przez jej twarz przebiegł skurcz, nagły grymas bólu, który natychmiast, żelazną siłą woli, powstrzymała.

- Boże... - powiedziała tylko jedno słowo i zamilkła. Resztę mówiła ustami duszy.

O licach księżnej ludzie powiadali, że są surowe, ale to mówili ci, co nie widzieli jej oczu - w spojrzeniu Jadwigi płonął wewnętrzny ogień, który powodował, iż nawet łotry w jej obecności zginały kolano.

Wysunęła rękę i dotknęła liter rzeźbionych w kamiennej płycie. Opuszki palców przesunęły się po zagłębieniu tworzącym literę H, a potem zaczęły obrysowywać kolejne, jakby księżna chciała jeszcze raz wypisać po łacinie imię swojego męża, Henryk I Śląski.

Zgięły się jej plecy, głowa powoli opuszczała się coraz niżej, aż dotknęła czołem płyty piaskowej, wmontowanej w posadzkę. Tak klęczała dłuższą chwilę, w milczeniu. Za nią śpiewała cisza kościelnego wnętrza.

Powoli wysuwała rękę, dotykając fragmentów płaskorzeźby, jakby je pieściła. Wnętrzem kobiety targnął szloch.

- Wybacz mi, proszę - zaczęła szeptać żarliwie prosto w kamień, jakby słowa mogły się przez niego przebić, jakby to sam Henryk leżał w tym miejscu. I słuchał.

- Pamiętaj, że zawsze byłam przy tobie modlitwą, zawsze myślą, zawsze sercem. Może... trzeba było, żebym dojechała do Krosna.

Zacząła płakać. Łzy ciekły po jej twarzy pełnej zmarszczek jak drobne rzeki górskie, wpływające w wyschłe koryta, gdy nadchodzi pora deszczów. Dochodziły do koniuszka nosa i spadały na piaskowiec.

- Mój kochany... - gładziła rzeźbę tak, jakby chciała przelać w nią trochę ciepła, jakby mogła jeszcze dotknąć księcia żywego.

- Ja byłam z tobą każdego wieczoru. Modlitwa moja gładziła cię po głowie, kiedy odchodziłeś. Kochany. Miałam rękę twojej duszy w swojej. Ale byłam tu, w klasztorze. Posłuszna. Abraham wziął przecież nóż. Zbliżył się do swego syna. Słuchał.

Dźwignęła się nagle na klęczki, otarła łzy. Znow patrzyła w milczeniu na płytę grobowca. Zaczęły płynąć słowa modlitwy: „...*nunc et in hora mortis nostrae, amen*”. Mówiła je coraz szybciej i szybciej, jakby chciała zagłuszyć to, co rozdzierało duszę.

Oto pojawili się w klasztorze dwaj rycerze henrykowi, prości, zwykli, ze szczerego serca oddani zmarłemu księciu. Ich miłość do niego znów rozerwała jej serce. Zaczęła myśleć o tym, czy nie jest szalona. Czemu klątwa biskupia, położona na mężu, jej splątała nogi i ręce, zawiązała usta, wyrwała serce, głowę ujęła w żelazne obcegi i wsadziła do ognia? Czy na pewno dobrze odczytuje drogę, jaką wskazał jej Pan? A przecież odczytuje. Od tylu lat. Świadectw bez liku - klasztor trzebnicki, ludzie, którym przyniosła nadzieję, ugięte kolana grzeszników. Biskupi uspokajają, iż wybrała ścieżkę wskazaną przez Chrystusa. Że winna dalej nią kroczyć, nie wahać się. Lecz gdy tak jest ciężko? Gdy sama siebie ukrzyżowała za życia? Gdy wbiła sobie gwoździe w dłonie i stopy, kiedy on leżał na łożu śmiertelnym i wzywał ją, gdy krzyczał do niej? Może płakał po nocach? Oto sama wzięła młotek w dłonie, sama się ułożyła na drzewie, sama naciągnęła rękę do boku. Henryk wołał do niej. Usłyszała. I uderzyła obuchem młota w gwóźdź. Popłynęły krwawe łzy. Odchodził. Myślała, że duszę jej rozerwie. Krzyczała w nocy: Eloi, Eloi, lema sabachthani? Boże, czemuś mnie opuścił?

Schyliła głowę w geście posłuszeństwa. Mogła tylko ująć go potem za zimną rękę, gdy sprowadzono ciało do Trzebnicy, by złożyć je w prostym grobie.

Serce jej łomotało. Szumiała w głowie ta dręcząca cisza murów. Światło padające od okienka położyło się na jej głowie.

Wstała i zaczęła dłonią odgarniać kurz z zagłębień w płaskorzeźbie.

Słyszała jeszcze prawie bezładną paplaninę wojów książęcych, Michałka i Bocianka, którzy gadali o tym, jakie to chmury czarne nad głową młodego Henryka się zebrały. Zakon Św. Ducha, Krzyżacy, jakaś nawała wschodnich diabłów zwanych Tatarami, książę jaćwieski Bliznobrody, który ponoć buduje potęgę barbarzyńską...

- Bliznobrody - szepnęła nagle, jakby na głos wypowiadała bezładne myśli i słowa, które przychodziły jej do głowy.

Pochyliła się nad płaskorzeźbą nagrobną. Położyła dłoń na milczącej, kamiennej twarzy Henryka. Pogładziła ją czule. Gdy zaczęła mówić, znów głos jej się załamał, oczy napelniły łzami. Przechyliła głowę na bok jak matka, co gładzi po raz ostatni martwe dziecko i przygląda się jego zimnej buzi.

Dużym palcem narysowała linię idącą przez policzek twarzy wykutej w nagrobku.

- Ja cię zraniłam najmocniej przed twoją śmiercią - powiedziała cichutko.

- Ranę zadałam twojej duszy. Blizna dla mnie widoczna. Ty jesteś więc... mój Bliznobrody...

Przeżegnała się. Cisza zaczęła huczeć w uszach. Zdawało jej się, że w świątyni braknie powietrza, że zaraz się udusi. Wstała i wytarła łzy z twarzy. Tak by nikt nie widział, że płacze. Szła, szeleszcząc habitem. Każdy jej krok odbijał się echem od kamiennych ścian szerokiej nawy głównej.

Wyszła na zewnątrz, na chwilę zamknęła oczy od oślepiającego światła dziennego. Poprawiła na sobie suknię zakonną i skierowała się w stronę klasztoru.



Bliznobrody przeszedł na sam środek izby. Ucichły wszelkie głosy. Poglądził się po brodzie, wyrównując ją i nadając odpowiedni kształt. Teraz znać było dostojęństwo jego postaci. Pas wiszący na biodrach był naszywany drogimi kamieniami, suknię z grubego, szlachetnego materiału spinał na ramieniu wielki guz wykonany z misternie rzeźbionego srebra, a głowę ozdabiała książęca mitra, z symbolami bóstw jaćwieskich, odlanymi w złocie - księżycem, słońcem i piorunem. Dłoń przyobleczoną w rękawicę z jeleniej skóry wsparł na boku, drugą luźno opuścił. Przebiegł oczami po zgromadzonych ludziach, w każdym obliczu odnajdując nutę podziwu i posłuszeństwa. Uśmiechnął się kącikiem ust.

Na ten uroczysty moment zaproszona została jego żona, księżna Krutyńia. Weszła w czarnej sukni, wyszywanej bursztynowymi kuleczkami i stanęła obok niego.

Gajda - wódz Nadrowii, przyjaciel księcia - w uroczystych słowach zaczął przemawiać do wodzów pruskich i gości tatarskich.

Rzekł o głębokiej wdzięczności dla bogów, iż obdarzyli ludy pruskie i jaćwieskie takim władcą, który potrzeby trudnego czasu rozumie i do zwycięstwa ich poprowadzi. Potem dziękował wysłannikom wielkiego chana mongolskiego, a szczególnie samemu Subedejowi. Następnie wymienił po kolei każdego wodza pruskiego i nazwę jego plemienia.

Wtedy Skomand zdjął z głowy mitrę i podał ją Gajdzie, a ten ułożył symbol władzy księcia na poduszce. Pojawił się sługa ze skrzynką, w której przechowywany był miecz koronacyjny. Niewolnik ten przyklęknął i wyciągnął przed siebie ręce z kuferkiem. Gajda otworzył wieko.

Na ten znak rozpoczęli grę muzykanci. Jeruzalem stał wśród nich i potrzasał grzechotką. Małpka kręciła mu się koło nóg. Do izby weszło trzech kapłanów w rytualnych strojach, z czapami wykonanymi ze skóry wilka, rysia i tura. Każdy z nich trzymał w ręku

laskę, a czterech niewolników wniosło za nimi misę, z której unosił się święty dym. Szamani zaczęli obchodzić w koło nowego księcia i okadzać go, machając krańcami szat nad gorejącą kamienną misą. Muzykanci zaczęli dzwonić dzwonkami - podali jeden także Szalbierzowi. Jeden wielki, świdrujący odgłos zaczął przewiercać powietrze, jakby był sygnałem szaleństwa.

Bliznobrody wyjął miecz ze skrzyni i uniósł nad twarzą.

- Wielki Subedeju, wysłanniku słońca stepów, Ugedeja, ojca ludów stepowych, syna wielkiego Czyngis-Chana, władcy z łaski bogów, ciebie proszę, byś założył na mą głowę tę oto mitrę książęcą, a ramienia mojego dotknął mieczem królów polskich.

Gajda uklękła z poduszką, na której leżała mitra. Bliznobrody także ugiął kolana i na dwóch wyciągniętych rękach wysunął przed siebie miecz. Subedej wstał i uroczystym krokiem podszedł do nich.

Muzykanci odłożyli dzwonki i sięgnęli po bębny. Zaczęli grać w narastającym tempie, potęgując napięcie.

*

Jeruzalem uderzał w skórę bębenka. Zdawało mu się, że odpływa w daleką przestrzeń, że głowa mu ucieka daleko poza tę izbę książęcą. Może to sprawił dym z kadzideł, a może huk bębnów, przenikający całe ciało, może dało znać jeszcze zmęczenie - dość, że zaczął tracić świadomość. Jego ręce wykonywały cały czas te same ruchy, co grajkowie obok, ale w oczach zrobiło się mglisto, świat zaczął się zamazywać, odjeżdżać gdzieś daleko, jakby wszystko się śniło, a nie działo naprawdę.

Subedej podniósł miecz do światła, zaczął przemawiać. Jeruzalem nie słyszał słów. W głowie jego waliły bębny. Patrzył w stronę miecza. Dym wdarł mu się pod powieki, szczypał, dusił w gardle. Misa kadzielna stała teraz tuż obok grupy grajków.

Szalbierz zamrugał raz i drugi.

Nagle usłyszał koło siebie głos Hanny. Przebijał się przez rytmiczny hałas.

Jeruzalem zacisnął zęby. Subedej obchodził całą izbę, trzymając miecz wysoko. Nagle się zdało Szalbierzowi, że siedzi przy ognisku nad rzeką. Obok Dobrosław, mały Ignaś, Dragiełło i wieszczka. Ona w ogień patrzy i nucić zaczyna:

- Pal się, wilku... Pal się, wilku mój, z moczarów przyjdź i spłoń... Krew swoją daj mi, bym piła z pucharu, i przyjdź... Sierść mi daj swoją na palce nanizac, jak łodzi skalistej na osnowie granitu, wilku, przyjdź... Korale ci daję z żył swoich, korale... Chlej korale, wilku, chlej! Dław się nimi, wilku, lecz przyjdź do mnie... Wiatrem przyjdź... Odejdź z watahą, wyj do mnie, wyj po nocy, wyj tak, żeby ziemia się zwinęła u twych stóp... Tak się stanie, a miecz

będzie dla ciebie, on tam będzie, z pajęczyny miecz utkany, z zęba twojego wykuty, z oczu twoich wytopiony, z łap twoich wybity, on tam będzie, bieżysz już do niego? Już bieżysz? Gdy wiesz, że trzeba... Con citomon eeve Sede-lai Ebrehel... Te imiona, wilku, z miecza są, te imiona, to pamiętaj, z miecza one są... Boga to imiona na mieczu... Sedelai... Ebrehel.

Przez mgłę widział, jak wódz tatarski podchodzi do Bliznobrodego, jak kładzie miecz na jego ramieniu, jak sięga po mitrę na poduszce. Chwiał się, gubił rytm uderzeń, ale jego dłonie cały czas stukały w koźłą skórę. Inni grajkowie wzmogli jeszcze siłę gry.

Hanna teraz była blisko, wydawało mu się, że stoi za jego plecami, że szepcze mu do ucha:

- Jesteś, kochanku mój, na wieży wysokiej, tyś na wieży wysokiej pod niebo... tam będziesz w ogniu, kochanku mój, na wieży będziesz...

Znów ją widział prawie, przypominał sobie, kiedy to było. Zaraz po tym, gdy Dobrosława spotkali we wsi spalonej, zaraz po tym. Przy ognisku Hanna wieszczyła. Oto był na wieży. Oto cały dusił się od dymu unoszącego z kadzielnicy. Oto płonął.

- Strażnikiem będziesz miecza, pędź, pędź z wiatrem, mój wilku, pędź, trawy zetnij, wody zagotuj, skały na boki rozbij... Pędź, błagam, pędź z nimi.

Prawie poczuł, jak wpija się w niego pocałunkiem, prawie zobaczył, jak w trawę upada zemdlona.

Nagły powiew wiatru od okna rozwiął dym. I rozwiął wspomnienie.

- Pędź z nimi, wilku - powtórzył Jeruzalem słowa wieszczby. Przytomniej popatrzył po izbie, jakby wracał ze świata duchów do świata żyjących.

Urwała się muzyka. Grajkowie odetchnęli zmęczeni.

*

Bliznobrody wstał, a jego połyskująca rdzawym kolorem broda zabłysnęła w świetle, gdy obracał się wokół, słuchając tryumfalnych okrzyków i oklasków.

Subedej wziął go za ramiona i na znak równości uściskał. Wódz Nadrowów promieniał. Krutynia wyglądała ośniewająco, kłaniając się z uśmiechem.

Wtedy Skomand uciszył wszystkich. Przemówił raz jeszcze, dziękując posłom mongolskim za przybycie. Ujął w rękę miecz koronacyjny. Obejrzał go, nie kryjąc zachwytu. Przejechał palcem po grawerowanych napisach.

- Szlachetny wodzu! - zaczął mówić do Subedeja. - Wielki nas spotkał honor, że waszą dłonią na księcia Jaćwiegów i Prusów zostałem namaszczone! Racz przyjąć ten miecz, znak potęgi królów polskich, jako dar dla swego pana, Wielkiego Chana, syna Czyngis-Chana, świetlanego Ugedeja. Niech ten dar księcia Jaćwieży dla Słonecznego Dziedzica

przyniesie mu przychylność bogów. Przyjmij go, proszę, i zawieź do niego na znak naszej pokory i tego, że jesteśmy wobec niego jako syn wobec ojca! Tak rzekliśmy my, księżę Jaćwieży, Skomand Bliznobrody!

Wyciągnął miecz przed siebie. Subedej przyjął go z szerokim uśmiechem i kazał umieścić w skrzynce. Usiedli dalej razem, by ucztować - księżę Bliznobrody posadził wodza tatarskiego po prawej ręce, po lewej zaś Krutynię. Zabrzmiała skoczna muzyka, wybuchł gwar radosnych rozmów. Słudzy wnosili kolejne potrawy, a stoły były zastawione tak wykwintnie, iż nie powstydziliby się ich niejeden zachodni władca.

Dostojnik mongolski przyciągnął do siebie tłumacza i zwrócił się nagle do Bliznobrodego:

- Drogi księżę, racz nadchylić ucha jednej jeszcze drobnej prośbie wysłannika Ugedeja.

- Mówcie, czego wam trzeba, a rzecz każdą wam przekażę, jeśli tylko będzie to leżało w mojej mocy.

Subedej pogładził się po wąsach, chwilę odczekał, jakby ważył słowa, i rzekł:

- Jeśli duma wasza, zasobność, ilość czeladzi wam na to pozwala, proszę was, byście tego syna stepów, co z małpką tańczył, ze swej służby zwolnili. By mógł on razem z nami powrócić do swego kraju. Bliznobrody roześmiał się:

- Nic prostszego. Z największą ochotą wam go przekażę i z niewoli wypuszczę. Chociaż jego ucieszne skoki i występy z małpką wielce przypadły do gustu mojej żonie, księżnej Krutyni. Jest tylko może jedna przeszkoda...

- Jakaż to przeszkoda może wadzić taką sprawę księciu Jaćwieży? - spytał uśmiechając się, Tatar.

- Nie we mnie przeszkoda, lecz w nim przecie. Sami rzekliście, dostojny wodzu, że ciało ma ponoć tatarskie, a serce polskie. Jak to jest z nim w istocie?

- Spytajmy go więc. Gdzie woli przebywać - czy zostać na waszym zamku jako kuglarz z małpką na łańcuchu, czy wrócić tam, gdzie wiatr na stepie rozwiewa włosy.

- Dobrze więc, pytajmy.

Skomand machnął w stronę swojego nadzorca. Pojawił się Jada i wysłuchał polecenia. Po chwili Jeruzalem stanął przed Skomandem i Subedejem.

*

Powietrze zawisło nad głową Szalbierza jak gęsty obłok. Czuł jego ciężar, parność, ciepło. Szum w głowie potęgował się. Padło pytanie z ust Subedeja, lecz wydawało się Jeruzalemowi, że wargi wodza tatarskiego zwolniły. Z ust jego się dobył niski jazgot o

piekielnym tonie, jakby demon jakiś ryczał. Cóż on pytał? Co dodawał Skomand? Obaj patrzyli na niego, oczekując odpowiedzi. Słyszał pytanie, a jego sens przedzierał się przez mózg powoli, jakby ktoś świdrował go malutkim gwoździem. Niedaleko - na ławie, pod ręką jednego z tatarskich posłów - leżała skrzynka z mieczem. Jutro ktoś ją doczepi do siodła i pojedzie daleko, w stronę wielkiej krainy pozbawionej drzew.

Znów poczuł zapach Hanny. Była przy nim. Poczuł, jak złapała go za rękę. Mówiła po cichutku w ucho:

- Odejdź z watahą, wyj do mnie, wyj po nocy, wyj tak, żeby ziemia się zwinęła u twych stóp.

Otworzył usta, żeby dać odpowiedź. Jeszcze teraz, nawet w ostatnim momencie, gdy język jego wypowiadał słowa, myślał, czy robi dobrze. Te kilka słów zmieniało jego życie. Słyszał je jak przez mgłę, jakby to nie on sam mówił, lecz ktoś obok.

Hanna zniknęła, rozplynęła się w mgłę, szepcząc coś, czego już nie rozumiał.

Pochylił głowę.

Dokonał się jego los.



ROZDZIAŁ XIX

Wrzesień 1238

Brusseum wypełniało się ludźmi od samego rana. Drewniana konstrukcja, wzniesiona na planie rzymskiego amfiteatru, miała pomieścić większość zaproszonych gości i najznamienitszych mieszkańców Sudovii. Zaraz po świtaniu zagrały rogi, a ich dźwięki poniosła mgła na całej szerokości jeziora. Był to znak, że nadszedł dzień igrzysk. Miał się odbyć tryumf Bliznobrodego. Oczyszczono z ludzi cały most prowadzący z zamku na ląd, a na drodze idącej do Brusseum ustawiono jaćwieskich wojów, którzy mieli pilnować porządku. Na początku szły dziewczęta w długich sukniach, sypiące kwiaty z koszów. Potem

pojawił się szamani, niosący misy z ziołami rzuconymi na rozżarzone węgle. Następnie kroczyli muzykanci, dmąc w rogi i uderzając w bębny. Skomand wyjechał poprzedzony orszakiem nobili, stojąc z Krutynia na wozie ciągniętym przez dwa niedźwiedzie. Trzymali się razem wzniesionej z przodu poręczy, obłożonej miękkim futrem. Na koźle siedział malutki, gruby człowieczek w metalowej opasce na głowie i powoził, trzymając lejce idące do pysków zwierząt.

Bliznobrody miał zarzucony na plecy czerwony płaszcz. Głowę przyozdabiała książęca tiara.

Za dwukołówką podążała konno grupa zbrojnych Jaćwięgów, z czaszkami nabitymi na końce długich pik. Później szli woje, tworząc całkiem pokaźny las włóczni. Za nimi zaś, wzbudzający powszechny podziw i ciekawość, jeźdźcy tatarscy, którzy sunęli zdyscyplinowanymi czwórkami, strzemień w strzemień.

Całość, po zjechaniu z mostu, skierowała się błotnymi ulicami Sudovii w stronę areny. Brusseum zostało zbudowane pod czujnym okiem Jady, on też zadbał o odpowiednie przystrojenie całej drogi prowadzącej w jego kierunku. Na kijach powiewały kolorowe sznurki i wstęgi, ludzie machali i krzyczeli radośnie. Dzieci stawały na płotach i wdrapywały się na gałęzie drzew, by widzieć lepiej.

Skomand machał do nich. Czasem spoglądał w niebo. Nie padało. Nad ranem było trochę chmur, ale im bliżej południa, tym się robiło jaśniej. W końcu wyszło słońce. Dobry znak, dany przez bogów.

*

Dragiełło pochylił twarz. Hełm, jaki dostał źle trzymał mu się na głowie, był za duży, a zapięcia skórzanych pasków szły w takim miejscu, że dławiły gardło, naciskając na grdykę. Zdjął go więc i spróbował przekręcić pasek na nicie, aby lepiej leżał. Był to hełm garnczkowy, rzadki bardzo w tych stronach, za to widywany w zachodnich krajach. Miał formę nierównego cebrzyka, w którym była jeno szpara do patrzenia na wysokości oczu. Zasłaniał całą twarz.

Pozostali także dostali dziwne szyszaki, całkiem inne, niżli się zwykle do wojen używało. Niektórzy mieli takie z nosalami dużymi albo z ochraniaczami idącymi na wysokości policzków lub też wreszcie hełmy starego typu, jakie na te ziemie przywieźli wieki temu wikingowie.

Jada chodził zadowolony i poklepywał ich po plecach. Wygląd niewolników był dla niego równie ważny, co ozdoby wiszące na ścianach Brusseum albo barwna kapa wyściełająca łożę, w której mieli zasiąść książę, wodzowie pruscy i posłowie tatarscy.

Już wcześniej rano, gdy ciemno było, kazano niewolnikom wstać. Do izb wpadli woje, którym przewodził Jada. Rozdano skórzane pancerze, owe hełmy i tarcze. Nie dano jednak broni. Jada przemówił i powtarzając wcześniejsze obietnice, zapewnił, iż zwycięzcy odzyskają pełną wolność, zabici będą mieli wspaniałe pochówki, a tylko tchórze mogą się spodziewać tortur i surowych kar, jeśli w ogóle przeżyją.

Potem wyszedł, a ich rozdzielono według jakiegoś klucza, każąc niektórym sięść koło siebie, innym dalej.

Weszło trzech dobrze zbudowanych mężczyzn z błękitną farbą w misie. Części więźniów nasmarowano twarze. Był to stary jaćwieski zwyczaj, który pielęgnowano przed każdą wyprawą zbrojną.

- Braciszkanie moi, więc to... dziś - wyjęczał karzeł i uklęknął, by się pomodlić. Pierwszy raz widział Dragiełło swego sługę w czasie modlitwy.

Bracia Job odrzucili tarcze, nie były im potrzebne. I tak mogli walczyć tylko jedną ręką. Gdy się jaśniej zrobiło, od strony Brusseum zaczął do chaty niewolników dochodzić gwar gromadzących się na trybunach ludzi.

- Panie mój - usłyszał Dragiełło ściszony głos karła - chcę z tobą pomówić, wysłuchasz mnie?

- Mów - odpowiedział rycerz.

Karlito podsunął się bliżej niego, złożył ręce i opuścił wzrok. Milczał.

- Mów, słucham cię, Karlito - powtórzył rycerz. Garbus walczył ze sobą, na jego gębie pojawiały się różnorakie grymasy, a w końcu westchnął i zaczął mówić.

- Panie mój, jesteś najlepszym z panów, jakich kiedykolwiek widziałem, a wiedz, że znałem ich sporo, gdyż do klasztoru tynieckiego zjeżdżali licznie. Nie bierz teraz mych słów jako chęci przypodobania się. Nie. Widzisz, mój panie... Nie wiem, jak rzec to mam, aleć to już będzie mój ostatni dzień na tym bożym świecie. Dzisiaj się w nocy nade mną pochylił anioł mój, opiekun i głaskał mnie, jakbym był dziecięciem. On już mnie szykował, ja wiem.

Różne ja miałem grzechy w życiu, bardzo różne. Chyba bym ich nie zliczył, więc i nie będę rachował. Jeden tylko taki, że go teraz, w godzinie śmierci chcę wam wyznać. I prosić was i Boga o wybaczenie.

Zamilkł, broda zwisała mu na pierś. Gadał jakoś inaczej niż zwykle, bez uśmiechu i bez zjadliwości, prostym językiem. Dragiełło pochylił się w jego stronę. Milczał i czekał na następne słowa. Garbus na odwagę się zebrał i popatrzył w oczy rycerza. Mówił, połykając głoski, jakby miał wybuchnąć płaczem, lecz go wstrzymywał całą siłą woli.

- Zdradziłem was, panie.

Karlito po tych słowach odwrócił się, złapał powietrze, jakby się dusił, i znowu spojrzął w twarz pogromcy smoków. Teraz gadał bardzo szybko:

- Zdradziłem ukochanego swego pana, który wziął mnie, żebraka, w podróż na kraj świata, bym zobaczył rzeczy, o których nie śniłem, pana który mnie za giermka przysposobił, i który pokazał, co znaczy być rycerskiego stanu. Jego zdradziłem, bom jest tylko słaby karzeł, złodziej, garbus, który nie powinien po tym świecie chodzić, a próg kościelny i żebracza miska winny być mu pisane do końca dni. Wulfstan mnie do tej rzeczy zmusił i zastraszył. Kazał milczeć wam, a sobie wszystko opowiedzieć. I tak żem zrobił. Bałem się, panie. Już wiedziałem potem, że co złego może z tego być, ale jeszcze bardziej się bałem. Jakbym się kręcił przywiązany do koła, a każdy obrót jeszcze by większy lęk powodował.

W końcu stało się to, czegom się bał najmocniej - zdrada nas do zguby przyprowadziła, ciebie, mnie i braci Job. Co z Hanną jest, tego nie wiem. O nią też się lękam. Wulfstan mi rzekł, że gdy już nas złapią, mam zaraz rzec, iż jestem jego sługą, to mnie strażę uwolnią. Najpierw jednak tego nie czyniłem, bo się bałem waszego spojrzenia. Potem czekałem, co dalej będzie, miałem nadzieję, że może ten starzec o mnie sobie przypomni i przyjdzie, okowy mi zrzuci. Nie przychodził. Aż do dzisiaj czekałem. Jednak tego ranka w modlitwie swojej znalazłem drogę. I już straży wołać nie chcę.

Zamilkł na chwilę i zbierał myśli. Jego wielki, kostropaty nochal zmarszczył się, błysnęły kaprawe białka oczu.

- Wołać ich nie będę, bo dzisiaj będzie ostatni dzień żebraka, którego ludzie zwali Karlitem. Wiesz sam, panie, że kiedyś taki dzień nastąpić musi. Zawsze nadchodzi przecie. Każda się spowiedź kończy pokutą i zadośćuczynieniem. Tak więc ja ostatnią pokutę dam na polu walki. Ja i tak nie przeżyję tego, co przed nami, za mały jestem, ręce moje jak kikutki, nogi niemrawe, krzywe. Tylko śmiech będzie u publiczności. Gdy więc walczyć komu przyjdzie, wybierz mnie, panie, za przeciwnika. I zatop Zedrzykaptura we mnie. Zakończ boleść. Tyś jest wart, żeby żyć i nieść chwałę Bożą.

A mnie, proszę, wybaczą moją zdradę. Jeśli żałujesz, żeś takiego giermka jak ja sobie wziął, rzeknij. Gdy wybaczyć mi nie będziesz mógł, też nie dziwota. I ja sam bym takiemu łotrowi nie wybaczył. Kiedy więc będzie dobra chwila ku temu... zdmuchnij mnie jak biały puch mlecza na łące. Coś było, zaraz tego nie będzie. Czas i tak popłynie. Będzie zima, a potem kolejne lato. Szybko o mnie świat zapomni.

Dragiełło wysłuchał wszystkiego z kamienną twarzą. Tylko bródka mu się trzęsła.

- Ja już sam się domyśliłem - wyszeptał.

Potem nic nie mówił, tylko przytulił karła do siebie.

Strażnicy zaczęli wołać, iż niewolnicy mają się ustawić równo, czwórkami. Rozległy się wrzaski. Wstawali, sposobiąc tarcze i poprawiając paski u hełmów.

Rycerz ze swoim giermkim trwał jednak na ziemi. Z Brusseum dochodził coraz większy hałas. Tłum zapełniał ławy wokół areny. Słońce grzało, więc pogoda się zrobiła wspaniała. W sam raz na igrzyska.

*

Wrzawa podnosiła się za każdym razem, kiedy wojownicy zawracali, wzbijając kopytami koni tumany pyłu. Kolejni uczestnicy turnieju stawali naprzeciw siebie, ściskając w rękach długie włócznie i specjalne tarcze obite stalowymi płytami. Czasem pojedynek kończył się, gdy jeden z rycerzy spadał wyrzucony z siodła, a obrażenia były tak duże, iż znoszono go nieprzytomnego z areny. Innym razem walka trwała także potem, bez koni - przeciwnicy okładali się wtedy mieczami, toporami i wekierami. Gdy któryś upadł, brocząc krwią, wtedy uznawano, iż został pokonany. Bliznobrody klaskał, a za nim czyniła to cała świta siedząca w łoży, goście i wreszcie tłum zgromadzony na trybunach. Walki trwały na ogół krótko - kończyły się góra po kilku, kilkunastu uderzeniach.

Turniej wygrał rycerz w szyszaku z wysoko sterzczącymi, czerwonymi piórami na czubie. Był to młody człowiek z Nadrowii, co uradowało bardzo jego wodza, Gajdę. A i Skomand, wręczając nagrodę - ozdobny topór, wysadzany drogimi kamieniami, był zadowolony, że człowiek właśnie z tego plemienia został zwycięzcą.

Także i Subedej postanowił go nagrodzić. Tatarzy siedzieli z prawej strony trybuny honorowej, wyróżniając się od pstrokatej reszty jednolitym ubiorem. Jednak sam wódz oraz posłowie Ugedeja zostali zaproszeni do łoży księcia, zajmując miejsce po jego prawej stronie.

Młody Nadrow otrzymał od mongolskiego dostojnika piękny sztylet, w pochwie wykonanej ze srebra. Spotkało się to z zachwytem i okrzykami zgromadzonego tłumu.

Później na arenie pojawiły się tancerki w długich, zwiewnych szatach, przedstawiające rusalki z jaćwieskich bajan. Odegrały legendę o królowej pruskiej, Gustebaldzie, która pewnego dnia uratowała życie Rybiego Króla i otrzymała za to magiczny kamień, umożliwiający rozumienie mowy roślin, zwierząt i wiatru. Jednak warunkiem korzystania z owej mocy było niepokazywanie samego kamienia nikomu. Pewnego razu Wiatr przyniósł wieść o zbliżających się Krzyżakach. Gustebalda postanowiła ostrzec ludzi o zbliżającym się niebezpieczeństwie, ale nikt nie chciał jej słuchać. Pokazała więc czarodziejski dar niedowiarkom i wtedy sama została zamieniona w kamienny posąg.

Na koniec jedna z dziewcząt, odgrywająca królową Gustebaldę, zastygła, jakby rzeczywiście zamieniła się w kawał nieruchomego granitu. Muzykanci mocniej zadęli w

instrumenty, nastrój zrobił się uroczysty i wzruszający. Reszta rusalek wyniosła sztywną wieszczkę na rękach.

Publiczność oszalała z radości.

*

Niewolników wyprowadzono z chaty i ustawiono przed dużym okratowanym wejściem na arenę. Centralną część Brusseum stanowił owalny plac wysypany piaskiem, na który prowadziły dwie przeciwległe bramy, każda zamknięta opuszczanymi na linach kratami. Od widzów arena oddzielona była wysokim płotem. Trybuny składały się z szeregu drewnianych ław i podestów, umieszczonych na coraz wyższych palach wbitych w ziemię. Widzowie siedzący najwyżej znajdowali się na wysokości koron drzew rosnących niedaleko. Wielu ludziom nie udało się wejść do wnętrza budowli. Okolica pełna więc była osób jedynie nasłuchujących odgłosów ze środka. Wieść o tym, co się właśnie zdarzyło na arenie, szła od ust do ust, od ucha do ucha i rozchodziła się po całej Sudovii.

Wojowie jaćwiescy ustawili się w szeregi, aby tarczami i włóczniami odepchnąć gapiów na boki i utworzyć rodzaj alei idącej środkiem, aby niewolnicy mający walczyć mogli dotrzeć do wejścia.

Wojowników wybranych wcześniej przez Jadę wprowadzono w ten wąski korytarz między napierającym tłumem. Kazano im usiąść i czekać. Pomocnicy nadzorcy chodzili między nimi i sprawdzali, czy wszystko jest w porządku.

Gdy w środku odbywał się spektakl rusalek, niewolnicy byli już przed bramą. Tłum nie patrzył więc na podrygujące daleko dziewczęta w zwiewnych strojach, lecz przyglądał się tym, z których połowa miała już niedługo umrzeć. Starano się dojrzeć ślady lęku w ich twarzach. Ktoś rzucił kawałkiem jabłka, inny kamykiem. Za chwilę leciały już różne śmieci, piach, patyki, szyszki, grudki ziemi. Ci, co stali najbliżej, wyzywali ich i opluwali. Rozległy się śmiechy, szyderstwa i wyzwiska.

Wojownicy siedzący na ziemi pochyłili głowy i ramiona, żeby uchronić się przed gradem pocisków, plwocin i obelg.

Dragiełło został wraz ze swoimi towarzyszami usadzony na samym tyle, więc duża część tłumu miała ich za główny cel swoich ataków.

- Nie zwracajcie uwagi - szepnął rycerz i schylił się, słuchając kolejnych pacnięć kamyków trafiających go w hełm. Pleców nie mieli jak obronić, więc tylko skulili się i przyłgnęli do siebie.

W końcu jaćwiescy woje zaczęli reagować i uspokajać tłum. Niewolnicy nie mogli zostać zatłuczeni jeszcze przed wyjściem na arenę. To nie spodobałoby się Jadzie.

*

Przyjechał wóz, skrzypiąc oškami. Rozgoniono gapiów. Na wozie stał Jaćwięg z twarzą pomalowaną na niebiesko. Wśród splotów jego mięśni na gołym torsie kręciły się zawijasy tatuaży przedstawiających węże, smoki, pnące się rośliny i łby jaszczurek. Krzyknął i podniósł rękę. Wzmocniono strażę, podwoiła się ilość wojów pilnujących porządku. Kazano niewolnikom wstać. Ze stukiem metalowych części, chrzęstem rzemieni, klekotem sprzączek uderzających o boki hełmów i szyszaków, podnieśli się, milcząc, wśród jazgotu tłumu.

Zaczęto wydawać im broń - niektórzy otrzymali tylko maczugi nabijane kamieniami, inni wekiery, kiścienie albo włócznie. Gdy tak uzbrojono połowę z nich, doprowadzono ich bliżej bramy. Tymczasem na arenie ktoś przemawiał. Był to, zdaje się, jakiś hymn pochwalny na cześć księcia Bliznobrodego. Gdy się skończył, wypuszczono zająca i gromadę psów. Zaczęły gonić szaraka, który, nie mając drogi ucieczki, musiał wpaść w zęby myśliwych. Tłum zafalował krzycząc z emocji.

W tym czasie przed bramą zrzucono z wozu na ziemię całą stertę białych płaszczy. Człowiek z tatuażami na ciele rozkazał, by grupa pozostałych wojowników zaczęła je na siebie ubierać. Wkładali je, popychani i pośpieszani przez strażników. Stojący po obu stronach tłum zaczął rozumieć, co będzie się działo na arenie, gdy płaszcze rozwinęły się na całą szerokość. Na każdym z nich był wymalowany czarny krzyż.

- Krojce, krojce, Krzyżaki - przeszedł szept wśród tłumu.

Dragiełło patrzył na tych ludzi, ubierających opończe mające z nich uczynić znieawidzonego wroga, i teraz widział jasno jak na dłoni, czemu dokonano takiego, a nie innego wyboru - do grupy mającej odegrać pruskich wojów wybrano silniejszych niewolników. Tych drobniejszych dano do grupy krzyżackiej.

Rycerz także chciał sięgnąć po biały płaszcz, lecz Jaćwięg na wozie krzyknął w ich stronę:

- Tych nie! Tych na potem!

Jaćwięgi odepchnęli grupkę Dragiełły na bok i kazali usiąść.

Mogli więc patrzeć ino, jak pozostałych niewolnych szykują do walki. „Krzyżakom” teraz rozdano ich broń - były to jeno pałki bądź dłuższe kije imitujące włócznie, lecz nie zakończone żadnym ostrzem.

- Panie? Jak to? - spytał Karlito rycerza, łapiąc go za rękaw.

- Módl się za nich, to jeno możemy zdziałać - odpowiedział pogromca smoków.

*

Na specjalnym miejscu obok łoży głównej, na ławie obłożonej futrem siedziały trzy staruchy. Wyglądały jak siostry, które tego samego dnia wyszły z łona matki, wspólnie żyły, razem się zestarzały. Miały takie same twarze pokryte dziesiątkami zmarszczek, identyczne nosy pofałdowane i sterczące, śmiech jednaki. Kaptury zarzucone na głowy zasłaniały im oczy. Ludzie na widowni umilkli, gdy się pojawiły. Tylko gdzieś kaszlnął ktoś, kto inny coś krzyknął, aby zaraz zostać uciszonym przez siedzących obok. W bajaniach wszelkich się o tych wiedźmach leśnych dzieciom mówiło, nieraz się nimi straszycie - gdy będziesz niegrzeczny, przyjdą jędze z lasu głębokiego i cię wezmą. Mają one chatę w puszczy, a tam dzieci biorą niedobre, gotują je w kotle i jedzą. A gdy dzieci bardzo już niegrzeczne, wtedy je staruchy żywcem zjadają. Każdy, kto siedział tego dnia na widowni, znał je dobrze ze swojej wyobraźni i bał się znów, jakby go coś magicznego wciągnęło w stare czasy. Weszły wiedźmy te do Brusseum, prowadzone przez wojów, którzy zaraz woleli zniknąć. Nie popatrzyły na nikogo, nikomu się nie ukloniły, tylko siadły. Bliznobrody pochylił się w stronę Subedeja, coś zaczął cicho gadać, a tłumacz, wstawiając szcurzy łeb między nich, przekładał szybko i zerkał szerokimi oczami w stronę ławy jędz.

Następnie niewolnicy wnieśli wielką ramę drewnianą, z kółkami, zębatkami i kołowrotkami.

Wiedźmy, nie pokazując twarzy spod kapturów, złapały za końce nitek nakręconych na wrzeciona, white jedno obok drugiego w dolną belkę, i zaczęły je przewijać przez maszynię. Gdy nie mogły końca uchwycić, wtedy śliniły brudne paluchy i próbowały dotąd, aż się przęda dała złapać.

Po chwili utkały na ramie rodzaj pajęczej sieci, w której nitki rozchodziły się w różnych kierunkach. Gdy to zrobiły, usiadły, wkładając ręce w rękawy swoich płaszczy.

Lud patrzył na nie i czekał, aż skończą. Dopiero Skomand klasnął, aby rozpocząć kolejną część widowiska.

*

Najpierw na arenę wpuszczono wojowników z twarzami pomalowanymi na niebiesko. Ustawiono ich pod jednym bokiem. Jada wstał i z wysokości łoży książęcej zaczął opisywać historię, która zaraz się rozegra: oto nad brzegiem rzeki zebrały się najdzielniejsze i najwspanialsze wojska pruskie i jaćwieskie... Widownia zawyła radośnie, a wojownicy z niebieskimi twarzami unieśli tarcze i broń, zaczęli pokrzykiwać groźnie. Wtedy nadzorca książęcy, dumnie unosząc swą tłustą twarz w stronę słońca, wyciągnął rękę w stronę bramy i zapowiedział:

- A byli oni pod wodzą najświetniejszego księcia, pana plemion pruskich, Skomanda Bliznobrodego!

Na białym koniu wjechał olbrzym pokryty tatuażami. Miał włosy związane z tyłu w długi warkocz, lecz górną część głowy wystrzyżoną na łyso. Nie miał co prawda brody, lecz jego świetnie umięśnione ciało było dostatecznym powodem, by mógł odegrać księcia. Widzowie ryknęli z zachwytu.

Wojownik zatoczył koło, podnosząc rękę, a gdy przejeżdżał pod trybuną, pokłonił się księciu i jego gościom. Krutynia machnęła mu chustą, którą zdjęła z ramion.

Nadszedł czas na przeciwników. Zapędzono na piasek grupę niewolników przebranych za Krzyżaków. Powiewały na wietrze ich białe płaszcze z czarnymi krzyżami, a lud zawył na ich widok z wściekłości. Poleciały w ich stronę najrozmaitsze kawałki jedzenia, śmieci i kamienie.

Nadzorca był zachwycony. Wielki podbródek Jady aż trząsał się z zadowolenia, gdy słyszał, w jaki zachwyty wprowadziła widzów ta inscenizacja, jeszcze zanim rozpoczęła się bitwa. Podniósł więc rękę i dokończył historię. Rzekł, iż właśnie po drugiej stronie rzeki zgromadziły się podłe, zdradzieckie siły krzyżackie. Lecz nasz niedościgny w swych przewidywaniach wódz, Skomand Bliznobrody, wytropił je, a gdy świtanie nadeszło, rozkazał swym dzielnym wojom ruszyć do ataku!

Popatrzył teraz na księcia, by to on dał znać do rozpoczęcia gry. Tłum skierował oczy na łożę główną. Bliznobrody wstał i nakazał, aby zaczynali.

*

Starli się. Krzyżacy sformowali krąg. Staruchy zaczęły kręcić kołowrotkami. Bliznobrody spał konia. Prusowie wrzasnęli, ile sił w płucach. Zmarszczyły się niebieskie twarze. Maczugi wyleciały do przodu. Wekiery z łomotem wpadły w tarcze. Palce wiedźm przebiegały po nitkach. Krzyżacy natarli równo, z okrzykiem rozpacz. Jeden z Prusów upadł. Jęk na widowni. Krutynia wstała. Jada otarł czoło. Huknęły topory o kije. Topory o tarcze. Tarcze o tarcze. Wśród Krzyżaków zgodny okrzyk. Rzucili się dalej naprzód. Wbili tępy kij w brzuch leżącego Prusa. On wyje. Złapali jego wekierę. Stalowa kula najeżona kolcami rozbiła mu łeb. Trysnęła krew. Zardzewiały nóż w dłoni jednej ze staruch przecina pierwszą nitkę.

Skomand ujął w dłoń potężny topór bojowy. Koń rzucił się wprzód. Krzyżacy ustawili przeciw niemu drągi. Za mało. Za słabo. Bez ostrzy. Pierś konia, obłożona stalą, rozbiła osłonę, roztrąciła grupę. Napięte oczy wiedźm. Z ich kapturów wysunęły się ciemne nosy. Ręce z nożami zawisły nad przedzą.

Krzyżacy rozbici. Zaczyna się seria pojedynków. Kije przeciw ostrzom toporów.

Nad głową Bliznobrodego błyszczy topór, który wzniosł za plecy szerokim zamachem. Spadło ostrze na tors przeciwnika, wyrwało kawały mięsa, wyrzuciło je w powietrze. Krzyk tłumów. Przędza pękła. Kolejna. I jeszcze jedna.

Na białych płaszczach wykwitwały wielkie czerwone plamy. Padały ciała w piasek. Bliznobrody dopadał następnych Krzyżaków i toporem rozbijał ich głowy. Jędze cięży coraz więcej nitek. Coraz mniejsza się robiła pajęczyna.

Prusowie czując, że za chwilę szczęśliwie wyniosą z areny wolność i życie, z jeszcze większą agresją rzucali się na przeciwników. Żelazo musiało wygrać z kijami. Topory robiły swoje. Kolejni Krzyżacy padali twarzą w piach, a ich oczy zastygały, wpatrzone w stopy tych, którzy jeszcze walczyli. Tłum ryczał nieustannie. Staruchy pracowały jak oszalałe.

W końcu cały plac zasłany był trupami w białych płaszczach, nasiąkających krwią.

Wojownik z tatuażami podjechał koniem przed trybunę książęcą. Podniósł wysoko zboczony topór i ryknął tryumfalnie. Prusowie podnieśli swoją broń i także krzyknęli.

Bliznobrody wstał, bijąc brawo. Przywołał Jadę i kazał specjalnie nagrodzić zwycięzców, a szczególnie woja, który odgrywał jego postać.



Przez szparę w hełmie widać było niewiele. Także i dźwięk docierał z zewnątrz przytłumiony, jakby to, co działo się na świecie, było jakąś inną rzeczywistością. Życie trwało w środku, w hełmie, jego wnętrzu stało wszystkim. Zmęczony oddech grzmiał w stalowym cebrzyku jak rytmiczny poszum wielkich żaren. Gdy pasek się okręcił na nicie, gdzieś przy uchu, wtedy zgrzyt wypełniał głowę jak pisk nietoperza wdzierającego się do mózgu przez ucho. Z bardzo daleka słyhać było czyjeś okrzyki, Jada, złowiony w otworze idącym tuż ponad nosem, wydawał się z daleka jakąś śmieszna, grubą lalką, ubraną w lisią czapę.

Dziesiątki, setki twarzy po bokach. Czy oni coś krzyczą? Chyba tak, ich usta otwierają się i zamykają. Jakby obserwować ryby pod wodą. Co krzyczą? Czy wiadomo? Wrzask jest tak wielki, że już żadnych słów nie można rozeznąć, to jedna wielka rzeka krzyku, która spada z trybun wodospadem hałasu. Szum wzniesiony do potęgi grzmotów przekracza granicę, za którą jest już cisza. W tej ciszy pełnej wrzasków liczy się już tylko własny oddech w hełmie, dźwięk przelanej śliny, słowa modlitwy, którą wyszepczą suche, spierzchnięte wargi. Tylko pot płynie po czole, łaskocze nos, spływa na brodę. Gdyby można było go zetrzeć, dotknąć, wysuszyć.

Kroki są kolejnymi, bezwiednymi skurczami i rozkurczami mięśni nóg. Nad którymi się nie myśli. Których się nie kontroluje. Gdzieś tam pracują mięśnie.

Co mu dano do ręki? W szparze widać krótki miecz. Nic więcej. Dobre i to. Lepsze od kija.

Obok, przy kolanie, jak pies - wierny sługa, Karlito. W małym szyszaku i pasku podpiętym pod brodę. Drepcze. Śmieszny. I smutny w tej śmieszności. Dano mu do ręki bicz zakończony metalowym haczykiem.

Z tyłu dwaj bracia Job. Po jednej maczudze na każdą stronę.

Czuje ich obecność. Gorąco. Czy Bóg przychodzi w takich chwilach? Gdzie jest? Może jednak... w górze?

Zatrzymał się. Podniósł głowę. Wrzask tłumów nie malał. W wąskim pasku wyciętym w żelazie, między nim a Panem w niebie, zobaczył drapieżne ptaki krążące nad areną i czekające na posiłek.

Tam więc go nie było. Tam była także część piekła. Gdzie był?

Rycerz zatrzymał się. Powoli ugiął jedno kolano, za nim drugie. Uklęknął. Uniósł dłoń do stalowego hełmu. Dotknął go na wysokości czoła końcami palców. Potem musnął środek klatki piersiowej, lewe ramię i prawe.

Tłum zafalował, zaszumiał jakimiś okrzykami i nagle zaczął cichnąć. Ludzie dostrzegli, że ten człowiek wykonuje swój... rytuał. Oni mieli szacunek dla rytuału. Nawet obcego. Ku wściekłości Jady, ku zdumieniu dostojników hałas ustał. Może to nawet sam Pan tam w górze zobaczył, że Dragiełło chce się pomodlić? I uciszył tysiące języków, tak jak potrafił uciszyć wzburzone wody, przeprowadzić z ziemi egipskiej, laską Mojżesza rozbić morze na dwie części?

Zapanowała cisza.

*

Dragiełło trwał w milczeniu. Modlitwa wychodziła z jego duszy, przebijała pancerze i jak na obłoku wylatywała ponad zakrwawiony piach, ponad ślady martwych ludzi, ponad plwociny i wyzwiska, ponad sobolowe futro na kołnierzu księżnej, ponad szyszaki Jaćwięgów, ponad najwyższą łożą, ponad szczyty drzew.

Przyszedł chłód. Spokój zamiast lęku. Radość zamiast gniewu. Tam czeka ręka, którą będzie mógł złapać i pójść dalej, żeby wypełnić to, z czym został tu wysłany. Jeszcze pozostaje mu drobiazg. Umrzeć godnie.

*

Poczuł szarpnięcie za rękaw. Ciągnął go Karlito. Pochylił się ku niemu. Garbus coś mówił, lecz pogromca smoków nie mógł posłyszeć przez grubą warstwę stali.

Giermek więc przybliżył się mocniej i krzyknął prawie.

- Tam, panie, patrz! Patrz, szybko! - ciągnął go za ramię, tak obracając ciałem, by naprzeciw Dragiełły znalazła się część widowni, na której byli specjaliści goście Bliznobrodego. Rzędami, w szpiczastych czapkach na głowach, w pancerzach przypominających skórę jaszczurek, siedzieli wojownicy z dalekich stepów, Tatarzy. Mieli śniade twarze, a tak się odróżniali wyglądem od reszty ludzi, że z daleka ich było widać, jak jemiolę na zimowym drzewie. Wszyscy mieli podobnie utrzymane zarosty, cienkie wąsy i także bródki, a czapki ich świeciły w słońcu srebrnymi nitkami.

W wąskiej szparze hełmu nabrali oni wymiaru stworów piekielnych, które siedząc na ławach, z uśmiechami na gębach czekały na początek kaźni. Dragiełło słyszał prawie syk, jaki wydają, i zdawało mu się, że pomiędzy tych warg rozszerzonych diabolicznym uśmiechem wystają rozdwojone na końcach języki. Otóż smoczy synowie. Jednak karzeł nie dawał spokoju, ciągle go szarpał.

- Widzisz? Panie, widzisz? - głos garbusa był uniesiony, drżący, pełen szalonej radości. Może biedak tracił rozum.

Dragiełło postarał się skupić wzrok, ponownie przyjrzał się szeregom mongolskim. W wycięciu jego hełmu mignęły twarze o wystających kościach policzkowych. Zobaczył jedną z nich, bez wąsów, bez brody, dobrze mu znaną. Serce się w nim zatrzymało. Skoncentrował wzrok. Nie miał już wątpliwości. Jeruzalem.

Odwrócił szybko spojrzenie.

- Panie... - zaczął szeptać gorącymi wargami, a słowa dudniły wewnątrz hełmu, bijąc go samego w uszy - Czemu mnie tak doświadczasz? Czemu ranisz mnie tuż przed śmiercią tak boleśnie? Któż jeszcze ma mnie zdradzić dzisiejszego dnia? Jakiego przyjaciela pokażesz mi jeszcze jako zdrajcę? Do jakiego wybaczenia chcesz mnie zmusić? Nie mam takiej siły...

Jego twarz zastygła. Spojrzał w niebo. W tej chwili usłyszał przeciwnika, z którym miał walczyć o życie.

*

Ryk zwierzęcia zmroził widownię. Gdy klatki podjeżdżały do wejścia, woźnice nie musieli krzyczeć, aby dano im drogę. Tłumy rozstąpiły się szeroko. Głos wydawany przez rude bestie był takim rodzajem dźwięku, jakiego nie można sobie wymyślić. Być może jakiś lęk pradawny zapisany pod skórą powoduje, że gdy człowiek go usłyszy, wtedy mięśnie drętwieją, włos się jeży, a gardło ściska przerażenie.

Tygrysy chodziły w swoich klatkach, objijając boki o pręty, waląc wściekle ogonami, tocząc wokół wzrokiem, który był zapowiedzią rozszarpywania mięsa.

Gdy podprowadzono wozy pod samą bramę i podciągnięto w górę kraty, tłum wypełniający Brusseum zafalował, podziw zmieszał się ze strachem.

Skomand uniósł się lekko, targając swoją brodę, Jada otarł czoło z potu, a Subedej założył ręce, jakby chciał pokazać, iż efekt gwarantowany przez jego dar będzie cudowny.

Jaćwiescy wojownicy stanęli po bokach wozów, chowając się za tarczami i ściskając nerwowo włócznie. Na trybuny wbiegły dwie grupy tatarskich nadzorców, którzy wieźli zwierzęta z daleka i potrafili się nimi zajmować. Mieli w rękach sieci zawieszane na długich tykach, potrzebne do wyłapania tygrysów po zakończonej walce.

Wielkie koty wypuszczono na piasek. Oczy tłumu skierowały się na grupkę ustawioną na arenie. Rycerz, jego giermek i dwóch pokracznych, jednoręcznych chłopów mieli stawić czoła bestiom przywiezionym z Mongolii do Jaćwieży.

Krata z hukiem opadła, wzbijając niewielkie obłoczki pyłu.

Stalowy hełm stłumił ryk. Dragiełło miał wrażenie, jakby obraz, jaki widział przez wąską szparę, zatrząsł się. Karlito padł na ziemię, płacząc, i zakrył głowę rękami. Tłum zahuczał ponownie. Rozległy się gwizdy. Rycerz obserwował, co się dzieje, i nagle obudził się z letargu, odzyskał panowanie nad sobą, jakby cudowna ręka wyjęła go z krainy snu i powróciła do życia. Odpiął pasek pod brodą i zdjął hełm. Wobec takiego przeciwnika nie był potrzebny.

- Pod ścianę! - krzyknął - Szybko!

Dobiegli do bramy, którą ich wpuszczono na arenę, i stanęli, opierając się plecami o kratę. Karlito przycupnął pod nogami rycerza i ścisnął w rękach swój bicz. Dragiełło kazał mu go oddać. Tygrysy były odurzone miejscem i hałasem, jaki panował w Brusseum. Porykiwały, chodząc powoli, przelewając ciężar ciała z łapy na łapę, tak że ich łopatki pokazywały się, to jedna, to druga, nad grzbietem. Ogony opuszczone w tył falowały, nabierając nagle przyśpieszenia i bijąc zakrzywionym końcem o boki. Widownia zaczęła krzyczeć, domagając się walki. W stronę kotów poleciały patyki i kawałki owoców.

Kilka ryknięć, odchylone do góry głowy, świadczyły o coraz większym rozdrażnieniu bestii, lecz te nadal nie atakowały, tak jakby zbierały agresję buzującą w ich żyłach do momentu, gdy eksploduje.

Zbliżały się nieuchronnie do ofiar, jakby od niechcenia, jakby chciały uśpić ich czujność brakiem zainteresowania.

W końcu jeden z tygrysów ruszył do biegu, ale przystanął, zaczął węszyć.

Karlito złapał rycerza za nogę, trząsł się na całym ciele. Bracia Job ścisnęli maczugi. Bródka Dragiełły sterczała w przód, napięta jak porzecz bojowy.

Pierwsze zwierzę podeszło już na kilka kroków. Drugie łąziło z boku, zataczając kręgi. Tygrys warknął i utkwiał oczy w grupce.

- Chodź, bestio! Poznaj się z rycerzem Dragiełło herbu Kraplan, pogromcą smoków i wszelkich gadzin! - wrzasnął potomek świętego Jerzego.

Tygrys odpowiedział mu rykiem i spał się do skoku. Wyciągnął w przód łapy, żeby najpierw zahaczyć ofiary pazurem, a dopiero potem gryźć.

Świsnął bat i kolce uderzyły bestię w okolice oka, wrywając kawał futra aż do krwi. Potwór ryknął i cofnął się zdziwiony. Rycerz chciał go ugodzić mieczem, ale nie dał rady. Wskoczył wprawdzie przed siebie, jednak przy nodze miał giermka, który go skutecznie unieruchomił. Ostrze przecięło powietrze, nie wyrządzając szkody zwierzęciu. Drugi tygrys dołączył do gry. Zaczął podbiegać od boku, w stronę kraty, szykując się do skoku na Nioba. W tym samym czasie pierwszy, rozwścieczony, rozdrażniony bólem, zerwał się do kolejnego ataku. Widownia zaczęła krzyczeć. Huk się niósł ponad areną.

Bliznobrody wstał, by lepiej widzieć. Podobnie uczynili pozostali wodzowie i dostojnicy. Ludzie wstali na wszystkich trybunach. Oba tygrysy były już teraz bardzo blisko. Dragiełło zamachnął się biczem. Trzasnął. Bat zaświszczał w powietrzu. Uderzył w tygrysa biegnącego od przodu, ale kot w tej samej chwili uniósł łapę. Koniec bata zawinął się na niej. Bestia chwyciła go zębami i szarpnęła. Bicz wypadł z ręki Dragiełły. Drugi tygrys skoczył na brata Job. Rozwarła się szczeka. Dragiełło wyrzucił w lewo rękę z mieczem i ciał w ten pysk, który zatrzymał się dosłownie na centymetry przed ciałem jednorękiego.

Niob w tej chwili uderzył pałką. Drapieżnik cofnął się o pół kroku. Drugi jednak już był bardzo blisko. Hiob szykował się do zadania mu ciosu. Uniósł swoją maczugę. Karlito zamknął oczy. Ręce więdzm zawisły nad nitkami.

Wtedy piekielny, zagęszczony, wibrujący hałasem słup powietrza został przecięty świstem lecącego pocisku. W boku tygrysa utkwiała strzała. Zwierzę okręciło się w pół, rezygnując z zamierzonego ataku i szukając w powietrzu przeciwnika, który go ugodził i zadał ból. Potwór machnął łapą, ale przecięła ona powietrze. Nikogo tam bowiem nie było. Tłum zafalował, krzyknął.

Kolejny świst. Następna strzała utkwiała prosto w oku drugiego tygrysa. Wielki kot potwornym rykiem ogłosił całemu światu, że został ugodzony. Łapą próbował wyrwać sobie kij sterczący z oczodołu, przysiadł na piasku.

Dragiełło spojrzał w stronę, z której leciały pociski. Podobnie uczynił każdy człowiek znajdujący się w tej chwili wewnątrz Brusseum.

Wśród Tatarów, którzy siedzieli w trakcie walki tygrysów, jeden wojownik stał. Był to ów śniady sługa, niewolnik, którego Bliznobrody ofiarował w prezencie Subedejowi. Ubrany tak jak pozostali, w zbroję, miał w ręku łuk, a przy pasie kołczan ze strzałami. Roztrącił ludzi. Kopniakiem wyrzucił jakiegoś przerażonego człowieka stojącego mu na drodze i zeskoczył na piach areny.

Zerwał się kolejny okrzyk tłumu.

*

Jeruzalem szedł i raz za razem nakładał strzałę na cięciwę i strzelał w stronę tygrysów. Przeszywały ze świstem powietrze i wbijały się w przegowane cielska. Tygrys będący bliżej spróbował ataku, lecz został ugodzony w pierś. Bestia padła ciężko na piach, drgając w przedśmiertnych skurczach.

Drugi tygrys zdołał sobie wyrwać łapą strzałę tkwiącą w oku. Ale mongolski łuk szybko zakończył sprawę. Także i ten zwierz legł na piachu.

Jeruzalem zatrzymał się.

Wiatr rozwiął kurz, a nad Brusseum, jak sen przychodzący po ciężkim dniu, rozłożyła ręce zdumiona cisza.

*

Gdyby ślepeca postawić na arenie, pewnie by rzekł ten człowiek, że nie ma nikogo, że jest pusto, tak bardzo zamarł wszelki ruch i dźwięk. Dragiełło patrzył na Jeruzalema. Karlito otworzył oczy i zaczął mamrotać słowa modlitwy dziękczynnej za cud, jaki ich spotkał. Bracia Job opuścili maczugi.

Bliznobrody najpierw spojrział na spoconego Jadę, a potem na Subedeja. Wódz Tatarów zgrzytnął zębami. Po raz pierwszy widać było grę uczuć na jego twarzy. Dar od wielkiego Chana, słońca stepu, został unicestwiony mongolską ręką. Wściekłość zaczęła buzować w głowie Subedeja i być może wystrzeliłaby w niebo, gdyby nie to, co stało się na widowni.

Tłum stał, milcząc, ale powoli, najpierw cicho, a potem coraz głośniejsze, zaczął klaskać. Burza braw huknęła nagle, trybuny ożyły, w górę poleciały czapki, kije, szale, worki i co tylko można było cisnąć z radości. Na piasek areny leciały kwiaty. Bliznobrody! Bliznobrody! Skomand! Zaczęto skandować radośnie. Było to tak nieoczekiwane, że Subedej otwierał szeroko oczy ze zdumienia. Radość zamieniła się w euforię. Biegano w kółko, tańczono, wychwalano księcia i łaskawość bogów. Zakończenie walki z tygrysami spodobało się ludziom, którzy najwyraźniej sprzyjali garstce ludzi walczących z bestiami.

Każdy człowiek boi się tego, co w puszczech drzemie, co wychodzi nocą z bagien, co jest piekielnym demonem, tego się boi. Ten strach jednoczy i każe się stać jeden drugiemu bratem prawie. Tak się czuli Prusowie, którzy zjechali tu, do Jaćwieży, ze wszystkich krain: z Pomezanii, Pogeżanii, Warmii, Skalowii, Sambii, Natangii, Nadrowii, Sasinii, Galindii i Barcji. Oni widzieli już w snach nadciągającą bestię.

Subedej przywołał swojego tatarskiego przybocznego i rzekł mu:

- Tego kuglarza zawieziemy do Batu-Chana. Ciekawym jest bowiem to, co sam nam powiedział. Iż ma ciało tatarskie, a serce polskie.

Słuchający go Mongoł pokiwał głową. Subedej uśmiechnął się i dodał:

- Trzeba więc będzie mu to serce wyrwać. I obejrzyć, jakie ono jest.

Potem spojrzał w niebo. Źle sypiał w tych budowlach wznoszonych przez ludzi tutejszych. Wolał jurte, do której nocą wchodzi step. Chmury gromadziły się na horyzoncie.

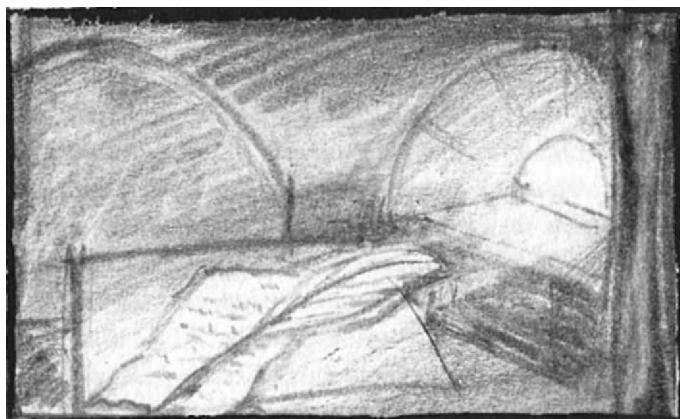
Gdy schodził z trybuny, spojrzał na Skomanda.

Księżę Jaćwieży w zadumie patrzył na wychodzący z Brusseum jaćwieski lud. Daleko za lasem odezwał się grzmot. Bliznobra wyciągnął rękę, sprawdzając, czy z nieba nie spadają już pierwsze krople.

- Będzie padać - powiedział. I odszedł.

*

Ciała tygrysów spalono później na misach ofiarnych w świętym gaju niedaleko Sudovii. Dym powstały z ich sierści i mięsa unosił się wysoko w niebo, aby przynieść księciu przychylność bogów.



ROZDZIAŁ XX

Wrzesień 1238

La Verna, 13 września A.D. 1238

Najukochańsi w Chrystusie Panu!

Przede mną jedna karta papieru. Więcej nie uda mi się zdobyć. Skryptorium zostało zamknięte, mnie wstęp do niego wzbroniony. Piszę ten ostatni do Was list i w myślach Bogu Was oddaję, prosząc, by obejmował Wasze osoby swoją opieką. Ręka mi się trzęsie. Kaganek skwierczy, a ja myślę tego wieczora, cóż winienem Wam napisać, wiedząc, że ta karta ma ograniczoną długość. Chwile uciekają, nie potrafię dobrze ich uchwycić, nie potrafię dobrze wykorzystać nawet tego kawałka papieru.

Postaram się zawrzeć, co najważniejsze.

Z wieści istotnych jest ta rzecz smutna, iż zniknął fra Bartolomeo, mój przyjaciel, który używał mi ksiąg i pomagał w poszukiwaniach materiałów, mogących wyjaśnić tajemnice Zakonu Sw. Ducha. Kilka dni temu widziałem go raz ostatni, gdy szedł korytarzem do oratorium. Potem w powietrzu się rozpułnął, jakby... Zresztą cóż pisać, jeśli dowodów na razie nie ma żadnych. Powiedzieć muszę, że zaostrzyło się pilnowanie naszych osób, a do klasztoru zjechało dwóch jeszcze zakonników, którzy mają za zadanie nas tylko mieć na oku.

Ignas na ciele wyzdrowiał, co niesie wielką pociechę memu sercu, ale na duchu jeszcze bardziej podupadł i znać po nim głęboką melancholię.

Gdy patrzę na słowa zapisane atramentem na tej karcie, dreszcz mnie przejmuje, bo mam świadomość, iż mogą być one ostatnimi, jakie skreślę. Co Wam pisać? Czuję gorączkę w umyśle. Co jest ważne? Takie sobie zadaję pytanie.

I odpowiedź mi przychodzi.

Nie napiszę Wam o królach upadłych, o księstwach zalanych krwią, o papieżu ani o cesarzu, ani o dalekich krajach czy bliskich, o zakonach, o wojnach, o zarazach, nie napiszę nawet słowa o wielkich księgach, wspaniałych uczonych, o podróżach, historiach niezwykłych, o legendach ani o skarbach, ani nawet o postaciach świętych. Wszystko to znajdziecie sobie gdzie indziej.

Gdy czas mój krótki, kiedy ta karta zaraz się skończy, chcę napisać Wam o najważniejszym.

Wczoraj poszedłem z chłopcem na spacer do lasu. Puścili nas zakonnicy, kazali wrócić za godzinę. Usiedliśmy w naszym miejscu ulubionem nad strumieniem, gdzie w dali widać góry i doliny, a za plecami szumią wielkie drzewa. Chłopiec z radością zaczął brodzić w wodzie. Podwinął nogawki i laził po kamieniach, a woda opływała mu nóżki. Patrzyłem na niego, siedziałem na wielkim głazie i czułem, jak właśnie się dzieje coś, co jest ważniejsze niż wszyscy królowie, papieże, państwa, klątwy, wojny i sojusze. Patrzyłem, jak on się bawi w strumieniu. Jak podnosi kamienie i zaczyna budować tamę. Wstałem, zakasałem rękawy i zacząłem budować z nim. Uśmiechał się, widząc, z jakim trudem się zginam, żeby je podnosić,

mam swoją wagę. Jakże się cieszyłem, że on się śmieje. Więc schylałem się ponownie. Stawialiśmy te kamienie jeden na drugim i rosła tama. Piętrzyła się woda, aż w końcu udało nam się stworzyć niewielkie jeziorko. Ignas był szczęśliwy. Znaleźliśmy kawałek kory. Wyjąłem kozik i wystrugałem łódkę. Puszczaliśmy ją na tym jeziorku. Pływała, a chłopiec ją łapał w małe rączki i biegł w górę, by puścić ją strumieniem. Boże, karta mi się skończy, czy dam radę napisać najważniejsze? Łódka sphywała, on biegł za nią. Ja potem, z nim, do góry. Obaj skakaliśmy po kamieniach. Wywróciłem się nagle i zamoczyłem. On się śmiał. Taka ze mnie gruba niezgara. Leżałem do góry nogami. On przestraszył się jednak, że coś mi się stało, podbiegł. Nie może mówić. Więc tylko złapał mnie za rękę. Pomógł mi wstać. Wygramoliłem się. I wtedy... Muszę skończyć, karty mało. Wtedy on... zaczął mnie rozbawiać. Żeby mnie nie bolało. Żeby mi nie było smutno. Zaczął skakać jak kózka, fikać koziołki, robić głupie miny. Siedziałem w tym lesie - z mokrym habitem, bezradny - i zacząłem płakać. Im bardziej on mnie rozbawiał, tym bardziej ja płakałem. Potem otarłem łzy i też zacząłem się śmiać razem z nim. Puszczaliśmy wspólnie łódkę, a na koniec pożegnaliśmy jezioro. Pomachał rączką, na znak że jeszcze tam wrócimy. Może wrócimy.

Zrobiłem w życiu wiele dobrego i pewnie wiele złego, przepisywałem księgi, spowiadałem, niosłem słowo Chrystusa. Lecz największa rzecz, jaką dane mi było wykonać, to niewielka tama wzniesiona z kamyków na górskim strumieniu, na zboczu góry La Verna.

Możecie ją też znaleźć w czasie swoich wędrówek. Jeśli nie znajdziecie, możecie zawsze zbudować swoją. Kończy się papier. Szukam gorączkowo jednego słowa, którym zamknę ten list. Jednego. Które porusza gwiazdy i słońce na niebie.

Miłość.